

**Allan Folsom**

# **Dzień Spowiedzi**

*The Day of Confession*

*Tłumaczył Piotr Jankowski*

S&C

EXLIBRIS

## **Główne postaci**

Harry Addison

Ojciec Daniel Addison – młodszy brat Harry’ego;  
osobisty sekretarz kardynała Marsciana

Siostra zakonna Elena Voso, pielęgniarka

Hercules, karzeł

## **Osobistości Watykanu**

Giacomo Pecci, papież Leon XIV

Papiescy domini di fiducia, „mężowie zaufania”:

kardynał Umberto Palestrina

kardynał Nicola Marsciano

kardynał Joseph Matadi

monsinior Fabio Capizzi

kardynał Rosario Parma

ksiądz Bardoni, doradca kardynała Marsciana

Vigilanza – Urząd Straży Porządkowej Państwa  
Watykańskiego

Jacov Farel, szef Urzędu Straży

## **Policja włoska**

Detektywi z wydziału zabójstw:

Otello Roscani

Gianni Pio

Scala

Castelletti

Gruppo Cardinale – zespół do zadań specjalnych, powołany zarządzeniem ministra spraw wewnętrznych Włoch do prowadzenia śledztwa w sprawie zamordowania kardynała wikariusza Rzymu

Marcello Taglia, prokurator kierujący Gruppo Cardinale

### **Chińczycy**

Li Wen, inspektor Państwowego Urzędu Jakości Wody

Yan Yeh, prezes Narodowego Banku Chińskiego

Jiang Youmei, ambasador Chin we Włoszech

Zhou Yi, minister spraw zagranicznych

Chen Yin, handlarz kwiatami ciętymi

Wu Xian, sekretarz generalny partii komunistycznej

### **Wolni strzelcy**

Thomas Jose Alvarez-Rios Kind, międzynarodowy terrorysta

Adrianna Hall, korespondentka World News Network

James Eaton, sekretarz do spraw politycznych; ambasada Stanów Zjednoczonych w Rzymie

Pierre Weggen, szwajcarski bankier inwestycyjny

Miguel Valera, hiszpański komunista

Edward Mooi, poeta

# Prolog

Rzym.  
Niedziela, 28 czerwca

Dzisiaj nazywał się „S”. Z wyglądu był uderzająco podobny do Miguela Valery, trzydziestosiedmioletniego Hiszpana, śpiącego płytkim, narkotycznym snem w głębi pokoju.

Mieszkanie na piątym piętrze, w którym się znajdowali, było marne – zaledwie dwa pokoje z maleńką kuchnią i łazienką. Stały tu tanie, sfatygowane meble; jak w każdym takim miejscu, wynajmowanym na tygodnie. Najokazalej prezentowała się pluszowa kanapa, na której wiercił się niespokojnie Hiszpan, oraz stół ze składanym blatem pod oknem, przez które wyglądał teraz „S”.

Tak więc mieszkanie było marne. Wynagradzał to widok z okna – na zieleń Piazza San Giovanni i majestatyczną bryłę Bazyliki Świętego Jana na Lateranie, katedry papieża jako biskupa Rzymu i „matki wszystkich kościołów”, ufundowanej przez cesarza Konstantyna w roku 313. Dziś widok był jeszcze ciekawszy niż zwykle. Mszę świętą z okazji swych siedemdziesiątych piątych urodzin odprawiał Giacomo Pecci, papież Leon XIV. Plac przed kościołem wypełniał po brzegi tłum wiernych, jak gdyby urodziny papieża obchodził cały Rzym.

Przeciągnąwszy dłonią po ufarbowanych na czarno

włosach, „S” spojrział na Valerę. Za dziesięć minut otworzy oczy. Za dwadzieścia oprzytomnieje i będzie w pełni zdolny do działania. „S” odwrócił się nagle i jego spojrzenie przesunęło się na czarno-biały telewizor w rogu pokoju. Na ekranie widać było transmisję na żywo z wnętrza bazyliki.

Papież, w białych liturgicznych szatach, przemawiał, patrząc na swoich wiernych uduchowionym wzrokiem, pełnym życia i nadziei. Kochał ich, a oni odpłacali mu tym samym; odnosiło się wrażenie, że mimo podeszłego wieku i słabnącego powoli zdrowia czerpie z tego odmładzającą energię.

Obraz się zmienił; w tłumie wypełniającym ciasno bazylikę kamerzyści zaczęli wyszukiwać znajome twarze polityków, sławnych osobistości i ludzi interesu. Następnie oko kamery przesunęło się na postacie siedzących za papieżem duchownych. Byli to jego długoletni doradcy, jego uominidifiducia.

Mężowie zaufania. Wspólnie stanowili bez wątpienia najpotężniejszą grupę wpływów w całej hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego. Było ich pięciu:

– Kardynał Umberto Palestrina, sześćdziesiąt dwa lata.

Sierota i ulicznik z Neapolu, obecnie watykański sekretarz stanu. Niezwykle popularny w Kościele i cieszący się wielkim poważaniem w świeckiej społeczności międzynarodowych dyplomatów. Potężnie zbudowany: ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu przy wadze stu trzydziestu pięciu kilogramów.

– Rosario Parma, sześćdziesiąt siedem lat. Kardynał wikariusz Rzymu; wysoki, surowy, konserwatywny prałat z Florencji; to w jego diecezji i kościele odbywała się papieska msza.

– Kardynał Joseph Matadi, pięćdziesiąt siedem lat. Prefekt Kongregacji Biskupów, pochodzący z Zairu. Szeroki w barach, jowialny, miłośnik podróży, znający wiele języków, zręczny dyplomata.

– Monsinior Fabio Capizzi, sześćdziesiąt dwa lata. Dyrektor generalny Institutio Opera Religiosa – Instytutu Dzieł Religijnych – banku watykańskiego. Urodzony w Mediolanie. Absolwent Oksfordu i Yale; samodzielnie doszedł do milionów jeszcze przed wstąpieniem do seminarium w wieku trzydziestu lat.

– Kardynał Nicola Marsciano, sześćdziesiąt lat. Najstarszy syn rolnika z Toskanii, kształcony w Szwajcarii i Rzymie, przewodniczący Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej; tym samym główny nadzorca inwestycji watykańskich.

Dłoń „S” w rękawiczce wyłączyła odbiornik i mężczyzna wrócił do stołu pod oknem. Za jego plecami Miguel Valera zakaszłał i poruszył się we śnie. „S” zerknął na niego, a potem znów wyjrzał przez okno. Przed samą bazyliką policja ustawiła zapory, nie dopuszczające tłumy na brukowany plac przy wejściu, a teraz po obu stronach odlanych z brązu wrót kościoła stanęli policjanci na koniach. Na lewo za nimi, poza zasięgiem wzroku zgromadzonych, „S” dojrzał kilkanaście niebieskich

furgonetek i oddziały interwencyjne policji, również niewidoczne z tłumu, lecz w pełnej gotowości.

Nagle pod schody bazyliki podjechały cztery ciemne lancie.

Były to nie oznakowane limuzyny Polizia di Stato, włoskiej policji państwowej, która zajmowała się ochroną papieża i kardynałów poza obrębem Stolicy Apostolskiej. Po mszy miały odwiedzić duchownych do Watykanu.

W tym momencie brązowe wrota stanęły otworem i w tłumie podniosła się wrzawa. Jednocześnie rozdzwoniły się dzwony wszystkich chyba kościołów Rzymu. Przez chwilę nic się nie działo. A potem ponad dźwięk dzwonów wzniósł się ryk tłumu. W drzwiach bazyliki pojawił się papież. Biel jego sutanny odbijała wyraźnie od purpury strojów mężów zaufania, podążających za nim. Całą tę grupę otaczał ciasno kordon ochroniarzy w czarnych garniturach i ciemnych okularach.

Valera jęknął i zamrugał oczami, usiłując się przekręcić na bok. „S” spojrział na niego, lecz tylko przelotnie. Potem odwrócił się i z cienia pod oknem wydobył podłużny przedmiot owinięty w ręcznik kąpielowy. Umieścił go na stole i odwinąwszy ręcznik, przystawił do oka lunetę fińskiego karabinu snajperskiego. Obraz bazyliki powiększył się stukrotnie. Kardynał Palestrina zrobił akurat krok naprzód i jego postać znalazła się w całości w kręgu celownika, którego krzyżyk spoczął dokładnie ponad szerokim uśmiechem duchownego. „S” nabrał powietrza i wstrzymał oddech, a jego palec wskazujący

przyłgnał mocniej do spustu. Palestrina usunął się na bok. W celowniku karabinu znalazła się teraz pierś kardynała Marsciana. Ignorując jęki Valery, „S” przejechał lunetą po kardynalskiej purpurze, aż ujrzał biel sutanny Leona XIV. Ułamek sekundy później nici celownicze zbiegły się między brwiami papieża.

Valera krzyknął coś głośno. „S”, w dalszym ciągu nie zwracając nań uwagi, zacisnął palec na spuście. Papież ruszył naprzód i ominąwszy jednego z ochroniarzy, zaczął z uśmiechem pozdrawiać tłum. „S” szybko przeniósł lufę karabinu na prawo, najeżdżając celownikiem na złoty pektorał Rosaria Parmy, kardynała wikariusza Rzymu. A potem, z kamienną twarzą, po prostu trzykrotnie szybko nacisnął spust.

Pokój wypełnił się hukiem wystrzałów. Dwieście metrów dalej krew jednego z mężów zaufania trysnęła na białą sutannę papieża Leona XIV i zbryzgała otaczających go kardynałów.

# 1

Los Angeles.  
Czwartek, 2 lipca; 21.00

W głosie z automatycznej sekretarki pobrzmiwał strach.

„Harry, tutaj twój brat Danny... Nie chciałem dzwonić do ciebie z czymś takim... tyle czasu minęło. Ale nie mam... poza tobą nie mam nikogo, komu mógłbym to powiedzieć. Harry... strasznie się boję... nie wiem, co robić. ...Nie wiem, co jeszcze się stanie. Boże, ratuj... Harry, jeśli tam jesteś, odbierz, błagam... Jesteś tam? Chyba nie... Jeszcze zadzwonię”.

– A niech to szlag.

Harry Addison odwiesił samochodowy telefon, po czym nie zdejmując z niego ręki, podniósł ponownie i wcisnął „redial”. Usłyszał tony wybierającego się samoczynnie numeru. Po chwili ciszy odezwał się miarowy sygnał włoskiej sieci telefonicznej.

– No już, Danny, odbieraj...

Po dwunastym sygnale Harry rozłączył się i spojrzał przed siebie; światła samochodów z przeciwka tańczyły hipnotycznie na jego twarzy, aż niemal zapomniał, gdzie jest – w limuzynie z kierowcą, który wiozł go na lotnisko, skąd o dwudziestej drugiej miał odlecieć męczącym nocnym lotem do Nowego Jorku.

W Los Angeles była dziewiąta wieczorem; w Rzymie szósta rano. Gdzie mógł przebywać ksiądz o tak wczesnej porze? Na porannej mszy? Możliwe; pewnie dlatego właśnie nie odbiera.

„Harry, tutaj twój brat Danny... Boję się... Nie wiem, co robić... Boże, ratuj?”

– Jezu Chryste. – Harry czuł jednocześnie bezradność i przyptyk paniki. Od lat nie zamienili ze sobą słowa, nie napisali kartki pocztowej, a teraz głos Danny’ego odezwał się nagle z automatycznej sekretarki, wśród dziesiątków innych. Głos kogoś, kto jest w poważnych opałach.

W nagraniu słysząc było szelest, jakby brat chciał się już rozłączyć, lecz po chwili głos wrócił, przekazując mu numer telefonu i prośbę, żeby zadzwonił „zaraz rano”. Dla Harry’ego „zaraz” było właśnie w chwili, kiedy zaczął odsłuchiwać wiadomości z domowego aparatu. Danny telefonował jednak dwie godziny wcześniej, tuż po dziewiętnastej czasu kalifornijskiego, czyli czwartej rano w Rzymie. Co, u diabła, znaczyło dla niego „rano” o takiej porze?

Sięgnął po telefon i wybrał numer swojej firmy prawniczej w Beverly Hills. Mieli tego dnia ważne zebranie ze wspólnikami; ktoś mógł być jeszcze w biurze.

– Joyce, tu Harry. Czy Byron...?

– Właśnie wyszedł, panie Addison. Mam połączyć z telefonem w aucie?

– Proszę.

W słuchawce rozległy się trzaski, podczas gdy

sekretarka Byrona Willisa przełączała.

– Przykro mi, ale nie odbiera. Mówił coś o kolacji. Mam mu zostawić wiadomość w domu?

Światła za szybą rozmazały się i Harry poczuł przechył limuzyny, gdy kierowca zjechał z Ventura Freeway na ślimak łączący ją z autostradą San Diego, po czym przyśpieszył, kierując się na południe, w stronę lotniska. Wyluzuj się, pomyślał. Danny jest pewnie na mszy albo poszedł na spacer.

Nie doprowadzaj siebie i innych do wariactwa, skoro nawet nie wiesz, co się dzieje.

– Nie, dzięki. Jestem w drodze do Nowego Jorku. Złapię go rano. Dobranoc.

Rozłączywszy się, Harry po chwili wahania ponownie wybrał Rzym. Usłyszał tę samą sekwencję tonów, tę samą ciszę i wreszcie znajomy już sygnał telefonu po drugiej stronie. W dalszym ciągu nikt nie odbierał.

## 2

Włochy.

Piątek, 3 lipca; 10.20

Ojciec Daniel Addison zapadł w płytką drzemkę na fotelu przy oknie kursowego autobusu zmierzającego na północ, autostradą do Asyżu. Starał się koncentrować zmysły na łagodnym pomruku diesla i szumie opon.

Ubrany był po cywilnemu; duchowne szaty i przybory toaletowe miał w niewielkiej torbie, leżącej na półce bagażowej, a okulary i dokumenty spoczywały w wewnętrznej kieszeni nylonowej wiatrówki, która uzupełniała ubiór składający się z dżinsów i koszuli z krótkimi rękawami. Ojciec Daniel miał trzydzieści trzy lata i wyglądał jak świeżo upieczony student, zwyczajny turysta podróżujący samotnie. Tak właśnie chciał wyglądać.

Jako amerykański duchowny skierowany do Watykanu, Daniel Addison spędził w Rzymie dziewięć lat. I niemal od początku swego pobytu jeździł co jakiś czas do Asyżu. Położone wśród umbryjskich wzgórz starożytne miasto, miejsce narodzin pokornego kapłana, który został świętym, obiecywało poczucie oczyszczenia i łaski, dawało okazję do duchowej podróży, głębszej niż w innych znanych mu miejscach.

Teraz jednak duchowy aspekt wyprawy przestał istnieć;

wiara legła w gruzach. Pomieszanie i strach wyparły wszystko inne. Utrzymanie resztek rozsądku w ryzach wymagało psychologicznego znoju. Tak czy inaczej, siedział jednak w autobusie; jechał. Nie miał natomiast pojęcia, co zrobi i powie, kiedy dotrze na miejsce.

Około dwudziestu siedzących przed nim pasażerów gawędziło, czytało lub odpoczywało jak on, ciesząc się chłodem klimatyzowanego wnętrza. Wiejski krajobraz za oknem zalewały fale letniego skwaru, przynoszącego uprawom dojrzałość, winnicom słodycz, a starożytnym murom i fortecom, przesuwanym się raz po raz w oddali, powolne zniszczenie.

Odpywając w drzemkę, ojciec Daniel wrócił myślą do Harry'ego i wiadomości, którą zostawił mu na sekretarce tuż przed świtem. Zastanawiał się, czy brat w ogóle ją odebrał. A jeśli tak, czy wywołała w nim niechęć i czy nie oddzwonił celowo. Wiedział, że takie ryzyko istnieje. Oddalili się od siebie jeszcze jako nastolatki. Od ośmiu lat nie zamienili słowa, a nie widzieli się od dziesięciu. Spotkanie zresztą było krótkie, z okazji pogrzebu matki, na który obaj przyjechali do Maine. Harry miał wtedy dwadzieścia sześć lat, Danny dwadzieścia trzy. Całkiem rozsądna wydawała się więc konkluzja, że po tak długim czasie Harry zdążył już spisać młodszego brata na straty i zwyczajnie miał go gdzieś.

W tej chwili jednak nieważne było, co Harry myśli ani co oddaliło ich od siebie. Jedyne pragnieniem Danny'ego było usłyszeć głos brata, jakoś go poruszyć i

poprosić o pomoc. Zadzwoił do niego powodowany zarówno strachem, jak i miłością, a także dlatego, że nie miał się po prostu do kogo zwrócić. Stał się częścią koszmaru, z którego nie było odwrotu i który mógł jedynie pograżać się coraz bardziej w mroku i ohydzie; mógł sprowadzić nań śmierć, zanim w ogóle zdoła skontaktować się z bratem.

Jakieś poruszenie w przodzie wozu wyrwało go z zadumy.

W jego stronę szedł nieznajomy mężczyzna. Tuż po czterdziestce, starannie ogolony, ubrany w sportową kurtkę i spodnie khaki. Pamiętał, że ten człowiek wsiadł w ostatniej chwili, gdy autobus już ruszał z rzymskiego dworca. Przez moment Danny sądził, że mężczyzna go minie i pójdzie do toalety z tyłu, on jednak zatrzymał się przy jego siedzeniu.

– Pan jest Amerykaninem, prawda? – zapytał z brytyjskim akcentem.

Ojciec Daniel obrzucił spojrzeniem autobus. Reszta pasażerów jechała jak przedtem, wyglądając przez okna, gawędząc, odpoczywając. Najbliżej siedzieli kilka foteli przed nim.

– Tak...

– Tak właśnie myślałem – uśmiechnął się szeroko przybysz. Zachowywał się sympatycznie, wręcz kordialnie. – Moje nazwisko Livermore. Jestem Anglikiem, jeśli pan jeszcze nie poznał po akcencie. Czy mogę się przysiąc? – Nie czekając na odpowiedź,

wśliznął się na siedzenie obok Danny'ego. – Jestem inżynierem drogowym. Przyjechałem do Włoch na urlop, na dwa tygodnie. W przyszłym roku wybieram się do Stanów. Nigdy tam nie byłem. Rozpytuję każdego spotkanego Jankesa, co warto zobaczyć. – Był wygadany, nawet nieco nachalny, lecz miły; taki po prostu miał chyba sposób bycia. – Czy mogę wiedzieć, z jakiej części kraju pan pochodzi?

– Z Maine... – Coś było w tym wszystkim nie tak, ale ojciec Daniel nie był pewien co.

– Na mapie to będzie w górę od Nowego Jorku, prawda?

– Tak, w górę... – Ksiądz ponownie rzucił okiem w głąb autobusu. Pasażerowie zajęci byli swoimi sprawami. Żaden nawet się nie obejrzał. Wrócił spojrzeniem do Livermore'a i zdążył zauważyć, że tamten zerka na wyjście awaryjne przy siedzeniu przed nimi.

– Mieszka pan w Rzymie? – zapytał Anglik przyjaznym tonem.

Dlaczego patrzył na wyjście awaryjne? O co tu chodzi?

– Już pan wie, że jestem Amerykaninem. Skąd ten pomysł, że mieszkam w Rzymie?

– Bywałem tam sporo. Pańska twarz wydała mi się znajoma, tylko tyle. – Prawa ręka Livermore'a spoczywała na podołku, lewej jednak nie było widać. – Czym się pan zajmuje?

Rozmowa robiła wrażenie niewinnej, ale nie była taka.

– Jestem pisarzem...

– Co pan pisze?

– Pracuję dla telewizji amerykańskiej...

– To nieprawda. – Postawa Livermore'a zmieniła się w mgnieniu oka, wzrok mu stwardniał. Pochylił się ku Danielowi, napierając na niego. – Jesteś księdzem.

– Co takiego?

– Mówię, że jesteś księdzem. Pracujesz w Watykanie. Dla kardynała Marsciana.

– Kim pan jest? – spytał Danny, spoglądając na niego.

Pojawiła się nagle lewa ręka Livermore'a, trzymająca mały pistolet maszynowy z tłumikiem.

– Twoim katem.

W tym momencie umieszczony pod autobusem mechanizm zegarowy wskazał 00.00. Ułamek sekundy później rozległa się ogłuszająca eksplozja. Livermore zniknął. Okna powypadały. Fotele i ciała pofrunęły w powietrze. Odłamek ostrej jak brzytwa stali skosił głowę kierowcy i autobus zatoczył się na prawo, przygniatając do barierki białego forda sierzę. Potem odbił się, sunąc w poprzek strumienia pojazdów jak wypełniony ludzkimi wrzaskami ognisty pocisk z płonącej stali i gumy. Zniknął pod nim motocyklista.

Następnie zawadził o tył wielkiej ciężarówki i przewrócił się na bok. Szczepiwszy się ze srebrzystą lanią, autobus całą swą masą runął na środkową barierkę i rzucił ją prosto pod koła nadjeżdżającej cysterny z benzyną.

Kierowca cysterny w gwałtownym odruchu nadepnął na hamulec i szarpnął kierownicą w prawo. Koła

zablokowały się, opony zapiszczały i olbrzymi wóz wpadł w poślizg, odrzucając lancie od płonącego autobusu niczym kulę bilardową i strącając go z autostrady ku stromemu zboczu.

Autobus balansował chwilę na dwóch kołach na krawędzi drogi, po czym stoczył się w przepaść, wyrzucając z siebie w letni krajobraz ciała pasażerów, niektóre okaleczone i płonące. Pięćdziesiąt metrów dalej zatrzymał się, a wokół niego zaczęła z trzaskiem płonąć sucha trawa.

Parę chwil później eksplodował bak; płomień i czarny tuman buchnęły w niebo burzą ognia, która nie ucichła, dopóki z autobusu nie pozostała stopiona, wypalona skorupa ze snującą się nad nią niepozorną, wąską strużką dymu.

### 3

Samolot Delta Airlines;  
lot 148 z Nowego Jorku do Rzymu.  
Poniedziałek, 6 lipca; 7.30

Danny nie żył. Harry leciał do Rzymu, żeby zabrać ciało do Stanów, gdzie brat miał być pochowany. Ostatnia godzina, podobnie jak cały lot, upłynęła mu jak we śnie. W dole przesuwwały się szczyty Alp, muskane porannym słońcem, które zaśnięło później w wodach Morza Tyrreńskiego. Zatoczyli łuk, opadając nad polami Włoch ku rzymskiemu Międzynarodowemu Portowi Lotniczemu Leonarda da Vinci w Fiumicino.

„Harry, tutaj twój brat Danny...”.

Przez cały czas słyszał tylko ten głos, powtarzany przez automatyczną sekretarkę wciąż na nowo, jak z zepsutej płyty. Przerażony, podszyty obłędem, a teraz już milczący.

„Harry, tutaj twój brat, Danny...”.

Odprawiwszy gestem dłoni impertynencko uśmiechniętą stewardesę, która chciała mu dolać kawy, Harry odchylił się na pluszowe oparcie fotela w pierwszej klasie i zamknął oczy, odtwarzając w pamięci wydarzenia minionych dni.

Próbował dodzwonić się do Danny’ego jeszcze dwukrotnie z pokładu samolotu. Potem jeszcze raz z

hotelu. Niestety nikt nie odbierał. Coraz bardziej zaniepokojony, zatelefonował bezpośrednio do Watykanu, w nadziei, że zastanie Danny'ego w pracy. Przełączano go z jednego działu do drugiego, mówiono doń łamaną angielszczyzną i po włosku, aż w końcu dowiedział się, że „ojca Daniela nie będzie tu aż do poniedziałku”.

Dla Harry'ego oznaczało to, że jego brat wyjechał na weekend i, niezależnie od jego stanu psychicznego, był to uzasadniony powód, dla którego mógł nie odbierać telefonów. Pozostawił mu więc wiadomość na sekretarce w domu, podając numer nowojorskiego hotelu na wypadek, gdyby Danny chciał jeszcze dzwonić, tak jak to zapowiedział.

Następnie wrócił, nie bez pewnej ulgi, do codziennych obowiązków i do sprawy, którą miał załatwić w Nowym Jorku – uzgodnić w ostatniej chwili z szefami marketingu i dystrybucji Warner Bros pewne kwestie przewidzianej na weekend czwartego lipca premiery filmu „Dog on the Moon”, typowanego przez wytwórnię na przebój lata. Była to historia psa wysłanego na Księżyc w ramach eksperymentu NASA i przez przypadek tam pozostawionego, oraz chłopców z Małej Ligi, którzy się o tym dowiadują i postanawiają go uratować. Scenarzystą i reżyserem był klient Harry'ego, dwudziestoczteroletni Jesus Arroyo.

Harry Addison, jako kawaler i mężczyzna równie przystojny jak jego sławni klienci, był jedną z najbardziej pożądanych partii w branży filmowej i jednocześnie

jednym z najbardziej błyskotliwych jej prawników. Jego firma reprezentowała śmietankę najbogatszych hollywoodzkich talentów. Ich lista pokrywała się z obsadą gwiazd i twórców najbardziej kasowych filmów i seriali telewizyjnych ostatnich pięciu lat. Przyjaźnił się z wieloma spośród tych, których twarze spoglądały co tydzień z okładek wielkonakładowych czasopism.

Sukces – jak stwierdzono to ostatnio w „Variety”, branżowym dzienniku Hollywood – zawdzięczał Addison „połączeniu bystrości i ciężkiej pracy z temperamentem, wyróżniającym go znacząco na tle młodego pokolenia wojowniczych agentów, dla których słowo »transakcja« jest wszystkim, a których hasło brzmi: »nie brać jeńców«. Harry Addison, ubrany zawsze w białą koszulę i ciemnobłękitny garnitur od Armaniego, odzież stanowiącą niemal jego znak firmowy, ostrzyżony w stylu Ivy League, wyznaje zasadę, że najkorzystniejsze są takie rozwiązania, przy których żadna ze stron nie wykrwawia się na śmierć. Dlatego transakcje zawsze mu się udają, klienci go kochają, a studia i sieci telewizyjne szanują; dlatego też zarabia okrągły milion dolarów rocznie”.

Teraz to wszystko nagle przestało cokolwiek znaczyć.

Wszystko przesłoniła śmierć brata. Był w stanie myśleć jedynie o tym, co mógł zrobić, żeby pomóc Danny’emu, a czego nie zrobił. Zadzwoić do ambasady amerykańskiej albo do włoskiej policji, żeby ktoś poszedł do jego mieszkania? Nawet nie znał adresu. Dlatego właśnie, gdy pierwszy raz usłyszał wiadomość Danny’ego w

limuzynie, chciał skontaktować się z Byronem Willisem, swoim szefem, mentorem i najlepszym przyjacielem. Chciał zapytać, kogo znają w Rzymie, kto mógłby mu pomóc. Nie zapytał, bo się nie dodzwonił. Gdyby jednak kogoś w Rzymie znaleźli, czy Danny żyłby jeszcze? Odpowiedź najpewniej brzmiała „nie”, ponieważ i tak by nie zdążyli.

Chryste.

Ile razy przez te wszystkie lata spróbował się skomunikować z bratem? Krótco po śmierci matki wymieniali jeszcze kartki świąteczne i urodzinowe. Potem zapomniał raz czy drugi, a później nie było już nic. Zajęty swoim życiem i karierą, Harry pozostawił sprawy własnemu biegowi, akceptując ich wzajemną relację taką, jaką była. Bardzo się od siebie różnili. Odnosili się do siebie gniewnie, czasem wręcz wrogo, żyjąc na przeciwległych krańcach świata. Każdy z osobna zastanawiał się czasami, w rzadkich chwilach spokojnego namysłu, czy to właśnie on powinien być tym, z którego inicjatywy znów się odnajdą. I dalej nic się nie działo.

A potem, gdy w sobotni wieczór świętował w nowojorskiej siedzibie Warnera znakomite wyniki „Dog on the Moon” – dziewiętnaście milionów przez samą sobotę, co mogło oznaczać trzydzieści osiem do czterdziestu dwóch na koniec weekendu – zatelefonował z Los Angeles Byron Willis. Ktoś z archidiecezji katolickiej w Los Angeles szukał Harry’ego, ale nie chciał zostawiać wiadomości w hotelu. Dotarli do Willisa przez biuro i

Byron postanowił zadzwonić sam.

Danny nie żyje, oznajmił zduszonym głosem; zginął od eksplozji bomby w autobusie jadącym do Asyżu, prawdopodobnie na skutek zamachu terrorystycznego. W emocjonalnym kociokwiku zaraz po telefonie Harry odwołał powrót do Los Angeles i zarezerwował miejsce na lot do Włoch w niedzielę wieczorem. Chciał pojechać po Danny'ego i osobiście przywieźć go do domu. Już tylko tyle mógł dla niego zrobić.

W niedzielę rano skontaktował się z Departamentem Stanu, prosząc, by ambasada w Rzymie załatwiła mu spotkanie z prowadzącymi śledztwo w sprawie eksplozji. Danny był przerażony i skołowany; być może to, co mówił przez telefon, rzuci jakieś światło na całe zdarzenie i jego sprawców. Następnie, po raz pierwszy odkąd sięgał pamięcią, Harry udał się do kościoła. Modlił się i płakał.

## 4

Usłyszał odgłos wysuwającego się podwozia. Za oknem ujrzał zbliżający się pas startowy i umykający w tył wiejski krajobraz. Pola, kanały melioracyjne, znów pola. Potem podskok i już byli na ziemi. Zwalniali, zakręcali, kołowali w stronę długiego, skąpanego w słońcu budynku Aeroporto Leonardo da Vinci.

Umundurowana kobieta w okienku kontroli paszportowej poprosiła, żeby chwilę poczekał, i podniosła słuchawkę telefonu. Harry czekał, obserwując swoje odbicie w szybie.

Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur od Armaniego i białą koszulę; wyglądał jak z opisu w „Variety”. W walizce miał drugi garnitur i koszulę, a także lekki sweter, kostium gimnastyczny, koszulkę polo, dżinsy i buty do biegania.

Wszystko, co zabrał ze sobą do Nowego Jorku.

Kobieta skończyła rozmowę i spojrzała na niego. Chwilę później podeszło do niej dwóch policjantów z zawieszonymi na ramieniu uzi. Jeden obejrzał paszport Harry’ego i kazał mu przechodzić.

– Proszę pójść z nami, dobrze?

– Oczywiście.

Kiedy ruszyli, Harry spostrzegł, że pierwszy z policjantów opuścił pistolet i trzymał go teraz za uchwyt.

Gdy weszli do terminalu, przyłączyło się do nich natychmiast dwóch kolejnych policjantów w mundurach. Pasażerowie szybko usuwali się im z drogi i dopiero z bezpiecznej odległości oglądali się przez ramię.

Na drugim końcu hali przystanęli przed drzwiami z szyfrowym zamkiem. Jeden z funkcjonariuszy wystukał kod na chromowanej klawiaturze. Usłyszeli brzęczyk i mężczyzna pchnął drzwi. Przeszli schodami na górę i skręcili w jakiś korytarz. Po chwili zatrzymali się przed kolejnymi drzwiami.

Policjant zapukał i wkroczyli do pokoju bez okien, w którym czekało dwóch mężczyzn w garniturach. Jeden z nich wziął paszport Harry'ego i mundurowi wyszli, zamykając za sobą drzwi.

– Pan jest Harry Addison...

– Tak.

– Brat ojca Daniela Addisona z Watykanu.

Harry skinął głową.

– Dziękuję, że wyszliście panowie na lotnisko...

Mężczyzna, który trzymał jego paszport, miał jakieś czterdzieści pięć lat, był wysoki, opalony, wyglądał na wysportowanego. Ubrany był w niebieski garnitur, jasnoniebieską koszulę i kasztanowy krawat. Mówił po angielsku z ciężkim włoskim akcentem, lecz zrozumiale. Drugi, nieco starszy, dorównywał tamtemu wzrostem, ale był lżejszej budowy i szpakowaty. Miał kraciastą koszulę, a garnitur i krawat w kolorze jasnobrązowym.

– Ispettore Capo Otello Roscani, Polizia di Stato. To

jest Ispettore Capo Pio.

– Witam panów.

– Po co pan przyjechał do Włoch, panie Addison?

Harry był zaskoczony. Wiedzieli przecież po co; inaczej by się z nim nie spotkali.

– Żeby zabrać ciało brata do Ameryki. I porozmawiać z panami.

– Kiedy zaplanował pan wyjazd do Rzymu?

– W ogóle go nie planowałem...

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– W sobotę wieczorem.

– Nie wcześniej?

– Wcześniej? Oczywiście, że nie.

– Czy rezerwował pan bilet osobiście? – Po raz pierwszy odezwał się Pio. Mówił niemal bez akcentu, jakby był Amerykaninem albo spędził wiele czasu w Stanach.

– Tak.

– W sobotę?

– W sobotę wieczór. Mówiłem już. – Harry spoglądał to na jednego, to na drugiego. – Nie rozumiem tych pytań.

Wiedzieliście przecież, że przyjadę. Prosiłem ambasadę amerykańską, żeby mi załatwili spotkanie z wami.

– Chcielibyśmy pana prosić, żeby pan udał się z nami do Rzymu, panie Addison – powiedział Roscani, chowając paszport Harry’ego do kieszeni.

– Po co? Możemy porozmawiać tutaj. Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. – Harry poczuł nagle, że pocą mu

się dłonie. Coś jeszcze mieli w zanadru. Co to mogło być?

– Pozwoli pan, że to my będziemy decydować, panie Addison.

– Co się tutaj dzieje? Co przede mną ukrywacie? – zapytał, próbując wyczytać coś z ich twarzy.

– Chcemy po prostu jeszcze z panem porozmawiać.

– Ale o czym?

– O zamordowaniu kardynała wikariusza Rzymu.

Umieścili walizkę Harry’ego w bagażniku, po czym jechali przez czterdzieści pięć minut w całkowitym milczeniu, nie wymieniwszy między sobą słowa ani spojrzenia. Za kierownicą szarej alfy romeo usiadł Pio, a Roscani z tyłu, obok Harry’ego. Pędzili autostradą z lotniska w kierunku starego miasta, mijając przedmiejskie dzielnice Magliana i Portuense, a potem jadąc wzdłuż Tybru i na drugi brzeg. Minęli Koloseum i znaleźli się w sercu Rzymu.

Questura, komenda główna policji, mieściła się w zabytkowym budynku z piaskowca i granitu przy Via di San Vitale, wąskiej brukowanej uliczce w bok od Via Genova, która z kolei była przecznicą śródmiejskiej Via Nazionale.

Główne wejście prowadziło pod łukowatym portalem strzeżonym przez umundurowanych funkcjonariuszy i kamery.

Tędy właśnie wjechali, a kiedy Pio wprowadzał alfę na wewnętrzny dziedziniec, mundurowi unieśli ręce w

salucie.

Pio wysiadł pierwszy i poprowadził ich do środka, gdzie minęli wielką oszkloną dyżurkę, w której siedzieli oficerowie w mundurach, obserwujący nie tylko wchodzących, lecz także rząd monitorów. Następnie jasno oświetlonym korytarzem dotarli do windy.

Gdy winda ruszyła do góry, Harry popatrzał na obu mężczyzn, a potem wbił wzrok w podłogę. Droga z lotniska zamazała się w jego świadomości, a wrażenie pogorszyło jeszcze milczenie obu inspektorów. Miał jednak dzięki temu czas, żeby spróbować się zastanowić nad wydarzeniami i przyczyną zachowania się policjantów.

Kardynał wikariusz Rzymu został zamordowany osiem dni wcześniej przez zabójcę strzelającego z okna mieszkania – była to zbrodnia analogiczna do zabicia w Stanach prezydenta lub innej wybitnej osobistości. Wiedział na ten temat tylko tyle, ile podały media, jak miliony innych ludzi.

Rozumowanie, że śmierć Danny'ego w wybuchu jakoś się z tym łączyła, było jednak oczywiste, wręcz logiczne. Szczególnie wzięwszy pod uwagę treść jego telefonu do Harry'ego.

Był watykańskim duchownym, a zamordowany kardynał jedną z czołowych osobistości Kościoła. Policja zaś usiłowała się dowiedzieć, czy pomiędzy zabójcą kardynała i sprawcami eksplozji istnieje jakiś związek. I być może takowy istniał.

Ale jakiej wiedzy na ten temat spodziewali się po nim?

Moment rzeczywiście był fatalny; rzymska policja pozostawała w stanie szoku, ponieważ ta głośna i odrażająca zbrodnia wydarzyła się w jej mieście, pod jej okiem i na oczach telewizyjnych kamer. Oznaczało to, że środki przekazu będą się bacznie przyglądać każdemu szczegółowi dochodzenia, co jeszcze potęgowało napięcie emocjonalne funkcjonariuszy. Najlepiej będzie, uznał Harry, nie zważać na własne uczucia i po prostu odpowiadać na pytania najlepiej jak się da. Nie wiedział niczego ponad to, co chciał im powiedzieć od początku, a czego i tak wkrótce by się dowiedzieli.

## 5

– Od kiedy jest pan członkiem partii komunistycznej, panie Addison? – Roscani pochylił się do przodu nad swoim notatnikiem.

– Partii komunistycznej?

– Tak.

– Z całą pewnością nie jestem członkiem partii komunistycznej.

– Od kiedy należał do niej pański brat?

– Nic nie wiem o tym, żeby w ogóle do niej należał.

– Zaprzecza pan, że brat był komunistą?

– Nie zaprzeczam niczemu. Ale jako osoba duchowna zostałby przecież ekskomunikowany...

Harry wprost nie mógł w to uwierzyć. O co tu chodziło?

Miał ochotę wstać i zapytać, skąd oni biorą takie pomysły i o czym w ogóle, do diabła, mówią. Lecz nie wstał. Siedział dalej na krześle pośrodku wielkiego pokoju w Questurze, usiłując nie tracić opanowania i współpracować z przesłuchującymi.

Przed nim stały dwa biurka, zsunięte pod kątem prostym.

Za jednym siedział Roscani. Przed sobą miał ekran komputera, upstrzony barwnymi znaczkami ikon; obok stało zdjęcie jego żony z trzema nastoletnimi synami. Przy drugim biurku siedziała atrakcyjna kobieta o długich

rudych włosach, wpisująca, niczym stenotypistka w sądzie, każde ich słowo do drugiego komputera. Stukot klawiatury rozlegał się stłumionym staccato na tle głośnego warkotu wiekowego klimatyzatora, umieszczonego pod jedynym oknem. Przy oknie stał Pio, oparty o ścianę, z rękami założonymi na piersi i twarzą bez wyrazu.

– Proszę nam opowiedzieć o Miguelu Valerze. – Roscani zapalił papierosa.

– Nie znam żadnego Miguela Valery.

– Był bliskim przyjacielem pańskiego brata.

– Nie znam przyjaciół mojego brata.

– Nigdy o nim nie wspominał? – Detektyw zapisał coś w notesie.

– Nie mnie.

– Jest pan pewien?

– Inspektorze, nie utrzymywaliśmy z bratem bliskich stosunków... Nie rozmawialiśmy ze sobą od lat...

Roscani spoglądał na niego przez chwilę, po czym odwrócił się do komputera i dotknął czegoś na ekranie. Poczekał, aż pojawi się żądana informacja, i znów zwrócił się do Harry'ego.

– Numer pańskiego telefonu to trzysta dziesięć – pięćset pięćdziesiąt pięć-tysiąc siedemset dziewiętnaście.

– Tak jest... – Ostrzegawcza antena Harry'ego nagle wysunęła się do góry. Jego telefon był zastrzeżony. Oczywiście mogli go zdobyć, ale po co?

– Brat dzwonił do pana w ostatni piątek o czwartej

piętnaście czasu rzymskiego.

Więc o to chodzi. Założyli Danny'emu podsłuch.

– Dzwonił, to prawda. Ale nie było mnie w domu.

Nagrał się na automatyczną sekretarkę.

– Nagrał? Ma pan na myśli, że zostawił wiadomość?

– Tak.

– Co powiedział?

Harry założył nogę na nogę, policzył do pięciu i spojrzał na Roscaniego.

– O tym właśnie chciałem z wami rozmawiać od samego początku.

Roscani milczał, czekając na jego dalsze słowa.

– Był przerażony. Powiedział, że nie wie, co robić. I że nie wie, co się jeszcze wydarzy.

– Co miał na myśli mówiąc „co się jeszcze wydarzy”?

– Nie wiem. Nie powiedział tego.

– Co jeszcze mówił?

– Przeprosił, że dzwoni w taki sposób. I że zadzwoni jeszcze raz.

– I zadzwonił?

– Nie.

– Czego się tak bał?

– Nie wiem. W każdym razie wystarczyło to, żeby się zdecydował odezwać po ośmiu latach.

– Nie rozmawialiście ze sobą od ośmiu lat?

Harry skinął głową.

Roscani i Pio wymienili spojrzenia.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Na pogrzebie matki, jeszcze dwa lata wcześniej.
  - Nie rozmawiał więc pan z bratem od tak dawna, I nagle dzwoni do pana, a niedługo potem ginie.
  - Tak...
  - Czy istniał jakiś konkretny powód tego, że nie utrzymywaliście stosunków?
  - Jakieś konkretne zdarzenie? Nie. Pewne sprawy narastają latami.
  - Dlaczego więc zadzwonił akurat do pana?
  - Powiedział... że nie ma się do kogo z tym zwrócić. Roscani i Pio znów spojrzeli po sobie.
  - Chcielibyśmy wysłuchać tej wiadomości. Z pańskiej sekretarki automatycznej.
  - Wymazałem ją.
  - Dlaczego?
  - Bo taśma była pełna. Nic więcej już by się nie nagrało.
  - W takim razie nie istnieje dowód na to, że dostał pan tę wiadomość. A także na to, że pan ani nikt inny w pańskim domu nie rozmawiał z bratem osobiście.
- Harry wyprostował się gwałtownie.
- Co mi pan chce w ten sposób powiedzieć?
  - To, że nie wiadomo, czy pan nie kłamie.
  - Po pierwsze, kiedy brat dzwonił, nikogo nie było w domu – odparł, tłumiąc w sobie gniew. – Po drugie, ja w tym czasie byłem w studio w Burbank, w Kalifornii, rozmawiając o kontrakcie pewnego scenarzysty i reżysera, którego reprezentuję. I o premierze jego nowego filmu.

Dla pańskiej informacji, odbyła się ona w ten weekend.

– Jak brzmi tytuł tego filmu?

– ”Dog on the Moon” – odparł apatycznie Harry.

Rosciani spoglądał nań przez chwilę, po czym podrapał się po głowie i znów zapisał coś w notatniku.

– A jak się nazywa ten reżyser? – spytał, nie podnosząc wzroku.

– Jesus Arroyo.

Teraz Rosciani uniósł głowę.

– Hiszpan?

– Latynoamerykanin. A dla pana Meksykanin. Urodzony i wychowany we wschodnim Los Angeles. – W Harrym wzbierała złość. Naciskali na niego, sami niczego nie ujawniając. Zachowywali się tak, jakby nie tylko Danny, lecz także i on był czegoś winny.

Rosciani zdusił papierosa w popielniczce przed sobą.

– Dlaczego pański brat zamordował kardynała Parmę?  
– zapytał.

– Co takiego? – Harry był zaskoczony, kompletnie zbity z tropu.

– Dlaczego pański brat zabił Rosaria Parmę, kardynała wikariusza Rzymu?

– To absurd! – Harry spojrzał na Pia. Tamten nie zmienił pozycji, wciąż stał oparty o ścianę, z rękami założonymi na piersi.

Rosciani wyjął kolejnego papierosa i trzymał go w palcach.

– Ojciec Daniel, nim został duchownym, służył w

Marine Corps, prawda?

– Tak. – Harry był wciąż oszołomiony; usiłował pojąć ogrom oskarżenia. Nie potrafił zebrać myśli.

– Szkolił się w elitarnej jednostce. Był wyróżniającym się strzelcem wyborowym.

– Wyróżniających się strzelców wyborowych jest tysiące.

Przecież był księdzem, na Boga!

– Księdzem, który potrafił trzykrotnie, raz za razem, strzelić w pierś człowieka z odległości dwustu metrów. – Rosciani wpatrywał się w Harry’ego. – Pański brat był wyśmienitym strzelcem. Wygrywał zawody. Znamy jego wyniki, panie Addison.

– To jeszcze nie czyni z niego mordercy.

– Zapytam pana ponownie o Miguela Valerę.

– Powiedziałem już, że nigdy o nim nie słyszałem.

– Sądzę, że jednak pan słyszał...

– Nie, nigdy w życiu. Dopóki pan o nim nie wspomniał.

Palce stenotypistki biegały jednostajnie po klawiaturze, zapisując wszystko – każde zdanie Roscaniego i każdą wypowiedź Harry’ego, co do słowa.

– W takim razie powiem panu. Miguel Valera był hiszpańskim komunistą z Madrytu. Wynajął mieszkanie na Piazza San Giovanni na dwa tygodnie przed zamachem.

Z okna tego mieszkania padły strzały, od których zginął kardynał Parma. Gdy się w nim zjawiliśmy, Valera jeszcze tam był. Wisiał na pasku, na rurze w łazience. –

Roscani postukał papierosem o blat, zbijając tytoń. – Czy wie pan, co to jest Sako TRG dwadzieścia jeden, panie Addison?

– Nie.

– To karabin snajperski produkcji fińskiej. Broń, z jakiej zabito kardynała Parmę. Znalaziono ją za kanapą w tym mieszkaniu, owiniętą w ręcznik. Z odciskami palców Valery.

– Tylko jego...?

– Tak.

Harry odchylił się na krześle, zaplótł ręce na piersi i wbił wzrok w Roscaniego.

– To dlaczego oskarżacie o to morderstwo mojego brata?

– W tym mieszkaniu był ktoś jeszcze, panie Addison.

Ktoś w rękawiczkach. Ktoś, kto chciał, żebyśmy myśleli, że Valera działał sam. – Detektyw powoli włożył papierosa do ust, zapalił i trzymał w palcach płonąca zapalną. – Ile kosztuje taki karabin Sako TRG dwadzieścia jeden?

– Nie mam pojęcia.

– Około czterech tysięcy dolarów amerykańskich, panie Addison. – Roscani zgasił zapalną, obracając ją kciukiem i palcem wskazującym, i wrzucił do popielniczki.

– Za mieszkanie płacono pięćset dolarów tygodniowo.

Valera płacił osobiście, gotówką... Miguel Valera był komunistą przez całe życie. Zawodowo trudnił się kamieniarstwem i nie narzekał na nadmiar pracy. Miał

żonę i pięcioro dzieci, które z ledwością był w stanie wyżywić i ubrać.

– Chce pan powiedzieć, że tą drugą osobą w mieszkaniu był mój brat? – Harry spoglądał nań z niedowierzaniem. – Że to on kupił karabin i dawał Valerze pieniądze na czynsz?

– Jakżeby mógł, panie Addison? Przecież był księdzem.

Dostawał od Kościoła tylko niewielkie uposażenie. Nie miał nawet konta w banku.... Skąd mógłby wziąć cztery tysiące dolarów na taki karabin. Albo choćby tysiąc na wynajęcie mieszkania.

– Sam pan sobie zaprzecza, inspektorze. Mówi mi pan, że jedyne odciski palców na broni należały do Valery, a jednocześnie chce pan, żebym uwierzył, iż to mój brat pociągał za spust. A potem dokładnie pan tłumaczy, dlaczego nie było go stać ani na mieszkanie, ani na karabin. O co panu właściwie chodzi?

– Pieniądze pochodziły z innego źródła, panie Addison.

– Z jakiego? – Harry spojrzał gniewnie na Pia, a potem na Roscaniego.

Detektyw patrzył nań przez chwilę, a potem uniósł prawą rękę z wciąż dymiącym pomiędzy palcami papierosem, którym wskazał prosto na Harry'ego.

– Od pana.

Harry poczuł suchość w ustach. Chciał przełknąć, lecz nie mógł. To dlatego zadbali o to, żeby spotkać go już na lotnisku, żeby go przywieźć do Questury. Cokolwiek się wydarzyło, Danny był w tej sprawie głównym

podejrzanym i usiłowali połączyć to także z nim. Nie pozwoli im na to.

Wstał raptownie, odsuwając krzesło.

– Chcę zadzwonić do ambasady amerykańskiej. Natychmiast.

– Powiedz mu – rzekł Roscani po włosku.

Pio oderwał się od okna i przeszedł przez pokój.

– Wiedzieliśmy, że pan przyjeżdża do Rzymu – powiedział. – Wiedzieliśmy też, którym samolotem, ale nie z powodów, o których pan myśli. – Pio zachowywał się swobodniej od Roscaniego, widać to było w jego postawie, w rytmie jego słów; a może robił tylko takie wrażenie, ponieważ mówił prawie jak Amerykanin. – W niedzielę poprosiliśmy o pomoc FBI. Zanim się dowiedzieli, gdzie pan jest, już pan leciał do Włoch. – Detektyw przysiadł na biurku Roscaniego. – Jeżeli chce pan skontaktować się z ambasadą, ma pan do tego pełne prawo. Proszę jednak zrozumieć, że kiedy pan to uczyni, wkrótce czeka pana rozmowa z LEGATAMI.

– Nie bez obecności prawnika. – Harry wiedział, co znaczy skrót LEGAT. Legał attache, attache do spraw prawnych, czyli agent FBI do zadań specjalnych, przydzielony do ambasady Stanów Zjednoczonych, współpracujący w charakterze oficera łącznikowego z miejscową policją. Ta groźba jednak była teraz bez znaczenia. Choć przytłoczony i zszokowany, nie miał zamiaru pozwolić, by ktokolwiek, czy to rzymska policja, czy FBI, przesłuchiwał go w taki sposób, dopóki nie

będzie miał u boku kogoś dobrze obeznanego z włoskim prawem karnym.

– Richieda un mandat o di cattura. – Roscani spojrzął na Pia.

– Proszę mówić po angielsku – rzucił gniewnie Harry.

Roscani wstał i obszedł biurko.

– Powiedziałem mu, żeby przyniósł nakaz aresztowania – oznajmił.

– Pod jakim zarzutem?

– Chwileczkę. – Pio spojrzął na Roscaniego i skinął głową ku drzwiom. Roscani zignorował go i wciąż wpatrywał się w Harry'ego; zachowywał się tak, jakby to Harry osobiście zamordował kardynała Parmę.

Pio odciągnął go na bok i powiedział coś po włosku.

Roscani zawahał się. Pio dodał coś jeszcze. Roscani ustąpił i obaj wyszli.

Harry patrzył, jak zamykają się za nimi drzwi, po czym się odwrócił. Długowłosa stenotypistka przyglądała mu się ciekawie. Ignorując ją, wstał i podszedł do okna. Przynajmniej było to jakieś zajęcie. Przez grubą szybę zobaczył ceglany budynek naprzeciwko i brukowaną uliczkę w dole.

Na jej końcu widniała budowla wyglądająca jak remiza strażacka; jemu skojarzyła się z więzieniem.

W co, do ciężkiej cholery, wdepnął? A jeżeli oni mieli rację i Danny rzeczywiście był zamieszany w zabójstwo? Nie, to szaleństwo. Ale czy na pewno? Jako nastolatek Danny bywał na bakier z prawem. Niezbyt poważnie, lecz

zdarzało się to, jak wielu narwanym chłopakom w jego wieku. Drobne kradzieże, chuligaństwo, bójki; ogólnie biorąc, szukanie guza. Dlatego między innymi poszedł do marines, żeby się trochę zdyscyplinować. Ale to było tyle lat temu; w chwili śmierci był już dojrzałym mężczyzną i od długiego czasu księdzem. Nie sposób było wyobrazić go sobie jako zabójcę.

A jednak – Harry nie chciał o tym myśleć, lecz trudno było zaprzeczyć – w marines nauczył się, jak to robić. No i ten telefon. A może to wtedy właśnie telefonował? A może zrobił to i nie miał z kim o tym porozmawiać?

Rozległ się odgłos otwieranych drzwi i do pokoju wkroczył Pio, sam. Harry spojrzął za jego plecy, oczekując pojawienia się Roscaniego, lecz nikt więcej nie wszedł.

– Czy ma pan rezerwację w jakimś hotelu, panie Addison? – zapytał policjant.

– Tak.

– W którym?

– W Hasslerze.

– Każę odesłać tam pański bagaż. – Pio wyciągnął z kieszeni marynarki paszport Harry’ego i oddał mu go. – Będzie panu potrzebny przy zameldowaniu.

– Jestem wolny...?

– Na pewno jest pan zmęczony, ze zgryzoty i po długim locie – uśmiechnął się łagodnie Pio. – No i po spotkaniu z policją, którego raczej się pan nie spodziewał. Z naszego punktu widzenia być może niezbędnym, lecz niezbyt

sympatycznym. Chciałbym panu wytłumaczyć, co się stało i co się dzieje. W cztery oczy, panie Addison... Na końcu ulicy jest spokojna knajpka. Lubi pan chińszczyznę?

Harry wpatrywał się w niego. Zły glina, dobry glina.

Całkiem jak w Stanach. Teraz tym dobrym był Pio, prawie jak kumpel. Dlatego przesłuchanie prowadził Roscani. Było jednak dla niego jasne, że jeszcze z nim nie skończyli, tylko prowadzą teraz grę inaczej. Co znaczyło, że koniec końców nie miał wyboru.

– Tak – odpowiedział wreszcie. – Lubię chińszczyznę.

## 6

„Wesołych Świąt życzą Addisonowie”.

Harry wciąż miał przed oczami kartkę świąteczną zrobioną ze zdjęcia: w tle ubrana choinka, a na pierwszym planie upozowana cała rodzina; wszyscy w mikołajowych czapkach, z przyklejonymi uśmiechami.

Gdzieś w domu miał w jakiejś szufladzie odbitkę o wyblakłych już, niemal pastelowych kolorach. Wtedy spotkali się w komplecie po raz ostatni. Matka i ojciec mieli po trzydzieści kilka lat. On miał jedenaście, Danny osiem, a Madeline prawie sześć. Pierwszego stycznia obchodziła szóste urodziny, a dwa tygodnie później już nie żyła.

Było niedzielne popołudnie, jasne, przejrzyste i bardzo mroźne. Bawili się z Dannym i Madeline na zamrzniętej sadzawce koło domu. Niedaleko grali w hokeja starsi chłopcy. Kilku pędziło właśnie ku nim, w pogoni za krążkiem.

Do dziś pamiętał ostry trzask pękającego lodu, niczym wystrzał z pistoletu. Ujrzał, że hokeiści zatrzymują się w miejscu. A potem lód pod Madeline po prostu się załamał.

Nie wydawszy z siebie nawet okrzyku, poszła od razu pod wodę. Harry wrzasnął do Danny'ego, żeby biegł po pomoc, a sam zrzucił kurtkę i wskoczył za siostrą do wody. Lecz nie zobaczył niczego, tylko lodowatą czerń.

Kiedy strażacy-nurkowie ją wydostali, zapadał już

zmrok, niebo nad bezlistnymi drzewami znaczyła tylko smuga czerwieni.

Harry i Danny czekali z rodzicami i księdzem, stojąc na śniegu. Strażacy nadchodzili po łodzie. Ich dowódca, wysoki mężczyzna z wąsami, wziął od nurków ciało Madeline, owinał je w koc i niósł na rękach, idąc przodem.

Zgromadzeni wzdłuż brzegu w bezpiecznej odległości hokeiści, ich rodzice, bracia, siostry i obcy gapie przyglądali się temu w milczeniu.

Harry przesunął się do przodu, lecz ojciec chwycił go mocno za ramię i przytrzymał. Szef strażaków dotarł do brzegu i zatrzymał się, a wówczas ksiądz odmówił pożegnalną modlitwę, nie odwijając koca. Kiedy skończył, dowódca wraz z nurkami, wciąż odzianymi w kombinezony z butlami tlenowymi, przeszli do miejsca, gdzie stała biała karetka.

Madeline włożono do środka, drzwi się zamknęły i karetka odjechała w mrok.

Harry wpatrywał się w czerwone punkciki jej tylnych świateł, dopóki nie zniknęły w mroku. W końcu odwrócił się. Danny patrzył na niego; trzęsący się z zimna ośmiolatek.

– Madeline umarła – powiedział, jak gdyby usiłując to zrozumieć.

– Tak... – wyszeptał Harry.

Była niedziela, piętnasty stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. W Bath, w stanie

Maine.

Pio miał rację. Ristorante Cinese Yu Yuan na Via delle Quattro Fontane była spokojną knajpką przy końcu ulicy.

W każdym razie spokojnie było tam, gdzie usiedli, przy lakierowanym stoliku w głębi, z dala od drzwi wejściowych z czerwoną latarnią i strumienia przedpołudniowych gości.

Na stoliku stała duża butelka wody mineralnej i czajnik z herbatą.

– Wie pan, co to jest semtex, panie Addison?

– Materiał wybuchowy.

– Cyklopropan, czteroazotan pentaerytrytu i plastik. Po wybuchu pozostają wykrywalne produkty spalania azotanu oraz cząsteczki plastiku. Semtex rozrywa metal na drobne kawałki. Nim właśnie wysadzono autobus jadący do Asyżu.

Eksperci ustalili to dziś rano, a do publicznej wiadomości podamy to po południu.

Harry wiedział, że Pio przekazuje mu informację zastrzeżoną, spełniając część swej obietnicy. Ale nie mówiło mu to nic w kwestii oskarżenia Danny'ego. Pio robił to samo, co Rosciani, ujawniając tylko tyle, żeby rozmowa toczyła się dalej.

– No to już wiecie, czym wysadzono autobus. A czy wiecie, kto to zrobił?

– Nie.

– Czy celem był mój brat?

– Nie wiadomo. W tej chwili wiemy na pewno jedynie to, że prowadzimy dwa odrębne śledztwa. W sprawie zamordowania kardynała i w sprawie eksplozji autobusu.

Starszawy chiński kelner podszedł do nich, spojrzął na Harry'ego, a z Piem wymienił po włosku uprzejmości. Pio zamówił dla obu, nie zaglądając do karty, a kelner klasnął w dłonie, skłonił się żwawo i odszedł. Detektyw zwrócił się znów do Harry'ego.

– W Watykanie jest, a raczej było, pięciu wysoko postawionych duchownych; najbliższych doradców papieża.

Kardynał Parma był jednym z nich. Kardynał Marsciano także... – Pio nalał sobie do szklanki wody mineralnej, czekając na reakcję Harry'ego, która jednak nie nastąpiła. – Wiedział pan, że brat był osobistym sekretarzem Marsciana, prawda?

– Nie...

– To stanowisko dawało mu bezpośredni wgląd w wewnętrzne sprawy Stolicy Apostolskiej. Między innymi w rozkład zajęć papieża. Gdzie, kiedy, na jak długo... Kogo będzie gościł. W jakim budynku się znajdzie, którędy wejdzie i wyjdzie. Wszystko, co związane z bezpieczeństwem. Czy będzie tylko Gwardia Szwajcarska, czy również Straż Porządkowa, czy jedni i drudzy. W jakiej sile... czy ksiądz Daniel nigdy nie wspominał o tych sprawach?

– Mówiłem już, nie byliśmy ze sobą blisko.

Pio przyglądał mu się z uwagą.

– Dlaczego?

Harry nie odpowiedział.

– Nie rozmawiał pan z bratem od ośmiu lat. Co było tego przyczyną?

– Nie ma sensu się w to zagłębiać.

– Przecież to proste pytanie.

– Mówiłem już. Pewne rzeczy narastają latami. To stare historie. Sprawy rodzinne; nudne, żadnych morderstw.

Pio przez chwilę siedział bez ruchu, po czym podniósł szklankę i upił łyk wody.

– Jest pan w Rzymie po raz pierwszy, panie Addison?

– Tak.

– Czemu akurat teraz?

– Chcę zabrać jego ciało do Stanów... Tylko tyle. O tym też już mówiłem.

Harry czuł, że tamten zaczyna naciskać, tak jak przedtem Rosciani, że szuka jakiegoś punktu zaczepienia. Może sprzeczności w jego odpowiedziach lub odwrócenia wzroku czy zawahania. Czegoś, co potwierdziłoby, że Harry coś ukrywa albo w żywe oczy kłamie.

– Ispettore Capo! – Nadszedł kelner, uśmiechnięty jak przedtem. Zrobił miejsce na stoliku i ustawił przed nimi cztery parujące półmiski, trajkocząc coś po włosku.

Harry zaczekał, aż skończy, a kiedy tamten zniknął, spojrzał wprost na Pia.

– Powiedziałem panu prawdę. Mówiłem wam prawdę od samego początku. Niech pan teraz dotrzyma obietnicy i powie mi wreszcie, dlaczego uważacie, że mój brat był

zamieszany w zabójstwo kardynała?

Z półmisków unosiła się para i Pio zachęcił gestem Harry'ego, żeby jadł. Harry pokręcił głową.

– No dobrze. – Detektyw wyjął z kieszeni marynarki złożony papier i podał go Harry'emu. – Policja madrycka znalazła to w mieszkaniu Valery. Proszę się dobrze przyjrzeć.

Harry rozwinął kartkę. Była to powiększona fotokopia strony z czyjegoś notatnika z telefonami. Nazwiska i adresy wypisano odręcznie po hiszpańsku, numery telefonów po prawej. Większość, od góry strony, była chyba z Madrytu. Na samym dole widniał numer, bez adresu, z literką R po lewej.

Nie miało to żadnego sensu. Nazwiska hiszpańskie, numery madryckie. Co to miało z czymkolwiek wspólnego?

To „R” u dołu mogło ewentualnie oznaczać Rzym, ale przy numerze nie było adresu ani nazwiska. I nagle zrozumiał.

– O Boże – powiedział, nabierając powietrza i spojrzał ponownie. To był numer, który Danny zostawił mu na sekretarce. Harry podniósł nagle głowę. Pio wpatrywał się w niego.

– Nie tylko numer telefonu, panie Addison. Także rozmowy – rzekł detektyw. – W ciągu trzech tygodni bezpośrednio przed zamachem Valera telefonował do mieszkania pańskiego brata kilkanaście razy. Pod koniec coraz częściej, a rozmowy trwały coraz krócej, jakby

chodziło tylko o potwierdzenie instrukcji. Z tego, co dotąd wiemy Valera podczas pobytu w Rzymie w ogóle nigdzie poza tym nie dzwonił.

– To, że Danny z nim rozmawiał, jeszcze nie znaczy, że jest zabójcą! – Harry nie mógł w to uwierzyć. To wszystko?

Nic więcej nie mieli?

Jakaś siedząca niedaleko para spojrzała w ich stronę. Pio poczekał, aż się odwróca, i zniżył głos.

– Mówiliśmy już panu, że mamy dowody obecności w pokoju zamachowca kogoś drugiego. I że uważamy, iż to ten drugi człowiek, a nie Valera, zabił kardynała Parmę.

Valera był komunistycznym agitatorom, ale nie ma dowodów na to, by kiedykolwiek miał do czynienia z bronią.

Przypominam, że pański brat był nagradzanym snajperem z wojskowym wykształceniem.

– To tylko fakt, ale nie związek z zamachem.

– Jeszcze nie skończyłem, panie Addison... Do karabinu Saka TRG dwadzieścia jeden, karabiny mordercy używa się zwykle naboju Winchester, trzystaósemek. Tym razem załadowano go amerykańskimi pociskami Hornady, stu pięćdziesięciogramowymi, z ostrym czubkiem. Trzy takie wyjęto z ciała kardynała Parmy... Magazynek mieści ich dziesięć, pozostało więc siedem.

– No i?

– Notes Valery skierował nas do mieszkania pańskiego

brata. Nie było go tam. Oczywiście pojechał już do Asyżu, ale nie wiedzieliśmy wtedy o tym. Mając notes mogliśmy uzyskać nakaz przeszukania...

Harry słuchał w milczeniu.

– Standardowe pudełko naboju zawiera dwadzieścia sztuk. Pudełko z dziesięcioma pociskami Hornady, sto pięćdziesiąt gramów, spiczastymi, znaleziono w zamkniętej szufladzie w mieszkaniu Daniela Addisona. Razem z zapasowym magazynkiem do tego samego karabinu.

Harry poczuł, jak uchodzi zeń powietrze. Chciał jakoś zareagować, powiedzieć coś na obronę Danny'ego. Ale nie mógł.

– Był tam też odcinek czeku na milion siedemset tysięcy lirów, panie Addison. To suma, jaką Valera zapłacił gotówką za wynajęcie mieszkania. Na czeku był jego podpis. Charakter pisma zgadza się z tym z notesu. Dowody pośrednie, to prawda. Gdyby pański brat żył, moglibyśmy go o to zapytać i dać mu okazję obalenia ich.

– W głosie Pia zaczął pobrzmiwać gniew. – Moglibyśmy zapytać go także, dlaczego zrobił to, co zrobił. I kto jeszcze był w to zamieszany. I czy to miał być zamach na papieża... Oczywiście nic takiego nie wchodzi teraz w grę... – Pio odchylił się na krześle, bawiąc się szklanką z wodą. Harry spostrzegł, że jego emocje z wolna opadają.

– Może się okaże, że nie mieliśmy racji. Ale nie sądzę. Siedzę w tym już jakiś czas, panie Addison, i wiem, że zbliżyliśmy się do prawdy na tyle, na ile się dało.

Szczególnie że główny podejrzany nie żyje.

Wzrok Harry'ego powędrował w dal; obraz pomieszczenia rozplątał się. Aż do tej chwili był pewny, że się mylą, że podejrzewają nie tego, kogo trzeba. Lecz teraz wszystko się zmieniło.

– A co z tym autobusem? – zapytał niemal szeptem, odwracając oczy.

– Czy to bojówka komunistyczna, która najpierw zabiła kardynała, a potem uciszyła jednego ze swoich? – zapytał retorycznie detektyw. – Czy mafia, załatwiająca zupełnie inną sprawę? A może zdesperowany pracownik firmy przewozowej, znający się na materiałach wybuchowych i mający do nich dostęp? Nie wiemy tego, panie Addison. Jak wspomniałem, bomba w autobusie i zamordowanie kardynała to odrębne dochodzenia.

– Kiedy podacie to wszystko do wiadomości publicznej?

– Najpewniej nie przed zakończeniem śledztwa. Potem według wszelkiego prawdopodobieństwa pójdziemy za sugestiami Watykanu.

Harry złożył ręce na piersi i wpatrywał się w stół. Napłynęły falą emocje. Czuł się tak, jakby mu powiedziano, że jest nieuleczalnie chory. Możesz nie wierzyć, możesz zaprzeczać – wszystko na nic. Wyniki prześwietlenia, EKG i tomografu od tego się nie zmienią.

Choć oczywiście wszystkie te poszlaki, pasujące solidnie jedna do drugiej, nie stanowiły, jak przyznał to sam Pio, ostatecznego dowodu. Ponadto, niezależnie od

treści telefonu Danny'ego, którą im zrelacjonował, tylko on słyszał ton jego głosu. Jego przerażenie, udrękę i rozpacz. Nie był to głos mordercy, szukającego litości u ostatniej instancji, jaka mu pozostała, lecz kogoś osaczonego przez straszliwe okoliczności, którym nie potrafi się wymknąć.

Z jakiegoś powodu, nie wiedział z jakiego, czuł się teraz bliższy Danny'emu niż w dzieciństwie. Może dlatego, że brat w końcu zwrócił się do niego. I może było to dla Harry'ego ważniejsze, niż sądził, bo uzmysłowił to sobie nie drogą racjonalnych rozważań, lecz w efekcie głębokich uczuć, poruszających go tak dalece, że miał ochotę wstać i wyjść. Nie ruszył się jednak, gdyż natychmiast uświadomił sobie coś jeszcze: nie pozwoli, żeby Danny przeszedł na zawsze do historii jako potępieniec, który zamordował kardynała wikariusza Rzymu, dopóki nie zajrzy pod każdy kamień w tej sprawie i nie stwierdzi, że zostało to dowiedzione ponad wszelką wątpliwość.

– Panie Addison, to potrwa jeszcze dzień lub dwa, zanim zakończymy procedurę identyfikacji i będzie pan mógł zabrać ciało. Czy zostanie pan w Hasslerze do końca pobytu w Rzymie?

– Tak.

– Byłbym zobowiązany, gdyby pan informował mnie o swoich planach. – Pio wyjął z portfela wizytówkę i wręczył mu ją. – Gdyby pan opuszczał miasto czy w ogóle udawał się gdzieś, gdzie trudno by było się z panem

skontaktować.

Harry wziął wizytówkę i wsunął ją do kieszeni marynarki, po czym spojrzał na detektywa.

– Skontaktujecie się ze mną bez żadnych problemów.

## 7

Nocny ekspres Euro z Genewy do Rzymu.  
Wtorek, 7 lipca; 1.20

Kardynał Nicola Marsciano siedział w ciemności, słuchając jednostajnego stukotu kół, podczas gdy pociąg nabierał rozpędu, opuszczając południowo-wschodni kraniec Mediolanu i zmierzając w kierunku Florencji, a potem Rzymu. Za oknem cienki księżyc muskał krajobraz, rzucając nań tylko tyle światła, żeby dać znać o swoim istnieniu. Przez chwilę kardynał myślał o rzymskich legionach, maszerujących pod tym samym księżycem przed wiekami. Teraz ci ludzie byli już tylko duchami. I on także stanie się jednym z nich pewnego dnia, gdyż jego życie, tak jak i ich, było zaledwie punkcikiem na nieskończonym wykresie czasu.

Pociąg numer trzysta jedenaście wyjechał z Genewy o dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć wieczorem. Granicę szwajcarsko-włoską przekroczyli tuż po północy, a w Rzymie mieli się znaleźć dopiero o ósmej rano. Była to długa podróż, zważywszy na to, że samolotem leciałby tylko dwie godziny.

Marsciano jednak chciał mieć czas na przemyślenia i chciał być sam.

Jako sługa boży zwykle podróżował w stroju właściwym swemu urzędowi, tym razem jednak był w

garniturze, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Z tych samych względów przedział w wagonie sypialnym pierwszej klasy został zarezerwowany wyłącznie na nazwisko Marsciano. Uczciwie, lecz incognito. Przedział był niewielki, wystarczający jednak na jego potrzeby. Miał się gdzie położyć, gdyby w ogóle potrafił zasnąć, a co ważniejsze, była tu przenośna stacja telefoniczna, dzięki której mógł odbierać telefony na swojej komórce, nie obawiając się, że połączenie może zostać przerwane.

Siedząc samotnie w ciemności, usiłował nie myśleć o ojcu Danielu – o oskarżeniach policji, o odkrytych przez nią dowodach, o wysadzonym w powietrze autobusie. Te sprawy należały teraz do przeszłości i nie miał odwagi się w nie zagłębiać, choć wiedział, że w którymś momencie znów będzie musiał osobiście stawić im czoło, że będzie od nich zależała jego własna przyszłość i przyszłość Kościoła, wręcz dalsze istnienie jednego i drugiego.

Spojrzał na zegarek; cyfrowy wyświetlacz połyskiwał w mroku przejrzystą zielenią.

1.27

Komórkowy telefon Motoroli na stoliku obok milczał.

Marsciano zabębnił palcami o wąską poręcz fotela, po czym przeciągnął nimi po swych białych włosach. Następnie pochylił się i nalał sobie do szklanki resztę sassicaia z butelki.

Bardzo wytrawne, o bardzo pełnym bukacie, to przednie czerwone wino było bardzo drogie i mało znane poza Włochami. Mało znane, ponieważ sami Włosi

utrzymywali jego istnienie w tajemnicy. Cały kraj był pełen tajemnic. A im ktoś był starszy, tym więcej ich dostrzegał i tym niebezpieczniejsze się stawały. Szczególnie jeśli miał władzę i wpływy, tak jak kardynał w wieku sześćdziesięciu lat.

1.33

Telefon wciąż milczał. Marsciano zaczął się niepokoić, że może coś poszło nie tak. Postanowił jednak nie dopuszczać do siebie takich myśli, dopóki nie będzie wiedział na pewno.

Pociągając łyk wina, przeniósł spojrzenie z telefonu na leżącą na łóżku walizkę. Wewnątrz niej, wciśnięta pod jego papiery i rzeczy osobiste, zapakowana w kopertę, znajdowała się rzecz straszna. Kasetą magnetofonową, którą dostarczono mu w Genewie, w niedzielę podczas lunchu. Przyniósł ją posłaniec, w paczuszce z napisem „Pilne”, bez adresu zwrotnego i informacji o nadawcy. Lecz po jej wysłuchaniu zorientował się natychmiast, skąd pochodziła i dlaczego ją otrzymał.

Jako szef Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej, kardynał Marsciano był człowiekiem, w którego rękach spoczywały ostateczne decyzje finansowe związane z inwestowaniem aktywów Watykanu, liczonych w milionach dolarów.

Tym samym był również jednym z niewielu, którzy znali dokładną wartość owych zasobów i metody ich inwestowania. Było to stanowisko wielce odpowiedzialne, z samej swej natury narażone na pokusy nieodłącznie

towarzyszające ludziom wysoko postawionym, grożące zepsuciem myśli i ducha. Ci, którzy im ulegli, dotknięci byli zwykle chciwością lub arogancją, albo jednym i drugim. Marsciano nie cierpiał na żadną z tych przypadłości. Jego cierpienie brało się z połączenia głębokiej lojalności wobec Kościoła, miłości do człowieka oraz boleśnie zawiedzionego zaufania. Pogarszała je jeszcze, jeśli to w ogóle było możliwe, jego wysoka ranga w hierarchii Watykanu.

Nagranie – w zestawieniu ze śmiercią kardynała Parmy i momentem dostarczenia taśmy – popchnęło go jedynie w jeszcze większy mrok. Stanowiło coś więcej niż tylko zagrożenie jego osobistego bezpieczeństwa; samym swym istnieniem podnosiło o wiele bardziej dalekosiężne kwestie:

Co jeszcze stało się wiadome? Komu można teraz zaufać?

Telefon nie dzwonił. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był stukot kół pociągu przybliżającego się z każdą chwilą do Rzymu. Co się mogło stać? Coś musiało pójść źle. Teraz był już pewien.

Nagle rozległ się dzwonek.

Aż go to przestraszyło; przez chwilę nie robił nic. Drugi dzwonek. Kardynał zebrał się w sobie i podniósł telefon.

– Si – rzekł cichym, zaleknionym głosem. Słuchał, niemal niedostrzegalnie kiwając głową. – Grazie – wyszeptał w końcu i odłożył słuchawkę.

## 8

Rzym.

Wtorek, 7 lipca; 7,45

Jacov Farel był Szwajcarem.

Był także Capo dell'Ufficio Centrale Vigilanza, szefem Urzędu Straży Porządkowej, i to od ponad dwudziestu lat.

Zadzwoił do Harry'ego pięć po siódmej, budząc go z głębokiego snu i oznajmiając, że koniecznie musi z nim porozmawiać.

Harry zgodził się na spotkanie i teraz, czterdzieści minut później, wioził go przez Rzym przysłany przez Farela człowiek. Przejechali na drugą stronę Tybru, przez kilkaset metrów posuwali się równolegle do brzegu, po czym skręcili w kończącą się słynną kolumnadą Via della Conciliazione.

W oddali pojawiła się charakterystyczna kopuła Bazyliki Świętego Piotra. Harry był pewien, że tam właśnie jest wieziony, do Watykanu i biura Farela gdzieś w jego czeluściach. Kierowca jednak skręcił raptownie w prawo i pod arkadowym portalem wjechał w dzielnicę wąskich uliczek i zabytkowych mieszkalnych kamienic. Dwie przecznice dalej po ostrym skręcie w lewo zatrzymał się przed małą trattorią na Borgo Vittorio. Wysiadł, otworzył Harry'emu drzwiczki i poprowadził go do lokalu.

W środku był tylko jeden człowiek, mężczyzna w czarnym garniturze. Stał przy barze plecami do nich, z dłonią spoczywającą przy filiżance kawy. Mógł mieć niecały metr osiemdziesiąt wzrostu, był mocno zbudowany, a resztkę włosów, jakie mu pozostały, zgolił do skóry, dzięki czemu jego łysa głowa lśniła jak wypolerowana w padającym z góry świetle.

– Dzięki, że pan przyszedł, panie Addison. – Angielszczyznę Jacova Farela zabarwiał akcent francuski. Głos miał chrapliwy, jak u namiętnego, długoletniego palacza.

Jego ręka powoli odsunęła się od filiżanki i mężczyzna odwrócił się. Widząc go z tyłu, Harry nie czuł mocy tego człowieka, lecz poczuł ją teraz. Ogolona głowa, szeroka twarz z przyplaszczonym nosem, kark gruby jak ludzkie udo, potężna pierś pod ciasno opiętą białą koszulą. Jego dłonie, wielkie i silne, wyglądały jakby przez pięćdziesiąt kilka lat dzierżyły uchwyt pneumatycznego młota. I były jeszcze oczy, głęboko osadzone, szarozielone, nieubłagane.

Teraz posłały krótkie spojrzenie kierowcy. Ten zaś bez słowa cofnął się o krok i wyszedł; trzasnął tylko za nim zamek u drzwi. Spojrzenie Farela powędrowało ku Harry'emu.

– Moje obowiązki mają inny zakres niż rzymskiej policji.

Ona chroni miasto. Watykan ma własną państwowość. To osobny kraj wewnątrz Włoch. Dlatego ja odpowiadam

za bezpieczeństwo publiczne.

Harry instynktownie rozejrzał się po sali. Byli sami. Ani kelnerów, ani barmana, ani klientów. Tylko on i Farel.

– Kiedy zastrzelono kardynała Parmę, jego krew zbryzgała moją koszulę i twarz. Splamiła także sutannę papieża.

– Zgodziłem się na to spotkanie, żeby panu pomóc w miarę możliwości – oznajmił Harry.

Farel przyglądał mu się badawczo.

– Wiem, że rozmawiał pan z policją. Wiem, co pan im powiedział. Czytałem stenogram. Czytałem też raport Ispettore Capo Pio z waszego prywatnego spotkania... Mnie interesuje to, czego pan im nie powiedział.

– A czegoż to im nie powiedziałem?

– Tego, o co nie zapytali. Albo co pan zachował dla siebie, gdy zapytali, celowo lub przez zapomnienie, lub też dlatego, że wydawało się to nieważne.

Farel, już z natury dość potężny, zdawał się teraz wypełniać swą obecnością całe pomieszczenie. Harry'emu nagle zwilgotniały dłonie; na czole poczuł krople potu. Rozejrzał się ponownie. W dalszym ciągu pozostawali sami. Było już po ósmej. O której rozpoczynała pracę obsługa? Kiedy ludzie zaczynają wpadać na kawę lub śniadanie? A może trattorię otwarto specjalnie dla Farela?

– Wygląda pan na zaniepokojonego, panie Addison.

– Może po prostu mężczy mnie już ciągle tłumaczenie się policjantom, chociaż niczego nie zrobiłem. A wy

zachowujecie się, jakbym zrobił... Chętnie się z panem spotkałem, ponieważ wierzę, że mój brat jest niewinny. Żeby pokazać, że chcę współpracować, jeśli okaże się to możliwe.

– To nie jedyny powód, panie Addison.

– O czym pan mówi?

– O pańskich klientach. Musi pan przecież ich chronić.

Gdyby zadzwonił pan do ambasady amerykańskiej, tak jak pan zamierzał, albo wynajął włoskiego prawnika do reprezentowania pana w rozmowach z policją, wie pan dobrze, że media najpewniej by się o tym dowiedziały. Opinia publiczna nie tylko usłyszałaby o naszych podejrzaniach wobec pańskiego brata, lecz także o panu. Kim pan jest, co pan robi i kogo pan osobiście reprezentuje. A są to ludzie, którzy z pewnością nie chcieliby być powiązani, choćby całkiem przypadkowo i bez swojej winy, z zamordowaniem kardynała wikariusza Rzymu.

– A kogo takiego ja pańskim zdaniem reprezentuję, kto by...

Farel przerwał mu raptownie, wymieniając jednym tchem nazwiska kilkunastu hollywoodzkich sław.

– Czy mam kontynuować, panie Addison?

– Skąd pan ma te informacje? – Harry był zszokowany i wściekły. Tożsamość klientów jego firmy była ściśle strzeżoną tajemnicą. Oznaczało to, że Farel nie tylko grzebał w jego życiorysie, ale miał także w Los Angeles koneksje, pozwalające mu dowiedzieć się wszystkiego,

czego potrzebował. Zakres jego możliwości był przerażający sam w sobie.

– Pominąwszy kwestię winy czy niewinności pańskiego brata, jest też praktyczna strona każdej sprawy... Dlatego właśnie rozmawia pan ze mną, panie Addison, sam i z własnej nieprzymuszonej woli; i będzie pan nadal to robił, dopóki z panem nie skończę. Musi pan strzec własnego sukcesu. – Lewa dłoń Farela powędrowała do łysej czaszki i pogładziła ją tuż nad uchem. – Mamy dziś ładny dzień. Może byśmy się przeszli?

Kiedy znaleźli się na dworze, poranne słońce zaczęło już oświetlać górne piętra kamienic. Farel skręcił na lewo, w Via Ombrellari – wąską brukowaną uliczkę bez chodników.

Tu i ówdzie ciąg kamienic przerywała restauracja, bar lub apteka. Drugą stroną uliczki przeszedł ksiądz. Nieco dalej, przed restauracją, dwóch mężczyzn z łoskotem ładowało puste butelki po winie i wodzie mineralnej do furgonetki.

– O śmierci brata powiadomił pana Byron Willis, pański partner w interesach.

– Tak...

Więc Farel wiedział także i to. Robił to samo, co Roscani i Pio, próbując go zastraszyć i zbić z tropu. Dać do zrozumienia, że niezależnie od tego, co ktokolwiek powiedział, Harry jest wciąż podejrzany. Fakt, że on sam wiedział o swojej niewinności, był bez znaczenia. Lata studiów prawniczych nauczyły go lepiej niż innych, że w

długiej historii więzień, aresztów i nawet szubienic zaludniało je mnóstwo niewinnych ludzi, oskarżonych o przestępstwa dużo lżejsze niż to tutaj. Na samą myśl o tym ogarniało człowieka zwątpienie, jeśli nie strach. Harry wiedział, że widać to po nim, i złościło go to. Co więcej, Farel celowo ujawnił, że grzebał w jego zawodowych tajemnicach. Świadczyło to bowiem o potędze i wpływach watykańskiego policjanta, uzmysławiało Harry'emu, że nie ma dokąd się zwrócić i że sprawa tak czy inaczej przybierze obrót pożądaný przez śledczych.

Kwestiami związanymi z informowaniem opinii publicznej Harry zajął się od razu po spotkaniu z Piem. Kiedy tylko wprowadził się do hotelu, zadzwonił do domu Byrona Willisa w Bel Air. Podczas rozmowy wymienili, niemal słowo w słowo, wszystkie sprecyzowane przed chwilą przez Farelą powody, dla których Harry powinien się zachowywać powściągliwie. Zgodzili się, że choć to prawdziwa tragedia, Danny już nie żyje, a skoro jego związek – domniemany czy nie – z zabójstwem kardynała Parmy utrzymywany jest w tajemnicy, najlepiej będzie, żeby tak zostało. Ryzyko ujawnienia klientów Harry'ego i wykorzystania sytuacji przez konkurencję nie było potrzebne ani im, ani jemu, ani firmie, szczególnie w czasach wszechwładnego wpływu mediów.

– Czy pan Willis wiedział, że ojciec Daniel kontaktował się z panem? – zapytał Farel.

– Tak... Powiedziałem mu, kiedy zadzwonił z

wiadomością o jego śmierci.

– I powtórzył mu pan słowa brata.

– Częściowo... Większość. Wszystko, co powiedziałem, jest w stenogramie wczorajszego przesłuchania. – Harry czuł, że wzbiera w nim złość. – A co to za różnica?

– Od jak dawna zna pan Willisa?

– Dziesięć, jedenaście lat. Pomógł mi, gdy zaczynałem w branży. A co?

– Jest pan z nim w bliskich stosunkach.

– Raczej tak...

– Bliższych niż z innymi?

– Chyba...

– To znaczy, że powiedziała by mu pan rzeczy, których nie powiedziała by komuś innemu.

– Do czego pan właściwie zmierza?

Farel utkwiał spojrzenie swych szarzielonych oczu w oczach Harry'ego. Trwało to chwilę, po czym odwrócił wzrok i poszli dalej. Powoli, niespiesznie. Harry nie miał pojęcia, dokąd idą i po co. Zastanawiał się, czy Farel to wie, czy też była to tylko jego metoda prowadzenia przesłuchania.

Za ich plecami wyjechał z za rogu niebieski ford, przejechał powoli pół przecznicy i zatrzymał się. Nikt nie wysiadł.

Harry zerknął na Farela. Jeżeli wiedział o obecności samochodu, nie okazywał tego.

– I nie rozmawiał pan z bratem bezpośrednio?

– Nie.

Mężczyźni w dole ulicy skończyli ładowanie butelek i furgonetka ruszyła. Za nią zaparkowany był ciemnoszary fiat.

Z przodu siedziało dwóch mężczyzn. Harry obejrzał się.

Ford też tam jeszcze stał. Przechylnice były blisko siebie. Jeżeli to byli ludzie Farel, oznaczało to, że w gruncie rzeczy zablokowali ulicę.

– A wiadomość, którą zostawił na sekretarce... po prostu pan wymazał.

– Nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że sprawy przybiorą taki obrót.

Farel zatrzymał się nagle. Byli już blisko szarego fiata; Harry widział, że dwaj mężczyźni wewnątrz obserwują ich.

Ten przy kierownicy, młody, pochylił się skwapliwie do przodu, jakby oczekując, że coś się wydarzy.

– Zachowuje się pan, jakby nie wiedział, gdzie jesteśmy, panie Addison. – Farel uśmiechnął się półgębkiem i skinął ręką ku budynkowi, przed którym stali, z żółtymi plamami na obłazującym tynku.

– A powinienem wiedzieć?

– To Via Ombrellari sto dwadzieścia siedem, nic to panu, nie mówi?

Harry spojrział w głąb ulicy, niebieski ford wciąż tam stał, Potem popatrzył na Farel.

– Nie, nic.

– Tutaj mieszkał pański brat.

## 9

Mieszkanie Danny'ego znajdowało się na parterze, było niewielkie i urządzone po spartańsku. Okno klitki stanowiącej główny pokój wychodziło na malutkie podwórko za domem. Całe umeblowanie stanowiło krzesło z pulpitem do czytania, małe biurko, stojąca lampa i szafka z książkami; wszystko to wyglądało jak kupione na pchlim targu. Książki też były używane, w większości stare i traktujące o historii katolicyzmu, o tytułach takich, jak: „Ostatnie dni papieskiego Rzymu, 1850-1870”, „Plenarii Concilii Baltimorensis Tertii”, „Kościół w chrześcijańskim Cesarstwie Rzymskim”.

W sypialni było jeszcze skromniej – przykryte kocem łóżko i przy nim mała komoda z szufladami, a na niej lampka i telefon. W szafie niewiele ubrań: klasyczny cywilny strój duchownego – czarna koszula, czarne spodnie i czarna marynarka, wszystko na jednym wieszaku. Poza tym dżinsy, koszula w kratę, zniszczony szary dres i stare buty do biegania. W szufladach biała koloratka, kilka kompletów znoszonej bielizny i dwie koszulki z emblematem Providence College.

– Wszystko tak, jak zostawił, wybierając się do Asyżu – rzekł cicho Farel.

– Gdzie były te naboje?

Policjant zaprowadził go do łazienki i otworzył drzwi antycznej komody. W środku było kilka szuflad z

zamkami wyrwanymi prawdopodobnie przez policję.

– W dolnej szufladzie. Z tyłu, za papierem toaletowym.

Harry zajrzał tam na chwilę, a potem odwrócił się i powoli przeszedł przez sypialnię z powrotem do większego pokoju.

Na górnej półce szafki z książkami stała elektryczna kuchenka, której przedtem nie zauważył, a obok pojedynczy kubek z łyżeczką i słoik rozpuszczalnej kawy. No właśnie. Ani kuchni, ani piecyka, ani lodówki. Takie mieszkanie mógłby może wynajmować na pierwszym roku Harvardu, kiedy był bez pieniędzy i przyjęto go tylko dlatego, że zdobył stypendium.

– Jego głos...

Harry odwrócił się. Farel stał w drzwiach sypialni obserwując go; łysa głowa policjanta wydała mu się nagle zbyt wielka i nieproporcjonalna w stosunku do tułowia.

– Głos pańskiego brata na sekretarce. Mówił pan, że był wystraszony.

– Tak.

– Jakby się bał o własne życie?

– Tak.

– Czy wymienił jakieś nazwiska? Osoby znane wam obu? Z rodziny? Przyjaciół?

– Nie, żadnych nazwisk.

– Niech się pan dobrze zastanowi, panie Addison. Nie miał pan z bratem kontaktu od dawna. Był wytrącony z równowagi. – Farel postąpił ku niemu, nie przestając mówić. – Ludzie często wiele zapominają, kiedy myślą o

czymś innym.

– Gdybym usłyszał jakieś nazwiska, podałbym je włoskiej policji.

– Czy powiedział, że jedzie do Asyżu?

– Nie wspomniał o tym ani słowem.

– A o jakimś innym mieście albo miejscowości? – naciskał Farel. – Gdzie był albo dokąd się wybierał?

– Nie.

– Daty? Dzień, jakąś ważną godzinę?

– Nie – odparł Harry. – Żadnych dat ani godzin. Nic z tych rzeczy.

Farel znów badał go wzrokiem.

– Jest pan absolutnie pewny, panie Addison?

– Tak, jestem absolutnie pewny.

Nagle ktoś ostro zapukał do drzwi. Do mieszkania wszedł podekscytowany kierowca szarego fiata; Farel zwracał się do niego Pilger. Mężczyzna był młodszy, niż Harry sądził, miał chłopięcą twarz, wyglądał, jakby jeszcze nie zaczął się golić. Towarzyszył mu ksiądz. Również młody, pod trzydziestkę, wysoki, o ciemnych kręconych włosach i czarnych oczach za okularami w czarnych oprawkach.

Farel powiedział doń coś po włosku. Zamienili kilka słów, po czym policjant zwrócił się do Harry'ego.

– To jest ksiądz Bardoni, panie Addison. Pracuje dla kardynała Marsciana. Znał pańskiego brata.

– Mówię trochę po angielsku – rzekł łagodnie, z uśmiechem, ksiądz Bardoni. – Proszę przyjąć najgłębsze

wyraży współczucia...

– Dziękuję. – Harry skinął głową z wdzięcznością. Po raz pierwszy ktoś powiedział coś o Dannym bez związku z morderstwem.

– Ksiądz Bardoni był właśnie w domu pogrzebowym, w którym znajduje się ciało pańskiego brata – wyjaśnił Farel. – Dopełniają niezbędnych formalności. Jutro będzie pan mógł podpisać dokumenty. Ksiądz tam pana zawiezie.

A pojutrze na lotnisko. Zarezerwowano dla pana miejsce w pierwszej klasie. Szczątki ojca Daniela polecą tym samym samolotem.

– Dziękuję – powtórzył Harry, pragnąc już teraz tylko uwolnić się od przytłaczającej obecności policji i zabrać Danny'ego do domu, na pogrzeb.

– Panie Addison – rzekł Farel ostrzegawczo – dochodzenie jest w toku. W Stanach pomaga nam FBI. Będą chcieli jeszcze z panem rozmawiać. Będą rozmawiać z panem Willisem. Będą pytali o nazwiska i adresy ludzi, których brat znał, z którymi miał styczność... krewnych, przyjaciół, kolegów z wojska.

– Nie mamy żyjących krewnych, panie Farel. Danny i ja byliśmy ostatnimi z rodziny. Jeśli zaś idzie o kolegów czy znajomych, nie znam nikogo. Bardzo mało wiem o jego życiu... Ale coś panu powiem. Chcę wiedzieć, co się naprawdę stało tak samo jak pan. Może nawet bardziej. I zamierzam dojść do prawdy.

Harry spoglądał na Farela jeszcze przez chwilę. Następnie skłonił się księdzu Bardoniemu i powiódł

spojrzeniem po pokoju, wyrażając w ten sposób ostatni, intymny kontakt z miejscem, w którym żył jego brat. Potem ruszył do drzwi.

– Panie Addison.

Szorstki głos Farela zatrzymał go w pół kroku. Harry odwrócił się.

– Wspomniałem panu na początku, że interesuje mnie to, czego pan nie powiedział... I w dalszym ciągu tak jest.

Jako prawnik wie pan doskonale, że najmniej istotne szczegóły ujawniają czasem obraz całości. Szczegóły tak nieistotne, że pomijamy je, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Powtórzyłem wam wszystko, co usłyszałem od brata.

– Tak pan twierdzi, panie Addison. – Oczy Farela zwęziły się. Utkwił spojrzenie w Harry’ m. – Już panu to mówiłem: byłem zbryzgany krwią kardynała. Nie chcę, żeby na mnie bluznęła krew papieża.

## 10

Hotel Hassler.

W dalszym ciągu wtorek, 7 lipca; 22.00

– Świetnie! Znakomicie! To mi się podoba!... Pokazał się już?... Nie? Tak myślałem. A gdzie jest?... Ukrywa się?

Harry przebywał w swoim pokoju hotelowym, głośno się śmiejąc. Z telefonem w ręce, w rozpiętej pod szyją koszuli z podwiniętymi rękawami i bez butów, przysiadł na krawędzi zabytkowego biurka pod oknem.

– Słuchaj, on ma dwadzieścia cztery lata i jest gwiazdą; niech robi, co chce.

Wyłączył telefon i odłożył go na biurko, pomiędzy stosy notatników, faksów, ogryzków ołówków, nie dojedzonych kanapek i pogniecionych karteczek z zapiskami. Kiedy to ostatni raz się cieszył, czy choćby miał ochotę do śmiechu? Przed chwilą jednak wybuchnął śmiechem i było to przyjemne.

„Dog on the Moon” okazał się superhitem. W ciągu trzydniowego weekendu zarobił pięćdziesiąt osiem milionów dolarów, o szesnaście więcej niż najśmielsze przewidywania Warner Bros. Spece od liczb w wytwórni przewidywali całkowity zysk w kraju w granicach dwustu pięćdziesięciu milionów. Natomiast dla Jesusa Arroyo, dwudziestoczteroletniego scenarzysty i reżysera filmu, był

to początek niebotycznej kariery. Harry odkrył tego chłopaka z getta we wschodnim Los Angeles sześć lat wcześniej, jako uczestnika specjalnych kursów pisania dla trudnej młodzieży, i od tej pory stał się jego mentorem. Teraz, w ciągu trzech dni, Arroyo stał się nowym enfant terrible, którego świetlana przyszłość była ugruntowana. Już zaczęto go nagabywać na temat kontraktów na serie filmów wartych miliony. Domagano się jego obecności we wszystkich czołowych telewizyjnych talk-show. A gdzie przez ten cały czas przebywało dzieciątko Jesus? Imprezował w Vail albo Aspen, szukał posiadłości nad oceanem w Montecito? Nie. On się ukrywał!

Harry'ego znów rozbawiła czystość tej sytuacji. Inteligentny, dojrzały i przekonywający jako filmowiec, Jesus był wciąż w głębi serca nieśmiałym chłopczykiem, którego nazajutrz po najwspanialszym weekendzie w jego karierze nikt nie mógł znaleźć. Ani media, ani koledzy, ani jego najnowsza dziewczyna, ani nawet jego agent – z którym Harry właśnie przed chwilą rozmawiał. Nikt.

Z wyjątkiem Harry'ego Addisona.

Harry wiedział, gdzie go szukać. Jesus Arroyo Manuel Rodriguez, jak brzmiało jego pełne nazwisko, był w domu swoich rodziców na Escuela Street we wschodnim LA. Był z mamą i tatusiem, dozorcą szpitalnym; z braćmi i siostrami, z kuzynami, ciotkami i wujkami.

Tak, Harry wiedział, gdzie jest chłopak, i mógł do niego zatelefonować, ale nie chciał. Niech się Jesus nacieszy rodziną. Wiedział przecież, co się dzieje. Gdyby

się chciał skontaktować, zrobiłby to. Niech lepiej świętuje po swojemu, a cała reszta, łącznie z telefonem z gratulacjami od jego prawnika, może poczekać. Biznes jeszcze nie rządził życiem Jesusa, tak jak życiem Harry'ego i większości ludzi, którzy w świecie rozrywki odnieśli sukces.

Kiedy wieczorem wprowadził się do hotelu, czekało na niego osiemnaście telefonów, na które powinien odpowiedzieć. Nie odpowiedział jednak na żaden, lecz poszedł do łóżka i spał piętnaście godzin, wyczerpany fizycznie i emocjonalnie. Sama myśl o zajęciu się interesami wydawała mu się nie do przyjęcia. Dziś wieczór jednak, po spotkaniu z Farelem, praca przyniosła mu ulgę. Wszyscy, z którymi rozmawiał, gratulowali mu wielkiego sukcesu filmu i pięknej przyszłości Jesusa Arroyo; współczuli mu także z powodu osobistej tragedii, przepraszaali, że opowiadają w takich okolicznościach o interesach, po czym, powiedziawszy to, mówili o interesach.

Do pewnego momentu bawiły go te rozmowy, nawet uspokajały, odrywając od myśli o terażniejszości. Teraz jednak, zakończywszy ostatnią rozmowę, uzmysłowił sobie, że żaden z jego rozmówców nie wiedział, iż Harry miał do czynienia z policją, że jego brat jest głównym podejrzanym o zamordowanie kardynała wikariusza Rzymu. I nie mógł im o tym powiedzieć. Choć byli bliskimi kolegami, to jednak wiązała go z nimi tylko praca, nic poza tym.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak samotnicze prowadził życie. Poza Byronem Willisem – który był żonaty i miał dwójkę dzieci, pracował jednak równie wiele jak Harry, a może więcej – nie miał prawdziwych przyjaciół, nikogo od serca. Jego życie toczyło się zbyt szybko, żeby pozwolić sobie na zadzierzgnięcie tego rodzaju związków. Dotyczyło to także związków z kobietami. Należał do elity Hollywoodu i piękne kobiety otaczały go zewsząd. Używał ich, a one używały jego; taka to była gra. Zamknięty pokaz filmowy, potem kolacja i seks, a nazajutrz z powrotem do pracy: spotkania, negocjacje, telefony. I żadnych spotkań towarzyskich całymi tygodniami. Najdłużej był z pewną aktorką, trwało to nieco ponad pół roku. Był zbyt zajęty, zbyt zapracowany. I aż do dziś wydawało mu się to w porządku.

Odwróciwszy się od biurka, Harry podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Poprzednio, gdy to robił, miasto pokrywała patyna wczesno-wieczornego słońca. Teraz zapadła noc i Rzym iskrzył się światłami. Schody Hiszpańskie i plac Hiszpański w dole wypełnione były tłumami ludzi; przychodzili i odchodzili, po prostu byli, a wśród nich tu i ówdzie widać było patrol policji pilnującej, żeby nic się nie wymknęło spod kontroli.

Dalej widział płataninę wąskich uliczek i pasaży ze sklepikami, mieszkaniami i hotelikami, a powyżej płaszczyzny dachów o pomarańczowo-kremowych dachówkach, biegnące równymi, średniowiecznymi

kwartałami aż do ciemnej wstęgi Tybru. Naprzeciwko miał tę część Rzymu, w której spędził przedpołudnie, z podświetloną kopułą Świętego Piotra, górującą nad włościami Jacova Farela, nad Watykanem z rezydencją papieża, źródłem najwyższego autorytetu dla dziewięciuset pięćdziesięciu milionów katolików na całym świecie. I miejscem, w którym ostatnie lata swego życia spędził Danny.

Jak mógłby się dowiedzieć czegoś więcej o tym okresie życia brata? Czy było bogate, czy też upłynęło jedynie na studiowaniu? Dlaczego Danny w ogóle odszedł z marines i obrał stan duchowny? Było to coś, czego Harry nigdy nie rozumiał. Nic dziwnego zresztą, bo wówczas już prawie ze sobą nie rozmawiali, jakże więc mógłby zapytać, nie wywołując wrażenia, że go osądza. Teraz jednak, patrząc na oświetloną kopułę Bazyliki Świętego Piotra, nie mógł nie zadać sobie pytania, czy to właśnie tam, w samym Watykanie, znajdowało się coś, co kazało Danny'emu zadzwonić do niego, a potem sprowadziło nań śmierć.

Kogo czy czego tak strasznie się bał? W tej chwili kluczem do wyjaśnienia sprawy wydawało się podłożenie bomby w autobusie. Jeśli policji udałooby się dojść, kto to zrobił i dlaczego, byłoby wiadomo, czy celem zamachu był sam Danny. Jeżeli był, a policja wyłuska podejrzanych, wszyscy znaleźliby się spory krok bliżej potwierdzenia tego, w co Harry wciąż w głębi serca wierzył – że Danny był niewinny i że go wrobiono. Z

jakiegoś zupełnie nieznanego powodu.

Po raz kolejny rozległ się w jego głowie podszyty strachem głos.

„Boję się, Harry... Nie wiem, co robić... nie wiem, co jeszcze się stanie. Boże, ratuj”.

Harry schodził krętą Via Condotti do Via del Corso i dalej, nie czując senności, przyglądając się wystawom, spacerując z nocnym tłumem. Przed wyjściem zadzwonił do Byrona Willisa, opowiedział mu o spotkaniu z Jacovem Farelem i uczulił na możliwość odwiedzin FBI, a potem przedyskutował sprawę głęboko osobistą – miejsce pochówku Danny’ego.

Ta kwestia – której w natłoku wydarzeń Harry jeszcze nie przemyślał – wypłynęła wraz z telefonem od księdza Bardonięgo, młodego duchownego, którego poznał w mieszkaniu Danny’ego. Brat najwyraźniej nie pozostawił ostatniej woli, oznajmił Bardoni, a dyrektor domu pogrzebowego chciał uzgodnić sprawę przekazania szczątków zmarłego z przedsiębiorcą pogrzebowym w mieście, gdzie zostanie pochowany.

– A gdzie by chciał być pochowany? – zapytał łagodnie Willis.

Harry potrafił jedynie odpowiedzieć:

– Nie wiem...

– Macie kwaterę rodzinną?

– Tak – odparł Harry. Mieli ją w rodzinnym Bath w stanie Maine, na małym cmentarzu ponad Kennebec River.

– Czy tam by mu się podobało?

– Nie mam pojęcia, Byron.

– Harry, kocham cię i wiem, że cierpisz, ale to już musi być twoja decyzja.

Zgodził się z nim, podziękował, a potem wyszedł z hotelu.

Spacerował i rozmyślał; znękany, zakłopotany. Byron Willis był jego najbliższym przyjacielem, lecz Harry nigdy nie rozmawiał z nim jakoś poważniej o swojej rodzinie. Byron wiedział jedynie, że obaj bracia dorastali w nadmorskim miasteczku w Maine, że ich ojciec pracował w stoczni, a Harry otrzymał stypendium studenckie na Harvardzie, gdy miał siedemnaście lat.

Harry w ogóle z nikim nie rozmawiał o swojej rodzinie.

Ani z Byronem, ani z kolegami z uczelni, ani z kobietami; z nikim. Nikt nie wiedział o tragicznej śmierci jego siostry Madeline. I o tragicznej śmierci ojca na skutek wypadku w stoczni rok później. Ani o tym, że matka, zagubiona i zdezorientowana, wyszła ponownie za mąż w niecałe dziesięć miesięcy potem i musieli się przenieść do ciemnego, wiktoriańskiego domu, by zamieszkać z owdowiałym handlarzem mrożonkami, który miał pięcioro swoich dzieci, którego nigdy nie było w domu i dla którego jedynym powodem zawarcia małżeństwa była potrzeba związania się z kimś, kto zajmowałby się domem i dziećmi. I wreszcie o tym, że jako nastolatek Danny miewał nieustannie kłopoty z policją.

Nikt też nie wiedział, że bracia zawarli między sobą pakt, postanawiając wynieść się stamtąd, kiedy tylko się da, by pozostawić wreszcie za sobą te ponure lata, by wyjechać i nigdy nie wrócić – obiecując, że będą sobie wzajemnie w tym pomagać. I nikt nie wiedział o tym, jak wreszcie wyjechali, choć tak różne wybrali drogi.

Wziąwszy pod uwagę to wszystko, jakże mógłby pójść za sugestią Willisa i pochować brata w rodzinnym grobie?

Gdyby Danny nie był martwy, to taka decyzja na pewno by go zabiła! Albo powstałby z grobu, chwycił Harry'ego za gardło i wrzucił go tam zamiast siebie. Cóż więc miał powiedzieć jutro w domu pogrzebowym, gdy dyrektor zapyta go, dokąd ma zostać przewiezione ciało, kiedy przybędzie wraz z Harrym do Nowego Jorku? W innych okolicznościach byłoby to zabawne, nawet śmieszne. Ale nie teraz. Miał do jutra czas na odpowiedź. Na razie nie wiedział, co postanowić.

Pół godziny później był z powrotem w Hasslerze, rozgrzany spacerem i spocony. Podeszedł do recepcji po klucz od pokoju, wciąż nie wiedząc, jak rozwiązać problem. Pragnął jedynie pójść na górę, zwalić się do łóżka i uciec w głęboki sen, wyłączający umysł.

– Chce się z panem zobaczyć jakaś kobieta, panie Addison – oznajmił recepcjonista.

Kobieta? Jedyni ludzie, których znał w Rzymie, to byli policjanci.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście, że tak. – Uśmiechnął się tamten. –

Bardzo atrakcyjna, w zielonej wieczorowej sukni. Czeka w barze ogrodowym.

– Dziękuję. – Harry odszedł od lady. Pewnie ktoś w firmie dowiedział się, że jakaś aktorka akurat jest w Rzymie, i poprosił, żeby go odnalazła, być może pomogła oderwać się od trudnych spraw. Po takim dniu jak dzisiejszy zupełnie nie miał na to ochoty. Nie obchodziło go, kto to może być ani jak wygląda.

Kiedy wszedł, siedziała sama przy barze. Na chwilę zdezorientowały go kasztanowe włosy i szmaragdowa suknia.

Ale twarz znał; widział tę kobietę w telewizji setki razy, jak w baseballówce i polowej kurtce, stanowiących jej znak firmowy, przekazywała korespondencję z Bośni pod ogniem artylerii, relacjonowała skutki terrorystycznego zamachu bombowego z Paryża, opowiadała o obozach uchodźców z Afryki. Nie była aktorką. Nazywała się Adrianna Hall i należała do elity korespondentów WNN, World News Network.

W każdych innych okolicznościach Harry wyszedłby ze skóry, żeby się z nią spotkać. Była w jego wieku lub nieco starsza, przebojowa, lubiąca ryzyko i – jak słusznie zauważył recepcjonista – bardzo atrakcyjna. Adrianna Hall reprezentowała jednak środki przekazu, a na kontakt z nimi nie miał teraz najmniejszej ochoty. Nie miał pojęcia, jak go znalazła, ale znalazła i musiał postanowić, co z tym zrobi.

A może nie musiał. Wystarczy przecież odwrócić się i

wyjsć.

I to właśnie zrobił, rozglądając się i udając, że szuka kogoś, kogo nie może znaleźć.

Był już niemal w holu, kiedy go dogoniła.

– Harry Addison?

Stanął i odwrócił się.

– Tak.

– Jestem Adrianna Hall z WNN.

– Wiem.

– Nie chce pan ze mną rozmawiać – uśmiechnęła się.

– Zgadza się.

Jeszcze jeden uśmiech. Suknia wyglądała na niej zbyt oficjalnie.

– Byłam na kolacji z przyjaciółką i już miałam wychodzić, kiedy zobaczyłam pana. Oddawał pan klucz recepcjoniście. Powiedział mi, że poszedł pan na spacer. Pomyślałam sobie, że może niedługo pan wróci...

– Panno Hall, przykro mi, ale naprawdę nie mam ochoty rozmawiać z dziennikarzami.

– Nie ufa nam pan? – Tym razem uśmiech był w jej oczach, w ich naturalnym prowokującym iskrzeniu.

– Po prostu nie chcę rozmawiać... Wybacz pani, jest już późno. – Harry zaczął się odwracać, lecz chwyciła go za ramię.

– Co mogę zrobić, żeby pan mi zaufał, przynajmniej trochę bardziej niż w tej chwili? – Stała tuż przy nim, oddychając lekko. – Powiedzieć, że wiem o pańskim bracie? I o tym, że policja zabrała pana z lotniska? Że

wczoraj spotkał się pan z Farelem...?

Harry wpatrywał się w nią, zaskoczony.

– Niech się pan tak nie gapi. Wiedzieć, co się dzieje, to moja praca. Nie powiedziałam o tym nikomu oprócz pana i nie powiem, dopóki nie będzie oficjalnego okay.

– A jednak, tak czy inaczej, chce pani wiedzieć, co zamierzam.

– Być może...

Harry zawahał się i uśmiechnął.

– Dzięki, ale jak powiedziałem, jest już późno...

– A gdybym panu powiedziała, że wydał mi się pan bardzo atrakcyjny i tak naprawdę to dlatego czekałam, aż pan wróci?

Harry usiłował się nie skrzywić. Do czegoś takiego był przyzwyczajony w Los Angeles. Do propozycji seksualnych, składanych wprost i z tupetem, zarówno przez mężczyzn, jak i przez kobiety, i przyjmowanych przez drugą stronę albo jako żart, albo poważnie, zależnie od nastroju. Była to w zasadzie przynęta rzucona dla zabawy, żeby zobaczyć, co, jeśli w ogóle cokolwiek, się wydarzy.

– Z jednej strony powiedziałbym, że mi to pochlebia.

Z drugiej, że jest to wyjątkowo podstępny i politycznie niepoprawny sposób zbierania materiału dziennikarskiego. – Harry odbił piłeczkę na jej połowę i nie oddawał pola.

– Tak by pan powiedział?

– Tak bym powiedział.

Z baru wyszło troje starszych ludzi i stanęło obok nich rozmawiając. Adrianna Hall spojrzała na nich, potem na Harry'ego, pochyliła nieco głowę i zniżyła głos.

– A może spróbowałby pan jednak trochę innego podejścia, panie mecenasie... Po prostu czasami lubię się pieprzyć z nieznajomymi – oznajmiła, ani na moment nie odwracając wzroku.

Jej niewielkie mieszkanie było schludne i emanowało zmysłowością. Jak to się czasem zdarza, seks pojawił się nagle i znikąd. Jak gorączka. Jak rzucona zapałka, od której wybucha pożar.

Harry postawił sprawę jasno – kiedy jej odpowiedział, mówiąc „Ja też” – że poruszanie tematu Danny'ego oraz zamordowania kardynała wikariusza Rzymu nie wchodzi w grę. Zgodziła się.

Wzięli taksówkę, a potem przeszli piechotą pół przecznicy, rozmawiając o Ameryce, głównie o polityce i sporcie. Adrianna Hall dorastała w Chicago, a mając trzynaście lat zamieszkała w Szwajcarii. Jej ojciec był obrońcą w Chicago Blackhawks, a następnie został trenerem reprezentacji szwajcarskiej. I już byli na miejscu.

Zamknęła drzwi z cichym trzaśnięciem. Potem podeszła do niego w ciemności. Otworzyła usta, całując go mocno, językiem wyczuwając jego język. On grzbietami dłoni przejechał delikatnie i umiejętnie po gorsie jej sukni, drażniąc piersi i czując, jak twardnieją jej sutki. Jej ręce

rozpięły mu spodnie, zsunęły szorty. Zamknęła dłoń na jego twardości, głaszcząc ją, a potem podniosła suknię i pocierała tą twardością o jedwab swoich majtek, wciąż całując go i oddychając głęboko, jakby to miało być za wszystkie czasy. Harry wysliznął się i zdjął jej suknię przez głowę, a potem odpiął biustonosz i rzucił go w ciemność, a ona pociągnęła go na kanapę, zsuwając szorty z jego kostek i podpełzając wyżej, by wziąć jego twardość w usta. Odchylił głowę, pozwalając jej to robić, a po chwili uniósł się na łokciu, żeby widzieć.

Pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki ogromny.

Wreszcie odsunął jej głowę, wziął Adriannę na ręce i poniósł przez pokój – chichocząc pilotowała go między meblami – i przez krótki korytarzyk do sypialni. Czekał, niczym wampir, gdy szukała w szufladzie prezerwatywy, a potem walczyła z opakowaniem, dysząc i mamrocząc pod nosem; przekleństwa, aż wreszcie rozerwała je i włożyła tę rzecz na niego.

– Odwróć się – wyszeptał.

Z uśmiechem zachwyty usłuchała i ułożyła się twarzą do wezglowia łóżka. Dosiadł jej od tyłu, czując, jak się wsuwa w jej ciepło i zaczął poruszać się powoli w przód i w tył; niemal w nieskończoność.

Jej jęki jeszcze długo tkwiły mu w pamięci. Według obliczeń Harry'ego, doszedł pięć razy w ciągu dwóch godzin; nieźle jak na trzydziestosześcioletka. Czy ona liczyła swoje orgazmy, nie miał pojęcia. Pamiętał tylko,

że nie chciała, żeby u niej zasnął. Całując go powiedziała, żeby wrócił do hotelu, bo ona za dwie godziny musi wstać do pracy.

Środa, 8 lipca; 4.32

Harry rzucił ostatnie spojrzenie na zegar. Czas włókł się.

Nie wiedział, czy w ogóle spał. Wciąż czuł zapach perfum Adrianny, niemal męski, cytrusy i dym. Wstaje do pracy za dwie godziny, powiedziała. Nie do normalnej pracy, jak wszyscy, pojedzie na lotnisko, a następnie samolotem poleci do Zagrzebia, a potem uda się w głąb Chorwacji, by zrobić materiał o gwałceniu praw człowieka przez Chorwatów, którzy wywlekali chorwackich Serbów z domów i zarzynali.

Taka była; tym się zajmowała.

Przypomniał sobie, jak w którymś momencie ich szaleństwa złamał własną zasadę nierozmawiania o Dannym i zapytał, co ona wie o śledztwie w sprawie eksplozji autobusu.

Odpowiedziała od razu, nie próbując choćby tonem głosu dać do zrozumienia, że czuje się wykorzystywana:

– Nie wiedzą, kto to zrobił...

Spojrzał na nią w ciemności, w jej błyszczące oczy wpatrujące się w niego, na łagodnie falujące przy oddechu piersi – próbując się upewnić, czy mówi prawdę. A prawda była taka, że nie wiedział. Dał więc temu spokój. Za dwa dni już go tu nie będzie i zobaczy ją tylko w

telewizji, jak w swojej baseballówce i polowej kurtce informuje skądś o jakichś walkach. Teraz, kiedy na nią patrzył, kiedy się pochylił, żeby pieścić jej pierś, okrążając sutek językiem, liczyło się tylko to, że pragnął jej znowu. A potem znowu. I jeszcze... aż nie zostało w jego głowie nic, co nie było Adrianną. Był egoistą, zgadza się. Ale nie tylko on. W końcu ona to wymyśliła.

Sunął powoli palcami po wewnętrznej stronie jej uda.

Usłyszał, jak zakwiliła, gdy dotarł do lepkiej wilgoci między nogami. W pełni gotowy, uniósł się, żeby na nią wejść, gdy nagle przewróciła go na plecy i dosiadła, nadziewając się mocno na jego erekcję.

Przesunęła się w tył i wparła stopami w materac, a potem pochyliła do przodu, opierając ręce po obu stronach jego głowy, z szeroko otwartymi, wpatrzonymi w niego oczami.

Zaczęła powoli, poruszając się w górę i w dół po całej jego długości. Po mistrzowsku. W każde mierzone pchnięcie wkładając cały swój ciężar. A potem, niczym wioślarz wsłuchany w komendy sternika, nabrała tempa. Poruszała się coraz szybciej, jak dżokej sprawdzający wytrzymałość serca stworzenia, które ujeżdżał. Głośno, mocno, bezlitośnie. Aż sama stała się rumakiem czystej krwi. Pędzącym po wewnętrznej. Czującym smak zwycięstwa i galopującym dziko na finiszu. I nagle w mgnieniu oka zmieniła wszystko w zupełnie nową grę. To, co przedtem było pożądaniem, stało się teraz zmaganiem tytanów.

Nie popełniła błędu, wybierając Harry'ego. Już dawno poprzysiągł sobie być mistrzem w pięknej „sztuce fechtunku” i obserwował teraz każdy ruch kochanki, podążając za nią krok w krok. Pchnięcie za pchnięcie. Zwierzę przeciwko zwierzęciu. Zapierający dech wyścig o wszystko. Tysiąc do jednego, kto wybuchnie pierwszy.

Przecięli linię mety razem. Wśród okrzyków i potu orgazmicznych efektów specjalnych, po których padli obok siebie chwytając haustami powietrze, wyczerpani do cna, z całą swą wewnętrzną maszyną zajężdżoną na amen. Drżący w ciemności.

Harry nie wiedział dlaczego, ale jakaś odległa część jego istoty cofnęła się teraz do tamtego momentu i przyszło mu do głowy, że Adrianna wybrała go nie dlatego, że grał główną rolę w jej sensacyjnym reportażu i chciała z nim nawiązać osobistą relację w sobie właściwym stylu; i nie dlatego także, że zwyczajnie lubiła seks z nieznajomymi – lecz z zupełnie innego powodu. Dlatego, że bała się tego wyjazdu do Zagrzebia, że może to było o jeden raz za dużo i coś się mogło stać, i mogła umrzeć gdzieś w chorwackiej głuszy. Może chciała przedtem jeszcze nacieszyć się życiem.

A Harry okazał się akurat tym, kogo wybrała, żeby jej pomógł.

4.36

Śmierć.

W ciemnym pokoju czterysta trzy w hotelu Hassler odgradzały Harry'ego od wstającego świtu opuszczone

żaluzje i zaciągnięte zasłony, a jednak sen nie chciał przyjść. Świat obracał się, przepływały twarze.

Adrianna.

Detektywi Pio i Roscani.

Jacov Farel.

Ksiądz Bardoni, młody kapłan, który miał zawieźć go wraz ze szczątkami Danny'ego na lotnisko.

Danny.

Śmierć.

Dosyć! Harry zapalił światło, odrzucił kołdrę i wstał.

Podszedł do biurka z telefonem i zaczął przeglądać notatki dotyczące transakcji, nad którymi pracował poprzedniego dnia. Przedłużenie na czwarty rok kontraktu z gwiazdą seriali telewizyjnych, przy podwyżce o pięćdziesiąt tysięcy za odcinek. Umowa z markowym scenarzystą na wygładzenie w ciągu miesiąca scenariusza, który pisano od nowa już cztery razy. Honorarium – pół miliona dolarów. Kolejna umowa, nad którą pracował dwa miesiące, z czołowym reżyserem, na film akcji kręcony na Malcie i w Bangkoku za wynagrodzenie sześć milionów dolarów netto lub dziesięć procent wpływów z rozpowszechniania, nareszcie uzgodniona. I pół godziny później otwarta na nowo, ponieważ odtwórca głównej roli męskiej wycofał się nagle, z sobie tylko wiadomych powodów. W dwie godziny później i po sześciu telefonach wrócił, ale reżyser rozglądał się już za inną pracą. Telefon do aktora jedzącego lunch w modnej restauracji w zachodnim LA, kolejny do szefa studia,

jadącego samochodem gdzieś przez dolinę San Fernando, i jeszcze jeden do reżysera, w jego domu w Malibu, i wreszcie reżyser zgodził się kręcić ten film i zaczął pakować do wyjazdu na Maltę nazajutrz rano.

Kiedy Harry załatwił wszystko, wartość kontraktów, które wynegocjował, wynosiła około siedmiu i pół miliona dolarów. Z czego pięć procent, jakieś trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy, powędruje do jego firmy – Willis, Rosenfeld and Barry. Nie najgorzej jak na kogoś, kto pracował w stresie, na pilocie automatycznym i prawie bez snu, w pokoju hotelowym po drugiej stronie kuli ziemskiej. Dlatego właśnie był tym, kim był, i robił to, co robił... i płacono mu tyle, ile płacono, plus premia, plus prowizja, plus... Harry Addison wypłynął ze swego małego miasteczka naprawdę na szerokie wody. I nagle wydało mu się to wszystko puste i mało ważne.

Zgasił światło i zamknął w ciemności oczy. Nadpłynęły cienie. Chciał je odepchnąć, pomyśleć o czymś innym. Lecz nie przestawały się pojawiać. Sunęły powoli przy odległej, opalizującej ścianie, a potem zawracały i płynęły ku niemu.

Duchy. Jeden, drugi, trzeci, a potem czwarty.

Madeline.

Ojciec.

Matka.

I za nimi...

Danny...

Środa, 8 lipca; 10.00

Schodzili po schodach niemal niesłyszalnie. Harry Addison, ksiądz Bardoni i dyrektor domu pogrzebowego signore Gaspari. Na dole Gaspari poprowadził ich w lewo, długim, pomalowanym na musztardowo korytarzem o ścianach ozdobionych obrazkami scen pasterskich we włoskim pejzażu.

Harry pomacał kieszeń marynarki, chcąc dotknąć koperty, którą otrzymał od Gaspariego, gdy przyszedł. Było w niej kilka osobistych rzeczy Danny'ego, znalezionych na miejscu eksplozji – nadpalony watykański dowód tożsamości, niemal nietknięty paszport, okulary bez prawego szkła, z lewym pękniętym, oraz zegarek. Ostatni z tych czterech przedmiotów miał najbardziej przerażającą wymowę. Ze spalonym paskiem i poczerniałą stałą koperty, ze strzaskanym szkłem, zatrzymał się na godzinie 10.51 trzeciego lipca, ledwie parę sekund po zdetonowaniu senteksu i eksplozji.

Rano Harry podjął decyzję co do pogrzebu. Danny spocznie na małym cmentarzyku po zachodniej stronie Los Angeles. Na dobre czy na złe, Harry mieszkał w tym mieście, tam było jego życie i chociaż spędzał je w stanie ciągłego napięcia emocjonalnego, nie widział powodu, żeby coś zmieniać i przeprowadzać się gdzie indziej. Poza

tym myśl o tym, że Danny będzie blisko niego, działała kojąco. Będzie mógł czasami odwiedzać jego grób, sprawdzać, czy jest zadbany, może nawet porozmawiać. Dzięki temu obaj nie będą samotni i zapomniani. Ironią losu było, że owa fizyczna bliskość mogła teraz złagodzić oddalenie, w jakim trwali przez tyle lat.

– Panie Addison, błagam pana... – ksiądz Bardoni mówił głosem łagodnym i pełnym współczucia – ...dla pańskiego własnego dobra. Niech pozostaną tylko dawne wspomnienia.

– Chciałbym, ojczy, ale nie mogę.

Pomysł otwarcia trumny i zobaczenia go pojawił się w ostatniej chwili, podczas krótkiej jazdy z hotelu. Była to ostatnia z rzeczy, na jakie miał ochotę, wiedział jednak, że jeśli tego nie zrobi, będzie żałował do końca życia. Szczególnie potem, kiedy się zestarzeje i zacznie wspominać.

Gaspari otworzył drzwi, wprowadzając ich do małej salki o przyćmionym oświetleniu, gdzie kilka rzędów prostych krzeseł stało naprzeciw surowego drewnianego ołtarza. Powiedział coś po włosku i wyszedł.

– Poprosił, żebyśmy tu poczekali. – Skryte za czarną ramką okularów oczy Bardoniego spoglądały nań z tym samym uczuciem co przedtem i Harry wiedział, że duchowny poprosi go jeszcze raz o zmianę decyzji.

– Wiem, że ma ksiądz dobre zamiary. Ale proszę przestać... – Harry wpatrywał się w niego przez chwilę, żeby upewnić się, że zrozumiał, po czym odwrócił się i

przyjrzał pomieszczeniu.

Upływ czasu już je sfatygował, podobnie jak resztę budynku. Tynk na ścianach, spękany i nierówny, wielokroć naprawiany, miał ten sam kolor ziemistej żółci, co korytarz.

W kontraście do ciemnego drewna ołtarza i krzeseł, terakotowa posadzka była niemal biała; wytarta przez lata, jeśli nie stulecia, stąpania po niej ludzi, którzy przychodzili tu, siadali, a potem wychodzili, zastępowani przez innych odwiedzających to miejsce z tego samego powodu. Żeby ostatni raz zobaczyć zmarłego.

Harry usiadł na jednym z krzeseł. Ponura procedura identyfikacji i badania zwłok osób zabitych w eksplozji autobusu odbyła się dość szybko i sprawnie, dzięki zatrudnieniu przy niej większej niż zwykle ekipy, na życzenie rządu Włoch, wciąż zaszokowanego zamordowaniem kardynała Parmy. Po ukończeniu tych czynności szczątki ofiar przewieziono – z kostnicy w Istituto di Medicina Legale przy Uniwersytecie Rzymskim – do różnych domów pogrzebowych w okolicy, gdzie umieszczano je w zaplombowanych trumnach i wydawano rodzinom, aby sprawiły pochówek.

Danny'ego, mimo prowadzonego śledztwa, potraktowano tak samo jak pozostałych. I był tu teraz; gdzieś w tym budynku jego pokierszowane ciało czekało na przewiezienie do domu i ostatnią posługę.

Harry mógł – i być może powinien – zostawić to tak, jak było; nie otwierać skrzyni, lecz zabrać ją do Kalifornii

i złożyć w grobie. Ale nie potrafił tak postąpić. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Niezależnie od tego, jak Danny mógł wyglądać, musiał go zobaczyć ostatni raz, uczynić ten ostatni gest mówiący: Tak mi przykro, że nie było mnie z tobą, gdy mnie potrzebowałeś. Że tak się pograżyliśmy w rozgoryczeniu i wzajemnym niezrozumieniu. Że nigdy nie porozmawialiśmy o tym, nie staraliśmy się czegoś z tym zrobić, jakoś spróbować zrozumieć... Musiał powiedzieć mu: Żegnaj; kocham cię i zawsze kochałem, niezależnie od wszystkiego.

– Panie Addison – ksiądz Bardoni stał przed nim – dla pańskiego własnego dobra... Widziałem ludzi nie mniej zdeterminowanych i silniejszych niż pan, zdruzgotanych zupełnie po ujrzeniu czegoś tak nieopisanego... Proszę zaakceptować wolę Boga. Jestem pewien, że brat chciałby, żeby go pan pamiętał takim, jaki był za życia.

Drzwi za duchownym otworzyły się i wszedł mężczyzna o białych, krótko przyciętych włosach. Miał niemal metr osiemdziesiąt wzrostu i otaczała go aura arystokraty, ale także ludzkiej dobroci. Ubrany był w czarną sutannę z czerwonym kardynalskim pasem. Na głowie miał czerwoną piuskę, a na jego piersi wisiał na łańcuchu złoty pektorał.

– Eminencjo... – skłonił się lekko ksiądz Bardoni.

Przybysz skinął głową, lecz patrzył na Harry'ego.

– Jestem kardynał Marsciano, panie Addison. Przybyłem, by panu złożyć wyrazy najgłębszego współczucia. – Angielszczyzna kardynała była bezbłędna,

widać było, że mówi swobodnie. To samo dotyczyło jego zachowania; spojrzenie, mowa ciała, wszystko w nim wyrażało swobodę i roztaczało aurę spokoju.

– Dziękuję, Eminencjo. – Harry, przyjaciel wpływowych ludzi i światowych sław, nie spotkał jeszcze nigdy kardynała, a tym bardziej mającego taką pozycję w Kościele, jak Marsciano. Wychowany w katolickiej rodzinie, choć obecnie daleki od religii i nie uczęszczający do kościoła, poczuł jednak swoją małość. Miał wrażenie, że odwiedziła go głowa państwa.

– Ojciec Daniel był moim osobistym sekretarzem, od wielu lat...

– Wiem.

– I czeka pan teraz tutaj, ponieważ życzy pan sobie zobaczyć go...

– Tak.

– Nie może pan tego wiedzieć, ale ksiądz Bardoni zatelefonował do mnie, kiedy załatwiał pan sprawy z signore Gasparim. Pomyślał, że może mnie się uda przekonać pana... – Na twarzy duchownego pojawił się cień uśmiechu i zaraz zniknął. – Ja go widziałem, panie Addison. Policja poprosiła mnie o identyfikację zwłok. Widziałem okropieństwo tej śmierci. Widziałem, czego potrafią dokonać wynalazki, którymi tak się szczyci ludzkość.

– To nie ma znaczenia... – Mimo obecności Marsciano Harry był już zdecydowany; jego postanowienie miało głęboko osobisty charakter, było sprawą między nim i

Dannym. – Mam nadzieję, że Wasza Eminencja rozumie.

Marsciano milczał przez dłuższą chwilę.

– Tak, rozumiem – powiedział w końcu.

Ksiądz Bardoni zawahał się, a potem wyszedł z sali.

– Jest pan zupełnie taki jak on – rzekł kardynał. – I jest to komplement.

– Dziękuję, Eminencjo.

W tym momencie otworzyły się drzwi obok ołtarza i wszedł Bardoni, a za nim Gaspari i mocno zbudowany mężczyzna w białym fartuchu, pchający przed sobą szpitalne nosze na kółkach. Leżała na nich niewielka trumna, niemal tak mała jak dla dziecka. Harry poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. W środku był Danny, czy też to, co z niego pozostało.

Wziął głęboki oddech i czekał. Jak się należy przygotować na coś takiego? Co się robi? W końcu spojrzał na Bardoniego.

– Niech ksiądz poprosi, żeby otworzyli.

– Jest pan pewien?

– Tak.

Harry zobaczył, że Marsciano kiwa głową. Gaspari zawahał się, a potem jednym ruchem pochylił się i zdjął pokrywę trumny.

Przez chwilę Harry stał bez ruchu. Wreszcie, zebrawszy się w sobie, ruszył przed siebie i spojrzał. I zapało mu dech. To coś leżało na plecach. Prawej strony tułowia prawie nie było.

Tam, gdzie powinna być twarz, widniała potrzaskana

masa kości czaszki i zbitych włosów, z postrzępioną dziurą w miejscu prawego oka. Obie nogi zostały urwane w kolanach. Poszukał wzrokiem rąk, lecz ich nie było. Całość stała się jeszcze bardziej odrażająca przez to, że ktoś włożył zwłokom majtki, żeby uchronić patrzącego przed nieprzyzwoitym widokiem genitaliów, bez względu na to czy były na miejscu, czy też nie.

– O Boże – wydyszał. – O kurwa, o rany boskie. – Przeniknęło go przerażenie, niesmak i poczucie straty. Twarz mu zbieleła i musiał się przytrzymać, żeby nie stracić równowagi. Gdzieś w tle słyszał trajkotanie po włosku i dopiero po chwili zorientował się, że to głos Gaspariego.

– Signore Gaspari przeprasza, że widzi pan brata w takim stanie – powiedział ksiądz Bardoni. – Chciałby już zakryć trumnę i zabrać go stąd.

Harry spojrział na pracownika domu pogrzebowego.

– Proszę mu powiedzieć, że jeszcze nie...

Walcząc ze sobą, odwrócił się, by ostatni raz spojrzeć na zmasakrowane zwłoki. Musi się pozbierać. Pomyśleć. Powiedzieć milcząco Danny'emu to, co chciał powiedzieć.

Zobaczył, że kardynał Marsciano daje znak Gaspariemu, żeby się zbliżył z wiekiem trumny. Jednocześnie jego umysł zarejestrował coś jeszcze.

– Nie! – rzucił ostro i Gaspari znieruchomiał tam, gdzie stał. Harry wyciągnął rękę i dotknął zimnej piersi, po czym przesunął palcami pod lewym sutkiem. Poczuł, że

nogi ma jak z gumy.

– Czy dobrze się pan czuje? – Ksiądz Bardoni ruszył ku niemu.

Harry odsunął się od trumny i spojrział na wszystkich trzech Włochów.

– To nie on. To nie mój brat – oświadczył.

## 14

Harry nie wiedział, co myśleć ani jak się czuć. Nie przyszło mu do głowy, że w trumnie mógłby być ktoś inny niż Danny.

Że po tym wszystkim – po policyjnych procedurach i dochodzeniu prowadzonym przez nie wiadomo ile instytucji, po odnalezieniu rzeczy osobistych brata, po zidentyfikowaniu ciała przez kardynała Marsciano i wystawieniu aktu zgonu – mogli popełnić tak niesłychaną pomyłkę.

Kardynał Marsciano położył mu dłoń na ramieniu.

– Jest pan zmęczony i przepełniony żalem, panie Addison. W takich okolicznościach nasze serca i emocje nie zawsze pozwalają nam myśleć przejrzysto.

– Eminencjo – rzekł ostro Harry. Wszyscy patrzyli na niego: kardynał, ksiądz Bardoni, Gaspari i człowiek w wykrochmalonym białym fartuchu. To prawda, był zmęczony.

I przepełniała go żal. Ale myślał najprzejrzystej w życiu. – Mój brat miał pod lewym sutkiem dużą brodawkę. Widziałem ją tysiące razy. Medycznie nazywa się to dodatkowy sutek. Jako chłopak Danny doprowadzał matkę do szału, pokazując go wszystkim naokoło. Ten tam w trumnie nie ma pod lewym sutkiem brodawki. To nie jest mój brat. Proste.

Kardynał Marsciano zamknął drzwi do biura

Gaspariego i wskazał na dwa złocone krzesła, stojące przed biurkiem.

– Postoję – rzekł Harry.

Marsciano skinął głową i usiadł.

– Ile pan ma lat, panie Addison?

– Trzydzieści sześć.

– A kiedy ostatnio widział pan brata, bez koszuli, czy choćby ubranego, skoro już o tym mowa? Ojciec Daniel był nie tylko moim pracownikiem, był przyjacielem. Przyjaciele się zwierniają, panie Addison... Nie widział się pan z nim przez wiele lat, prawda?

– Eminencjo, ten człowiek to nie mój brat.

– Brodawkę można przecież usunąć. Nawet księdzu.

Ludzie robią takie rzeczy bardzo często. Przypuszczam, że w pańskiej profesji wie pan o tym lepiej ode mnie.

– Ale nie Danny, Eminencjo; każdy, tylko nie on. Jak niemal każdy z nas, brat, dorastając, nie czuł się pewnie.

Podbudowywało go, gdy miał coś, czego nie mają inni. Albo kiedy zachowywał się inaczej niż wszyscy naokoło. Doprowadzał matkę do szału, bo rozpiął koszulę i pokazywał to ludziom. Lubił myśleć, że to jest jakiś jego tajemny szlachecki znak, że tak naprawdę jest potomkiem królów.

Musiałby się zmienić bardzo głęboko, wręcz nieopisanie, żeby usunąć ten dodatkowy sutek. To była jego odznaka honorowa, dawała mu poczucie odrębności.

– Ludzie się zmieniają, panie Addison – rzekł łagodnie półgłosem kardynał. – A ojciec Daniel zmienił się bardzo

przez te lata, kiedy go znałem.

Harry przez dłuższą chwilę patrzył na niego w milczeniu.

Gdy się odezwał, mówił cichszym, lecz równie zdecydowanym tonem.

– A czy nie jest możliwe, że w kostnicy po prostu pomylili zwłoki? Może jakaś inna rodzina ma Danny’ego, nic o tym nie wiedząc? W końcu trumny są zapieczętowane...

Przecież coś takiego jest całkiem prawdopodobne!

– Panie Addison, szczątki, które pan widział, są tymi, które ja zidentyfikowałem – odpowiedział ostro, wręcz z oburzeniem, kardynał. – Po okazaniu mi ich przez włoskie władze. – Marsciano porzucił już rolę pocieszyciela; ton jego głosu był teraz zgryźliwy i nie znoszący sprzeciwu. – W autobusie były dwadzieścia cztery osoby, proszę pana.

Przeżyło osiem. Piętnaścioro ofiar rozpoznały bez cienia wątpliwości ich rodziny. Pozostała więc tylko jedna... – kardynał znów na moment stał się ludzki i współczujący. – Ja też miałem nadzieję, że popełniono błąd. Że to może być ktoś inny, a ojciec Daniel jest gdzieś daleko, nieświadom niczego. Ale przedstawiono mi fakty, dowody – głos Marsciano znów nabrał ostrości. – Pański brat często odwiedzał Asyż i rozpoznała go co najmniej jedna osoba, znająca go z widzenia, kiedy wsiadał do autobusu.

Firma przewozowa przez całą drogę była w kontakcie radiowym z kierowcą. Zatrzymał się tylko przy wjeździe

na autostradę, żeby zapłacić. Nigdzie poza tym. Nikt więc nie mógł już wysiąść przed wybuchem. Na miejscu znaleziono jego rzeczy osobiste. Okulary, które doskonale pamiętam, bo często się zapominał i zostawiał je na moim biurku; watykańską legitymację w kieszeni poszarpanej marynarki, którą zdjęto ze zwłok... Nie da się zmienić prawdy, panie Addison, brodawka czy nie brodawka. Prawda zaś, czy chce pan w to wierzyć, czy nie, jest taka, że on nie żyje. A to, co zostało z jego cielesnej powłoki, oglądał pan właśnie przed chwilą... – Marsciano przerwał i Harry spostrzegł, że jego nastrój ponownie się zmienił; w oczach kardynała pojawił się jakiś cień. – Rozmawiał pan z policją i z Jacovem Farelem, prawda? My wszyscy też... Czy pański brat brał udział w spisku mającym na celu zabicie kardynała Parmy?

A może nawet Ojca Świętego? Czy to on strzelał? Czy był w głębi duszy komunistą, który miał nas w pogardzie? Nie potrafię odpowiedzieć. Ale powiem panu, że przez te wszystkie lata znałem go jako dobrego, uczciwego człowieka, świetnie wykonującego swoją pracę, która polegała na sprawdzaniu mnie. – W oczach duchownego pojawił się i zaraz zniknął cień uśmiechu.

– Eminencjo – powiedział z napięciem w głosie Harry.  
– Czy wiadome było Waszej Eminencji, że brat zostawił mi na sekretarce automatycznej wiadomość na kilka godzin przed śmiercią?

– Mówiono mi.

– Był przerażony; bał się czegoś, co się mogło stać. Czy

Wasza Eminencja nie domyśla się dlaczego?

Marsciano milczał przez dłuższą chwilę, a potem przemówił cichym, lecz stanowczym tonem:

– Panie Addison, niech pan zabierze brata z Włoch.

Niech go pan pochowa na rodzinnej ziemi i kocha dalej, aż do końca życia. Niech pan uzna, tak jak ja to zrobiłem, że został fałszywie oskarżony i że pewnego dnia zostanie to dowiedzione. I niech to panu na razie wystarczy.

Ksiądz Bardoni przyhamował, przepuszczając autobus, i skręcił białym fiatem w Ponte Palatino, wioząc Harry’ego z domu pogrzebowego na drugi brzeg Tybru, z powrotem do hotelu. Rzym, skąpany w ostrym słońcu południa, był o tej porze hałaśliwy; na ulicach panował gęsty ruch. Lecz Harry widział i słyszał tylko własne myśli.

„Niech pan zabierze brata z Włoch i pochowa na rodzinnej ziemi” – powtórzył Marsciano, odjeżdżając ciemnoszarym mercedesem z człowiekiem Farela za kierownicą.

Kardynał nie bez powodu wspomniał o policji i Jacovie Farelu; nie bez powodu nie odpowiadał także na indagacje Harry’ego. Jego życzliwość objawiała się właśnie w ten sposób, że nie powiedział wprost, o co chodzi, pozostawiając resztę domyślności Harry’ego. Zamordowano kardynała, a ksiądz oskarżony o tę zbrodnię też został zabity.

Jak również jego wspólnik, hiszpański komunista. Oraz szesnaście innych osób, które znalazły się w autobusie do

Asyżu. Czy Harry chciał w to wierzyć, czy nie, zwłoki znalezione na miejscu eksplozji oficjalnie i niepodważalnie uznano za szczątki ojca Daniela Addisona, domniemanego zamachowca.

Żeby upewnić się, iż Harry zrozumiał, kardynał Marsciano uczynił na koniec jeszcze coś: odwrócił się i wpatrywał w niego surowym wzrokiem, gdy schodził ze schodów do auta. To spojrzenie mówiło więcej niż jakiegokolwiek słowa czy sugestie. W tym wszystkim czai się niebezpieczeństwo, Są drzwi, których nie należy otwierać. I najlepiej będzie, jeśli Harry przyjmie to, co mu zaoferowano, i wyjedzie jak najszybciej i bez hałasu. Dopóki jeszcze może.

Ispettore Capo, Gianni Pio Questura di Roma sezione omicidi

Harry siedział w pokoju hotelowym, obracając w dłoni wizytówkę Pia. Ksiądz Bardoni podwiózł go pod hotel przed samą dwunastą; umówili się, że nazajutrz o szóstej trzydzieści przyjedzie zabrać go na lotnisko. Trumna już tam będzie, odprawiona. Wystarczy wsiąść do samolotu i odlecieć.

Problem polegał na tym, że mimo kardynalskiego ostrzeżenia Harry nie mógł tego zrobić. Nie potrafił zabrać do kraju ciała i pochować go jako Danny'ego, skoro wiedział w głębi duszy, że to nie Danny. Poza tym pochowanie tych zwłok ułatwiłoby śledczym oficjalne zamknięcie dochodzenia w sprawie zabójstwa kardynała wikariusza Rzymu. A to, praktycznie biorąc, oznaczałoby, że Danny już na zawsze pozostanie jego mordercą. Po spotkaniu z Marscianem Harry był więcej niż pewien, iż jest to nieprawda.

Nie wiedział jednak, co z tym zrobić i jakie działanie będzie najszybsze.

W Rzymie była dwunasta trzydzieści; wpół do czwartej rano w Los Angeles. Do kogo mógłby teraz zatelefonować?

Kto będzie mógł zrobić cokolwiek poza okazaniem współczucia? Nawet gdyby Byron Willis mógł mu

załatwić przez firmę jakiegoś dobrego prawnika, który reprezentowałby go w Rzymie, będzie to możliwe dopiero za kilka ładnych godzin.

A co potem? Spotkają się, Harry opowie wszystko i znajdzie się znów w punkcie wyjścia. Tu nie chodziło tylko o błędnie zidentyfikowane ciało; sprawa dotyczyła morderstwa dostojnika watykańskiej hierarchii. Wszyscy natychmiast znaleźliby się pod ostrzałem mediów, a Harry, jego firma i klienci trafiliby na czołówki gazet. Nie, musi znaleźć inną drogę. Wejść w to od środka, poprosić o pomoc kogoś, kto już zna sprawę.

Spojrzał znów na wizytówkę Pia. Czemu by nie włoski dochodzeniowiec z wydziału zabójstw? Łączy ich już pewna relacja; Pio zachęcał go do dalszych kontaktów. Musiał komuś zaufać. I chciał wierzyć, że może zaufać temu policjantowi.

12.35

Ktoś w biurze Pia poinformował go po angielsku, że ispettore capo wyszedł, ale niech Harry zostawi numer telefonu, to oddzwoni. I tyle. Oddzwoni. Tylko kiedy?

12.55

A jeśli Pio się nie odezwie? Harry nie miał pojęcia, co wówczas zrobi. Najlepszym wyjściem wydawało się zaufanie inspektorowi i jego fachowości, i czekanie z nadzieją, że tamten zatelefonuje przed wpół do siódma rano.

13.20

Harry wziął prysznic i właśnie się golił, gdy rozległ się

dzwonek telefonu. Natychmiast chwycił słuchawkę z półeczki nad zlewem, brudząc ją żelem Ralf Lauren.

– Pan Addison? – To był Jacov Farel; tego głosu się nie zapominało. – W sprawie brata pojawiły się nowe okoliczności. Pomyślałem, że będzie pan zainteresowany.

– Mianowicie?

– Wolałbym, żeby pan to zobaczył osobiście. Znaleziono coś na miejscu eksplozji. Przyślę po pana kierowcę. Ja tam dojadę osobno.

– Kiedy?

– Może być za dziesięć minut?

– Dobrze, za dziesięć minut.

Kierowca nazywał się Lestingi czy Lestini. Harry nie rozumiał jego wymowy i nie dopytywał się, ponieważ mężczyzna najwyraźniej nie mówił po angielsku. Wsiadł więc do kasztanowego opla, ubrany w dżinsy, adidas, białe polo i ciemne okulary na nosie. Oparł się wygodnie i patrzył na przesuwaną się za oknem Rzym.

Denerwująca była już sama myśl o ponownym spotkaniu z Farelem, lecz wyobrażanie sobie, co też tamten mógł znaleźć na miejscu eksplozji, było jeszcze bardziej niepokojące. Najpewniej było to coś potwierdzającego winę Danny'ego.

Lestingi czy Lestini, w firmowym czarnym garniturze „żołnierzy” Farela, zwolnił przed rogatką, a potem przyśpieszył i wjechał na autostradę. Miasto natychmiast znalazło się za nimi. Wokół rozciągały się tylko winnice i wiejskie gospodarstwa.

Opel sunął na północ; jedynym słyszalnym odgłosem był szum opon na asfalcie i pomrukiwanie silnika. Minęli drogowskazy na Feronię, Fiano i Civitella San Paolo. Harry pomyślał znów o Pio i o tym, że wolałby, żeby to on zatelefonował, a nie Farel. Pio i Roscani byli twardymi policjantami, ale przynajmniej mieli w sobie coś ludzkiego. Farel natomiast – ze swą prezencją, masywną posturą i chrapliwym głosem, ze szklistym spojrzeniem, którym przewiercał człowieka na wskroś – wydawał się jakąś bestią, bezwzględną i pozbawioną sumienia.

Może musiał być taki. Może to dlatego, że – jak stwierdził – odpowiadał za bezpieczeństwo całej społeczności Watykanu. I samego papieża. Może po prostu człowiek obarczony takim stresem i odpowiedzialnością zmieniał się po pewnym czasie w kogoś, kim w głębi duszy nie był.

## 16

Dwadzieścia minut później kierowca zjechał z autostrady, zapłacił przy wyjeździe i pojechali szosą, mijając stację benzynową i jakąś rolniczą przetwórnę. Dalej po obu stronach drogi były już tylko pola kukurydzy. Przejechali kilometr, dwa, pięć. Autobus wyleciał w powietrze na autostradzie, tymczasem wciąż się od niej oddalali.

– Dokąd właściwie jedziemy? – zapytał nagle Harry.

Kierowca spojrział nań w lusterku i pokręcił głową.

– Non capisco inglese.

W ciągu ostatnich kilkunastu minut nie napotkali żadnego innego pojazdu. Harry obejrzał się przez ramię, potem spojrział przez przednią szybę. Łany dojrzałej kukurydzy wyrastały powyżej auta. Na lewo i prawo odchodziły polne wiejskie drogi, oni jednak jechali prosto. Już dziewięć kilometrów. Niepokój Harry'ego wzrastał. Wtem poczuł, że samochód zwalnia. Spojrział na szybkościomierz. Osiemdziesiąt na godzinę, sześćdziesiąt, czterdzieści, dwadzieścia.

Kierowca skręcił raptownie w prawo, zjeżdżając z szosy w długą, zrytą koleinami drogę. Harry instynktownie spojrział na zamki drzwiczek, sprawdzając, czy kierowca zatrzasnął je elektronicznie.

Ale zamków nie było.

Tylko dziury w tapicerce w miejscach, gdzie powinny

być.

Po chwili zdał sobie sprawę, że to wóz policyjny, a tylne drzwiczki takich samochodów nigdy nie miały zamków i można je było otwierać tylko od zewnątrz.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, tym razem głośniej. Czuł, jak zaczyna mu walić serce, a dłonie robią się lepkie od potu.

– Non capisco inglese.

Kierowca znów spojrział na niego w lusterku i przycisnął gaz. Samochód przyśpieszył, podskakując i zarzucając na wybojach. Za oknem migały szpalery kukurydzy. Harry złapał się oparcia, żeby utrzymać równowagę. Pocił się obficie. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bał.

Nagle za kolejnym zakrętem pojawiła się przed nimi polana z nowoczesnym piętrowym budynkiem. Na zeschniętej trawie stała szara alfa romeo, a obok trzykołowy pojazd rolniczy. Opel zwolnił i zatrzymał się. Kierowca wysiadł i obszedł samochód, chrząszcząc butami po żwirze. Otworzył tylne drzwiczki i gestem kazał Harry'emu wysiąść.

– Kurwa mać – zaklął Harry pod nosem.

Wysiadł powoli, obserwując ręce tamtego, usiłując coś wymyślić na wypadek, gdyby mężczyzna wykonał jakiś podejrzany ruch. Wtem ujrzał, że otwierają się drzwi domu i wychodzi z nich dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Farel, a drugim – Harry poczuł przypływ ulgi – detektyw Pio.

Za nimi pojawił się trzeci mężczyzna i dwóch chłopców.

Harry spojrzął za dom i wydał z siebie głębokie westchnienie.

Za budynkiem, na końcu szpaleru drzew zobaczył sznur pojazdów na autostradzie. Zatoczyli po prostu wielkie koło i zajechali pod dom od tyłu.

– Ispettore Capo wszystko panu wyjaśni. – Farel zatrzymał na chwilę spojrzenie na Harrym. Potem odwrócił się i razem z Piem podszedł do tyłu alfy romeo. Dopiero gdy detektyw otworzył bagażnik, Harry zobaczył, że obaj mają na rękach rękawiczki chirurgiczne, a Pio niesie coś w plastikowej torbie.

Włożywszy pakunek do bagażnika, detektyw zdjął rękawiczki i wyciągnął notatnik. Wypełnił jakiś formularz i podał go Farelowi, który podpisał papier, oderwał oryginał i po złożeniu wsunął do kieszeni marynarki.

Farel rzucił jeszcze spojrzenie na Harry'ego, po czym skłonił się mężczyźnie, który wyszedł za nimi z domu i wsiadł do opla. Rozległ się warkot silnika i szurgot kół na żwirze i Farel z kierowcą, który przywiózł Harry'ego, odjechali.

Tylko kłęb pyłu nad podjazdem świadczył, że w ogóle byli w tym miejscu.

– Grazie – rzekł Pio do wieśniaka i jego synów.

– Prego – odparł tamten, po czym zabrał chłopców i wrócił do budynku.

Pio spojrzał na Harry'ego.

– To jego synowie. Oni to znaleźli, – Co znaleźli?

– Pistolet.

Detektyw podszedł z nim do tyłu samochodu i pokazał, co schował do bagażnika. Były to pozostałości pistoletu,

w zapieczętowanej przezroczystej torebce na dowody rzeczowe. Przez plastik widać było nieduży pistolet automatyczny z założonym na lufę tłumikiem. Błękitny metal broni był przypalony, polimerowe uchwyty całkiem stopione.

– Jest naładowany, panie Addison – powiedział Pio. – Prawdopodobnie wyleciał z autobusu, kiedy ten się wywrócił; w przeciwnym razie amunicja by eksplodowała i rozerwała go na strzępy.

– Sugeruje pan, że należał do mojego brata?

– Niczego nie sugeruję, panie Addison. Tyle że turyści; zmierzający do Asyżu raczej nie noszą przy sobie pistoletów automatycznych z tłumikiem... Dla pańskiej informacji, to jest llama piętnaście. Mały automat. – Pio zatrzaskał bagażnik. – Produkcji hiszpańskiej.

Jechali w milczeniu połą drogą wśród wysokiej kukurydzy. Alfa podskakiwała na koleinach; za nimi podnosił się pył. Na szosie Pio skręcił w lewo, ku wjazdowi na autostradę.

– Gdzie pański partner? – próbował przerwać ciszę Harry.

– Wziął wolne, syn będzie bierzmowany.

– Telefonowałem do pana...

– Wiem. Dlaczego?

– Chciałem porozmawiać o tym, co się stało w domu pogrzebowym.

Pio nie odpowiedział, skupiony na prowadzeniu, jakby czekał, aż Harry skończy.

– Nie wie pan? – Harry był autentycznie zdumiony.

Był przekonany, że Farel już się dowiedział i poinformował przynajmniej Pia.

– O czym?

– Poszedłem tam, żeby zobaczyć ciało brata. To nie jest on.

Pio odwrócił się ku niemu.

– Jest pan pewien?

– Tak.

– Pomylili się w domu pogrzebowym i tyle... – Pio wzruszył ramionami. – To się niestety zdarza. A szczególnie w takich okoli...

– Ale to są te same zwłoki, które zidentyfikował w kostnicy kardynał Marsciano – wszedł mu w słowo Harry.

– Skąd pan wie?

– Był tam i mi to powiedział.

– Marsciano przyszedł do domu pogrzebowego?

– Tak.

Pio wydawał się szczerze zaskoczony, jego reakcja nie była udawana. Harry'emu to wystarczyło, żeby się zdecydować na wyjawienie mu wszystkiego. W pół minuty opowiedział o brodawce Danny'ego i wyjaśnił, dlaczego nie mogła zostać usunięta. Powiedział też o rozmowie w cztery oczy z Marscianem w gabinecie Gaspariego i naleganiu kardynała, żeby zaakceptował przedstawione mu ciało jako szczątki brata. I wyjechał z Włoch, dopóki jeszcze może.

Pio zatrzymał się przy rogatece, wziął kwitek i ruszył

autostradą do Rzymu.

– Jest pan pewien, że to nie pan się myli?

– Absolutnie – Harry był nieugięty.

– Wie pan, że na miejscu znaleziono także osobiste rzeczy brata...

– Mam je tutaj – Harry poklepał kieszeń marynarki, do której włożył kopertę otrzymaną od Gaspariego. – Paszport, zegarek, okulary i legitymacja watykańska. To wszystko jego. Ale ciało nie.

– I uważa pan, że kardynał Marsciano wiedział...

– Tak.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jest to jeden z najpotężniejszych ludzi w Watykanie?

– Kardynał Parma też był.

Pio przyglądał mu się przez chwilę, po czym spojrział w lusterko wsteczne. Kilkaset metrów za nimi jechał ciemnozielony renault, z tą samą co oni prędkością i od dłuższego już czasu.

Pio sprawdził drogę przed sobą, przyśpieszył, wyprzedzając ciężarówkę z tarcicą, i zjechał na pas przed nią.

– Wie pan, co bym myślał, gdybym był panem? – rzucił, nie odrywając wzroku od szosy.

– Czy mój brat żyje? A jeśli tak, to gdzie jest? – Harry spojrział z ukosa na Pia.

Możliwość, że Danny żyje, przyszła mu do głowy, gdy tylko zdał sobie sprawę, że to nie jego zwłoki. Nie pozwolił sobie jednak myśleć w ten sposób. Danny był w

autobusie.

Liczba ocalonych się zgadzała. Nie było więc możliwe, żeby przeżył. Tak jak nie było możliwe, żeby przeżyła Madeline, będąc tak długo pod wodą. A jednak Harry stał tam – jedenastoletek w przemoczonym i zamarzającym ubraniu, odmawiający pójścia do domu, żeby się przebrać – i patrzył na krzątanicę nurków. Tak, Madeline była w tej lodowatej czarnej wodzie, mokra i zmarznięta jak on; był jednak pewien, że wciąż żyje. Ale nie żyła. I Danny też nie żył.

Zastanawianie się nad tym oznaczało nie tylko brak realizmu; było po prostu bolesnym samooszukiwaniem się.

– Każdy by tak pomyślał, panie Addison. Kiedy fakty się zmieniają, powraca nadzieja. A jeśli faktycznie żyje? Też chciałbym mieć pewność. Tak czy inaczej, może spróbujemy się dowiedzieć, jak jest? – Pio uśmiechnął się, nie całkiem bezinteresownie, i ponownie spojrzął w lusterko.

Znaleźli się u stóp długiego podjazdu; ciężarówka była już ponad kilometr za nimi. Zaczął ją wyprzedzać jakiś samochód, a gdy wyprzedził, zjechał z powrotem na jej pas.

Zielony renault.

Kiedy zjechali z autostrady, było już po szesnastej. Poruszali się w rzece pojazdów płynącej Via Salaria, ku centrum miasta. Pio zachowywał czujność, przez cały czas wypatrując renaulta w lusterku. Spodziewał się, że za rogatką pojedzie za nimi, i zamierzał wezwać przez radio posiłki. Renault jednak pojechał dalej autostradą.

Jego obecność i to, że jechał za nim tak długo, stanowiły mimo wszystko wystarczający powód do niepokoju. Obserwował więc drogę w lusterku, jednocześnie wyjawiając Harry'emu, co wymyślił.

Pomysł polegał na tym, żeby zatrzymać Harry'ego w Rzymie pod pretekstem dodatkowych przesłuchań. W związku ze znalezieniem broni pojawiła się konieczność porozmawiania jeszcze raz z ocalałymi pasażerami autobusu. Należało ich wypytać, czy któryś nie zauważył człowieka z pistoletem. Pytanie takie nie mogło paść wcześniej, ponieważ nie było powodu przypuszczać, że w autobusie w ogóle był ktoś taki; poza tym większość ocalonych jeszcze nie całkiem otrząsnęła się z szoku. Było oczywiście także możliwe, że pistoletu użyto przeciwko któremuś z podróżnych, a dzięki tłumikowi reszta niczego nie usłyszała. Byłby to czyn zuchwały, na który poważyłby się tylko zawodowiec. Ale dobrze wykonana robota mogła być całkiem skuteczna – ofiara wyglądałaby na śpiącą i nikt by niczego nie zauważył aż

do przybycia autobusu na miejsce i rozejścia się pozostałych pasażerów.

Dzięki takiemu uzasadnieniu zyskaliby sposobność dokładnego przepytania wszystkich jeszcze raz. Wybadania żywych i obejrzenia martwych. Zaczną od ósemki ocalonych.

Niektórzy leżeli jeszcze w szpitalu, innych odesłano do domów. Jeżeli ojca Daniela wśród nich nie ma – a Pio był pewien, że nie – zabiorą się do zabitych, utrzymując, że szukają śladów ran postrzałowych, czegoś, co uprzednio łatwo mogło zostać przeoczone ze względu na stan ciał i mały kaliber broni. Dzięki temu wszystkie zwłoki zostaną jeszcze raz starannie przebadane, tym razem trochę inaczej, gdyż będą szukali konkretnej osoby, Daniela Addisona. Jeżeli mimo to nie natrafią na jego ciało, będzie można zacząć domniemywać, że człowiek oskarżany o zamordowanie kardynała Parmy wciąż znajduje się wśród żywych.

Prawdziwy cel poszukiwań będzie znał Roscani, ale tylko on jeden. Nie ujawnią go nikomu innemu, nawet Farelowi.

– Powiem panu szczerze, panie Addison – Pio zatrzymał się na czerwonym świetle – że możemy się posuwać naprzód tylko dopóty, dopóki Farel się nie dowie. Gdy to się stanie, on wszystko zablokuje.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, o jakim powiedział panu kardynał Marsciano. Jeśli to wszystko ma coś wspólnego

z polityką Watykanu, Farel utnie sprawę i tyle. Dochodzenie zostanie zamknięte, a nam zabronią dalej je prowadzić.

Watykan to suwerenne państwo, nie część Włoch. My mamy współpracować ze Stolicą Apostolską i pomagać jak tylko się da. Jeżeli nas nie zaproszą, nie wchodzimy.

– I co wtedy?

Światło się zmieniło i Pio ruszył manewrując biegami.

– Koniec. Chyba że pójdzie pan do Farela. Ale on panu nie pomoże, to więcej niż pewne.

Harry spostrzegł, że Pio znów zerka w lusterko. Robił to dość często na autostradzie, ale wtedy nie było w tym niczego nietypowego; zwykła ostrożność kierowcy. Teraz jednak jechali przez miasto, a detektyw zrobił to już trzeci raz w ciągu kilku minut.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Nie wiem...

Dwa auta za nimi jechał mały biały peugeot. Pio widział go, odkąd skręcili w Via Salaria. Teraz skręcił w lewo, w Via Chiana, i w prawo, w Corso Trieste. Peugeot trzymał się za nimi.

Przed sobą mieli przecnicę przylegającą do niewielkiego parku i Pio wjechał w nią, przyśpieszając nagle i skręcając ostro w prawo bez kierunkowskazu. Alfa pochyliła się na bok, zapiszczały opony. Pio natychmiast zwolnił, patrząc w lusterko. Peugeot pojawił się w polu widzenia, ale nie skręcił, tylko pojechał dalej.

– Przepraszam. – Policjant znów dodał gazu. Byli w

spokojnej dzielnicy za parkiem. Stare budynki przetykane nowymi. Wielkie drzewa, bujne krzewy i wszędzie kwitnące oleandry. Pio skręcił za róg i ponownie spojrzął w lusterko.

Peugeot.

Wyskoczył właśnie z bocznej uliczki i, przyśpieszając, pędził wprost na nich. Pio instynktownie wyciągnął dziewięćmilimetrową berettę z uchwytu pod deską rozdzielczą i położył broń na siedzeniu obok. Jednocześnie sięgnął po nadajnik.

– Co się dzieje? – Harry poczuł strach.

– Nie wiem – inspektor zerknął w lusterko. Peugeot był tuż za nimi. Przednią szybę miał przyciemnianą, nie dało się zobaczyć kierowcy. Pio wcisnął gaz. – Ispettore Capo Pio – rzucił do mikrofonu.

– Uważaj! – krzyknął zbyt późno Harry.

Z przecznicy przed nimi wyjechała nagle ciężarówka, blokując drogę. Rozległ się potworny pisk opon i zaraz potem ogłuszający łomot, gdy alfa rąbnęła z całą siłą w ciężarówkę. Impet zderzenia rzucił Pia do przodu; uderzył głową w kierownicę. Harry też poleciał w przód, lecz zatrzymało go szarpnięcie pasa.

Otworzyły się drzwiczki po jego stronie. Mignęła mu jakaś twarz, a potem dostał w głowę czymś twardym i zapadł w ciemność.

Pio podniósł głowę i ujrzał swoją berettę w dłoni w rękawiczce. Chciał się ruszyć, ale trzymał go pas. Zobaczył odrzut własnego pistoletu w obcej ręce i

wydawało mu się, że słyszy straszliwy huk. Ale się mylił.  
Była już tylko cisza.

## 19

Szpital Świętej Cecylii. Pescara, Włochy.  
W dalszym ciągu środa, 8 lipca; 18.20.

Siostra zakonna i pielęgniarka Elena Voso minęła stojącego przy drzwiach mężczyznę i weszła do sali. Jej pacjent leżał na boku, tak jak go zostawiła, i spał. Nazywała to snem, chociaż od czasu do czasu otwierał oczy i potrafił mrugnąć w odpowiedzi, gdy ścisnęła mu palec u ręki lub stopy i pytała, czy coś czuje. Potem znów zamykał oczy i pozostawał taki jak w tej chwili.

Zbliżało się wpół do siódmej wieczorem i powinna go znowu odwrócić. Człowiek przy drzwiach jej pomoże. Wszyscy, którzy pełnili służbę, pomagali jej w tym co dwie godziny; odwracanie zapobiegało uszkodzeniom tkanki mięśniowej, które mogły prowadzić nie tylko do odleżyn, lecz także do niewydolności nerek. Poproszony przez nią mężczyzna złapie chorego za ramiona, a ona za stopy i ostrożnie przewrócą go z pleców na bok, szczególnie uważając na kroplówkę i złamane nogi w niebieskich szynach z włókna szklanego, a także bandaże okrywające oparzenia.

Michael Roark, lat trzydzieści cztery. Obywatel Irlandii.

Zamieszkały w Dublinie. Kawaler, bezdzietny. Bez rodziny.

Wyznania rzymskokatolickiego. Ranny w wypadku samochodowym w pobliżu Pescary, miasteczka nad Adriatykiem, w poniedziałek szóstego lipca. Trzy dni po okropnej eksplozji autobusu jadącego do Asyżu.

Elena Voso należała do Kongregacji Sióstr Franciszkanek Serca Jezusowego. Miała dwadzieścia siedem lat, a pielęgniarką była od pięciu. Pracowała na oddziale intensywnej opieki medycznej szpitala Świętego Bernarda w Sienie, w Toskanii. Do małego katolickiego szpitalika na wzgórzu nad Adriatykiem przyjechała zaledwie dzień wcześniej, przydzielona do tego pacjenta w ramach nowego programu zgromadzenia. Miał on na celu przyzwyczajanie młodszych siostrzyczek do pracy z dala od macierzystego klasztoru i przygotowanie ich do działania w nagłych wypadkach, do których mogły być wzywane w przyszłości. Poza tym, choć nikt tego nie powiedział, przysłano ją tu także dlatego, że znała angielski i mogła się porozumieć z pacjentem, gdy zacznie przychodzić do siebie – jeżeli zacznie.

– Nazywam się Elena Voso. Jestem pielęgniarką zakonną. Ty się nazywasz Michael Roark. Jesteś w szpitalu we Włoszech. Miałeś wypadek samochodowy. – Tych kilka zdań powtarzała wciąż od nowa, usiłując dodać mu otuchy, w nadziei, że usłyszy i zrozumie. Nie było to wiele, ale wiedziała, że sama chciałaby coś takiego usłyszeć, gdyby znalazła się w podobnej sytuacji. Szczególnie, że on nie miał rodziny; żadnej znajomej twarzy, którą mógłby rozpoznać.

Mężczyzna przy drzwiach, imieniem Marco, miał zmianę od piętnastej do dwudziestej trzeciej. Starszy od Eleny o rok czy dwa, był silny, przystojny i mocno opalony. Powiedział, że jest rybakiem i pracuje w szpitalu, kiedy połowy słabo idą. Wiedziała, że jest karabinierem, funkcjonariuszem policji państwowej, bo jej to powiedział. Wcześniej w ciągu dnia widziała go rozmawiającego z innymi carabinieri, gdy spacerowała po lugotnare, nadmorskiej drodze, podczas krótkiej przerwy w pracy. Zauważyła też wybrzuszenie pod jego szpitalnym fartuchem i domyśliła się, że to pistolet.

Po odwróceniu Michaela Roarka Elena sprawdziła poziom płynu w kroplówce i podziękowała Marcowi z uśmiechem. Potem przeszła do pokoju obok, gdzie mogła się przespać, poczytać lub napisać list, w każdej chwili gotowa zareagować, gdyby coś się działo.

Jej pokój, jak i ten, w którym leżał Irlandczyk, był normalnym pokojem szpitalnym z własną toaletą i prysznicem, małą szafą i łóżkiem. Wdzięczna była szczególnie za toaletę i prysznic, gdzie mogła zażyć samotności, niedostępnej we wspólnych łazienkach w klasztorze. Jej osoba, jej ciało i myśli należały tutaj wyłącznie do niej samej, jeśli nie liczyć Boga.

Zamknęła drzwi i siadając na łóżku, żeby napisać list do domu, spojrzała na czerwoną lampkę monitora stojącego na nocnym stoliku. Równy oddech Irlandczyka był dobrze słyszalny; dzięki elektronice mogło się niemal wydawać, że pacjent jest tuż przy niej.

Oparła się o poduszki i słuchała, jak oddycha – mocnym, zdrowym, wręcz energicznym rytmem. Zaczęła sobie wyobrazać, że jest przy niej, przytomny i w dobrej kondycji, tak muskularny i przystojny, jakim na pewno był przed wypadkiem. Im dłużej słuchała, tym ten oddech wydawał się jej bardziej zmysłowy. Czuła niemal, jak jego ciało przyciska się do niej. Oddychała razem z nim, ich piersi unosiły się i opadały w tym samym rytmie. Oddychała coraz głębiej, głośniejsze od niego. Poczowała, że gładzi się dłonią po piersi.

Sięgnęła ku mężczyźnie, pragnąc go dotykać, poznawać jego ciało w sposób o wiele bardziej prowokacyjny i uczuciowy niż wówczas, gdy opatrywała jego rany.

– Przestań! – szepnęła do siebie.

Zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki, przemyć twarz i ręce zimną wodą. Bóg znowu wystawił ją na próbę. W ciągu ostatnich dwóch lat czynił to coraz częściej.

Nie była pewna, kiedy dokładnie zaczęła miewać takie doznania, nie wydarzyło się też nic, co by je zapowiadało. Po prostu się pojawiły, właściwie znikąd. I wprawiły ją w zdumienie. Była w nich głębia, zmysłowość i erotyzm. Odczuwała tak silny głód fizyczny i emocjonalny, jakiego nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu. Nie mogła o tych odczuciach powiedzieć nikomu, a już na pewno nie rodzinie, konserwatywnej w starym katolickim stylu. Z pewnością także nie innym zakonnicom, a w żadnym razie nie matce przełożonej. Uczucia jednak powracały,

wciąż te same – pulsowały w niej niemal nieopanowanym pragnieniem znalezienia się nago w ramionach mężczyzny, bycia kobietą w najpełniejszym znaczeniu tego słowa. I nie tylko po prostu kobietą, lecz w dodatku dziką i lubieżną, jak te Włoszki, które widziała na filmie.

Początkowo odganiała te emocje, traktując je jako wyraz swego awanturniczego ducha. Miał on zawsze związek z jej fizycznością, przejawiając się w odwadze i czasem nadmiernej impulsywności. Kiedyś na wycieczce we Florencji przeraziła rodziców, podbiegając do samochodu, który miał właśnie straszliwe zderzenie z taksówką, i wyciągając z niego nieprzytomnego kierowcę na sekundy przed wybuchem baku.

Już jako zakonnica, podczas pikniku z grupą siostrzyczek od Świętego Bernarda wdrapała się na szczyt trzydziestometrowej wieży radiowej, żeby ściągnąć stamtąd chłopca, który w przypiływie odwagi wlaź na górę, a potem zmarł ze strachu i tylko płakał, wczepiony kurczowo w konstrukcję.

W końcu jednak uzmysłowiła sobie, że odwaga fizyczna i pożądanie seksualne to nie to samo. I wtedy nagle zrozumiała. To działa Bóg!

Poddawał próbie jej wewnętrzną siłę, jej uroczyste zobowiązanie do przestrzegania czystości i posłuszeństwa. I z każdym dniem ta próba była trochę trudniejsza. Zawsze jednak udawało się jakoś przez nią przejść; podświadomość nagle uzmysławiała jej, co się dzieje, pomagając zawrócić znad samej przepaści. Tak jak teraz.

Kiedy to czyniła, nabierała odwagi i przekonania, że ma dość siły, by oprzeć się pokusom podsuwanym jej celowo przez Niego.

Jakby dla udowodnienia sobie tego, pozwoliła umysłowi zwrócić się ku Marcowi, strzegącemu drzwi na korytarzu.

Ku jego silnemu ciału. Błyszczącym oczom. Uśmiechowi.

Nie wspominał, czy jest żonaty, ale nie nosił obrączki i zastanawiała się, czy po pracy pokłada się do woli z kobietami.

Mógł to robić, jeśliby chciał; był bez wątpienia przystojny.

Lecz jeśli tak, będzie to robił z innymi kobietami, nie z nią.

Dla niej był po prostu człowiekiem, który tu pracował.

Wiedziała, że postrzegając go w ten sposób, może bezpiecznie o nim myśleć, co zechce. Powiedział, że ma wyszkolenie pielęgniarza, podobnie jak jego koledzy. Ale skoro tak, to czemu nosi broń? To pytanie zwróciło jej myśl ku pozostałym strażnikom – krępemu Luce, który miał zmianę w nocy, oraz Pietrowi, zaczynającemu o siódmej rano. Ciekawe, czy też są uzbrojeni. A jeśli tak, to po co? Cóż mogło komukolwiek grozić w tym spokojnym nadmorskim miasteczku?

Rzym; 18.45

Rosciani obszedł samochód dookoła. Poza obrębem policyjnych barier widział wpatrzone w siebie twarze ludzi, zastanawiających się pewnie, czy jest kimś ważnym.

W krzakach przy chodniku, kilka metrów za alfa, znaleziono drugie zwłoki. Starszego mężczyznę bez dokumentów, zabitego dwoma strzałami – w serce i w lewe oko.

Zostawił go Castellettiemu i Scali, dwóm innym inspektorom z wydziału zabójstw. Jego interesowała przede wszystkim alfa romeo. Przednia szyba auta była rozbita, cały przód zgnieciony od zderzenia z ciężarówką, w którą alfa wbiła się tuż obok baku, położonego zaraz za drzwiczkami szoferki.

Kiedy się zjawiał na miejscu, ciało Pia wciąż było w samochodzie. Obejrzał je, nie dotykając, kazał zrobić zdjęcia i nagranie wideo, a potem zabrać do kostnicy.

Powinni znaleźć jeszcze trzecie ciało, ale go nie było. Ten Amerykanin, Harry Addison, jechał z Piem; wracali z gospodarstwa, gdzie znaleziono pistolet. Ale Addison zniknął.

Pistolet także. W zamku bagażnika wciąż tkwiły kluczyki, jakby ktoś wiedział dokładnie, gdzie szukać

broni.

We wnętrzu alfy, na tylnym siedzeniu za kierowcą leżała beretta kaliber dziewięć milimetrów, najwyraźniej narzędzie zbrodni, ciśnięte tam jakby przypadkowo. Plamy krwi znaleźli po stronie pasażera, na górze fotela, tuż pod zagłówkiem. Na dywaniku po tej samej stronie były ślady butów, nie nazbyt wyraźne, ale niewątpliwe. I wszędzie odciski palców.

Technicy zbierali próbki, oznaczali je, wkładali do torebek na dowody. Na miejscu było też dwóch fotografów. Jeden robił zdjęcia leicą, drugi kręcił film kamerą Sony Hi-8.

I była ciężarówka – wielki dostawczy mercedes, którego kradzież zgłoszono wczesnym popołudniem. Kierowca zniknął.

Ispettore Capo Otello Roscani wsiadł do swego ciemnoniebieskiego fiata i powoli przejechał poza linię barierek mijając zbiegowisko. Policyjne reflektory iluminowały miejsce przestępstwa niczym plan filmowy, rozjaśniając ciemność gapiom i dając dodatkowe oświetlenie telewizyjnym kamerzystom, uwijającym się jak w ukropie.

– Ispettore Capo!

– Ispettore Capo!

To do niego wołali. Chcieli wiedzieć, kto to zrobił. Czy to ma związek z zabójstwem kardynała Parmy? Kim są ofiary?

Kogo podejrzewacie? I dlaczego?

Rosciani widział to wszystko i słyszał. Ale nie miało to znaczenia. Jego myśli skupiły się na Pio i na chwilach bezpośrednio przed jego śmiercią. Gianni Pio nie należał do ludzi, którzy popełniają błędy, ale dzisiejszego popołudnia tak się stało. Jakoś dał się podejść.

Na razie – przed sekcją, bez wyników z laboratorium – Roscaniemu pozostawały tylko pytania. Pytania i smutek.

Gianni Pio był ojcem chrzestnym jego dzieci, przyjacielem i partnerem od ponad dwudziestu lat. Jechał teraz przez Rzym ku dzielnicy Garbatella, gdzie mieszkał Pio, żeby zobaczyć się z jego żoną i dziećmi. Wiedział, że jest tam już jego własna żona, starając się ich jakoś pocieszyć. I usiłował trzymać osobiste odczucia na wodzy. Było to obowiązkiem policjanta; wymagał tego także szacunek dla Pia. Traktowanie sprawy osobiście przeszkodziłoby Roscaniemu w osiągnięciu najważniejszego teraz celu.

W odnalezieniu Harry’ego Addisona.

## 21

W dalszym ciągu środa, 8 lipca.

W tym samym czasie Thomas Kind stał w mroku, przyglądając się siedzącemu na krześle mężczyźnie. W pokoju było jeszcze dwóch ludzi, ubranych w drelichowe kombinezony; stali gdzieś z tyłu.

Pomogą mu, jeśli będzie trzeba; chociaż nie będzie. No i załatwią sprawę już później, co powinno być całkiem proste.

Kind miał trzydzieści dziewięć lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i szczupłą sylwetkę. Ważył najwyżej siedemdziesiąt kilogramów; był w doskonałej formie. Miał krótko ostrzyżone czarne włosy i tego samego koloru spodnie, buty i sweter, toteż trudno go było dojrzeć w ciemności. Poza bladą cerą zwracał uwagę głęboki błękit jego oczu.

Mężczyzna na krześle szarpnął się, ale nic więcej nie mógł zrobić. Ręce i nogi miał związane, usta zaklejone szerokim plastrem.

Thomas Kind podszedł bliżej; przyglądał mu się przez chwilę, po czym okrążył krzesło.

– Spokojnie, towarzyszu – rzekł cicho. Cierpliwość i spokój były najważniejsze. Tak żył na co dzień. Zawsze zrównowagony, oczekujący na odpowiedni moment. Thomas Jose Alvarez-Rios Kind, Ekwadorczyk z

angielskiej matki, mógłby tak o sobie napisać w życiorysie. Cierpliwy.

Staranny. Wykształcony. Wielojęzyczny. Do tego były aktor, a teraz jeden z najbardziej poszukiwanych na świecie terrorystów.

– Spokojnie, towarzyszu – usłyszał znów Harry. Męski głos, ten sam co przedtem. Spokojny, równy. Z poprawnym brytyjskim akcentem. Zdawało mu się, że przemieszcza się gdzieś za nim, ale nie był pewien. Wszystko zagłuszał łomot w głowie. Wiedział jedynie, że siedzi, że ma związane ręce i nogi, a usta zaklejone plastrem. I że jest ciemno. Nie miał jednak niczego na głowie, żadnego kaptura ani opaski.

Mimo to, choć się wykręcał i odwracał, ciemność była wszechogarniająca. Żadnych cieni ani smugi światła spod drzwi. Tylko czerń.

Zamrugał. I jeszcze raz, kręcąc głową na boki. Chciał się mylić. Ale nie mylił się. I nagle dotarło do niego, że niezależnie od tego, co się wydarzyło, gdzie się znajduje i jaki to dzień, jest niewidomy!

– Nie! Nie! Nie! – krzyknął, głosem stłumionym przez plaster na ustach.

Thomas Kind postąpił ku niemu.

– Towarzyszu – rzekł tym samym spokojnym półgłosem – jak się miewa twój brat? Podobno żyje i ma się dobrze.

Nagle z ust Harry’ego został zerwany plaster. Krzyknął, jednocześnie z zaskoczenia i z bólu.

– Gdzie on jest? – głos się przybliżył.

– Nie... wiem... czy on... żyje. – Usta i gardło miał jak pokryte papierem ściernym. Próbował jakoś je zwilżyć, ale brakowało mu śliny.

– Pytałem o twojego brata. Gdzie on jest?

– Poproszę... trochę... wody.

Kind uniósł małego pilota. Odnalazł kciukiem guzik i wcisnął go.

Harry zobaczył w oddali punkcik światła i aż podskoczył.

Naprawdę to widzi, czy to tylko złudzenie?

– Gdzie jest twój brat, towarzyszu? – Tym razem głos dobiegał z za jego lewego ucha.

Światło zaczęło się z wolna przybliżać.

– Ja... – Harry znów usiłował przełknąć – ...nie... wiem.

– Widzisz światło?

– Tak.

Punkcik się jeszcze przybliżył.

– Dobrze.

Palec Kinda nacisnął inny guzik.

Harry ujrzał, że światełko zmienia tor i nieznacznie się przesuwa w stronę jego lewego oka.

– Masz mi powiedzieć, gdzie jest brat. – Głos przemieścił się za jego prawe ucho. – Musimy go znaleźć.

– Nie wiem.

Światło zbliżało się do lewego oka, coraz jaśniejsze. Przerażony ślepotą zapomniał o dudnieniu w głowie. Ale

wróciło wraz ze światłem. Powolne, jednostajne łomotanie, przybierające na sile w miarę przybliżania się jasności.

Harry szarpnął się na bok, usiłując odwrócić głowę; coś twardego jednak nie pozwalało mu na to. Spróbował w drugą stronę. To samo. Naparł do tyłu. Nie był jednak w stanie uniknąć światła.

– Na razie jeszcze nie czujesz bólu. Ale poczujesz – usłyszał głos.

– Proszę... – Harry zaciskał powieki, najmocniej jak się dało.

– To nic nie da. – Brzmienie głosu nagle się zmieniło.

Pierwszy głos należał do mężczyzny, a teraz chyba mówiła kobieta.

– Nie mam... pojęcia... czy mój... brat... w ogóle żyje, Skąd... mogę wiedzieć... gdzie... on jest?

Światelko zwężyło się, promień podjechał w górę, poruszając się ponad lewym okiem Harry'ego, aż znalazł środek.

– Nie, błagam...

– Gdzie jest twój brat?

– Zabity!

– Nie, towarzysz. On żyje, a ty doskonale wiesz, gdzie jest.

Świetlny punkt był już centymetry przed jego okiem.

Coraz jaskrawszy. Łomot w głowie narastał. Światło przysunęło się, niczym igła wbijana od zewnątrz w jego mózg.

– Przestańcie! – wrzasnął Harry. – O Boże! Przestańcie!  
Błagam!

– Gdzie on jest? – Mężczyzna.

– Gdzie on jest? – Kobieta.

Thomas Kind sam odgrywał dwie osoby, modulując głos.

– Powiedz i światło zgaśnie. – Mężczyzna.

– Światło zgaśnie. – Kobieta.

Przemawiali spokojnie, wręcz łagodnie.

Łomot przemienił się w grzmot. Najgłośniejszy, jaki słyszał w życiu, potwornie dudniący w głowie. Światło zaś pełzło ku centrum jego mózgu; rozgrzana do białości igła, przepalająca się w kierunku dźwięku. Żeby się z nim złączyć.

Jaskrawsza od czegokolwiek, co widział w życiu. Nawet od łuku spawalniczego. Od jądra słońca. Ból stał się wszystkim; tak straszliwy, że Harry był pewien, iż nawet śmierć go nie powstrzyma. Że podąży za nim w przerażającą wieczność.

– Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem! Boże! Boże!  
Przestańcie! Przestańcie! Błagam! Błagam! ...Błagam...

Wszystko zgasło.

Rzym. Pokój Addisona w hotelu Hassler,  
Czwartek, 9 lipca; 6.00

Niczego nie dotykali. Neseser i notatki Harry'ego leżały na stole obok telefonu, tak jak je zostawił. To samo dotyczyło ubrań w szafie i przyborów toaletowych w łazience.

Jedynym nowym elementem był podsłuch w obu telefonach – w pokoju i łazience, oraz miniaturowa kamera umieszczona za kinkietem naprzeciwko drzwi. Wszystko to było częścią planu realizowanego przez Gruppo Cardinale, specjalny zespół utworzony na mocy dekretu ministra spraw wewnętrznych Włoch w reakcji na żarliwe apele parlamentarzystów, Watykanu, Carabinieri i policji, rozlegające się po zamordowaniu kardynała wikariusza Rzymu.

To morderstwo i wysadzenie w powietrze autobusu jadącego do Asyżu połączono już w jednym dochodzeniu, uznając za elementy tego samego przestępstwa. Pod egidą Gruppo Cardinale zgromadzono śledczych z Carabinieri, ze Squadra Mobile policji włoskiej oraz z DIGOS, specjalnej grupy dochodzeniowej zajmującej się przestępstwami o domniemanym podłożu politycznym. Wszyscy oni podlegali szefowi Gruppo Cardinale, którym został prokurator Marcello Taglia. Choć powszechnie

szanowany Taglia istotnie koordynował działania owych rozmaitych agend policyjnych, nikt nie miał wątpliwości, kto jest naprawdę II responsabile – prowadzącym zespół: Ispettore Capa Otello Roscani.

8.30

Roscani odwrócił się. Wiedział aż za dobrze, do czego służy podczas sekcji piła tarczowa. Odcinano nią szczyt czaszki, żeby można było wyciągnąć mózg. Potem wyjmą resztę, rozbierając ciało Pia niemal na kawałki, próbując dowiedzieć się czegoś ponad to, co już ustalili. Roscani nie miał pojęcia, co by to mogło być. Informacje, które zgromadził do tej pory, wystarczały do ustalenia zabójcy Pia ponad wszelką wątpliwość.

Należąca do ofiary beretta kaliber dziewięć milimetrów okazała się istotnie narzędziem zbrodni; znaleziono na niej kilka wyraźnych odcisków palców. Większość należała do Pia, ale dwa nie – jeden z lewej strony kolby, drugi z prawej strony osłony spustu.

Zwrócono się o pomoc do FBI w Los Angeles, które z kolei poprosiło kalifornijski wydział komunikacji w Sacramento o kopię podania o prawo jazdy Harry'ego Addisona, zamieszkałego pod dwa tysiące siedemdziesiąt pięć Benedict Canyon Drive w Los Angeles. W trzydzieści minut później komputerowo wzmocniona kopia, z odciskiem kciuka Addisona, została przefaksowana do kwatery głównej Gruppo Cardinale w Rzymie. Wzór linii papilarnych zgadzał się dokładnie z odciskiem znalezionym na kolbie beretty.

Po raz pierwszy w życiu Rosciani skrzywił się na odgłos piły, dobiegający zza zamykających się za nim drzwi. Przeszedł korytarzem i wszedł na schody Obitorio Comunale, miejskiej kostnicy. Robił to już w życiu setki razy. Widział martwych policjantów. Zabitych sędziów. Ciała zamordowanych kobiet i dzieci. Przy całym tragizmie tych chwil potrafił jednak zachować profesjonalny dystans. Ale nie tym razem.

Rosciani był policjantem, a policjanci ginęli bez przerwy.

Tę prawdę wbijano im codziennie do głowy w instytucie.

Mieli ją zaakceptować w całości. Tragiczna i smutna, stanowiła jednak rzeczywistość. A kiedy się objawiała, należało być gotowym do potraktowania jej z całym profesjonalizmem. Oddać honory ofierze i żyć dalej; bez gniewu, wściekłości czy nienawiści dla zabójcy. Był to istotny element przygotowania do zawodu, który wybrali.

I wydawałoby się – dobrego przygotowania. Aż do dnia, w którym stanie się przy zwłokach partnera i ujrzy krew, strzaskane kości i poharatane ciało. Groteskowe dzieło dokonane przez kule. A potem zobaczy się to jeszcze raz, kiedy ekipa medyczna przystępuje do pracy w kostnicy.

Wtedy człowiek pojmuje, że w ogóle nie jest na to przygotowany. Nikt nie może być przygotowany, choćby przeszedł nie wiadomo jaki trening czy szkolenie, choćby wszyscy twierdzili co innego. Poczucie straty i wściekłość

ogarniają człowieka niczym pożar, przyćmiewając wszystko. To dlatego, gdy ginął glina, na pogrzebie zjawiali się policjanci z najodleglejszych okręgów, nawet z zagranicy. Dlatego kondukt pięciuset umundurowanych mężczyzn i kobiet na motocyklach, oddających w uroczystej procesji cześć towarzyszowi ze służby, nie był widokiem niezwykłym, nawet gdy chowano nowicjusza czy zwykłego „krawężnika”.

Roscani szarpnął gniewnie boczne drzwi i wyszedł w poranne słońce. Jego ciepło powinno mu przynieść ulgę po chłodzie piwnicznych pomieszczeń; ale nie przynosiło. Okrążał budynek dłuższą drogą, mając nadzieję, że emocje opadną; lecz nie opadały. Wreszcie skręcił za róg i zszedł po rampie na ulicę, gdzie zostawił samochód. Smutek, żal i gniew niemal go miażdżyły.

Minął swoje auto i zszedłszy z krawężnika, zaczekał, aż przejadą samochody, przeszedł na drugą stronę i ruszył przed siebie. Potrzebował teraz assoluta tranquillita, jak to nazywał – rodzaju wzniosłej ciszy, spokojnych chwil w samotności, żeby przemyśleć wszystko jak należy. Potrzebował tego czasu szczególnie teraz, żeby emocje wywietrzały, żeby mógł zacząć myśleć jak dochodzeniowiec z Gruppo Cardinale, a nie zdruzgotany, rozjątrzony partner Gianniego Pio.

Czasu ciszy i przemyśleń.

Bardzo długiego spaceru.

Thomas Kind odsunął zasłonę i patrzył przez okno na ludzi w kombinezonach, którzy prowadzili Harry'ego Addisona przez podwórze. Wydobył już od niego to, co chciał, a przynajmniej tyle, ile się dało; teraz tamci po prostu mieli się go pozbyć.

Harry widział tylko na prawe oko. A i to bardziej cienie niż jakieś obrazy. Lewe oko nie widziało i nie czuło niczego.

Inne zmysły powiedziały mu, że jest na dworze, prowadzony po twardej nawierzchni przez chyba dwóch ludzi. Gdzieś w nim błąkało się wspomnienie, jak siedzi na stołku czy czymś takim, wysłuchuje instrukcji i powtarza głośno słowa, przekazywane mu do słuchawek przez ten sam głos, co przedtem. Pamiętał to tylko dlatego, że ktoś spierał się z kimś o umocowanie słuchawek na jego uszach. Większość rozmowy toczyła się po włosku. Padło jednak także parę słów po angielsku. Że są za duże; że to wszystko popsuje, bo będzie je widać.

Nagle tuż przy nim męski głos odezwał się ostro po włosku – ten sam, pomyślał, który kłócił się o słuchawki. Chwilę później czyjaś ręka popchnęła go od tyłu i niemal upadł. To przywróciło mu nieco jasność myślenia; uświadomił sobie, że chociaż ręce ma wciąż związane za plecami, uwolniono mu nogi. Szedł o własnych siłach i zdawało mu się, że słyszy ruch uliczny. Umysł odzyskał

jeszcze trochę przejrzystości i podpowiedział mu, że skoro może iść, to może także biec.

Nic nie widział i nie mógł się posłużyć rękami. Znów go popchnięto. Mocno. Przewrócił się i krzyknął, uderzając o ziemię i szorując twarzą po chodniku. Usiłował się przetoczyć, ale ktoś nadepnął mu na pierś i przytrzymał nogą.

Usłyszał, że gdzieś blisko ktoś podnosi jakąś ciężką rzecz, potem rozległ się brzęk i koło jego ucha coś przeciągnięto, jakby żelazo po kamieniach. Po chwili podniesiono go za ramiona i postawiono. Poczuł pod stopami metalowe szczeble i zmuszono go, żeby zszedł po drabince. Natychmiast zrobiło się ciemno i pojawił się wszechogarniający fetor.

Drugi głos męski zaklął i odbił się echem. Słysząc było szum płynącej wody. Odór był nie do wytrzymania. I Harry już wiedział. Sprowadzono go do kanału ściekowego.

Ktoś odezwał się po włosku.

– Prepararsi?

– Si. – To głos ze słuchawek.

Poczuł szarpnięcie przy nadgarstkach. Usłyszał trzask i ręce miał wolne.

Klik. Niemożliwy do pomylenia z czymś innym, metaliczny odgłos odbezpieczanego pistoletu.

– Sparagli. Zastrzel go.

Harry w odruchowej reakcji cofnął się, zakrywając rękami twarz.

– Sparagli!

Rozległ się ogłuszający huk. Coś uderzyło go w rękę.

Potem w głowę. Impet pchnął go do wody.

Nie widział twarzy strzelającego, który stanął nad nim.

Ani drugiego mężczyzny, który trzymał latarkę. Nie widział tego, co ujrzeli oni: olbrzymiej ilości krwi zalewającej lewą stronę jego twarzy, zlepiającej włosy i spływającej strugą do wody.

– Morto – szepnął ktoś.

– Si.

Strzelec przyklęknął, zepchnął ciało Harry'ego do szybciej płynącej wody głównego kanału i patrzył, jak odpływa z nurtem.

– I topi faranno U resto – powiedział. Myszy załatwią resztę.

## Questura; komenda główna policji Harry

Addison siedział z obandażowaną głową, ubrany w białą niegdyś koszulkę polo, džinsy i ciemne okulary; strój, który miał na sobie opuszczając hotel Hassler około trzynastej trzydzieści dzień wcześniej. Prawie trzydzieści godzin temu.

Piętnastosekundowe nagranie wideo z poszukiwanym Harrym Addisonem dotarło anonimowo do Sala Stampa della Santa Sede, Salonu Prasowego Stolicy Apostolskiej, o piętnastej czterdzieści pięć tego popołudnia, z wiadomością, że ma natychmiast zostać pokazane papieżowi. Zamiast tego odłożono je na półkę i nie otwierano do około szesnastej pięćdziesiąt. Wówczas przesłano je od razu do biura Farela, gdzie, po obejrzeniu przez kogoś niższego rangą, zanesiono je bezpośrednio do samego szefa. Około osiemnastej w ciemnym pokoju projekcyjnym oglądali już film: Farel, szef Gruppo Cardinale prokurator Marcello Taglia, Roscani, inspektorzy Castelletti i Scala z wydziału zabójstw oraz kilka innych osób.

„Danny, proszę cię, żebyś się ujawnił... Poddaj się” mówił po angielsku Harry, a tłumacz od Roscaniego przekładał jego słowa na włoski.

Addison siedział na wysokim drewnianym stołku w

zaciemnionym pokoju, zwrócony do ekranu lewym profilem; był sam. Ścianę za nim pokrywała chyba fakturalna tapeta.

Poza ścianą i Harrym w ciemnych okularach i z opatrunkiem na głowie nic więcej nie było widać.

„Wiedzą o wszystkim... Błagam, ze względu na mnie... Ujawnij się... Proszę”. – Nastąpiła przerwa, głowa Harry’ego zaczęła się odwracać, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, i nagranie raptem się urwało.

– Dlaczego mnie nie poinformowano, że ksiądz być może jeszcze żyje? – Roscani spojrzeli na Taglię i Farelą, gdy zapaliło się światło.

– Sam dowiedziałem się chwilę przed tym, jak przynieśli mi ten film – odparł Farel. – To się stało wczoraj, kiedy Amerykanin poprosił o otwarcie trumny, a potem zaklinał się, że to nie są zwłoki jego brata. Mogła to być prawda, ale równie dobrze kłamstwo... Był tam kardynał Marsciano.

Odniósł wrażenie, że Amerykanin jest na krawędzi wyczerpania emocjonalnego. A dzisiaj po południu, dowiedziawszy się o okolicznościach śmierci Pia, kardynał przysłał do mnie księdza Bardonego.

Roscani wstał i przeszedł przez pokój. Był poirytowany.

Powinni byli powiedzieć mu o tym natychmiast. Poza tym nigdy zbyt blisko się z Farelem nie kochali.

– A pan i pańscy ludzie nie macie oczywiście pojęcia, skąd pochodzi to nagranie – powiedział.

Farel utkwiał spojrzenie w jego oczach.

– Gdybyśmy wiedzieli, Ispettore Capo, coś byśmy już z tym zrobili, nie sądzi pan?

– Dlaczego to uczynił? – odezwał się po raz pierwszy Taglia; szczupły, ubrany w ciemny prążkowany garnitur, o sposobie bycia sugerującym arystokratyczne pochodzenie.

– Poprosił o otwarcie trumny? – spojrzał nań pytająco Farel.

– Tak.

– Z tego, co wiem, podchodził do sprawy bardzo emocjonalnie; chciał się pożegnać z bratem po raz ostatni... Brat to brat... A kiedy zobaczył, że to nie są zwłoki ojca Daniela, zareagował pod wpływem chwili, bez zastanowienia.

Roscani znów przemierzył pokój; starał się ignorować szorstkość Farela.

– Załóżmy, że to prawda. Addison popełnił błąd... dlaczego w takim razie dzień później zakłada, że brat żyje i błaga go o ujawnienie się? W dodatku sam będąc poszukiwany za morderstwo?

– To gra – rzekł Taglia. – Martwią się, że jeśli żyje, mógłby coś wygadać, kiedy go złapiemy. Więc brat wzywa ojca Daniela, żeby go mogli zlikwidować.

– Ten sam człowiek, który tak emocjonalnie prosił o możliwość spojrzenia po raz ostatni na ciało brata, teraz go wzywa na pewną śmierć?

– Może to właśnie był powód. – Farel odchylił się na

krześle. – Może jest to bardziej wykalkulowane, niż się wydaje. Może poczuł, że wszystko wygląda inaczej, niżby wskazywały na to pozory.

– To dlaczego ogłasza o tym wszem wobec? Ojciec Daniel oficjalnie nie żyje. Czemu nie zostawił tego tak, jak jest?

Policja raczej nie szukałaby nieżyjącego człowieka. A skoro on uważał, że brat żyje, mógł go przecież szukać sam, nie robiąc tyle szumu.

– Ale gdzie? – powiedział Taglia. – Może wygodniej mu jest poczekać, aż go znajdzie policja.

Roscani zapalił papierosa.

– Nagranie jednak przysłali papieżowi, a nie nam. Dlaczego? Przecież nas znają.

– Dlatego – rzekł Farel – że chcieli, aby to się dostało do mediów. Bez pozwolenia Gruppo Cardinale nikt by tego nie puścił. Wysyłając wideo papieżowi, mieli nadzieję, że zainterweniuje osobiście. Poprosi mnie, bym was przycisnął.

Całe Włochy wiedzą, jakim szokiem i wstrząsem było dla niego zamordowanie kardynała wikariusza i jak ważne jest, żeby zabójca został schwytany i osądzony.

– I poprosił pana? – zapytał Roscani.

– Tak – odparł Farel.

Roscani wpatrywał się weń przez chwilę, po czym odszedł na bok.

– Musimy założyć, że skalkulowali swoje szanse – powiedział. – Wiedzą, że jeśli zdecydujemy się nie dawać

nagrania mediom, stracimy możliwość uzyskania pomocy społeczeństwa w poszukiwaniach. Jeżeli film udostępniemy, a on żyje i zobaczy to w telewizji, i zdecyduje się pójść za namową brata, możemy dopaść go przed nimi. A wówczas może nam powie to, czego ujawnienia tak bardzo się boją.

– Najwyraźniej chcą jednak zaryzykować – rzekł Taglia.

– Najwyraźniej... – Rosciani zgasił papierosa i powiódł spojrzeniem po obecnych.

– Jest jeszcze jedna kwestia – Farel wstał, zapinając marynarkę. – Jeśli media dostaną nagranie, będziemy musieli dać im także fotografię księdza, a co ważniejsze, ujawnić szczegóły, które dotychczas były całkowicie tajne... Konsultowałem się w tej sprawie z sekretarzem stanu kardynałem Palestriną; on także się zgadza, że niezależnie od osobistych uczuć papieża, jeśli sprawa przeniknie do opinii publicznej, Stolica Apostolska zostanie wciągnięta w skandal, jakiego nie widziano od kilkudziesięciu lat. I to w momencie kiedy poparcie dla Kościoła jest raczej dalekie od powszechnego.

– Pragnę przypomnieć, że mówimy o morderstwie! – Rosciani zgromił watykańskiego funkcjonariusza wzrokiem.

– Radzę panu zachować dystans do pańskich osobistych pasji, Ispettore Capo. Warto, żeby pan pamiętał, iż to między innymi z ich powodu nie został pan mianowany szefem zespołu dochodzeniowego. – Farel spoglądał przez

dłuższą chwilę na Roscaniego, po czym zwrócił się do Taglii.

– Ufam, że podejmie pan właściwą decyzję...  
Powiedziawszy to, wyszedł.

Kolejny raz Roscani musiał podjąć wysiłek zignorowania Farela. Watykański strażnik był gburowaty i szorstki w obejściu, kiedy mu to odpowiadało, a Stolicę Apostolską stawiał ponad wszystkim, jak gdyby chodziło w tej sprawie wyłącznie o jej dobro. Tak właśnie się zachowywał w kontaktach z innymi, a szczególnie z policjantami nie podlegającymi jego władzy, takimi jak Roscani, który był człowiekiem o wiele bardziej odeń refleksyjnym i o wiele mniej związanym z polityką. Codziennosc Roscaniego polegała na mozolnym rozwiązywaniu spraw, najlepiej jak potrafił, niezależnie od ich charakteru i wysiłku, jakiego to wymagało. Taką samą postawę starał się wyrobić w synach, a sam odziedziczył ją po ojcu. Jego ojciec był z zawodu brakarzem oraz wytwórcą wyrobów skórzanych. Zmarł na atak serca we własnym sklepie w wieku lat osiemdziesięciu, kiedy próbował podnieść pięćdziesięciokilogramowe kowadło.

Jeśli więc było się kimś takim i wiedziało o tym, człowiek po prostu usiłował lekceważyć ludzi pokroju Farela i kierować energię ku rzeczom bardziej konstruktywnym i przydatnym we własnej pracy. Takim, jak na przykład komentarz Scali na temat nagrania. Po wyjściu Farela detektyw zwrócił uwagę na opatrunek na głowie Harry'ego Addisona i stwierdził, że

prawdopodobnie został on ranny podczas zderzenia samochodu Pia z ciężarówką. Jeżeli tak i jeśli opatrywał go jakiś lekarz, mogliby spróbować go poszukać i tym tropem dotrzeć do Amerykanina.

Castelletti, nie chcąc pozostać w tyle, spisał z kolei z kasety jej numery seryjne. Kto wie, dokąd mógł zaprowadzić taki ślad? Od producenta do hurtowni, a dalej do sieci handlowej, do konkretnego sklepu i wreszcie do sprzedawcy, który mógł pamiętać, że sprzedawał ją komuś szczególnemu.

Spotkanie się skończyło i w pokoju zostali tylko Rosciani z Taglią. Ten drugi musiał podjąć decyzję, ten pierwszy jej wysłuchać.

– Rozumiem, że chciałby pan przekazać kasetę mediom.

I jak w tym programie „American Most Wanted”, liczyć na to, że widzowie pomogą nam znaleźć tych ludzi – powiedział łagodnie prokurator.

– Czasami to działa.

– A czasami poszukiwani chowają się jeszcze głębiej...

Ale są i inne okoliczności. To, o czym mówił Farel. Delikatna materia całej sprawy. I możliwe reperkusje dyplomatyczne w stosunkach pomiędzy Włochami i Watykanem. Papież może pragnąć osobiście jednej rzeczy, ale Farel nie bez przyczyny wspomniał nazwisko kardynała palestriny. To on tak naprawdę jest strażnikiem świętego watykańskiego ognia i wizerunku Stolicy Apostolskiej w świecie.

– Innymi słowy, w kategoriach dyplomatycznych skandal jest gorszy niż morderstwo. I nie zamierza pan udostępnić nagrania mediom.

– Nie zamierzam. Gruppo Cardinale będzie nadal traktowała tropienie poszukiwanych jako operację ściśle tajną.

Wszystkie akta należy objąć ścisłą ochroną. – Taglia wstał. – Przykro mi, Otello... Buona sera.

– Buona sera.

Drzwi za Taglią zamknęły się i Roscani został sam. Sfrustrowany, wewnątrz pustoty. Może, pomyślał, rację miała jego żona. Przy całym jego poświęceniu świat nie był ani sprawiedliwy, ani doskonały. I niewiele mógł zrobić, żeby to zmienić. Mógł jednak przestać tak bardzo miń złorzeczyć, dzięki czemu życie jego i całej rodziny stałoby się nieco lżejsze. Miała oczywiście rację. Prawda jednak była taka – o czym oboje dobrze wiedzieli – że potrafił zmienić siebie w równie niewielkim stopniu jak świat. Został policjantem, ponieważ nie chciał przejmować interesu po ojcu, a poza tym właśnie się ożenił i pragnął jakoś się ustabilizować przed powiększeniem rodziny. W samej profesji też było coś pociągającego i jednocześnie szlachetnego.

Potem jednak stało się coś jeszcze: na jego życiu zaczęło odciskać swe piętno życie ofiar. Rozdarte, zniszczone nie do naprawienia przez bezsensowną przemoc i wydarzenia, których nikt nie pragnął. Awans do wydziału zabójstw jeszcze pogorszył sprawę: z jakiegoś

powodu zaczął postrzegać zamordowanych nie jako ofiary same w sobie, lecz jako dzieci innych ludzi – albo nawet własne, w wieku trzech, czterech, ośmiu i dwunastu lat – które zasłużyły, żeby przeżyć życie do końca. Synem swojej matki był przecież zarówno kardynał Parma, jak i inspektor Pio. Przy takim podejściu znalezienie winnych stawało się wręcz wewnętrznym nakazem. Schwytywanie ich, nim zdążą powtórzyć swój postępek. Ileż to jednak razy łapał ich tylko po to, żeby później sąd, z tych czy innych powodów, ich wypuścić?

Złorzeczył więc na niesprawiedliwość, czy to w obrębie prawa, czy poza nim. Prowadził przegraną wojnę, lecz nie rezygnował z jej prowadzenia mimo tych porażek. A robił to być może po prostu dlatego, że był synem swego ojca.

Rosciani wstał nagle, wziął do ręki pilota i włączył wielkoekranowy telewizor. Wcisnął REW, a potem PLAY i zaczął oglądać kasetę od początku. Zobaczył Harry'ego na stołku, w ciemnych okularach, mówiącego:

„Danny, proszę cię, żebyś się ujawnił... Poddaj się. Wiedzą wszystko... Błagam, ze względu na mnie... Ujawnij się...

Proszę”.

Na końcu Addison przerwał, a potem zaczął mówić coś jeszcze, lecz nagranie zostało przerwane. Znowu wcisnął REW i obejrzał je ponownie. A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Im dłużej patrzył, tym większy wzbierał w nim gniew.

Pragnął, żeby w drzwiach pojawił się Pio, uśmiechnięty

i na luzie, jak zawsze, mówiący coś o swojej rodzinie i pytający o rodzinę Roscaniego. Zamiast tego widział Harry'ego Addisona – Mister Hollywood w ciemnych okularach – siedzącego na stołku i proszącego własnego brata o ujawnienie się, żeby mogli go zabić.

Roscani wyłączył telewizor. W półmroku wróciły poprzednie myśli. Nie chciał ich, ale wróciły. O tym jak zabije, Harry'ego Addisona, kiedy go dopadnie. A że dopadnie, nie miał najmniejszej wątpliwości.

Włączył odbiornik ponownie i zapalił papierosa, mocnym dmuchnięciem gasząc zapałkę. Nie może sobie pozwolić na takie myślenie. Zastanawiał się, jak na jego miejscu zachowałby się ojciec.

Potrzebował dystansu do sprawy. Uzyskał go, odtwarzając taśmę po wielekroć. Zmuszając się, żeby oglądać na zimno, analitycznie, jak doświadczony policjant, który szuka najmniejszych szczegółów, mogących się przydać.

Im dłużej patrzył, tym mocniej intrygowały go dwie rzeczy; jedną była fakturalna, pokryta jakimś wzorem tapeta za Harrym, ledwie na filmie widoczna. Drugą – to, co się stało tuż przed końcem nagrania, gdy Addison zaczął odwracać głowę, otwierając usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale nie powiedział, ponieważ film się skończył. Roscani wyjął z kieszeni notes i zapisał: „Tapeta z filmu – przetworzyć Komputerowo wzmocnić. Odczytać ruchy warg – specjalista angielskojęz.”

REW.

PLAY.

Wyłączył fonię i oglądał nagranie bez głosu. Kiedy się skończyło, przewinął i obejrzał jeszcze raz.

Rzym. Ambasada Watykanu we Włoszech, Via Po.  
W tym samym czasie

Czterej papiescy mężowie zaufania – kardynał Umberto Palestrina, kardynał Joseph Matadi, monsinior Fabio Capizzi i kardynał Nicola Marsciano pokazali się publicznie po raz pierwszy od dnia zamordowania kardynała wikariusza Rzymu. Wmieszali się swobodnie w tłum wraz z członkami Rady Ministrów Unii Europejskiej, którzy przybyli do Rzymu na spotkanie w sprawie stosunków gospodarczych z państwami rozwijającymi się i zostali zaproszeni na nieformalne cocktail party, wydane przez arcybiskupa Giovanniego Belliniego, nuncjusza apostolskiego we Włoszech.

Najbardziej zrelaksowany z całej czwórki wydawał się watykański sekretarz stanu, sześćdziesięciodwuletni kardynał Palestrina. Ubrany był nie w sutannę, lecz w czarny garnitur z białą koloratką. Nie zwracając uwagi na strzegących pomieszczenie cywilnych funkcjonariuszy Gwardii Szwajcarskiej, kardynał przemieszczał się od jednego gościa do drugiego, gawędząc z ożywieniem ze wszystkimi.

Sama postura Palestriny – sto trzydzieści kilogramów wagi przy metrze dziewięćdziesiąt pięć wzrostu – powodowała, że oglądano się za nim nieustannie.

Najbardziej zaskakiwał natomiast jego energiczny sposób bycia – wdzięk, z jakim się poruszał, szeroki uśmiech i przykuwające uwagę szare oczy pod niesforną grzywą siwobiałych włosów, żelazny uścisk jego dłoni, gdy ją podawał, zwracając się do każdego bardzo bezpośrednio i często w jego własnym języku.

Sposób, w jaki dominował nad salą, znajdując w tym wyraźne upodobanie – odnawiając stare przyjaźnie, zawierając nowe, przechodząc od rozmówcy do rozmówcy – czynił z niego bardziej polityka na wiecu wyborczym niż drugiego po papieżu dostojnika Kościoła katolickiego. Jednakże i on, i pozostali duchowni znajdowali się tutaj właśnie jako przedstawiciele Kościoła i samego Ojca Świętego. Ich obecność, choć okryta cieniem posępnej tragedii, mówiła sama za siebie, przypominając wszystkim, że Stolica Apostolska niestrudzenie i z nie słabnącym zaangażowaniem oddana jest sprawie przyszłości Wspólnoty Europejskiej.

W drugim końcu sali kardynał Marsciano przerwał rozmowę z przedstawicielem Danii i spojrzął na zegarek:

19.50

Podniósłszy wzrok, ujrzał wchodzącego Pierre'a Weggena, bankiera inwestycyjnego ze Szwajcarii. Towarzyszyli mu – sprawiając, że wszystkie głowy natychmiast się ku nim zwróciły, a gwar rozmów przycichł – Jiang Youmei, ambasador Chin we Włoszech, jego zastępca Zhou Yi oraz Yan Yeh, prezes Narodowego Banku Chin. Chińska Republika Ludowa i Watykan nie

utrzymywały oficjalnych stosunków dyplomatycznych od przewrotu komunistycznego w Chinach w roku 1949. I oto nagle na oczach wszystkich pojawiło się w ambasadzie watykańskiej dwóch czołowych chińskich dyplomatów i jeden z najbardziej wpływowych decydentów gospodarczych nowych Chin, wraz ze szwajcarskim bankierem.

Palestrina podszedł do nich natychmiast, skłaniając się formalnie, a następnie z szerokim uśmiechem uścisnął dłoń każdemu po kolei, kazał podać drinki i uszczęśliwiony, jakby się spotkał ze starymi przyjaciółmi, rozpoczął pogawędkę.

Prowadzoną – Marsciano wiedział o tym – w ich ojczystym języku.

Coraz bardziej rozwijające się związki Chin z Zachodem, w połączeniu z szybkim przekształcaniem się tego kraju w potęgę gospodarczą, nie miały zbyt wielkiego wpływu na nie istniejące właściwie stosunki watykańsko-chińskie. Choć jednak obie strony nie komunikowały się ze sobą normalnymi kanałami dyplomatycznymi, Stolica Apostolska, z pomocą ostrożnych manewrów Palestriny, usiłowała wsunąć stopę w chińskie drzwi. Bezpośrednim celem kardynała było doprowadzenie do wizyty papieża w Chińskiej Republice Ludowej.

Zabiegi te miały daleko idące implikacje; gdyby się bowiem powiodły, stanowiłoby to znak, że Pekin nie tylko otwiera przed Kościołem drzwi, lecz gotów jest paść mu

w ramiona. A to było coś, czego – Palestrina był pewien – Chiny absolutnie nie zamierzały czynić ani dziś, ani jutro, ani najpewniej nigdy. Należało więc uznać te dążenia za przedsięwzięcie wyjątkowo ambitne. Ale sekretarz stanu to nie panna na wydaniu, a Chińczycy jednak przyszli do niego, i to otwarcie.

Ich pojawienie się w ambasadzie zawdzięczał głównie Pierre'owi Weggenowi, który współpracował z nimi od lat i któremu chińscy komuniści wierzyli bez zastrzeżeń. Czy też na tyle bez zastrzeżeń, na ile jakikolwiek człowiek Orientu wierzył komukolwiek z Zachodu. Niemal siedemdziesięcioletni Weggen, wysoki i dystyngowany, był jednym z najwybitniejszych bankierów inwestycyjnych w skali międzynarodowej. Znany i cieszący się ogromnym szacunkiem w świecie, działał głównie w roli łącznika pomiędzy wielkimi ponadnarodowymi firmami szukającymi partnerów na całym globie. Jednocześnie pracował też jako osobisty doradca swych długoletnich klientów i przyjaciół – spółek, organizacji i osób, które od lat pomagały mu budować tę znakomitą reputację.

Była to jego baza, którą i kiedyś, i obecnie osłaniał tajemnicą. Watykan stanowił jej znaczącą część. A kardynał Nicola Marsciano, odpowiedzialny za inwestycje Watykanu, spędził z Weggenem i zastępem przywiezionych przezeń z Genewy prawników i księgowych całe popołudnie w prywatnym apartamencie przy Via Pinciana.

Od ponad roku Marsciano z Weggenem zawężali portfel inwestycji watykańskich, starając się ograniczyć interesy Stolicy Apostolskiej do dziedzin takich, jak: energetyka, transport, produkcja stali, handel morski i ciężki sprzęt budowlany. Współpracowali z korporacjami i firmami specjalizującymi się w inwestycjach infrastrukturalnych – budowie i przebudowie dróg, wodociągów, elektrowni i podobnych przedsięwzięć – prowadzonych w krajach rozwijających się.

Strategia inwestycyjna Watykanu była osią poczynań Palestriny, kształtujących przyszłość Stolicy Apostolskiej.

Dlatego właśnie zaprosił Chińczyków do ambasady. A oni przyjęli to zaproszenie, chcieli bowiem pokazać, że Chiny to kraj nowoczesny, dzielący zainteresowanie swych europejskich przyjaciół gospodarką krajów rozwijających się.

Pojawienie się na przyjęciu dawało Chińczykom możliwość dyskretnego zaznaczenia swojej obecności wśród przedstawicieli społeczności międzynarodowej, Palestynie zaś było niezbędne do urobienia wysłanników Pekinu w pożądanym przez niego kierunku.

Kraje rozwijające się jako zbiorowość nie stanowiły bowiem tak naprawdę obiektu zainteresowania kardynała.

Stanowił go natomiast jeden kraj w szczególności: same Chiny. I poza nieliczną grupką osób, do której należeli tylko Pierre Weggen i papiescy mężowie zaufania, nikt, włącznie z Ojcem Świętym, nie miał pojęcia o rzeczywistym celu sekretarza stanu. Zamierzał on

doprowadzić do tego, żeby Watykan stał się – przy zachowaniu pełnej anonimowości – najważniejszym partnerem Chińskiej Republiki Ludowej, gospodarczym i nie tylko, mającym decydujący wpływ na przyszłość tego wielkiego kraju.

Pierwszy krok uczynił dzisiaj, ściskając kordialnie dłonie chińskim gościom. Drugi miał nastąpić nazajutrz, w postaci przedstawienia przez Marsciana zrewidowanej wersji „Strategii inwestycyjnej w krajach rozwijających się”, podczas posiedzenia komisji czterech kardynałów zajmujących się z ramienia Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej zatwierdzaniem projektów inwestycji Kościoła.

Sesja zapowiadała się na burzliwą, ponieważ kardynałowie byli konserwatystami, mało otwartymi na zmiany. Zadaniem Marsciana miało być przekonanie ich, szczegółowe omówienie sytuacji w regionach objętych opracowaniem – w Ameryce Południowej, Europie Wschodniej i Rosji. Chiny też się w nim oczywiście znajdują, lecz ukryte pod szerokim określeniem „Azja” – wraz z Japonią, Singapurem, Tajlandią, Filipinami, Indonezją, Koreą Południową, Tajwanem, Indiami i tak dalej.

Była to manipulacja. Całkowicie niemoralna i kłamliwa. Wykalkulowana po to, żeby zapewnić Palestrinie wszystko, do czego zmierzał, bez ujawniania rzeczywistych jego intencji.

Powodzenie planu Palestriny, który on sam nazywał

„Chińskim Protokołem”, zależało między innymi od akceptacji przez kardynałów tego pierwszego etapu. Chiny – sekretarz stanu rozumiał to aż nadto dobrze – przy całej swej otwartości wciąż były w gruncie rzeczy społeczeństwem zamkniętym, ściśle kontrolowanym przez autorytarną partię komunistyczną. Ale autorytarne czy nie, państwo to szybko się modernizowało. A nowoczesne Chiny, skupiające jedną czwartą ludności świata, przy swojej ekonomicznej przebojowości mogły się już niedługo stać największym mocarstwem na Ziemi. Wniosek z tego był oczywisty: panuj nad Chinami, a będziesz panował nad światem. Sercem i duszą planu Palestriny było właśnie to dążenie – do zapanowania nad Chinami w nadchodzącym stuleciu, do ustanowienia obecności i wpływów Kościoła katolickiego w każdym chińskim mieście, miasteczku i wsi. I stworzenia w przeciągu najbliższych stu lat nowego Świętego Cesarstwa Rzymskiego, w którym to naród chiński posłuszny będzie już nie Pekinowi, tylko Rzymowi – dzięki czemu Stolica Apostolska stanie się największą potęgą świata.

Marsciano wiedział, że to szaleństwo, ewidentne świadectwo postępującego rozstroju umysłowego Palestriny; jednak żaden z domini di fiducia, łącznie z nim, nie potrafił temu zapobiec. Ojciec Święty zakochany był w swoim sekretarzu stanu i nie miał pojęcia o jego dzikich pomysłach. Ponadto, osłabiony na skutek niepewnego zdrowia i zajęty wyczerpującymi

codziennymi obowiązkami, ufając Palestrinie jak samemu sobie, papież scedował na niego w całości ustalanie kierunków globalnej polityki Stolicy Apostolskiej. Tak więc udanie się z tą sprawą do papieża było równoznaczne z pójściem do samego Palestriny. Sekretarz zaprzeczyłby wszystkiemu, a jego oskarżyciel zostałby w rezultacie zesłany do jakiejś parafii na końcu świata i nikt by o nim więcej nie usłyszał.

I to właśnie było w tym wszystkim najstraszniejsze. Poza Weggenem, który wierzył w Palestrinę bez zastrzeżeń, u pozostałych – Marsciana, Matadiego i Capizziego – sekretarz stanu budził lęk. Tak swą fizyczną posturą, jak i ambicją, wyjątkową umiejętnością wynajdywania w ludziach słabości, wyzyskiwania ich dla własnych celów, czy wreszcie – najbardziej przerażającą ze wszystkiego – olbrzymią siłą charakteru, którą ujawniał, gdy już ktoś znalazł się w centrum jego uwagi.

Bali się także drugiego szaleńca, który z nim współpracował, Jacova Farela. Z jednej strony był znanym publicznie i wyszczekanym szefem watykańskiego Urzędu Straży, z drugiej zaś potajemnie i bezwzględnie wspierał ambitne dążenia sekretarza stanu. Bali się też Thomasa Kinda, który zamordował superwroga Palestriny kardynała Parmę. W ich obecności, w obecności Ojca Świętego i samego Palestriny, który osobiście zlecił zamach, a potem stał spokojnie obok Parmy, gdy go zabijano.

Marsciano nie wiedział, co czują pozostali, był jednak

pewien, że żaden z nich nie gardzi tak bardzo własną słabością i strachem jak on.

Ponownie spojrzął na zegarek.

20.10

– Eminencjo. – Podszedł do niego Weggen w towarzystwie Yan Yeha. Prezes Narodowego Banku Chińskiego był dość niski i wymuskany, jego ciemne włosy przyprószyła już siwizna. – Czy Wasza Eminencja pamięta pana Yan Yeha? – rzekł Weggen.

– Oczywiście, – Marsciano uśmiechnął się i ujął mocno dłoń Chińczyka. – Witamy w Rzymie.

Spotkali się już wcześniej, w Bangkoku. Poza kilkoma momentami, kiedy Palestrina celowo sprowokował bankiera w kwestii przyszłości Kościoła katolickiego w nowych Chinach i otrzymał chłodną, bezpośrednią i autorytatywną odpowiedź, że nie jest to odpowiedni czas na zbliżenie pomiędzy Pekinem i Watykanem, Marsciano przekonał się, że Yan Yeh jest człowiekiem przyjemnym, towarzyskim, wręcz dowcipnym, autentycznie zainteresowanym pomyślnością innych ludzi.

– Uważam – rzekł Yan Yeh, mrużąc lewe oko i unosząc kieliszek z winem, by trącić się nim z Marscianem – że Włosi powinni nas, Chińczyków, porządnie nauczyć, jak się robi wino.

W tym momencie kardynał spostrzegł, że do sali wszedł nuncjusz papieski, który poprosił Palestrinę o chwilę rozmowy. Stanęli z boku, pozostawiając chińskich dyplomatów.

Po krótkiej wymianie zdań Palestrina zerknął w stronę Marsciana i wyszedł z sali. Był to znak niezauważalny dla nikogo innego. Dla niego jednak znaczył bardzo wiele: był jak wyrok.

– Może – zwrócił się znów z uśmiechem do Yan Yeha – dałoby się coś w tej sprawie zrobić...

– Eminencjo. – Jego rękawa dotknął nuncjusz.

– Tak, wiem – powiedział sucho. – Dokąd mam iść?

Kardynał Marsciano zatrzymał się na chwilę u stóp schodów, po czym wszedł na górę. Skręcił w wąski korytarz i stanął przed bogato zdobionymi drzwiami. Nacisnął klamkę i wszedł.

Urządzony z przepychem pokój przecinała na pół smuga zachodzącego słońca, wpadająca przez jedyne okno. Palestrina stał po jednej jej stronie, częściowo w cieniu. Obok niego majaczyła sylwetka kogoś jeszcze. Marsciano wiedział, kto to, nawet nie widząc go wyraźnie. Jacov Farel.

– Eminencjo... Jacov. – Marsciano zamknął drzwi za sobą.

– Siadaj, Nicola. – Palestrina wskazał kilka krzeseł z wysokimi oparciami, stojących przed zabytkowym marmurowym kominkiem.

Marsciano przekroczył smugę światła i zrobił to, o co go poproszono.

Farel usiadł naprzeciw niego; nogi skrzyżował w kostkach, dopiął marynarkę; jego spojrzenie powędrowało ku twarzy Marsciano i już tam pozostało.

– Chcę ci zadać pytanie, Nicola, i proszę, byś odpowiedział zgodnie z prawdą. – Palestrina przesunął lekko ręką po oparciu krzesła, po czym uchwycił je mocno i odwrócił, by usiąść wprost przed Marscianem. – Czy ksiądz żyje?

Od momentu kiedy Harry Addison oznajmił, że to nie ciało jego brata, Nicola Marsciano wiedział, że zadanie przez Palestrinę tego pytania jest tylko kwestią czasu. Dziwiło go nawet, że tak długo musiał czekać. Ale ten czas dał mu możliwość przygotowania się do rozmowy, najlepiej jak potrafił.

– Nie – odparł krótko.

– Policja uważa, że tak.

– Mylą się.

– Jego brat go nie rozpoznał – dorzucił Farel.

– Powiedział tylko, że to nie jest ciało ojca Daniela. Ale nie miał racji. – Marsciano starał się mówić beznamiętnie i rzeczowo.

– Gruppo Cardinale jest w posiadaniu kasety wideo, nagranej przez samego Harry’ego Addisona, na której prosi on brata, żeby się ujawnił. Czy tak się zachowuje ktoś, kto nie ma racji?

Marsciano milczał przez chwilę, a potem zwrócił się do Palestriny tym samym tonem co przedtem.

– Jacov był ze mną w kostnicy podczas przeprowadzania tej identyfikacji. – Odwrócił się ku Farelowi. – Prawda, Jacovie?

Farel milczał.

Palestrina spojrzał badawczo na Marsciano i wstał z krzesła. Podeszedł do okna, przesłaniając swym ogromnym ciałem całe światło. Potem odwrócił się; widać było tylko ciemny zarys potężnej sylwetki.

– Z pudełka zdjęto pokrywkę – rzekł. – Ćma wyfrunęła

i uleciała z wiatrem... Jak przetrwała w zamknięciu?

Dokąd odleciała, gdy ją uwolniono? – Palestrina podszedł znów do nich. – Dorastałem jako scugnizzo, pospolity ulicznik z Neapolu. Za jedyne go nauczyciela miałem doświadczenie. Kiedy się siedzi w rynsztoku z rozbitą głową, bo człowiek myślał, że ktoś mu mówi prawdę, a ten ktoś kłamie... wtedy się uczy. I uważa, żeby się to nie powtórzyło. – Zatrzymał się przed Marscianem i patrzył na niego z wysoka. – Zapytam cię po raz ostatni, Nicola: Czy ksiądz żyje?

– Nie, Eminencjo. Jest martwy.

– No to skończyliśmy. – Palestrina spojrział na Farelę i szybko wyszedł z pokoju.

Marsciano patrzył za nim; wszystkie zmysły miał jak zmartwiałe. Wiedząc zaś, że Palestrina zapyta Farelę, jak się zachował, gdy zostali sami, zebrał się w sobie i zwrócił do niego.

– On jest trupem, Jacov – powiedział. – Trupem.

U podnóża schodów stał jeden z tajniaków Farelę; kardynał minął go, nie obdarzywszy nawet spojrzeniem.

Całe swoje życie Marsciano poświęcił Bogu i Kościołowi.

Był silny, lecz prostolinijny; decydowały o tym jego toskańskie korzenie. Ludzie tacy jak Palestrina i Farelę należeli do innego świata, w którym nie widział miejsca dla siebie i którego lękał się bardzo. A jednak okoliczności, a także zakres obowiązków kardynała, zmuszały go do uczestnictwa w tym ich świecie.

„Dla dobra Kościoła” – mówił Palestrina, ponieważ wiedział, że Kościół i jego świętość jest słabością Marsciana, że czcił go prawie tak samo, jak czcił Boga, że Bóg i Kościół są dlań niemal równoważne. Daj mi ojca Daniela, tłumaczył mu sekretarz stanu, a Kościołowi zostanie oszczędzony udział w spektaklu sądowego procesu oraz towarzyszącego mu publicznego skandalu i ponizenia – nieuniknionych, jeżeli Daniel żyje i dopadnie go włoska policja. Miał rację.

Jeśliby Marsciano go posłuchał, ojciec Daniel, uznany już za nieżywego, po prostu by zniknął. Zająłby się tym Farel albo Thomas Kind. Kościół osądziłby ojca Daniela jako winnego i sprawę kardynała Parmy ostatecznie by zamknęto.

A przecież wydanie ojca Daniela w ręce morderców było czynem, którego Marsciano nie był w stanie popełnić. Pod samym nosem Palestriny i Farela, a także Capizziego i Matadiego, zgromadził wszystkie rezerwy, jakimi dysponował, żeby dokonać rzeczy niemożliwej; uzyskać uznanie ojca Daniela za martwego, podczas gdy wiedział, że on żyje.

Gdyby nie Harry Addison, wszystko by się jakoś ułożyło.

Ale nie wyszło. W rezultacie nie miał innego wyboru, jak dalej konspirować i mieć nadzieję, że zyska na czasie. Szło mu jednak coraz gorzej, co do tego nie miał wątpliwości.

Próba przekonania Farela, po wyjściu Palestriny, że

mówi prawdę, była daremna, jakby przemawiał do głuchego. Marsciano wiedział, że jego los przypieczętowało spojrzenie, jakie Palestrina rzucił policjantowi, opuszczając pokój. Tym spojrzeniem odebrał kardynałowi Marscianowi wolność. Od tej pory będzie stale obserwowany. Dokądkolwiek pójdzie, z kimkolwiek się spotka lub porozmawia, czy to przez telefon, na korytarzu, czy nawet w domu, wszystko zostanie podsłuchane i zrelacjonowane. Najpierw Farelowi, a potem za jego pośrednictwem Palestrinie. W sumie równało się to aresztowi domowemu. I nie było w jego mocy w żaden sposób temu zapobiec.

Ponownie sprawdził, która godzina.

20.50

Modlił się, żeby nie napotkali żadnych problemów i żeby byli już bezpieczni, daleko stąd. Zgodnie z planem.

Pescara.

W dalszym ciągu czwartek, 9 lipca, 22.35

Siostra Elena Voso jechała na rozkładanym siedzeniu z tyłu nie oznakowanej beżowej furgonetki. Obok siebie widziała w półmroku Michaela Roarka. Leżał na noszach, wpatrzony w wiszącą nad jego głową kroplówkę, kołyszącą się w takt ruchów pojazdu. Naprzeciw zakonnicy siedział przystojny Marco, a krępy Luca prowadził samochód, krążąc wąskimi uliczkami. Musiał wiedzieć dokładnie, dokąd ich wiezie, ponieważ mężczyźni w ogóle o tym nie rozmawiali.

Elenę ten wyjazd całkowicie zaskoczył. Godzinę wcześniej zatelefonowała do niej matka przełożona z macierzystego klasztoru Kongregacji Sióstr Franciszkanek Najświętszego Serca w Sienie i oznajmiła, że pacjent pozostający pod jej opieką zostanie dokądś przewieziony prywatną karetką, a siostra Elena ma mu towarzyszyć i zajmować się nim, tak jak robiła to do tej pory. Gdy zapytała, dokąd pojedą, usłyszała po prostu, że „do innego szpitala”. Wkrótce potem pojawił się Luca z samochodem i wyruszyli w drogę. Opuszczali szpital Świętej Cecylii w pośpiechu i po cichu, niemal nie odzywając się do siebie, jak jacyś uciekinierzy.

Przejechawszy przez rzekę Pescara, Luca kluczył przez

parę minut bocznymi uliczkami i w końcu dołączył do powolnego strumienia pojazdów na Vialle della Riviera, równoległej do plaży głównej ulicy. Noc była parna i gorąca.

Chodnikami spacerowało mnóstwo ludzi w szortach i koszulkach; tłum wypełniał też nadbrzeżne kafejki. Wnioskując z przebytej trasy, Elena sądziła najpierw, że jadą do innego szpitala w mieście. Potem jednak Luca oddalił się od morza i pojechał z powrotem przez miasteczko. Minęli budynek dworca kolejowego i skręcili na północny wschód, opuszczając Pescarę głównym wyjazdem.

Przez cały ten czas spojrzenie Michaela Roarka przenosiło się z kroplówki na Elenę, na mężczyzn i znów na nią.

Pomyślała, że jego umysł być może zaczął pracować, że próbuje jakoś to wszystko poskładać, zrozumieć, co się dzieje. Fizycznie wydawał się w nie najgorszej formie, ciśnienie i puls miał w normie, oddech równy – jak zresztą od samego początku. Widziała EKG i EEG zrobione przed jej przyjazdem; zapisy świadczyły o silnym sercu i prawidłowo funkcjonującym mózgu. Postawiono diagnozę, zgodnie z którą pacjent jest w stanie ciężkiego szoku; poza oparzeniami i połamanymi nogami najpoważniejszym zagrożeniem, wymagającym najściślejszej obserwacji, był poważny wstrząs mózgu. Mógł z tego wyjść w pełni, częściowo lub wcale. Jej zadanie polegało na wspomaganie funkcjonowania ciała,

podczas gdy mózg starał się uzdrowić samodzielnie.

Uśmiechnęła się łagodnie pod spojrzeniem Michaela i podniósłszy głowę, ujrzała, że Marco też się jej przygląda. Dwóch mężczyzn obserwowało ją jednocześnie – ta myśl połaskotała ją mile i siostra Elena uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

I zaraz szybko odwróciła wzrok, zakłopotana swoją bezpośrednią reakcją. Dopiero teraz zauważyła, że okna furgonetki są zakryte ciemnymi zasłonkami.

– Dlaczego okna są zasłonięte? – spytała Marca.

– To wynajęty samochód. Taki już był.

Elena zawahała się.

– A dokąd jedziemy?

– Nikt mi nie powiedział.

– Luca na pewno wie.

– To zapytaj jego.

Elena zerknęła na siedzącego za kierownicą Luce, potem znów na Marca.

– Czy grozi nam niebezpieczeństwo?

– Po co tyle pytać – Marco wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Kazano nam wyjechać, nagle, prawie w środku nocy.

Jechaliśmy tak, jakby ktoś mógł nas śledzić. Okna są zasłonięte, a ty... masz pistolet.

– Naprawdę?

– Tak.

– Mówiłem siostrze, że byłem karabinierem...

– Ale już nie jesteś.

– Jestem w rezerwie... – Marco odwrócił się nagle do kierowcy. – Luca, siostra Elena chce wiedzieć, dokąd jedziemy.

– Na północ.

Marco usadowił się wygodniej, złożył ręce na piersi i zamknął oczy.

– Ja tam idę spać – powiedział do Eleny. – Siostrze też radzę się przespać. Przed nami długa droga.

Elena popatrzyła na niego, a potem rzuciła okiem na Luce i zobaczyła jego profil w blasku zapalniczki, którą zapalał papierosa. Kiedy pomagał jej umieścić pacjenta w furgonetce, widziała wybrzuszenie pod jego kurtką. Potwierdziło się to, co już wcześniej podejrzewała – że on też ma pistolet.

I chociaż nikt o tym nie mówił, wiedziała, że Pietro, ten z rannej zmiany, jedzie za nimi drugim samochodem, także z bronią.

Michael Roark zamknął oczy. Ciekawa była, czy śni i jakie mogą być te jego sny. Dokąd go prowadzą. Czy też po prostu jedzie ciemną drogą, podobnie jak ona całkiem nieświadomy celu podróży, w towarzystwie uzbrojonych obcych ludzi.

Zastanawiała się też, jak już kilka razy przedtem, kim on jest, że potrzebuje takich strażników. Kim on w ogóle jest.

Rzym;  
w tym samym czasie

Nagle doznał wrażenia, że drepta po nim setki maleńkich stópek. Lekkich, zwinnych stpóek. Niedużych. Jak u gryzoni.

Harry Addison z trudem otworzył jedno oko i zobaczył je.

Szczury.

Były na jego piersi, na brzuchu, na obu nogach. Gwałtownie otrzeźwiony krzyknął. Wrzasnął. Próbował je strząsnąć z siebie. Niektóre zeskoczyły, ale inne nie. Postawiły uszka. Przyglądały mu się czerwonymi oczkami.

Potem poczuł smród.

I przypomniał sobie o kanale ściekowym.

Szum wody był wszechobecny. Harry uświadomił sobie, że jest mokry, że leży w wodzie, która przepływa po nim.

Uniósł się trochę i jedynym sprawnym okiem zobaczył więcej szczurów. Setki – wyżej, na suchym terenie. Przyglądały mu się, czekając. Dlatego na sobie miał ich tak niewiele. Nie chciały wchodzić do wody, z wyjątkiem najodważniejszych, które przebyły płytki nurt w miejscu, gdzie leżał.

Nad głową zobaczył kolebkowe kamienne sklepienie. Ten sam kamień, uzupełniony tu i ówdzie cementem, był budulcem ścian i koryta kanału. Rzadko rozmieszczone żarówki w drucianych osłonach dostarczały skąpego oświetlenia jego osłabionemu wzrokowi.

Wzrok.

Nie był niewidomy!

W każdym razie nie całkiem.

Leżąc na boku zamknął powieki i w jednej chwili wszystko zniknęło. Przez moment trwał w bezruchu, a potem, zebrawszy się na odwagę, otworzył lewe oko.

Czarno. Nic nie widać.

Natychmiast otworzył prawe oko i świat powrócił. Przyćmione światła. Kamień. Cement. Woda.

Szczury.

Zobaczył, że dwa siedzące najbliżej jego prawego oka podsunęły się jeszcze o centymetr. Ruszały noskami. Obnażyły zęby. Najodważniejsze z odważnych. Jakby wiedziały.

Zabrać mu to oko i przestanie je widzieć. Wtedy go dopadną.

– Wynocha! – wrzasnął i spróbował się podnieść. Poczuł, że wczepiły się mocniej pazurkami i nie ruszyły z miejsca.

– Wynocha! Won! Wypierdalać stąd!

Rzucił się na boki, usiłując je strząsnąć, a jego głos odbijał się echem od ścian. Wtem zsunął się ze stopnia i wpadł do głębszej wody. Poczuł, jak go porywa, jak jej

siła zaczyna go nieść. Był pewien, że szczury uciekły. Że słyszał ich przenikliwe piski, gdy skakały na brzeg, ratując się przed utonięciem.

Że słyszy setki innych piszczących w straszliwym chórze zbiorowego przerażenia. Otworzył usta, wrzeszcząc jeszcze głośniejsze niż one, usiłując złapać oddech. Lecz zamiast tego nałykał się wody i zaczął się krztusić, płynąc dalej z nurtem.

Nie czuł już niczego poza smakiem wody, zgniłej i zmieszanej z jego krwią.

Piątek, 10 lipca; 1.00

Jakaś dłoń dotknęła jego twarzy i Harry jęknął. Ręka wycofała się, a po chwili wróciła z wilgotną ścierką, którą obtarła mu twarz i po raz kolejny obmyła ranę na czole.

Następnie łagodnie poskrobała zakrzepłą krew, zlepiającą jego włosy.

Gdzieś z oddali dobiegł stłumiony łoskot i ziemia zadrżała; po chwili dźwięk i ruch ustały. Poczuli, że ktoś go ciągnie za ramiona i otworzył oczy, a raczej jedno oko, to, którym widział. Gdy to zrobił, aż się wzdrygnął. Patrzyły na niego szeroko rozwarte oczy, połyskujące w przyćmionym świetle, osadzone w olbrzymiej głowie.

– Parla Italiano? – Mówiący te słowa człowiek siedział na ziemi obok Harry’ego. Głos miał wysoki, akcent nietypowy, jakby śpiewny.

Harry pokręcił głową.

– Inglese?

– Tak – wyszeptał.

– Amerykanin?

– Tak – szepnął ponownie.

– Ja też. Z Pittsburgha. Przyjechałem do Rzymu, bo chciałem wystąpić u Felliniego. Ale nie wystąpiłem. I już tu zostałem.

Harry słyszał swój własny ciężki oddech.

– Gdzie jestem?

– U Herculesa. – Szerokie oblicze rozjaśnił uśmiech.

Wtem pojawiła się jeszcze jedna twarz, też wpatrzona w Harry'ego. Twarz kobiety około czterdziestki, o ciemnej karnacji i włosach podwiązanych kolorową bandaną. Klękawszy, dotknęła jego głowy, a potem uniosła w górę jego lewą rękę. Dłoń była grubo zabandażowana. Spojrzenie kobiety przeniosło się na człowieka z wielką głową i powiedziała coś w nieznanym Harry'emu języku. Tamten potwierdził skinieniem. Kobieta popatrzyła znów na Harry'ego, po czym nagle wstała i odeszła. Po chwili rozległ się odgłos jakby otwieranych i zamykanych ciężkich drzwi.

– Masz sprawne tylko jedno oko... Ale to drugie też będzie widziało, już niedługo. Ona tak mówi. – Hercules uśmiechnął się znowu. – Mam ci przemywać rany dwa razy dziennie, a jutro zmienić bandaż na rękę. Ten na głowie może przez jakiś czas zostać.... To też mi ona powiedziała.

Znowu rozległ się łoskot i zadrżała ziemia.

– Tutaj mieszkam. To mój dom – powiedział Hercules. – Odgródzona część metra, stary tunel roboczy. Już pięć lat tak egzystuję i nikt o tym nie wie. No, z wyjątkiem paru takich jak ona. Niezłe, co? – Roześmiał się, sięgnął za siebie i dźwignął się na aluminiowej kuli. – Nogi mam do niczego. Ale jestem szeroki w barach i bardzo silny.

Hercules był karłem. Miał trochę ponad metr wzrostu i ogromną, jajowatego kształtu głowę. Bary miał

rzeczywiście potężne, ramiona też. Ale to wszystko. W talii był szczupły, a nogi przypominały patyki.

Pokuśtykał w mrok i wrócił z drugą kulą.

– Strzelali do ciebie... – stwierdził rzeczowo.

Harry milczał, zupełnie otępiały. Niczego nie pamiętał.

– Miałeś szczęście. To był mały kaliber. Kula uderzyła w rękę i drasnęła głowę. Leżałeś w kanale, ja cię wyłowilem.

Harry wpatrywał się weń swoim jednym okiem, nie rozumiejąc. Jego umysł usiłował się odnaleźć, jak gdyby nie mógł się otrząsnąć z głębokiego snu i przebić do rzeczywistości. Nie wiadomo czemu, jego myśli powędrowały do Madeline i ujrzał ją, z rozpostartymi rękami i nogami, z włosami tworzącymi wokół głowy aureolę w czarnej wodzie pod lodem jeziora. Zastanawiał się, czy ona też tak to odczuwała, to przechodzenie od przerażającej rzeczywistości do stanu podobnego śnieniu, przenoszenie się z jednego w drugie, nim w końcu zapadła w ostatni, najgłębszy sen.

– Nie czujesz bólu?

– Nie.

– To te jej leki – zaśmiał się Hercules. – To Cyganka, zna się na uzdrawianiu. Ja nie jestem Cyganem, ale mam z nimi dobre układy. Dają mi różne rzeczy, ja im też. Robimy sobie przysługi. Szanujemy się i nie okradamy nawzajem. – Zachichotał, a po chwili spowaźniał. – Ciebie też nie okradłem, ojczu.

– Ojczu? – Harry spojrzał nań nieprzytomnie.

– W marynarce były twoje papiery. Jesteś ksiądz Addison. – Hercules wsparł się na kuli i sięgnął ręką w bok.

Obok suszyły się na zaimprovizowanych wieszakach ubrania Harry’ego. Na ziemi leżała koperta, którą dał mu Gaspari, a obok rzeczy Danny’ego – strzaskany zegarek, rozbite okulary, nadpalona legitymacja watykańska i paszport.

Hercules niczym akrobata opuścił się po kulach na ziemię i usiadł z powrotem naprzeciw Harry’ego. Jakby przysunął sobie krzesło.

– Mamy problem, ojczulku. Na pewno byś chciał, żebym komuś o tobie powiedział. Najlepiej policji, co? Ale nie możesz jeszcze chodzić i nie mogę nikomu powiedzieć, gdzie jesteś, boby znaleźli mój dom. Rozumiemy się?

– Tak...

– Najlepiej sobie odpocznij. Jak szczęście dopisze, jutro będziesz mógł wstać i pójdiesz sobie, gdzie zechcesz.

Hercules nagle wykonał ruch odwrotny do poprzedniego i już stał o kulach.

– Wychodzę teraz. Możesz spać bez obawy. Jesteś tu bezpieczny.

Po tych słowach zakręcił się i zniknął w ciemności; słyhać było echo jego kroków, a na końcu skrzypnięcie ciężkich drewnianych drzwi, jak przy wyjściu Cyganki.

Harry położył się i dopiero teraz zauważył, że pod głową ma poduszkę i jest przykryty kocem. „Dzięki”

wyszeptał w mrok. Usłyszał znowu daleki łoskot i poczuł drgania ziemi, gdy gdzieś w oddali przejechało metro. Potem opanowało go znużenie i zamknął oczy; myśli o Herculesie i innych rzeczach odpłynęły w ciemność.

## 31

Beverly Hills, Kalifornia.  
Czwartek, 9 lipca; o zmierzchu

Byron Willis zrobił głęboki wydech i odwiesił telefon.

Skrecając z Sunset w Stone Canyon Road włączył reflektory lexusa i ujrzał w ich świetle obrośnięte bluszczem mury strzegące ogromnych eleganckich rezydencji. Wydarzyło się coś zupełnie niemożliwego. Harry Addison, jego Harry, człowiek, którego wprowadził do firmy i kochał jak brata, który miał biuro w końcu korytarza, nagle stał się poszukiwanym przez całą policję Włoch zabójcą rzymskiego detektywa. A jego brata oskarżono o zamordowanie kardynała wikariusza Rzymu. Wszystko wydarzyło się tak nagle, niczym wypadek samochodowy. Centralę firmy już zablokowały telefony od dziennikarzy, domagających się jakiegoś oświadczenia od niego lub pozostałych partnerów.

– A to sukinsyn! – zaklął z gniewem na głos.

Cokolwiek, cholera, się stało, Harry'emu będzie potrzebna maksymalna pomoc; firmie zresztą też. Willis wiedział, że przyjdzie mu spędzić noc na opędzaniu się przed mediami oraz upewnianiu się, czy klienci wiedzą, co się zdarzyło, i uprzedzaniu ich, żeby niczego nie mówili dziennikarzom.

Jednocześnie musi odszukać jakoś Harry'ego i załatwić

mu najlepszych prawników we Włoszech.

Zwalniając, Byron Willis zobaczył wozy transmisyjne i stada reporterów zgromadzonych przed bramą jego domu przy Stone Canyon Road tysiąc pięćset. Otworzył pilotem bramę, zaczekał, aż tłum się rozstąpi, po czym wjechał do środka, kiwając im uprzejmie ręką i starając się nie zwracać na nich uwagi. Po drugiej stronie stanął, by się upewnić, że nikt się nie wśliznął za bramę. Potem pojechał dalej; światła auta wydobyły z mroku długi znajomy podjazd prowadzący pod dom.

– Niech to szlag – wydyszał.

W jednej chwili cały sympatyczny świat przewrócił się do góry nogami. Uświadomiło mu to jeszcze mocniej jego własną sytuację. Kolejne zebranie do późna, kolejny powrót do domu po zmroku. Żona z dwoma synami pojechała do ich domku narciarskiego w Sun Valley. Żona i synowie, których jakże rzadko widywał nawet wtedy, gdy byli w domu, nawet w weekendy. Bóg jeden wie, co go jeszcze czeka.

Życie było takie bogate i powinno się je przeżywać do głębi; to nie w porządku, żeby obowiązki w firmie zabierały aż tak wielką jego część. Postanowił, że kiedy tylko sprawa z Harrym zostanie załatwiona – a zostanie – będzie mniej przesiadywał w biurze, zacznie korzystać z prostych przyjemności i zajmie się rodziną.

Nacisnął guzik pilota, drzwi garażu się otworzyły. Jednocześnie powinno się zapalić światło w środku, ale tym razem z niewiadomego powodu tak się nie stało.

Otworzył drzwiczki i wysiadł.

– Byron... – rozległ się z mroku męski głos.

Willis aż podskoczył i odwróciwszy się, dostrzegł ledwie zarys jakiejś zbliżającej się postaci.

– Kto to?

– Przyjaciel Harry'ego Addisona.

Harry'ego? Co to jest, do cholery? Nagle przeszył go lęk.

– Jak tu wszedłeś? Czego chcesz?

– Niewiele.

W mroku zatańczył płomyk i rozległ się nikły dźwięk, jakby ktoś splunął. Coś uderzyło Willisa w pierś. Instynktownie spojrział w dół, usiłując dojrzeć, co to jest. I nagle poczuł, że uginają się pod nim nogi. Odgłos powtórzył się.

Dwa razy. Tamten stał tuż przed nim.

Byron Willis wzniósł wzrok ku niebu.

– Nie rozumiem...

I to były jego ostatnie słowa.

Rzym.

Piątek, 10 lipca; 7.00

Thomas Kind szedł ścieżką wzdłuż Tybru, czekając niecierpliwie, aż zadzwoni komórka, którą miał w kieszeni.

Ubrany był w beżowy garnitur w prążki i koszulę w niebieskie paski, rozpiętą pod szyją. Białą panamę opuścił na czoło, żeby zasłonić twarz przed porannym słońcem i ewentualnym wzrokiem kogoś ciekawskiego, kto mógłby go rozpoznać i zawiadomić władze.

Przeszedł jeszcze kilkanaście kroków pod parasolem cienistych drzew, aż dotarł do miejsca, gdzie wody Tybru płynęły bezpośrednio przy granitowej ścianie nabrzeża. Rozejrzawszy się, zobaczył jedynie poranny sznur aut na biegnącej za drzewami drodze. Rozpiął więc marynarkę i zza paska wyciągnął jakiś przedmiot owinięty w białą jedwabną chusteczkę. Pochylił się, opierając łokciami o kamienną balustradę, jak turysta przyglądający się rzece, i wypuścił przedmiot z chusteczki do wody. Po sekundzie usłyszał plusk i wyprostował się powoli, od niechcienia przecierając chustką kark. Następnie poszedł dalej, a na dnie rzeki pozostały zwęglone szczątki hiszpańskiego pistoletu Llama.

Dziesięć minut później wszedł do niewielkiej trattorii

tuż obok Piazza Farnese, zamówił przy barze zimne espresso i usiadł przy stoliku w głębi, wciąż niecierpliwie oczekując telefonu i informacji, która nie nadchodziła. Wyjął komórkę z kieszeni, wybrał numer, odczekał dwa sygnały, wystukał trzycyfrowy kod i rozłączył się. Siedział i ze szklanką w ręce czekał na odpowiedź.

Thomas Jose Alvarez-Rios Kind zyskał rozgłos w roku 1984, kiedy to zabił czterech tajnych funkcjonariuszy francuskiej brygady antyterrorystycznej podczas ich nieudanego nalotu na przedmieściach Paryża. Od tego czasu był ulubionym tematem dziennikarzy i herosem terrorystycznego podziemia. Został, jak nazywano go w mediach, nowym Carlosem-Szakalem, terrorystycznym najemnikiem służącym temu, kto oferował najwyższą stawkę. W końcu lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych zabijał niemal dla wszystkich. Od niedobitków włoskich Czerwonych Brygad, poprzez francuską Action Directe, do Muammara Kaddafiego i Abu Nidala. Pracował dla wywiadu irańskiego w Belgii, Francji, Wielkiej Brytanii i Włoszech. Potem, jako egzekutor długów, dla wielkich trafficantes, szefów kartelu narkotykowego z Medellin. A później jeszcze, gdy potrzebowano jego pomocy, wracał kilkakrotnie do Włoch, by w ramach kontraktu z Cosa Nostra zamordować ścigających mafię prokuratorów z Kalabrii i Palermo.

Wszystko to pozwoliło mu powtórzyć publicznie słowa Bonnota, przywódcy krwawego gangu, działającego w

Paryżu w roku 1912, słowa wypowiedziane przedtem także przez Carlosa: „Jestem sławnym człowiekiem”. I był sławny.

Od lat jego twarz pojawiała się na czołówkach największych dzienników świata, a także na okładkach „Time’a”, „Newsweeka” i nawet „Vanity Fair”. W programie „60 Minutes”

jego sylwetkę przedstawiono dwukrotnie. Dzięki temu znalazł się w zupełnie innej klasie niż cały szereg wolnych strzelców, którzy zresztą chętnie dla niego pracowali.

Problem polegał jednak na tym, że sam nabierał stopniowo przekonania, iż jest umysłowo chory. Początkowo wydawało mu się, że tylko się zagubił. Zaczynał jako czystej wody rewolucjonista, idealistycznie nastawiony nastolatek, w roku 1976. Wyruszył wówczas do Chile i Ekwadoru, by z karabinem w ręku pomścić na ulicach Yalery studentów zamordowanych przez żołnierzy Pinocheta. Potem oddawał się ideologicznym rozważaniom w Londynie, gdzie mieszkał z rodziną matki i uczęszczał do renomowanych szkół angielskich, a później studiował politologię i historię na Oksfordzie. Zaraz po studiach odbył tajne spotkanie z londyńskim rezydentem KGB, od którego otrzymał niebawem ofertę przeszkolenia w Moskwie i zostania agentem sowieckim. Po drodze do Moskwy zatrzymał się w Paryżu. Wtedy wydarzyła się ta historia z francuską policją. Od tego czasu była już tylko sława.

A jednak w ostatnich miesiącach czuł coraz mocniej, że nie kieruje nim zupełnie ideologia czy rewolucyjny zapał, lecz raczej możliwości, jakie daje terror sam w sobie, a ściślej mówiąc, sam akt zabijania. Zabijanie dawało mu coś więcej niż zwykłą przyjemność – podniecało go seksualnie. Do tego stopnia, że zastąpiło mu w końcu sam akt. Za każdym razem – choć nie chciał tego przyznać nawet przed sobą – uczucie to potęgowało się i przynosiło większe spełnienie.

Znaleźć obiekt uczuć, podejść go i zaszlachtować w najbardziej pomysłowy sposób, jaki akurat wymyśli – o to chodziło.

Było to straszne. Nienawidził tego. Sama myśl o tym go przerażała. Lecz jednocześnie tego pragnął. Podejrzanie choroby rozpaczliwie od siebie odganiał. Wolał myśleć, że jest po prostu zmęczony albo – bardziej realistycznie – popada w stan typowy dla mężczyzn pod czterdziestkę.

Wiedział jednak, że to nieprawda, że coś jest nie w porządku.

Stopniowo bowiem czuł się coraz bardziej wytrącony z równowagi, jak gdyby jakaś część jego „ja” stawała się cięższa od reszty. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że nie miał z kim o tym porozmawiać. Obawiał się, że może zostać schwytany, wydany policji lub skompromitowany.

Świergot telefonu przywołał go z powrotem do rzeczywistości. Odebrał natychmiast.

– Oui – powiedział po francusku i kilka razy pokiwał

głową. To była wiadomość, jakiej oczekiwał, a składała się ona z dwóch części. Pierwsza była potwierdzeniem rozwiązania potencjalnego problemu w Stanach Zjednoczonych: jeżeli Harry Addison rozmyślnie lub mimowolnie przekazał jakąś niewygodną dla zainteresowanych informację Byronowi Willisowi, nie miało to już znaczenia. Obiekt został wyeliminowany.

Druga sprawa była trudniejsza, wymagała bowiem intensywnych poszukiwań telefonicznych. Rezultat jednak przerósł jego najśmielsze oczekiwania.

– Tak – powiedział na koniec. – Pescara. Już wyjeżdżam.

– Ciepła herbata – oznajmił Hercules. – Możesz przełykać?

– Tak – skinął głową Harry.

– Weź kubek w obie ręce.

Karzeł podsunął mu naczynie i pomógł je objąć dłońmi. Ta prosta czynność stała się skomplikowana za sprawą bandażu owijającego lewą dłoń rannego niczym za duża mitenka.

Harry napił się i aż go zatkało.

– Okropna, co? Cygańska herbatka. Mocna i gorzka.

Ale wypij. Pomoże ci przyjść do zdrowia i odzyskać wzrok.

Harry zawahał się, a potem wychylił zawartość kubka długimi łykami, usiłując nie czuć smaku. Hercules przyglądał mu się z uwagą, przechylając się z boku na bok niczym artysta studiujący modela. Gdy Harry skończył, karzeł odstawił naczynie.

– Ty to nie jesteś ty – oznajmił nagle.

– Co?

– Nie jesteś księdzem Danielem, tylko jego bratem.

– Skąd to wiesz? – Harry dźwignął się na łokciu.

– Po pierwsze, ze zdjęcia w paszporcie. Po drugie, bo szuka cię policja.

– Policja? – wzdrygnął się Harry.

– Słyszałem w radio. Jesteś poszukiwany za morderstwo, ale nie za to, które popełnił twój brat. Ta historia z kardynałem to mocna sprawa. Ale twoja też niezgorsza.

– O czym ty mówisz?

– O policjancie, panie Addison. Detektywie nazwiskiem Pio.

– Pio nie żyje?

– Wykonałeś niezłą robotę.

– Ja wykonałem...?

W jednej chwili wszystko wróciło. Pio patrzący w lusterko alfy, kładący pistolet na przednim siedzeniu. I jednocześnie widok ciężarówki tuż przed nimi, i własny głos Harry'ego, krzyczący, żeby uważał.

Po chwili wrócił jeszcze jeden fragment. Coś, czego aż do tej chwili nie pamiętał. Dźwięk. Okropnie głośny. Powtarzający się szybko, ogłuszający huk. Wystrzały z pistoletu.

Po chwili przypomniał sobie twarz. Była tam i zaraz zniknęła, jak oświetlona na ułamek sekundy fleszem. Błada i okrutna. Z półuśmiechem na ustach. I przypomniało mu się jeszcze coś: najbardziej niebieskie oczy, jakie widział w życiu.

– Nie... – odezwał się ledwie słyszalnym głosem, oszołomiony, ze wzrokiem utkwionym w Herculesie. – Ja tego nie zrobiłem.

– To nie ma znaczenia, panie Harry, czy to zrobiłeś, czy

nie... Liczy się, że władze uważają, iż tak. We Włoszech nie ma kary śmierci, ale policja i tak znajdzie sposób, żeby cię zabić. – Hercules dźwignął się nagle do pionu. Pochylony na kulach, spoglądał na Harry'ego z góry. – Mówili, że jesteś prawnikiem. Z Kalifornii. Zarabiasz pieniądze na gwiazdach filmowych i jesteś bardzo bogaty.

Harry opadł na poślanie. No tak. Hercules chciał pieniędzy i zamierzał wydusić je z niego, grożąc wydaniem policji.

Dlaczego zresztą nie? Karzeł był przecież zwykłym wyrzutkiem, żyjącym w brudnych zakamarkach metra, i Harry spadł mu jak z nieba. I niezależnie od powodu, dla którego uratował mu życie, w związku z nowym obrotem wypadków odkrył teraz, że ocalił kurę znoszącą złote jaja.

– Mam trochę pieniędzy, to prawda. Ale jeżeli spróbuję się do nich dostać, policja znajdzie mnie bardzo szybko.

Nawet gdybym chciał ci coś dać, po prostu nie mam jak.

– To nie ma znaczenia – Hercules pochylił się niżej i wyszczerzył w uśmiechu. – Wyznaczyli za ciebie cenę.

– Cenę?

– Tak jest, wyznaczyli nagrodę. Sto milionów lirów. To jest jakieś sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Kupa pieniędzy, panie Harry, szczególnie dla tych, którzy nie mają grosza.

Karzeł znalazł drugą kulę, odwrócił się i w jednej chwili pokuśtykał w ciemność.

– Ja go nie zabiłem! – zawołał za nim Harry.

– Policja i tak cię załatwi! – Głos Herculesa odbijał się

echem, aż zagłuszył go odległy łoskot metra, mijającego końcową część jego prywatnego tunelu. Po chwili rozległ się skrzyp otwieranych drzwi i trzask, gdy się zamknęły.

Potem zapadła cisza.

Miejsce, do którego przywieźli Michaela Roarka, okazało się nie szpitalem, lecz prywatnym domem o nazwie Casa Alberti; odrestaurowanym dwupiętrowym wiejskim budynkiem z kamienia, nazwanym imieniem starej florenckiej rodziny. Siostra Elena ujrzała go przez poranną mgłę, gdy minęli żelazną bramę i jechali długim, zwirowanym podjazdem.

Opuściwszy Pescarę, ominęli autostradę A14 i pojechali A24, po czym przeskoczyli z powrotem na A14, ale w kierunku północnym. Posuwali się wzdłuż wybrzeża Adriatyku ku San Benedetto i dalej Civitanova Marche, po północy skręcili na zachód i minąwszy Foligno, Asyż i Perugię, wspięli się na wzgórze, by o świcie dotrzeć do Casa Alberti, leżącego na wschód od starożytnego toskańskiego miasta Cortona.

Marco otworzył bramę i szedł przed furgonetką w stronę budynku. Pietro, który jechał za nimi, zamknął bramę na klucz, a potem wszedł do domu jako pierwszy. Sprawdził, czy wszystko w porządku, zapalił światła i wpuścił ich do środka.

Kilka minut później Elena przyglądała się w milczeniu, jak Marco i Luca wnoszą Michaela Roarka frontowymi schodami do budynku, a potem na drugie piętro, do

pokoju mającego mu teraz zastąpić szpitalną salę. Otworzyła zasłonięte okiennicami okno i ujrzała czerwoną kulę słońca, wysuwającą się właśnie ponad horyzont za rozległymi polami.

Na dole Pietro wyszedł z budynku i przestawił swoje auto przed furgonetkę, tak że oba pojazdy blokowały teraz podjazd, uniemożliwiając dotarcie pod sam dom samochodem.

Potem silnik ucichł, a Pietro podszedł do bagażnika i wyjął stamtąd strzelbę. W chwilę później siedział z powrotem w swoim aucie. Drzwiczki zostawił otwarte, zaplótł ręce na piersi i natychmiast zasnął.

– Pomóc w czymś, siostrzyczko? – W drzwiach stanął Marco.

– Nie, dziękuję – uśmiechnęła się do niego.

– Luca będzie spał na górze. Jakbym był potrzebny, jestem w kuchni.

– Dziękuję...

Marco wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Elena niemal natychmiast poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Podrzemywała przez całą podróż, lecz emocje i myśli nie dawały jej zasnąć głębiej. Teraz, w Casa Alberti, myśl o położeniu się do łóżka stała się nagle bardzo kusząca.

Po prawej miała dużą łazienkę z wanną i oddzielnym prysznicem. Na lewo była wnęka z łóżkiem i szafą, odgradzona parawanem.

Przed sobą natomiast widziała pogrążonego we śnie Michaela Roarka. Podróż go wyczerpała. Przez większą

część drogi był rozbudzony. Jego wzrok wciąż wędrował pomiędzy mężczyznami a Eleną, jakby usiłował zrozumieć, gdzie jest i co się dzieje. Jeśli się bał, nie było tego widać. Być może dlatego, że stale go uspokajała, powtarzając swoje nazwisko i jego oraz imiona mężczyzn – przyjaciół wiozących go tam, gdzie będzie mógł odpoczywać i zdrowieć. Godzinę czy dwie przed dotarciem na miejsce zapadł jednak w głęboki sen i spał w dalszym ciągu.

Otworzyła przyniesioną przez Marca medyczną walizeczkę, wyjęła aparat do mierzenia ciśnienia i zmierzyła je choremu, przyglądając mu się badawczo. Twarz pod okrywającymi głowę bandażami była wymizerowana, na pewno stracił mnóstwo na wadze. Ciekawe, pomyślała Elena, jak też wyglądał przedtem. Jak będzie wyglądał, gdy zacznie zdrowieć, normalnie się odżywiać i odzyskiwać siły.

Gdy skończyła, schowała przyrząd i wstała. Ciśnienie miał takie samo jak po południu i takie samo jak zaraz po przywiezieniu go do Pescary. Ani lepsze, ani gorsze. Bez zmian.

Zaznaczyła je na karcie, zdjęła habit, włożyła bawełnianą koszulę nocną i weszła do łóżka, mając nadzieję przespać się ze trzy kwadranse, najwyżej godzinę. Zerknęła na zegarek.

Było dwadzieścia po ósmej w piątek, dziesiątego lipca.

Rzym.

W tym samym czasie Kardynał Marsciano siedział w swojej bibliotece i oglądał na małym telewizorze transmitowaną na żywo, zaimprovizowaną konferencję prasową. Dominował na niej gniew.

Marcello Taglia, szef Gruppo Cardinale, został otoczony przez tłum reporterów, gdy wjeżdżał samochodem do siedziby policji. Musiał wysiąść, żeby stawić im czoło i odpowiadać na pytania.

Nie wie, skąd pochodzi kasetą z amerykańskim prawnikiem Harrym Addisonem, oznajmił Taglia. Nie wie, w jaki sposób nagranie przeciekło do prasy. Nie wie, kto przekazał mediom fotografię ojca Daniela Addisona i podpowiedział, że ten człowiek, podejrzany o zamordowanie kardynała wikariusza Rzymu i zabity jakoby wskutek eksplozji w autobusie jadącym do Asyżu, jednak żyje i ukrywa się gdzieś we Włoszech. Tak, to prawda, że wyznaczono nagrodę w wysokości stu milionów lirów za informacje, które doprowadzą do aresztowania i skazania jednego albo obu Amerykanów.

Ujęcie się skończyło i pojawił się obraz studia telewizyjnego. Atrakcyjna spikerka siedząca za szklanym biurkiem zaprezentowała telewidzom nagranie z Harrym. Na koniec pokazano na ekranie fotografie obu braci i

numer telefonu, pod którym można się było kontaktować z policją.

Marsciano wyłączył telewizor i patrzył w pusty ekran, czując, jak jego świat pogrąża się w mroku. Świat, który w ciągu najbliższych godzin mógł się okazać jeszcze mroczniejszy, wręcz nie do wytrzymania.

Wkrótce miał stanąć przed czterema kardynałami, tworzącymi wraz z nim komisję nadzorującą interesy Stolicy Apostolskiej. Miał im przedłożyć do ratyfikacji nowy, celowo wprowadzający w błąd, projekt portfela inwestycyjnego.

O wpół do drugiej spotkanie się skończy i Marsciano odbędzie dziesięciominutowy spacer z Watykanu do Armari, małej rodzinnej trattorii przy Viale Angelico. Tam, w prywatnym pokoiku na piętrze, spotka się z Palestriną, by mu przedstawić efekty rozmów. Od tych efektów zależało nie tylko powodzenie „Chińskiego Protokołu” Palestriny, lecz także własne życie Marsciana, a co za tym idzie, życie ojca Daniela.

Starał się utrzymać tę myśl z dala od siebie, bojąc się, że go osłabi i kardynałowie zorientują się, jak jest zdesperowany. W miarę zbliżania się wyznaczonej godziny czuł, że choć walczy ile sił, nieubłagana pamięć – jakby kierował nią Palestrina – wciąż wraca do tamtej przejmującej dreszczem chwili.

I nagle już znów tam był, w biurze Pierre’a Weggena w Genewie, wieczorem w dniu eksplozji autobusu. Zadzwoił telefon, do niego. To był Palestrina.

Poinformował go jednym tchem, że ojciec Daniel był w autobusie i jest uznany za zabitego, a poza tym... – Boże w niebiosach! Marsciano wciąż czuł straszliwe ukłucia słów Palestriny, wypowiedzianych głosem łagodnym niczym szelest jedwabiu – ... „policja znalazła przekonujące dowody rzeczowe, wskazujące na to, że ojciec Daniel jest zabójcą kardynała Parmy”.

Pamiętał własny okrzyk oburzenia i milcząco uśmiechniętego Weggena, jak gdyby bankier wiedział doskonale o wszystkim. Palestrina tymczasem mówił dalej, nieporuszony.

– Ponadto, Eminencjo, jeżeli prezentacja na radzie kardynałów się nie powiedzie i odpowiednie propozycje inwestycji nie zostaną przegłosowane, policja wkrótce się zorientuje, że nić prowadząca od zamordowania Parmy nie kończy się na ojcu Danielu, lecz prowadzi bezpośrednio do ciebie.

I mogę spokojnie założyć, że pierwszym pytaniem, zadany przez prowadzących śledztwo, będzie, czy ty i kardynał wikariusz byliście kochankami. Zaprzeczanie oczywiście na nic się nie zda, ponieważ przedstawionych zostanie wystarczająco wiele dowodów – listy i zapiski o sensacyjnym i bardzo osobistym charakterze, znalezione w waszych prywatnych komputerach... Proszę pomyśleć, Eminencjo: twoja twarz i jego na okładkach wszystkich czasopism, na ekranach telewizorów na całym świecie. Proszę pomyśleć o reperkusjach w samej Stolicy Apostolskiej i hańbie, jaką to ściągnie na Kościół Święty.

Roztrzęsiony i przerażony, nie mając wątpliwości co do tego, kto jest odpowiedzialny za wysadzenie w powietrze autobusu, Marsciano po prostu odłożył słuchawkę. Palestrina był wszędzie. Dokręcał śrubę, zaciskał chwyt. Skuteczny, opanowany, bezwzględny. Potężniejszy i bardziej przerażający i ohydny, niż Marsciano sobie to dotąd wyobrażał.

Kardynał odwrócił się do okna i wyjrzał na ulicę. Po drugiej stronie stał szary mercedes, mający go zawieźć do Watykanu. Kierowca był nowy: ulubieniec Farela, cywilny funkcjonariusz o dziecięcej twarzy, nazwiskiem Anton Pilger.

Gospodyni kardynała, siostra Maria-Louisa, też była nowa.

Podobnie jak sekretarki i szef biura. Z poprzedniej ekipy pozostał mu tylko ksiądz Bardoni, i to tylko dlatego, że zawiadywał komputerami i umiał obsługiwać bazę danych wspólną z genewskim biurem Weggena. Marsciano był pewien, że kiedy tylko zostanie przyjęty nowy portfel inwestycyjny, ojciec Bardoni także odejdzie. Był ostatnim z oddanych mu ludzi; po jego odejściu pozostanie w gnieździe żmij Palestriny zupełnie sam.

Harry poruszał się niepewnie w ciemności. Głowa wciąż go bolała od uderzenia rykoszetującej kuli; plecami ocierał się o chropowatą ścianę tunelu, a wyciągniętą przed siebie zdrową ręką usiłował odnaleźć drzwi, przez które wychodził Hercules. Musi się stąd wydostać, zanim wróci karzeł i przyprowadzi ze sobą Bóg wie kogo. Może przyjaciół, a może policję. Sześćdziesiąt tysięcy dolarów; jakież to muszą być pieniądze dla kogoś takiego jak on!

Gdzie są te drzwi? To nie mogło być tak daleko. A jeśli je minął w ciemności?

Zatrzymał się, nasłuchując. Liczył, że daleki odgłos jadącego metra pomoże mu się zorientować, gdzie jest.

Cisza.

Prawie całe swe siły zużył na ubranie się, pozbieranie rzeczy Danny'ego i opuszczenie nory Herculesa. Nie wiedział, co robi, kiedy już wyjdzie na świat, ale wszystko było lepsze od pozostania tutaj i czekania na to, co wymyślił karzeł.

Otaczała go kompletna ciemność. I nagle zobaczył w oddali punkcik światła. Koniec tunelu. Poczul przyptyw ulgi.

Ruszył w tę stronę, wciąż przyklejony plecami do ściany.

Światło pojaśniało. Przyśpieszył kroku i poczul pod stopą coś twardego. Zatrzymał się, pomacał stopą. Stal.

To były tory. Spojrzał przed siebie. Jasny punkt się przybliżał. Przemknęła mu przez głowę myśl o urządzeniu, którym go torturowano. To nie mogło być to. Gdzie on właściwie jest?

A może w ogóle się stamtąd nie wydostał?

Wtem poczuł, że drży pod nim ziemia. Światło pędziło ku niemu. Zrozumiał. Jest w czynnym tunelu! A światło to reflektor pociągu. Odwrócił się i zaczął biec z powrotem.

Światło było coraz jaśniejsze. Zawadził nogą o szynę i niemal się przewrócił. Usłyszał świst gwizdka pociągu. A potem zgrzyt stali, gdy maszynista włączył hamulce.

Nagle chwyciły go jakieś ręce i cisnęły pod ścianę tunelu.

Wagony przemknęły centymetry od jego twarzy; mignęły mu oświetlone wnętrza przedziałów i twarze zaskoczonych pasażerów. Pociąg przejechał i zatrzymał się ze zgrzytem pięćdziesiąt metrów dalej.

– Oszalałeś?

Przed sobą miał twarz Herculesa, trzymającego go żelaznym uściskiem za poły marynarki.

Dobiegły ich okrzyki obsługi pociągu. Kilku ludzi wyskoczyło z wagonów i szło ku nim z latarkami.

– Tędy. – Hercules obrócił go i popchnął w wąski boczny korytarz, a chwilę później wepchnął na drabinkę roboczą i zaczął wspinać się za nim. Z kulami zawieszonymi na jednym ramieniu, kołysał się na samych rękach, niczym w cyrku.

Za sobą słyszeli krzyki i nawoływania kolejarzy. Hercules spojrzał gniewnie na Harry'ego i pociągnął do kolejnego wąskiego korytarzyka, pełnego przewodów elektrycznych i wentylacyjnych.

Szli tak, Harry przodem, a Hercules tuż za nim, jeszcze jakiś kilometr. Wreszcie zatrzymali się pod oświetlonym szybem wentylacyjnym.

Hercules przez dłuższą chwilę milczał, nasłuchując. Potem, uznawszy, że nikt za nimi nie idzie, spojrzał na Harry'ego.

– Na pewno zgłoszą to policji. Będą przeszukiwać tunele.

Jeżeli znajdą moją kryjówkę, domyślą się, że tam byłeś. I nie będę miał gdzie mieszkać.

– Przepraszam...

– Przynajmniej dowiedzieliśmy się dwóch rzeczy. Masz dość sił, żeby chodzić, nawet biec. I nie jesteś już ślepy.

Harry rzeczywiście widział. Nie miał jeszcze czasu sobie tego uprzytomnić. Najpierw było ciemno. Potem pojawiło się światło, a na końcu widział pasażerów w wagonach. Nie jednym okiem, lecz dwoma.

– No – rzekł Hercules. – Jesteś wolny. – Zdjął zawieszony na ramieniu pakunek i podał go Harry'emu. – Otwórz.

Harry posłuchał go. W paczce były czarne spodnie, czarna koszula, czarna marynarka i biała koloratka księdza, Wszystko znoszone, ale zdatne do użytku.

– Będiesz teraz swoim bratem, co?

Harry patrzył nań zdumiony.

– No dobra, może nie swoim bratem, ale księdzem – dodał karzeł. – Czemu nie? Broda ci już rośnie, zaczynasz inaczej wyglądać... W mieście jest tylu księży, że to najlepsze przebranie. W spodniach masz kilkaset tysięcy. Nie za wiele, ale starczy, żebyś się mógł rozejrzeć i zastanowić, co robić dalej.

– Ale dlaczego? – zapytał Harry, – Mogłeś mnie wydać policji i zgarnąć nagrodę.

– Czy twój brat żyje?

– Nie wiem.

– Czy to on zabił kardynała?

– Nie wiem.

– No i widzisz. Jakbym cię wydał, nigdy byś się nie dowiedział ani jednego, ani drugiego. Nie będziesz pewny, dopóki sam się nie przekonasz. Pamiętaj, oczywiście, że ciebie też szukają, za zabicie policjanta. Sprawa jest przez to podwójnie interesująca, zgadza się?

– Tyle pieniędzy urządziłoby cię na bardzo długo!

– Ale musiałbym je wziąć od policji. A ja nie mogę tam pójść, panie Harry. Bo też kogoś zabiłem... A gdybym się z kimś umówił na jakiś układ, pewnie wziąłby pieniądze i zniknął... Ty byś wylądował w więzieniu, a mnie i tak by się nie polepszyło. I po co mi to?

– Ale dlaczego...

– Ci pomagam?

– Właśnie.

– Chcę zobaczyć, jak sobie poradzisz. Na ile ci starczy

sprytu i odwagi. Czy uda ci się przetrwać. Czy znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania. Czy udowodnisz, że jesteś niewinny.

– To nie jedyny powód, prawda? – Harry spojrzał nań badawczo.

Hercules cofnął się o kulach i po raz pierwszy Harry dostrzegł na jego twarzy smutek.

– Człowiek, którego zabiłem, był bogaty i pijany. Chciał mi rozwalić głowę cegłą, bo wyglądał, jak wyglądam. Więc zrobiłem, co musiałem zrobić. Ty jesteś przystojny, inteligentny. Jeżeli wykorzystasz swoje możliwości, masz szansę.

Ja nie mam żadnej. Jestem brzydkim karłem i mordercą, skazanym na życie w podziemiach. Jeśli wygrasz tę grę, panie Harry, może sobie o mnie przypomnisz i wrócisz.

Wykorzystasz swoje pieniądze i wiedzę, żeby mi jakoś pomóc. Każdy Cygan będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

Chyba żebym już nie żył.

Harry'ego ogarnęła fala ciepła i autentycznego wzruszenia; poczuł, że ma do czynienia z niezwykłym człowiekiem.

Pokręcił głową z uśmiechem, uświadamiając sobie niesamowitość tego wszystkiego. Tydzień temu był w Nowym Jorku w interesach, jako jeden z najmłodszych i odnoszących największe sukcesy prawników w branży rozrywkowej. Życie wydawało się usłane różami. Był na szczycie świata i mógł iść jeszcze wyżej. Siedem dni

później, za sprawą obrotu wypadków, przekraczającego wszelkie wyobrażenia, stoi oto cały w bandażach i brudny w szybie wentylacyjnym rzymskiego metra, poszukiwany za morderstwo policjanta.

Był to koszmar urągający zdrowemu rozsądkowi, lecz mimo wszystko prawdziwy. I w samym środku tej historii człowiek poturbowany przez los, nie mający prawie nadziei na normalne życie, karzeł kaleka, który go uratował i doprowadził do zdrowia – stoi przed nim o kulach w półmroku i prosi o pomoc. Kiedyś, w przyszłości, jeśli nie zapomni.

Tą jedną zwyczajną prośbą Hercules objawił mu łaskę, której istnienia Harry ledwie się domyślał. Łaskę wiary w to, że jeden człowiek, jeśli tylko zechce, może wykorzystać wszystko, czego się w życiu nauczył, żeby zrobić coś wartościowego dla innego człowieka. Było to powiedziane w sposób czysty i uczciwy, bez żadnych oczekiwań, że kiedykolwiek się spełni.

– Zrobię, co tylko będę mógł – powiedział. – Obiecuję ci to.

Kafeteria na Stazione Termini,  
rzymskim głównym dworcu kolejowym; 9.30

Kosciani patrzył, jak mężczyzna odchodzi w stronę peronów i znika w tłumie. On sam zamierzał dokończyć spokojnie kawę i wyjść niespiesznie za jakiś czas, upewniwszy się, że nikt ich nie skojarzył jako znajomych, którzy wychodzili razem.

Enrico Cirelli był po prostu jeszcze jednym klientem, który zamówił kawę przy barze i przysiadł się akurat do stolika, przy którym siedział Rosciani, czytając gazetę. Zamienili ze sobą ledwie kilkanaście słów, ale detektywowi to wystarczyło.

Cirelli pracował jako elektryk i dopiero wczoraj wrócił z wyjazdowej pracy na północy kraju. Roscianiemu jednak opłacało się czekanie. Jako wysoki rangą członek Demokratycznej Partii Lewicy, czyli dawnej Komunistycznej Partii Włoch, Cirelli znał sytuację wśród rzymskiej skrajnej lewicy jak własną kieszeń. A środowisko to, jak oznajmił Roscianiemu prosto z mostu, nie miało nic wspólnego z zamordowaniem Parmy, z wysadzeniem autobusu jadącego do Asyżu ani z zabiciem inspektora Pio. Być może zrobiła to jakaś rozłamowa frakcja czy grupka, ale nic mu o tym nie wiadomo. Jeżeli tak, to już on ją znajdzie.

– Grazie – rzekł Roscani, a jego rozmówca po prostu wstał i wyszedł. Nie musiał okazywać, że przyjął podziękowanie. Wiedział, że Roscani odpłaci mu się, kiedy to będzie potrzebne.

Inspektor w końcu również wstał i wyszedł. Nagranie z Harrym Addisonem odtwarzały już wszystkie stacje telewizyjne. Fotografie obu braci widziało już pewnie z dziewięćdziesiąt procent mieszkańców kraju.

Roscani celowo trzymał się z dala od Questury i świąteł jupiterów. Postanowili o tym z Taglią, kiedy o trzeciej nad ranem zadzwonił do niego z informacją, że telewizja zdobyła kopię nagrania, a także fotografię ojca Daniela wraz z odpowiednimi detalami dochodzenia prowadzonego przez Gruppo Cardinale. Taglia, usłyszawszy o tym, natychmiast zlecił Roscaniemu podjęcie zdecydowanych działań w celu wykrycia źródła przecieku. Zależała od tego nie tylko integralność Gruppo Cardinale, lecz także powaga włoskiego wymiaru sprawiedliwości. Obaj jednak zgodzili się, że będzie to przedsięwzięcie niezwykle trudne i mogące prowadzić donikąd.

Wiedzieli bowiem, że źródłem przecieku był sam Roscani.

Przemierzając dworzec w kierunku głównego wyjścia i przepychając się przez płynącą w różne strony ludzką ciżbę, detektyw zauważył, że wszędzie jest mnóstwo policyjnych patroli. Wiedział, że jest ich dużo także gdzie indziej – na lotniskach, dworcach kolejowych i

autobusowych, na przystaniach i w portach – od Rzymu po Sycylię, a na północy aż do granic z Francją, Szwajcarią i Austrią. Wiedział również, że dzięki nagłośnieniu sprawy przez media za braćmi Addisonami będzie się także rozglądało mnóstwo zwyczajnych obywateli.

Pchnął szklane drzwi i wyszedł na rozświetloną ulicę, kierując się do samochodu. Czuł, jak zakrojone na niesłychaną skalę polowanie na ludzi nabiera rozpędu. Zorientował się, że mruży oczy, i zdał sobie sprawę, że i on przygląda się uważnie twarzom przechodniów. Był świadom, że uczucia, które rzekomo odsunął od siebie i pokrył profesjonalnym dystansem, wcale nie pozostały w ukryciu. Czuł, jak wracają i wzbierają w nim falą gorąca.

To, czy ojciec Daniel żył, czy był martwy, pozostawało w sferze domysłów. Ale Harry Addison musiał być gdzieś w Rzymie. I tylko kwestią czasu było, kiedy zostanie zauważony. Gdy już się to stanie, znajdzie się pod ścisłą obserwacją.

Przebywające w jego pobliżu postronne osoby, którym mogłaby się stać krzywda, zostaną dyskretnie ewakuowane.

I w odpowiednim momencie, najpewniej po zmroku, pójdzie za nim już tylko jeden człowiek. W kamizelce kuloodpornej i uzbrojony – w pistolet i we wspomnienia o utraconym towarzyszu.

Tym człowiekiem będzie Otello Roscani.

Piątek, 10 lipca; 9.50

Harry Addison wyszedł z metra na stacji Manzoni wprost w jasne lipcowe słońce. Miał na sobie przebranie dostarczone przez Herculesa i wyglądał, jak sądził, na księdza, który miał ciężką noc. Ze szczecina zarostu, z opatrunkiem na lewej skroni i bandażem na lewej ręce, dzięki któremu jego kciuk, palec wskazujący i środkowy trzymały się razem.

Do twardej rzeczywistości przywrócił go w jednej chwili widok własnego zdjęcia, obok fotografii Danny'ego, na okładkach „Il Messagero” i „La Repubblica”, wyłożonych po obu stronach kiosku z gazetami. Odwrócił się i poszedł w drugą stronę.

Przede wszystkim musiał się jakoś doprowadzić do porządku, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Zobaczył na rogu ulicy jakąś kafejkę i wszedł do środka. Liczył, że będzie w niej toaleta, gdzie mógłby obmyć twarz i ręce i przygładzić jakoś włosy, żeby się stać choć trochę podobnym do ludzi.

W kawiarni siedziało kilkanaście osób; nikt nawet na niego nie spojrzał. Jedyne barman stał przy ekspresie do kawy, tyłem do wnętrza. Harry przeszedł przez salę, uznając, że toaleta powinna się znajdować w głębi. Miał rację, lecz w środku ktoś był. Musiał poczekać. Stał pod

ścianą niedaleko okna i zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Ulicą za oknem przeszło dwóch księży. Jeden był z gołą głową, ale drugi miał beret, przekrzywiony zawadiacko na modłę przedwojennych artystów paryskich. Może to taki styl, a może nie, ale skoro jeden ksiądz może tak chodzić, to czemu nie dwóch?

Drzwi toalety otworzyły się i stanął w nich jakiś mężczyzna. Popatrzał krótko na Harry'ego, jakby go rozpoznawał, a potem wszedł na salę.

– Buon giorno, padre – rzucił, mijając go.

– Buon giorno – odrzekł Harry, wszedł do pomieszczenia i zamknął drzwi. Przekręcił zamek i odwrócił się, by spojrzeć w lustro.

Widok, jaki ujrzał, zaskoczył go zupełnie. Twarz miał wymizerowaną, cerę pobladłą, broda wyrosła mu dłuższa, niż sądził. Wyjeżdżając z LA, był w dobrej kondycji; ważył osiemdziesiąt pięć kilogramów, mając metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Na pewno stracił wiele na wadze. Nie wiedział ile, lecz w księżowskiej czerni wyglądał chudo. Utrata wagi w połączeniu z zarostem zmieniły jego wygląd dość poważnie.

Umył twarz i ręce, najlepiej jak się dało przy pokrywających je bandażach, zmoczył włosy i przygładził je dłońmi.

Nagle ktoś zapukał do drzwi toalety.

– Momento – zawołał instynktownie i wystraszył się natychmiast, że może nie jest to poprawnie po włosku.

Do pukania dołączyło się gniewne szarpanie za klamkę.

Harry otworzył drzwi. Zobaczył poirytowaną kobietę. To, że był księdzem, wcale jej nie ostudziło. Najwyraźniej jej potrzeba była bardzo nagła. Skinął uprzejmie głową i przeszedłszy przez kawiarnię, wyszedł na ulicę.

Widziały go twarzą w twarz dwie osoby i żadna nie powiedziała słowa. Działo się to jednak w konkretnym miejscu, a ci ludzie prędzej czy później zobaczą jego zdjęcie i mogą go sobie przypomnieć. Wtedy zadzwonią na policję.

Należało więc oddalić się z tej okolicy jak najszybciej.

Roscani przybiegł na miejsce po torach, Scala i Castelletti tuż za nim. Tunel oświetlały reflektory. Wszędzie pełno było policjantów w kamizelkach kuloodpornych i z bronią maszynową. Wśród nich kręcili się urzędnicy z dyrekcji metra; był też maszynista kolejki, która niemal potrafiła uciekiniera.

– Było ich dwóch. Ten Amerykanin i jakiś mały człowiek o kulach. Może karzeł – powiedział policjantom.

Roscaniego zawiadomiono, kiedy wychodził z dworca kolejowego i miał już wracać do komendy. Wiadomość przyszła późno, prawie godzinę po wydarzeniach w tunelu.

Według słów maszynisty, przestraszył się, że przejechał człowieka, więc zatrzymał pociąg, ale na torach nikogo już nie było. Zameldował więc tylko o zdarzeniu dyspozytorowi i pojechał dalej. I dopiero podczas przerwy zobaczył twarz Harry’ego na okładce „II Messagero” i skojarzył go sobie z człowiekiem z tunelu.

– Jest pan pewien, że to był on? – naciskał Roscani.

– Miałem go w światłach tylko przez momencik. Ale to na pewno on. Miał na głowie chyba bandaż.

– Dokąd oni mogli uciec? – zwrócił się Roscani do wysokiego, wąsatego urzędnika kolejowego.

– Dokądkolwiek. W tej części metra jest bardzo dużo wyłączonych z ruchu starych tuneli i korytarzy roboczych.

Roscani zawahał się. Stacje na obu końcach odcinka zostały zamknięte; pasażerom podstawiono autobusy, do których wsiadali pod bacznym okiem zastępów policji. Niedługo skutki tej decyzji zaczną odczuwać cała sieć metra.

– Czy macie plany tych tuneli?

– Tak.

– Chcę je obejrzeć. – Spojrzał na Scalę. – Jedź do Hasslera i przywieź jakąś rzecz Addisona, coś nie pranego.

Uwiń się jak najszybciej.

Scala zrozumiał, o co chodzi.

– Weźmiemy psy?

– Tak.

Harry szedł szybko chodnikiem, pocąc się w lipcowym upale. Oddalenie się z okolic kawiarni było oczywiście sensowne. Ale jego fotografia spoglądała na niego z każdego mijanego kiosku z gazetami. Było to nie tylko przerażające, lecz również niesamowite, jakby się znalazł na jakiejś dziwnej planecie, gdzie wszyscy tubylcy przyglądają się tylko jemu jednemu.

Nagle zatrzymał się jak wryty, usłyszawszy własny głos. Mijał właśnie sklep z elektroniką, na wystawie stała piramida telewizorów, od szerokoekranowych do miniaturowych. Był na ekranie każdego z nich; siedział na stołku, w ciemnych okularach i sportowej marynarce, którą zostawił u Herculesa. Głos wydobywał się z

głośniczka nad drzwiami sklepu.

„Danny, proszę cię, żebyś się ujawnił... Poddaj się... Oni wiedzą wszystko... Proszę, ze względu na mnie. Ujawnij się... Błagam...”.

Obraz przeskoczył do studia, w którym spiker za biurkiem mówił coś po włosku. Harry wyłowił nazwisko, swoje i Danny'ego. Potem nastąpiła wstawka z zamordowaniem kardynała Parmy. Wszędzie policja i karetki; mignęła też głowa Farela i ujęcie mercedesa, uwożącego stamtąd Ojca Świętego.

Nagle Harry zdał sobie sprawę, że otacza go tłumek ludzi, którzy też się zatrzymali, żeby popatrzeć. Odwrócił się i odszedł od wystawy. Czuł się skołowany. Skąd się wziął ten film? Pamiętał jak przez mgłę jakieś słuchawki; ktoś coś do nich mówił. On to powtarzał, a potem chyba zorientował się, że to nie w porządku, i chciał coś zrobić, ale ktoś go uderzył i wróciła ciemność. Teraz w pełni sobie uświadomił, co to było. Torturowali go, żeby powiedział, gdzie się ukrył Danny. A kiedy zrozumieli, że naprawdę nie wie, zmusili go, żeby przemówił do kamery. A potem chcieli go zabić.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Zdjęcia w gazetach to już było aż nadto, a teraz jeszcze znalazł się na ekranach telewizorów w całym Włoszech. A może i na całym świecie. Dzięki Bogu, że miał wtedy te ciemne okulary. Na pewno trudniej go rozpoznać bez nich. Chociaż trochę.

Naprzeciwko zobaczył arkadową bramę w starym murze.

Przypomniało mu to podobną arkadę w pobliżu Watykanu, pod którą przejeżdżał w drodze na spotkanie z Farelem.

Zastanawiał się, czy to ten sam mur, czy znalazł się znowu blisko Watykanu. Nie znał Rzymu, po prostu wyszedł ze stacji metra gdzieś w środku miasta i ruszył przed siebie. To było bez sensu; mógł tak krążyć w kółko godzinami.

Wszedł w głęboki cień pod arkadą. Poczował lekki chłód, dający wytchnienie od lipcowego słońca. Po chwili znów znalazł się pod jego palącymi promieniami. I po raz drugi w ciągu kilku minut stanął jak wryty.

Kilka domów dalej zobaczył zgrupowanie samochodów policyjnych. Policjanci na koniach odsuwali tłum gapiów.

Z boku stało kilka karetek i wozy transmisyjne telewizji.

Mijali go ludzie, śpieszący zobaczyć, co się stało. Usunął się im z drogi i zaczął rozglądać, usiłując się zorientować, gdzie jest. Ale zobaczył tylko nazwy uliczek zbiegających się w tym miejscu: Via La Spezia. Via Sannio. Via Magna Grecia. I Via Appia Nuova, na której stał.

– Co tu się dzieje, proszę księdza? – Usłyszał młody głos z nowojorskim akcentem.

Harry wzdrygnął się. Stał przy nim jakiś nastolatek w koszulce z napisem „End of the Dead” i podobizną Jerry’ego Garcii; trzymał za rękę dziewczynę o okrągłej buzi. Oboje spoglądali w stronę zbiegowiska.

– Nie wiem, przykro mi – odparł. Po czym odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Dobrze wiedział, co się działo. Policja szukała jego, Harry’ego Addisona.

Z bijącym mocno sercem przyśpieszył kroku; mijało go coraz więcej ludzi. Po lewej zobaczył zielen jakiegoś parku, a ponad nią bryłę bardzo starego kościoła.

Gdy przechodził przez placyk w stronę parku, przemknęły obok niego z wyciem syren dwa policyjne samochody. Szedł dalej.

Przed sobą miał kościół. Wielki, stary, zapraszający.

Schronienie przed zamieszaniami, które zostawił za sobą.

Na schodach stało sporo ludzi, pewnie turyści. Niektórzy odwróceni w stronę, z której przyszedł, ciekawi, co się stało.

Innych interesował bardziej sam kościół. To przecież wielkie miasto, czegoż się spodziewał? Ludzie byli wszędzie. Musiał zaryzykować, choćby na krótko, i wmieszać się w tłum, w nadziei, że nie zostanie rozpoznany.

Ruszył schodami w górę, między ludzi. Ledwie zwracali na niego uwagę, gdy się przepychał ku olbrzymim otwartym wrotom z brązu.

Wewnątrz też było tłumnie, lecz panowała cisza. Harry przystanął, rozglądając się jak inni. Ksiądz turysta, pochłonięty widokiem. Główna nawa kościoła miała na pewno niemal dwadzieścia metrów szerokości i z sześć razy tyle długości. Jakies trzydzieści metrów nad sobą

miął bogato rzeźbione i złocone sklepienie, a pod stopami równie dekoracyjną marmurową posadzkę. Przez umieszczone wysoko pod sklepieniem okna wlewały się dramatycznie do wnętrza strumienie światła. Pod ścianami stały olbrzymie figury dwunastu apostołów w otoczeniu innych rzeźb i fresków.

Schronienie Harry'ego było najwyraźniej nie jakimś zwyczajnym kościołem, lecz ważną katedrą.

Minęła go grupa Australijczyków zmierzających w stronę potężnego ołtarza głównego. Dołączył do nich i szedł niespiesznie, podziwiając wystrój, zachowując się jak turysta, czyli jak wszyscy tutaj. Do tej pory spoglądała na niego tylko jedna osoba, starsza kobieta, którą bardziej chyba zainteresował bandaż na jego głowie niż on sam.

Na razie nic mu nie groziło. Wylękniony, zdezorientowany, wyczerpany, szedł z grupą zwiedzających, czując tchnienie wieków, myśląc o tych, którzy chodzili tu dawno temu.

Dotarli do ołtarza. Kilku Australijczyków oderwało się od grupy, by przyklęknąć i pochylić głowy w modlitwie.

Harry uczynił to samo. I gdy to zrobił, owładnęły nim emocje. Do oczu napłynęły mu łzy i musiał siłą powstrzymać łkanie. Nigdy jeszcze w życiu nie czuł się tak zagubiony, samotny i przerażony jak w tej chwili. Nie miał zupełnie pojęcia, dokąd pójść i co zrobić. Irracjonalnie żałował teraz, że nie został z Herculesem.

Nie wstając z klęczek, obejrzał się przez ramię. Australijczycy zbierali się do odejścia, ale wchodzili

wciąż nowi turyści, a wśród nich dostrzegł dwóch strażników. Obserwujących tłum. Zaznaczających swoją obecność. Ubrani byli w ciemne koszule z epoletami i ciemne spodnie. Z tej odległości słabo było widać, ale chyba mieli u pasa radio.

Harry odwrócił się. Zostań, gdzie jesteś, nakazał sobie w myśli. Nie zaczepią cię, jeśli im nie dasz powodu. Masz czas. Zastanów się nad tym wszystkim. Dokąd pójść, co zrobić.

Myśl.

Psy węszyły i napinając smycze ciągnęły opiekunów naprzód. Roscani, Scala i Castelletti podążali za nimi, pokonując kolejne brudne, słabo oświetlone tunele. W końcu zatrzymali się wszyscy przy szybie wentylacyjnym nad stacją Manzoni.

Castelletti, najniższy z trójki detektywów, zdjął marynarkę i wsunął się do szybu. Na jego końcu znalazł poluzowaną klapę. Odchylił ją i wystawił głowę. Miał pod sobą korytarz, prowadzący z metra na ulicę.

– Tędy wyszedł – głos Castellettiego odbił się echem, gdy detektyw wycofywał się na kolanach i łokciach.

– Czy mógł też tędy wchodzić? – zawołał Roscani.

– Bez drabiny nie.

Roscani spojrział na szefa ekipy z psami.

– Spróbujcie się zorientować, którądy się tu dostał.

Dziesięć minut później byli znów w głównym tunelu, idąc trasą, którą pokonał Harry po opuszczeniu nory Herculesa.

Psy kierowały się zapachem podjętym ze swetra, znalezionego w jego pokoju hotelowym.

– Facet jest w Rzymie dopiero cztery dni. W jaki sposób udaje mu się tak sprytnie przemieszczać? – Głos Scali odbił się echem od ścian. Ostry snop światła z jego latarki rozpraszał ciemność przed nimi; psom, które szły

przodem, oświetlali z kolei drogę ich opiekunowie.

Nagle prowadzący pies zatrzymał się i uniósł nos do góry, węsząc. Inne też stanęły. Roscani przepchnął się do przodu.

– Co jest?

– Zgubiły trop.

– Jak to? Doszły aż tak daleko, jesteśmy w środku tunelu. Dlaczego nagle...

Przewodnik stanął przed swoim zwierzęciem i sam zaczął węszyć w powietrzu.

– Co masz?

– Zapach.

Roscani sam powąchał. Potem jeszcze raz.

– Herbata. Susz herbaciany.

Zrobił krok do przodu, poświecił mocniej na ziemię; I zobaczył rozsypane na przestrzeni jakichś piętnastu, dwudziestu metrów liście herbaty. Setki, tysiące. Ktoś je specjalnie rozsypał, żeby zmylić trop psom.

Roscani podniósł kilka i przysunął do nosa. Po chwili rzucił liście na ziemię, zniesmaczony.

– To Cyganie.

Watykan; w tym samym czasie

Marsciano słuchał cierpliwie kardynała Jeana Tremblaya z Montrealu, który czytał fragment grubego raportu, leżącego przed nim na stole.

– „Energia, stal, transport morski, konstrukcje budowlane, maszyny do robót ziemnych, wyposażenie kopalń, urządzenia inżynieryjne, transport, ciężkie dźwigi, koparki” – Tremblay z wolna odwrócił stronę. Czytając, pomijał nazwy wyszczególnionych firm, wyliczając tylko rodzaje ich działalności. – „Maszyny i urządzenia, konstrukcje, konstrukcje, konstrukcje...”. – Wreszcie zamknął dokument i podniósł głowę. – Wygląda na to, że Stolica Apostolska stawia na przemysł ciężki – stwierdził z przekąsem.

– Można w pewnym sensie tak to ująć. – Marsciano odpowiedział kardynałowi Tremblayowi, walcząc z suchością w ustach i usiłując stłumić echo własnych słów, rozlegające się w jego głowie. Wiedział, że jeśli okaże słabość, przepadnie. A razem z nim przepadnie także ojciec Daniel.

Kardynał Mazetti z Włoch, kardynał Rosales z Argentyny, kardynał Boothe z Australii oraz Tremblay siedzieli niczym ława sędziowska, z dłońmi złożonymi na zamkniętych kopiach raportu, wpatrzeni w Marsciana,

zajmującego miejsce po drugiej stronie stołu.

Mazetti:

– Dlaczego zmieniliśmy zrównoważony portfel na COŚ takiego?

Boothe:

– Jest zbyt obciążony i mało elastyczny. Recesja światowa może spowodować, że zarówno my, jak i wszystkie te firmy, ugrzęźniemy dosłownie na amen. Z pozamykanymi fabrykami i urządzeniami, które będziemy mogli sobie podziwiać w charakterze nowoczesnych rzeźb: kupa żelastwa i kosztów, ale żadnej wartości.

Marsciano:

– To prawda.

Kardynał Rosales uśmiechnął się i oparł brodę na dłoniach.

– Kraje rozwijające się... Polityka, czyż nie? – zapytał retorycznie.

Marsciano wypił łyk wody ze szklanki.

– Zgadza się – odparł krótko.

Rosales:

– I ręka Palestriny.

Marsciano:

– Jego Świątobliwość uważa, że Kościół powinien szerzej służyć pomocą, zarówno duchową, jak i materialną, krajom, którym się słabiej wiedzie. Że należy im pomóc w odnalezieniu się na targowisku tego świata.

Rosales:

– Jego Świątobliwość czy Palestrina?

Marsciano:

– Obaj.

Tremblay:

– Mamy zachęcać przywódców światowych, żeby wspierali szybsze wejście krajów rozwijających się w dwudziesty pierwszy wiek i jednocześnie czerpać z tego zyski?

Marsciano:

– Można na to spojrzeć inaczej, Eminencjo. Kierujemy się naszymi najgłębszymi przekonaniem, a czyniąc to, jednocześnie próbujemy je ubogacić.

Spotkanie się przedłużało. Była prawie trzynasta trzydzieści i należało zrobić przerwę. Ale Marsciano nie miał ochoty tłumaczyć Palestrinie, dlaczego jeszcze nie było głosowania. Wiedział poza tym, że jeśli pozwoli im wyjść z sali bez uzyskania ich zgody, będą o tym wszystkim rozmawiali przy lunchu. Im dłużej będą to roztrząsać, tym mniej cały plan będzie im się podobał. Może nawet wyczują, że coś jest nie w porządku, że namawia się ich do zaakceptowania przedsięwzięcia, którego faktyczny cel jest całkowicie odmienny od oficjalnego.

Palestrina celowo nie wziął udziału w posiedzeniu. Nie chciał, żeby ktokolwiek wyczuł jego naciski w sprawie, z którą oficjalnie nie miał bezpośrednio do czynienia. Przy całej swojej nienawiści do niego, Marsciano dobrze wiedział, jaką moc ma to nazwisko, jaki wzbudza respekt i lęk.

Wstał i popatrzył po zgromadzonych.

– Czas na przerwę – oznajmił. – Uczciwie przyznam, że podczas lunchu mam się spotkać z kardynałem Palestrina.

Zapyta mnie z pewnością o stosunek Waszych Eminencji do przedmiotu naszej dzisiejszej dyskusji. Chciałbym móc przekazać kardynałowi, że, ogólnie biorąc, był on pozytywny.

Że pomysł wam się spodobał i – z niewielkimi być może zmianami – podczas drugiej części posiedzenia zamierzacie go zaaprobować.

Czterej kardynałowie spoglądali na niego w milczeniu.

Marsciano zaskoczył ich zupełnie i doskonale o tym wiedział.

Powiedział właściwie wprost coś takiego: „Dajcie mi, czego chcę, albo będziecie sami mieli do czynienia z Palestriną”.

– A więc...?

Kardynał Boothe wzniosł ręce jak do modlitwy i wbił wzrok w stół.

– Zgoda – wymamrotał pod nosem.

Kardynał Tremblay:

– Zgoda.

Kardynał Mazetti:

– Zgoda.

Ostatni był Rosales. Spojrzał przeciągle na Marsciano, rzucił krótko: „Zgoda” i rozgniewany wyszedł z sali.

Marsciano spojrział na pozostałych i skłonił się lekko.

– Dziękuję wam – powiedział. – Bardzo dziękuję.



W dalszym ciągu piątek,  
10 lipca; 16.15

Adrianna Hall siedziała w swoim pokoju w rzymskim biurze World News Network i chyba już po raz dziesiąty oglądała kasetę z Harrym Addisonem, usiłując coś z tego wszystkiego zrozumieć.

Spędziła z nim niecałe trzy godziny – darowane, bardzo namiętne i ekscytujące trzy godziny – lecz nawet po tak krótkim czasie, mając doświadczenie z tyloma mężczyznami, wiedziała o Harrym Addisonie na pewno, że nie jest to człowiek, który potrafi zabić policjanta. Policja jednak uważała, że zabił, a na pistolecie zabójcy były odciski palców Harry’ego. Wiedziała też, że z samochodu Pia zniknął hiszpański pistolet Llama, znaleziony tam, gdzie autobus wyleciał w powietrze, i że zdaniem policji zabrał go Harry, uciekając po zabójstwie.

Plasnęła dłońmi o biurko i odchyliła się na oparcie krzesła.

Naprawdę nie wiedziała, co o tym myśleć. Zadzwoił telefon i pozwoliła mu dzwonić przez chwilę.

– To pan Vasko – poinformowała ją sekretarka.

Dzwonił po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch godzin.

Nie zostawił przedtem swojego numeru, ponieważ, jak powiedział, jest w podróży. Ale miał zatelefonować

ponownie i właśnie to zrobił.

Elmer Vasko był byłym zawodowym hokeistą i kolegą jej ojca z drużyny Chicago Blackhawks, który potem współpracował z nim, gdy ojciec trenował reprezentację Szwajcarii. W czasach jego sportowej chwały nazywano go „Moose”.

Obecnie był łagodnym olbrzymem i kimś w rodzaju dalekiego wuja, którego nie widziała od lat. No i telefonował do niej właśnie teraz, w najgorszym z możliwych momentów, kiedy pracowała nad niesamowitym materiałem, a wszystko wokół nawarstwiało się i spiętrzało.

Adrianna wróciła z Chorwacji wcześnie rano, na własną prośbę, gdy tylko w mediach pojawiły się pierwsze informacje na temat Harry’ego. Udała się wprost do Questury, gdzie trafiła akurat na sam koniec zaimprovizowanego występu Marcella Taglii. Próbowwała go potem dopaść, ale bez skutku; wobec czego rozejrzała się za Roscanim, z tym samym rezultatem.

Wpadła do domu na szybki prysznic i przebranie się; suszyła właśnie włosy, kiedy wydarzyła się ta historia w metrze. Popędziła tam na tylnym siodełku skutera swego kamerzysty, z mokrą głową. Ale okazało się, że przedstawiciele mediów, wszystkich bez wyjątku, nie dopuszczano w pobliże miejsca zdarzenia. Po godzinie wycofała się do studia, żeby sklecić z tego wszystkiego jakąś relację i po raz pierwszy obejrzeć wideo z Harrym Addisonem w roli głównej. Potem wyszła, a gdy wróciła,

zastała wiadomość od Vaska. A teraz znów dzwonił. Nie miała wyboru, musiała odebrać.

– Elmer? Panie Vasko? Dzień dobry, tu Adrianna. – Starła się udawać, że jest mile zaskoczona, chociaż nie była. – Panie Vasko?

Nikt nie odpowiadał i już miała odłożyć słuchawkę, gdy usłyszała głos z tamtej strony.

– Musisz mi pomóc.

– O kurwa mać! – Adrianna poczuła, jak uchodzi z niej całe powietrze.

To był Harry Addison.

Harry stał w otwartej budce telefonicznej przy kawiarence na Piazza deli Rotonda, naprzeciwko zabytkowej kolistej budowli – rzymskiego Panteonu. Miał już na głowie czarny beret, kupiony bez trudu w sklepiku z nakryciami głowy i założony tak, żeby zakrywał bandaż. Zabandażowaną lewą rękę chował w kieszeni marynarki.

– Gdzie jesteś? – W głosie Adrianny nie było już zdumienia.

– Ja...

Nie miał pojęcia, czy wróciła z Chorwacji, ale musiał zaryzykować. Zatelefonował właśnie do niej, gdyż po przekalkulowaniu wszystkich opcji doszedł do wniosku, że tylko to mu pozostało. Była jedyną osobą, która orientowała się w sytuacji, a której jednocześnie odważył się zaufać. Teraz jednak, kiedy już z nią rozmawiał, naszły go wątpliwości, czy w ogóle powinien ufać komukolwiek. Przecież ona się znała z policjantami; od

tych układów zależał jej dostęp do zakulisowych informacji. A co, jeśli się zgodzi z nim spotkać, a potem przyprowadzi ze sobą gliny?

– Harry, gdzie jesteś? – zapytała, głośniejszym głosem niż przedtem.

Znow się zawahał, niepewny co robić. Obecny wciąż z tyłu głowy tępy ból przypominał mu, że jego czujność znacznie osłabła.

– Nie mogę ci pomóc, jeśli nie będziesz ze mną rozmawiał.

Obok budki przeszła grupka uczennic, roześmianych i trajkoczących. Były głośnie, więc odwrócił się, żeby lepiej słyszeć.

I ujrzał dwóch carabinieri na koniach; jechali powoli przez plac w jego stronę. Nie śpieszyło im się, to był rutynowy patrol. Wiedział jednak, że wszyscy policjanci w kraju mają rozkaz go szukać i najbezpieczniej było w ogóle ich unikać.

W tym wypadku oznaczało to chyba pozostanie przy telefonie, dopóki go nie miną. Odwróciwszy się do nich tyłem, powiedział do słuchawki:

– Ja nie zabiłem Pia.

– Powiedz mi, gdzie jesteś.

– Śmiertelnie się boję, że włoska policja chce mnie zlikwidować.

– Harry, gdzie jesteś?!

Cisza.

– Harry, sam do mnie zadzwoniłeś. Chyba dlatego, że mi ufasz? Nie znasz Rzymu, nie znasz włoskiego; jeżeli ci

powiem, gdzie się mamy spotkać, będziesz musiał kogoś zapytać o drogę i tylko narobisz sobie kłopotów. Powiedz, gdzie jesteś, to ja tam przyjadę. Chyba ma to ręce i nogi, nie uważasz?

Carabinieri byli coraz bliżej. Jechali na wielkich białych koniach, u boku mieli broń. I nie był to tylko rutynowy patrol; przyglądali się bowiem uważnie mijanym ludziom.

– Jadą do mnie policjanci na koniach.

– Harry, rany boskie, gdzie jesteś?

– Nie... nie wiem. – Odwrócił się i starając nie patrzeć na policjantów, szukał wzrokiem tabliczki z nazwą ulicy, szyldu kawiarni, jakiegoś punktu orientacyjnego. Wreszcie dojrzał. Kilka metrów od niego na ścianie domu była tabliczka.

– Coś z rotundą.

– Piazza deli Rotonda? Koło Panteonu?

– Chyba.

– Taki okrągły, z kolumnami.

– Tak.

Policjanci byli tuż przy nim. Konie człapały powoli, oczy funkcjonariuszy przeszukiwały tłum na placu, przypatrywały się ludziom siedzącym w ulicznych kawiarenkach. Nagle zatrzymali się; jeden z koni stał może pół metra od Harry'ego.

– O cholera... o Boże... – wydyszał do słuchawki.

– Co jest?

– Są koło mnie. Mógłbym dotknąć konia.

– Patrzą na ciebie?

– Nie.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Zaraz odjadą. Jak się ruszą, przejdź przez plac, na prawą stronę Panteonu. Wejdź w byle jaką uliczkę; dojdiesz do Piazza Navona, to jakieś dwie przecznice dalej. Tam jest fontanna i ławki. Na placu będzie pełno ludzi. Usiądź na ławce i czekaj, znajdę cię.

– Kiedy?

– Za jakieś dwadzieścia minut.

Harry spojrzął na zegarek.

16.32

– Harry?

– Co?

– Ufaj mi.

Adrianna się rozłączyła. Harry został w budce, ze słuchawką w ręce. Policjanci nie odjechali. Kiedy zobaczą, że odłożył słuchawkę, będzie musiał wyjść. Gdyby udawał, że wciąż rozmawia, w końcu pojawi się ktoś, kto będzie chciał zatelefonować. Jeśli usłyszy, że Harry mówi po angielsku, może się zrobić gorąco... Obejrzał się. I serce mu zamarło.

Do funkcjonariuszy na koniach podjechało jeszcze dwóch ich kolegów; rozmawiali. Czterech policjantów. Dwa metry od niego. Powoli odwiesił słuchawkę. Nie mógł tu zostać, bo nie miał już do kogo dzwonić. Musiał coś zrobić, zanim któryś z tamtych spojrzy na niego i zobaczy, że stoi beczynn timer. I zrobił. Zwyczajnie wyszedł

z budki i minawszy policjantów, ruszył przez plac ku Panteonowi.

Jeden z carabinieri zwrócił na niego uwagę, nawet patrzył za nim przez chwilę, lecz jego koń szarpnął i jeździec musiał go uspokoić. Kiedy znów spojrzął za Harrym, ten był już daleko.

Roscani nieobecnym gestem zgniótł papierosa w popielniczce i czytał dalej włoskie tłumaczenie faksu, przysłane z biura Taglii. Była to informacja od agenta specjalnego Davida Harrisa z biura FBI w Los Angeles. Byron Willis, współwłaściciel firmy prawniczej Addisona w Beverly Hills, został zastrzelony przed swoim domem poprzedniego wieczora przez nieznanego sprawcę lub sprawców. Motywem był prawdopodobnie rabunek. Zniknął portfel Willisa, jego obrączka i złoty rolex. Śledztwo prowadzi wydział zabójstw policji w LA. Sekcja jest w toku. FBI będzie informowało Włochów na bieżąco.

Roscani przetarł dłonią oczy. Co to, u diabła ciężkiego, miało znaczyć? Przy tak skąpej informacji nie miał innego wyjścia, jak tylko potraktować to morderstwo jako zbieg okoliczności. Ale nie mógł tak zrobić. Zbyt bliski miało związek z wydarzeniami w Rzymie. Lecz po co ktoś miałby zabijać współlnika Addisona w Ameryce? Może wiedział coś o Harrym? Albo o ojcu Danielu?

Roscani wystukał na klawiaturze odpowiedź i polecił sekretarce przetłumaczyć tekst na angielski i przesłać do Harrisa. W notatce dziękował FBI za współpracę i prosił, żeby o rozwoju śledztwa informowano go osobiście. Zasugerował także – pewien zresztą, że FBI już to i tak robi – żeby przepytano bliskich znajomych i

współpracowników Harry'ego Addisona, w celu zorientowania się, czy istnieją jakieś informacje, które mogli znać wszyscy lub niektórzy z nich. I jednocześnie żeby ich ostrzeżono, iż powinni zwrócić większą uwagę na swoje osobiste bezpieczeństwo.

Kiedy skończył, zadzwonił telefon. To była Valentina Gori, specjalistka logopedii i ekspert w czytaniu z ruchu warg. Poprosił ją o zanalizowanie taśmy z Addisonem.

Obejrzała ją wielokrotnie i właśnie przyszła zrelacjonować mu swoje konkluzje.

Kiedy Roscani wszedł do sali projekcyjnej, na dużym ekranie widniała stopklatka z twarzą Harry'ego. Ujął dłoń Valentiny i cmoknął ją w policzek. Valentina Gori miała pięćdziesiąt dwa lata i rude włosy. Ostatnio została babcią; ale wciąż była bardzo atrakcyjną kobietą. Dyplom z logopedii zrobiła na uniwersytecie w Leuven w Belgii; w latach siedemdziesiątych studiowała sztukę mimiczną w jednym z teatrów francuskich, a potem dubbingowała filmy zagraniczne, jednocześnie pracując jako konsultant do spraw mowy zarówno dla włoskiej policji, jak i dla carabinieri. Pochodziła z tej samej części Rzymu, co Roscani, i znała całą jego rodzinę. Co więcej, kiedy miała dwadzieścia dwa lata, a on piętnaście, sprawiła, że przestał być prawiczkim – tylko po to, żeby mu udowodnić, iż nie panuje nad sobą tak dalece, jak mu się wydawało. Ten związek przetrwał aż do teraz. Valentina była jedyną, oprócz jego żony, kobietą na świecie, która mogła mu znacząco spojrzeć w oczy i sprawić, żeby śmiał

się sam z siebie.

– Chyba masz rację – powiedziała. – Wygląda na to, że chciał coś powiedzieć albo już zaczynał mówić, kiedy taśma się skończyła. Ale nie jestem pewna, czy po prostu tylko nie spojrział do kamery.

Nacisnęła guzik pauzy i puściła taśmę w zwolnionym tempie. Usta Harry’ego otwierały się i zamykały; jego głos chrypiał basowo z powodu spowolnienia. Dotarli do ostatnich słów. Skończył, rozluźnił się i nagle jego głowa raptownym ruchem odwróciła się do kamery, a usta otworzyły.

Dał się słyszeć powolny świszczący odgłos, jakby jakiś pijany olbrzym puścił wiatry. I na tym koniec.

– To wygląda prawie jak „ja”... – rzekła Valentina.

– „Ja” co? – Roscani nie odrywał wzroku od wizerunku Harry’ego na ekranie.

– Nie da się powiedzieć na sto procent, czy on po prostu nie skończył, a że go to zmęczyło, to chciał odetchnąć z ulgą.

– Nie, nie, na pewno chciał coś powiedzieć – upierał się detektyw.

Valentina puściła kasetę jeszcze raz. Na stopklatkach, a potem w zwolnionym tempie i normalnie. Za każdym razem, kiedy Harry na końcu otwierał usta, rozlegał się ten sam świszczący dźwięk i nagranie się urywało.

– Co mi jeszcze powiesz? – Roscani spojrział na nią z nadzieją. – Przecież widziałaś tysiące filmów. Musisz mieć jakieś zdanie o tym całym nagraniu.

– Mogę mieć tysiące zdań, Otello – odrzekła z uśmiechem. – Setki pomysłów. Ale muszę się opierać na tym, co widzę. I słyszę. Mamy tu po prostu człowieka z guzem na głowie, który zrobił, co mu kazano, i chciałby odpocząć.

Może nawet się przespać.

Roscani aż podskoczył.

– Co masz na myśli, mówiąc, że „mu kazano”?

– Nie wiem. Takie mam odczucie. – Valentina zmrużyła oczy. – Każdemu czasami się zdarza robić rzeczy, których od niego oczekują, chociaż nie całkiem jest do nich przekonany...

– Nie rozmawiamy o seksie, Valentino – rzekł beznamiętnie Roscani.

– No, nie, masz rację. – Zrozumiała, że nie jest to dobry moment na wykraczanie poza przyjazną układność. – Nie jestem psychologiem, Otello, tylko starą dupą, która niejedno w życiu widziała. Patrzę na ekran i widzę zmęczonego faceta, który wypowiada się normalnie, ale brzmi tak, jakby robił to na czyjeś życzenie. Jak dziecko, które zgadza się posprzątać ze stołu, bo wie, że dopiero wtedy będzie mogło pójść się bawić.

– Twoim zdaniem nagrał to wbrew swojej woli?

– Nie każ mi wyciągać wniosków z powietrza, Otello.

To dla mnie za trudne. – Valentina z uśmiechem położyła dłoń na jego ręce. – To nie moja działka, lecz twoja.

Harry zobaczył ją z daleka. Przecięła Piazza Navona, kierując się ku fontannie i popijając coś z plastikowego kubka.

Szła niespiesznie, w jasnoniebieskiej spódniczce i białej bluzce; włosy miała upięte w kok, na nosie ciemne okulary. Mogła uchodzić za sekretarkę lub turystkę, która nie jest przekonana, czy ma ochotę na obiecaną randkę. Na pewno nie wyglądała na dziennikarkę, która właśnie ma się spotkać z człowiekiem poszukiwanym przez całą policję Włoch. Jeśli przyprowadziła policjantów, to w każdym razie nie było ich widać.

Okrążyła fontannę, rozglądając się trochę, ale dyskretnie.

Potem zerknęła na zegarek i usiadła na kamiennej ławeczce obok malarza, pracującego nad akwarelą z widokiem placu.

Harry się nie ruszył, wciąż jeszcze niezdecydowany. Wreszcie wstał, patrząc na akwarelistę. Zbliżał się szerokim łukiem, od tyłu, aż w końcu usiadł nieco na lewo od niej, zwrócony twarzą w drugą stronę. Ku jego zdziwieniu ledwie na niego spojrzała i zaraz odwróciła głowę. Albo była aż tak ostrożna, albo przebranie i broda maskowały go lepiej, niż przypuszczał. Przy całym swym nieszczęśliwym położeniu poczuł się rozbawiony tym, że go nie poznała. Odwrócił się nieco w jej stronę i zapytał

półgłosem:

– Nie miałyby pani ochoty przelecieć księdza?

Wzdrygnęła się i spojrzała na niego; przez sekundę miał wrażenie, że zaraz trzaśnie go w twarz. Ale Adrianna, patrząc mu prosto w oczy, ofuknęła go głośno:

– Jeżeli ksiądz ma ochotę mówić takie świństwa kobiecie, to nie powinien tego robić w miejscu publicznym.

Mieszkanie numer dwanaście znajdowało się na ostatniej kondygnacji pięciopiętrowej kamienicy przy Via di Montoro czterdzieści siedem, dziesięć minut piechotą w kierunku Tybru z Piazza Navona. Należało do przyjaciela, który wyjechał i który nie będzie miał jej za złe, wyjaśniła Adrianna. Po czym wstała nagle i odeszła, pozostawiając na ławce plastikowy kubek. W kubku był klucz.

Harry wszedł do holu i małą windą wjechał na górę; numer dwanaście był na końcu korytarza.

Gdy znalazł się w środku, zamknął drzwi na klucz i rozejrzał się. Mieszkanie było niewielkie, lecz wygodne, z sypialnią, salonikiem, małą kuchnią i łazienką. W szafie wisiły męskie ubrania; kilka sportowych marynarek, spodnie i dwa garnitury. W szufladach komody stojącej naprzeciw łóżka leżało parę swetrów, skarpetki i bielizna. W większym pokoju był telewizor i telefon. We wnęce pod oknem stał na osobnym biurku komputer z drukarką.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Wyglądała tak samo, jak przed jego wejściem. Samochody, skutery,

nieliczni piesi.

Zdjął marynarkę, powiesił ją na krześle i przeszedł do kuchni. Znalazł w kredensie szklankę i nalał sobie wody.

A potem musiał usiąść. Pomieszczenie zawirowało; zaczął haustami chwytać powietrze. Emocje i wyczerpanie dały o sobie znać. W jego sytuacji już sam fakt, że żyje, graniczył z cudem. A to, że nie musiał już sterczeć na ulicy, wydało mu się darem bogów.

W końcu uspokoił się na tyle, że mógł sobie spryskać twarz wodą i zaczął normalnie oddychać. Ile to godzin temu pożegnał się z Herculesem? Trzy, cztery? Nie wiedział. Zupełnie stracił poczucie czasu. Spojrzał na zegarek. Piątek, dziesiąty lipca. Siedemnasta dziesiąta. Dziesiąta po ósmej rano w Los Angeles. Jeszcze jeden głęboki wdech i wzrok Harry'ego spoczął na telefonie.

Nie. Nie wolno. Nawet o tym nie myśl.

FBI już musiało założyć podsłuch w jego domu i biurze.

Natychmiast będą wiedzieli, skąd telefonuje. Zresztą, gdyby się nawet dodzwonił do kogoś i nie został namierzony, to co z tego? Co w ogóle ktokolwiek, łącznie z Adrianną, mógł zrobić w jego sprawie? Znalazł się w sennym koszmarze, który wcale nie był snem. Lecz nagą, brutalną rzeczywistością.

I poza kilkoma metrami kwadratowymi tego mieszkania nie było miejsca, dokąd mógłby się udać, nie ryzykując, że go dopadnie policja. Nawet i tu nie był bezpieczny. Nie mógł przecież ukrywać się w

nieskończoność.

Nagle dobiegł go z przedpokoju odgłos przekręcanego w zamku klucza. Z sercem bijącym jak młotem przywarł do kuchennej ściany. Usłyszał, że otwierają się drzwi.

– Panie Addison? – zawołał ostro męski głos.

Na krześle w pokoju wisiała jego marynarka. Nietrudno ją było zauważyć. Rozejrzał się szybko po kuchni. Była bardzo mała, jedyne wyjście prowadziło przez drzwi.

– Panie Addison?

Niech to szlag! Adrianna wydała go policji. Dał się podejść jak dziecko. Przy łokciu miał drewniany blok z nożami. Nie, bez sensu. Jak go zobaczą z nożem w ręce, zabiją na miejscu.

– Panie Addison, jest pan tutaj? – Tamten mówił po angielsku bez akcentu.

Co robić? Nie znalazł odpowiedzi, bo nie istniała. Trzeba po prostu wyjść i mieć nadzieję, że jest z nimi Adrianna albo ktoś z mediów, i dzięki temu nie zabiją go od razu.

– Jestem tutaj! – zawołał. – Wychodzę. Nie mam broni. Nie strzelajcie! – Wziął głęboki oddech, podniósł ręce nad głowę i wyszedł z kuchni.

Nie zobaczył jednak policji, lecz mężczyznę o piaskowych włosach, a za nim zamknięte drzwi wejściowe.

– Nazywam się James Eaton, panie Addison – oznajmił przybysz. – Jestem przyjacielem Adrianny Hall. Powiedziała mi, że potrzebuje pan schronienia, więc...

– Boże święty! – zawołał Harry.

Eaton miał koło pięćdziesiątki, był średniego wzrostu i budowy – ubrany w szary garnitur, koszulę w paski i szary krawat. Najbardziej uderzającą w nim rzeczą – poza tym, że nie okazał się policjantem – była jego zwyczajność.

Wyglądał jak urzędnik bankowy, który doszedł już do najwyższego dostępnego mu szczebla kariery, wciąż jeździ z rodziną do Disneylandu, a w soboty strzyże trawnik przed domem.

– Nie chciałem pana przestraszyć – powiedział przeprasząco.

– To pańskie mieszkanie. – Harry, wciąż jeszcze nie dowierzający, opuścił ręce.

– W pewnym sensie...

– To znaczy?

– Nie jest na moje nazwisko i moja żona o nim nie wie.

– Pan i Adrianna...? – Harry był zaskoczony.

– Już nie.

Eaton przyglądał mu się przez chwilę, a potem przeszedł przez pokój i otworzył barek nad telewizorem.

– Napije się pan?

Harry wpatrywał się w drzwi wejściowe. Kim był ten facet? Agentem FBI? Sprawdzającym, czy jest sam i bez broni?

– Gdybym chciał panu ściągnąć na kark policję, nie częstowałbym chyba pana drinkiem, prawda? Wódka czy szkocka?

– Gdzie jest Adrianna? – zapytał Harry.

Eaton otworzył butelkę wódki i nalał im obu na dwa palce.

– Pracuję w ambasadzie amerykańskiej – wyjaśnił. – Jestem sekretarzem zastępcy ambasadora do spraw politycznych. Niestety, nie mamy lodu. – Wręczył Harry'emu szklankę, po czym usiadł na kanapie. – Jest pan w niezłych tarapatkach, panie Addison. Adrianna przekonała mnie, że powinienem z panem porozmawiać.

Harry obracał szklankę w dłoni. Czuł się wykończony.

Pokonany. Nerwy miał w strzępach. Ale musiał się jakoś pozbierać. Pamiętać, co się dzieje, żeby móc się chronić.

Eaton mógł faktycznie być tym, za kogo się podawał, i może naprawdę chciał mu pomóc. Albo i nie. Może tylko wykonuje swoją pracę dyplomaty. Upewnia się, że nic nie zaiskrzy między Włochami i Stanami, kiedy wydadzą go policji.

– Ja nie zabiłem tego policjanta.

– Nie zabił pan...

– Nie.

– A ta kasetka?

– Torturowali mnie, a potem zmusili, żebym to nagrał.

Ludzie, którzy, jak przypuszczam, zabili inspektora Pio...

Potem zaprowadzili mnie do kanału ściekowego i strzelali... myśleli, że zastrzelili... – Harry uniósł zabandażowaną dłoń. – Tylko że ja przeżyłem.

– Co to byli za ludzie? – zapytał Eaton.

– Nie wiem. Żadnego nie widziałem.

– Mówili po angielsku?

– Ktoś mówił. Ale głównie po włosku.

– Zabili policjanta, a potem, ujmując to w skrócie, porwali pana i torturowali.

– Tak jest.

Eaton pociągnął łyk ze szklanki.

– Dlaczego? Czego chcieli?

– Chcieli się dowiedzieć, gdzie jest mój brat.

– Ksiądz.

Harry skinął głową.

– I co pan im powiedział?

– Że nie wiem, gdzie jest. I czy w ogóle żyje.

– A to prawda?

– Tak.

Harry uniósł szklankę i wypił jednym łykiem połowę wódki. Potem dokończył i odstawił szklankę na stół.

– Panie Eaton, jestem niewinny. I wierzę, że mój brat też jest niewinny. Śmiertelnie się boję włoskiej policji. Czy ambasada może mi jakoś pomóc? Musi być jakiś sposób!

Eaton przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał. W końcu wstał i wzięwszy ze stołu szklanki, nalał po drugim drinku.

– Według prawa, panie Addison, powinienem był zawiadomić konsula generalnego zaraz po telefonie Adrianny.

A jego obowiązkiem byłoby poinformowanie władz włoskich. Zawiódłbym zaufanie Adrianny, a pan wylądowałby w więzieniu albo jeszcze gorzej... A to by nikomu nie wyszło na dobre.

– Do czego pan zmierza? – Harry patrzył na niego, nie rozumiejąc.

– My się zajmujemy informacją, panie Addison, a nie wymierzaniem sprawiedliwości. Praca sekretarza do spraw politycznych polega na orientowaniu się w klimacie politycznym kraju, do którego został przydzielony. W naszym wypadku oznacza to nie tylko Włochy, lecz także Watykan...

Zamordowanie kardynała Parmy i wysadzenie autobusu – wydarzenia, które policja według mojej wiedzy uważa za powiązane ze sobą – dotyczy obu tych krajów. Pański brat, jako osobisty sekretarz kardynała Marsciana, miał w Kościele pozycję uprzywilejowaną. Jeżeli to on zabił Parmę, jest więcej niż prawdopodobne, że nie działał sam.

A skoro tak, to można z dużą pewnością założyć, że to morderstwo nie było odosobnionym incydentem, lecz częścią rozbudowanej intrygi, rozgrywającej się na najwyższych szczeblach hierarchii watykańskiej... – Eaton usiadł i postawił przed Harrym szklanę. – To nas właśnie interesuje, panie Addison. To, co się dzieje za kulisami w Stolicy Apostolskiej.

– A jeśli mój brat tego nie zrobił? Jeżeli w ogóle nie miał z tym nic wspólnego?

– Muszę przyjąć za dobrą monetę to, co mówi policja.

Twierdzą, że autobus wysadzono w powietrze tylko z jednego powodu... żeby zabić pańskiego brata. Autorzy zamachu sądzili, że on nie żyje, ale teraz już nie są tacy pewni.

Ponieważ boją się tego, co on wie i co może ujawnić, nadal będą robić wszystko, żeby go znaleźć i uciszyć.

– Co on wie... Co może ujawnić... – nagle Harry zrozumiał. – Pan też chce go znaleźć!

– Zgadza się – odparł cicho Eaton.

– Mam na myśli pana osobiście. Nie ambasadę. Nawet nie pańskiego szefa, tylko wyłącznie pana. Dlatego pan tu jest.

– Ja mam pięćdziesiąt jeden lat i wciąż jestem tylko sekretarzem, panie Addison. Pomijano mnie przy awansach więcej razy, niżby pan przypuścił. Nie mam ochoty odchodzić na emeryturę jako sekretarz. Dlatego muszę zrobić coś takiego, po czym już nie będą mogli odmówić mi wyższego stanowiska. Rozwikłanie historii sięgającej w głąb Watykanu bardzo by mi w tym pomogło.

– I chce pan, żebym to ja przyczynił się do tego. – Harry nie krył zaskoczenia.

– Nie chodzi tylko o mnie, panie Addison. To, co może wiedzieć pański brat, również dla pana jest jedyną szansą na wyplątanie się z całej tej afery. Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Harry milczał, utkwivszy weń spojrzenie.

– Jeżeli on w ogóle żyje – ciągnął Eaton – jest

przerażony, że go zabiją. Nie przyjdzie mu do głowy, że nagranie to fałszywka. Zrozumie tylko tyle, że pan szuka z nim kontaktu; a w końcu będzie przecież musiał komuś zaufać.

Komu, jeśli nie panu?

– Możliwe... Ale to i tak nie ma znaczenia. Przecież on nie wie, gdzie mnie szukać. A ja nie wiem, gdzie szukać jego.

Nikt tego nie wie.

– Nie sądzi pan, że policja skrupulatnie sprawdza wszystkich, którzy jechali tym autobusem – zarówno żywych, jak i martwych – żeby dojść, co się wydarzyło? Żeby się zorientować, czyje zwłoki podstawił jako swoje... sam albo przy czyjejś pomocy?

– Ale co mi z tego?

– Adrianna...

– Co Adrianna?

– Jest absolutną profesjonalistką. Wiedziała o pana przyjeździe, gdy tylko wylądował pan w Rzymie.

Harry zamyślił się. To dlatego poderwała go w hotelu.

Zresztą nawet jej to zarzucił i zamierzał odejść. Lecz omotała go, jak chciała. Przez cały czas był dla niej obiektem zainteresowania dziennikarskiego. Może nie gotowym materiałem, ale obiecującym wątkiem. To prawda, była profesjonalistką, tak samo jak on. I powinien był pomyśleć o tym od samego początku. Oboje przecież dobrze znali świat, w którym rozgrywało się ich życie. Prawie nie znali innego.

– A dlaczego zatelefonowała do mnie zaraz po rozmowie z panem? Wiedziała, czego sama chce i czego ja potrzebuję. I wiedziała, jakie mam możliwości, żeby panu pomóc. A także to, że jeśli rozegra sprawę prawidłowo, wszyscy możemy na tym tylko skorzystać.

– Rany boskie, niech to jasny szlag. – Harry przejechał dłonią po włosach. Przeszedł kilka kroków i zawrócił.

– Wszystko przemyśleliście. Z wyjątkiem jednej rzeczy. Jeśli nawet się dowiecie, gdzie jest Danny, to i tak nie będzie mógł się ze mną spotkać. Ani ja z nim.

Eaton pociągnął łyk wódki.

– Będzie pan mógł, jako ktoś inny. Dostanie pan nowe nazwisko, paszport, prawo jazdy. Przy zachowaniu ostrożności może będzie pan mógł poruszać się całkiem swobodnie.

– A pan może to załatwić...

– Tak.

Harry spoglądał na niego ze złością. Czuł się skołowany i wmanewrowany w sytuację bez wyjścia.

– Na pana miejscu, panie Addison, ja bym się cieszył – rzekł Eaton. – Po tym wszystkim ma pan nagle aż dwie osoby, które chcą panu pomóc. I mogą.

Harry spojrzał na niego jeszcze gniewniej.

– Panie Eaton, niezły z pana kawał skurwysyna.

– Nie, panie Addison. Niezły ze mnie kawał urzędnika państwowego.

Harry leżał w łóżku w mieszkaniu Eatona, usiłując zasnąć.

Drzwi były zamknięte, a pod klamkę na wszelki wypadek podstawił krzesło. Usiłował sam siebie przekonać, że wszystko jest w porządku. I że Eaton ma rację. Aż do tej pory był w sytuacji bez wyjścia, zupełnie sam. I nagle oto miał gdzie spać, a dwoje ludzi chciało mu pomóc.

Eaton wyszedł oznajmiając, że kupi coś do jedzenia, a jemu radził tymczasem wziąć prysznic i obmyć gojące się rany. Ale nie golić brody. Zarost zmieniał go i na razie stanowił niezłą ochronę przed rozpoznaniem.

Powinien się jednak zastanowić, kim chciałby teraz być. Najlepiej, żeby wybrał zawód, na którym się zna; został wykładowcą prawa albo zwiedzającym Włochy krytykiem filmowym lub scenarzystą, chcącym poznać starożytny Rzym.

– Zostanę tym, kim już próbowałem być. Księdzem – oznajmił Harry, gdy Eaton wrócił z pizzą, butelką czerwonego wina oraz chlebem i kawą na rano.

– Przecież oni właśnie szukają amerykańskiego księdza.

– Ale księży spotyka się tutaj na każdym kroku. I na pewno wielu jest wśród nich Amerykanów.

Eaton wahał się przez chwilę, po czym skinął tylko głową i poszedł do sypialni, skąd przyniósł dwie koszule i sweter.

Potem wyjął z szuflady aparat małoobrazkowy, założył film i ustawił Harry'ego pod pustą ścianą. Zrobił mu osiemnaście zdjęć; po sześć w każdej z koszul i sześć w swetrze.

Potem znów wyszedł, polecając mu nie opuszczać mieszkania. On lub Adrianna mieli się zjawić nazajutrz koło południa.

Harry zastanawiał się, dlaczego postanowił uchodzić za księdza. Czy przemyślał to należycie? Uznał, że tak. Jako ksiądz mógł się przeistoczyć w cywila, po prostu zmieniając strój. No i faktycznie, o amerykańskiego księdza nie było w Rzymie tak trudno. Hercules powiedział mu: „Ukrywaj się na widoku. Pod latarnią jest najciemniej”. Poszedł za jego radą i udało się. Kilka razy nawet pod nosem karabinierów.

Z drugiej strony rację miał też Eaton: policja szukała Danny'ego, a on był amerykańskim duchownym. Każdy ksiądz mówiący po angielsku z amerykańskim akcentem będzie więc naturalnym podejrzanym. Ludzie będą mu się przyglądać i może przyjdzie komuś do głowy, że gdyby zgolić brodę, to twarz wydaje się jakaś znajoma. No i ta nagroda; sto milionów lirów, jakieś sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

Warto dać znać policji, nawet ryzykując ośmieszenie się w razie pomyłki.

Ponadto, co Harry wiedział o stanie duchownym? A jeżeli zagadnie go jakiś inny ksiądz? Jeżeli ktoś go poprosi o odmówienie modlitwy? Należało podjąć szybką decyzję, żeby Eaton mógł mu przygotować nowy życiorys.

A więc będzie księdzem.

Za oknem słyszał odgłosy nocnego Rzymu. Via di Montoro była boczną uliczką, dużo cichszą niż hałaśliwe otoczenie jego hotelu u szczytu Schodów Hiszpańskich. Coś jednak docierało i tutaj. Szum ulicznego ruchu. Bezustanny warkot skuterów. Kroki przechodniów.

Wszystko to powoli stawało się tylko tłem, odpływało w odległą symfonię nicości. Pysznic, czyste łóżko, udreka minionych dni, wszystko to niosło Harry'ego ku zaśnięciu, łagodnie zmuszając, żeby pogodził się z wyczerpaniem. Może właśnie dlatego zdecydował, że nadal będzie „księdzem”.

Bo było to po prostu łatwe. I już się sprawdziło. Wcale nie dlatego, że... że w jakiś opaczny sposób usiłował zrozumieć, kim naprawdę był Danny. Zrobić to, co zasugerował mimowolnie Hercules. Stać się, przynajmniej na jakiś czas, własnym bratem.

Zamknął oczy i zaczął odpływać. I zapadając coraz głębiej w sen, zobaczył raz jeszcze świąteczną kartkę: pięć uśmiechniętych twarzy pod mikołajowymi czapkami, pozujących na tle ubranej choinki: matka, ojciec, on, Madeline i Danny.

„Wesołych Świąt życzą Addisonowie”.

Wizja zbladła i usłyszał w ciemności głos Pia. Powtarzał słowa, wypowiedziane w drodze powrotnej do Rzymu: „Wie pan, co bym myślał na pańskim miejscu... Czy mój brat jednak żyje? A jeśli tak, to gdzie jest?”.

Marsciano siedział sam w bibliotece; komputer miał wyłączony. Książki, wypełniające ściany od podłogi po sufit, wydawały mu się teraz nic nie znaczącą dekoracją. Świeciła się tylko halogenowa lampka na biurku. W jej poświacie widział leżącą na blacie kopertę, dostarczoną mu w Genewie, z napisem „Urgente”. W środku była kasetka magnetofonowa, której wysłuchał tylko raz i więcej nie miał ochoty.

Dlaczego akurat teraz zachciało mu się posłuchać jej po raz drugi, nie wiedział. Czuł, że coś go do niej przyciąga.

Otworzył szufladę i wyjął mały odtwarzacz. Włożył kasetę, zawahał się przez chwilę, po czym z rozmysłem wcisnął PLAY. Po chwili usłyszał głos, przyciszony, lecz doskonale rozpoznawalny.

„W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Niechaj Bóg, który rozświecła nasze serca, pomoże ci rozpoznać swoje grzechy i zaufać jego miłosierdziu”.

„Amen – odrzekł ktoś inny i kontynuował: – Pobłogosław mnie ojczy, gdyż zgrzeszyłem. Ostatni raz byłem u spowiedzi wiele dni temu. Oto moje grzechy...”.

Kciuk kardynała raptownie wcisnął STOP. Marsciano siedział bez ruchu, nie będąc w stanie słuchać dalej.

Spowiedź została nagrana bez wiedzy zarówno

wyznającego grzechy, jak i spowiednika. Spowiadającym się był on sam. Spowiednikiem – ojciec Daniel.

Zdjęty przerażeniem i obrzydzeniem, zepchnięty przez Palestrinę do najmroczniejszych zakamarków własnej duszy, szukał ukojenia w jedynym miejscu, które mu pozostało.

Ojciec Daniel był nie tylko godnym zaufania współpracownikiem i najbardziej oddanym przyjacielem, jakiego miał w życiu, lecz także oddanym Bogu kapłanem. Kardynał wiedział, że jego wyznanie chronione będzie tajemnicą spowiedzi i nigdy nie wydobędzie się poza konfesjonał.

A jednak się wydostało.

Palestrina nagrał spowiedź. I bez wątpienia kazał Farelowi pozakładać elektroniczny podsłuch w innych miejscach, prywatnych i nie tylko, w których mogli przebywać Marsciano lub pozostali mężowie zaufania.

Wpadający w coraz większą paranoję, sekretarz zabezpieczał się na wszystkich frontach, niczym wojskowy dowódca, za którego się zresztą uważał. Kilka lat temu sam powiedział o tym Marscianowi. Był wtedy wprawdzie pijany, jednak z całą powagą i pusząc się z dumy stwierdził, że od czasu gdy dorósł na tyle, żeby rozumieć takie rzeczy, uważa się za wcielenie Aleksandra Macedońskiego, starożytnego zdobywcy imperium perskiego. Tym przeświadczeniem kierował się od tej pory w życiu i za jego przyczyną dotarł tak wysoko. Nie miało znaczenia, czy ktoś poza nim w to wierzy, skoro

wierzył on sam. I, jak zauważył Marsciano, coraz bardziej wczuwał się w rolę prowadzącego wojnę generała.

Jak błyskawicznie i brutalnie zadziałał po podsłuchaniu jego spowiedzi! Kardynał spowiadał się późnym wieczorem w czwartek, a już w piątek rano ojciec Daniel wyjechał do Asyżu, bez wątpienia równie jak on przerażony i potrzebujący pocieszenia. Marsciano ani przez chwilę nie miał wątpliwości co do tego, kto usiłował zatrzymać Danny'ego, wysadzając autobus i zabijając wielu niewinnych ludzi. Stał za tym ten sam bezwzględnny brak szacunku dla człowieczeństwa, co za podstępny strategią wobec Chińczyków. Ta sama zimna paranoja, która kazała Palestrinie nie ufać nie tylko własnemu otoczeniu, lecz także tajemnicy spowiedzi, a co za tym idzie, kanonicznemu prawu kościelnemu.

Marsciano powinien był jednak spodziewać się czegoś takiego. Zdażył już bowiem zobaczyć prawdziwe, przerażające oblicze Palestriny. Widmo tej twarzy wciąż tkwiło w pamięć ci kardynała, tak trwałe, jakby wybito je ze stalowej blachy.

Nazajutrz po wielkim publicznym pogrzebie kardynała Parmy sekretarz stanu zwołał pozostałych, wciąż zszokowanych uomini di fiducia – Marsciana; prefekta kongregacji biskupów Josepha Matadiego i dyrektora generalnego banku watykańskiego, monsiniora Fabia Capizziego – na konferencję w prywatnej willi w Grottaferata pod Rzymem.

Było to miejsce, które Palestrina często wykorzystywał

na różne zamknięte spotkania; tam też po raz pierwszy zaprezentował im swój „Chiński Protokół”.

Po przybyciu zaprowadzono ich na mały dziedzińczyk skryty wśród starannie przyciężonych krzewów, poza głównym budynkiem. Palestrina siedział przy stoliku z kutego żelaza, popijając kawę i wpisując coś do swego laptopa.

Za jego krzesłem, jak groźny majordomus, stał Farel. Był tam jeszcze trzeci mężczyzna – przystojny, pod czterdziestkę. Szczupły, średniego wzrostu, o kruczoczarnych włosach i przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu, miał na sobie – pamiętał Marsciano – dwurzędową marynarską kurtkę, białą koszulę, ciemny krawat i szare spodnie.

– Nie znacie jeszcze Thomasa Kinda – powiedział Palestrina, kiedy usiedli, wskazując na niego dłonią, jakby przedstawiał nowego członka jakiegoś prywatnego klubu. – Pomaga koordynować naszą sprawę z Chinami.

Marsciano do dziś czuł ten przyływ przerażenia i niedowierzania, który zauważył też u pozostałych – Capizzi mimowolnie zagryzł swe wąskie, ściśnięte wargi, a w pełnych humoru oczach Matadiego pojawił się wyraz ponurego lęku – gdy Thomas Kind wstał i uprzejmie powitał ich kolejno po nazwisku, zatrzymując na każdym spojrzenie swych niebieskich oczu.

- Buon giorno, monsinior Capizzi.
- ...kardynale Matadi.
- ...kardynale Marsciano.

Marsciano przypomniał sobie, że widział tam Kinda już rok wcześniej, w towarzystwie niskiego Chińczyka w średnim wieku, kiedy wraz z ojcem Danielem przybył na spotkanie z Weggenem. Nie miał jeszcze wówczas pojęcia, kim jest ten człowiek, i nie zastanawiał się nad tym, poza skojarzeniem go z Chinami. Ale zetknięcie się z nim twarzą w twarz – gdy wiedział już, kim on jest i czym się zajmuje, gdy wypowiedział nazwisko kardynała i spojrzał mu prosto w oczy – było przeżyciem budzącym grozę.

Niemy zachwyt Palestriny na widok ich niezbyt dobrze maskowanych reakcji powiedział im aż nadto wyraźnie, kto zamordował kardynała wikariusza i z czyjego rozkazu. Wezwanie ich do willi stanowiło bezpośrednie ostrzeżenie.

Gdyby któryś z nich potajemnie podzielał poglądy nieboszczyka, to znaczy sprzeciwiał się planom Palestriny wobec Chin i gdyby przyszło mu na myśl zwrócenie się z tym do Ojca Świętego lub Kolegium Kardynalskiego, będzie miał do czynienia z Thomasem Kindem. Był to przerażający popis czystej bezczelności Palestriny, teatralny dodatek do jego rozrastającego się nieustannie koszmarnego repertuaru. Był to także czytelny sygnał, obwieszczający bliskie już rozpoczęcie bitwy o panowanie nad Chinami.

A potem, jakby dla podkreślenia, że jego tupet nie zna granic, Palestrina przeczesał palcami swą wielką białą grzywę i oznajmił, że mogą odejść.

Marsciano otrząsnął się ze wspomnień i jego wzrok spoczął na magnetofonie. Spowiadając się wyjawiał ojcu Danielowi kulisy zabójstwa kardynała Parmy i własnego współudziału w planowanej przez Palestrinę ekspansji Kościoła w Chinach. A wiązała się ona nie tylko z potajemnym manipulowaniem watykańskimi inwestycjami, lecz także, co jeszcze straszniejsze, z groźbą uśmiercenia niewiadomej liczby niewinnych mieszkańców tego kraju.

Swoją spowiedzią, zupełnie sobie tego nie uświadamiając, skazał ojca Daniela na śmierć. Za pierwszym razem pomogła boska interwencja czy może zrządzenie losu. Teraz jednak, kiedy już byli pewni, że Daniel żyje, na polowanie wyruszy Thomas Kind. Uchronienie się przed kimś takim jak on było niemożliwością. Palestrina nie popełniał błędu dwa razy pod rząd.

Pescara. Via Arapietra.  
Sobota, 11 lipca; 7.10

Thomas Kind siedział za kierownicą wynajętej białej lancierki i czekał, aż ktoś otworzy drzwi pod numerem tysiąc dwieście siedemnaście, w prywatnej firmie transportu sanitarnego po drugiej stronie ulicy.

Zerknąwszy w lusterko, przyglądał włosy i spojrzał ponownie na budynek. Mieli otworzyć o siódmej trzydziści. Nie powinien oczekiwać, że zrobią to wcześniej tylko z powodu jego wizyty, szczególnie w sobotę rano. Grunt to cierpliwość.

7.15

Na chodniku przed budynkiem pod numerem tysiąc dwieście siedemnaście pojawił się jakiś poranny biegacz. Siedemnaście sekund później przejechał w przeciwnym kierunku chłopak na rowerze. I znów nic.

Cierpliwości.

7.20

W lusterku wstecznym zobaczył dwóch policjantów na motocyklach. Kind nawet nie mrugnął. Przejechali powoli obok, nie zatrzymując się. Drzwi naprzeciwko w dalszym ciągu były zamknięte.

Oparłszy głowę na skórzanym zagłówku, myślał o tym, czego zdołał się dotąd dowiedzieć: beżowa furgonetka

Iveco, najnowszy model, o numerze rejestracyjnym PE 343552, wyjechała spod szpitala Świętej Cecylii dokładnie o dwudziestą drugą osiemnaście w czwartek wieczorem. Wiozła pacjenta, zakonnicę, pracującą najwyraźniej jako pielęgniarka, i dwóch mężczyzn ubranych jak sanitariusze.

Wcześniej zażyczył sobie od Farela pewnej informacji i otrzymał ją. W ciągu ostatniego tygodnia tylko osiem szpitali w całych Włoszech przyjęło nowych pacjentów; szpital Świętej Cecylii był jednym z nich. I tylko pacjent przyjęty przez ten szpital był mężczyzną w wieku około trzydziestu pięciu lat. I to tego właśnie mężczyznę wypisano przedwczoraj wieczorem.

Zaraz po przybyciu do Pescary wczoraj w południe Kind udał się do szpitala. Po krótkim rozejrzeniu się stwierdził to, czego się spodziewał: szpital miał system bezpieczeństwa, z kamerami obserwującymi nie tylko korytarze i pomieszczenia ogólnodostępne, lecz także wejścia. Miał nadzieję, że był on tak skuteczny, na jaki wyglądał.

Skierował się do administracji szpitala, gdzie pokazał wizytówkę przedstawiciela handlowego firmy z Mediolanu, produkującej systemy zabezpieczeń, i poprosił o spotkanie z szefem ochrony.

Powiedziano mu, że szefa nie ma, ale wróci około ósmej wieczorem. Thomas Kind skinął tylko głową i zapowiedział, że przyjdzie później.

O dwudziestą piętnaście obaj mężczyźni rozmawiali

już przyjaźnie w biurze szefa ochrony. Przechodząc do rzeczy, Kind zapytał, czy w związku z wybuchem bomby podłożonej w autobusie jadącym do Asyżu i zamachem na kardynała wikariusza Rzymu, wypadkami mogącymi być – jak się obawiał rząd – początkiem nowej fali terroryzmu, szpital zrobił wszystko dla zapewnienia sobie maksymalnego bezpieczeństwa.

Nie ma strachu, zapewnił go zadziwiająco młody funkcjonariusz. W chwilę później znaleźli się w dyżurce ochrony szpitala, gdzie zasiedli przed ścianą szesnastu monitorów, przekazujących na żywo obraz z kamer rozmieszczonych w budynku. Uwagę Kinda przyciągnął szczególnie jeden z ekranów, pokazujący wiatę dla karetek.

– Kamery pracują przez okrągłą dobę? – zapytał.

– Tak jest.

– I wszystko nagrywacie?

– Proszę spojrzeć. – Ochroniarz wskazał krótki korytarzyk, gdzie połyskiwały w półmroku czerwone lampki kontrolne magnetowidów. – Nagrania przechowujemy przez pół roku; potem wykorzystujemy kasety ponownie, Sam zaprojektowałem cały system.

Thomas Kind widział, z jaką dumą tamten mówi o swym osiągnięciu. Należało to pochwalić i wykorzystać, co też uczynił. Podkreślając, jakie wrażenie zrobił na nim system, przysunął sobie z entuzjazmem krzesło i poprosił o zademonstrowanie, jak w praktyce odszukuje się potrzebne nagranie.

Powiedzmy, że chodzi o karetkę, która przywiozła chorego w określonym dniu i o określonej godzinie, no, na przykład wczoraj około dwudziestej drugiej...

Ochroniarz, szczęśliwy, że może się popisać, z uśmiechem wprowadził cyfry z klawiatury na panelu kontrolnym. Włączył się ekran najbliższej nich. W prawym górnym rogu pokazała się data z godziną, a po chwili obraz wiaty dla karettek znajdujących się z tyłu szpitala. Mężczyzna przewinął taśmę do przodu, do momentu, w którym pojawiła się karetka. Wysiedli z niej pielęgniarze, wyciągnęli z samochodu chorego na noszach i wnieśli do budynku. Twarze wszystkich były wyraźnie widoczne. Potem sanitariusze wrócili i karetka odjechała.

– Ma pan oczywiście stopklatkę? – zapytał Kind. – Na przykład, gdyby policja potrzebowała numeru rejestracyjnego wozu albo coś w tym rodzaju...

– Jasne. – Szef ochrony przewinął taśmę do tyłu, a kiedy wrócił obraz karetki, zatrzymał go tak, że widoczna była wyraźnie tablica rejestracyjna.

– Znakomicie – rzekł Kind. – Można jeszcze trochę pooglądać?

Nagranie zostało puszczone normalnie, a Kind uważnie obserwował cyferki wyświetlacza czasu, zajmując jednocześnie swego gospodarza rozmową. Karetki przyjeżdżały i odjeżdżały, aż o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt dziewięć pojawiła się beżowa, nie oznakowana iveco.

– A to co, pewnie ciężarówka dostawcza? – zapytał,

patrząc jak z auta wysiada barczysty mężczyzna i znika w szpitalu, poza zasięgiem kamery.

– Nie, to prywatna karetka.

– A gdzie pacjent?

– Będą go zaraz zabierać, niech pan patrzy. – Ochroniarz przewinął taśmę; po chwili na ekranie pojawił się znów pierwszy mężczyzna, tym razem w towarzystwie zakonnicy i drugiego mężczyzny, który pomagał mu nieść pacjenta, spowitego mocno w bandażu, na noszach z dwiema kroplówkami wiszącymi na wisielniku. Ten barczysty otworzył drzwi i pacjent został umieszczony w karetce. Siostra zakonna i drugi pielęgniarz wsiedli za nim. Drzwi się zamknęły, kierowca wrócił na miejsce i samochód odjechał.

– Teraz też by się chyba dało odczytać numer rejestracyjny, prawda? – Kind znów podpuścił szefa ochrony.

– Jasna sprawa.

Przewinął taśmę i zatrzymał w odpowiednim miejscu.

Numer był wyraźny – PE 343552. Wyświetlacz wskazywał 22.18, 9 lipca.

– PE to Pescara, aha – ucieszył się Kind. – Jakiś miejscowy przewoźnik.

– Servizio Ambulanza Pescara – oznajmił z dumą mężczyzna. – Jak pan widzi, wszystko jest pod pełną kontrolą.

Wyrażając głośno swój podziw, Thomas Kind ostatni raz podbechtął dumę ochroniarza i po chwili znał już

nazwisko, pod jakim zarejestrowano wywiezionego pacjenta: Michael Roark.

Firma miała w książce telefonicznej ramkową reklamę.

Servizio Ambulanza Pescara mieściła się przy Via Arapietra, pod numerem tysiąc dwieście siedemnaście. Reklama zawierała także nazwisko direttore responsabile i właściciela firmy Ettore Caputo oraz jego małą fotografię. Poniżej widniały godziny otwarcia. Od poniedziałku do piątku, 7.30 – 19.30.

Kind spojrzął na zegarek.

Podniósł głowę i zobaczył mężczyznę, wychodzącego właśnie zza rogu. Przyjrzał mu się uważnie i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ettore Caputo przyszedł cztery i pół minuty przed czasem.

Fotografia w leżącym przed Harrym paszporcie ukazywała go z brodą. Sam dokument był podniszczony, okładka pogięta i zwiotczała, jakby służyła już wiele lat. W paszporcie wydanym przez Agencję Paszportową w Nowym Jorku widniały stare pieczętki wjazdowe brytyjskich, francuskich i amerykańskich władz imigracyjnych; poza tym jednak nie było w nim niczego, co by świadczyło o podróżach właściciela, ponieważ kraje zachodnioeuropejskie już od lat nie stawiały pieczęci w paszportach.

Obok zdjęcia było nazwisko: Jonathan Arthur Roe, ur. 18 września 1965 r., Nowy Jork, USA.

Na stole leżało też prawo jazdy z Waszyngtonu i legitymacja Georgetown University. W prawie jazdy podano adres Mulledy Building, Georgetown University, Waszyngton DC.

W obu dokumentach było zdjęcie Harry'ego.

Każde ze zdjęć było inne; ubrany był na nich kolejno w jedną z dwóch koszul i w sweter Eatona. Nie wyglądały na zrobione w tym samym miejscu – pokoju, w którym się znajdował – ani w tym samym czasie – wczoraj wieczorem.

– Tutaj jest reszta – Adrianna Hall położyła przed nim białą kopertę. – Łącznie z gotówką. Dwa miliony lirów, jakieś tysiąc dwieście dolarów. Możesz dostać więcej,

jeślibyś potrzebował. Ale Eaton kazał ci powiedzieć, że księży nie szastają pieniędzmi, więc wydawaj ostrożnie.

Harry otworzył kopertę i wyciągnął zawartość – dwa miliony lirów w banknotach po pięćdziesiąt tysięcy i pojedyncza kartka papieru z jakimś tekstem w trzech gęstych akapitach.

– Tam napisano, kim jesteś, gdzie pracujesz i w ogóle wszystko – wyjaśniła Adrianna. – W każdym razie dość, żebyś się wybronił, jeżeli ktoś cię zapyta. Musisz się tego nauczyć na pamięć i zniszczyć.

Harry Addison był teraz Jonathanem Arthurem Roe, jezuickim księdzem i wykładowcą prawa na Uniwersytecie Georgetown. Mieszkał w jezuickiej rezydencji na terenie miasteczka akademickiego i uczył tam od 1994 roku. Wychował się w Ithaca w stanie Nowy Jork, jako jedynak.

Rodzice już nie żyli. Tekst wyliczał też szkoły, do jakich uczęszczał, łącznie z datą i miejscem wstąpienia do seminarium, oraz zawierał opis uniwersytetu, i dzielnicy Georgetown, aż do takich szczegółów, że z okna mieszkania widział rzekę Potomac, ale tylko jesienią i zimą, kiedy drzewa straciły liście.

Przeczytał wszystko i spojrzał na Adriannę.

– Wygląda na to, że jako jezuita przyjąłem ślub ubóstwa.

– Może dlatego nie dał ci karty kredytowej...

– Może.

Harry odwrócił się i przeszedł przez pokój. Eaton

dotrzymał obietnicy, dostarczył mu wszystko, czego potrzebował. Teraz musiał sam załatwić resztę.

– Jak w grze w odgadywanie postaci, prawda? – Odwrócił się do Adrianny. – Stajesz się zupełnie kimś innym...

– Nie masz wielkiego wyboru.

Harry przyjrzał się jej badawczo. Oto kobieta jak inne w jego życiu – spał z nią, lecz prawie jej nie znał. I uświadomił sobie, że poza tą jedną chwilą w ciemnościach, kiedy poczuł, że jakaś część jej istoty lęka się własnej śmiertelności – nie tyle samej śmierci, co tego, że nie będzie już żyć – zna ją właściwie z ekranu telewizora, a nie jako konkretną osobę stojącą tu z nim w pokoju.

– Ile ty masz lat, Adrianna? Trzydzieści cztery?

– Trzydzieści siedem.

– No dobra, trzydzieści siedem. A gdybyś mogła być kimś innym – zapytał poważnie – co byś wybrała?

– Nigdy o tym nie myślałam.

– Ale spróbuj pomyśleć. No jak?

Nagle skrzyżowała przed sobą ramiona.

– Nie chciałabym być nikim innym. Cieszę się z tego kim jestem i co robię. I harowałam jak dziki osioł, żeby to osiągnąć.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– A matką? Żoną?

– Żartujesz sobie? – Zaśmiała się krótko, na poły

rozbawiona, na poły spłoszona, jak gdyby dotknął czułego miejsca, którego wolą nie ruszać.

– Ale wiele kobiet robi jedno i drugie; rozwijają się zawodowo i mają rodziny... – Naciskał ją, może zbyt mocno i może nie powinien, lecz z jakiegoś powodu chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– Wiele, ale nie ja. – Adrianna obstawała przy swoim. Wyraźnie spoważniała.

– Mówiłam ci już, lubię się pieprzyć z nieznanymi. A wiesz dlaczego? Bo to nie tylko mnie podnieca, ale też daje całkowitą niezależność. A dla mnie niezależność jest najważniejsza na świecie, bo dzięki niej mogę wykonywać swoją pracę, najlepiej jak potrafię, mogę robić wszystko, co trzeba, żeby zdobyć materiał. Myślisz, że jakbym była matką, to mogłabym stać na jakimś pieprzonym polu pod ostrzałem i opowiadać o czyjejs wojnie domowej? Albo, coś z bliższego podwórka, ryzykować spędzenie reszty życia we włoskim więzieniu za załatwienie najgroźniejszemu przestępcy w kraju fałszywych dokumentów? Nie, drogi Harry, nie zrobiłabym czegoś takiego własnym dzieciom... Jestem samotniczką i lubię to. Dobrze zarabiam, sypiam, z kim chcę, podróżuję do miejsc, o których inni mogą tylko marzyć, i mam lepszy dostęp do pewnych ludzi niż niejeden szef państwa. To mi daje kopa, a ten kop pomaga mi pokazywać żywą historię tak, jak się to kiedyś robiło i jak nikt oprócz mnie już nie robi... Czy to egoizm? Nie wiem, co znaczy to słowo. Ale to nie przebieranka, taka

właśnie jestem... A jeżeli coś się stanie i przegram, tylko ja sama na tym ucierpię.

– Ciekawe, co o tym powiesz, jak skończysz siedemdziesiątkę.

– Wtedy mnie zapytaj.

Harry przyglądał się jej jeszcze przez chwilę. To dlatego czuł to, co czuł, że zna ją lepiej z telewizji niż z życia. Jej życiem i prywatnością był ekran. Tym była i taka chciała pozostać. I robiła to bardzo dobrze. Tydzień temu powiedziała by to samo o sobie. Wolność była wszystkim. Dawała niesamowite możliwości, ponieważ pozwalała podejmować ryzyko. Człowiek ufał swoim umiejętnościom i brał wszystko tak, jak do niego przychodziło; żył mocno i szybko. A kiedy przegrywał, to przegrywał...

Teraz jednak nie był tego pewien. Może dlatego, że wolność właściwie mu odebrano. Może miała ona swoją cenę, z której do tej pory nie zdawał sobie sprawy. Może po prostu tak było. A może nie... Tkwiło w tym wszystkim coś jeszcze, coś, czego musiał się jeszcze nauczyć. I zrozumieć.

A cała ta historia to podróż, która pomoże mu odnaleźć...

– Kiedy sobie stąd pójdę... – usłyszał nagle swój głos – z kim mam się komunikować, z tobą czy z Eatonem?

– Ze mną. – Adrianna otworzyła torebkę i wyjęła mały telefon komórkowy. – Masz. Ja będę wiedziała, co robi policja; poza tym mam co dzień mnóstwo telefonów.

Jeden więcej nikogo nie zdziwi.

– A co z Eatonem?

– W odpowiednim momencie przekażę mu wiadomość – zawahała się i odwróciła lekko głowę, podobnie jak to robiła przed kamerą, kiedy miała coś wyjaśnić. – Nigdy nie słyszałeś o Jamesie Eatonie – powiedziała po chwili. – A on nigdy nie słyszał o Harrym Addisonie, poza tym oczywiście, co można się dowiedzieć z gazet i telewizji albo, ewentualnie, z jakichś informacji przekazywanych na twój temat przez ambasadę. Mnie też nie znasz; raz tylko spotkaliśmy się w hotelu, kiedy prosiłam cię o wypowiedź jako dziennikarka.

– No a co z tym? – Harry klepnął dłonią leżące na stole swoje nowe dokumenty. – Co będzie, jeżeli skręcę w lewo zamiast w prawo i wpadnę w łapy Gruppo Cardinale? Co mam powiedzieć Roscaniemu? Że zawsze noszę przy sobie zapasowe papiery? Będzie chciał wiedzieć, skąd je zdobyłem i jak.

– Harry – uśmiechnęła się ciepło Adrianna – jesteś już dużym chłopcem. Umiesz odróżnić prawą od lewej. A jeśli nie, to ćwicz, okay – Pochyliła się i pocałowała go lekko w usta. – Nie skręcaj w złą stronę – szepnęła i wyszła z mieszkania, odwróciwszy się jeszcze w drzwiach, żeby mu powiedzieć, że ma się na razie nie ruszać z miejsca, a jak będzie coś wiedziała, zadzwoni.

Stał i patrzył, jak zamykają się za nią drzwi. Usłyszał szcęk zamka. Jego wzrok powoli powędrował ku stolikowi i leżącym na nim dokumentom. Po raz pierwszy

w życiu pożałował, że nie uczył się nigdy aktorstwa.

Cortona, Włochy.

W dalszym ciągu sobota, 11 lipca; 9.30

Siostra Elena Voso zrobiła zakupy i wyszła ze sklepiku spożywczego na Piazza Signorelli z dużą torbą świeżych warzyw. Wybierała warzywa starannie, pragnąc ugotować naprawdę smaczną i pożywną zupę. Nie tylko dla trzech pielęgniarzy, lecz także dla Michaela Roarka. Nadszedł czas, żeby spróbować nakarmić go normalnym jedzeniem. Wcześniej, kiedy zwilżyła mu usta, przełknął odruchowo. Gdy jednak chciała, żeby się sam napił, tylko patrzył na nią, jakby żądała odeń zbyt wielkiego wysiłku. Ale kto wie, może, kiedy poczuje aromat piure ze świeżych warzyw, sprowokuje go to do podjęcia próby. Nawet łyżka to już będzie lepiej niż nic, jakiś początek. A im wcześniej zacznie przełykać gęste jedzenie, tym szybciej będzie go można odłączyć od kroplówki i zacznie nabierać sił.

Marco obserwował, jak wychodzi i kieruje się ku krańcowi wąskiej brukowanej uliczki, gdzie stał ich samochód. Normalnie poszedłby z nią do sklepu i pomógł nieść zakupy. Ale nie tym razem, nie tutaj, w jasnym świetle dnia. I choć odjadą tym samym autem, lepiej, żeby ich nie widziano razem na ulicy czy w sklepie. Ktoś mógłby to sobie przypomnieć. Byli wprawdzie Włochami,

ale w Cortonie obcymi – zakonnica i młody mężczyzna razem na zakupach – to mogło wystarczyć, żeby ktoś potem odpowiedział: „Tak, byli tu. Widziałem ich”.

Elena zatrzymała się, obejrzała i weszła do kolejnego sklepiku. Marco też przystanął, zastanawiając się, co też ona robi. Na lewo uliczka opadała stromo. W dole widział odległą równinę i drogę prowadzącą stamtąd do starożytnego miasta Umbryczyków i Etrusków, otoczonego murami obronnymi. Cortona była niegdyś twierdzą; miał nadzieję, że nie stanie się nią dla niego.

Zobaczył, że Elena wychodzi już ze sklepu, rzuca w jego stronę spojrzenie i rusza w kierunku samochodu. Pięć minut później doszła do małego srebrnego fiata, którym Pietro jechał za karetką z Pescary. Chwilę później Marco był już przy niej; zaczekał, aż minie ich kilku przechodniów, po czym wziął od zakonnicy pakunek i otworzył drzwiczki auta.

– Po co siostra poszła do tego drugiego sklepu? – zapytał, kiedy ruszyli.

– A nie wolno mi?

– Wolno, tylko że mnie to zaskoczyło.

– Mnie też i dlatego właśnie musiałam wejść. – Elena wyjęła z torby małą paczuszkę. Podpaski.

O jedenastej zupa i piure perkotały na kuchennym piecu, a Elena towarzyszyła Michaelowi Roarkowi w pokoju na piętrze. Jej pacjent siedział w fotelu, z poduszką pod każdym ramieniem; po raz pierwszy nie w pozycji horyzontalnej.

Marco pomógł jej dźwignąć go z łóżka i posadzić, a potem wyszedł na papierosa. Piętro wyżej spał Luca. Miał nocną zmianę, tak samo jak w Pescarze; siedział na warcie w furgonetce od dwudziestej trzeciej do siódmej rano, a co dwie godziny przychodził na górę pomóc Elenie odwrócić pacjenta. Potem wracał do samochodu.

Przed czym ich strzegł? Czy przed kim? Znowu się nad tym zastanawiała, ciekawa roli, jaką naprawdę odgrywali trzech mężczyźni.

Przez okno widziała Marca, spacerującego, z papierosem, po kamiennym murku na końcu podwórza. Za murkiem biegła droga, a dalej znajdowała się brama z podjazdem prowadzącym pod dom. Po drugiej stronie drogi rozciągało się gospodarstwo, sięgające aż po niknący w letniej mgiele horyzont. Pas pola za głównym budynkiem orał właśnie traktor, wzbijając za sobą obłok pyłu.

Nagle pojawił się Pietro. Przeszedł pomiędzy rosnącymi przed oknem cyprysami i podszedł do Marca. Rękawy miał podwinięte, koszulę rozpiętą z powodu upału; nie ukrywał zatkniętego za pasek pistoletu. Mężczyźni zaczęli rozmawiać.

Po chwili Marco spojrzał w stronę domu, jakby wiedział, że są obserwowani.

Elena odwróciła się do Michaela Roarka.

– Wygodnie ci tak na siedząco? – zapytała.

Ledwie dostrzegalnie kiwnął głową. Ale odpowiedź była jednoznaczna i o wiele bardziej dynamiczna niż

uprzednie mruganie, kiedy ścisnęła mu palec u ręki lub nogi.

– Zrobiłam ci jedzenie. Może spróbujesz, czy uda ci się coś przełknąć?

Tym razem odpowiedzi nie było. Siedział bez ruchu patrząc na nią, a potem odwrócił wzrok ku oknu. Elena przyglądała mu się zamyślona. Teraz, gdy zwrócił głowę do światła, pomimo bandaży zobaczyła jego profil na nowo.

Zawahała się, patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym przeszła do wnęki, stanowiącej jej część pokoju.

Rzeczywiście wróciła do sklepu po podpaski. Ale był to tylko pretekst. Jej oko przyciągnęło coś innego: stojak z gadżetami przed wejściem, a na nim egzemplarz „La Repubblica” z wielkim nagłówkiem: „Zabójca kardynała Parmy wciąż na wolności”. I niżej, mniejszym drukiem: „Policja bada ofiary eksplozji autobusu”.

Słyszała o tych zdarzeniach, ale tylko bardzo ogólnie.

O zamordowaniu kardynała rozmawiało się oczywiście w klasztorze. A potem ten wypadek z autobusem. Zaraz jednak wysłano ją do Pescary i od tamtej pory nie oglądała telewizji ani nie czytała gazet. Kiedy jej spojrzenie padło na tytuły, zareagowała instynktownie; skojarzyły jej się z Markiem i pozostałymi uzbrojonymi mężczyznami, strzegącymi jej pacjenta i jej samej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bez wątplenia wiedzieli oni o tym, co wszyscy robią, o wiele więcej niż ona.

W sklepie przejrzała gazetę i zobaczyła w niej fotografie poszukiwanych przez policję. Jej myśli biegły jak oszalałe.

Autobus wysadzono w piątek. Michael Roark miał wypadek samochodowy w górach pod Pescarą w poniedziałek.

We wtorek wysłano ją do szpitala Świętej Cecylii. Ktoś, kto się uratował z wybuchu, mógł przecież być poparzony i w śpiączce. Mógł mieć połamane nogi. Mógł być przetrzymywany w innych szpitalach czy nawet w prywatnym domu przez dzień lub dwa, zanim przewieziono go do Pescary.

Szybko kupiła gazetę. A potem, żeby mieć jakieś wytłumaczenie dla Marca, kupiła też podpaski i włożyła obie rzeczy do papierowej torby z zakupami.

Po powrocie do domu poszła od razu do swojego kąta i położyła opakowanie podpasek w widocznym miejscu na półce. Potem poskładała gazetę i schowała ją pod ubraniami w nie rozpakowanej jeszcze walizce.

Boże święty – zastanawiała się w kółko – a jeśli Michael Roark i ojciec Daniel Addison to ta sama osoba?

Po umyciu rąk i przebraniu się w czysty habit zamierzała wyciągnąć gazetę i porównać zdjęcie bezpośrednio z twarzą jej pacjenta, sprawdzić, czy istnieje między nimi jakieś podobieństwo. Ale zawołał ją z dołu Marco i nie zdążyła.

Schowała gazetę i zeszła, aby dowiedzieć się, czego on chce.

Teraz Marco i Pietro byli na dworze, a Luca spał piętro wyżej. To był odpowiedni moment.

Michael Roark wciąż patrzył w okno, zwrócony plecami do niej. Podeszła do niego z boku i podniosła złożoną gazetę, tak że zdjęcie ojca Daniela znalazło się na poziomie głowy mężczyzny. Bandaże utrudniały rozpoznanie, poza tym Roarkowi wyrosła broda, a ksiądz na zdjęciu był gładko wygolony, ale... to czoło, te kości policzkowe, kształt nosa...

Michael Roark odwrócił nagle głowę i spojrzał wprost na nią. Zaskoczona, cofnęła się, chowając gazetę za plecami.

Przez moment wydawało jej się, że patrzy na nią tak, jakby zrozumiał, co ona robi. Mężczyzna otworzył usta.

– Woo...dyy – wyrzucił z siebie chrapliwie. – Pii...iić.

Rzym; w tym samym czasie

Dlaczego, zastanawiał się Rosciani, musiał rzucić palenie akurat teraz? A jednak o siódmej rano po prostu zdusił na wpół wypalonego papierosa w popielniczce i oznajmił samemu sobie, że odtąd nie pali. Starał się zastępować papierosy, czym się dało: kawą, gumą do żucia, dropsami, znów kawą.

W tej chwili był to czekoladowy gelato, lód w rożku. Chłodził się nim w skwarze lipcowego południa, wracając do Questury, lecz ani lód, ani brak nikotyny nie mogły oderwać jego myśli od jednej rzeczy – zaginionego pistoletu Llama z tłumikiem.

Naszła go ta myśl w środku nocy i nie dała spać już do rana. Po przyjściu do pracy od razu przyjrzał się ponownie formularzowi „Przekazanie dowodu rzeczowego”, podpisanemu przez Pia i Farela, kiedy ten drugi oddał temu pierwszemu pistolet znaleziony na miejscu wypadku. Dokument był w porządku. Oznaczało to, że na pewno pistolet miał Pio, a kiedy został zabity, broń zniknęła. Razem z Harrym Addisonem. Ale to były kwestie rutynowe; natomiast obudziła go i wciąż, nurtowała jeszcze inna myśl. Do tej pory uważał, że hiszpański pistolet miał przy sobie ojciec Daniel i że to właśnie świadczy o jego związkach z Miguelem Valerą,

hiszpańskim komunistą, na którego usiłowano skierować podejrzenie po zamordowaniu Parmy.

A jeżeli – to właśnie przyszło mu do głowy – pistolet nie należał wcale do księdza, tylko do jakiegoś innego pasażera autobusu? Do kogoś, kto miał księdza zabić? Gdyby tak się sprawy potoczyły, mieliby niejedno przestępstwo, lecz dwa: podłożenie bomby w autobusie i usiłowanie zabicia księdza.

23.30

Było gorąco i lepko. Narastający od ubiegłego tygodnia upał wcale nie zelżał i nawet teraz, przed północą, temperatura sięgała trzydziestu stopni.

Szukając ochłody, kardynał Marsciano zdjął wełnianą sutannę i ubrany w spodnie khaki i koszulę z krótkim rękawem wyszedł do małego wewnętrznego ogródka, mając nadzieję, że nocna bryza trochę złagodzi uciążliwy skwar.

Padające z okna biblioteki światło iluminowało grządki posadzonych w kwietniu pomidorów i papryki. Warzywa dojrzały wcześniej i były gotowe do zerwania. Dojrzały wcześniej z powodu upałów, które nie stanowiły zresztą niespodzianki. Lipiec w Rzymie najczęściej bywał gorący.

Marsciano uśmiechał się przez chwilę na wspomnienie piętrowego domu na tokańskiej wsi, gdzie dorastał wraz z czterema braćmi i trzema siostrami. Letnia spiekota oznaczała dwie rzeczy: po pierwsze, długie, męczące dni, kiedy cała rodzina wstawiała przed wschodem słońca, żeby pracować do zmierzchu na polu. Po drugie, skorpiony;

tysiące skorpionów. Wymiatanie ich z domu dwa albo nawet trzy razy dziennie było ciężką harówką. Nikt nie kładł się do łóżka, nie wytrzepawszy przedtem pościeli; to samo dotyczyło wkładania spodni, koszul i butów. Po ukąszeniu skorpiona pozostawała czerwona pręga, a ból pamiętało się długo.

Było to pierwsze stworzenie boże, które autentycznie znienawidził. Ale wtedy jeszcze nie znał Palestyny.

Marsciano napełnił konewkę wodą i podlał rzędy roślin.

Odstawił naczynie na miejsce i otarł dłonią pot z czoła. Nie było wiatru, nocna duchota chyba się jeszcze potęgowała.

Upał.

Starał się o tym nie myśleć, ale nie potrafił; wiedział bowiem, że wraz z upałem zacznie odmierzać czas chiński zegar Palestyny. Marsciano codziennie śledził informacje meteorologiczne w telewizji i w Internecie, starając się zdobyć jak najściślejsze dane o pogodzie w Azji. Wiedział, że Palestrina robi to samo.

Sekretarz stanu gromadził jednak te dane w sposób o wiele wszechstronniejszy i bardziej systemowy, przede wszystkim dlatego, że w związku ze swoim „Chińskim Protokołem” sam zaczął namiętnie studiować meteorologię i stał się w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem. W niecały rok nauczył się posługiwać komputerowymi symulatorami synoptycznymi i sporządzać prognozy. Nawiązał ponadto osobiste kontakty z kilkoma zawodowymi meteorologami na świecie i mógł

błyskawicznie zasięgać u nich rady za pośrednictwem poczty elektronicznej. Gdyby nie to, że bardziej go interesowała realizacja własnych pomysłów, Palestrina mógłby spokojnie zarabiać na życie jako czołowy synoptyk w kraju.

Sekretarz stanu czekał na moment, kiedy we wschodnich Chinach zapanują na dłużej upały i utrzyma się wysoka wilgotność. Zaczną się wtedy mnożyć trujące wodorosty, które pokryją większość zbiorników wodnych, zanieczyszczając biologicznymi toksynami ujęcia wody pitnej dla położonych nad nimi miejscowości. Przy odpowiednich warunkach i dużym przyroście szkodliwej roślinności Palestrina będzie mógł wprowadzić w życie swój plan. Zatruje dodatkowo wodę w taki sposób, żeby wyglądało to na działanie natury, i w takim stopniu, że przestarzałe urządzenia oczyszczające nie będą mogły sobie z tym poradzić.

Ludzie zaczną masowo chorować i umierać, społeczeństwo ogarnie przerażenie. Przywódcy państwa zaczną się obawiać wybuchów paniki, które w końcu mogłyby doprowadzić do rebelii i odłączenia się od Pekinu kolejnych prowincji, rozczarowanych indolencją rządu w kwestii tak podstawowej dla życia jak dostawy wody pitnej. Chiny znajdą się na krawędzi rozpadu, podobnie jak wcześniej stało się w Związku Radzieckim. I wówczas cieszący się od dawna ich zaufaniem poplecznik udzieli chińskim władcom prywatnej rady. Namówi ich do zaangażowania kilku międzynarodowych firm

budowlanych, w większości już działających na terenie Chin, w celu szybkiej przebudowy i odnowienia rozpadającej się infrastruktury poboru i dostarczania wody. Od kanałów i zbiorników, poprzez ujęcia i stacje filtrujące, po tamy i elektrownie wodne.

Tym zaufanym poplecznikiem będzie oczywiście Pierre Weggen. A zarekomendowanymi przez niego firmami okażą się te, które potajemnie kontroluje Watykan. Na tym właśnie zasadzał się plan Palestriny: chciał sterować Chinami dzięki zapanowaniu nad ich zasobami wody.

Żeby wprowadzić plan w życie, potrzebował upałów, a upały, tak we Włoszech, jak i we wschodnich Chinach, właśnie się zaczęły. Marsciano wiedział doskonale, że tylko raptowna zmiana pogody w Azji, na którą się nie zapowiadało, mogłaby powstrzymać Palestrinę przed rozpoczęciem przerażającego dzieła zniszczenia.

Kiedy odwrócił się, by wejść do domu, mignęła mu za oknem twarz. Tylko mignęła i już jej nie było. Siostra Maria-Louisa, jego nowa gospodyni, czy też raczej nowa gospodyni Palestriny. Przysłana, żeby mu uświadomić, iż jest pod stałą obserwacją, żeby czuł za plecami oddech sekretarza stanu, dzień i noc.

Wróciwszy do gabinetu, usiadł znużony za biurkiem, aby dopracować ostateczną wersję dokumentu uzgodnionego poprzedniego dnia z radą kardynałów. W poniedziałek miał przedstawić nowy portfel inwestycyjny do podpisu Palestrinie. Od tej chwili plan nabierze mocy urzędowej.

Pracował, a z zakamarków jego umysłu wyłaniały się pytania potęgujące mrok w jego duszy, mrok, który czaił się gdzieś głęboko niczym żywa istota, czekająca na odpowiedni moment, by znów go zacząć dręczyć. Dlaczego dopuścili do tego, że Palestrina stał się tym, kim się stał? A co gorsza, dlaczego on sam, kardynał Nicola Marsciano, papieski mąż zaufania, poddał się własnej bezradności? Bezradności, którą gardził i która nie pozwalała mu choćby kiwnąć palcem w tej sprawie. Dlaczego nie poprosił o rozmowę w cztery oczy z Ojcem Świętym? Dlaczego nie przedstawił tajnego raportu Kolegium Kardynalskiemu? Nie wyjawiał, co się stało i co się ma jeszcze wydarzyć; nie poprosił o pomoc w powstrzymaniu szaleńca?

Tragedia polegała na tym, że odpowiedzi na te pytania znał doskonale, zmagając się bowiem z nimi już chyba setki razy. Ojciec Święty był już stary, a poza tym tak oddany swemu sekretarzowi stanu, że zupełnie nie przyjmował do wiadomości słów krytyki na jego temat. A kto przewodził Kolegium Kardynalskiemu, jeśli nie sam Palestrina, cieszący się ogromnym poważaniem i mający wszędzie sprzymierzeńców? Próba podważenia jego pozycji zostałaby albo wyśmiana, albo przyjęta z oburzeniem, niczym herezja, której autora należy uznać za osobę niespełna rozumu.

Na domiar wszystkiego była przecież jeszcze groźba Palestriny, że oskarży go o zorganizowanie zamachu na kardynała Parmę w efekcie plugawej afery miłosnej. Jakże

mógłby się obronić przed takim oskarżeniem? Nie byłby w stanie, ponieważ to Palestrina trzymał w ręku wszystkie atuty i mógł się nimi posługiwać do woli.

Na taki a nie inny przebieg wypadków wpływał poza tym uświęcony życzeniem samego papieża nakaz utrzymywania w najgłębszej tajemnicy wszystkiego, co się działo w jego najbliższym otoczeniu. Leon XIV sam bowiem poprosił swych mężów zaufania, żeby znaleźli sposób na rozszerzenie wpływów Kościoła w nadchodzącym nowym tysiącleciu.

Wykonano w tej materii mnóstwo prac, badań i studiów, przedstawiono wiele najróżniejszych propozycji. Palestrina zaś, z premedytacją to wszystko przeczekawszy, wystąpił ze swoją koncepcją – w pełni dopracowaną – na samym końcu. Kiedy to uczynił, Marsciano, podobnie jak inni, wybuchnął śmiechem, traktując cały ten pomysł w kategoriach żartu. Popełnił jednak błąd. Sekretarz stanu wcale nie żartował.

Ku przerażeniu Marsciana, tylko kardynał Parma przeciwstawił się Palestrinie otwarcie. Pozostali – monsinior Capizzi i kardynał Matadi – milczeli. Teraz rozumiał, że to nie powinno było go dziwić. Palestrina zawczasu przewidział ich reakcje. Parma, jako człowiek starej daty, niepodatny na naciski zagorzały konserwatysta, nigdy by mu nie uległ. Ale z Capizzim – absolwentem Oksfordu i Yale, szefem banku watykańskiego – oraz z Matadim – prefektem Kongregacji Biskupów, pochodzącym z prominentnej

zairskiej rodziny – sprawa miała się inaczej. Obaj byli wielce ambitnymi „zwierzętami politycznymi” i nieprzypadkowo dotarli aż do szczytów watykańskiej hierarchii. Napędzani własnymi dążeniami i niezmiernie obrotni, mieli, każdy z osobna, liczną rzeszę stronników wewnątrz Kościoła. Wiedząc, że Palestrinie nie zależy na stanowisku głowy Kościoła, mierzyli bezpośrednio w tron papieski. I zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że to kaprys potężnego sekretarza może zdecydować, kto wyjdzie z konklawe jako zwycięzca.

Marsciano był człowiekiem zupełnie innego pokroju.

Osiągnął swoją pozycję nie tylko dzięki inteligencji i nieangażowaniu się w politykę; w głębi serca pozostał bowiem prostym księdzem, który wierzył w swój Kościół i w Boga.

Był autentycznym „mężem zaufania”, do tego stopnia naiwnie niewinnym, że nie przyszło mu nawet do głowy, iż we współczesnym Kościele mógłby funkcjonować ktoś taki jak Palestrina. Człowiek, który wykorzystał jego wiarę jako narzędzie manipulacji.

Marsciano rąbnął nagle pięścią w stół, przeklinając się gniewnie w duchu za swoją słabość i naiwność, nawet za swoją pobożność w podążaniu za powołaniem, któremu poświęcał się przez całe życie. Gdyby ta wściekłość i refleksja nad sobą przyszły wcześniej, byłby może w stanie coś przedsięwziąć. Teraz jednak było już o wiele za późno. Ojciec Święty oddał właściwie ster Stolicy Apostolskiej w ręce Palestriny, a jedyny liczący się

przeciwnik sekretarza stanu kardynał Parma, został uciszony na zawsze. Capizzi i Matadi poddali się swemu wodzowi i szli ślepo za nim. Szedł za nim także Marsciano, pogrążony w beznadziei i pochwycony w pułapkę słabości własnego charakteru. W efekcie Palestrina objął rządy absolutne, realizując koszmarny scenariusz którego nie dało się już powstrzymać. Mogli tylko czekać aż w Chinach nastaną letnie upały.

Pekin, Chiny. Hotel Gloria Plaza Niedziela,  
12 lipca; 10,10

Czterdziestosześcioletni Li Wen wyszedł z windy na ósmym piętrze i poszedł korytarzem w stronę pokoju numer osiemset osiemdziesiąt sześć, gdzie miał się spotkać z Jamesem Hawleyem, inżynierem hydrobiologiem z Walut Creek w Kalifornii. Zauważył, że na dworze przestało padać i przez chmury przebija się słońce. Reszta dnia będzie upalna, wilgotność stanie się nie do zniesienia, zgodnie z prognozami które zapowiadały utrzymanie się takiej pogody jeszcze co najmniej przez tydzień.

Numer osiemset osiemdziesiąt sześć znajdował się w połowie korytarza; drzwi pokoju były uchylone.

– Panie Hawley? – zawołał.

Nie było odpowiedzi.

– Panie Hawley! – Li Wen zawołał głośniejszym głosem. W dalszym ciągu panowała cisza. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

W pokoju grał telewizor, nadawano akurat wiadomości.

Na łóżku leżał jasnoszary garnitur jakiegoś bardzo wysokiego mężczyzny. Obok biała koszula z krótkimi rękawami, krawat w paski i bokserki. Po lewej zobaczył uchylone drzwi łazienki, skąd dobiegał szum prysznica.

– Panie Hawley?

– Witam, panie Li. – Hawley przekrzykiwał szum wody. – I jeszcze raz przepraszam. Wezwano mnie na pilne zebranie w Ministerstwie Rolnictwa i Rybołówstwa. Nie wiem na jaki temat. Ale to nie ma znaczenia. Wszystko jest w kopercie, w górnej szufladzie komody. Wiem, że musi pan zdążyć na pociąg. Następnym razem zapraszam pana na herbatę albo drinka.

Li Wen zawahał się, po czym podszedł do komody i otworzył górną szufladę. Leżała w niej hotelowa koperta z ręcznie wypisanymi inicjałami LW. Wyjął ją, rzucił okiem na zawartość i schował do kieszeni marynarki.

– Dziękuję bardzo, panie Hawley – zawołał w stronę wyływających zza drzwi łazienki obłoków pary i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. W kopercie było dokładnie to, co mu obiecano, nie miał więc tu niczego więcej do załatwienia. Zostało mu siedem minut na wyjście z hotelu, przejście przez ruchliwą aleję Jianguomennan i dotarcie do pociągu.

Gdyby Li Wen czegoś zapomniał i musiał wrócić do pokoju osiemset osiemdziesiąt sześć, ujrzałby, jak z łazienki wychodzi niski, krępy Chińczyk w garniturze. Mężczyzna podszedł do okna i zobaczył Li Wena, przechodzącego właśnie na drugą stronę ulicy i szybkim krokiem zmierzającego w stronę dworca.

Odwrócił się od okna, szybko wyciągnął spod łóżka walizkę, do której wrzucił ubrania Jamesa Hawleya, i wyszedł z nią z pokoju, zostawiając klucz na łóżku.

Pięć minut później siedział już za kierownicą srebrnego

opła i skręcając w ulicę Chongwenmendong, wybierał numer na telefonie komórkowym. Chen Yin uśmiechnął się. Oficjalnie trudnił się, i to z powodzeniem, handlem ciętymi kwiatami. Był jednak również mistrzem w zupełnie innej dziedzinie.

Potrafił mianowicie bezbłędnie naśladować akcent i wymowę różnych języków i dialektów, nawet takich, których właściwie nie znał. Najbardziej lubił amerykańską angielszczyznę.

I właśnie miał okazję się nią posłużyć, imitując sposób mówienia Jamesa Hawleya, uprzejmego, lecz bardzo się śpieszącego inżyniera hydrobiologa z Kalifornii. Który w ogóle nie istniał.

Cortona, Włochy.  
Niedziela, 12 lipca; 5.10.  
11.10 w Pekinie

– Dziękuję, przyjacielu – powiedział po angielsku Thomas Kind. Wyłączył komórkę i położył ją na fotelu obok.

Chen Yin zadzwonił o czasie i przekazał oczekiwaną wiadomość. Li Wen otrzymał dokumenty i znajdował się w drodze do domu. Nie było kontaktu wzrokowego. Chen Yin był dobry. Niezawodny. I znalazł Li Wena, co nie było rzeczą łatwą. Odkrył doskonałego zakładnika, aż nazbyt chętnego do współpracy i mającego zarówno możliwości, jak i powody, żeby zrobić to, czego od niego oczekiwano. Przy czym, jeśli okoliczności będą tego wymagały, można go było zostawić na łaskę losu lub zwyczajnie w odpowiedniej chwili usunąć.

Chen Yin dostał wynagrodzenie z góry w formie zadatku; resztę miał otrzymać, kiedy Li Wen wykona swoją robotę.

Potem obaj znikną. Li Wen, bo nie będzie już potrzebny, a wszelkie ślady należało usunąć. Chen Yin zaś dlatego, że mądrze będzie, jeśli na jakiś czas wyjedzie z kraju. Tym bardziej że jego pieniądze i tak znajdowały się poza granicami Chin – w banku Wells Fargo przy

Union Square w San Francisco.

Gdzieś zapał kogut i na ten odgłos Thomas Kind natychmiast wrócił myślami do czekającego go zadania. Widział przed sobą w szarości przedświtury zarysy domu, stojącego w pewnym oddaleniu od drogi, za kamiennym murem. Dalej rozciągały się pola z wiszącą tuż nad ziemią mgiełką.

Mógł wkroczyć do akcji zaraz po przybyciu na miejsce, natychmiast po północy. Odciąłby zasilanie, a noktowizyjne gogle dawałyby mu przewagę. Ale zabić i tak musiałby w ciemnościach. Mając przeciwko sobie trzech mężczyzn, w domu, którego nie znał.

Czekał więc, siedząc w wynajętym mercedesie zaparkowanym w ślepej uliczce kilometr od budynku. W ciemności sprawdził broń – dwa pistolety maszynowe Walther MPK, dziewięćmilimetrowe, z trzydziestostrzałowym magazynkiem. Potem odpoczywał trochę, wracając pamięcią do niefortunnych wydarzeń w Pescarze, kiedy to Ettore Caputo, właściciel Servizio Ambulanza Pescara, a także jego żona odmówili podania mu informacji na temat karetki Iveco, która wyjechała ze szpitala Świętej Cecylii w czwartek w nocy, udając się w nieznanym kierunku.

Upór był naprawdę nieprzyjemną cechą tych ludzi. Nie chcieli nic powiedzieć, a Thomas Kind zdecydowany był nie wychodzić od nich, nie uzyskawszy odpowiedzi na dwa proste pytania: kto pojechał tą furgonetką i dokąd.

Dopiero kiedy przyłożył pani Caputo do głowy

dwustrzałowego derringera, czterdziestkęczwórke magnum, jej mąż zrobił się bardziej rozmowny. Nie miał pojęcia, kim był chory i pozostali pasażerowie. Kierowca nazywał się Luca Fanari; był byłym karabinierem i miał licencję na prowadzenie karetek. Pracował dla niego czasami. Luca wynajął karetkę na początku tygodnia na czas nieokreślony. Dokąd pojechał, Caputo nie wiedział.

Thomas Kind przycisnął pistolet nieco mocniej do czoła pani Caputo i zapytał ponownie.

– Na miłość boską, zadzwoń do jego żony! – krzyknęła do męża signora.

Półtorej minuty później Caputo odłożył słuchawkę. Żona Fanariego dała mu adres i telefon, pod którym można się było kontaktować z Lucą, przestrzegając jednocześnie, żeby pod żadnym pozorem nikomu więcej ich nie ujawniał.

Luca Fanari, oznajmił Caputo, pojechał z pacjentem na północ. Do prywatnego domu pod Cortoną.

Na niebie pojawiły się pierwsze smugi dziennego światła.

Thomas Kind przeskoczył mur i zbliżał się do budynku od tyłu. Miał na sobie stalowoszare dzinsy, ciemny sweter, czarne tenisówki i gładkie dopasowane rękawiczki. Jednego walthera trzymał w ręce, drugi wisiał mu na ranieniu. Na oba założył tłumiki. Wyglądał jak komandos.

Zobaczył beżową karetkę, stojącą w pobliżu bocznego wejścia do domu. Dziesięć minut później skończył

przeszukiwać budynek. Był pusty.

Rzym; 7.00

Godzinę wcześniej Harry obejrzał w amerykańskim wydaniu WNN informację o Byronie Willisie – zdjęcie z branżowego czasopisma, ujęcia budynku firmy i domu Byrona w Bel Air. Jego przyjaciel, szef i mentor został zastrzelony, kiedy wrócił do domu w czwartek wieczorem. Ze względu na związek Byrona z Harrym i wypadki, które rozegrały się równoległe we Włoszech, policja ujawniła tę informację dopiero teraz, zasłaniając się dobrem śledztwa. Do sprawy włączyło się FBI, a po południu spodziewane było przybycie do Los Angeles dochodzeniowców z Gruppo Cardinale.

Oszołomiony i przerażony Harry, nie bacząc na ryzyko, zatelefonował do biura Adrianny, zostawiając jej informację, żeby natychmiast zadzwoniła do Elmera Vaska. I zadzwoniła, godzinę później, z Aten. Wróciła właśnie z Cypru, skąd nadawała relację na temat poważnego kryzysu grecko-cyprijskiego. Sama też dopiero co usłyszała o Willisie i próbowała dowiedzieć się czegoś więcej, zanim skontaktowała się z Harrym.

– Czy oni to jakoś wiążą z moją sprawą, z tym całym pieprzonym bajzlem we Włoszech? – Harry’ego przepętniała wściekłość i gorycz, z trudem powstrzymywał łzy.

- Jeszcze tego nie wiedzą. Ale...
- Co ale, mówże na Boga!
- Z tego, co wiem, wyglądało to na robotę zawodowca.
- Boże, ale dlaczego? – wyszeptał. – Przecież Byron o niczym nie wiedział...

Zebrał się w sobie, odganiając kłębiące się w nim mroczne emocje, i zapytał ją, jak przedstawia się sytuacja, jeśli chodzi o poszukiwania jego brata. Adrianna odpowiedziała, że nic się nie zmieniło, policja nie ma żadnych nowych tropów.

Nie dzwoniła, bo nie miała nic do przekazania.

Harry czuł, że świat wokół niego rozpada się, pogrążony w przemocy. Chciał zatelefonować do Barbary Willis, żony Byrona. Porozmawiać z nią, spróbować jakoś pocieszyć, podzielić z nią straszny ból. Chciał zatelefonować do współników Willisa, Billa Rosenfelda i Penna Barry'ego, żeby zapytać, co się, u diabła, właściwie stało. Ale nie mógł. Ani telefon, ani faks, ani nawet e-mail nie wchodziły w grę, bo mogły naprowadzić policję na niego. Nie mógł też jednak siedzieć beczynn timer; jeżeli Danny żył, było jedynie kwestią czasu, kiedy go dopadną i załatwią tak, jak Byrona. Natychmiast przypomniał mu się kardynał Marsciano, jego zachowanie się w domu pogrzebowym i rada, żeby Harry pogrzebał zwłoki jako należące do brata. A także ostrzeżenie, żeby nie drażył sprawy. Kardynał wyraźnie wiedział więcej, niż chciał powiedzieć. Jeśli ktokolwiek mógł wiedzieć, gdzie się ukrywa Danny, to chyba właśnie on.

– Adrianno, słuchaj – powiedział zdecydowanym głosem do słuchawki. – Muszę mieć domowy numer do kardynała Marsciana. Nie do centrali, tylko bezpośrednio na jego biurko.

– Nie wiem, czy mi się uda go zdobyć.

– Postaraj się.

W dalszym ciągu niedziela, 12 lipca

Via Carissimi była ulicą stylowych rezydencji i kamienic, zamkniętą z jednej strony ogrodami Villa Borghese, a z drugiej elegancką, zadrzewioną aleją Via Pinciana.

Harry obserwował czteropiętrowy, porośnięty bluszczem dom pod numerem czterdzieści sześć. Był tu od wpół do dziesiątej. Dwa razy starał się połączyć z prywatnym numerem kardynała Marsciana. Dwa razy włączyła się automatyczna sekretarka. I dwa razy natychmiast się rozłączył.

Albo kardynała rzeczywiście nie było w domu, albo badał, kto telefonuje. Obie ewentualności były niekorzystne. Harry nie mógł nagrać wiadomości; nie chciał też pozostawać na linii zbyt długo, żeby nie zdążyli go namierzyć. Musiał więc cierpliwie czekać, przynajmniej na razie. Później spróbuje jeszcze raz, może w końcu kardynał jednak odbierze osobiście.

W południe zatelefonował znowu, z tym samym rezultatem. Zdenerwowany pospacerował w stronę Villa Borghese.

O trzynastej usiadł na ławce w jej ogrodach, skąd widać było rezydencję kardynała.

Kwadrans po drugiej podjechał wreszcie pod dom szary

mercedes. Kierowca wysiadł i otworzył tylne drzwiczki. Po chwili z auta wysiadł Marsciano, a za nim ksiądz Bardoni.

Obaj duchowni weszli do budynku, kierowca zaś wsiadł do mercedesa i odjechał.

Harry spojrzął na zegarek, zaczekał, aż przejdzie jakaś para i wcisnął „redial”.

– Pronto, halo – rozległ się mocny głos kardynała.

– Dzień dobry, Eminencjo. Moje nazwisko Roe, jestem księdzem, pracuję na Georgetown University w Wa...

– Skąd pan ma ten numer?

– Chciałbym porozmawiać z Eminencją o pewnym problemie medycznym...

– Co takiego?

– O trzeciej piersi. Zwanej dodatkowym sutkiem.

Nastąpiła nagła przerwa, a potem w słuchawce pojawił się inny głos.

– Mówi ksiądz Bardoni. Jestem asystentem kardynała. Czym mogę panu służyć?

– Monsinior Grayson z wydziału prawa w Georgetown był tak uprzejmy i dał mi domowy numer Jego Eminencji.

Powiedział, że gdybym potrzebował jakiejś pomocy, Jego Eminencja chętnie mi jej udzieli.

Harry czekał na ławce, aż ksiądz Bardoni wyjdzie z domu i skieruje się w stronę ogrodów. Wówczas wstał i przeszedł wolnym krokiem ku dużej fontannie, którą otaczał tłumek turystów, szukających daremnie ochłody przed lipcowym skwarem i duchotą. Był jednym z nich,

brodatym księdzem, którego zmęczył upał.

Obejrzawszy się, zobaczył młodego, wysokiego kapłana o ciemnych kręconych włosach, wchodzącego właśnie do parku. Szedł wolnym krokiem, jakby się wybrał na przechadzkę. Harry zauważył jednak, że szuka go wzrokiem w tłumie przy fontannie. Bardoni zachowywał się jak człowiek, który nie chce, żeby zwrócono nań uwagę, jak ktoś w sytuacji przymusowej i krępującej. Ale przyszedł i to wystarczyło, żeby Harry zrozumiał, iż miał rację. Danny żyje. A Marsciano wie, gdzie jest.

Harry stał, osłonięty częściowo przez dzieci pluskające się w fontannie, pozwalając, żeby Bardoni sam go znalazł w tłumie. W końcu znalazł.

– Zmienił się pan... – Duchowny stanął przy nim, patrzył jednak na dzieci, rozkrzyczane i chlapiące się wodą.

Istotnie, Harry był teraz chudszy, a broda, sutanna i czarny beret zsunięty na czoło dobrze go maskowały.

– Chcę się zobaczyć z kardynałem.

Rozmawiali półgłosem, przyglądając się dzieciom, uśmiechając raz po raz, podziwiając widoki.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Dlaczego?

– Po prostu... Jego Eminencja ma bardzo wiele zajęć.

Harry spojrział wprost na Bardonięgo.

– Bzdury ksiądz opowiada – rzucił ostro.

Wzrok jego rozmówcy powędrował gdzieś ponad ramieniem Harry'ego.

– Na pagórku za panem, panie Addison, jest kilku karabinierów na koniach – powiedział. – Trochę bliżej na prawo jeszcze dwóch na motocyklach. – Spojrzął mu teraz w twarz. – A pan jest jednym z dwóch najbardziej poszukiwanych ludzi we Włoszech. Wystarczy, że podejść w ich stronę i pomacham ręką... To chyba jasne?

– Proszę księdza, ja wiem, że mój brat żyje. A kardynał

Marsciano wie, gdzie on jest. Więc albo sam mnie do niego zaprowadzi, albo niech ksiądz zawoła tych policjantów.

Poprosimy ich, żeby przekonali kardynała...

Bardoni przyjrzał się Harry'emu badawczo, lecz po chwili jego wzrok przyciągnął mężczyzna w niebieskiej koszuli, obserwujący ich z drugiej strony fontanny.

– Może się trochę przejdziemy – powiedział.

Harry zauważył go, kiedy ruszyli wolnym krokiem i oddalili się od tłumu, przecinając trawnik i wkraczając na wyłożoną płytami ścieżkę. Szedł w pewnej odległości za nimi.

– Kto to jest? – zapytał z naciskiem. – Ten w niebieskiej koszuli?

Bardoni zdjął okulary, przetarł je rękawem i nałożył z powrotem. Bez nich wyglądał na silniejszego fizycznie i mniej przypominał duchownego. Harry'emu przyszło do głowy, że może te okulary to tylko kamuflaż, żeby sprawiać wrażenie słabszego, niż się jest w istocie, że być może ten kapłan pełni raczej funkcję ochroniarza kardynała, a nie jego asystenta. W każdym razie jest człowiekiem o wiele bardziej zaangażowanym w bieg wypadków, niż się pozornie wydaje.

– Panie Addison... – Bardoni obejrzał się przez ramię.

Mężczyzna w niebieskiej koszuli wciąż szedł za nimi. Ksiądz zatrzymał się nagle, celowo pozwalając, by ich dogonił. – To człowiek Farela – rzekł cicho.

Tamten zrównał się z nimi i skłonił lekko.

– Buon giorno.

– Buon giorno – odpowiedział Bardoni. Patrzył, jak tamten się oddala, a potem zwrócił się do Harry’ego. – Pan nie ma pojęcia, w co się pan pakuje, panie Addison.

– To proszę mi powiedzieć.

Ksiądz jeszcze raz spojrzął za agentem Farela, który szedł ścieżką, nie zatrzymując się. Oddalił się już znacznie.

– Porozmawiam z kardynałem, panie Addison – w głosie Bardoniego pojawił się nieco przychylniejszy ton. – Przekażę mu, że prosi pan o spotkanie.

– To więcej niż prośba, proszę księdza.

Bardoni zawahał się, jakby próbował oszacować stopień determinacji Harry’ego, po czym włożył z powrotem okulary.

– Gdzie pan się zatrzymał? – zapytał. – Jak się z panem skontaktować?

– Nie mogę powiedzieć, proszę księdza. To raczej ja się z wami skontaktuję.

Na końcu alejki mężczyzna w niebieskiej koszuli przystanął i obejrzał się. Ujrzał, jak obaj księża żegnają się uściskiem dłoni i ojciec Bardoni odchodzi tą samą drogą, którą przyszedł. Drugi z księży, ten w czarnym berecie, patrzył za nim przez chwilę, a potem także się oddalił jedną ze ścieżek.

Castelletti wyjął papierosa z leżącej na stole paczki i już chciał go zapalić, gdy poczuł na sobie spojrzenie Roscaniego.

– Mam wyjść? – zapytał.

– Nie musisz. – Roscani odgryzł szybko kawałek marchewki. – No, skończ, co mówiłeś – zwrócił się do Scali, przyglądając się tablicy informacyjnej na przeciwległej ścianie.

Siedzieli w pokoju Roscaniego, bez marynarek, z podwiniętymi rękawami. Obaj detektywi relacjonowali, co udało im się dowiedzieć.

Castelletti dzięki numerowi fabrycznemu kasety z Addisonem dotarł do sklepu przy Via Frattina, w którym ją kupiono – ledwie pięć minut piechotą od hotelu Hassler, w którym mieszkał Amerykanin.

Scala próbował ustalić miejsce, w którym założono Addisonowi opatrunek na głowę. W promieniu mniej więcej ośmiuset metrów od miejsca zamordowania Pia znajdowało się dwadzieścia siedem gabinetów lekarskich i trzy kliniki.

Nigdzie nie udzielano pomocy mężczyźnie odpowiadającemu rysopisowi poszukiwanego.

Polecenie Roscaniego w sprawie komputerowego odtworzenia wzoru tapety widocznej za Addisonem też nie przyniosło rezultatu. Po prostu nie dało się tego zrobić

z powodu zbyt słabej ostrości obrazu. Tym samym nie można było ustalić producenta tapety.

Rosciani słuchał tego wszystkiego, pogryzając marchewkę i usiłując ignorować dym z papierosa Castelletiego. Zrobili, co się dało, i nic z tego nie wyszło. Tak bywa w tej robocie.

Dużo bardziej obiecujące wydawało się to, co wisiało na tablicy. Karty z nazwiskami dwudziestu trzech z dwudziestu czterech ofiar eksplozji autobusu, a obok każdej karty zdjęcie, stare lub nowe, dostarczone najczęściej przez rodzinę.

Wszyscy trzej przyglądali się już tym zdjęciom po wielekroć. Mieli je przed oczami, zasypiając, goląc się rano i jadąc samochodem do pracy. Jeśli ojciec Daniel żył, z którą z tych osób zamienił się danymi personalnymi?

Z ósemki, która przeżyła, i szesnastu zabitych, zidentyfikowano wszystkich, z wyjątkiem jednej osoby – tej, której szczątki uważano początkowo za ciało księdza. Potwierdzono tożsamość nawet najbardziej zwęglonych zwłok, za pomocą analizy uzębienia i zapisów w kartach chorobowych.

Ofiara numer dwadzieścia cztery, bez karty, nazwiska i zdjęcia – to były właśnie zwęglone szczątki w skrzyni, którą kazał otworzyć Harry Addison. Do tej pory nie zidentyfikowane. Badania nie wykazały żadnych znaków szczególnych; również analiza tego, co pozostało z zębów ofiary, nic nie dała, bo nie było ich z czym porównać. Niczego nie znaleziono także w aktach osób zaginionych.

A jednak ktoś taki musiał przecież zaginać. Mężczyzna w typie kaukaskim, około czterdziestki, około metra osiemdziesięciu wzrostu i około...

Rosciani spojrział nagle na obu detektywów.

– A jeżeli w tym autobusie było dwadzieścia pięć osób, a nie dwadzieścia cztery? – zapytał. – W tym całym zamieszaniu mogliśmy się przecież kogoś nie doliczyć. Żywych i zabitych przewieziono do dwóch różnych szpitali.

Wezwano dodatkowych lekarzy i pielęgniarki. Karetki jeździły jak zwariowane. Niektórzy byli straszliwie poparzeni, inni bez rąk i nóg. Wszędzie nosze z ofiarami, personel szpitalny biega, wszyscy coś krzyczą. Usiłujemy ratować rannych i jednocześnie utrzymać jaki taki porządek. Do tego izby przyjęć prowadziły swoją normalną działalność.

Kto miał te ofiary dokładnie liczyć, skoro brakowało ludzi do udzielania im pomocy? No, a potem? Prawie przez cały dzień rozmowy z ekipami ratowniczymi, sprawdzanie zapisów szpitalnych, próby ustalenia, ile sprzedano biletów na ten kurs. A nazajutrz sprawdzanie tożsamości tych, których znaleziono. W efekcie wszyscy, łącznie z nami, automatycznie już przyjmowali, że było dwudziestu czterech pasażerów.

Można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że jedną osobę przegapiliśmy. Kogoś, kto był na tyle sprawny, że po prostu w samym środku tego bajzlu poszedł sobie nie wiadomo dokąd. Albo nawet ktoś mu

pomógł wynieść się stamtąd w cholerę.

– A niech to szlag! – Roscani rąbnął pięścią w stół.

Przez cały czas badali to, do czego mieli dostęp, a nie to, czego brakowało. Teraz należało jeszcze raz sprawdzić szpitale, wszystkie wpisy z tego dnia. Porozmawiać z każdym, kto wtedy miał dyżur. Ustalić, co się mogło stać z tą jedną ofiarą. Dokąd się mogła udać albo gdzie ją zawieziono.

Czterdzieści minut później Roscani jechał autostradą na północ, w kierunku Fiano Romano, gdzie znajdował się jeden ze szpitali. Czuł się jak zongler, który wyrzucił w powietrze zbyt wiele piłeczek, jak ktoś, kto chciał ułożyć puzzle, ale zbiła go z tropu liczba kawałków układanki. W głowie mu się kręciło od tego wszystkiego; usiłował więc choć przez chwilę nie myśleć, pozwolić zadziałać podświadomości. Wsłuchać się w dźwiękowe tło tworzone przez szum opon na asfalcie i odnaleźć swój absoluta tranquillita, spokój absolutny.

Zachodzące słońce świeciło ostro, opuścił więc zasłonę przeciwsłoneczną. Boże, ależ mu się chciało palić – a w schowku miał jeszcze paczkę papierosów. Już miał po nie sięgnąć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Zamiast tego otworzył papierową torbę leżącą na fotelu obok, ale nie wyciągnął z niej jednego z marchewkowych patyczków, nakrojonych przez żonę, lecz biscotto, których paczkę kupił sobie sam.

Właśnie miał go ugryźć, kiedy nagle kółko w jego głowie się zamknęło.

Nie mówił jeszcze innym o swoim podejrzeniu, że być może hiszpański pistolet znaleziony na miejscu eksplozji nie należał do ojca Daniela, lecz do kogoś, kto miał go zabić.

Dlaczego? Dlatego, że nie miał na to żadnych dowodów, a bez tego zajmowanie się tym pomysłem oznaczało stratę energii i czasu. Jeśliby jednak połączyć to z koncepcją dwudziestego piątego pasażera, to wszystko pasowało. Ten ktoś mógł wsiąść w ostatniej chwili i kierowca nie zdążył już wykazać jego biletu w puli sprzedanych. Gdyby tak było i gdyby to jego ciało pokazano Addisonowi, tłumaczyłoby to, dlaczego nikt się nie zgłosił, żeby go zidentyfikować.

Wciąż jednak, przekonywał sam siebie, poruszał się w kręgu przypuszczeń. Z drugiej strony było to bardzo silne przeczucie, domysł, który podpowiadało mu wieloletnie doświadczenie w tej robocie. Musiał być jeszcze jeden pasażer. I wsiadł on do autobusu po to, żeby zabić ojca Daniela.

A skoro istniał zabójca – Roscani podniósł wzrok na horyzont – to kto wysadził w powietrze autobus? I dlaczego?

Xi'an, Chiny. Poniedziałek, 13 lipca; 14.30

Li Wen zapalił papierosa i odsunął się, jak mógł najdalej, od otyłego pasażera, śpiącego na siedzeniu obok niego. Za kwadrans pociąg będzie w Xi'an. Wtedy Li wysiądzie, a tłuscioch będzie mógł zająć dwa miejsca. Li Wen podróżował już na tej samej trasie w maju, a potem w czerwcu. Wtedy jednak zaszalał i pojechał sobie luksusowo, ekspresem Marco Polo, zielono-kremowym pociągiem podążającym trasą dawnego Jedwabnego Szlaku i pokonującym dystans ponad trzech tysięcy kilometrów pomiędzy Pekinem a Uru-mqui, stolicą prowincji Xinjiang Uygur. Było to pierwsze wielkie połączenie między wschodem i zachodem kraju i Chińczycy mieli nadzieję, że pociąg przyciągnie bogatych podróżników, takich, jacy jeździli legendarnym Orient Expressem z Paryża do Istambułu.

Dziś jednak Li jechał na twardych ławkach drugiej klasy, pociągiem, który miał już cztery godziny opóźnienia. Nienawidził tłoku w pociągach. Nienawidził głośnej muzyki, prognoz pogody i niby-wiadomości, nadawanych w kółko przez głośniki w przedziałach. Grubas obok niego przesunął się i wbił mu łokieć w żebra. Jednocześnie siedząca naprzeciw kobieta w średnim wieku czknęła i splunęła na podłogę, usiłując wcelować

między buty stojącego obok mężczyzny.

Odepchnąwszy łokieć grubasa, Li zaciągnął się mocno papierosem. W Xi'an miał się przesiąść do pociągu, być może mniej zatłoczonego, którym dotrze do Hefei, a potem uda się do pokoju hotelowego, gdzie spróbuje się parę godzin przespać. Tak samo było w maju, a potem w czerwcu. I tak samo będzie w sierpniu. Był to okres, kiedy wysokie temperatury powodowały mnożenie się wodorostów w jeziorach i rzekach, z których czerpały wodę pitną miejscowości położone w tym regionie Chin. Li Wen, były profesor w Instytucie Hydrobiologii w Wuhan, był teraz urzędnikiem państwowym średniego szczebla, specjalistą od sprawdzania jakości wody. Jego praca polegała na kontrolowaniu zawartości bakterii w wodzie przeznaczonej do spożycia, opuszczającej stacje uzdatniania.

Dziś czekała go ta sama robota, co zawsze. Zacznie o piątej rano i spędzi cały dzień na inspekcji stacji i badaniu wody, potem odnotuje to wszystko w raporcie dla Komitetu Centralnego i przeniesie się do następnej stacji. Było to życie szare, nudne i nic się w nim nie zmieniało. Przynajmniej aż do teraz.

Jeziro Como, Włochy.  
Niedziela, 12 lipca; 20.40

Wycie silnika przeszło w basowy pomruk. Siostra Elena Voso poczuła, że wodolot zwalnia i jego kadłub osiada na wodzie. Płynęli w kierunku dużej willi z szarego kamienia, stojącej na brzegu jeziora. Mimo zmierzchu dostrzegła na pomoście mężczyznę ze zwojem liny w ręce.

Marco wyszedł ze sterówki na pokład. Luca i Pietro zaczęli odpinać pasy, przytrzymujące nosze podczas drogi. Wodolot był spory, mógł zmieścić pewnie z sześćdziesięciu pasażerów i na co dzień obsługiwał połączenie między miastami, położonymi na krańcach długiego na pięćdziesiąt kilometrów jeziora. Teraz jednak jedynymi pasażerami byli oni – Elena, Marco, Luca i Pietro. I Michael Roark.

Dom pod Cortoną opuścili poprzedniego dnia, zaraz po dwunastej w południe. W pośpiechu, zostawiając niemal wszystko poza wyposażeniem medycznym. Przedtem Elena odebrała telefon do Luki. Powiedziała, że śpi, ale dzwoniący nalegał, żeby go obudzić, bo sprawa jest pilna, i Luca odebrał u siebie na górze.

– Uciekajcie natychmiast – usłyszała, gdy wróciła do kuchni, żeby odłożyć słuchawkę. Chciała słuchać dalej,

ale Luca się zorientował i kazał jej się wyłączyć.

Pietro zaraz pojechał gdzieś samochodem i wrócił za trzy kwadranse jakąś furgonetką. Po niecałej godzinie wsiedli do niej wszyscy i odjechali, zostawiając beżową karetkę Iveco pod domem.

Silnik zaryczał na wstecznym biegu, a po chwili wyrwało Elenę z zadumy lekkie uderzenie statku o pomost. Marco rzucił linę cumowniczą mężczyźnie na pomoście, a Luca i Pietro dźwignęli nosze i ponieśli je do schodków. Po drodze Michael Roark podniósł głowę i spojrzał na nią, chyba przede wszystkim dlatego, pomyślała, że chciał się upewnić, czy ona też wysiada. Czy jest bezpieczny. Chociaż już trochę wydobrzał, mógł się porozumiewać tylko chrapliwymi, gardłowymi dźwiękami i był jeszcze bardzo osłabiony. Uświadomiła sobie, że jest dla niego nie tylko opiekunką, lecz także czymś w rodzaju emocjonalnej kotwicy. Była to delikatna zależność i przy całym pielęgniarskim doświadczeniu Eleny budziła w niej uczucia dotąd nieznanne. Zastanawiała się, co to może oznaczać; czy się jakoś zmieniła. Zastanawiała się również i pytała samą siebie, czy miałoby dla niej znaczenie, gdyby jej pacjent rzeczywiście okazał się poszukiwanym księdzem.

Po chwili mężczyźni z noszami byli już na pomoście i Marco poprowadził ich na brzeg. Elena także wysiadła.

Rozległ się znowu ryk nabierających mocy silników, a gdy się obejrzała, zobaczyła stateczek odpływający w zapadający mrok, z zapalonymi na rufie światłami i

powiewającą ponad sterówką włoską banderą. Wodolot nabrał szybkości i jego kadłub uniósł się nad wodę, wyglądając na wspornikach jak jakiś wielki, niezgrabny ptak. A potem zniknął, pozostawiając za sobą spienioną smugę czarnej wody. Jak gdyby nigdy nie istniał.

– Siostró Eleno! – zawołał Marco i zakonnica podążyła za mężczyznami po kamiennych stopniach prowadzących ku oświetlonym oknom olbrzymiej willi.

Rzym; w tym samym czasie

Harry stał w małej kuchni Eatona, wpatrując się w leżący na blacie telefon komórkowy. Obok leżał nadjedzony bochenek chleba i kawałek sera, kupione w jednym z nielicznych otwartych w niedzielę sklepów. Marsciano powinien już wiedzieć, co zaszło między nim i księdzem Bardoniem w parku. I pewnie zdecydował do tej pory, co zrobi, kiedy Harry zatelefonuje.

Jeżeli zatelefonuje.

„Nie ma pan pojęcia, w co się pan pakuje, panie Addison” – przypomniało mu się przyprawiające o dreszcze ostrzeżenie Bardonięgo.

Mężczyzna w niebieskiej koszuli był jednym z tajniaków Farela. Obserwował Bardonięgo, a nie Harry’ego. Eaton był przekonany, że na samych szczytach Stolicy Apostolskiej rozgrywa się jakaś mroczna intryga. Może to właśnie miał na myśli Bardoni, ostrzegając go, że wtrącanie się do tych spraw będzie nie tylko niemile widziane, lecz po prostu niebezpieczne. Sugerując, że może wzniecić pożar, który pochłonie ich wszystkich.

Harry odwrócił wzrok od telefonu. Nie wiedział, jak postąpić. Przypierając Marsciana do muru, mógł jeszcze pogorszyć sytuację. Ale czyją? Kardynała? Ludzi Farela?

Innych osób? Jakich?

Sam nie wiedząc dlaczego, wziął do ręki nóż, służący mu do krojenia chleba i sera. Był to zwyczajny kuchenny nóż, jak większość z nich nieco stępiony. Nie był nadzwyczajny, ale spełniał swoją funkcję. Harry podniósł go i przekręcił w dłoni; ostrze zaśniło w świetle lampy. A potem lekkim ruchem wbił go głęboko w reszkę chleba. Bezpieczeństwo i dobro Danny'ego liczyło się przede wszystkim. Całą resztę – Watykan z jego rozgrywkami i walką o wpływy – niech piekło pochłonie.

Szpital Świętego Jana.  
Via de Wamba Aradam; 21.50

Harry siedział na kościelnej ławce w niewielkiej kaplicy, w trzecim rzędzie od ołtarza. Był sam; czarny beret schował do kieszeni, głowę pochylił, jakby był zatopiony w modlitwie.

Po kwadransie otworzyły się drzwi, wszedł jakiś mężczyzna w brązowych spodniach i koszuli z krótkimi rękawami i usiadł w pobliżu.

Harry spojrział na zegarek i znów na drzwi. Kardynał Marsciano miał się z nim tutaj spotkać dwadzieścia minut temu. Postanowił więc dać mu jeszcze pięć minut, a potem wyjść. Tymczasem przyjrzał się uważniej przybyszowi. I ze zdumieniem skonstatował, że to właśnie Marsciano.

Kardynał przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo.

Z opuszczoną głową, w milczeniu. Wreszcie podniósł wzrok, spojrział na Harry'ego i wskazał głową drzwi po lewej.

Następnie wstał, przeżegnał się przed ołtarzem i wyszedł tymi drzwiami. W tej samej chwili do kaplicy weszła para młodych ludzi; przyklękli przed ołtarzem i przeżegnali się, po czym usiedli razem w pierwszym rzędzie.

Harry policzył powoli do dwudziestu, wstał i przeżegnał się, wyszedł tymi samymi drzwiami, co kardynał.

Po drugiej stronie był wąski korytarzyk. Stał w nim Marsciano.

– Proszę iść za mną – powiedział.

Poprowadził Harry'ego pustym korytarzem, w którym ich kroki rozbrzmiewały echem na posadzce z czarno-białych kafelków, do starszej części budynku. Skręciwszy w inny korytarz, otworzył jakieś drzwi i weszli do małego pomieszczenia, które okazało się kolejnym pokojem do modlitwy. Skąpo oświetlone i przytulniejsze od poprzedniego, miało kamienną podłogę i kilka drewnianych ławek naprzeciw prostego brązowego krzyża na ścianie. W oknach, położonych wysoko pod sufitem, widać było tylko czerń nocnego nieba.

– Chciał się pan ze mną widzieć, panie Addison. Więc jestem. – Marsciano zamknął drzwi i stanął pod światło w taki sposób, że jego oczy pozostawały ukryte w cieniu.

Czy zrobił to celowo, czy nie, przydawało mu to autorytetu, przypominając Harry'emu, że niezależnie od okoliczności ma przed sobą jedną z najpotężniejszych osób w hierarchii Kościoła. Człowieka o autentycznej władzy.

Nie zamierzał jednak dopuścić, żeby go to onieśmieliło.

– Mój brat żyje, a Wasza Eminencja wie, gdzie on jest – wypalił.

Marsciano milczał.

– Przed kim go Wasza Eminencja ukrywa? Przed policją? Farelem?

Harry nie widział oczu kardynała, lecz czuł na sobie jego wzrok.

– Czy pan kocha brata, panie Addison? – zapytał w końcu Marsciano.

– Oczywiście...

– Czy pan kocha swojego brata? – powtórzył duchowny, tym razem podkreślając z rozmysłem każde słowo, tonem stanowczym i zawziętym. – Byliście sobie obcy. Nie mieliście ze sobą kontaktu od lat.

– Ale nie przestał być przez to moim bratem.

– Wielu ludzi ma braci.

– Nie rozumiem.

– Żyliście tak długo z dala od siebie. Dlaczego nagle teraz stał się dla pana taki ważny?

– Nie wiem dlaczego, ale tak jest.

– To czemu ryzykuje pan jego życie?

W oczach Harry'ego pojawił się płomień gniewu.

– Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie on jest.

– A zastanawiał się pan, co wtedy zrobi? – Marsciano odpowiedział pytaniem na pytanie. – Zostanie pan tam z nim? Będzie się pan ukrywał w nieskończoność? Prędzej czy później zrozumie pan, że trzeba będzie stawić czoło rzeczywistości. Czyli policji. A kiedy pan to zrobi, panie Addison, kiedy tylko się pan ujawni, obaj zginiecie. Pański brat z powodu tego, co wie. A pan dlatego, że będą

myśleli, iż panu powiedział.

– A co on takiego wie?

Marsciano milczał przez dłuższą chwilę. Potem zrobił krok w stronę Harry'ego. Jego twarz wychynęła z cienia i Harry zobaczył po raz pierwszy oczy kardynała. Nie było to już oblicze watykańskiego arystokraty, lecz samotnego człowieka, przepełnionego targającym go lękiem. Harry nie przypuszczał nawet, że kardynał może się aż tak bać. Zaskoczyło go to zupełnie.

– Już raz próbowali go zamordować. Teraz próbują znowu. Wysłali człowieka, który ma go wytropić i zabić.

– Kardynał wpatrywał się weń z napięciem. – Via di Montoro czterdzieści siedem, panie Addison. Niech pan nie sądzi, że wrócił pan do swojej kryjówki nie zauważony. Niech pan nie sądzi, że to przebranie księdza będzie pana maskowało nie wiadomo jak długo. Ostrzegam pana z całą mocą, niech pan się trzyma od tego z daleka! Jeżeli pan nie posłucha...

– Gdzie on jest? Co on takiego wie?

– ...jeżeli pan nie posłucha ja sam im powiem, gdzie jest ojciec Daniel. A wtedy nikt z nas już nigdy go nie zobaczy. – Marsciano zniżył głos do szeptu. – Stawka jest naprawdę wielka...

– Kościół – powiedział Harry, nie oczekując potwierdzenia. Już samo to słowo miało w sobie jakąś lodowatą moc.

Kardynał Marsciano rzucił mu ostatnie, krótkie spojrzenie i odwróciwszy się, nagłym ruchem otworzył

drzwi. Po chwili zniknął w korytarzu, a odgłos jego kroków rozplynął się w ciszę.

Trzy godziny później.  
Poniedziałek, 13 lipca; 1.20

Rosciani odebrał telefon nago; zawsze tak spał podczas upałów. Spojrzał na śpiącą żonę, kazał rozmówcy poczekać i włożył lekki szlafrok. W chwilę później podniósł słuchawkę w swoim gabinecie, włączając jednocześnie światło.

W Pescarze zamordowano małżeństwo w średnim wieku, właścicieli firmy wynajmującej ambulansy sanitarne. Znalezione ich w szopie na tyłach budynku firmy. Nie żyli już od trzydziestu sześciu godzin; dopiero po takim czasie zwłoki odkryła zaniepokojona rodzina. Miejscowi policjanci uznali najpierw, że to zabójstwo z samobójstwem, ale po przesłuchaniu rodziny i znajomych zmienili zdanie. Przyszło im do głowy, że sprawa może mieć jakiś związek z prowadzonymi w całym kraju poszukiwaniami, zawiadomili więc biuro Gruppo Cardinale w Rzymie.

Pescara; 4.30

Rosciani oglądał miejsce zbrodni, baraczek magazynowy na tyłach Servizio Ambulanza Pescara. Ettore Caputo i jego żona byli małżeństwem od trzydziestu dwóch lat i mieli sześcioro dzieci. Jak wynikało z rozpoznania miejscowej policji, kłócili się bez

przerwy i o wszystko. Ich potyczki miały gwałtowny i głośny charakter. Ale nikt nigdy nie widział, żeby dochodziło między nimi do rękoczynów. A Ettore Caputo na pewno nie miał broni.

Signora Caputo zginęła pierwsza, od jednego strzału. Wyglądało na to, że jej mąż zwrócił następnie broń przeciwko sobie, ponieważ na pistolecie były jego odciski palców. Narzędziem zbrodni był dwustrzałowy derringer, czterdziestkaczwórka magnum. Mały, ale skuteczny. Pistolet, o którym poza znawcami i miłośnikami broni palnej słyszało niewielu ludzi.

Rosciani pokręcił głową. Dlaczego akurat derringer? Dwa strzały nie dawały możliwości poprawki w razie pudła.

Jedynym pozytywem tej broni był jej rozmiar, dzięki czemu łatwo ją było ukryć. Rosciani skinął na specjalistkę z ekipy technicznej i kobieta podeszła, by schować pistolet do foliowej torebki na dowody rzeczowe. Inspektor wyszedł z magazynu i skierował się do biura firmy, mieszczącego się od frontu. Po przeciwnej stronie ulicy, za policyjnymi barierkami, stali już w szarym świetle poranka pierwsi gapie.

Wrócił myślami do poprzedniego dnia i do rezultatów rajdu całej trójki detektywów po szpitalach w okolicach Rzymu. Nie przyniosło to żadnych konkretów, chociaż ciągle istniało prawdopodobieństwo tego, że mają rację. W autobusie mógł jechać dwudziesty piąty, nie zarejestrowany pasażer.

Ktoś, kto w całym zamieszaniu po prostu odszedł z miejsca eksplozji albo został zabrany samochodem, albo – wchodząc do biura Roscani rzucił okiem na reklamowy kalendarz firmy, wiszący na ścianie – prywatną karetką.

Castelletti i Scala już na niego czekali. Kiedy stanął w drzwiach, natychmiast obaj zgasili papierosy.

– Znowu odciski palców – powiedział inspektor rozmyślnie, rozwiewając ręką wiszący w powietrzu dym. – Na karabinie snajperskim były odciski Hiszpana. Na pistolecie, którym zabito Pia, odciski Harry’ego Addisona. Teraz znów mamy na narzędziu zbrodni bardzo wyraźne odciski człowieka, który nigdy nie miał broni, a mimo to popełnił morderstwo, a potem samobójstwo. Za każdym razem wiedzieliśmy od razu, kto strzelał. Ale w wypadku kardynała Parmy wiemy, że to się nie zgadzało. Więc co z pozostałymi?

A jeżeli jest jeszcze ktoś trzeci, zabójca zostawiający na broni odciski osób, na które chce skierować podejrzenie?

Ten sam we wszystkich wypadkach. Ten sam „on” albo ta sama „ona”, albo nawet ci sami „oni”. Zabił kardynała, potem Pia, a teraz jeszcze tych tutaj...

– Ksiądz? – wtrącił Castelletti.

– On albo zupełnie ktoś inny, jak mówię... ktoś trzeci. – Roscani nieznacznym ruchem wyjął z paczki listek gumy do żucia i włożył do ust. – A może ksiądz był w tak kiepskim stanie, że zawieziono go od razu do szpitala, a potem przeniesiono gdzieś tutaj, do Pescary?

– A ten „trzeci” się dowiedział i przyjechał za nim... –

rzekł półgłosem Scala.

Rosciani spojrział na niego, a potem złożył starannie paperek po gumie i schował go do kieszeni.

– Kto wie? – rzekł w zamyśleniu. – Może właśnie tak...

– Jakby dalej podążać tym tokiem myślenia, to jeszcze się rzeczywiście okaże, że to nie Harry Addison zabił Pia – dorzucił Castelletti.

Rosciani przeszedł przez pokój, powoli żując gumę. Spojrział w sufit, potem na podłogę. Za oknem czerwona kula słońca wschodziła już ponad Adriatyk. Odwrócił się do detektywów.

– Może się okaże – powiedział.

– Ispettore Capo! – Do pomieszczenia wszedł śledczy z miejscowej ekipy policyjnej; twarz już miał spoconą od porannego upału. – Chyba mamy coś jeszcze. Medyk sądowy właśnie zbadał ciało kobiety, która zginęła wczoraj w pożarze mieszkania...

Rosciani już wiedział, co usłyszy.

– I to nie ogień ją zabił?

– Nie, panie inspektorze. Została zamordowana.

Harry szedł w stronę Koloseum, z opuszczoną głową, nie zwracając uwagi na poranny ruch na Via dei Fori Imperiali. W tym momencie najważniejsze było, żeby sam nie przestał się ruszać. Tylko to mu pomagało utrzymać tę resztkę zdrowego rozsądku, która mu jeszcze pozostała. Samochody. Autobusy. Skutery. Warczące i terkoczące. Społeczeństwo zajmowało się własnymi sprawami, myśli i uczucia wszystkich koncentrowały się na rozpoczynającym się dniu.

To samo robił on każdego ranka, w swoim wypełnionym pracą życiu – dopóki nie przyjechał do Rzymu. Była to rutyna, wygodna jak stare buty.

Wstawał o szóstej, potem godzina ćwiczeń w małej siłowni obok sypialni, prysznic, spotkanie przy śniadaniu z klientami i jazda do biura, przez cały czas, nawet w łazience, z telefonem komórkowym w zasięgu ręki. Komórkę miał w kieszeni także i teraz. Ale nic nie było takie samo. Kompletnie nic.

Miał telefon, ale bał się z niego korzystać. Mogli błyskawicznie namierzyć przekaźnik, przez który się łączył, i naszpikować całą okolicę policjantami, nim zdążyłby się zorientować.

Nagle z jasnego słońca wszedł w głęboki cień.

Podniósłszy głowę, ujrzał, że jest już pod samym Koloseum. Jednocześnie zarejestrował kątem oka jakiś ruch w półmroku starożytnych arkad. Zatrzymał się. To była kobieta w obdartej sukni; za moment pojawiła się przy niej druga, a potem trzecia, z dzieckiem na ręku. Cyganki.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył kolejne. Osiem lub dziesięć; zaczynały go okrążyć. Zbliżały się powoli; pojedynczo, po dwie, po trzy. Same kobiety, większość z dziećmi.

Harry rzucił szybkie spojrzenie na ulicę. Ani strażnika, ani turystów, nikogo.

Nagle poczuł, że coś go szarpie za nogę. Spojrzał w dół.

Stara Cyganka uniosła nogawkę jego spodni i przyglądała się butom. Wyrwał się i cofnął o krok. Nic to nie dało. Już była przy nim następna, młodsza. Szczerzyła się w szczerbatym uśmiechu. Jedną rękę wyciągnęła w żebraczym geście, drugą gładziła materiał jego spodni. To, że był księdzem, nie miało dla nich żadnego znaczenia. Poczuł coś na plecach, jakaś ręka próbowała mu wyciągnąć portfel z tylnej kieszeni.

Odwinął się jednym ruchem, wyrzucił rękę i złapał mocno za ubranie młodą, wyrywającą się i krzyczącą dziko Cygankę. Pozostałe odsunęły się wystraszone, niepewne, co robić.

Ta, którą trzymał, nie przestawała zawodzić i wrzeszczeć, jakby ją ktoś mordował. Harry nagłym ruchem przyciągnął ją do siebie; jej twarz znalazła się tuż

przy jego twarzy.

– Hercules – powiedział półgłosem. – Chcę znaleźć Herculesa.

Karzeł siedział z jedną ręką opartą na biodrze; na drugiej wsparł brodę. Wpatrywał się w Harry'ego z napięciem.

Minęło właśnie południe. Siedzieli na ławce na małym zakurczonym placu w Gianicolo, po drugiej stronie Tybru. Bulwarem naprzeciwko jeździły samochody, ale poza tym nie było tu ruchu, tylko na jednej z ławek siedziało dwóch staruszków. Harry wiedział jednak, że Cyganie są gdzieś w pobliżu i obserwują ich z ukrycia.

– Przez ciebie policja znalazła mój tunel. Przez ciebie muszę teraz mieszkać na dworze zamiast pod dachem. Wielkie dzięki. – Hercules był naprawdę poirytowany.

– Bardzo mi przykro...

– Ale znowu tu jesteś. I pewnie chcesz, żebym ci pomógł, chociaż powinno być odwrotnie.

– Tak.

Hercules w zamyśleniu spoglądał w dal.

– Czego chcesz?

– Żebyś kogoś śledził. Dwóch ludzi. Ty i Cyganie.

– Kogo? – karzeł spojrzał mu w oczy.

– Kardynała i księdza. Ludzi, którzy wiedzą, gdzie jest mój brat i... doprowadzą mnie do niego.

– Kardynała?

– Tak.

Hercules podciągnął się na jednej kuli i wstał.

– Nie ma mowy – powiedział.

– Zapłacę ci.

– Czym?

– Pieniędzmi.

– A skąd je weźmiesz?

– Już mam... – Po chwili wahania Harry wyjął z kieszeni pieniądze od Eatona. – Ile chcesz? Dla siebie i dla Cyganów?

Hercules spojrzał na pieniądze, a potem na Harry'ego.

– Ja ci tyle nie dałem. Skąd to masz?

– Po prostu mam. No więc ile?

– Na pewno więcej.

– To znaczy?

– Możesz załatwić więcej? – Hercules był zaskoczony.

– Chyba tak.

– Skoro możesz skombinować tyle kasy, dlaczego nie poprosisz tych, co ci ją dadzą, żeby śledzili tego kardynała?

– To nie jest takie proste.

– Dlaczego? Nie ufasz im?

– Hercules, poprosiłem cię o pomoc. I chcę zapłacić. Przecież potrzebujesz pieniędzy.

Karzeł nie odpowiedział.

– Mówiłeś przedtem – ciągnął Harry – że nie możesz się zgłosić po nagrodę za mnie, bo musiałbyś iść na policję. Dzięki tym pieniądzom nie będziesz musiał mieszkać na ulicy...

– Powiem ci szczerze, panie Harry. Wolałbym, żeby mnie nikt z tobą nie zobaczył. Szuka cię policja. Mnie też. Jesteśmy trefni. A razem podwójnie trefni. Chciałem, żebyś mi pomógł jako prawnik, a nie bankier. Jak będziesz już mógł, wróc.

A na razie – arrivederci.

Rozeźlony karzeł sięgnął po drugą kulę. Harry jednak był szybszy i odsunął ją od niego.

– To kiepski pomysł – w oczach Herculesa błysnął gniew.

Harry jednak nie oddał mu kuli.

– Mówiłeś przedtem, że chcesz się przekonać, jak sobie poradzę. Jak daleko zajdę dzięki swojej odwadze i sprytowi.

Oto, jak daleko. Zatoczyłem wielkie koło i wróciłem do ciebie... Próbowałem, ale nie wyszło... – Głos Harry'ego złagodniał. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w karła, a potem bardzo powoli podał mu kulę. – Nie dam rady sam, Herculesie. Musisz mi pomóc. – Ledwie skończył mówić, kiedy zadzwonił telefon w jego kieszeni. Ostry sygnał zaskoczył ich obu.

– Tak... – powiedział ostrożnie Harry do słuchawki, rozglądając się szybko po placu, jakby wietrzył jakiś podstęp i spodziewał się ujrzeć policjantów. – Adrianna! – Odwrócił głowę i przysłonił jedno ucho przed hałasem ulicy.

Hercules kołysał się na kulach, obserwując go z napięciem.

– Gdzie? – Harry skinął głową, raz, potem drugi. – Dobra. Tak! Rozumiem. Jakiego koloru? Dobrze, jakoś znajdę. – Wyłączył komórkę i wsunął ją do kieszeni, spoglądając jednocześnie na karła.

– Jak się dostać na dworzec główny?

– Coś o bracie?

– Widziano go.

– Gdzie? – Hercules był wyraźnie podekscytowany.

– Na północy. Nad jeziorem Como.

– To pięć godzin jazdy. Przez Mediolan. Za długo, może cię ktoś...

– Nie jadę pociągiem. Przy dworcu mam znaleźć samochód.

– Samochód?

– Tak.

– To nagle znalazłeś sobie innych przyjaciół i mnie już nie potrzebujesz, tak? – Hercules przewiercał go wzrokiem.

– Potrzebuję, żebyś mi pomógł dojść do dworca.

– Sam sobie dojdź.

Harry spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Przed chwilą nie chciałeś mieć ze mną nic wspólnego, a teraz się wściekasz, że cię nie potrzebuję?

Karzeł milczał.

– Poradzę sobie. – Harry wstał i ruszył przed siebie.

– Nie w tę stronę, panie Harry! – usłyszał za sobą. Zatrzymał się i obejrzał przez ramię. – Widzisz, jednak sam sobie nie poradzisz – triumfował karzeł.

Nagły podmuch wiatru potargał włosy Harry'ego, zakreślił kurzem wokół jego stóp.

– W porządku, chodźże już – rzucił pojednawczo.

– Ale pojedę z tobą nad Como!

Harry spiorunował go wzrokiem.

– Zgoda – powiedział po chwili.

Hercules natychmiast pokuśtykał ku niemu, a za moment minął go i zawołał:

– W tę stronę, panie Harry! Za mną!

Jeziro Como, Włochy.  
Poniedziałek, 13 lipca; 16.30

Rosciani obejrzał się przez ramię na siedzących z tyłu Scallę i Castelletiego, po czym wrócił do wyglądania przez okno. Lecieli już niemal trzy godziny, kierując się nad wybrzeżem Adriatyku na północ, ponad Anconą, Rimini i Rawenną, a potem w głąb lądu ku Mediolanowi i znowu na północ nad górami i jeziorem Como, do miasteczka Bellagio.

W dole widział łodzie turystyczne, zostawiające na ciemnoniebieskiej toni jeziora smugi białej piany, niczym lukier na ciastku. Na lewo rozsiadły się wzdłuż brzegu okazałe wille, otoczone starannie wypielegnowanymi ogrodami; na prawo strome zbocza gór opadały wprost do wody.

Kiedy zadzwonił Taglia, byli wciąż jeszcze w Pescarze, oglądając spalone mieszkanie zamordowanej kobiety. Szef Gruppo Cardinale poinformował Roscaniego, że poprzedniego wieczora zauważono mężczyznę, który mógł być ojcem Danielem Addisonem. Został przywieziony wynajętym wodolotem do prywatnej willi nad jeziorem Como. Kapitan stateczku widział w telewizji wciąż powtarzane komunikaty o poszukiwanych i był prawie pewien, że to ich właśnie wiezie. Wahał się

jednak, czy o tym zameldować, ponieważ dom należał do kogoś wysoko postawionego; gdyby się pomylił i naraził na szwank dobre imię tej znanej osoby, mógłby stracić pracę. Potem jednak żona przekonała go, żeby powiadomił władze i niech one zadecydują.

Ktoś wysoko postawiony, pomyślał Roscani, podczas gdy pilot położył maszynę na lewo i opadł niżej nad wodę. Kogo, u diabła, obchodziło czyjeś dobre imię, skoro być może są na właściwym tropie? Teraz prowadzili już wyścig z czasem.

Ciało znalezione na pogorzeliisku należało do Giulii Fanari, żony Luki Fanariego, który – jak wynikało z rejestru – wynajął karetkę z firmy zamordowanych państwa Caputo. Signora Fanari nie żyła już, gdy wybuchł pożar.

Zabito ją ostrym narzędziem, być może szpikulcem do lodu, wbitym w głowę u podstawy czaszki. Praktycznie biorąc, została uśmiercona jak doświadczalna żaba, którą biolog zabija, przerywając jej stos pacierzowy. Określenie „z zimną krwią” jednak tu nie pasowało. Ze sposobu, w jaki popełniono zbrodnię, Roscani wywnioskował, że dokonano tego niemal z pasją, jak gdyby każdy mimowolny skurcz mięśni ofiary – gdy powoli i z rozmysłem rozrywano jej mózg – sprawiał zabójcy przyjemność. Być może nawet seksualną.

Pomijając już wszystko inne, sama wymyślność tego okrutnego aktu świadczyła o tym, że przestępca był człowiekiem nie znającym zupełnie pojęcia „sumienie”.

Istotą ludzką złą od urodzenia. A jeśli to ten socjopata był ową hipotetyczną „trzecią osobą”, Roscani mógł ze swych rozważań wyeliminować słowo „oni”, wszystko bowiem przemawiało za tym, że mordu dokonał jeden człowiek. Mógł też pominąć słowo „ona”, ponieważ zabicie Giulii Fanari w taki sposób wymagało olbrzymiej siły, a więc sprawcą był prawie na pewno mężczyzna. A skoro ten mężczyzna przybył do Pescary w poszukiwaniu ojca Daniela i dowiedział się od Ettorego Caputa, dokąd zabrano księdza, był teraz o wiele bliższy odnalezienia go niż policja.

Dlatego Roscani – obserwując zbliżającą się ziemię, która zniknęła nagle w tumanach pyłu, gdy helikopter osiadał pod gęstym lasem na brzegu jeziora – modlił się do Boga, żeby przywieziony do willi ranny mężczyzna okazał się rzeczywiście księdzem i żeby to oni znaleźli się tam pierwsi. Przed człowiekiem ze szpikulcem do lodu.

Thomas Kind obserwował przez lunetę Zeiss Diavari C 1.5-4.5x ciemnoniebieską alfę romeo, zbliżającą się do Bellagio od strony gór. Krzyżyk celownika zatrzymał się na czole Castelletiego, a po lekkim przesunięciu w lewo – Roscaniego. Potem mignął mu carabinieri za kierownicą i samochód przejechał, a Kind wstał. Nie był pewien, czy dziś także ma prawo nazwać się „S”, ponieważ nie wiedział jeszcze, czy okoliczności i wymogi taktyki obdarują go odpowiednim celem.

„S”, czyli snajper. Było to miano, jakie sobie nadawał, kiedy przygotowywał się, psychicznie i fizycznie, do zabójstwa na odległość. Zaczął to robić, gdy sam awansował siebie do strzeleckiej elity po pierwszym zabójstwie – w Santiago, w 1976 roku. Zastrzelił wówczas z okna biura żołnierza, kiedy wojsko rozpoczęło ogień do demonstrujących lewicowych studentów.

Przesunąwszy zeissa w prawo w dół, zobaczył stanowisko karabinierów. Stali na początku długiego dojazdu, prowadzącego do pałacowej rezydencji o nazwie Villa Lorenzi, położonej nad samym jeziorem. Jeszcze dalej na prawo luneta wychwyciła trzy policyjne łodzie patrolowe, rozstawione co czterysta metrów, jakieś sto metrów od brzegu.

Za pośrednictwem Farela Kind dowiedział się, że właścicielem Villa Lorenzi jest znany włoski pisarz Eros

Barbu.

Barbu podróżował aktualnie po Kanadzie i nie było go w domu od sylwestra, kiedy to wydał swój tradycyjny doroczny bal, jeden z najszlachetniejszych w Europie. Pod nieobecność właściciela willą opiekował się czarny poeta z Afryki Południowej, Edward Mooi, który mieszkał tam za darmo, doglądał posiadłości i kierował dwudziestoosobową ekipą etatowych pracowników obsługujących dom i ogrody. Na polecenie Erosa Barbu Mooi zgodził się, żeby policja przeszukała rezydencję.

Prawnicy pisarza złożyli formalne oświadczenie, w którym stwierdzili, że ani on sam, ani Edward Mooi nie znają Daniela Addisona i nigdy o nim nie słyszeli. Zarówno im samym, jak i obsłudze domu nic nie było wiadomo, żeby ktokolwiek przybył ostatnio do Villa Lorenzi drogą wodną.

A już z pewnością nie ktoś znajdujący się pod opieką lekarską czteroosobowej ekipy.

Thomas Kind cofnął się z urwistej półki na zalesionym wzgórzu, skąd obserwował willę, i spojrzawszy przez lunetę, zobaczył, że alfa Roscaniego zatrzymuje się przy posterunku karabinierów. Równocześnie od strony domu podjechał Edward Mooi. Siedział za kierownicą sfatygowanego trójkołowego wózka gospodarczego, który wyglądał jak połączenie starego harleya-davidsona z przyczepą małej ciężarówki.

Kind uśmiechnął się na ten widok. Poeta ubrany był w koszulę khaki, džinsy i skórzane sandały. Długie włosy,

naznaczone na skroniach siwizną i związane w koński ogon, opadały mu do ramion. Wyglądał jak dystyngowany ekshipis albo podstarzały harleyowiec.

Mooi i Roscani rozmawiali przez chwilę, a potem ten pierwszy wsiadł do swego pojazdu i poprowadził auto detektywa oraz dwie ciężarówki z uzbrojonymi carabinieri na teren posiadłości. Thomas Kind był pewien, że policja niczego tam nie znajdzie. Był jednak również przekonany, że jego ofiara jest gdzieś w pobliżu. Postanowił więc czekać i obserwować, zanim wykona swój ruch. Cierpliwość przede wszystkim.

Hefei, Chiny. Hotel Overseas Chinese.

Wtorek, 14 lipca

Li Wen przewrócił się niespokojnie na drugi bok. Gorąco i duchota nie pozwalały mu zasnąć. Po półminucie przekręcił się znowu i spojrzał na zegar. Pół godziny po północy. Za trzy godziny będzie musiał wstać. Za cztery zabierze się do roboty. Położył się z powrotem. Tej nocy szczególnie potrzebował snu; ten jednak nie nadchodził. Li Wen próbował pozbyć się natrętnych myśli o tym, co miał zrobić. A także o tym, jak będzie wyglądało Hefei w dwadzieścia cztery godziny po wpuszczeniu przezeń do zbiorników wody pitnej śmiertelnej substancji o składzie opracowanym przez amerykańskiego hydrobiologa Jamesa Hawleya. W stacjach uzdatniania nie badano wody pod kątem zawartości policyklicznego alkoholu nienasyconego. Był on także niewykrywalny

wzrokowo, zapachowo i smakowo. Wprowadzony do oczyszczonej już wody w postaci zamrożonych kul, przypominających śniegowe, po rozpuszczeniu powodował skurcze przewodu pokarmowego, połączone z ostrą biegunką, a potem krwawienie wewnętrzne i w rezultacie śmierć w czasie od sześciu do dwudziestu czterech godzin. Stężenie trucizny w szklance wody, obliczone na dziesięć do miliona, spowodować miało skuteczne śmiertelne zatrucie stu tysięcy osób.

Dziesięć części na milion.

Sto tysięcy uśmierconych.

Li Wen usiłował powstrzymać bieg myśli, lecz nie potrafił.

Wtem usłyszał w oddali odgłos grzmotu. Jednocześnie poczuł powiew i zobaczył, że zasłona przy otwartym oknie lekko zafalowała. Zbliżał się front atmosferyczny, a wraz z nim silny wiatr i ciepły deszcz. Nim wstanie z łóżka, front przejdzie, a nazajutrz będzie jeszcze parniej i upalniej. Gdzieś niedaleko mignęła błyskawica, oświetlając na moment hotelowy pokój. Osiem sekund później rozległ się huk gromu.

Li Wen uniósł się na łokciu i z niepokojem spojrzał w drugi kąt pokoju. Stała tam niewielka lodówka. Tylko nieliczne chińskie hotele miały pokoje wyposażone w lodówki, szczególnie na prowincji. Dlatego właśnie Li wybrał ten hotel i zarezerwował ten pokój. W dodatku lodówka była z zamrażalnikiem, co miało kluczowe znaczenie, ponieważ Li musiał gdzieś zamrozić swoje

„kule śniegowe” po sporządzeniu mieszanki. Kule miały tam spoczywać jeszcze przez trzy godziny, kiedy to wyruszy do stacji uzdatniania.

Znowu błysnęło. Na chwilę przygasł neon hotelu za oknem pokoju, lecz zaraz włączył się z powrotem. Li całkiem się już rozbudził i wpatrywał z niepokojem w mrok. Tylko tego brakowało, żeby teraz wysiadła elektryczność.

Como, Włochy.

W dalszym ciągu poniedziałek, 13 lipca; 19.00

Roscani, niespokojny i zły, przepychał się przez ciasne, pośpiesznie zaimprovizowane centrum łączności, urządzone w budynku komendy carabinieri w Como. Na środku pokoju stały biurka z rzędami telefonów, obsługiwanych przez kilkunastu funkcjonariuszy w mundurach. Drugie tyle pracowało przy komputerach, porozstawianych wszędzie, gdzie udało się znaleźć miejsce. Wśród nich uwijali się inni – podekscytowani, z filiżankami kawy w rękach i papierosami w ustach. Był to prawdziwy sztab wojenny, który koordynował zakrojone na wielką skalę polowanie, zarządzane po przeszukaniu Villa Lorenzi, gdzie nie znaleźli choćby śladu zbiegłego księdza.

Roscani kierował się ku zajmującej całą ścianę mapie okolic jeziora Como. Chorągiewkami w barwach Włoch zaznaczono na niej punkty kontroli drogowej, w których personel Gruppo Cardinale zatrzymywał i przeszukiwał wszystkie bez wyjątku pojazdy. Biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu i mnogość dróg mogących służyć jako trasa ucieczki, było to olbrzymie przedsięwzięcie.

Bellagio leży na północnym krańcu trójkątnego cypla, wrzynającego się w jezioro od południa. Samo jezioro

ciągnie się dalej na północ, jednocześnie opływając dwoma palczastymi odnogami trójkątny półwysep, ku Lecco na południowym wschodzie i Como na południowym zachodzie. Na północ od Como, bardzo blisko, leży miasteczko Chiasso i biegnie granica szwajcarska.

Można było z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że zbiegowie spróbują przekroczyć granicę właśnie w Chiasso, toteż miejscowość obstawiono gęsto policją. Niestety, trochę dalej od granicy też było sporo miejsc, gdzie mogli się przyczołgać: Menaggio, Tremezzo i Lenno na zachodnim brzegu; Bellano, Gittana i Varenna na wschodnim, a także Vasenna i Maisano w obrębie samego trójkąta i dalsze miasteczka na zachód od nich.

Była to potężna operacja, która zakłóciła normalne życie niemal wszystkich siedzib mieszkalnych i przedsiębiorstw regionu. Sytuację komplikowała dodatkowo masowa inwazja dziennikarzy prasy, radia i telewizji. Media uznały, że pochwycenie domniemanego zabójcy kardynała Parmy jest tylko kwestią czasu, i chciały relacjonować to na żywo całemu światu.

Dla Roscaniego takie wielkie akcje nie były pierwszozną; towarzysząca im atmosfera cyrku także. Operacja tego typu, nawet najlepiej zorganizowana, zawsze jednak była ogromnie trudna; choćby tylko z powodu swej skali. Sprawy się piętrzyły i wielu ludzi naraz musiało podejmować szybkie decyzje. Toteż nietrudno było o błędy. W ogniu działania nie było czasu

na assoluta tranquillita i przemyślenia prowadzące do właściwych wniosków, na logiczną dedukcję i znalezienie podejścia decydującego o sukcesie bądź porażce.

Uwagę inspektora przyciągnął nagły hałas w głębi pomieszczenia. Przez chwilę za otwartymi drzwiami widać było tłum dziennikarzy, wykrzykujących pytania do Scali i Castelletiego. Detektywi przybyli właśnie do komendy w towarzystwie kapitana i dwóch marynarzy wodolotu, którym ojciec Daniel i jego opiekunowie dotarli jakoby do Bellagio i Villa Lorenzi.

Roscani podążył za nimi do wnęki, oddzielonej zasłoną od głównego pomieszczenia, gdzie mieli trochę więcej spokoju.

– Jestem Ispettore Capo Otello Roscani. Przepraszam za ten rozgardiasz – zwrócił się do przybyłych.

Kapitan skłonił się z uśmiechem. Około czterdziestopięcioletni, wyglądał na wysportowanego. Ubrany był w dwurzędową, granatową marynarską kurtkę i tego samego koloru spodnie. Jego ludzie mieli na sobie podobne spodnie oraz niebieskie koszule z krótkimi rękawami i epoletami na ramionach.

– Może kawy? – zapytał Roscani, widząc, jacy są zdenerwowani. – Albo papie... – przerwał w pół słowa i uśmiechnął się. – Miałem zamiar zaproponować panom papierosa, ale właśnie rzuciłem palenie. Mamy tu dom wariatów i gdybyście zapalili, to obawiam się, że mógłbym ulec pokusie.

Uśmiechnął się ponownie i ujrzał, że tamci wyraźnie się

rozluźnili. Było to z jego strony celowe zagranie, obliczone na wywołanie takiego właśnie efektu. Choć nie był pewien, czy faktycznie by nie zapalił. Tak czy inaczej, napięcie zelżało i w ciągu następnych dwudziestu minut marynarze opowiedzieli mu ze szczegółami o podróży z Como do Bellagio i opisali dokładnie trzech mężczyzn i kobietę, transportujących chorego na noszach. Uzyskał także dodatkową informację. Stateczek wynajęto dzień przed jazdą w agencji turystycznej w Mediolanie, na polecenie niejakiego Giovanniego Scarso. Oznajmił on, że działa w imieniu rodziny mężczyzny, ciężko rannego w wypadku samochodowym i chce go przewieźć do Bellagio. Scarso zapłacił gotówką i zniknął. I dopiero kiedy dopływali już do miasteczka, jeden z pielęgniarzy polecił im skierować się bardziej na południe, ku Villa Lorenzi.

Gdy przesłuchanie dobiegło końca, Roscani nie miał najmniejszych wątpliwości, że powiedziano mu prawdę i że pacjentem, którego załoga wodolotu przywiozła do Villa Lorenzi, był w istocie ojciec Daniel Addison.

Inspektor poprosił Castelletiego, żeby jeszcze raz wysłuchał szczegółowej relacji marynarzy, po czym wyszedł, zaciągając za sobą zasłonę, prosto w zgiełk pokoju sztabowego. A potem równie szybko go opuścił.

Przemierzywszy wąski korytarz, wszedł do toalety. Skorzystał z pisuaru, umył ręce i spryskał wodą twarz. Następnie, przekonany, że nie da się w tej sytuacji myśleć bez papierosa, przycisnął do ust dwa palce i wciągnął

przez nie powietrze. Pociągając wyimaginowanego papierosa, wyobrażając sobie działanie nikotyny, oparł się o ścianę i w ciszy toalety spróbował odnaleźć swą assoluta tranquillita, żeby uporządkować myśli.

Przez całe popołudnie razem ze Scalą i Castellettim przeszukiwał przy pomocy karabinierów pomieszczenia Villa Lorenzi. Przepatrzyli każdy jej cal i nie znaleźli kompletnie niczego. Ani śladu ojca Daniela i jego towarzyszy. Niemożliwe było, żeby uciekinierzy odjechali czekającym gdzieś na terenie posiadłości ambulansem, ponieważ prowadziły stąd tylko dwie drogi – główna i boczna, dostawcza – obie zamknięte bramami, otwieranymi zdalnie z domu. Bez udziału kogoś z obsługi willi żaden pojazd nie mógł wjechać ani wyjechać. Mooi twierdził zaś, że nic takiego się nie zdarzyło.

Oczywiście poeta, choć chętnie współpracował z policją, mógł przecież kłamać. Było także prawdopodobne, że ktoś pomógł księdzu uciec bez wiedzy gospodarza. No i ostatnia możliwość: że ojciec Daniel wciąż się tam ukrywał, tylko nie potrafili go znaleźć.

Roscani po raz ostatni zaciągnął się na niby papierosem, wciągając powietrze głęboko do płuc. Postanowił, że o świcie wraz z Castellettim, Scalą i doborową ekipą karabinierów ponownie przeszukają willę. Tym razem bez zapowiedzi.

Wezmą ze sobą psy. I nie przegapią niczego, choćby mieli rozebrać dom, kamień po kamieniu.

## 65

– Chiasso... – powiedział Hercules.

Oddalali się już od Mediolanu, jadąc autostradą A9 w gęstym wakacyjnym strumieniu pojazdów. Harry prowadził ciemnoszarego fiata, którego Adrianna zgodnie z obietnicą zostawiła mu naprzeciwko rzymskiego dworca głównego, z kluczykami schowanymi za lewym tylnym kołem.

Nie odpowiedział, obserwując uważnie drogę i zastanawiając się, jak dojedzie do Como, gdzie miała na nich czekać Adrianna. A potem jego myśli pobiegły ku miasteczku Bellagio. Tam mógł być Danny.

– Chiasso – powtórzył Hercules i Harry odwrócił ku niemu głowę. Karzeł wpatrywał się weń z napięciem.

– Co ty, u diabła, wygadujesz?

– Czy przydałem ci się jak dotąd, panie Harry? Pomogłem ci wyjechać z Rzymu i dostać się na autostradę. Zawróciłem cię na północ, jak chciałeś jechać na południe...

Bez Herculesa dojeżdżałbyś teraz do Sycylii, a nie do Como.

– Byłeś wspaniały. Zawdzięczam ci wszystko. Ale i tak nie rozumiem, o czym ty, cholera, mówisz.

Harry nagle zjechał na prawo, ustawiając się za szybko jadącym mercedesem. Ta podróż trwała już zbyt długo.

– Chiasso jest na granicy ze Szwajcarią – wyjaśnił

karzeł. – Musisz mnie tam zawieźć. Dlatego się z tobą zabrałem.

– Żebym cię zawiózł do Szwajcarii? – Harry nie wierzył własnym uszom.

– Jestem poszukiwany za morderstwo, panie Harry.

– Ja też.

– Tak, ale ja się nie mogę przebrać za księdza i podszyć pod kogoś innego. Karła wszędzie zauważą; w autobusie, w pociągu...

– Ale nie w prywatnym samochodzie?

– No właśnie – potwierdził Hercules z konspiracyjnym uśmiechem. – Pierwszy raz mi się trafia taka okazja.

– Człowieku, przecież my nie jedziemy na wycieczkę!

– Harry zgromił go wzrokiem. – Nie jestem tutaj na wakacjach!

– Wiem, chcesz znaleźć brata – odparł karzeł. – I policja tak samo. A Chiasso jest zaraz za Como. Ja wysiądę, a ty sobie wrócisz. I po sprawie.

– A jeśli się nie zgodzę?

Hercules aż uniósł się z miejsca, oburzony.

– To będziesz człowiekiem, którego słowo nie jest warte złamanego grosza. Jak ci dawałem te ubrania, zapytałem, czy mi pomożesz. Pamiętasz, co powiedziałeś? „Zrobię, co będzie w mojej mocy. Obiecuję”.

– Miałem na myśli pomoc w granicach prawa i w Rzymie.

– Sytuacja jest taka, że sensowniej będzie dla mnie skorzystać z tej pomocy teraz, panie Harry. Stracisz na to

ledwie dwadzieścia minut swojego cennego życia.

– Dwadzieścia minut...

– I jesteśmy kwita.

– Dobra. I jesteśmy kwita.

Wkrótce po tej wymianie zdań minęli zjazd na Como i ich ugoda straciła rację bytu. Pięć kilometrów na południe od Chiasso droga zwężyła się do jednego pasa. Strumień samochodów zwolnił i w końcu się zatrzymał. Harry z Herculesem widzieli przed sobą nie kończący się sznur świateł stopu.

A potem w oddali spostrzegli policjantów. W kamizelkach kuloodpornych, z uzi w rękach, przechodzili z wolna wzdłuż kolumny pojazdów, zaglądając do każdego po kolei.

– Zawracaj, panie Harry! Szybko! – zawołał Hercules.

Harry wycofał trochę, przełączył na jazdę i z piskiem opon wykonał ostry skręt, zawracając i przyśpieszając na przeciwnym pasie ruchu.

– Co to było, cholera? – zapytał, sprawdzając w lusterku, czy nikt ich nie ściga.

Hercules nie odpowiedział, manipulując przy samochodowym radiu. Znalazł wiadomości; spiker trajkotał coś po włosku. Na granicy w Chiasso policja dokładnie kontroluje wszystkie pojazdy, przetłumaczył karzeł. Trwają poszukiwania zbiegłego księdza, Daniela Addisona, któremu udało się jakoś wymknąć policji w Bellagio i który prawdopodobnie usiłuje przekroczyć granicę szwajcarską.

– Wymknąć? – Harry spojrzał na Herculesa. – To znaczy, że już go mieli?

– Tego nie powiedzieli, panie Harry.

Como. 19.40

Zatrzymali się zaraz po zjeździe z autostrady, na głównej drodze do Como. Hercules poprosił Harry'ego, żeby stanął, i siedzieli teraz razem po raz ostatni. Żółtawy odblask wieczornego nieba wypełniał wnętrze samochodu delikatną poświatą, kontrastującą z przesuwającym się za oknami strumieniem ostro świecących reflektorów.

– Policja, nie policja, Chiasso jest tak blisko, że grzech byłby nie spróbować. Rozumiesz, panie Harry?

– Rozumiem, Herculesie. Żałuję, że nie mogłem ci pomóc.

– No to powodzenia. – Karzeł uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę.

Harry podał mu swoją.

– Nawzajem.

Po chwili Hercules wysiadł i już go nie było. Harry spoglądał za nim, gdy przekraczał ulicę, klucząc wśród samochodów. Po drugiej stronie karzeł obejrzał się przez ramię i rzucił mu pożegnalny uśmiech, a potem ruszył o kulach w zapadający zmierzch. Pomaszerował, jeśli tak można było powiedzieć, do Szwajcarii.

Dziesięć minut później Harry zatrzymał fiata w bocznej uliczce niedaleko stacji kolejowej. Wytarł chusteczką kierownicę i dźwignię biegów. Wysiadł ostrożnie,

zamknął auto i poszedł do Via Borsieri i dalej Viale Varese, by kierując się drogowskazami dotrzeć do jeziora i Piazza Cavour. Szedł tym samym tempem, co ludzie wokół. Starał się wtopić w tłum i wyglądać na zwykłego księdza, cieszącego się ciepłem letniego wieczoru.

Raz po raz ktoś pozdrawiał go skinieniem głowy lub uśmiechem. Odpowiadał na te uprzejmości, a potem oglądał się od niechcenia za siebie, upewniając się, że nikt go nie rozpoznał, nie alarmuje innych albo nie zawraca, by mu się przyjrzeć dokładniej.

Przeszedł przez plac, wypatrując strzałek pokazujących drogę do jeziora. Nagle zauważył spory tłumek, zgromadzony przy kiosku z gazetami. Zbliżywszy się, ujrzał twarz Danny'ego, spozierającą z pierwszych stron popołudniówek.

Nagłówki były niemal identyczne:

SACERDOTE FUGGITIVO A BELLAGIO?

Czy zbiegły ksiądz ukrywa się w Bellagio?

Odwrócił szybko głowę i poszedł dalej, nie zatrzymując się.

Skręcił w jakąś uliczkę, potem w następną, usiłując nie zgubić znaków. Minął rozgadana, trzymającą się za rękę parę, skręcił za róg i stanął jak wryty. Ulicę na wprost przegradzały policyjne barierki. Za nimi stały samochody policji, auta dziennikarzy i wozy do transmisji satelitarnej.

Dalej zobaczył budynek komendy policji w Como.

– Chryste. – Harry odczekał chwilę i skierował się w stronę przecznicy, próbując pozbierać myśli. Skręcił w nią

na chybił trafił w lewo, pewien, że i tak natknie się znów na policję, kolejny kiosk albo nawet dworzec. Zamiast tego ujrzał jednak jezioro i ruchliwy nadbrzeżny bulwar. Tuż przed sobą natomiast, drogowskaz do Piazza Cavour.

Po przejściu połowy przecznicy znalazł się na bulwarze.

Po prawej miał hotel Palace, duży budynek z piaskowca, z ogródkiem kawiarnianym od frontu. Słychać było skoczną; muzykę. Ludzie jedli i pili, między nimi kręciły się kelnerki w białych fartuszkach. Tłum zwyczajnych ludzi, robiących to co zwykle i nie mających pojęcia, że w każdej chwili może wybuchnąć tu straszliwe zamieszanie. Wystarczy, żeby choć jedna osoba rozpoznała przechodzącego obok brodatego księdza w czarnym berecie i wszczęła alarm. Ulica natychmiast wypełniłaby się policją, niczym w amerykańskim filmie sensacyjnym. Zdecydowana akcja Gruppo Cardinale w pościgu za zabójcą policjanta, zbiegłym bratem zabójcy kardynała. Wszędzie światła. Helikoptery. Statyści poprzebierani w kamizelki kuloodporne, z fałszywymi pistoletami w rękach. Obława na Lee Harveya Oswalda w Disneylandzie! Zobaczcie, jak osaczają złoczyńcę ze wszystkich stron!

Kupujcie bilety, tego nie można przegapić!

Nikt się jednak nawet nie obejrzał. Po chwili Harry minął kawiarnię, ot, kolejny przechodzień. Po kilku krokach dotarł do rogu i znalazł się na Piazza Cavour. Na wprost przed sobą zobaczył hotel Barchetta Excelsior.



Harry nacisnął dzwonek pokoju pięćset dwadzieścia pięć i czekał mnąc берет w rękach. Pocił się obficie – ze zdenerwowania i z lipcowego skwaru. Słońce niemal już zaszło, a wciąż było ponad trzydzieści stopni.

Chciał zadzwonić ponownie, gdy drzwi się uchyliły i zobaczył Adriannę, owiniętą w biały hotelowy ręcznik, z włosami mokrymi po kąpieli i z komórką przy uchu. Wszedł szybko do środka i zamknął drzwi na klucz.

– Właśnie przyszedł – powiedziała do słuchawki Adrianna, zaciągając zasłony w oknach. Pod jednym z nich stał telewizor, nastawiony na kanał informacyjny, z wyłączonym dźwiękiem. Ktoś coś relacjonował spod Białego Domu, którego miejsce zajął po chwili budynek brytyjskiego parlamentu.

Adrianna podeszła do toaletki i pochyliła się przed lustrem, żeby zapisać coś na karteczce.

– Wieczorem, dobrze... Tak, mam.

Wyłączyła telefon i podniosła głowę. Harry obserwował ją w lustrze.

– To był Eaton? – zapytał.

– Tak. – Odwróciła się twarzą do niego.

– A gdzie, u diabła, jest Danny?

– Nikt tego nie wie. – Jej spojrzenie powędrowało do telewizora, zresztą przez cały czas zerkąta kątem oka na ekran, na wypadek gdyby coś się działo. Był to już

nawyk, choroba zawodowa. Potem z powrotem popatrzyła na Harry'ego. – Roscani ze swoją ekipą przeszukali willę w Bellagio, gdzie podobno Danny miał się ukrywać, ale nic nie znaleźli.

– Policja jest pewna, że to był Danny, a nie ktoś inny?

– Na tyle pewna, na ile może, nie widziawszy go. Roscani wciąż siedzi w Como. To mówi samo za siebie. – Adrianna wsunęła kosmyk mokrych włosów za ucho. – Wyglądasz, jakbyś się miał rozlecieć. Możesz przecież zdjąć tę marynarkę i usiąść sobie. Chcesz drinka?

– Nie.

– Ale ja chcę.

Podeszła do barku i wyjęła miniaturkę koniaku. Wlała zawartość do szklanki i spojrzała na Harry'ego.

– I co mam dalej robić? – zapytał z napięciem w głosie.  
– Jak się dostanę do Bellagio?

– Jesteś na mnie zły, prawda? O to, co się stało w Rzymie. Że wprowadziłam we wszystko Eatona.

– To nieprawda. Jestem ci wdzięczny. Nigdy bym nie działał aż tyle bez twojej i jego pomocy. Oboje nadstawialiście karku, każde z innych powodów, ale tak czy inaczej...

Tylko że z tobą czułem się jakoś intymniej, pewnie przez ten seks...

– Zrobiłam to, bo miałam ochotę. Ty też miałeś ochotę.

I obojgu nam się podobało. Nie powiesz mi chyba, że nigdy przedtem ci się to nie zdarzało. Przecież tak właśnie żyłeś, prawda? Inaczej już dawno byłbyś żonaty i miał

rodzinę.

– Może po prostu mi powiedz, co mam teraz zrobić, dobrze?

– W porządku. – Adrianna przyglądała mu się przez chwilę, a potem ze szklaneczką w dłoni przysiadła na toalecie.

– Pojedziesz ostatnim wodolotem do Bellagio. Zameldujesz się w hotelu Du Lac, naprzeciwko przystani. Masz rezerwację; dla księdza Jonathana Roego z Uniwersytetu Georgetown. Dostaniesz numer telefonu do człowieka, który opiekuje się Villa Lorenzi. Nazywa się Edward Mooi.

– I mam do niego zatelefonować?

– Tak.

– A skąd ta pewność, że on wie, gdzie jest Danny?

– Policja tak uważa.

– No to na pewno już mu założyli podsłuch.

– I co usłyszą? – Adrianna pociągnęła łyk ze szklaneczki. – Że jakiś amerykański ksiądz chce mu pomóc, ponieważ oglądał telewizję i pomyślał, że może na coś się przyda...

– Na miejscu tego Mooi od razu bym pomyślał, że to policyjna pułapka.

– Ja też, tylko że w tym czasie Mooi dostanie faks, wysłany z księgarni religijnej w Mediolanie. Nie zrozumie od razu, o co chodzi... ani policja, jeżeli to przechwyci, bo będzie to wyglądało jak reklamówka. Ale Edward Mooi jest człowiekiem inteligentnym i po twoim telefonie na

pewno przypomni sobie o faksie i poszuka go, choćby miał grzebać w koszu na śmieci. A gdy się mu przyjrzy jeszcze raz, zrozumie.

– Jaki faks?

Odstawiwszy szklanę, Adrianna sięgnęła do sfatygowanej torby podróżnej, wyciągnęła z niej kartkę papieru i podała Harry’emu. Potem oparła rękę na biodrze i z powrotem przysiadła na toaletce. Przy tym ruchu rozchylił się jej szlafrok. Nie bardzo, ale wystarczająco, żeby Harry mógł dostrzec część jednej piersi i ciemniejsze miejsce między udami.

– Taki – odrzekła.

Po chwili wahania Harry spojrzał na kartkę.

**KONIECZNIE PRZECZYTAJ!**

„Genesis 4:9”

Nowa książka Księdza Jonathana Roego!

To był cały tekst.

– Chodziłeś na religię, Harry? Księga Rodzaju, rozdział czwarty, werset dziewiąty...

– „Czyż jestem stróżem brata mego”? – Harry rzucił kartkę na łóżko.

– Mooi to człowiek wykształcony. Na pewno zrozumie.

– I co dalej?

– Będziemy czekać. Ja też przyjadę do Bellagio, może jeszcze nawet przed tobą... – Ton głosu Adrianny stał się miękki i uwodzicielski. Spojrzała Harry’emu prosto w oczy i nie odwracała wzroku. – Wiem, jak do ciebie dotrzeć. – Przerwała na chwilę. – W kieszeni masz

telefon. Zrobimy to tak jak w Rzymie...

Przez dłuższą chwilę Harry przyglądał się jej w milczeniu.

Potem przesunął spojrzeniem po całej jej sylwetce.

– Szlafrok ci się rozchylił...

– Wiem.

Wziął ją od tyłu, tak jak lubiła, tak jak w jej mieszkaniu w Rzymie. Tym razem jednak światło było zapalone i robili to na stojąco w łazience. Adrianna pochyliła się lekko w biodrach, opierając ręce na marmurowym zlewie; oboje widzieli w lustrze swoje twarze.

Widział jej rozkosz, kiedy w nią wchodził. Widział, jak narasta z każdym jego mierzonym pchnięciem. I widział swoje odbicie za nią. Coraz bardziej napiętą linię szczęki, podczas gdy jego ruchy przybierały na gwałtowności i sile.

Patrzenie na własną twarz wydało mu się jakieś nieprzyzwoite, jakby to robił z samym sobą. Ale robił to z nią.

– Tak – wydyszała. – Tak...

Na dźwięk jej głosu zapomniał o swoim odbiciu i widział już tylko ją. Z głową odrzuconą do tyłu, z zamkniętymi oczami, skurczem tajemnych mięśni przy każdym pchnięciu potęgowała doznania obojga.

– Jeszcze – jęknęła. – Jeszcze. Mocniej. Tak. Daj mi to, Harry. Daj mi...

Czuł, jak pulsuje w nim krew, czuł na skórze gorąco jej ciała. Oboje lśnili od potu. Było tak jak wtedy. Jak w jej

łóżku w Rzymie. Zobaczył plamki przed oczami. Serce łomotało mu w piersi. Jej głośny oddech był niczym ryk, zagłuszający plaśnięcia uderzających o siebie ciał. Jeszcze i jeszcze. I znowu. Nagle krzyknęła i zobaczył, że wciąga głowę w ramiona.

W tym samym momencie wystrzelił. Jak z armaty, zięjącej ogniem bez ustanku, salwa za salwą, automatycznie, bez opamiętania. Wtem ugięły się pod nim kolana i musiał się chwycić zlewu, żeby nie upaść. I pojął, że nic już nie zostało.

Ani w nim, ani w tej kobiecie.

Hefei, Chiny, prowincja Anhui.  
Stacja uzdatniania wody „A”.  
Wtorek, 14 lipca; 4.30

Li Wen wszedł głównym wejściem, tak jak zawsze, z ciężką skórzaną walizką w ręce i z przypiętym do klapy marynarki identyfikatorem. Skinął głową wartownikowi, przysypiającemu za stołem tuż przy drzwiach, i otworzywszy kolejne drzwi, skręcił w korytarz prowadzący do głównego pomieszczenia kontrolnego. Siedziała tam tylko pracownica, zerkająca niedbale na rzędy wskaźników – między innymi ciśnienia, poziomu zmętnienia, szybkości przepływu i stężenia substancji chemicznych w oczyszczanej wodzie – drugim zaś na jakieś kolorowe czasopismo.

– Dzień dobry – rzucił władczy tonem. Czasopismo natychmiast zniknęło. – Wszystko w porządku?

– Tak, panie inspektorze.

Li Wen przyglądał się kobiecie jeszcze przez chwilę, aby wiedziała, że nie podobała mu się ta historia z czasopismem.

Pożegnawszy ją zdecydowanym skinieniem głowy, pchnął drzwi i znalazł się na schodach prowadzących w dół, do pomieszczenia filtrów. Była to długa sala o ścianach ze zbrojonego betonu; to w niej odbywało się

końcowe filtrowanie wody, przed przepompowaniem do zbiorników, z których czerpał system wodociągowy miasta. Li znajdował się teraz poniżej poziomu gruntu i od razu poczuł chłód w porównaniu z parnym upałem na zewnątrz, czy choćby piętro wyżej.

Stację unowocześniano przed trzema laty i była wówczas nieczynna przez sześć miesięcy; wciąż jednak nie miała klimatyzacji. To, oznajmiły władze, musi poczekać do czasu zbudowania nowej stacji, planowanej już na następne stulecie. W podobnej sytuacji znajdowała się większość oczyszczalni i stacji uzdatniania w całych Chinach. Były stare i najczęściej wymagały remontu. Niektóre, jak tę w Hefei, próbowano unowocześniać, kiedy w Pekinie obróciło się wreszcie wielkie koło wodne i Komitet Centralny przyznał odpowiednie fundusze. Niewielkie pieniądze, którym towarzyszyły wielkie obietnice na przyszłość.

Po prawdzie, do niektórych miejsc przyszłość zdążyła już jednak dotrzeć. Rozpoczęto nowe inwestycje z udziałem zagranicznych firm budowlanych i inżynierskich: chińsko-francuskim przedsięwzięciem była na przykład stacja uzdatniania wody, budowana za sto siedemdziesiąt milionów dolarów w Guangzhou. Na rzece Jangcy powstawała natomiast gigantycznym kosztem trzydziestu sześciu miliardów dolarów potężna tama Trzech Wąwozów. Zasadniczo jednak system wodociągów i oczyszczalni był w Chinach przestarzały. Część urządzeń można wręcz było uznać za zabytkowe –

jako rury służyły w nich na przykład wydrążone pnie drzew – toteż funkcjonowały w najlepszym wypadku kulawo.

W pewnych okresach roku – tak jak teraz, w środku lata, kiedy za sprawą długich upalnych dni powstawały najlepsze warunki do rozwoju alg żywiących się światłem słonecznym i wydzielających biologiczne toksyny – stacje filtrów stawały się niemal zupełnie niewydolne, dostarczając do kranów w chińskich domach cuchnącą ciecz, którą z trudnością można było nazwać wodą.

Li Wen przyjeżdżał tu właśnie po to, żeby kontrolować jakość wody pobieranej z jeziora Chao, głównego źródła wody pitnej dla milionowego Hefei. Wykonywał tę pracę nieprzerwanie już od ponad osiemnastu lat. Osiemnastu lat, podczas których nie przyszło mu nigdy do głowy, że można na tym zarobić. Zarobić prawdziwe pieniądze, wystarczające na ucieczkę z kraju i zarazem na wymierzenie mściwego ciosu znienawidzonej władzy. Władzy, która w 1957 roku uznała jego ojca za „kontrrewolucjonistę” – gdy zaprotestował przeciwko korupcji i nadużyciom w partii komunistycznej – a potem zamknęła w obozie pracy, gdzie zmarł trzy lata później. Li miał wtedy pięć lat. Dorastał, czcząc pamięć ojca i troskliwie opiekując się matką, która nigdy nie otrząsnęła się po śmierci męża i po jego publicznym napiętnowaniu. Li Wen został hydrobiologiem tylko dlatego, że miał talent do nauk ścisłych i poszedł po prostu po linii najmniejszego oporu. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie

człowieka miękkiego i bezbarwnego, pozbawionego silniejszych uczuć. W jego wnętrzu gorzała jednak nienawiść wobec państwa; przyłączył się więc do tajnej grupy sympatyków Tajwanu, dążącej do obalenia reżimu i przywrócenia do władzy nacjonalistów.

Nieżonaty i w ciągłych rozjazdach, za swą najbliższą przyjaciółkę uważał Tong Quing. Tong miała dwadzieścia pięć lat, pracowała jako grafik komputerowy i nie uznawała żadnych zakazów. Poznał ją przed dwoma laty na tajnym spotkaniu w Nankinie. To ona przedstawiła go Chen Yinowi, elokwentnemu kupcowi handlującemu kwiatami, i Li od razu go polubił. Dzięki układom rodzinnym Chena w sferach rządowych Li Wen mógł wyjeżdżać za granicę i zwiedzać jako hydrobiolog urządzenia wodociągowe w Europie i Ameryce. Przez Chen Yina poznał także Thomasa Kinda.

To Kind zabrał go do willi pod Rzymem na krótkie spotkanie z człowiekiem, którego misję pomagał właśnie teraz wypełnić. Był to potężnej postury mężczyzna w szatach księdza, którego nazwiska Li nigdy nie poznał, człowiek o ogromnych wpływach i pozycji, autor niezwykłego projektu, dotyczącego przyszłości Chińskiej Republiki Ludowej.

To krótkie spotkanie sprawiło, że przyszłość samego Li Wena nabrała żywszych barw, a upływający rok stał się najradośniejszym w jego dotychczasowym życiu. Nareszcie będzie mu dane pomścić śmierć ojca i w dodatku otrzyma za to godziwą zapłatę. A potem, dzięki

pomocy Chen Yina, zostanie przemycony za granicę, do Kanady. Dostanie tam nowe nazwisko i nowe życie. Będzie się stamtąd z uciechą przyglądał, jak w miarę upływu lat władza, która obrabowała go z dzieciństwa i której tak serdecznie nienawidził, z wolna ścierana jest na proch rękami żarliwego rewolucjonisty z Rzymu.

Li Wen postawił walizkę na drewnianej ławeczce i obejrzał się na drzwi, którymi przed chwilą wszedł. Upewniwszy się, że jest sam, podszedł do jednego z czterech kwadratowych otworów o boku mniej więcej półmetrowym. Można było przez nie bezpośrednio obserwować wodę płynącą do przewodów wodociągowych miasta. Nurt był dość szybki, lecz zamiast czystej, jak w zimie, Li ujrzał wodę mętną i cuchnącą.

Sprawiły to letnie upały i bujny rozkwit wodorostów w jeziorze Chao. Władze zupełnie nic w tej sprawie nie robiły i na to właśnie liczył.

Wrócił po walizkę. Wyciągnął z niej cienkie rękawiczki chirurgiczne, po czym otworzył duży, specjalnie zabezpieczony pojemnik. Leżało w nim kilka białoszarych „kul śniegowych”, umieszczonych niczym jajka w styropianowej wytłoczce. Ich powierzchnia już zaczynała się topić, połyskując w świetle lamp. Li Wen zerknął na drzwi, po czym wyciągnął wytłoczkę z pojemnika i zaniósł ją do otworów obserwacyjnych. Wziął do ręki pierwszą „śnieżkę” i wrzucił do wody, czując w sercu skurcz triumfu. Szybko powrzucał, jedną po drugiej,

pozostałe kule, patrząc, jak odpływają w wirach, znikając w ciemnym szybkim nurcie.

Teraz błyskawicznie wstał, schował wytłoczkę i rękawiczki do walizki i zamknął ją. Następnie podszedł ponownie do otworów; po drodze wziął z metalowej półeczki próbkę.

Pobrał próbkę wody i spokojnie zajął się swoją pracą – sprawdzaniem, czy ma wystarczający poziom akceptowanej przez władze „czystości”.

Bellagio nad jeziorem Como, Włochy.  
Poniedziałek, 13 lipca; 22.40

Harry wziął małą torbę, którą dała mu Adrianna, kiedy opuszczał hotel w Como, i ruszył pomostem ku ulicy wraz z garstką ostatnich pasażerów wodolotu. Przed sobą miał oświetloną budkę kasy Navigazione Lago di Como, pustą już o tej porze i częściowo schowaną w gęstym letnim listowiu.

Dalej widać było uliczne lampy i hotel Du Lac po przeciwnej stronie ulicy. Znajdzie się tam za minutę, najwyżej dwie.

Rejs z Como – z przystankami w miasteczkach Argegno, Lezzeno, Lenno i Tremezzo – zupełnie zszargał mu nerwy.

Przed każdym przystankiem spodziewał się wejścia na pokład policjantów z bronią, sprawdzających dokumenty podróżnych. Nikt się jednak nie zjawił. W końcu za Tremezzo, już przed Bellagio, Harry zaczął się rozluźniać, podobnie jak reszta pasażerów. Po raz pierwszy od początku tej całej historii przestał wietrzyć niebezpieczeństwo. Nie czuł się ścigany. Jego uwagę zajmował tylko warkot silników i szum wody przepływającej pod kadłubem statku.

Uczucie to towarzyszyło mu również teraz, kiedy szedł

pomostem w leniwym ciepłe wieczoru, jako jeden z pasażerów wodolotu, zwyczajny turysta. Poczuł, jaki jest zmęczony fizycznie i emocjonalnie. Miał ochotę położyć się, wyłączyć i spać przez tydzień bez przerwy. Ale to nie tutaj. Był przecież w Bellagio. W centrum poszukiwań prowadzonych przez Gruppo Cardinale. A szukali nie tylko Danny'ego. Powinien mieć się na baczności jeszcze bardziej niż do tej pory.

– Mi scuzi, padre.

Z ciemności wynurzyło się nagle dwóch umundurowanych policjantów z przewieszonymi przez ramię automatami. Byli młodzi; pierwszy z nich zastąpił mu szybko drogę. Harry zatrzymał się. Inni pasażerowie minęli go i został sam.

– Come si chiama? Jak się pan nazywa? – zapytał funkcjonariusz.

Harry spoglądał to na jednego, to na drugiego. No i masz.

Albo pójdzie krok dalej i odegra rolę przygotowaną dlań przez Eatona, albo wszystko na nic.

– Come si chiama?

Wciąż jeszcze wyglądał mizerniej niż Harry Addison z kasety. Na zdjęciu w paszporcie miał brodę. Może się uda.

– Przepraszam – powiedział z uśmiechem po angielsku.

– Nie znam włoskiego.

– Americano?

– Tak. – Uśmiechnął się ponownie.

– Proszę tu podejść – powiedział drugi policjant po

angielsku.

Harry przeszedł za nim przez chodnik; stanęli w świetle lampy z kasy biletowej.

– Ma pan paszport?

– Oczywiście.

Harry sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i poczuł pod palcami paszport od Eatona. Zawahał się chwilę.

– Passaporpo – ponaglił go szorstko pierwszy policjant.

Harry powoli wyjął paszport z kieszeni i podał go temu, który mówił po angielsku. Policjanci kolejno oglądali dokument. Po przeciwnej stronie ulicy, niemal na wyciągnięcie ręki, był hotel i tętniący życiem kawiarniany ogródek.

– Saeo.

Pierwszy policjant pokazał na jego torbę i Harry podał mu ją bez wahania. Jednocześnie spostrzegł, że przed wejściem do hotelu zatrzymuje się policyjny samochód, którego kierowca patrzy w ich stronę.

– Ksiądz Jonathan Roe? – Drugi policjant zamknął paszport, lecz nie oddawał go.

– Zgadza się.

– Jak długo jest ksiądz we Włoszech?

Harry myślał przez chwilę. Jeżeli powie, że był już w Rzymie, Mediolanie, Florencji czy w ogóle gdziekolwiek we Włoszech, zapytają, gdzie się zatrzymał. Jeżeli poda jakieś miejsce, jeśli uda mu się jakieś wymyślić, mogą to łatwo sprawdzić.

– Przyjechałem dziś po południu, pociągiem ze Szwajcarii.

Obaj mundurowi przyglądali mu się uważnie, lecz milczeli.

Modlił się w duchu, żeby nie kazali mu pokazać biletu albo nie zapytali, gdzie był w Szwajcarii.

W końcu odezwał się ten drugi.

– Po co przyjechał ksiądz do Bellagio?

– Jestem turystą. Od lat się tu wybierałem, no i wreszcie... – uśmiechnął się – trafiła się okazja.

– Gdzie się ksiądz zatrzyma?

– W hotelu Du Lac – Harry wskazał głową pobliski budynek.

– Już późno. Ma ksiądz rezerwację?

– Ktoś miał mi to załatwić. Mam nadzieję, że nie zapomniał...

Policjanci przyglądali mu się w dalszym ciągu, jakby niepewni, co począć. Kierowca policyjnego wozu też ich obserwował. Dla Harry'ego ta chwila była udręką, ale nie mógł zrobić nic innego, jak czekać na ich następny ruch.

Nagle drugi policjant zwrócił mu paszport, –  
Przepraszamy za kłopot, ojcze.

Jego kolega oddał Harry'emu torbę i obaj cofnęli się o krok, pokazując gestem, że może iść.

– Dziękuję – powiedział, wsunął paszport do kieszeni i zarzucił sobie torbę na ramię. Minał ich, zaczekał, aż ulicą przejedzie skuter, i przeszedł na drugą stronę do hotelu.

Wiedział doskonale, że wciąż jest obserwowany ze

stojącego radiowozu.

Kiedy za ladą hotelową pojawił się nocny recepcjonista, Harry zaryzykował i obejrzał się przez ramię. Wóz policyjny właśnie odjeżdżał.

W ogródku kawiarni hotelu Du Lac siedział przy stoliku w głębi przystojny mężczyzna o przejrzystych niebieskich oczach. Pod czterdziestkę, ubrany w luźne džinsy i lekką džinsową koszulę. Siedział tam przez większość wieczoru, odpoczywając, popijając czasami łyk piwa i przyglądając się przechodniom.

Podszedł do niego kelner w białej koszuli i czarnych spodniach i wskazał na pustą szklankę.

– Ja – odparł Thomas Alvarez-Rios Kind, a kelner skłonił się i odszedł.

Thomas Kind nie wyglądał już tak jak przedtem. Kruczoczarne włosy przefarbował sobie na jasny blond, brwi także.

Mógł uchodzić za Skandynawa lub nieco podstarzałego, lecz wciąż trzymającego formę surfera z Kalifornii. W paszporcie natomiast był Holendrem; przed południem zameldował się w hotelu Florence jako Frederick Voor, sprzedawca programów komputerowych, zamieszkały w Amsterdamie przy Bloemstraat dziewięćdziesiąt pięć.

Przed trzema godzinami Gruppo Cardinale ogłosiła, że poszukiwania amerykańskiego księdza Daniela Addisona w okolicach Bellagio zostały zakończone, a informacja, jakoby go tu widziano, okazała się fałszywa. Mimo to pilnowano wszystkich dróg w tym rejonie, co oznaczało, że policja jeszcze do końca nie zrezygnowała. Nie

zrezygnował też Thomas Kind. Doświadczenie kazało mu pozostać na miejscu i obserwować ludzi nadchodzących od strony przystani, gdy przyływały kolejne wodoloty. Postępował według podstawowej zasady, którą stosował jeszcze jako młody rewolucjonista i zabójca w Ameryce Południowej. Trzeba wiedzieć, kogo się szuka. Znaleźć miejsce, w którym prawdopodobnie będzie musiał się pojawić. A potem uzbroić się w cierpliwość i czekać w tym miejscu, praktykując trudną sztukę obserwacji. Dzisiaj, jak wiele już razy przedtem, metoda się sprawdziła.

Ze wszystkich osób, jakie w ciągu wielu godzin przewinęły się przed jego oczami, najbardziej obiecujący był jak dotąd brodaty ksiądz w czarnym berecie, który przyplął ostatnim wodolotem.

Nocny portier, prawie łysy mężczyzna w średnim wieku, otworzył drzwi do pokoju trzysta dwadzieścia siedem, włączył nocną lampkę i postawiwszy torbę Harry'ego obok łóżka, wręczył mu klucz.

– Dziękuję. – Harry sięgnął do kieszeni po napiwek.

– No, padre, grazie – odparł portier z uśmiechem, po czym opuścił spieszenie pokój, zamykając za sobą drzwi.

Harry przekręcił w nich klucz – weszło mu to już w krew – odetchnął głęboko i rozejrzał się po pokoju.

Meble były dość zużyte, lecz jeszcze nie zniszczone. Podwójne łóżko, krzesło, komoda, stolik do pisania, telefon, telewizor.

Zdjął marynarkę i przeszedł do łazienki. Puścił zimną

wodę, zmoczył dłoń i pomasował nią sobie kark. Po chwili podniósł głowę i ujrzał swoją twarz w lustrze. To już nie były te same oczy, które wpatrywały się weń z taką intensywnością całe wieki temu, kiedy się kochał z Adrianną; w jego wzroku było teraz więcej lęku i osamotnienia, ale też więcej siły i determinacji.

Odwrócił się od lustra i wszedł do pokoju, spoglądając po drodze na zegarek.

23.10

Podszedł do łóżka i otworzył torbę, którą dostał od Adrianny. Było w niej coś, co przegapili policjanci, pośpiesznie przeszukując bagaż. Kartka z hotelowego bloczku do pisania, z numerem telefonu Edwarda Mooi.

Podniósł słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu i po krótkim wahaniu wybrał numer. Usłyszał sygnał. Jeden, drugi. Po trzecim ktoś odebrał.

– Pronto – rozległ się męski głos.

– Przepraszam, że telefonuję tak późno. Chciałbym mówić z Edwardem Mooi.

Na chwilę zapadła cisza.

– Edward Mooi, słucham.

– Moje nazwisko Jonathan Roe, jestem amerykańskim księdzem z Georgetown University. Właśnie przyjechałem do Bellagio.

– Ale o co chodzi? – W głosie czuło się ostrożność.

– Telefonuję w sprawie obławy na księdza Addisona... widziałem w telewizji...

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Jestem księdzem ze Stanów, pomyślałem, że może mógłbym pomóc.

– Przykro mi, proszę księdza, ale ja o niczym nie wiem. To wszystko była pomyłka. Proszę wybaczyć, ale...

– Jestem w hotelu Du Lac. Pokój trzysta dwadzieścia siedem.

– Życzę dobrej nocy.

Mooi odłożył słuchawkę.

Harry też się rozłączył. Po ostatnich słowach Edwarda Mooi usłyszał cichutki trzask. Jego obawy się potwierdziły – policja podsłuchiwała.

Bellagio.  
Wtorek, 14 lipca; 4.15

Siostra Elena Voso stała w głównym tunelu jaskini, słuchając plusku wody na granitowych ścianach i oczekując z nadzieją powrotu Luki i pozostałych.

Sklepienie jaskini znajdowało się sześć, a może więcej metrów ponad jej głową. Szeroki korytarz, w którym się znajdowała, biegł jeszcze jakieś trzydzieści metrów, aż do kanału i przystani dla łodzi. Przez całą jego długość pod obiema ścianami wykuto w skale prymitywne ławy, spękane i mocno już nadgryzione zębem czasu. Zmieściłoby się na nich ze dwieście osób. Zastanawiała się, czemu mogły służyć – a może miejsce to było kryjówką dla jakiejś większej liczby ludzi. A jeśli tak, to kto je stworzył i kiedy. Może Rzymianie? Albo jeszcze starsze ludy? Jakiegolwiek były początki tego miejsca, jaskinia – a właściwie ciąg jaskiń – miała obecnie wygląd zupełnie nowoczesny. Doprowadzono tu prąd, wentylację, telefon i bieżącą wodę, urządzono niewielką kuchnię i duży pokój dzienny, do którego przylegały co najmniej trzy apartamenty z luksusowo wyposażonymi łazienkami, gabinetami do masażu i sypialniami.

Gdzieś w tych podziemiach mieściła się podobno, choć Elena jej nie widziała, jedna z najzasobniejszych w

Europie piwnic winnych.

Przyprowadził ich tutaj w niedzielę wieczorem, zaraz po przybyciu do Villa Lorenzi, Edward Mooi, erudyta o łagodnym głosie. Sam stanął za kołem sterowym lśniącej, płaskodennej łodzi motorowej i popłynęli w ciemności na południe.

Łódź przez dobre dziesięć minut trzymała się brzegu jeziora, aż nagle Mooi skręcił w wąski przesmyk w gładkiej, wydawałoby się, nagiej ścianie skalnej. Lawirując wśród skał i zwieszającej się z góry roślinności, dopłynął w końcu do wylotu jaskini.

Kiedy znaleźli się w środku, poeta włączył silny reflektor na dziobie i popłynęli labiryntem kanałów, by dotrzeć w końcu do przystani, dziesięciometrowej platformy wykutej w skale na końcu korytarza, w którym stała teraz Elena.

Wyładowano zapasy, a potem pacjent ze swą pielęgniarką zostali umieszczeni w jednym z apartamentów. Składał się on z dwóch pokoi – sypialni, gdzie zamieszkała Elena, i małego salonu, gdzie spał teraz Michael Roark – przedzielonych luksusową łazienką, wykutą w ścianie jaskini i wyłożoną częściowo marmurem, z akcentami złota na metalowych częściach.

Jaskinia, czy też grotto, jak nazywał ją Mooi, znajdowała się w obrębie posiadłości należącej do Villa Lorenzi, a odkrył ją przed wieloma już laty sam sławny właściciel, czyli Eros Barbu. Pierwszym jego przedsięwzięciem było założenie tu olbrzymiej piwnicy

win. Potem dodał do niej część mieszkalną, zbudowaną przez robotników sprowadzonych aż z Meksyku, gdzie pracowali w innej jeszcze posiadłości pisarza i dokąd po wykonaniu zadania wrócili. Dzięki temu istnienie podziemi mogło zostać utrzymane w tajemnicy, szczególnie wobec miejscowych. W wieku sześćdziesięciu czterech lat Eros Barbu był nie tylko wybitnym i odnoszącym sukcesy pisarzem, lecz także człowiekiem sławnym ze względu na legendę odzwierciedlającą wiernie jego imię. Podziemna rezydencja stała się bowiem sekretnym miejscem intymnych spotkań i erotycznych igraszek z niektórymi z najpiękniejszych i najznamienitszych kobiet świata.

Niezależnie od historii tego miejsca, dla Eleny oznaczało ono jednak tylko lęk i osamotnienie. Wciąż widziała przed sobą rozszerzone przerażeniem i wściekłością oczy Luki, kiedy odebrał telefon. Jego żona nie żyła; torturowano ją, a potem spalono na węgiel w pożarze wywołanym celowo w mieszkaniu, gdzie spędzili całe swoje wspólne życie. Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości Luca wyjechał. Chciał wrócić do Pescary, żeby wziąć udział w pogrzebie i zająć się trójką dzieci. Marco i Pietro postanowili mu towarzyszyć.

„Niech was Bóg błogosławi” – pożegnała ich, gdy wyruszali do Bellagio, skąd mieli popłynąć pierwszym wodolotem do Como. Wsiedli do małej dinghy z motorkiem – jedyne go środka transportu, jakim tu dysponowali – i po chwili zniknęli w ciemnym korytarzu.

Dlatego była teraz sama, tylko z Michaelem Roarkiem, śpiącym w swoim pokoju, i modliła się, by usłyszeć wreszcie odgłos powracającej łodzi. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był jednak łagodny plusk wody spływającej po skalnych ścianach.

Odwróciła się, by wrócić do apartamentu; w nagłym odruchu postanowiła bowiem, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zatelefonować do matki przełożonej w Sienie, opowiedzieć jej o wszystkim i zapytać, co ma robić dalej. Wtem do jej uszu dobiegł odległy warkot silnika, odbity echem od ścian jaskini.

Pewna, że ujrzy Lukę i pozostałych, ruszyła niemal biegiem z powrotem ku przystani. Po chwili zobaczyła jasny snop światła, usłyszała, jak silnik zwalnia obroty, i z mroku wynurzył się błyszczący kadłub płaskodennej motorówki.

Na dziobie stał Edward Mooi.

Przez burzę łodzi zeskokczyły na skalną platformę trzy osoby. Oprócz Edwarda Mooi jeszcze jeden mężczyzna i kobieta. Elena widziała ich po raz pierwszy.

– Tamci wyjechali – oznajmiła szybko.

– Wiem. – W oczach Mooi, kiedy przedstawiał jej swych towarzyszy, kryło się napięcie. Oboje byli długoletnimi, zaufanymi pracownikami Erosa Barbu i mieli zająć się Michaeliem Roarkiem, podczas gdy ona uda się do Bellagio.

– Do Bellagio? – powtórzyła zdumiona.

– Chcę, żebyś się tam z kimś spotkała. Z księdzem z Ameryki. I przywiozła go tutaj.

– Tutaj, do grotto!

– Tak.

– Ale dlaczego ja? Nie możecie sami pojechać? – zapytała, zwracając się do całej trójki.

– Nas w Bellagio wszyscy znają, a ciebie nie...

Ponownie spojrzała na przybyłą parę. Salvatore i Marta, przedstawił ich Mooi. Milczeli, odwzajemniając tylko jej spojrzenie. Oboje mieli pod pięćdziesiątkę. Salvatore opalony, Marta nie. Najpewniej on pracował na dworze, a ona w domu. Oboje mieli na palcach ślubne obrączki, ale nie sposób było stwierdzić, czy są małżeństwem. Nie miało to jednak znaczenia; ich wzrok natomiast mówił wszystko. Byli wystraszeni i zaniepokojeni, lecz

jednocześnie czujni i zdecydowani. Widać było, że zrobią wszystko, co im każe Mooi.

– Kto to jest ten ksiądz? – zapytała.

– Jest krewnym Michaela Roarka – odparł cicho Edward Mooi.

– To nieprawda. – Mówiąc to, Elena powzięła nagłą decyzję. Nie czuła strachu, lecz złość, że nie powiedzieli jej tego wcześniej. Ani Luca, Marco czy Pietro, ani jej własna matka przełożona. – Żaden Michael Roark nie istnieje, a jeśli nawet, to na pewno nie jest nim on. – Wskazała gestem drzwi pokoju, w którym spał jej podopieczny. – To ojciec Daniel Addison, duchowny z Watykanu, którego szukają za zamordowanie kardynała Parmy.

– Grozi mu poważne niebezpieczeństwo, siostrze Eleno – powiedział łagodnie Mooi, nie odpowiadając bezpośrednio na jej oskarżenie. – Dlatego otrzymał nowe nazwisko i dlatego musi się ukrywać...

– Dlaczego go ochraniać? – Elena spojrzała mu prosto w oczy.

– Poproszono nas o to.

– Kto poprosił?

– Eros Barbu.

– Sławny pisarz ukrywa mordercę?

Mooi nie odpowiedział.

– Czy Luca i inni wiedzieli? A moja matka przełożona?

– Elenie nie mieściło się to wszystko w głowie.

– Właściwie... nie wiem. – Mooi zmrużył oczy. – Ale

wiem, że policja przez cały czas nas obserwuje. Dlatego proszę, żebyś ty pojechała do Bellagio. Jeśli któreś z nas spotka się z księdzem, to albo nas na miejscu aresztują, albo będą śledzić.

– Ten ksiądz – domyśliła się Elena – to brat ojca Addisona, tak?

– Tak sędzę.

– I ja mam go tu przyprowadzić?

Mooi skinął głową.

– Łądem – wyjaśnił. – Jest jeszcze jedna droga, którą ci pokażę.

– A jeżeli się zgłoszę na policję?

– Przecież nie wiesz na pewno, czy ojciec Daniel jest rzeczywiście mordercą... Widziałem, jak troskliwie się nim zajmujesz. – Edward Mooi miał oczy poety. Wpatrywały się w nią przenikliwie, lecz jednocześnie szczerze i z ufnością. – To twój podopieczny; jestem przekonany, że go nie wydasz.

Edward Mooi stanął w szlafroku, boso i ze zmierzwionymi włosami w drzwiach stróżówki przy bramie i wzruszywszy tylko ramionami, wpuścił do środka Roscaniego i jego armię.

Ekipa składała się z agentów Gruppo Cardinale, uzbrojonych po zęby carabinieri i specjalnego wojskowego zespołu tropiącego z psami, pięcioma belgijskimi owczarkami malinois. Zamierzali przeszukać ponownie Villa Lorenzi.

Przeczesali więc jeszcze raz: główny, wielki jak pałac budynek, dobudowane doń skrzydło z szesnastoma pokojami dla gości, prywatne mieszkanie Erosa Barbu w symetrycznym skrzydle, a na koniec sutereny i piwnice. Psy wszędzie były pierwsze, szukając zapachu z ubrań przysłanych samolotem z Rzymu – z mieszkania ojca Daniela przy Via Ombrellari i z pokoju Harry’ego Addisona w hotelu Hassler.

Następnie przeszukali wielką kopulastą budowlę za rezydencją. Mieścił się tutaj kryty basen i kort tenisowy, a na piętrze ogromna sala balowa ze złożonym sufitem. Potem spenetrowali garaż na osiem samochodów, mieszkania obsługi, bliźniacze parterowe budyneczki gospodarcze, a na koniec mającą trzy czwarte akra

szklarnię-oranżerię.

Roscani towarzyszył ekipie przez cały czas. Rozluźniwszy krawat i rozpiąwszy koszulę, przemierzał pokój za pokojem, budynek za budynkiem, kierując operacją, bacznie obserwując psy, otwierając jako pierwszy kolejne szafy, wypatrując dodatkowych paneli ściennych, zaglądając dosłownie pomiędzy ściany i pod podłogi, osobiście doglądając wszystkiego.

A jednocześnie błędził wciąż myślą wokół morderstw w Pescarze i człowieka ze szpikulcem do lodu. Kto to był? Przed wyjazdem do Bellagio wysłał pilną wiadomość do kwatery głównej Interpolu w Lyonie, prosząc o listę terrorystów i zawodowych zabójców przebywających prawdopodobnie na wolności w Europie, wraz z domniemanymi miejscami ich pobytu i ewentualnie sylwetkami psychologicznymi.

– Wszystko już pan obejrzał, Ispettore Capo! – Edward Mooi wciąż był w szlafroku.

Roscani podniósł głowę, uświadamiając sobie nagle, gdzie się znajduje. Stali obaj u szczytu schodów w należącym do willi hangarze dla łodzi. Na zewnątrz poranne słońce malowało już na spokojnej toni jeziora pierwsze jaskrawe blaski, tutaj jednak panował jeszcze półmrok. Na dole dwa malinois węszyły, powarkując przy burcie dużej motorówki przycumowanej do pomostu. Ich opiekunowie pozwalali im na to, a wszystkiemu przyglądali się bacznie czterej carabinieri z bronią. Roscani też zaczął się przyglądać poszukiwaniom,

zerkając spod oka na Edwarda Mooi, który także obserwował psy.

Wreszcie dały za wygraną i zaczęły kręcić się bez celu po pomoście. Jeden z prowadzących spojrział w górę ku inspektorowi i pokręcił głową.

– Grazie, signore – zwrócił się Roscani do Edwarda Mooi.

– Prego. – Poeta skinął głową i odwróciwszy się, ruszył ścieżką prowadzącą do willi.

– Wystarczy – zawołał Roscani do prowadzących psy.

Obaj wojskowi wraz ze swymi podopiecznymi, a za nimi czwórka karabinierów, wspięli się po schodach i odeszli w tę samą stronę co Mooi, ku stojącej przed domem kolumnie policyjnych wozów.

Roscani z wolna ruszył ścieżką za nimi. Spędzili w posiadłości ponad dwie godziny i niczego nie znaleźli. Dwie godziny na marne. Pomylił się, no i trudno. Chciał już zostawić ten trop i ruszyć dalej. A jednak...

Odwrócił się i spojrział w lewo. Zobaczył hangar, a za nim jezioro. Na prawo ekipa z psami już dochodziła do willi.

Edwarda Mooi nie było widać.

Co mógł przegapić?

Na lewo od willi widniało kamienne nabrzeże, odgrodzone ozdobną balustradą. To tam, według słów kapitana wodolotu, wysiedli jego pasażerowie wraz ze zbiegłym księdzem.

Wzrok Roscaniego powędrował z powrotem ku

hangarowi. Nieobecnym gestem uniósł do ust dwa palce, pociągając wyimaginowanego papierosa. A potem, z oczami wciąż utkwionymi w budynek, rzucił nieistniejący niedopałek na ziemię, zgasił go czubkiem buta i wrócił do hangaru.

Ze szczytu schodów widział jedynie przycumowaną motorówkę i jej wyposażenie, a dalej prostokątny otwór bramki prowadzącej na jezioro. Tak jak poprzednio.

Po chwili zszedł na dół i przeszedł pomostem wzdłuż łodzi. Od dziobu do rufy. I z powrotem. Szukał, sam nie wiedząc czego. Wszedł na pokład. Obejrzał burty, siedzenia, kokpit. Psy coś zwęszyły, ale niczego nie znalazły. On też nie widział niczego szczególnego. Łódź to łódź. Marnował tylko czas. Miał już przestąpić burtę i zejść na pomost, kiedy przyszło mu do głowy coś jeszcze. Wrócił na rufę i przyjrzał się zamocowanym tam dwóm silnikom Yamaha. Klęknąwszy, sięgnął za burtę i uważnie przejechał dłonią po blaszanych osłonach.

Obie były ciepłe.

Elena Voso przeszła przez placyk i skierowała się na schody prowadzące w dół, do jeziora. Po obu stronach zejścia otwarte już były sklepiki dla turystów. Sprzedawcy i klienci wyglądali na zadowolonych z życia, cieszących się nowym dniem.

Zobaczyła jezioro i przecinające je we wszystkich kierunkach łódzie. Po drugiej stronie ulicy biegnącej u podnóża schodów znajdowała się przystań dla wodolotów. Elena była ciekawa, czy pierwszy wodolot już przyплыł. Czy Luca, Marco i Pietro są już w Como albo nawet na dworcu, czekając na pociąg do Mediolanu. Na ulicy w dole było jeszcze coś: hotel Du Lac. A ona ciągle nie wiedziała, co zrobi, gdy się tam znajdzie.

Kiedy Edward Mooi odpłynął motorówką, Elena zaprowadziła Salvatore i Martę do Michaela Roarka, czy raczej ojca Daniela, jak musiała go teraz nazywać. Nie spał już.

Uniósł się na łokciu i przyglądał wchodzącym. Elena przedstawiła towarzyszącą jej parę jako przyjaciół i wyjaśniła, że musi na krótko wyjść, a oni będą się nim zajmować podczas jej nieobecności. Ojciec Daniel nic nie odpowiedział, choć zaczynał już odzyskiwać panowanie nad strunami głosowymi i czasami krótko rozmawiali.

Jego oczy natomiast patrzyły badawczo w oczy Eleny, jakby się zorientował, że ona już wie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała w końcu i zostawiła go z Martą, która stwierdziła, że trzeba mu zmienić bandażę i że zrobi to sama. Co znaczyło, że ma pewne doświadczenie pielęgniarskie.

A potem Salvatore poprowadził Elenę do nieznannej jej części jaskini. Droga, klucząca labiryntem skalnych korytarzy, kończyła się przy klatce windy, która wyniosła ich wykutym w granicie szybem kilkadziesiąt metrów w górę.

Wysiedli z windy w gęstych zaroślach i zeszli leśną ścieżką do drogi pożarowej. Tam Salvatore pomógł Elenie wsiąść do małej rolniczej ciężarówki, wytłumaczył, jak dojechać do Bellagio i co zrobić, kiedy już tam dotrze.

Dotarła więc i stała teraz u podnóża schodów naprzeciwko hotelu Du Lac, a wszędzie wokół pełno było policjantów.

Po drugiej stronie ulicy, obok przystani, zobaczyła karetkę pogotowia i trzy policyjne wozy oraz okazały tłum gapiów.

Po lewej był skwerek z budką telefoniczną, z której miała zatelefonować do hotelu, do brata ojca Daniela.

– Ktoś się utopił – powiedziała jakaś kobieta.

Obok Eleny zbiegali ze schodów ludzie śpieszący zobaczyć, co się stało.

Patrzyła przez chwilę w tę stronę, a potem spojrzała na budkę telefoniczną. Edward Mooi powiedział, że ojciec

Daniel jest jej podopiecznym. Może i tak, lecz rozsądek podpowiadał jej, że kiedy tylko nadarzy się sposobność, powinna zgłosić się na policję. To, czy matka przełożona wiedziała o wszystkim, nie miało teraz znaczenia. Podobnie jak to, co ojciec Daniel zrobił, czy czego nie zrobił. Od tego było prawo. Poszukiwano go w każdym razie za morderstwo, i jego brata też. A policję miała przed sobą. Wystarczyło podejść.

I podeszła, rezygnując z rozmowy telefonicznej. Gdy przeszła przez ulicę, w tłumie nad brzegiem jeziora podniósł się gwar. Do zbiegowiska dołączali wciąż nowi ludzie.

– Patrzcie! – zawołał ktoś i Elena ujrzała policyjnych nurków, którzy parę metrów od przystani wyciągali właśnie z wody jakieś zwłoki. Przejęli je mundurowi na brzegu i ułożyli na pomoście. Któryś podszedł do trupa, by go zakryć kocem.

Nastąpiła owa odbierająca dech w piersiach chwila, nie kończąca się sekunda, kiedy to każde zbiegowisko zamiera w bezruchu i milczeniu. Siostra Elena Voso też stanęła jak wryta. Znała tego mężczyznę, którego ciało wyłowiono z wody.

To był Luca Fanari.

Harry przyglądał się jeszcze przez chwilę zbiegowisku na dole, a potem odwrócił się od okna z powrotem do ekranu telewizora. Przed siedzibą Światowej Organizacji Zdrowia w Genewie stała w strugach deszczu Adrianna, w swojej polowej kurtce i baseballowej czapeczce. Z Chin nadchodziły sensacyjne wiadomości, ujawniano nowe szczegóły. Nieoficjalne doniesienia z Hefei w środkowych Chinach mówiły o tragicznej w skutkach awarii tamtejszych ujęć wody; miały się nią jakoby zatruć tysiące osób, mówiono już o sześciu tysiącach ofiar śmiertelnych. Zarówno agencja Sinhua, jak i New China News Agency stanowczo zaprzeczały na razie tym doniesieniom, nazywając je „nie potwierdzonymi pogłoskami”.

Harry wyłączył fonię i głos Adrianny umilkł. Cóż ona, u diabła, robiła w Genewie, opowiadając o jakichś nie potwierdzonych pogłoskach?

Rzucił nerwowe spojrzenie za okno. Potem na zegarek.

8.20

Nikt nie telefonował. Czy Edward Mooi przypomniał sobie o faksie? A Adrianna, zamiast być z nim w Bellagio, pojechała sobie do Genewy. Nagle poczuł się, choć było to idiotyczne, zupełnie opuszczony. Pozostawiony samemu sobie w hotelowym pokoiku, podczas gdy świat kręcił się dalej.

Odwrócił się znów do okna. Akurat po drugiej stronie

ulicy zatrzymał się policyjny samochód. Wyszli z niego trzech detektywi w cywilu i skierowali się ku przystani. W Harrym zamarło serce. Pierwszym z tej trójki był Rosciani.

Odruchowo odsunął się od okna. Niemal w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Nerwy miał już napięte jak postronki. Pukanie się powtórzyło.

Harry podbiegł do łóżka, otworzył walizkę i wyjął kartkę z numerem telefonu Edwarda Mooi. Podarł ją szybko na kawałki i wrzucił do ustępu.

Ktoś zapukał jeszcze raz. Tym razem delikatniej. Nie było to z pewnością natarczywe łomotanie policji. Harry trochę się uspokoił. To na pewno Eaton, pomyślał. Podeszedł do drzwi i otworzył.

Zobaczył młodą zakonnice.

– Ojciec Roe? – zapytała.

– ...Tak – odparł po chwili wahania.

– Jestem siostra Elena Voso. – Mówiła po angielsku z silnym włoskim akcentem, lecz zrozumiale. Harry wpatrywał się w nią, niepewny, co powiedzieć. – Czy mogę wejść?

Spojrzał ponad jej ramieniem w głąb korytarza. Nikogo tam nie było.

– Oczywiście, proszę. – Cofnął się o krok, a ona weszła, zamykając za sobą drzwi.

– Ksiądz dzwonił do Edwarda Mooi, prawda? – zapytała ostrożnie.

Potwierdził skinieniem.

– Przyszłam, żeby księdza zabrać do brata.

- Nie rozumiem – wytrzeszczył oczy ze zdumienia.
- Proszę się nie bać – wyczuła jego niepewność i obawę. – Nie jestem z policji.
- Przykro mi, ale nie wiem, o czym siostra mówi.
- Jeżeli mi ksiądz nie dowierza, to proszę tylko iść za mną. Zaczekam na schodach do miasta. Brat księdza jest chory. Proszę... panie Addison.

Harry sprowadził ją na dół tylnymi schodami i otworzył drzwi prowadzące do korytarza na zapleczu hotelu.

Uscita, wyjście – głosił napis przy strzałce na ścianie.

Harry zawahał się. Zamierzał opuścić hotel tylnym lub bocznym wejściem, w żadnym wypadku nie głównym, wprost na ulicę, gdzie był Roscani ze swoimi ludźmi. Innych znaków jednak nie było, poszedł więc tak, jak wskazywała strzałka. Po półminucie otworzył jakieś drzwi i znalazł się w hotelowym holu. A więc na zewnątrz prowadziło tylko jedno wyjście.

– Niech to szlag – wydyszał.

Przy kontuarze stało kilka osób. Obok jakiś pulchny mężczyzna prowadził ożywioną rozmowę z szefem recepcji.

Harry rozejrzał się. Jeżeli było tu nawet inne wyjście, nie miał pojęcia, jak je znaleźć. W tym momencie otworzyły się drzwi windy i wysiadły z niej dwie starsze pary, a za nimi portier hotelowy z załadowanym bagażami wózkiem. Jeżeli zaraz wyjdą, to będzie odpowiednia chwila.

Wziąwszy Elenę pod ramię, Harry tak mierzył kroki, żeby trzymać się tuż za portierem. Przy drzwiach zachęcił go gestem, żeby wyszedł pierwszy. Portier skinął głową i przepchnął się z wózkiem przez wahadłowe drzwi. Harry i Elena tuż za nim. W oczy uderzyło ich ostre słońce.

Skręcili szybko w lewo i poszli chodnikiem wśród innych przechodniów.

– Buon giorno – uchylił przed nimi kapelusza jakiś mężczyzna. Uśmiechnęła się do nich para młodych ludzi.

Szli dalej.

– W lewo, na schody – powiedziała spokojnie Elena.

Wtem Harry zobaczył Roscaniego, idącego chodnikiem od przystani, tak jak on wczoraj. Inspektor szedł szybko, dwaj detektywi tuż za nim. Harry przysunął się do Eleny tak żeby zasłaniała go chociaż trochę przed wzrokiem policjantów.

Byli niemal na rogu; widział już schody, o których mówiła zakonnica. Nagle Roscani uniósł głowę i spojrzał wprost na niego. Elena natychmiast zaczęła coś mówić po włosku.

Niczego z jej słów nie rozumiał, ona jednak gestykulowała z ożywieniem, pokazując przed siebie, jakby mu tłumaczyła, że muszą koniecznie iść w tę stronę. Przy schodach pociągnęła go gwałtownie w lewo, w jej głosie słysząc teraz było pretensję. Za chwilę już uśmiechała się do starszego pana, schodzącego z góry.

Znaleźli się wśród tłumu przechodniów. Wchodzili coraz wyżej, mijając sklepiki i kafejki. Dopiero kiedy znaleźli się u szczytu schodów, Harry uznał, że może się obejrzeć. Nic:

Ani policji. Ani Roscaniego. Tylko turyści. Sami cywile.

– Ci ludzie, co szli od przystani, to byli policjanci –

oznajmiła Elena.

– Wiem. – Spojrzał na nią, nie zatrzymując się. I po raz pierwszy przyszło mu do głowy pytanie, kim ona właściwie jest i dlaczego robi to, co robi.

Zmieniając ze zgrzytem bieg, Harry skręcił za róg, znów wrzucił trójkę i przyśpieszył na wąskiej ulicy. Ciężarówka była stara i zdezelowana, sprzęgło i dźwignia biegów poddawały się z trudem. Zgrzytnąwszy ponownie biegami, skręcił obok parku i po chwili znaleźli się za miastem.

– Niech siostra powie mi coś o bracie – oderwał wzrok od drogi i spojrzał na zakonnicę, próbując się zorientować, czy rzeczywiście coś wie.

– Ma złamane obie nogi, poparzoną głowę i tors. Przeżył bardzo poważny wstrząs. Teraz już z nim lepiej, może jeść stały pokarm i trochę mówi. Pamięć wraca mu na razie tylko chwilami, ale to jest normalne. Jest bardzo słaby, jednak wychodzi z tego. Sądzę, że wydobrzeje.

Więc Danny żyje! Harry odetchnął głęboko z ulgą. Uzmysłował sobie wreszcie, że to prawda, i poczuł zalewającą go falę emocji. Nagle zobaczył, że auta przed nimi zwalniają i zatrzymują się.

– Carabinieri – wyjaśniła Elena.

Chwycił za dźwignię biegów. Rozległ się głośny zgrzyt, gdy zredukował do dwójki i zatrzymał się tuż przed białą lanią, ostatnią w rzędzie pojazdów czekających na policyjną kontrolę.

Dwóch karabinierów uzbrojonych w uzi sprawdzało po kolei wszystkie pojazdy, w miarę jak podjeżdżały do ich posterunku. Dwóch innych stało z boku, obserwując całą scenę.

Samochód przed nimi został przepuszczony i Harry włączył bieg. Ciężarówka szarpnęła do przodu i zatrzymała się tak, że jeden z karabinierów musiał uskoczyć, krzycząc coś do Harry'ego.

Mundurowi podeszli, każdy z jednej strony szoferki. Harry zerknął na Elenę.

– Mów coś do nich. Rozmawiaj.

– Buon giorno – jeden z funkcjonariuszy wbił wzrok w Harry'ego.

– Buon giorno – odparł z uśmiechem, a Elena zaczęła trajkotać coś po włosku z szybkością karabinu maszynowego. Pokazywała to na niego, to na ciężarówkę, to na siebie, zwracając się do obu policjantów naraz. I w ciągu kilkunastu sekund było po wszystkim. Tamci odstąpili od auta, zasalutowali sprężyście i kazali im jechać. Zgrzytając biegami i strzelając z rury wydechowej, ciężarówka minęła czwórkę mundurowych, spowijając ich błękitnym obłokiem spalin.

Harry zerknął w lusterko, potem na nią.

– Co im powiedziałaś?

– Że ciężarówka jest pożyczona, że jedziemy na pogrzeb i już jesteśmy spóźnieni... Mam nadzieję, że tak nie jest...

– Ja też. – Spojrzał z powrotem na szosę, która zaczęła

się wznosić ku odległemu wybrzeżu, a potem znów instynktownie popatrzył w lusterko. Za nimi był tylko sznur pojazdów, kolejno przepuszczanych przez policyjną blokadę.

Harry odwrócił wzrok od lusterka i spojrzał na młodą zakonnice. Wpatrywała się przed siebie, milcząca, zamyślona. Raptem odwróciła się ku niemu, jakby wiedziała, o czym myśli i o co chce ją zapytać.

– Opiekę nad pańskim bratem powierzył mi mój klasztor – oznajmiła.

– Czy siostra wiedziała, kim on jest?

– Nie.

– A w klasztorze wiedzieli?

– Tego nie wiem...

– Nie wie siostra?

– Nie.

Harry patrzył na drogę. W tej chwili Elena już przecież wiedziała, kim jest Danny, a także kim jest on sam. A jednak zdecydowała się zaangażować w całe to wymykanie się policji, grożące jej samymi kłopotami.

– Pozwoli siostra, że zadam jej głupie pytanie? Dlaczego właściwie siostra to robi?

– Sama się nad tym zastanawiam, panie Addison. – Popatrzyła na drogę, a potem spojrzenie jej brązowych oczu, przenikliwe i pełne napięcia, spoczęło na Harrym. – Niech pan się dowie, że kiedy przyjechałam do Bellagio, chciałam się zgłosić na policję. Powiedzieć im o ojcu Danielu i o panu.

I prawie to zrobiłam, tylko że... wyciągnęli z jeziora topielca, a to był człowiek, który pilnował ojca Daniela i pomagał go przewozić. Kilka godzin wcześniej zamordowano jego żonę i chciał natychmiast wrócić do domu... – Elena przerwała, tak jakby pamięć tego, co zobaczyła, była dla niej zbyt straszna. Potem zebrała się w sobie i mówiła dalej. – Powiedzieli, że się utopił. Ale czy to prawda? Było z nim jeszcze dwóch mężczyzn... Nie wiem, co się z nimi stało. No i po tym wszystkim podjęłam decyzję.

– Jaką?

Elena przez chwilę milczała.

– Co do mojej przyszłości, panie Addison. Bóg powierzył mi pracę, opiekę nad pańskim bratem. Niezależnie od wszystkiego, tylko On może mnie z niej zwolnić... To była łatwa decyzja. – Patrzyła jeszcze przez chwilę na niego, a potem zwróciła wzrok na drogę. – Tam, za tymi drzewami, jest polna droga. Niech pan skręci w prawo.

Edward Mooi stał nagi, z ręcznikiem w ręce. Ociekał wodą po kąpieli.

– Kim pan jest? Czego pan chce? – Nie słyszał otwierania drzwi i nie miał pojęcia, w jaki sposób ten blondyn w dżinsach i marynarce dostał się do mieszkania na piętrze.

Ani jak mu się udało ominąć posterunki Gruppo Cardinale, wciąż stojące na zewnątrz budynku – czy choćby w ogóle przedostać na teren posiadłości.

– Zaprowadź mnie do księdza – powiedział cicho mężczyzna.

– Wynoś się stąd natychmiast! Zaraz zawołam ochronę!  
– Mooi gniewnym gestem zawiązał w talii ręcznik.

– Nie sędzę. – Blondyn wyjął coś z kieszeni marynarki i położył na porcelanowej umywalce.

– Co to jest? – Mooi spojrzał na leżący przed nim przedmiot. Było to coś owiniętego w zieloną restauracyjną serwetkę.

– Odwiń.

Poeta spojrzał na niego, a potem powoli podniósł serwetkę i rozwinął ją.

– O Boże!

Ohydnie niebieski, zakrwawiony i spuchnięty, z

przyklepionymi zielonymi kawałkami serwetki, leżał przed nim zgrabnie obcięty ludzki język. Krztusząc się, Mooi rzucił go do zlewu i cofnął się przerażony.

– Kim pan jest?

– Kierowca karetki nie chciał rozmawiać o księdzu. Chciał natomiast walczyć. – Blondyn przeszywał go wzrokiem. – Ale ty nie będziesz walczył. Mówili w telewizji, że jesteś poetą. Nie powinno ci więc brakować inteligencji.

Dlatego wiem, że zrobisz, o co proszę, i zaprowadzisz mnie do księdza.

Edward Mooi stał z oczyma rozszerzonymi strachem.

Teraz już wiedział, przed kim ukrywali ojca Daniela.

– Wszędzie jest pełno policji. Nie przedostaniemy się...

– Zobaczymy, co się da zrobić, panie Mooi.

Roscani spoglądał na splątaną masę okrwawionych i nasiąkniętych wodą ciał i ubrań, wydobytych z jeziora. Odkrył je starszy mężczyzna, właściciel willi, w której wypiełgnowanym ogrodzie teraz się znajdowali. Technicy robili zdjęcia, sporządzali notatki i rozmawiali z gospodarzem.

Trudno było określić, kim są ci dwaj topielcy, czy raczej, kim byli. Ale Roscani wiedział bez sprawdzania; Scala i Castelletti też. To dwaj pozostali z trójki, która przywiozła wodolotem ojca Daniela Addisona do Villa Lorenzi.

Strasznie mu się chciało palić. Pomyślał, czyby nie zasepić jednego papierosa od kogoś z ekipy, lecz zamiast

tego wyciągnął z kieszeni czekoladowy wafelek w folii, odwinął go i ugryzł kawałek. Nie wiedział jeszcze, jak zostali zaszlachtowani ci dwaj, ale wiedział, że to słowo jest tu całkowicie na miejscu. Zaszlachtowani. I mógłby się założyć o roczny zapas wafelków, że to robota człowieka ze szpikulcem do lodu.

Podszedł do brzegu i spojrzał na jezioro. Coś musiał przegapić. Coś, co powinien był wywnioskować z dzisiejszych wydarzeń.

– Matko Boska! – krzyknął nagle i odwracając się ku stojącym przy samochodzie detektywom, zawołał: – Jedziemy, szybko!

Scala i Castelletti, nie pytając o nic, wskoczyli do auta.

Roscani dotarł do nich biegiem. Wsiadł i natychmiast włączył radio.

– Tu Roscani – powiedział do mikrofonu. – Zarządzam natychmiastową ochronę dla Edwarda Mooi. My już tam jedziemy.

Chwilę później Scala zawrócił szerokim łukiem, aż żwir spod kół poleciał na świeżo skoszony trawnik. Roscani siedział koło niego, Castelletti z tyłu. Żaden się nie odzywał.

Harry patrzył, jak znika światło słoneczne, przechodzące w półmrok, a potem w ciemność, i słuchał trzeszczenia zbudowanej ze stali i desek klatki, sunącej w dół skalnym kominem. Gdzieś tam na dole był Danny. Na górze została polna droga, kończąca się kolistym placykiem, i ciężarówka, którą schowali w krzakach w pobliżu.

Minęła minuta. Potem druga i trzecia. Słyszeli tylko trzeszczenie klatki i odległy pomruk elektrycznego silnika, podczas gdy winda opadała coraz niżej, mijając co kilka metrów umocowaną w skale lampę. W krótkich rozbłyskach światła Harry widział subtelny zarys ciała Eleny pod habitem, mocną linię trzymanego prosto karku, miękki łuk policzka, podkreślony kanciastym grzbietem nosa, nie zauważoną przedtem iskierkę w oczach. Wtem coś innego zwróciło jego uwagę. Woń omszałości i wilgoci. Cierpką i doskonale znajomą. Woń, której nie czuł od lat.

Wyobraźnia przeniosła go natychmiast do popołudnia w dzień jego trzynastych urodzin. Po wyjściu ze szkoły wałęsał się samotnie po lesie, wydzielającym dokładnie taki sam zapach, jaki poczuł teraz. Życie porwało ich wszystkich w swym pędzie. W ciągu niecałych dwóch lat

stracili w tragicznych wypadkach siostrę i ojca, a matka ponownie wyszła za mąż. Musieli się przeprowadzić do domu obcego im człowieka i jego pięciorga dzieci. Panował w nim chaos, a takie rzeczy jak świętowanie urodzin zniknęły pod falami zamieszania, niepewności i prób dostosowania się do nowych okoliczności.

Chociaż Harry usiłował tego nie okazywać, czuł się zagubiony, zawieszony w powietrzu. Jako starszy syn i brat powinien przewodzić rodzinie. Ale to nie była jego rodzina; miał teraz dwóch przybranych braci, starszych od siebie, i to oni tutaj rządzili.

Sytuacja taka spowodowała, że stał się milczący, obawiając się zrobić krok w jakąkolwiek stronę ze strachu, że sprawy nie ułożą się po jego myśli i będzie jeszcze gorzej.

Wycofał się do swojego świata. W nowej szkole miał niewielu kolegów, najczęściej więc wybierał samotność, dużo czytając, oglądając telewizję, kiedy nikt inny tego nie robił, albo włóczęąc się po okolicy, jak w to popołudnie.

Ten dzień był dla niego szczególnie trudny – dzień trzynastych urodzin – oficjalnie był już nastolatkiem i przestawał być dzieckiem. Nie spodziewał się żadnej uroczystości w domu; nowa rodzina najpewniej nawet nie wiedziała, że ma urodziny. Co najwyżej mógł liczyć na jakiś prezent od matki, która wręczy mu upominek tylko z Dannym w jej pokoju, tuż przed pójściem spać. Rozumiał, że matka sama czuje się zagubiona i obawia się wyróżniać

swoje dzieci wśród znacznie większej rodziny, w domu mężczyzny, którego czuła się dłużniczką. Ale przez to jego własne urodziny stawały się czymś tajemnym i zakazanym. Jak gdyby nie był ich wart albo, co gorsza, jakby istniał tylko z imienia. Wolał więc przeczekać ten dzień, wałęsając się po lesie i starając się o tym wszystkim nie myśleć.

Dopóki nie ujrzał skały.

Oddalona od ścieżek i zarośnięta częściowo krzewami, przykuła jego uwagę, gdyż zobaczył na niej jakiś napis.

Wiedziony ciekawością, wspiał się na leżący pień i przedzierał się w tamtą stronę, rozgarniając gęste listowie. Kiedy dotarł do skalnej ściany, zobaczył napis w całości – świeżo nakreślone kredą, duże wyraźne litery:

TEN, KIM JESTEM, TO JA

Instyktownie rozejrzał się, jakby oczekując, że autor tej inskrypcji jest gdzieś w pobliżu i obserwuje go. Nikogo jednak nie zobaczył. Spojrzał ponownie na napis. I im dłużej przyglądał się jego słowom, tym bardziej nabierał przekonania, że umieszczono je tu specjalnie dla niego. Myślał o tym do końca dnia i przez cały wieczór. Aż w końcu przed pójściem spać zapisał sobie te słowa w szkolnym notatniku.

Gdy to uczynił, stały się jego własnością. Jego „Deklaracją Niepodległości”. I w tym jednym, krótkim jak mgnienie momencie uświadomił sobie, że jest wolny.

TEN, KIM JESTEM, TO JA

To, kim był i kim miał się stać, zależało tylko od niego,

od nikogo więcej. I postanowił, że tak będzie zawsze, obiecał sobie nigdy nie szukać oparcia w nikim poza sobą.

W większości się to sprawdzało.

Nagle uderzyło go w oczy jaskrawe światło, wyrywając z zamyślenia. Kabina windy uderzyła mocno w dno szybu i zatrzymała się.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Elena mu się przygląda.

– O co chodzi?

– Powinien pan wiedzieć, że brat jest straszliwie wychudzony. Niech się pan nie przestraszy...

– Rozumiem. – Harry skinął głową i rozsunął drzwi metalowej klatki.

Szedł szybko za Eleną wąskimi korytarzami, oświetlonymi przez ozdobne kinkiety z brązu. Po podłodze biegła znacząca drogę linia, ułożona z zielonego ateńskiego marmuru. Sklepienie nad ich głowami podnosiło się i opadało na przemian i Harry musiał się kilka razy pochylić, by nie uderzyć w sufit głową. W końcu przedostali się ciągiem krótkich, ostro skracających przejść do centralnego korytarza, długiego i szerokiego, z wykutymi wzdłuż ścian kamiennymi ławami.

Elena skręciła w lewo i po przejściu jeszcze kilku metrów stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Zapukała lekko, powiedziała coś po włosku i pchnęła drzwi.

Weszli do środka. Salvatore i Marta poderwali się z miejsc.

I wtedy Harry go zobaczył. Niemal na środku pokoju, śpiącego na łóżku, twarzą w ich stronę. Na stelażu wisiała

kroplówka, głowę i pierś rannego spowijały bandaże. Miał brodę, tak jak on. I był, jak ostrzegała Elena, przeraźliwie chudy.

Danny.

Harry powoli podszedł do łóżka, nie odrywając oczu od brata. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to on. Lata rozłąki i zmiany w fizycznym wyglądzie nie miały znaczenia.

Liczyło się uczucie, bliskość sięgająca czasów dzieciństwa.

Sięgnął po dłoń Danny'ego. Była ciepła, lecz nie zareagowała na jego dotyk.

– Signore. – Marta postąpiła ku Harry'emu, patrząc jednocześnie na Elenę. – Ja... musieliśmy go uspokoić.

Elena spojrzała na nią z niepokojem.

– Kiedy siostra wyszła, bardzo się bał – powiedział po włosku Salvatore. – Wyczołgał się z łóżka, znaleźliśmy go na korytarzu. Chyba chciał się dostać do kanału. Nie słuchał nas w ogóle. Próbowaliśmy go podnieść, ale się opierał. Bałem się, że coś sobie zrobi, jeżeli go puszczę. Albo że wpadnie do wody. Znaleźliśmy to lekarstwo, żona wiedziała, co trzeba zrobić...

– W porządku – uspokoiła go Elena, po czym przetłumaczyła wszystko Harry'emu.

Spojrzał na brata i na jego twarzy pojawił się z wolna uśmiech.

– Zawsze ten sam stary uparciuch, prawda? – rzucił do

śpiącego. – Jak długo będzie nieprzytomny? – zapytał zakonnicę.

– Ile mu tego dałaś? – spytała Elena Martę. Uzyskawszy odpowiedź, zwróciła się do Harry’ego. – Godzinę, może dłużej.

– Musimy go stąd zabrać – powiedział.

– Ale dokąd? – Elena spojrzała na Martę i Salvatore. – Jednego z tych ludzi, którzy go tutaj przywieźli, znaleziono utopionego w jeziorze – wyjaśniła. Oboje małżonkowie wciągnęli głośno powietrze. – Nie wierzę, że to był wypadek – mówiła dalej. – Myślę, że ten sam człowiek, który zabił żonę Luki, tropi pańskiego brata, panie Addison.

Najbezpieczniej będzie, jak zostaniemy na razie tutaj.

Edward Mooi poprowadził łódź pomiędzy skałami ku wejściu do groty. Kiedy wpłynęli do środka, włączył reflektor.

– Zgaś to! – Oczy Thomasa Kinda błysnęły złowrogo w jasnym świetle.

Mooi natychmiast nacisnął przełącznik i światło zgasło.

Równocześnie poczuł, że coś kłuje go w ucho. Cofnął się z okrzykiem bólu i pomacał ręką. Krew.

– To brzytwa, Edwardzie Mooi. To ona obsłużyła język, który masz w kieszeni koszuli.

Mooi czuł swoje dłonie na kierownicy, wyczuwał bliskość jakże dobrze znajomych skalnych ścian, przesuwających się obok. Wiedział, że umrze, tak czy

inaczej. Dlaczego przyprowadził tu tego szaleńca? Mógł przecież wołać policję, zaryzykować ucieczkę. Ale nie zrobił tego. Wyłącznie z potwornego strachu poddał się całkowicie woli tego człowieka.

Całe życie Edwarda Mooi poświęcone było słowom i tworzeniu poezji. Eros Barbu przeczytał jego wiersze i wydobył go z nijakiej egzystencji archiwisty w Afryce Południowej, zapewnił mieszkanie i pieniądze, pozwalające na pracę twórczą.

W zamian poprosił tylko o opiekę nad willą. Poeta przystał na to. Powoli jego twórczość zaczynała zyskiwać uznanie.

A potem, po prawie siedmiu latach mieszkania w Villa Lorenzi, Barbu poprosił go jeszcze o coś. Żeby zapewnił ochronę człowiekowi, który przyplynie wodolotem. Mógł tym razem odmówić, ale nie odmówił. I za przyczyną tej zgody zarówno on, jak i ten człowiek mieli teraz stracić życie.

Edward Mooi skręcił w ciemnościach obok skalnego występu. Jeszcze sto metrów. Dwa zakręty i zobaczą światło, a potem przystań. Woda tu była głęboka i spokojna. Długi, ciemny palec poety uniósł się z wolna i nacisnął przełącznik awaryjnego wyłączania silników. Obie yamaha umilkły.

Ostatnia czynność, jaką wykonał w życiu Edward Mooi, trwała bardzo krótko. Lewą ręką uruchomił syrenę ostrzegawczą. Prawą złapał za burtę motorówki, chcąc ją przeskoczyć. Potem poczuł na szyi miękkie jak jedwab

smagnięcie brzytwy. Ale to już nie miało znaczenia.  
Zdażył się pomodlić.

## 81

Ledwie usłyszeli ryk syreny, Salvatore wyskoczył z pokoju ojca Daniela i pobiegł głównym korytarzem do przystani.

Nie zobaczył niczego poza czernią kanału; nie było też nic słyszeć. Wrócił więc do pozostałych.

Muszą natychmiast stąd uciekać, powiedział po włosku.

Poza Erosem Barbu tylko Edward Mooi potrafił przeprowadzić łódź kanałami, a łódź się nie pojawiła. Ta syrena to sygnał ostrzegawczy.

Gdyby to przed policją ich ostrzegał, już by tu byli, z Roscanim i Gruppo Cardinale na czele. Tymczasem po sygnale nastąpiła zupełna cisza. A więc Mooi chciał im przekazać coś innego.

– Salvatore ma rację. – Harry zwrócił się do Eleny. – Musimy uciekać. I to natychmiast.

– Ale jak? Windą się nie da. Gdybyśmy nawet donieśli tam Danny’ego, nie zmieścimy się z noszami do kabiny.

– Niech siostra spyta Salvatore, czy jest jakaś inna łódź.

– To zupełnie niepotrzebne. Nie ma innej. Luca zabrał zapasową dinghy.

– Proszę zapytać! – Harry czuł, że kończy im się czas. – Może jakaś tratwa, ponton. Cokolwiek, na co by można załadować nosze.

Zakonnica spojrzała na Salvatore i powtórzyła pytanie Harry’ego po włosku.

– Forse – odparł. – Może.

Była to nie tyle łódź, ile aluminiowy skif o płaskim dnie, długi na mniej niż cztery metry i szeroki na półtora, służący do ciągnięcia za motorówką zaopatrzenia i do wywożenia śmieci. Salvatore znalazł go przy mniejszej przystani, za zakrętem kanału, ze sto metrów od głównego korytarza.

Był umocowany na ścianie obok ciężkich wrót prowadzących do legendarnej piwnicy winnej Erosa Barbu. Stały tam też dwa wiosła. Wraz z Harrym zdjęli łódkę i spuścili ją na wodę, przycumowując liną do pomostu.

Harry wszedł do skifu, żeby go wypróbować.

Trzymał się na wodzie, nie przeciekał i nie zanurzył się zanadto pod jego ciężarem. Osadził wiosła w dulkach i zwrócił się do Włocha.

– Ładujemy go.

Salvatore podsunął bliżej nosze i razem ułożyli je na rufie.

Potem podał Harry'emu torbę z najniezbędniejszym wyposażeniem medycznym i pomógł wsiąść Elenie. Harry spojrział na niego z oczekiwaniem, lecz Włoch i jego żona odsunęli się od brzegu.

Skif jest za mały dla nich wszystkich, powiedział za pośrednictwem Eleny. Na ścianach tunelu ponad linią wody powinni znaleźć znaki, które wyprowadzą ich z

jaskini. Mają się nimi kierować i wszystko będzie dobrze.

– A co z wami? – zapytał z troską w głosie Harry.

Salvatore i Marta wyjadą na górę windą, przetłumaczyła Elena. I wezmą ciężarówkę. Spotkają się wszyscy w zatoczce na południe od polnej drogi. Salvatore wytłumaczył Elenie, jak znaleźć to miejsce. Na koniec zwrócił się znów do Harry'go.

– Auhederci – powiedział niemal przepraszająco, jak gdyby zostawiał ich na pastwę losu. Następnie szybko chwycił Martę za rękę i oboje zniknęli w mroku jaskini.

Znaki wycięte były w skalnych ścianach ponad linią wody, tak jak powiedział Salvatore. Elena stała na dziobie, oświetlając je latarką, a Harry wiosłował powoli.

Siedział na środku skifu plecami do zakonnicy. Skoncentrowany na wiosłach, starał się nie robić hałasu, kiedy wyciągał je z wody i zanurzał z powrotem.

– Słyszysz pan? – Elena nagle zgasiła latarkę.

Harry zamarł w bezruchu, z wiosłami uniesionymi nad wodą; łódź dryfowała. Nie usłyszał jednak niczego poza miękkim pluskiem wody przy ścianach jaskini.

– Co to było? – zapytał ledwie słyszalnym szeptem.

– Chyba... O, znowu...

Tym razem i on usłyszał. Odległy warkot, odbijający się echem od skał, nagle umilkł.

– Co to jest?

– Silniki motorówki. Pracowały przez chwilę i przestały.

– Kto to może być?

– Ci ludzie, przed którymi ostrzegł nas Edward Mooi Są tu, w kanałach... szukają nas.

Hefei, Chiny. Miejska stacja filtrów „A”.

W dalszym ciągu wtorek, 14 lipca; 18.30

Li Wen stał z tyłu, przyglądając się spokojnie ludziom zgromadzonym przed baterią wskaźników i liczników,

pokazujących ciśnienie, szybkość przepływu, stopień zmętnienia i stężenie chemikaliów w wodzie. Nie miał pojęcia, po co tam jeszcze stoją. Wszystkie wskaźniki znieruchomiały.

Stacja została zamknięta; nic nie działało.

Zhu Yubing, gubernator prowincji Anhui, oraz Mou Qiyang, zastępca dyrektora wydziału wodociągów i energii, patrzyli przed siebie, otępiali i milczący. Gniewne słowa i oskarżenia zostały już wypowiedziane, kiedy podano oficjalny komunikat. Jezioro Chao nie zatruto celowo, nie był to wypadek ani akcja terrorystyczna. Przyczyną katastrofy nie były także nie oczyszczone ścieki z okolicznych gospodarstw i fabryk. Okazały się nią odżywiające się światłem słonecznym wodorosty i wytwarzane przez nie biologiczne toksyny. Obaj urzędnicy od lat alarmowali w tej sprawie centralę, argumentując, że to bomba zegarowa, którą należy wreszcie rozbroić; problem, który musi zostać rozwiązany natychmiast. Ale nie został, a oni stali tu teraz zaszokowani w obliczu tej niepojętej tragedii. Cuchnąca woda płynąca z miejskich kranów niosła ze sobą śmierć przez wiele godzin, dopóki nie zamknięto wodociągów. Liczby przekraczały wszelkie wyobrażenie.

Jezioro Chao dostarczało wody niemal milionowi mieszkańców. W ciągu ostatnich dziesięciu godzin potwierdzono śmierć dwudziestu siedmiu tysięcy pięciuset ośmiu osób.

Kolejne pięćdziesiąt pięć tysięcy było poważnie

chorych.

Do tego dochodziły tysiące nie zgłoszonych jeszcze osób, które napiły się zatrutej wody w ciągu dnia normalnego życia dużego miasta. Liczba zachorowań i zgonów rosła z minuty na minutę. I nikt, nawet oddziały armii chińskiej do walk z klęskami żywiołowymi, nie mógł na to nic poradzić. Pozostawało wywozić zwłoki oraz czekać i liczyć nowe.

Czekali więc. A Li Wen stał i przyglądał się.

Słyszeli tylko plusk wody na skalnych ścianach i regularny oddech Danny'ego. Elena stała bez ruchu na dziobie, Harry zaś pozwalał skifowi dryfować z prądem, odpychając łódkę od ściany, żeby się o nią nie ocierała. Zachowywali zupełną ciszę.

Ciemność nie miała końca. Była nieprzenikniona. Harry wiedział, że Elena myśli to samo co on. W końcu jego szept przerwał milczenie.

– Siostró, zasłoń latarkę ręką. Tak, żeby wydostawał się tylko cienki promień. I świeć wysoko na ścianę. Jak tylko siostra coś usłyszy, proszę natychmiast zgasić.

Po chwili wąska smuga światła przecięła mrok. Przesuwała się z wolna po ścianie nad nimi, szukając nacięć wskazujących kierunek. Ale niczego nie znalazła.

– Panie Addison... – szepnęła nagle Elena i po raz pierwszy Harry usłyszał w jej głosie lęk.

– Proszę szukać, siostró.

Odepchnął skif od ściany, opuścił wiosła do wody i

lekko pociągnął. Łódka ruszyła szybciej.

Świetlna smuga wciąż błędziła bezskutecznie po skale.

Elena poczuła, że pocą jej się ręce.

Harry wbijał wzrok w nikłe światło, starając się odsunąć od siebie myśl, że może prąd poniósł ich w tych ciemnościach za daleko i są teraz gdzieś w głębi labiryntu. Nagle latarka Eleny wydobyła z mroku trzy wycięcia w kamieniu. Usłyszał stłumiony okrzyk radości.

– Dobra, nie zabłądziliśmy – szepnął.

Przepełnęli pięć, potem dziesięć metrów. Kolejne trzy wycięcia.

– Niech siostra świeci w głąb kanału.

Zrobiła to i zobaczyli, że korytarz w zasięgu ich wzroku biegnie prosto.

– Proszę zgasić, siostrze.

Elena natychmiast wyłączyła latarkę, usiłując przeniknąć wzrokiem otaczającą ich czerń i modląc się, żeby ujrzeli wreszcie poświatę oznaczającą koniec kanału i wyjście na jezioro. Lecz przed oczami miała tylko mrok. Czuła wciąż to samo chłodne i wilgotne powietrze. Słyszała cichy chlupot wioseł.

Mimowolnie przeżegnała się. Bóg znów poddawał ją próbie. Tym razem jednak nie chodziło o mężczyzn i żądze.

Chodziło o jej odwagę, zdolność przetrwania w najtrudniejszych okolicznościach i zachowania jednocześnie siły oraz lojalności wobec człowieka powierzonego jej opiece.

– „O, tak, choć idę przez dolinę śmiertelnego cienia – zanuciła cicho pod nosem – nie lękam się...”.

– Sioostro Eleno! – dobiegł ich nagle nie wiadomo skąd męski głos.

Wzdrygnęła się. Harry zamarł w miejscu, wyciągnąwszy wiosła z wody. Skif płynął dalej z prądem.

– To Salvatore – szepnęła zakonnica.

– Sioostro Eleno! – usłyszeli znowu. – Wszystko już w porządku! Mam łódź. Tamci sobie poszli!

Rozległ się odległy wizg, a potem warkot silników. Elena odwróciła się do Harry’ego i przetłumaczyła mu szybko słowa Salvatore.

– Sioostro Eleno, gdzie jesteś? – zawołał znowu.

Harry wciągnął nagle wiosła do łódki i złapał rękami za skalny występ, zatrzymując skif. Odgłos silników przybliżał się. Motorówka płynęła kanałem w ich stronę.

Thomas Kind trzymał ostrze brzytwy tuż przy krtani Salvatore. Łódź sunęła powoli, a warkot jej silników odbijał się echem od ścian jaskini. Za nimi, między kokpitem i rufą, leżała Marta. Z niewielkiego otworu w jej czole sączyła się krew.

Salvatore zerknął spod oka na Kinda. Prawą stronę jego twarzy znaczyły smugi krwi i strzępy skóry. Marta rozorała mu policzek paznokciami, kiedy ich dogonił tuż przed dotarciem do windy. Walka trwała krótko. Ale Marta poraniła tego potwora i choćby już z tego tylko powodu Salvatore Belsito był ze swej żony bardzo dumny.

Sam jednak nie przypominał jej w niczym. Brakowało mu odwagi i furii Marty. Wystarczająco trudne było dla niego już samo okłamywanie policji podczas dwukrotnego przeszukania Villa Lorenzi. A potem zejście do groty i opieka nad chorym księdzem, gdy zakonnica pojechała szukać jego brata. Salvatore Belsito był głównym ogrodnikiem w Villa Lorenzi, człowiekiem łagodnym, który kochał swoją żonę i interesował się tylko tym, czy wszystko rośnie. Eros Barbu zapewnił im obojgu pracę i dom, dopóki będą chcieli dla niego pracować. I za to Salvatore był mu winien wiele. Ale nie własne życie.

– Jeszcze – nakazał mu Thomas Kind.

Po chwili wahania ogrodnik kolejny raz wykrzyknął

imię Eleny.

Wołanie Salvatore odbijało się echem od skalnych ścian, niczym efekt w tunelu strachu. Było teraz znacznie głośniejsze niż przedtem. Potem zagłuszył je chrapliwy warkot silników; motorówka przyśpieszyła.

– W prawo, panie Addison – powiedziała Elena, gdy promień światła z jej latarki wydobył z mroku kolejne znaki na ścianie. Dotarli do ostrego zakrętu, gdzie korytarz niemal zawracał.

Harry pociągnął mocno w tył prawym wiosłem i wziął zakręt zbyt ciasnym łukiem. Lewe wiosło zahaczyło o ścianę i niemal wyrwało mu się z ręki. Zaklął pod nosem, poprawił i poczuł, że lewe wiosło wróciło do wody. Byli za zakrętem.

Wiosłował, jak mógł najszybciej, ze wszystkich sił. Skórę na dłoniach miał już poobcieraną, pot spływał mu po czole, szczypiąc w oczy. Marzył, żeby choć na chwilę przestać i zerwać z szyi koloratkę, która tamowała mu oddech.

– Siostró Eleno!!!

Krzyk Salvatore znowu ich dogonił, przetaczając się echem po kanale.

Nagle korytarz, z którego właśnie skręcili, zalało oślepiające światło; zrobiło się tam jasno jak w dzień. Harry spojrzął na ciemną ścianę, którą właśnie okrążyli, i ocenił, że mają najwyżej dziesięć sekund, zanim motorówka dotrze do zakrętu i ich oświeśli.

Rozglądając się gorączkowo, zobaczył, że kanał przed

nimi biegnie prosto jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, a potem skręca ostro w lewo. Nie było szans na to, żeby zdążyli tam dopłynąć, nim motorówka znajdzie się na wprost za nimi. Nie widział też żadnego miejsca, gdzie mogliby się ukryć. Zaledwie parę poszarpanych występów skalnych, wcinających się w wodę.

– Panie Addison! Tam! – zawołała nagle Elena i pochyliła się nad nim, pokazując w lewo.

Wskazywała na ścianę kilka metrów przed dziobem łódki.

Harry zobaczył głęboki cień, który mógł być wlotem do jakiejś odnogi kanału lub wejściem do jaskini; wysokości około metra i niewiele szerszym. Zaledwie tak szerokim, żeby przecisnął się tamtędy skif.

Odgłos silników za nimi nagle się wzmógł. Harry spojrzał przed siebie. Światło pojaśniało. Ten ktoś, kto stał za sterem, przyśpieszył. Napierając całym ciałem na wiosła, Harry skierował łódkę ku ciemnemu wylotowi.

– Wpływamy tam! – zawołał przez ramię do Eleny. – Niech siostra przejdzie na rufę i pilnuje Danny’ego.

Przestał na moment wiosłować i poczuł muśnięcie habitu Eleny, gdy przeciskała się obok. Zanurzył wiosła z powrotem, lecz prawe przekreśliło mu się w dłoni i wyskoczyło z wody. Skif skręcił ostro w lewo. Rozległ się metaliczny zgrzyt, gdy dziób uderzył w ścianę, po czym odbił się od niej i ustawił prosto. Harry skontrolował, kierując łódkę ku przesmykowi.

Jednocześnie zobaczył, że Elena patrzy w stronę

zakrętu.

Lśniący dziób motorówki wysunął się już z za skalnego występu; łódź skręcała w ich kanał. Potężny snop światła zataczał łuk po ścianie, sunąc bezlitośnie w ich stronę.

Harry obejrzał się przez ramię. Celowali w ciemny otwór w skale.

– Na dół – poleciał.

Pochyliwszy się, wciągnął wiosła i skif wśliznął się w wąski tunel, burtami niemal dotykając ścian. Zobaczył, że Elena kuca, z ręką na głowie Danny’ego. Rufa minęła wlot korytarzyka i znaleźli się w środku.

Harry natychmiast położył się na plecach na ławeczce.

Chwytając za występy skalnego sklepienia, ciągnął łódź rękami, byle dalej w głąb tunelu. Jedno uderzenie serca później, światło reflektora minęło jego wlot.

Silniki nagle zwolniły obroty. Harry wstrzymał oddech.

Sekundę później ujrzał sunącą kanałem motorówkę. Zobaczył na tle ściany sylwetkę mężczyzny o twardym profilu i blond włosach; jedną rękę trzymał na kole sterowym, drugą na szyi Salvatore Belsita. Po chwili zniknęli, światło zaczęło się oddalać, a do tunelu wpłynęła wzburzona przez łódź fala.

Harry rozpostarł ręce na boki, chcąc uchronić skif przed obijaniem się o ściany. Z bijącym mocno sercem usiadł i nasłuchiwał. Minęła sekunda, potem druga. Silniki umilkły.

Chwilę później fala przepłynęła pod nimi i zapadła zupełna cisza.



Thomas Kind pozwolił łodzi zatoczyć powolny łuk, aż w końcu zatrzymała się dziobem w kierunku, z którego przybyli. Przeszukiwał wzrokiem korytarz przed sobą. Skalne ściany z ich ostrymi występami lśniły od wilgoci, czarnozielona toń kanału odbijała miriadami błysków światła reflektora.

– Siadaj – Kind z wolna odsunął ostrze od krtani Salvatore i wskazał ławeczkę przy burcie.

Samo spojrzenie prześladowcy wystarczyło, by ogrodnik wykonał polecenie. Usiadł, krzyżując ręce na piersi, i podniósł wzrok ku nierównościom sklepienia, woląc wpatrywać się w cokolwiek, byle nie w leżące u jego stóp zwłoki własnej żony. Zwłoki, które morderca kazał mu tutaj przynieść, gdy ją zastrzelił przy wejściu do windy.

Thomas Kind wyjął tymczasem z kieszeni marynarki czarną nylonową saszetkę, a z niej małe radiowe słuchawki.

Nałożył je na uszy, poprawił, przyczepił miniaturowy mikrofon do klapy marynarki i podłączył jego przewód do wzmacniacza przy pasie. Usłyszał nikły trzask i pod palcami zaświeciła mu czerwona lampka kontrolna. Ustawił kciukiem poziom głośności i natężenie dźwięku natychmiast wzrosło. Echo w tunelu, plusk wody przy jego ścianach, wszystko uległo wzmocnieniu. Uważnie

nasłuchując, Kind kierował mikrofon od ściany do ściany kanału, z lewej na prawą, powoli i metodycznie.

Nie słyszał nic szczególnego.

Przejechał jeszcze raz. Z prawej na lewą.

Wciąż nic.

Pochylił się i wyłączył reflektor. Jaskinia pogrążyła się w ciemności. Kind czekał. Dwadzieścia sekund. Pół minuty.

Minutę.

I znów zatoczył łuk mikrofonem. Z lewej na prawą i z powrotem. I jeszcze raz.

– ...poczekać...

Zamarł w bezruchu. To był głos Harry’ego Addisona, szept właściwie. Czekał na więcej.

Cisza.

Przesunął odrobinę mikrofon.

– ...bez kroplówki... – powiedział kobiecy głos, również najcichszym szeptem.

Byli tu. Gdzieś w leżącej przed nim ciemności.

Villa Lorenzi; w tym samym czasie Roscani przymrużył oczy przed jasnym słońcem, rozświetlającym sypialnię Edwarda Mooi. Technicy pracowali jeszcze w łazience. W umywalce znaleźli ślady krwi, a na podłodze słaby ślad bosej stopy.

Poety nikt nie widział, odkąd wrócił do mieszkania po porannym przeszukaniu posiadłości przez policję. Ani ludzie z obsługi domu, ani kilkunastu karabinierów

strzegących terenu. Nikt. Mooi, podobnie jak motorówka Erosa Barbu, po prostu zniknął.

Przez okno Roscani obserwował dwie policyjne łodzie na jeziorze. Na jednej z nich był Castelletti, koordynujący poszukiwania na wodzie. Scala, były komandos, wraz z dziesięcioma wyszkolonymi we wspinaczce karabinierami, przepatrywał wybrzeże na południe od willi. Założyli, że Mooi nie mógł udać się na północ, gdzie leżało Bellagio, pełne jego znajomych i policji. Dlatego Scala ruszył na południe, tam bowiem liczne zatoczki i gęsta roślinność mogły zapewnić motorówce całkowitą osłonę.

Odwróciwszy się od okna, inspektor przeszedł do przedpokoju, gdzie natknął się na przybyłego właśnie posłańca. Policjant zsalutował, wręczył mu grubą kopertę i wyszedł. Roscani szybko przejrzał zawartość przesyłki. Na okładce akt widniał napis INTERNATIONAL CRIMINAL POLICE ORGANIZATION, ze znajomym logo Interpolu poniżej. Wewnątrz było kilkanaście kartek, z pieczętą Segretissimo na każdej.

Te stronice zawierały odpowiedź Interpolu na jego prośbę o podanie przypuszczalnych miejsc pobytu najbardziej znanych terrorystów, a także, osobno, sylwetek psychologicznych zabójców, znajdujących się prawdopodobnie na wolności w Europie.

Z dokumentacją w ręce Roscani omiółt jeszcze raz spojrzeniem pokój Edwarda Mooi. Popatrzył na rzucony na łóżko szlafrok poety, na ekipę techniczną, wciąż

krzątającą się za otwartymi drzwiami łazienki i ogarnęło go nagle poczucie, że zjawili się za późno. Człowiek ze szpikulcem do lodu już tutaj był.

Harry usłyszał szorowanie kadłuba motorówki o skałę i pojął, że blondyn ciągnie łódź kanałem za pomocą rąk, wracając po cichu w ich stronę. Jak się domyślił, że muszą być tutaj? Jak to się stało, że jest tak blisko nich, przy tylu kilometrach podziemnych kanałów? Kiedy łódź mijała ich poprzednio, Harry zorientował się, że Salvatore jest chyba więźniem blondyna; gdyby nawet towarzyszył mu z własnej woli, było niemal niemożliwe, żeby wiedział, gdzie dokładnie mogą się znajdować. A jednak blondyn się zbliżał i tylko metry dzieliły go prawdopodobnie od wejścia do ich kryjówki.

Na szczęście dla nich, jeżeli można było w ogóle o czymś takim mówić, wlot tunelu przesłaniały skalne występy i trudno go było dostrzec. Elenie udało się to tylko dlatego, że poświata reflektora ze skracającej motorówki oświetliła to miejsce pod szczególnym kątem. Inaczej wyglądałoby po prostu jak jeden z wielu cieni, rzucanych przez nierówności ścian.

Odgłos się powtórzył; tym razem bliżej. Drewno lub włókno szklane ocierające się o skałę. I znowu, jeszcze bliżej.

Potem ucichł i Harry był już pewien, że motorówka znajduje się na wprost wlotu do tunelu, niemal na wyciągnięcie ręki siedzącej na rufie Eleny.

Wstrzymał oddech; nerwy miał napięte jak postronki,

zmysły wyostrzone do maksimum, a serce waliło mu niczym bęben. Wiedział, że Elena czuje to samo i w bezradnym oczekiwaniu modli się, żeby człowiek na motorówce popłynął dalej.

Thomas Kind stał w ciszy, jedną ręką odpychając łódź od granitowej ściany, drugą przyciskając do uszu słuchawki.

Odwracał się nieznacznie to w lewo, to w prawo, nasłuchując.

Ale nie docierał do niego żaden dźwięk.

Może jednak ich tutaj nie ma, pomyślał. Może błędem było pozostanie w tym kanale. Mikrofon i urządzenie nasłuchowe były niezwykle wrażliwe. A powierzchnie poszarpanych skał i lustra wody działały niczym duże wielokierunkowe głośniki, odbijające dźwięki we wszystkie strony. Głosy mogły dobiegać z jakiegoś odleglejszego zakątka grotu.

Z kanału, którym przyплыł, albo z tego, w który się jeszcze nie zapuścił.

W mroku coś cicho skrzypnęło i Elena poczuła na twarzy świeży powiew. Motorówka oddalała się od wejścia do ich korytarzyka. Blondyn odpłynął. Przeżegnała się z ulgą i szepnęła w ciemność:

– Odpływa...

– Dajmy mu jeszcze kilka mi... – Harry nie dokończył.

Nagle z czerni między nimi podniosło się przenikliwe, głośnie zawodzenie.

Elena zastygła w miejscu, z dłonią przyciśniętą w

odruchu przerażenia do ust.

Wycie się powtórzyło. Jeszcze dłuższe i głośniejsze.

– Jezu Chryste – jęknął Harry.

To Danny się obudził.

Przenikliwe wycie poniosło się po jaskini w tej samej chwili, gdy Thomas Kind dotknął startera. Bliźniacze, stu pięćdziesięciokonne yamaha przebudziły się z rykiem do życia; włączył się też reflektor, omiatając jaskinię szerokim łukiem, gdy Kind zawrócił. Potem natychmiast zgasił silniki i motorówka płynęła rozpędem, a światło jej szperacza tańczyło na ścianach.

Harry, chwytając się skał ponad głową, usiłował wciągnąć skif jak najgłębiej w wąski korytarz. Za sobą widział światło błędzące w stronę wylotu tunelu. A bliżej na łódce Elenę, skuloną przy Dannym na noszach leżących tuż poniżej burty na rufie. Danny przestał już wyć. Leżał nieruchomo i oddychał spokojnie jak przedtem.

Światło minęło wylot tunelu i przesunęło się dalej. W tej krótkiej chwili Harry mógł spojrzeć w głąb korytarza. Biegł on prosto jeszcze kilka metrów, a dalej nagle się obniżał i zwężał. Nie widział, co jest za przewężeniem, ale innej drogi nie było. Istotne było to, czy skif się tam w ogóle zmieści.

Thomas Kind omiatał reflektorem kolejne skalne występy.

Widział tylko cienie, przechodzące jeden w drugi. Ale ten krzyk na pewno nie był złudzeniem. I na pewno dobiegał gdzieś z bliska, z tej części tunelu.

Przesunął reflektor z powrotem, wyteżając wzrok. Głębokie krwawe bruzdy, wyryte na jego twarzy paznokciami Marty, zaśniły w świetle.

Salvatore obserwował go ze swojej ławeczki przerażony, ale i jakoś zafascynowany; wyłącznie widz w tej grze. Taki właśnie był zawsze. Na to tylko było go stać.

Jest!

Kind zauważył otwór ciemniejący w skale pod niskim nawisem. Zwrócił łódź w tę stronę, a na jego twarz wypełził pełen okrucieństwa uśmiech satysfakcji.

Rozległ się głośny zgrzyt, a potem głuchy stuk i skif się nagle zatrzymał.

– Latarkę, szybko – szepnął Harry.

Odgłos silników przybrał na sile; światło pojaśniało, tańcząc na granitowych ścianach i przybliżając się do nich.

– Masz! – Elena wyciągnęła ku niemu rękę z latarką, ich oczy spotkały się na moment i Harry odwrócił się, świecąc w głąb jaskini.

Skif utkwiał w wąskim przejściu. Gdyby trochę pomanewrować, przeszedłby. Ale co potem? Blondyn wiedział już, gdzie są, i będzie czekał, dopóki nie wyjdą. Musieli przeciskać się dalej, próbując znaleźć wyjście na drugim końcu... Jeśli je znajdą, to rewelacja. Ale jeżeli nie?

Nagle reflektor zaświecił wprost na nich.

– Za burzę! – krzyknął Harry.

Rzucił się do przodu i w bok, poczuł w ręce materiał habitu Eleny i pociągnął ją za sobą do wody wśród gradu pocisków z automatu.

Ciągnąc ją pod dnem skifu ku przesmykowi u jego drugiego końca, zobaczył za sobą żółtozieloną masę wody, skłębioną od siekających ją kul. Pociski odłupywały kawałki ścian i odbijały się z ostrym brzękiem od rufy. Było tylko kwestią kilku chwil, kiedy przebija grube aluminium i dosięgną Danny'ego.

Kuląc się pod wodą, Harry naparł mocno na łódkę od spodu, usiłując ją przepchnąć przez zwężenie tunelu i ściągnąć Danny'ego z linii morderczego ognia.

Z płonącymi płucami, odbijając się od ściany pod wodą, obrócił trochę skif, przepychając go przez przejście. Nagle łódka zatrzymała się na czymś, aż go odrzuciło. Wrócił i dalej próbował ją uwolnić, walcząc z podwodną skałą.

Dłużej już nie mógł. Pierś mu pękała; musiał zaczerpnąć powietrza. Odepchnął się i wypłynął. Wynurzył się w pełnym świetle reflektora. Przez moment widział błyski wystrzałów.

Zdawało mu się, że dostrzega za nimi twarz mężczyzny.

Zimnego, opanowanego. Strzelającego krótkimi seriami.

Kule śmignęły koło jego głowy, rozrywając cienkie aluminium dziobu. Nabrał powietrza i zanurkował z powrotem.

Napał na kadłub ramieniem, wykorzystując znów skałę jako oparcie. Żadnego skutku. Spróbował jeszcze raz. I jeszcze. Po następnym będzie znów potrzebował powietrza. Tym razem coś puściło. Czując, że zaraz eksplodują mu płuca, uderzył jeszcze raz. Skif uwolnił się z pułapki i skoczył do przodu. Harry pchnął go jeszcze i musiał się wynurzyć.

Poczuł, że jest na powierzchni, i łapczywie wciągnął powietrze. Niemal w tej samej chwili strzały umilkły, a kanał pograżył się w mroku.

– Elena – wychrypiał w ciemność. – Elena! – powtórzył głośniejszym głosem, bardziej nagłaco. W wyobraźni ujrzał ją podziurawioną kulami i leżącą na dnie z płucami pełnymi wody.

– Trzymam się łódki. Wszystko w porządku. – Jej głos dobiegał gdzieś z bliska; ciężko dyszała.

– Co z Dannym?

Zamiast odpowiedzi usłyszał nagły okrzyk przerażenia.

– Płyniemy!

Harry poczuł, że woda raptownie się oziębiła, a skif oddala się od niego. Dostali się jakoś w nurt podziemnego strumienia, który porwał ich ze sobą.

Rzucił się za łódką, na wpół płynąc, na wpół odpychając od ścian. Po chwili trzymał się już burty. Skif tymczasem przyśpieszał, niesiony coraz szybszym nurtem. W pułapce pomiędzy łódką i granitową ścianą, brutalnie obijając się o skałę, walczył z prądem, przesuwał się chwyt za chwytem ku dziobowi.

– Elena! – zawołał, przekrzykując szum wody i łoskot aluminiowego kadłuba, tłukącego o skały.

Bez odzewu.

– Elena! Gdzie jesteś? Elena!

Thomas Kind usiłował wsunąć palce pod chustkę, dławiącą jego gardło. Salvatore był jednak o wiele silniejszy, niż na to wyglądał. Ściągniętą z włosów żony i skreconą chustę zaciskał obiema rękami na szyi terrorysty niczym garotę. Pociągnął jeszcze mocniej, jednocześnie wbijając Kindowi kolano w krzyż.

– Bastardo – wychrypiał Kind. – Bastardo.

Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewał, szczególnie ze strony osoby tak mało znaczącej i pozbawionej werwy jak Salvatore Belsito. Ale nie zamierzał z tego powodu umierać.

Nagle rozluźnił całe ciało, padając bezwładnie do przodu.

Włoch, nie spodziewając się, że przeciwnik przestanie walczyć, przewrócił się razem z nim. Kind uwolnił się od niego jednym ruchem, przetoczył w bok i zaszedł go od tyłu.

W jego dłoni błysnęła brzytwa; chwycił Włocha za włosy, odchylając mu głowę i odsłaniając całą długość szyi.

– Ten tunel, gdzie się schowali... – Thomas Kind wziął głęboki oddech i poczuł, że tętno już wraca mu do normy – ...dokąd on prowadzi?

Salvatore spojrzał powoli do góry i z rozmysłem utkwiał wzrok w oczach swego prześladowcy. O dziwo, nie było

po nim widać strachu.

– Donikąd – odpowiedział.

Brzytwa smagneła go gwałtownie pod nosem. Krzyknął, czując, jak krew tryska mu na wargi i spływa do ust.

– Dokąd prowadzi?

Włoch zakaszłał, usiłując wypluć własną krew.

– Do podziemnego... strumienia... a potem do... jeziora  
– wykrztusił.

– W którą stronę? Na północ stąd, czy na południe?  
Gadaj!

Twarz Salvatore Belsita rozjaśnił z wolna uśmiech; szeroki uśmiech, który był tak naprawdę jego duszą.

– Nie... powiem.

Harry trzymał Elenę między sobą i skifem, płynącym rufą do przodu i spychającym ich w rwącej kipieli wąską rynną, która opadała coraz stromiej w dół. W kompletnej ciemności. W niepowstrzymanym pędzie. Krwawiły mu ręce pocierane o skałę, gdy usiłował zwolnić pęd łódki, łapiąc za niewidoczne granitowe ściany. Czuł, jak Elena przyciska się do niego, walcząc o utrzymanie głowy nad wodą, tak jak on sam. Czy Danny był jeszcze w łódce, nie sposób było stwierdzić.

I nagle nie mieli pod sobą niczego. Tylko powietrze.

Usłyszał krzyk Eleny. Skif spadał na niego. A potem uderzyli. Głęboka woda. Czarniejsza niż przedtem. Siła upadku wciągnęła go w głąb. Przekoziołkował w skłębionej kipieli.

Poczuł dno i odepchnął się, chcąc wrócić na powierzchnię.

Wyplłynął, krztusząc się, oddychając łapczywie. Zobaczył dobiegające skądś światło, przebijające ciemność jaśniejszą smugą.

– Elena! – usłyszał swój krzyk – Elena!

– Jestem tutaj. – Jej głos rozległ się za jego plecami.

Zaskoczony, odwrócił się w wodzie. Zobaczył, że płynie ku niemu.

Poczuł pod nogami grunt i przebrnąwszy ostatnie metry, rozciągnął się jak długi na skalistym brzegu,

dyszac z wyczerpania. Gdzieś przed sobą widział gęste zarośla, a za nimi słoneczne blaski na jeziorze. Przypomniawszy sobie o Elenie i ujrzał, że zakonnica gramoli się na skałę obok niego.

Patrzyła jednak gdzieś ponad nim, ku wodzie, z której się właśnie wydostali. Poczucie rzeczywistości wróciło i Harry podążył za jej spojrzeniem. Nagle zobaczył, na co ona patrzy, i przeszył go lodowaty dreszcz.

Danny wyglądał jak upiór. Tak blady, że niemal przezroczysty. Brodaty, prawie nagi i chudy jak śmierć. Bandaże zerwała mu woda. Leżał kilka kroków dalej i wpatrywał się w niego oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

– Harry – wychrypiał. – Jezus Maria, to ty.

Dźwięk głosu Danny'ego zawisł w powietrzu obszernej groty. Obaj bracia wpatrywali się w siebie na poły z radością, na poły z niedowierzaniem, że nie tylko żyją, ale po tylu latach spotkali się twarzą w twarz.

Wreszcie Harry wstał i ześliznął się po skale do miejsca, w którym leżał Danny. Zebrał się w sobie i wyciągnął rękę.

– Złap się – powiedział.

Danny powoli sięgnął ku niemu, ich dłonie się spotkały i Harry zaczął go wciągać na skalną półkę. W ostatnim momencie zsunął się częściowo do wody, żeby ochronić złamane nogi brata, na których cudem utrzymały się niebieskie łupki.

– Trzymasz się jakoś? – zapytał, wpełzając na skałę

obok niego.

– Aha. – Danny skinął głową i spróbował się uśmiechnąć; widać było, że wyczerpanie już bierze nad nim górę.

Wtem za plecami usłyszeli nagle niepoahamowany szloch.

Obaj odwrócili głowy.

Elena siedziała na występie skalnym, tam gdzie zostawił ją Harry. Oczy miała zamknięte i obejmując rękami kolana, zanosiła się płaczem ulgi, aż całym jej ciałem wstrząsał dreszcz. Usiłowała powstrzymać szloch, ale nie mogła.

Harry wstał szybko i ślizgając się na mokrych skałach, wspiał do niej.

– Już dobrze – rzekł, klękając. A potem objął ją łagodnie ramionami i przytulił.

– Prze... praszam – udało jej się wychlipieć.

– Już dobrze – powtórzył. – Jesteśmy uratowani. Wszyscy. – Obejrzał się na Danny'ego, który siedział skulony na skale poniżej, wpatrując się w nich. Uratowali się, to prawda. Ale na jak długo? I co robić dalej?

Rzym. Ambasciata della Repubblica Popolare Cinese In Italia – ambasada Chińskiej Republiki Ludowej.  
W dalszym ciągu wtorek, 14 lipca; 14.30

Ciemny cadillac wjechał w Via Bruxelles i posuwał się wzdłuż dziewiętnastowiecznego kamiennego muru. Za murem leżał dawny Parco di Villa Grazioli, obecnie kwartał luksusowych budynków mieszkalnych i dużych prywatnych rezydencji.

Zbliżali się do samochodu z uzbrojonymi carabinieri, zaparkowanego na chodniku. Trochę dalej stał drugi. Pomiedzy nimi był budynek oznaczony numerem pięćdziesiąt sześć. Cadillac skręcił i zatrzymał się przed wysoką zieloną bramą, która po chwili się otworzyła. Limuzyna wjechała do środka i brama zamknęła się z powrotem.

Kilka chwil później na frontowe schody czteropiętrowego budynku z cegły i marmuru, w którym mieściła się ambasada ChRL, wszedł Leighton Merriweather Fox, ambasador Stanów Zjednoczonych we Włoszech. Towarzyszyli mu: zastępca ambasadora Nicolas Reid, radca polityczny Harmon Alley oraz sekretarz Alleya, James Eaton.

Atmosfera wewnątrz była przygnębiająca. Eaton zobaczył, jak Fox wymienia ukłon i uścisk dłoni z

Jiangiem Youmeim, ambasadorem Chin we Włoszech. Nicolas Reid zrobił to samo z ministrem spraw zagranicznych Zhou Yi, a Harmon Alley czekał, by się przywitać z wiceministrem Daim Rui.

Temat rozmów w każdym zakątku wielkiej zielono-złotej sali recepcyjnej był ten sam: katastrofa w Hefei, gdzie doliczono się już sześćdziesięciu dwóch tysięcy śmiertelnych ofiar zatrucia wodą pitną. I ta przerażająca liczba ciągle rosła.

Przedstawiciele resortu zdrowia nie potrafili ocenić, kiedy i na ilu ofiarach się to zakończy. Może przy siedemdziesięciu tysiącach; może przy osiemdziesięciu. Nikt nie miał pojęcia.

Wszystkie stacje uzdatniania zamknięto. Wodę dostarczano koleją i ciężarówkami. Zniszczenia jednak już się dokonały.

Armia chińska podjęła akcję ratunkową, lecz obezwładniał ją ogrom zadania i brak rozwiązań logistycznych na wypadek tak wielu zachorowań i zgonów. Media natomiast, pomimo prób kontroli ze strony Pekinu, poinformowały już o wydarzeniach cały świat.

Leighton Merriweather Fox i Nicholas Reid przybyli, by złożyć kondolencje i zaoferować pomoc. Alley i Eaton, żeby ocenić polityczny aspekt sytuacji. To samo działo się na całym świecie; wysocy rangą dyplomaci odwiedzali ambasadę chińską w kraju swej działalności i z jednej strony oferowali pomoc, a z drugiej usiłowali oszacować

polityczne implikacje katastrofy. Wszyscy spekulowali, czy Pekin jest w stanie utrzymać ludność w ryzach, czy też lęk, wywołany faktem, że zwyczajne napicie się wody może zabić człowieka, jego rodzinę i tysiące współmieszkańców, wystarczy do podjęcia przez prowincje prób secesji i postawienia na samowystarczalność. Wszystkie zagraniczne rządy były świadome, że Chiny balansują na skraju przepaści. Władze chińskie mogły przetrwać Hefei, jeżeli jednak to samo wydarzy się znowu gdzieś indziej w kraju – jutro, za tydzień czy nawet za rok – będzie to jak rażenie gromem, po którym państwo chińskie znajdzie się u progu upadku. Wszyscy obserwatorzy zagraniczni wiedzieli, że ta koszmarna wizja wywołuje wśród władców Chin skrajne przerażenie. Woda stała się nagle największą słabością tego potężnego kraju.

Dlatego właśnie dyplomaci zjawili się na Via Bruxelles pięćdziesiąt sześć i przybywali do ambasad Chin na całym świecie. Pod pozorem zainteresowania tragedią i cierpieniem tysięcy ludzi próbowali się zorientować, jaki może być dalszy rozwój sytuacji.

Eaton, wzięwszy filiżankę herbaty z tacy podsunętej mu przez młodą Chinkę w szarym żakiecie, przepychał się przez tłum, wymieniając uprzejme ukłony i uściski dłoni ze znajomymi. Jego zadaniem, jako sekretarza do spraw politycznych, było nie tyle złożenie wyrazów współczucia gospodarzom, ile zorientowanie się, kto jeszcze przybył uczynić to samo. Konwersował właśnie z radcą

politycznym z ambasady francuskiej, kiedy przy wejściu zapanowało jakieś ożywienie. Obaj mężczyźni spojrzeli w tamtą stronę.

To, co zobaczyli, nie było dla nikogo zaskoczeniem. Do sali wszedł watykański sekretarz stanu kardynał Umberto Palestrina, ubrany w czarną sutannę z białą koloratką. Tuż za nim kroczyli trzej inni przedstawiciele watykańskiej arystokracji, również ubrani odpowiednio do swych urzędów: kardynał Joseph Matadi, monsinior Fabio Capizzi oraz kardynał Nicola Marsciano.

Gwar rozmów przycichł niemal natychmiast i dyplomaci rozstąpili się, robiąc Palestrinie przejście. Kardynał podszedł do ambasadora Chin, skłonił się i uścisnął jego dłoń, jakby witał starego i bliskiego przyjaciela. Nie miało w tej chwili znaczenia, że stosunki dyplomatyczne pomiędzy Stolicą Apostolską i Chinami były w stanie szcątkowym. Watykan reprezentował niemal miliard katolików na całym świecie.

A ich bezpośrednimi przedstawicielami byli, z nadania Ojca Świętego, właśnie Palestrina i jego towarzysze. Przybyli tu, żeby złożyć wyrazy współczucia narodowi chińskiemu.

Przeprosiwszy francuskiego dyplomatę, Eaton powoli szedł przez salę recepcyjną, przyglądając się Palestrinie i pozostałym duchownym, pogrążonym w rozmowie z Chińczykami. Jeszcze większe jego zainteresowanie wzbudziło to, że po chwili cała siódemka wyszła razem bocznymi drzwiami.

Od czasu zamordowania kardynała Parmy był to już drugi publiczny kontakt Watykanu z wysokimi rangą przedstawicielami Chin. I Eaton jeszcze bardziej niż dotąd pożałował, że nie ma przy nim ojca Daniela Addisona, który wyjaśniłby mu może, co to wszystko znaczy.

Usiłując zachować resztki rozsądku i równocześnie modląc się do Boga, żeby mu pomógł jakoś powstrzymać ten koszmar, kardynał Marsciano wszedł do małego saloniku, utrzymanego w bladej zieleni i beżach, i usiadł razem z pozostałymi – Palestriną, Matadim, Capizzim, ambasadorem Jiangiem Youmei, Zhou Yi i Daim Rui.

Palestrina siedział dokładnie naprzeciw niego w pokrytym złotą tkaniną fotelu i rozmawiał z Chińczykami po mandaryńsku. Wszystko w jego postawie, od ustawienia stóp na podłodze, poprzez wyraz oczu, aż do ekspresyjnej gestykulacji rąk, wyrażało serdeczne współczucie i głębokie zatroskanie z powodu tragedii rozgrywającej się po drugiej stronie globu. Była to wylewność o bardzo osobistym charakterze, jak gdyby chciał powiedzieć, że najchętniej udałby się do Hefei, żeby posługiwać chorym i umierającym.

Chińczycy przyjmowali tę wielkoduszną postawę z kurtuazją i uznaniem, jeżeli nie z wdzięcznością. Marsciano jednak zdawał sobie sprawę – a wiedział, że Palestrina jest tego świadom – iż są to tylko formalne, zewnętrzne gesty.

Jeżeli nawet istotnie myśleli z troską o mieszkańcach Hefei, byli jednak przede wszystkim politykami. Toteż głównym obiektem ich zainteresowania był teraz chiński rząd i szanse jego przetrwania. Posunięcia Pekinu

obserwował w tej chwili jak pod mikroskopem cały świat.

Nikt nie mógł jednak wiedzieć, czy choćby podejrzewać, że architektem straszliwego zniszczenia była nie przyroda ani też przestarzały system uzdatniania wody, lecz siedzący przed nimi olbrzym o białych włosach, pocieszający teraz wszystkich obecnych w ich własnym języku. Nikt nie mógł też wiedzieć, że dwóch z pozostałej trójki wysokich dostojników Kościoła stało się w ciągu ostatnich godzin aż nazbyt pilnymi uczniami owego architekta.

Jeśli Marsciano żywił jeszcze jakąś skrytą nadzieję – teraz, gdy koszmar się zaczął i w pełni objawiła się przerażająca i barbarzyńska realność „Chińskiego Protokołu” Palestriny – jeśli więc łudził się jeszcze, że monsiniorowi Capizziemu lub kardynałowi Matadiemu wróci zdrowy rozsądek i mocno się przeciwstawią sekretarzowi stanu, złudzenie to rozpadło się kilka godzin wcześniej. Z samego rana bowiem obaj duchowni przekazali Palestrinie list z wyrazami poparcia. O jego podpisanie poprosili również Marsciana, lecz odmówił. Capizzi i Matadi w pełni zaaprobowali na piśmie działania sekretarza stanu oraz ich uzasadnienie. Sednem tej argumentacji było stwierdzenie, że Rzym od wielu lat zabiegał o zbliżenie z Chinami, że zabiegi te od lat były przez władze chińskie z pogardą odrzucane i że nadal tak będzie, dopóki obecni rządcy Chin pozostaną u władzy.

Postawa Pekinu oznaczała w przekonaniu Palestriny tylko jedno: że chińskie społeczeństwo nie ma wolności

religijnej i nie uzyska jej nigdy. A jego recepta na zmianę tej sytuacji była taka, że po prostu on sam Chińczykom tę wolność zapewni. Koszt operacji nie miał znaczenia; ci, którzy zginą, zostaną świętymi męczennikami.

Capizzi i Matadi najwyraźniej zgadzali się z tym w pełni.

Pogoń za papieską władzą była dla nich wszystkim. Byliby głupcami, przeciwstawiając się człowiekowi, dzięki któremu mogli ją zdobyć. Ludzkie życie stało się w rezultacie jedynie narzędziem w ich dążeniach. A cała akcja, choć już wystarczająco nikczemna, miała się przeobrazić w jeszcze większy koszmar. Zamierzali bowiem zatruć kolejne dwa jeziora.

– Proszę mi wybaczyć. – Marsciano nagle wstał z miejsca. Wiedząc, co się niedługo ma wydarzyć, zniesmaczony hipokryzją i obrzydliwością sceny, rozgrywającej się na jego oczach, nie był w stanie dłużej w niej uczestniczyć.

– Czy źle się czujesz, Eminencjo? – Palestrina wzdrygnął się i spojrzał nań przenikliwie, zaskoczony.

Jego gwałtowna reakcja uzmysłowiła Marscianowi, jak daleko posunął się obłęd sekretarza stanu. Odgrywał swoją rolę z takim zacięciem, że rzeczywiście wierzył w to, co mówi. Druga strona jego osobowości w tej chwili zupełnie nie istniała. Był to prawdziwy majstersztyk samooszukiwania się.

– Czy Eminencja źle się czuje? – powtórzył pytanie Palestrina.

– Tak – odparł cicho Marsciano, przez chwilę patrząc mu prosto w oczy i wyrażając otwarcie tym spojrzeniem swą głęboką wobec niego pogardę, lecz jednocześnie nie pozwalając, żeby w tej rozgrywce zorientował się ktokolwiek poza nimi dwoma. Potem odwrócił się szybko i ukłonił Chińczykom.

– Cały Rzym modli się dzisiaj za was – powiedział.

Przemierzając samotnie pokój i kierując się do drzwi, przez cały czas czuł na sobie spojrzenie Palestriny.

Marsciano mógł wyjść z pokoju sam, lecz na tym jego wolność się kończyła. Zgodnie z wymogami protokołu musiał poczekać na pozostałych. Teraz w limuzynie panowało milczenie.

Kiedy zielona brama zamykała się za nimi i skręcali w Via Bruxelles, kardynał wyglądał przez okno, nie chcąc napotkać wzroku pozostałych. Wiedział doskonale, że teraz, gdy komisja kardynalska zatwierdziła już inwestycje, jego zachowanie w ambasadzie tylko przypieczętowało jego los.

Pomyślał znów o trzech jeziorach, wyznaczonych przez Palestrinę do zatrucia. Które będzie następne po Hefei, wiedział tylko sekretarz. Jego obłęd i okrucieństwo były nie do pojęcia. Umiejętność samooszukiwania się wręcz niesamowita. Kiedy i jak ten inteligentny i godny szacunku człowiek mógł tak się zmienić? A może potwór zawsze ukrywał się w jego wnętrzu, tylko był uśpiony?

Kierowca skręcił w Via Salaria i zwolnił; popołudniowy ruch był gęsty. Marsciano czuł obok siebie obecność Palestriny, czuł wzrok Capizziego i Matadiego, siedzących naprzeciwko. Ale nie zwracał na nich uwagi. Myślał o szefie bankowości chińskiej, Yan Yehu. Pamiętał go niejako przebiegłego człowieka interesu, a zarazem długoletniego członka autokratycznej Komunistycznej Partii Chin i bliskiego doradcę jej

sekretarza generalnego, lecz raczej jako przyjaznego humanistę; człowieka, który w jednym momencie potrafił wygłosić ostrą krytykę polityki kursowej, w następnym wyrazić osobistą troskę o zdrowie, wykształcenie i poziom życia ubogich na całym świecie, a po chwili ze śmiechem gawędzić o Włochach, którzy powinni nauczyć Chińczyków wyrobu wina.

– Często telefonujesz do Ameryki Północnej? – rozległ się nagle tuż przy jego uchu ostry głos Palestriny.

Marsciano odwrócił się od okna i ujrzał, że tamten świdruje go wzrokiem; jego potężna sylwetka zajmowała większą część siedzenia.

– Nie rozumiem.

– Konkretnie do Kanady. – Palestrina nie spuszczał go z oczu. – Do prowincji Alberta.

– Wciąż nie rozumiem...

– Tysiąc jedenaście, czterysta trzy, pięćset pięćdziesiąt pięć, dwa tysiące jedenaście – wyrecytował sekretarz z pamięci. – Nie poznajesz tego numeru, Nicola?

– A powinienem?

Marsciano poczuł przechył samochodu. Skręcali w Via Di Porta Pinciana, mijając znajomą zieleń olbrzymiego parku Villa Borghese. Mercedes przyśpieszył, kierując się ku Tybrowi. Wkrótce przekroczą go i skręcą w Lungotevere Mellini, w stronę Watykanu. Gdzieś niedaleko za nimi pozostał apartament Marsciana przy Via Carissimi. Wiedział, że wyszedł dziś z niego po raz ostatni.

– To numer hotelu Banff Springs – poinformował go Palestrina. – Telefonowano tam dwa razy z twojego biura w sobotę jedenastego rano. I raz po południu z komórki ojca Bardonięgo.

Marsciano wzruszył ramionami.

– Z mojego biura dzwoni się w różne miejsca, nawet w sobotę. Ojciec Bardoni pracuje popołudniami, ja też, inni także i... Nie sprawdzam każdej rozmowy.

– Powiedziałeś mi w obecności Farela, że ksiądz nie żyje.

– Bo tak jest. – Marsciano podniósł wzrok i spojrzał wprost na Palestrinę.

– To kogo przywieziono do Bellagio, do Villa Lorenzi? Dwa dni temu, w niedzielę wieczorem?

– Naoglądałeś się telewizji – uśmiechnął się Marsciano.

– Do Banff telefonowano w sobotę, księdza przywieźli do Villa Lorenzi w niedzielę. – Palestrina pochylił się, zbliżając twarz do jego twarzy; marynarka opinała mu ciasno plecy. – Właścicielem tej rezydencji jest Eros Barbu, który przebywa na wakacjach właśnie w hotelu Banff Springs.

– Jeżeli pytasz, Eminencjo, czy znam Erosa Barbu, to potwierdzam. To stary przyjaciel z Toskanii.

Palestrina obserwował go uważnie jeszcze przez chwilę.

Potem się wyprostował.

– No to pewnie zasmuci cię wiadomość – oznajmił – że twój przyjaciel właśnie popełnił samobójstwo.



Ciężarówka jechała leśną drogą, klekocząc blachami, podskakując na wybojach i ślizgając się miejscami w zarośniętych koleinach. Harry kierował się w stronę skalnej zatoczki, gdzie zostawił Danny'ego z Eleną. Minęły już dwie godziny, odkąd wspiał się na górę, żeby odnaleźć samochód; popołudniowe cienie kładły się teraz na ziemi, zmieniając wygląd terenu.

Jazda była nie tylko trudna i powolna, lecz także niebezpieczna. Stara ciężarówka miała kiepskie hamulce i niemal łyse opony. Gdy się tak trzęsała i ślizgała na drodze z ledwością zasługującej na to miano, naprawdę trudno było nad nią zapanować. Polny trakt wił się ostrymi serpentynami i przy każdym zakręcie Harry był przekonany, że zaraz z niego wyskoczy i runie do stromego wąwozu po jednej stronie lub spadnie jak kamień do jeziora leżącego kilkadziesiąt metrów w dole po drugiej.

Znalazłszy się na kolejnym stromym podejździe, ujrzał na północy całą flotyllę trzydziestu czy czterdziestu łodzi, stojących na kotwicy lub krążących powoli w pewnym oddaleniu od brzegu, do którego dostępu broniły im trzy większe jednostki, wyglądające na kutry patrolowe straży przybrzeżnej. Domyślił się, że policja odnalazła grotę.

Zjeżdżając w dół i pokonując kolejny zakręt, zobaczył nagle helikopter, wzlatający kręgami ponad wzniesieniem, które zostawił za sobą jakieś dwadzieścia minut wcześniej.

Wtem cała scena zniknęła mu z oczu, gdy ciężarówka zaczęła się zsuwać po sypkim żwirze. Wciskając gwałtownie hamulce, ściągnął kierownicę w stronę drogi, lecz nic to nie pomogło.

Samochód zamiast skręcać, zjeżdżał prosto. Zbliżała się krawędź pobocza. Dalej było już tylko powietrze i jezioro w dole.

Nagle prawe przednie koło wpadło w koleinę. Kierownicą szarpnęło, a ciężarówką zarzuciło z powrotem na drogę, jakby ją ktoś postawił raptem na szynach, i potoczyła się właściwym torem, zjeżdżając ze stromizny pod baldachim drzew.

Harry walczył z pojazdem i drogą jeszcze przez pięć minut, a potem znalazł się już niemal na poziomie jeziora. Droga biegła tu prosto jeszcze przez jakieś kilkadziesiąt metrów, po czym kończyła się nagle w krzakach porastających gęsto brzegi.

Zostawiwszy ciężarówkę na pagórku, gdzie od strony jeziora zasłaniały ją drzewa, Harry ruszył piechotą wzdłuż brzegu, aż ujrzał ciemny wlot jaskini. Przedzierając się przez zarośla, usłyszał daleki warkot krążącego gdzieś w górze helikoptera. Modlił się w duchu, żeby tam pozostali. Gdzieś w górze.

Jaskinia; w tym samym czasie.

Rosciani stał na skalnym pomoście, zaglądnąjąc do wnętrza motorówki. Leżeli tam martwi mężczyzna i kobieta. Kobieta miała to szczęście, że nie potraktował jej brzytwą, tak jak to zrobił z jej towarzyszem. I z Edwardem Mooi, którego zwłoki, z niemal odciętą głową, wyłowili z kanału.

Edward Mooi.

– A niech to wszyscy diabli! – zaklął na głos. – A niech to szlag! – Powinien był wiedzieć, że Mooi jednak ukrywa księdza. Powinien był wrócić i przycisnąć go do muru, gdy tylko odkrył, że silniki motorówki są ciepłe. Ale nie zrobił tego, bo dostał informację o trupach mężczyzn w jeziorze i pojechał to zobaczyć.

Zostawiwszy przy motorówce uwijających się techników, wrócił głównym korytarzem wzdłuż kamiennych ław do pomieszczenia, w którym ukrywano księdza. Byli tam już Scala i Castelletti. Przyniesiono również z labiryntu korytarzy ciało martwego karabiniera – kolejnej ofiary człowieka ze szpikulcem do lodu, który – jak już teraz wiedzieli – był blondynem i miał podrapany policzek.

– Biondo – udało się wykrztusić umierającemu policjantowi, którego oczy już zasnuwały się mgłą. Jedną

ręką ścisnął dłoń Scali, paznokcie drugiej wbijał we własny policzek.

– Graffiato – wyrzeził jeszcze.

Biondo. Graffiato.

Blondyn. Silny. I szybki. Z policzkiem podrapanym, jak przypuszczali, przez zabitą kobietę, za której paznokciami znaleziono zakrzepłą krew i skrawki skóry. Posłano je już do laboratorium, do analizy kodu DNA. Nowa technologia, pomyślał Roscani. Ale przydatna tylko wówczas, gdy mieli już podejrzanego i mogli pobrać od niego krew dla porównania.

Minąwszy Scalę i Castelletiego, przeszedł do drugiego pokoju, gdzie znaleziono osobiste rzeczy zakonnicy.

Siostra Elena Voso, pielęgniarka, lat dwadzieścia siedem, należąca do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Najświętszego Serca Jezusowego. Macierzysty klasztor: szpital Świętego Bernarda w Sienie.

Roscani wrócił do głównego tunelu. Przeczesał dłonią włosy i starał się wczuć w atmosferę tego miejsca. Przejawy ogromnego bogactwa Erosa Barbu widać było na każdym kroku. Ale ludzie, których zdecydował się tu ukrywać, zakonnica i ksiądz, a także nieżyjący już mężczyźni, którzy mieli ich ochraniać, byli niezamożni. Dlaczego Barbu użył swej posiadłości na kryjówkę?

Było to pytanie, na które sam pisarz nie miał już nigdy odpowiedzi. Kanadyjska Królewska Policja Konna prowadziła właśnie śledztwo w sprawie jego domniemanego samobójstwa, które popełnił na górskim

szlaku ponad jeziorem Louise w Banff. Roscani jednak był pewien, że to nie żadne samobójstwo, lecz morderstwo, dokonane bez wątpienia przez kolegę po fachu człowieka ze szpikulcem. Musiał on znać miejsce pobytu Barbu i zabił go albo z zemsty za pomaganie ojcu Danielowi, albo usiłując wydobyć od niego, gdzie ukrył księdza. Możliwe, że był to ten sam osobnik, który w Kalifornii zabił szefa Harry'ego Addisona. Skoro tak, to spisek musiał mieć daleko szerszy zasięg, niż na to początkowo wyglądało.

Z oddali dobiegło go szczekanie psów tropiących, z którymi ekipy carabinieri penetrowały labirynt tuneli w poszukiwaniu Eleny Voso i ojca Daniela Addisona. I Harry'ego Addisona także. Roscani nie miał na to żadnego dowodu, było to tylko przeczucie, a jednak był przekonany, że Amerykanin zjawił się tutaj i pomagał bratu w ucieczce.

Wyciągnął z kieszeni niedojedzone ciasteczko czekoladowe i odwinąwszy je z folii, ugryzł kawałek. Podniósł głowę, jakby chciał spojrzeć w niebo. Na górze akcja Gruppo Cardinale koordynowana była z helikoptera. Policjanci znaleźli już wyraźny odcisk buta przy szybie windy, a także ślady kół samochodu, którym ktoś przyjechał, a jakiś czas później odjechał. Czy któryś z tych tropów doprowadzi ich do blondyna albo uciekinierów, za wcześnie jeszcze było prorokować.

Niezależnie od tego, co się już wydarzyło czy dopiero wydarzy, jedna rzecz stawała się przerażająco jasna:

Rosciani nie miał już do czynienia z ukrywającym się księdzem i jego bratem, lecz z grupą ludzi o międzynarodowych powiązaniach, znakomicie wyszkolonych i nie mających żadnych oporów przed zabijaniem. A każdy, kto wiedział cokolwiek na temat miejsca pobytu księdza lub tego, co mógł on wiedzieć, stawał się dla nich celem, bez szans na ukrycie się.

Kiedy Harry dotarł do jaskini, Danny siedział w niej sam, tuż przy wylocie na jezioro. Nogi w niebieskich szynach z włókna szklanego wyciągnął niezgrabnie przed siebie. Na cienką szpitalną koszulę, w której ułożyli go na skifie, narzuconą miał czarną marynarkę brata.

Harry rozejrzał się szybko dookoła. Gdzie jest Elena?

Zobaczył, że Danny wpatruje się w niego, jakby nie całkiem wiedział, kim on jest. Widać było, że ucieczka końcowym odcinkiem kanału i upadek do wody znacznie go osłabiły.

Nastąpiła wyraźna regresja. Przeraziło to Harry'ego, nie wiedział bowiem, jak jest głęboka i czy Danny ma dość siły, żeby powrócić do poprzedniego stanu.

– Danny, wiesz, kim ja jestem? – zapytał, kładąc mu rękę na ramieniu i patrząc w oczy.

Nie odpowiedział, lecz dalej gapił się na niego. Niepewny, zdezorientowany.

– Jestem Harry, twój brat.

Wreszcie Danny z wahaniem skinął głową.

– Znajdujemy się w jaskini na północy Włoch.

Danny przytaknął ponownie. Wciąż jednak było to działanie nie całkiem przytomne, jakby rozumiał poszczególne słowa, ale nie sens wypowiedzi.

– Czy wiesz, gdzie jest siostra Elena? Ta zakonnica, która się tobą opiekuje? Wiesz, dokąd poszła?

Przez dłuższą chwilę nie było żadnej reakcji. A potem spojrzenie Danny'ego powoli i z namysłem powędrowało w lewo.

Harry podążał za jego wzrokiem aż do oświetlonego słońcem prześwitu w głębi jaskini. Zostawił Danny'ego i poszedł w tamtą stronę. Miał już wyjść na zewnątrz, gdy ją zobaczył. Stał jak wryty. Elena była na wpół ubrana; habit miała owinięty wokół talii, piersi obnażone. Zaskoczona, zakryła się natychmiast.

– Przepraszam – powiedział, odwracając się szybko i wrócił do Danny'ego.

Po chwili, już ubrana, Elena dogoniła go. Zakłopotana zaczęła się tłumaczyć.

– Proszę wybaczyć, panie Addison. Miałam mokre ubranie, więc wysuszyłam je na skałach; pańską marynarkę i koszulę brata też. On spał, kiedy byłam... bez ubrania.

– Rozumiem. – Harry'emu udało się uśmiechnąć i to ją rozluźniło.

– Ma pan ciężarówkę?

– Tak.

– Harry? – usłyszeli za plecami głos Danny'ego.

Kiedy się doń zbliżyli, zadarł głowę i spojrzał na nich.

To był naprawdę Harry, był tego pewien. Elena też tu była, to dobrze, bo znał ją już długo. Jej widok przywracał mu kontakt z rzeczywistością. Ale czuł się bardzo słaby.

Samo myślenie – gdzie są, skąd się tu wziął Harry – zmuszało go do najwyższego wysiłku. Nagle stanęła mu

żywo przed oczami scena, gdy Harry podał mu rękę i pomógł wyjść z wody. A wraz z jej obrazem to uczucie, kiedy spojrzeli na siebie i zdali sobie sprawę, że po tak długim rozstaniu znowu są razem.

– Ja... – Danny dotknął dłonią głowy – nie bardzo... myślę.

– Nic nie szkodzi, Danny – rzekł Harry łagodnie. – Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

– To zupełnie zrozumiałe, panie Addison – powiedziała z namysłem Elena, przyglądając się swemu pacjentowi. – Możemy o tym rozmawiać przy księdzu, bo on także powinien to sobie uświadomić. Był bardzo poważnie ranny. Jego stan znacznie się poprawił, ale po tym wszystkim nastąpiła regresja. Fizycznie nic mu chyba już nie grozi... Może jednak mieć problemy ze słownictwem, ze zrozumieniem. Czy to minie, tylko czas pokaże. – Przeniosła teraz wzrok na Harry'ego. – Gdzie stoi ciężarówka, panie Addison? – Nagle zaniepokoiła ją coraz późniejsza pora; cienie na zewnątrz były już bardzo długie. – Czy daleko będziemy musieli iść?

Harry zawahał się. Spojrzał na Danny'ego. Nie chciał go zdenerwować albo przestraszyć, wziął więc Elenę pod ramię i poprowadził ku wylotowi groty, mówiąc głośno, że stamtąd pokaże jej drogę.

Kiedy dotarli do skał zasłaniających sklepioną zatoczkę od strony jeziora, odwrócił się twarzą do dziewczyny.

– Policja znalazła jaskinię. Nad wzgórzem, tam gdzie jest wyjście z windy, lata ciągle śmigłowiec. Może to ten

blondyn tamtędy uciekał i dlatego. Ale na pewno wiedzą, że Danny też tam był i że żyje.... – Przerwał na chwilę. – Zostawiłaś wszystkie swoje rzeczy, siostró Eleno. Dowiedzą się o tobie... i pewnie o mnie też, bo nie zwracałem zbytnio uwagi na to, czego dotykam. Przeszukają tunele i korytarze i kiedy nas tam nie znajdą, zaczną dokładnie przeczesywać całą okolicę. Droga z powrotem pod górę jest prawie nie do pokonania, ale jeżeli się stąd wydostaniemy przed zmrokiem, dopóki nie będzie trzeba włączać świateł, to może nam się uda. Po dotarciu do szosy znajdziemy się wśród innych samochodów, a jak się już zrobi ciemno, to może się jakoś prześlizgniemy przez blokadę, tak jak rano.

– I dokąd pojedziemy, panie Addison?

– Przy odrobinie szczęścia na autostradę w Como, a potem na północ, do granicy szwajcarskiej w Chiasso.

Elena spojrzała na niego badawczym wzrokiem.

– A stamtąd, panie Addison?

– Dokładnie nie wiem... – Harry uświadomił sobie nagle obecność Danny’ego, patrzącego z napięciem w ich stronę. Po raz pierwszy przyjrzał mu się wnikliwie, bez emocji. Jego brat był wycieńczony i okaleczony, wciąż jednak z instynktem walki w sobie. Takiego go zawsze pamiętał.

Nieustępliwego, choć nazbyt czasem upartego. W tej chwili jednak Danny był tylko bezradną istotą ludzką.

Harry odwrócił się nagle ku Elenie. Zanim dokądkolwiek wyruszą, dziewczyna musi zrozumieć kilka

spraw.

– Siostra wie, że jestem poszukiwany za zabicie włoskiego policjanta, prawda? – zapytał ją wprost. – A Danny jest głównym podejrzanym o zamordowanie kardynała wikariusza Rzymu.

– Wiem.

W oczach Harry’ego pojawiło się napięcie, ale i wewnętrzna siła.

– Jest bardzo ważne, by siostra zrozumiała, że ja nikogo nie zabiłem. Nie wiem, co zrobił, czy czego nie zrobił mój brat, i nie dowiemy się tego, dopóki nie rozjaśni mu się w głowie na tyle, żeby go można było zapytać. I tak zresztą nie wiem, co wówczas powie albo czego nie powie. Ale niezależnie od wszystkiego, komuś zależy, by był martwy.

Zapewne on coś wie, mógłby coś ujawnić... To z tego właśnie powodu ściga go ten blondyn, a kto wie czy i nie policja...

A teraz już są przekonani, że żyje, więc nie tylko będą go nadal ścigać, ale dojdą też do wniosku, że przekazał swoje informacje ludziom, którzy są z nim.

– Panu i mnie, panie Addison.

– Właśnie.

– A czy naprawdę nam przekazał, czy nie...

– Nie będą nawet pytać – dokończył za nią.

Nagle rozległ się nad ich głowami głuchy odgłos tnących powietrze śmigieł helikoptera. Harry złapał Elenę za rękę i wciągnął ją pod nawis skalny. W tej samej chwili maszyna wyskoczyła zza skał nad ich głowami.

Helikopter leciał jakiś czas nad jeziorem, a potem zawrócił szerokim łukiem nad ląd. Gdy zniknął, ucichł też hałas wirnika.

Spojrzenie Eleny natychmiast znów spoczęło na Harrym.

– Rozumiem sytuację, panie Addison, i jestem przygotowana na wszystko – oświadczyła zdecydowanym tonem.

Harry przyglądał jej się przez sekundę, a potem rzucił:

– W porządku. – I ruszył w głąb jaskini po Danny'ego.

Rosciani ujrzał pod sobą jezioro, a potem, gdy helikopter zawrócił ku klifowi, wierzchołki drzew. Ostatnim uważnym spojrzeniem obrzucił okolicę, chcąc sprawdzić wszystko osobiście. Tak jak to robił jego ojciec. Przekonany, że to wystarczy do odniesienia sukcesu tam, gdzie innym się nie udało. Tym razem jednak metoda się nie sprawdziła. Nie zobaczył niczego poza wodą, skałami i lasem.

– Niech to szlag – zaklął pod nosem. Gdzieś tam przecież byli na dole, wszyscy. Ojciec Daniel, ta zakonnica, blondyn ze szpikulcem do lodu i Harry Addison. Przeczucie go nie myliło: Amerykanin też był w jaskini. Potwierdziły to odciski palców, znalezione na skrzynce z lekarstwami w pokoju księdza.

Rosciani nawet nie próbował sobie wyobrazić, w jaki sposób Amerykaninowi udało się wymknąć obławie i znaleźć w podziemnych kanałach jeszcze przed nimi. Ani też jak ta trójka umknęła blondynowi – bo najwyraźniej to się udało. Cała ta sytuacja miała jednak także aspekt pozytywny: teren obławy z obszaru całego kraju skurczył się do kilkunastu kilometrów kwadratowych. Za to mieli teraz większą liczbę uciekinierów, i to w dwóch grupach. Jedną stanowił Addison z Eleną Voso i księdzem, drugą – samotny zabójca, człowiek ze szpikulcem do lodu. A wszyscy oni byli albo wyjątkowo przemyślni w umykaniu

pościgowi, albo korzystali z pomocy kogoś z zewnątrz, albo po prostu dopisywało im niebywałe szczęście. Zadaniem Roscaniego było zakończenie akcji tu i teraz. Musiał w tym celu zablokować wszystkie możliwe drogi ucieczki i nie pozwolić, żeby teren operacji znów się poszerzył.

Helikopter leciał na północ w narastającym zmierzchu.

Inspektor widział już przed sobą w dole olbrzymie siły policyjne zgromadzone przez Gruppo Cardinale – setki carabinieri, ludzi z lokalnej policji, kilka oddziałów wojska.

Wszyscy przybywali do miejsca zgrupowania, wyznaczonego na wybrzeżu ponad wejściem do podziemnego kompleksu.

W nagłym odruchu kazał pilotowi zawrócić i lecieć do Villa Lorenzi, gdzie kilka godzin wcześniej umiejscowiono polowy sztab operacji. Uzmysłował sobie bowiem z całą jasnością, że skoro ma teraz przed sobą dwa odrębne cele, a Amerykanów i zakonnicę już zna, najważniejszą w tej chwili sprawą jest dowiedzieć się, kim jest bezlitosny blondyn ze szpikulcem do lodu.

Kierownica szarpała niemiłosiernie. Ciężarówka podskakiwała, koła buksowały w żwirze kolein, lecz jakoś zdołali jechać po stromiźnie wzgórza, choć samochód chwilami ześlizgiwał się niebezpiecznie na bok, ku krawędzi zbocza i leżącej daleko w dole tafli jeziora. Wreszcie wyjechali na twardszy grunt, koła złapały przyczepność i Harry'emu łatwiej było trzymać się środka drogi.

– No, na razie nie najgorzej... – Uśmiechnął się półgębkiem, widząc, że Elena, trzymająca się kurczowo drzwiczek szoferki, stara się nie pokazać po sobie strachu. Danny, wciśnięty pomiędzy nich i zupełnie wyczerpany, wpatrywał się nieruchomo w przestrzeń, najwyraźniej nieświadomy, co się dzieje. Harry rzucił okiem na prymitywną deskę rozdzielczą ciężarówki. Pozostało im jeszcze ćwierć baku; nie miał pojęcia, jak daleko mogą na tym dojechać.

– Panie Addison, pański brat potrzebuje płynów i jedzenia, i to możliwie jak najszybciej – przypomniała mu Elena.

Zrobiło się już całkiem ciemno i w oddali widać było światła samochodów na drodze do Bellagio. Szosa na południe zaprowadziłaby ich wzdłuż wybrzeża do Como, dokąd chciał się udać Harry. Nie wiedział, jak to daleko i ile jest po drodze miasteczek; Elena także nie.

– Czy jest tu może jakieś sanktuarium? – zapytał ją nagle Harry, przypomniawszy sobie, że miejsca kultu religijnego przez stulecia zapewniały schronienie i azyl wszelkim uciekinierom i uchodźcom.

– Nie wiem, panie Addison.

– Gdzie mogliby nam pomóc, choćby na tę jedną noc?

– Chyba tylko w Bellagio. Niedaleko zejścia na schody jest kościół Santa Chiara. Pamiętam, bo to franciszkański, a ja jestem ze zgromadzenia franciszkanek. Jeżeli w ogóle ktoś nam pomoże, to tylko tam.

– W Bellagio... – Harry’emu nie bardzo się to podobało.

To oznaczało niebezpieczeństwo. Lepiej by było pojechać na południe, dokąd poszukiwania może jeszcze nie dotarły.

– Panie Addison – rzekła cicho Elena, jakby domyślając się, o czym on myśli. Jej wzrok spoczął na Dannym. – Nie mamy czasu.

Harry też spojrział na brata, śpiącego z głową opuszczoną nisko na piersi. Bellagio. Elena miała rację, na nic innego nie mieli już czasu.

Helikopter Roscaniego osiadł na podejździe Villa Lorenzi w blasku reflektorów i kłębach wirującego pyłu.

Schyliwszy głowę pod wirującym wciąż śmigłem, inspektor ruszył przez ogród do wielkiej sali balowej Erosa Barbu, niestety już nieboszczyka. Urządzono w niej centrum dowodzenia, pełne teraz dymu i chaotycznej krzątaniny. Złocenia, lśniące podłogi i girlandy kandelabrow sprawiała, że sala wydawała się doskonałym miejscem na kwaterę najeźdźczej armii. I w istocie właściwie tak było.

Torując sobie przejście w tym rozgardiaszu, odpowiadając po drodze na kanonadę pytań, patrzył na wielką mapę z chorągiewkami w barwach Włoch, oznaczającymi posterunki kontrolne na szosach. I po raz kolejny zastanawiał się z niepokojem, czy cała akcja, choć wydawała się niezbędną, nie jest przypadkiem zbyt gigantyczna, zbyt hałaśliwa, zbyt trudna do ogarnięcia. Rzeczywiście byli niczym armia, na skutek czego działali i myśleli w kategoriach wojskowych. Siłą rzeczy podlegali także ograniczeniom właściwym tak wielkiej sile. Tymczasem ścigani, jak pokazał to rozwój wypadków, preferowali raczej metody partyzanckie, dające więcej swobody, pozwalające na śmielsze i bardziej twórcze podejście.

Roscani przeszedł do przylegającego do sali balowej

małego pokoju biurowego. Musiał odpowiedzieć na kilka telefonów – od Taglii z Rzymu, od Farela i od żony.

Najpierw zatelefonuje do żony; następnie do Taglii, a na końcu do Farela. A potem przez dwadzieścia minut nie będzie go dla nikogo. Wykorzysta ten czas wyłącznie dla siebie, spróbuje odnaleźć swą assoluta tranailita. Spokojnie się zastanowić. I wreszcie przejrzeć dane przysłane przez Interpol, spróbować ustalić za pomocą tych dokumentów tożsamość blondyna ze szpikulcem.

Bellagio. Hotel Florence; 20.40

Thomas Kind siedział przed toaletką w swoim pokoju i przyglądał się sobie w lustrze. Środek ściągający oczyścił głębokie zadrapania, pozostawione na jego twarzy przez ostre paznokcie Marty. Rany zasklepiły się na tyle, że można je już było zamaskować odpowiednim makijażem.

Wrócił do hotelu autostopem, krótko przed siedemnastą.

Podwiozła go dwójka angielskich studentów na wakacjach.

Powiedział im, że pokłócił się z dziewczyną i to ona go tak podrapała w przyływie wściekłości. Z tego powodu wyszedł i nie zamierzał wracać – jeszcze dziś chciał pojechać nocnym pociągiem do Holandii, a ją niech wezmą diabli. Pół kilometra przed posterunkiem kontrolnym wysiadł, stwierdzając, że wciąż jest rozdrażniony i woli się przejść. Kiedy Anglicy odjechali, skręcił w jakieś pola i obszedł policyjną blokadę

wiejskimi drogami. A potem miał do Bellagio już tylko dwadzieścia minut marszu.

Do swego hotelowego pokoju wszedł schodami awaryjnymi. Zadzwoił do recepcji i oznajmił, że wyjeżdża wcześniej rano i prosi, żeby rachunkiem obciążono jego konto kredytowe w Amsterdamie. Potem obejrzał się w lustrze i uznał, że musi wziąć prysznic i przebrać się. I przebrał się.

Pochyliwszy się do lustra, pociągnął rzęsy mascarą i poprawił cienie na powiekach. Zadowolony z końcowego efektu, wstał i przyjrzał się całej swojej postaci. Był w pantoflach na szpilkach, beżowych spodniach i lekkim lnianym żakiecie z luźną białą bluzką. Całość uzupełniały niewielkie złote kolczyki i sznur pereł. Zamknął walizkę, rzucił ostatecznie spojrzenie w lustro, nałożył na głowę słomkowy kapelusz z szerokim rondem i zostawiwszy klucz na łóżku, opuścił pokój.

Thomas Jose Alvarez-Rios Kind z Quito w Ekwadorze, alias Frederick Voor z Amsterdamu, był teraz Julią Louise Phelps, pośredniczką handlu nieruchomościami z San Francisco.

Harry z zapartym tchem obserwował dwóch carabinieri.

Właśnie przepuścili białego fiata w kierunku Bellagio i spoglądali w stronę kolejnego auta w kolejce, które podjechało do nich i zatrzymało się w jaskrawym świetle policyjnych reflektorów. Po drugiej stronie drogi dwóch innych mundurowych sprawdzało pojazdy opuszczające miasto. Jeszcze czterech obserwowało wszystko z cienia za stojącym na poboczu transporterem opancerzonym.

Harry zobaczył światło z daleka i wiedział, co to jest, zanim jeszcze auta przed nimi zaczęły zwalniać. Kiedy jechali w przeciwną stronę tylko z Eleną, wyjątkowo im się poszczęściło. Teraz było ich troje i spodziewał się najgorszego.

– Panie Addison... – Elena patrzyła prosto przed siebie.

Zobaczył, że samochód przed nimi odjeżdża, i zrozumiał, że to już kolej na nich. Uzbrojony carabiniere dał znak, żeby podjechali. Serce podeszło Harry'emu do gardła i poczuł, jak pocał mu się dłonie ściskające kurczowo kierownicę.

Funkcjonariusz ponaglił go gestem.

Odetchnąwszy głęboko, Harry puścił sprzęgło i ciężarówka ruszyła. Policjant uniósł dłoń, zatrzymując go. W świetle przenośnych reflektorów zbliżało się do samochodu dwóch karabinierów, każdy z jednej strony. Obaj trzymali w rękach wielkie latarki.

– Rany boskie!

– Co się stało? – zapytała szeptem Elena.

– To ten sam facet.

Tamten też ich poznał. Jakże mógłby zapomnieć tę starą ciężarówkę prowadzoną przez księdza, który rano omal go nie przejechał.

– Buona sera – powiedział ostrożnie funkcjonariusz.

– Buona sera – odpowiedział Harry.

Policjant podniósł latarkę i oświetlił nią wnętrze szoferki.

Danny spał, oparty o Elenę. Miał na sobie księżowską marynarkę Harry’ego.

Drugi z karabinierów gestem nakazał Elenie, żeby opuściła okno.

Dziewczyna zignorowała go i odwróciła głowę do tego, który stał po stronie Harry’ego.

– Jechaliśmy na pogrzeb. Pamięta pan? – powiedziała po włosku.

– Owszem.

– Właśnie wracamy. Ojciec Dolgetta – wskazała na Danny’ego, po czym ściszyła głos, jakby nie chcąc go obudzić – przyjechał aż z Mediolanu, żeby odprawić mszę świętą. Widzi pan, jaki on mizerny? Jest chory; nie powinien jechać tak daleko, ale się uparł. No i proszę, pogorszyło mu się. Niech pan tylko popatrzy. Musimy go położyć do łóżka, zanim się całkiem rozchoruje.

Policjant przyglądał się im przez dłuższą chwilę, świecąc latarką to na Danny’ego, to na Harry’ego.

– O co panu chodzi, panie władzo? – Elena mówiła podniesionym głosem, z błyskami rozdrażnienia w oczach. – Może mamy wysiąść? A jego mamy obudzić, tak? Może on też ma wysiąść? Przecież nas pan zna. Długo jeszcze będziemy musieli tu sterczeć?

Auta za nimi zaczęły trąbić. Kierowcy niecierpliwili się, kolejka się wydłużała. Wreszcie carabinieri zgasił latarkę, skinął głową swemu towarzyszowi i machnął dłonią, żeby przejeżdżali.

Roscani odłamał kawałek czekolady, włożył go do ust i zamknął teczkę z aktami Interpolu.

Część pierwsza, pięćdziesiąt dziewięć stron, zawierała szczegółowe informacje na temat dwudziestu siedmiu mężczyzn i dziewięciu kobiet zaklasyfikowanych jako terrorystów, których terenem działania była Europa. W części drugiej na dwudziestu ośmiu stronach opisano morderców, wciąż znajdujących się na wolności, najprawdopodobniej także w Europie. Było ich czternastu, sami mężczyźni.

Każda z tych osób mogła dokonać zamachu na autobus do Asyżu. Każdy z mężczyzn mógł być tym, którego zmasakrowane zwłoki zidentyfikowano błędnie jako ojca Daniela; właścicielem hiszpańskiego pistoletu Llama. A jednak w opinii Roscaniego żaden z nich nie kojarzył się z owym sadystycznym, wielce pomysłowym i pobudzonym erotycznie maniakiem, jakiego wyczuwał w blondynie z podrapaną twarzą, prawdziwym artyście szpikulca i brzytwy.

Podenerwowany, przeklinając samego siebie za pomysł z rzuceniem palenia, wstał i otworzywszy drzwi swego małego „sanktuarium”, wrócił do wypełnionej zgiełkiem sali balowej w Villa Lorenzi. Idąc do wyjścia i rozglądając się po sali, uzmysłowił sobie, że nie miał przedtem racji.

To prawda, że Gruppo Cardinale była jak armia. Za duża. Trudna w dowodzeniu. Wzbudzająca zbyt wiele zainteresowania. Popełniająca błędy. Biorąc jednak pod uwagę całość sytuacji, powinien być zadowolony, że ją ma.

Takiej gry nie należy rozgrywać w pojedynkę. Takich poszukiwań nie można było prowadzić osobiście, jakby to zrobił jego ojciec, sądząc, że on i tylko on sam potrafi znaleźć właściwe rozwiązanie. To była operacja wymagająca koncentracji sił i środków, tysięcy otwartych głów i czujnych oczu, przeczesujących teren centymetr po centymetrze. Wyłącznie ta metoda dawała szansę zatrzaśnięcia pułapki i gwarantowała, że zwierzyna znowu się z niej nie wyśliznie.

Bellagio. Kościół Santa Chiara; 22.15

Harry siedział z Dannym w ciemnej szoferce, czekając, aż wróci Elena. Nie było jej już prawie pół godziny i czuł, jak z wolna wzbiera w nim niepokój.

Drugą stroną ulicy przeszło kilkoro nastolatków; żartowali i śmiali się, jeden brzdąkał na gitarze. Parę minut wcześniej przespacerował tamtędy starszy pan z dwoma małymi psami na smyczy, nucący coś pod nosem. Kiedy śmiechy młodych ludzi oddaliły się, nastąpiła kompletna cisza, zwiększając poczucie izolacji Harry'ego i strach, że zostaną złapani.

Spojrzał na Danny'ego, który spał na siedzeniu obok w pozycji embrionalnej, z podkurczonymi nogami w

niebieskich łupkach. Był to niewinny, nieświadomy sen, jak sen dziecka. Zapraǳnął wyciągnąć rękę i dotknąć go, zapewnić jeszcze raz, że wszystko będzie dobrze.

Tymczasem rzucił znów spojrzenie na kościół, mając nadzieję zobaczyć wychodzącą zeń Elenę. Zobaczył jednak tylko pustą ulicę z zaparkowanymi po obu stronach samochodami. Nagle ogarnęła go fala emocji, uczucie głębokie i płynące gdzieś z zakamarków duszy. Uświadomił sobie, dlaczego się znalazł w tym miejscu. Była to spleta dęgu, oswobodzenie się od jego ciężaru, spełnienie karmanu.

Dotrzymywał właśnie obietnicy, złożonej Danny'emu przed laty, kiedy wyjeżdżał na studia. Danny był wtedy jeszcze bardziej zbuntowany niż przedtem, nieustannie wywołujący konflikty w domu i w szkole; do tego dochodziły problemy z policją. Harry miał za dwa dni rozpocząć swój pierwszy rok na Harvardzie i stał już z walizką, gotowy do wyjścia. Czekał tylko na Danny'ego, żeby się z nim pożegnać. Nagle jego brat wszedł do domu, z umorusaną twarzą, zmierzwionymi włosami i poobcieraną w walce prawą dłońią. Spojrzał na walizkę, potem na Harry'ego i chciał przejść koło niego, nie odzywając się. Harry złapał go mocno i przyciągnął do siebie. Wciąż brzmiały mu w uszach wypowiedziane wówczas słowa. „Skończ tylko szkołę, dobra? – oświadczył zdecydowanym głosem. – Wtedy przyjadę i zabiorę cię do siebie... Nie zostawię cię tutaj, obiecuję”.

To było coś więcej niż obietnica. Było to przedłużenie

paktu, który kiedyś zawarli, postanawiając po śmierci siostry i ojca i po pośpiesznym, nieudanym powtórnym zamążpójściu matki, że pomogą sobie wzajemnie w wydostaniu się stąd. Z tego życia, z tego miasta, z tej rodziny.

I nigdy tu nie wrócą. To była przysięga. Pewnik. Brat obiecał bratu.

Nigdy się jednak tak nie stało, z wielu powodów. I chociaż o tym nie rozmawiali, chociaż okoliczności się zmieniły, bo Danny zaraz po szkole wstąpił do marines, Harry wiedział, że tak czy inaczej powodem zerwania kontaktu było właśnie to, że wtedy nie wrócił. Złożył obietnicę i nie próbował nawet jej dotrzymać. I Danny wciąż mu to pamiętał. No więc spełnia ją teraz. Wreszcie się zjawił, żeby zabrać brata ze sobą.

22.25

Kolejne spojrzenie na kościół. Ulica wciąż ciemna i pusta, Ani śladu Eleny.

Wtem ciszę przerwał stłumiony dzwonek telefonu. Harry wzdrygnął się i zaczął rozglądać, próbując dociec, skąd dobiega dźwięk. Wreszcie uświadomił sobie, że to jego własna komórka, którą wetknął do schowka, kiedy poszedł z Eleną do jaskini po Danny'ego.

Sygnał nagle umilkł, a po chwili rozdzwonił się znowu.

Harry otworzył schowek po stronie pasażera, wyciągnął telefon i włączył go.

– Tak? – powiedział z wahaniem, wiedząc, że tylko

jedna osoba wie, jak się z nim skontaktować.

– Harry?

– Adrianna.

– Harry, gdzie ty jesteś?

Wyczuł w jej głosie specyficzną, sondującą modulację.

Nie troskę, nie ciepło, nie przyjaźń. Chodziło o jej interes.

O to, co uzgodnili na początku, że ona i Eaton będą mogli porozmawiać z Dannym jako pierwsi.

– Harry?

– No, słucham.

– Czy twój brat jest z tobą?

– Tak.

– Powiedz mi, gdzie jesteście.

22.30

Rzut oka wzdłuż ulicy. Ani śladu Eleny.

A gdzie ty jesteś, Adrianna?

– W Bellagio, w hotelu Du Lac. Ty też tu jesteś zameldowany.

– Eaton jest z tobą?

– Nie. Dopiero jedzie z Rzymu.

Nagle u szczytu stromej ulicy wyłoniły się z za zakrętu światła reflektorów. Policjanci na motocyklach. Zjeżdżali w dół. Poruszali się powoli, światła ulicznych lamp rzucały refleksy na ich hełmy, a oni przyglądali się każdemu samochodowi po kolei, rozglądali po chodnikach, szukali. Jego; i Danny'ego.

– Harry, jesteś tam?

Danny poruszył się nagle. Chryste, tylko nie teraz! Oby nie stało się to, co w grocie!

– Powiedz, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie – mówiła Adrianna.

Danny znów się poruszył. Policjanci byli już blisko. Kilka samochodów od nich.

– Cholera, Harry, odezwij się. Powiedz wreszcie, gdzie...

Harry przerwał połączenie i przylgnął całym ciałem do Danny'ego, chowając się poniżej poziomu okna i modląc, żeby brat był cicho. Nagle gdzieś pod nim telefon znów zadzwonił.

Adrianna nie dawała za wygraną.

– Boże – wyszeptał Harry. Sygnał był głośny. Przenikliwy. Miał wrażenie, jakby go puszczone przez głośniki.

Zaczął gmerać rozpaczliwie pod sobą, usiłując wymacać aparat w ciemności. Ale telefon zaplątał się gdzieś między fałdami ich ubrań. Objął więc mocniej ramionami Danny'ego, chcąc stłumić dzwonienie własnym ciałem. Drżąc, by w wieczornej ciszy nie usłyszeli go policjanci.

Nim sygnał wreszcie umilkł, minęła cała wieczność. Znowu zrobiło się cicho. Harry'ego korciło, żeby się podnieść, sprawdzić, czy policjanci odjechali. Ale nie miał odwagi.

Słyszał głośne bicie własnego serca.

Raptem ktoś mocno zapukał w okno. Przeszył go

dreszcz.

Wszystkie zmysły zamarły jak ścięte mrozem. Pukanie się powtórzyło. Tym razem głośniej.

Przerażony i zrezygnowany, podniósł w końcu głowę.

To była Elena. Za nią stał jakiś ksiądz. Mieli ze sobą wózek inwalidzki.

Przy stoliku pod oknem w barze hotelu Florence siedziała atrakcyjna kobieta błękitnym żakiecie i dużym słomkowym kapeluszu. Widziała stąd nabrzeże i przystań wodolotów. Widziała też funkcjonariuszy z Gruppo Cardinale, przy kasie biletowej i na samym pomoście. Przyglądali się uważnie pasażerom czekającym na statek.

Odwrócona nieco plecami do sali, wyciągnęła z torebki telefon komórkowy i wybrała numer w Mediolanie. Sygnał przechwyciło specjalne urządzenie przełączające i przesłało go dalej, pod kolejny numer identycznego urządzenia w Civitavecchia na wybrzeżu. To urządzenie połączyło się wreszcie z nie rejestrowanym numerem w Rzymie.

– Si – odezwał się męski głos.

– Mówi „S” – rzekł Thomas Kind.

– Un momento.

Cisza. I po chwili...

– Tak. – Kolejny męski głos. Zniekształcony elektronicznie, żeby nie można go było rozpoznać. Dalsza konwersacja odbywała się po francusku.

„S”: Obiekt żyje. Prawdopodobnie ranny. I muszę niestety oznajmić, że mi uciekł.

Męski głos: Wiem.

„S”: Co mam robić? Mogę zrezygnować, jeśli pan chce.

Męski głos: Nie. Podziwiam twoją nieustępliwość i

sprawność działania... Policja wie, że tam jesteś. Szukają cię, ale nie mają pojęcia, kogo szukać.

„S”: Tak też sądziłem.

Męski głos: Czy możesz opuścić teren?

„S”: Przy odrobinie szczęścia.

Męski głos: To przyjedź tutaj.

„S”: Mogę podążać za obiektem na miejscu. Nawet z policją na karku.

Męski głos: Wiem, ale po co, skoro można obudzić ćmę i zwabić ją do płomienia?

Palestrina nacisnął guzik na małej skrzynce obok telefonu, po czym podał słuchawkę Farelowi, który ją odłożył. Watykański sekretarz stanu przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, patrząc na swój skąpo oświetlony, wyłożony marmurem gabinet, pełen obrazów, rzeźb i starych ksiąg na półkach. Otaczały go całe stulecia historii. Rezydencja Palestriny w pałacu Sykstusa V znajdowała się bezpośrednio pod apartamentem papieża. Apartamentem, w którym Ojciec Święty spał teraz, wyczerpany fizycznie i umysłowo po trudach dnia. Ufny, że jego doradcy, dzierżący ster Stolicy Apostolskiej, utrzymują właściwy kurs.

– Jeśli można, Eminencjo... – przerwał ciszę Farel.

Palestrina spojrzał na niego.

– Mów, co ci chodzi po głowie.

– Ten ksiądz. Thomas Kind go nie powstrzyma, Roscani ze swoją armią też nie. Jest jak kot, który zawsze spada na cztery łapy. Oczywiście możemy go zwabić w

pułapkę... Ale co będzie, jeżeli on przedtem zacznie gadać?

– Chcesz powiedzieć, że przez jednego człowieka możemy stracić Chiny.

– Tak. I nie będziemy mogli na to nic poradzić. Poza zaprzeczaniem wszystkiemu. Ale Chiny i tak przepadną, a podejrzenia pozostaną na wieki.

Palestrina powoli obrócił się na krześle ku stojącemu za jego plecami zabytkowemu kredensowi i umieszczonej na nim rzeźbie. Było to marmurowe popiersie Aleksandra Macedońskiego, pochodzące z piątego wieku.

– Urodziłem się jako syn króla Macedonii. – Mówił do Farela, lecz jego wzrok spoczywał na rzeźbie. – Moim wychowawcą był Arystoteles. Mojego ojca zamordowano, kiedy miałem dwadzieścia lat, i wówczas ja zostałem królem, otoczony zewsząd jego wrogami. Niebawem dowiedziałem się, którzy to, i kazałem ich ściąć. A potem, zgromadziwszy wokół siebie oddanych mi ludzi, zgmiotłem wznieconą przez tamtych rebelię. Po dwóch latach byłem już władcą Grecji i przekroczywszy Dardanele, najechałem Persję na czele armii trzydziestu pięciu tysięcy Greków i Macedończyków.

Palestrina powoli, wyćwiczonym ruchem, obrócił się ku Farelowi, tak że lampa oświetliła jego twarz pod tym samym kątem, co popiersie Aleksandra, upodabniając oba profile do siebie. Jego wzrok poszukał oczu Farela i kardynał mówił dalej. Słuchając go, szef watykańskiej służby porządkowej czuł wędrujący wzdłuż kręgosłupa

dreszcz. Z każdym słowem spojrzenie Palestriny mroczyło i odpływało w dal, jakby się coraz bardziej stapiał z postacią, którą w swoim mniemaniu był.

– Pod Troją pokonałem czterdziestotysięczne wojska, straciwszy zaledwie stu dziesięciu ludzi. Stamtąd podążyłem na południe, gdzie stanąłem naprzeciw króla Dariusza i armii perskiej liczącej pół miliona żołnierzy. Po naszym zwycięstwie Dariusz uciekł, zostawiając matkę, żonę i dzieci. Następnie wziąłem Tyr i Gazę i ruszyłem do Egiptu, dzięki czemu zapanowałem nad całym wschodnim wybrzeżem Morza Śródziemnego. Potem przyszedł Babilon i to, co pozostało z imperium perskiego za południowym wybrzeżem Morza Kaspijskiego, aż po Afganistan... A w końcu zwróciłem się na północ, ku terenom zwanym dziś rosyjskim; Turkiestanem i dalej, ku Azji Środkowej. Było to... – wzrok Palestriny odpłynął w przestrzeń – ...w roku trzysta dwudziestym siódmym przed Chrystusem. I większości z tych czynów udało mi się dokonać w przeciągu trzech lat.

– Nagle kardynał spojrział znów wprost na Farelą, całkowicie przytomny i obecny. – Nie poniosłem klęski w Persji, Jacovie. I nie poniosę jej także w Chinach. – Zniżył głos, świdrując rozmówcę wzrokiem. – Przeprowadź mi tu Bardonego. Natychmiast.

Elena leżała w ciemności, wpatrzona w prostokąt światła padającego na ścianę z małego okna pod sufitem.

Znajdowali się w convento, przylegającym do kościoła klasztorze ojców franciszkanów. Poza niewysokim, sympatycznym ojcem Renatem, który towarzyszył jej do ciężarówki, oraz dwoma czy trzema innymi duchownymi, pozostali znajdowali się na modlitewnym odosobnieniu. Był to szczęśliwy traf, dzięki któremu otrzymała osobny pokój dla siebie, przylegającą doń sypialnię dla ojca Daniela i pokój naprzeciwko dla Harry'ego Addisona.

Wciąż żałowała, że tak bardzo opóźniła swój powrót do ciężarówki, narażając Harry'ego na kolejne niebezpieczeństwo, ale nie miała właściwie wyboru. Ojca Renata bardzo trudno było przekonać. Udało jej się to dopiero, gdy zatelefonowała do matki przełożonej w Sienie i poprosiła ją, żeby porozmawiała z zakonnikiem. Wtedy ustąpił i poszedł z nią do samochodu. Ale musieli jeszcze poczekać w cieniu kościoła, aż odjedzie policyjny patrol na motocyklach.

Kiedy wrócili do klasztoru, nakarmili ojca Daniela budyniem ryżowym i herbatą i położyli go do łóżka. Elenę i Harry'ego ojciec Renato zaprowadził do niedużej klasztornej kuchni i poczęstował makaronem z kawałkami

kurczaka, który pozostał z kolacji. Po posiłku pokazał im pokoje, w których mieli spać, i wrócił do swojej celi, uprzedziwszy ich, że nazajutrz bracia zakonni wracają i cała trójka musi opuścić klasztor.

Opuścić klasztor, pomyślała Elena, wciąż wpatrzona w świetlną plamę na suficie. I dokąd się udać?

Ta myśl obudziła w niej coś jeszcze – jej własne poczucie wolności, czy raczej jej braku. Punktem zwrotnym był ten moment w jaskini, kiedy w nagłym przypływie emocji wybuchnęła płaczem i Harry zostawił brata, żeby ją przytulić i pocieszyć, choć przecież widziała, jak bardzo sam był wyczerpany, niemal u kresu sił. Jeszcze bardziej podziałała na nią chwila, gdy ujrzał ją półnagą w grocie. Obraz tego zdarzenia wracał w jej pamięci – jego szybkie przeprosiny i wycofanie się do jaskini – czuła coraz mniej zażenowania, a coraz więcej erotycznego pobudzenia. Zastanawiała się, czy gdyby nie była zakonnicą, nie zatrzymałby na niej oczu dłużej, pomimo powagi sytuacji. Była w końcu jeszcze młoda i miała chyba niezłą figurę.

Nagle, po raz pierwszy od wyjazdu z Pescary, kiedy to leżała na łóżku, słuchając przez interkom oddechu Danny'ego, poczuła przypływ seksualnego podniecenia. Noc była parna i Elena, zdjawszy habit, leżała pod prześcieradłem naga. Uczucie podniecenia narastało i całe jej ciało ogarnęła fala ciepła. Dotknęła dłońmi piersi.

Ponownie zobaczyła w wyobraźni Harry'ego, jak wychodzi z jaskini, i poczuła na sobie jego spojrzenie.

Zrozumiała wtedy, że jej pragnienie stania się w pełni kobietą, całkowicie i w sensie fizycznym, było autentyczne. Różnica polegała na tym, że teraz już się go nie bała. Jeżeli Bóg poddawał ją próbie, to może nie tyle wystawiał na pokuszenie siłę jej charakteru i zdolność dotrzymania ślubów czystości i posłuszeństwa, ile raczej pomagał odnaleźć prawdziwą siebie. Taką, jaką chciałyby być. I może to właśnie była odpowiedź na pytanie, dlaczego to wszystko się dzieje. Po co w jej życiu pojawił się Harry? Po to, żeby pomóc jej podjąć tę decyzję, raz na zawsze. Sama jego obecność i sposób bycia poruszały ją w sposób, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Była w tym czułość i świeżość. I ukojenie, odsuwające od niej poczucie winy i wyobcowania, które odczuwała do tej pory zawsze, kiedy budziły się w niej emocje. Było tak, jakby otworzyła wreszcie zakazane drzwi i odkryła, że po drugiej stronie istnieje bezpieczne i pełne radości życie i że w porządku jest być żywym i mieć te same namiętności i uczucia, co wszyscy. Że w porządku jest być Eleną Voso.

Harry usłyszał ciche pukanie i drzwi jego pokoju uchyliły się w mroku.

– Panie Addison – szepnęła Elena.

– Co się stało? – Usiadł na łóżku, zaniepokojony.

– Nic złego, panie Addison... Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym weszła na chwilę?

Harry zawahał się zaskoczony.

– Proszę, oczywiście...

Drzwi otworzyły się szerzej, na tle przyćmionego światła Z korytarza zobaczył zarys jej sylwetki, po czym drzwi się zamknęły.

– Przepraszam, że pana obudziłam.

– Nic się nie stało.

W pokoju zrobiło się prawie ciemno i Harry ledwie widział, jak dziewczyna zbliża się do jego łóżka. Miała na sobie habit, lecz była bosą i wydawała mu się jakaś dziwnie podekscytowana i nerwowa.

– Niech siostra siądzie – wskazał brzeg łóżka.

Elena popatrzyła na łóżko i rzuciła szybkie spojrzenie na Harry'ego.

– Raczej postoję, panie Addison – odparła.

– Harry.

– Harry – powtórzyła z nerwowym uśmiechem.

– Co się stało?

– Ja... podjęłam właśnie pewną decyzję i chciałam, żeby pan też wiedział...

Skinął głową, wciąż niepewny, do czego ona zmierza.

– Pamięta pan, kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz, powiedziałam panu, że opiekowanie się ojcem Danielem to praca zlecona mi przez Boga.

– Tak.

– No więc, kiedy już się to skończy... – przerwała i Harry widział, że szuka w sobie odwagi – ...mam zamiar poprosić moich przełożonych o zwolnienie ze ślubów i odejść z klasztoru.

Harry milczał przez długą chwilę. W końcu zapytał:

– Czy pytasz mnie o zdanie?

– Nie, stwierdzam tylko fakt.

– Eleno – rzekł łagodnie – może zanim podejmiesz ostateczną decyzję, powinnaś sobie uprzytomnić, że po tym, przez co przeszliśmy, żadne z nas nie jest w stanie myśleć przejrzysto.

– Zdaję sobie z tego sprawę... Harry. I wiem też, że te nasze przejścia pomogły mi tylko jaśniej sobie uświadomić myśli i uczucia, które towarzyszą mi już od dawna. Mówiąc najprościej... chcę być z mężczyzną. I kochać go na wszystkie możliwe sposoby i pragnę, żeby on też mnie tak kochał.

Harry obserwował ją uważnie, patrzył, jak oddycha głęboko, jak w jej oczach, nawet w tym nikłym świetle, błyskają iskierki determinacji.

– To sprawa bardzo osobista, Eleno – odparł. Dziewczyna milczała. – Może tylko nie bardzo rozumiem, dlaczego mówisz to wszystko akurat mnie...

– Dlatego, że nie wiem, co może się zdarzyć jutro, i chcę, żeby o tym wiedział ktoś, kto mnie zrozumie. I dlatego, że chciałam... Harry... żebyś właśnie ty to usłyszał. – Elena przez długą chwilę wpatrywała się weń z napięciem, potem zaś szepnęła: – Dobranoc i niech cię Bóg błogosławi. – Po czym odwróciła się i wyszła.

Harry spoglądał za nią, gdy szła przez pokój, a po sekundzie mignęła mu w drzwiach i zniknęła. Przyszła podzielić się z nim czymś bardzo osobistym, lecz nie był do końca pewien dlaczego. Wiedział tylko, że na pewno

nie spotkał nigdy w życiu kogoś takiego jak ona. A także, że jeśli nawet go pociągała, to czas nie był ku temu odpowiedni. Dodatkowe emocje oznaczały w tej chwili jedynie dodatkowe przeszkody, a tych już mieli w nadmiarze. Jeżeli któreś z nich się teraz rozklei, może się to skończyć tragicznie dla wszystkich.

Atrakcyjna, ubrana z klasą kobieta w słomkowym kapeluszu stała w kolejce pasażerów czekających na wodolot.

Stateczek zbliżał się już do pomostu po ciemnej toni jeziora.

U szczytu prowadzących do miasteczka schodów stało czterech policjantów z Gruppo Cardinale. W kamizelkach kuloodpornych i z uzi w rękach obserwowali okolice. Czterech kolejnych patrolowało przystań, przyglądając się twarzom pasażerów w poszukiwaniu trójki zbiegów. Wyrywkowa kontrola dokumentów potwierdziła, że prawie wszyscy na przystani to zagraniczni turyści. Z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Brazylii, Australii i Stanów Zjednoczonych.

– Grazie – powiedział młody funkcjonariusz, oddając paszport Julii Louise Phelps. Zasalutował i uśmiechnął się.

To nie blondyn zabójca z poharataną twarzą, nie włoska zakonnica ani amerykański ksiądz czy jego brat. Miał przed sobą wysoką atrakcyjną kobietę, Amerykankę, jak się wcześniej domyślił. W wielkim słomkowym kapeluszu na głowie.

Uśmiechającą się w szczególny sposób. Dlatego właśnie podszedł do niej i poprosił o dokumenty – nie z powodu jej podejrzanego wyglądu, lecz żeby poflirtować.

Pozwoliła mu na to.

Wodolot zacumował i wysiedli z niego ci, których celem było Bellagio. Amerykanka schowała paszport do torebki, posłała policjantowi jeszcze jeden uśmiech i weszła na pokład wraz z innymi. Po chwili wciągnięto trap, rozległ się ryk silników i wodolot odbił od nabrzeża.

Policjanci na pomoście i ci u szczytu schodów patrzyli, jak nabiera szybkości, a potem unosi się nad wodę i niknie na tle ciemnego jeziora, płynąc w kierunku Tremezzo i Lenno, a potem przez Lezzeno i Argegno z powrotem do Como.

Wodolot „Freccia delie Betulle” był ostatnim tego wieczora i policjanci poczuli wreszcie ulgę. Kolejny dzień ciężkiej pracy mieli za sobą. Wiedzieli, że dobrze wykonują swoje zadanie, że pod ich czujnym okiem nie mógł prześliznąć się żaden z uciekinierów.

Watykan. Środa, 15 lipca; 00.20

Jacov Farel otworzył drzwi prywatnego gabinetu Palestriny i do środka wszedł ksiądz Bardoni. W okularach na nosie, poważny i spokojny, jakby nie robiła na nim wrażenia późna pora ani miejsce, do którego został wezwany. Nie okazując żadnych emocji, po prostu przybył na wezwanie przełożonego.

Palestrina siedział za biurkiem. Gestem polecił młodemu księdzu, by usiadł na stojącym przed nim krześle.

– Wezwałem cię tutaj – zwrócił się do niego –

ponieważ chciałem ci osobiście zakomunikować o chorobie kardynała Marsciana.

– Kardynał jest chory? – Bardoni uniósł się z krzesła.

– Zemdlał tu, w moim biurze, dziś wieczorem, po spotkaniu w ambasadzie chińskiej. Lekarze sądzą, że przyczyną jest po prostu przemęczenie, ale nie są pewni. Trzymają go więc pod obserwacją.

– Gdzie?

– Tutaj, w Watykanie – odparł Palestrina. – W Wieży Świętego Jana, w apartamentach gościnnych.

– Dlaczego nie w szpitalu? – zapytał Bardoni i kątem oka zauważył, że Farel postąpił krok ku niemu.

– Dlatego, że ja tak zdecydowałem. Ponieważ wiem chyba, co jest przyczyną tego „przemęczenia”...

– Mianowicie?

– Mianowicie nie kończąca się historia z ojcem Danielem. – Palestrina przyglądał się uważnie młodemu kapłanowi. Jak dotąd nie było po nim widać cienia emocji, nawet w tej chwili, gdy padło imię „zmarłego” księdza.

– Nie rozumiem – rzekł Bardoni spokojnie.

– Kardynał Marsciano przysięgał, że on nie żyje. I może nawet wciąż jest o tym przekonany, podobnie jak policja.

Jednakże pojawiły się nowe dowody, z których wynika, że ojciec Daniel nie tylko znajduje się wśród żywych, lecz ma się na tyle dobrze, by nieustannie wymykać się siłom prawa.

Co oznacza, że jest również w stanie porozumiewać się z innymi... – Palestrina przerwał, świdrując Bardonię wzrokiem, upewniając się, że słucha go uważnie i zrozumie należycie to, co zaraz usłyszy. – Kardynałowi Marscianowi sprawiłoby zapewne ogromną radość ujście ojca Daniela żywym – mówił dalej. – Ponieważ jednak musi znajdować się pod opieką lekarzy i nie może udać się w podróż, wniosek jest jeden: ksiądz Addison powinien sam przybyć... lub, jeśli będzie to niezbędne, zostać przyprowadzony... by złożyć wizytę kardynałowi.

W tym momencie Bardoni stracił jednak nieco pewności siebie. Rzucił ukradkowe spojrzenie ku Farelowi, jakby chcąc się upewnić, że ten w pełni opowiada się po stronie Palestriny i popiera areszt domowy nałożony na Marsciana.

Zimny, beznamiętny wzrok szefa Straży nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości. Bardoni odzyskał rezon i z rozdrażnieniem w głosie zwrócił się do sekretarza stanu:

– Sugeruje Eminencja, że ja się orientuję, gdzie jest ojciec Daniel i mogę mu przekazać tę wiadomość? Że jest w mojej mocy ściągnięcie go jakimś sposobem do Watykanu?

– Pokrywka zdjęta – rzekł Palestrina lekkim tonem – ćma wylatuje... Dokąd poleci? To pytanie zadaje sobie wielu ludzi, którzy na nią polują. Nie mogą jednak jej pochwycić; w ostatniej chwili zawsze udaje jej się odlecieć. To bardzo trudne, kiedy jest się chorym albo

rannym. Chyba... że ktoś mu udziela pomocy. Ktoś współczujący, na przykład znany pisarz. Albo ktoś z duchowieństwa. I że czuwa nad nim opiekuńcza dłoń kogoś szkolonego w tej dziedzinie – pielęgniarki albo zakonnicy; albo obu w jednej osobie. Która nazywa się na przykład siostra Elena Voso i przybyła z Sieny.

Ksiądz Bardoni nie zareagował nawet na to. Patrzył po prostu przed siebie nieobecny wzrokiem, jakby w ogóle nie miał pojęcia, o czym tamten mówi. Robił to celowo, żeby pokryć poprzednie zmieszanie; wiedział jednak, że jest już za późno.

Palestrina pochylił się ku niemu.

– Ojciec Daniel ma po drodze milczeć – powiedział dobitnie. – Nie rozmawiać z nikim. Jeżeli go złapią po drodze, ma odpowiadać policji, łącznie z Roscanim i Taglią, że niczego nie pamięta...

Bardoni otworzył usta, by zaprotestować, Palestrina jednak uciszył go gestem dłoni, po czym dokończył swoją przemowę, zniżając głos niemal do szeptu.

– Niechże ksiądz zrozumie, że każdy dzień nieobecności tutaj ojca Daniela pogarszać będzie samopoczucie kardynała Marsciana... Wraz z utratą ducha kardynał podupadać też będzie na zdrowiu, aż do momentu kiedy – Palestrina wzruszył ramionami – nie będzie to już miało znaczenia.

– Eminencjo – odparł sucho Bardoni. – Rozmawia ksiądz z niewłaściwą osobą. Na temat miejsca pobytu ojca Daniela i możliwości skontaktowania się z nim wiem

dokładnie tyle samo, co wszyscy.

Sekretarz stanu przyglądał mu się przez chwilę, po czym uczynił znak krzyża.

– Che Dio ti protega – rzekł. – Niech cię Bóg ma w swej opiece.

Farel podszedł natychmiast do drzwi i otworzył je. Po chwili wahania Bardoni wstał, minął go bez słowa i zniknął w mroku korytarza.

Palestrina patrzył w ślad za nim. Niewłaściwa osoba? O, nie. Nie Bardoni. Umyślny Marsciano i jego pomocnik od samego początku. To on wydostał ojca Daniela z miejsca eksplozji, pod nosem ekip ratowniczych, a potem przetransportował go do Pescary i kierował jego dalszymi przenosinami. Podejrzewali go oczywiście – śledzili, założyli podsłuch w telefonie. Przypuszczali nawet, że to on był człowiekiem, który w Mediolanie wynajął wodolot do Bellagio. Ale nie potrafili mu niczego udowodnić. Jedynym błędem, jaki popełnił, było jego dzisiejsze potknięcie, gdy spojrzał na Farela. Niewiele, ale to wystarczyło. Palestrina wiedział, że Marsciano wymagał od swego personelu bezwarunkowej lojalności. I skoro ufał księdzu Danielowi na tyle, żeby się przed nim wyświadczać, musiał także zaufać Bardoniemu, kazać mu ratować życie Amerykanina. A Bardoni skwapliwie wypełnił polecenie.

Był więc osobą jak najbardziej właściwą. Toteż Palestrina nie wątpił ani przez chwilę, że jego przesłanie dotrze tam, gdzie powinno.

3.00

Sekretarz stanu siedział przy małym stoliku do pisania, w swojej sypialni. Miał na sobie czerwony jedwabny szlafrok i sandały, co w połączeniu z jego ogromną posturą i grzywą białych włosów nadawało mu wygląd rzymskiego imperatora. Przed nim leżały poranne wydania kilku europejskich dzienników. Każdy z nich podawał na czołówce informacje o tragedii w Chinach. W małym telewizorze obok łóżka widział nadawaną na żywo relację WNN z Hefei. Pokazywano akurat wjeżdżające do miasta ciężarówki wypełnione żołnierzami Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Byli w kombinezonach, w rękawiczkach, z nadgarstkami i kostkami zabezpieczonymi taśmą izolacyjną, a na twarzach mieli pomarańczowe maski ochronne i gogle. Wszystko po to, żeby – jak wyjaśnił podobnie ubrany korespondent WNN – podczas akcji usuwania stale rosnącej liczby trupów ochronić się przed kontaktem z przenoszącymi chorobę płynami ciała.

Kardynał odwrócił wzrok od telewizora i spojrzał na baterię telefonów przed sobą. Wiedział, że Pierre Weggen odbywa właśnie w Pekinie przyjacielską rozmowę z Yan Yehem. Z całą powagą i bez najmniejszej sugestii, że pomysł mógł pochodzić od kogokolwiek innego poza nim, Weggen położyć miał podwaliny pod realizację projektu przebudowy wodociągów w całych Chinach. Kardynał ufał, że sama pozycja szwajcarskiego bankiera i jego długoletnia zażyłość z prezesem Narodowego Banku

Chińskiego wystarczą, by ten ostatni przyklasnął pomysłowi i przekonał do niego jak najszybciej sekretarza generalnego partii.

Cokolwiek się tam działo, po zakończeniu spotkania i wymianie pożegnalnych uprzejmości Weggen na pewno do niego zatelefonuje, by złożyć relację. Palestrina spojrzął w stronę łóżka. Powinien się położyć, wiedział jednak, że i tak nie zaśnie. Wstał więc i przeszedłszy do garderoby, przebrał się w swój codzienny strój, czarny garnitur z białą koloratką. Chwilę później opuścił apartament, windą dostawczą zjechał na parter i wyszedł do pograżonych w ciemnościach papieskich ogrodów.

Zatopiony w myślach, spacerował po alejkach przez godzinę lub dłużej. Ulicą Czworobocznego Ogrodu do Centralnej Alei Leśnej i z powrotem, zatrzymując się na dłużej przy siedemnastowiecznej Fontannie Latawca, dłuta Giovanniego Vasanzio. Orzeł wieńczący fontannę, heraldyczny symbol rodu Borghese, z którego pochodził papież Paweł V, dla Palestriny oznaczał coś zupełnie innego. Dla niego był to symbol bardzo osobisty i doniosły, wiążący go ze starożytną Persją i jego drugim życiem. Wstrząsał całym jego jestestwem jak żadna inna rzecz na świecie. Czerpał z niego siłę. Ta siła zaś dawała mu władzę oraz pewność i przekonanie, że jego czyny są słuszne. I teraz także orzeł przykuł go na pewien czas do miejsca, a po chwili uwolnił.

Ruszył dalej w ciemność, bez wyraźnego celu. Po pewnym czasie minął dwie naziemne stacje satelitarne

Radia Watykańskiego i samą wieżę radiową, a potem szedł dalej przez nie kończące się połacie zieleni, utrzymywanej przez całą armię etatowych ogrodników, przez zagajniki, bocznymi ścieżkami i skrajem rozległych przyszczyżonych trawników.

Mijał magnolie i bugenwille. Przechodził pod sosnami i palmami, pośród dębów i drzewek oliwnych, wzdłuż biegnących kilometrami, starannie wypielęgnowanych żywopłotów. Zaskakiwany co jakiś czas fontanną wody, tryskającej ze spryskiwacza, uruchamianego mechanizmem zegarowym, niczym mina.

Pewna myśl kazała mu nagle zawrócić. W nikłym świetle pierwszego brzasku Palestrina znalazł się przy wejściu do budynku z żółtej cegły, mieszczącego Dyрекcję Radia Watykańskiego. Wszedł do środka, a potem schodami do górnej wieży i na jej kolisty balkon.

Wsparty potężnymi ramionami o krawędź blank patrzył, jak nad wzgórzami Rzymu wstaje nowy dzień. Widział stąd miasto, Pałac Apostolski, Bazylikę Świętego Piotra i większą część Ogrodów Watykańskich. Było to jego ulubione miejsce, które zarazem – tak się nieprzypadkowo składało – zapewnić mu mogło również fizyczną osłonę, gdyby jej potrzebował. Sam budynek usytuowany był na wzgórzu, w pewnym oddaleniu od głównej części Watykanu i mógł dzięki temu posłużyć do obrony. Taras, na którym stał, okręzał całą budowlę, pozwalając łatwo zauważyć zbliżające się osoby.

Stanowił doskonały punkt dowodzenia, z którego

można było kierować obroną.

Były to może dziwaczne rozważania, niemniej zapadały mu coraz głębiej w serce. Szczególnie pod wpływem owej samotnej myśli, która skłoniła go do przyjscia tutaj – refleksji nad stwierdzeniem Farela, że ojciec Daniel jest niczym kot, który zawsze spada na cztery łapy. Człowiekiem, który może pokrzyżować jego plany wobec Chin. Przedtem ojciec Daniel był dla niego tylko drobną niedogodnością, ropiejącym wrzodem, który należało usunąć. Jednakże fakt, że tak długo udawało mu się wymykać Thomasowi Kindowi, a także Roscaniemu z całą sforą policjantów, poruszał w duszy Palestriny strunę, która wprawiała go w przerażenie – jego głęboko skrywaną wiarę w świat pogańskich piekieł i zamieszkujących je złych duchów. To właśnie owe mistyczne, zdeprawowane istoty – był tego pewien – spowodowały nań nagły atak paralizującej gorączki i w następstwie śmierć w męczarniach w wieku trzydziestu trzech lat, kiedy żył w ciele Aleksandra. Jeśli to one kierowały krokami ojca Daniela...

– Nie! – wykrzyknął głośno, po czym odwrócił się ku drzwiom i zdecydowanym krokiem poszedł w dół schodami, z powrotem do ogrodu. Nie pozwolił sobie więcej myśleć o tych duchach, postanowił, ani teraz, ani nigdy. Nie były rzeczywiste, pochodziły z jego wyobraźni. A przecież nie dopuści, żeby zniszczyła go własna wyobraźnia.

Hefei, Chiny. Środa, 15 lipca; 11.40

Wymogi biurokracji i panujące zamieszanie, a także funkcja państwowego kontrolera jakości wody, nie pozwoliły Li Wenowi opuścić stacji uzdatniania tak szybko, jak tego pragnął. W końcu jednak to uczynił. Po prostu wyszedł z budynku, zostawiając za sobą cały ten bałagan i wyklócających się naukowców i polityków. A teraz brnął już przez Changjiang Lu, z ciężką teczką w jednej ręce, drugą przyciskając do nosa chustkę, w próżnym wysiłku stłumienia smrodu rozkładających się ciał. Chwilami szedł chodnikiem, chwilami schodził na jezdnię, lawirując wśród sznurów karetek i tłumów wylęknionych, dezorientowanych ludzi, rozpaczliwie usiłujących wydostać się z miasta, szukających kogoś z rodziny lub po prostu czekających z przerażeniem na pierwsze dreszcze i nudności. Większość robiła zresztą wszystkie te trzy rzeczy naraz.

Kolejna przecznica i znalazł się przy hotelu Overseas Chinese, w którym były jego ubrania i walizka. Teraz w hotelu mieścił się Sztab do Walki z Zatruciem Prowincji Anhui.

Władze zajęły go błyskawicznie – gościom kazano opuścić pokoje, a ich bagaże zrzucono w pośpiechu na stos w głównym holu, przy czym część wylądowała na

ulicy. Nawet gdyby miał czas, Li Wen i tak by nie wszedł do hotelu. Było tam zbyt wiele osób, które mogły go rozpoznać i zacząć o coś wypytywać. A Li Wen z pewnością nie mógł już sobie pozwolić na dalsze opóźnienie.

Ze spuszczoną głową poszedł więc dalej, starając się nie patrzeć na ściągnięte przerażeniem twarze ludzi. Minął kilka kolejnych przecznic i dotarł wreszcie do dworca kolejowego.

Stały tam całe kolumny wojskowych ciężarówek, oczekujących na oddziały przybywające do miasta pociągiem.

Ociekając potem i ściskając w rękach teczkę, przepychał się pośród żołnierzy, unikając żandarmerii. Z każdym kolejnym krokiem przychodziło mu to coraz trudniej. Jego czterdziestosześcioletnie ciało, zdecydowanie nie wysportowane, odczuwało już trudy i napięcie ostatnich dni, udręczone ciągłym upałem i ohydny odorem rozkładu, który przenikał już teraz wszystko. Wreszcie Li Wen dotarł do przechowalni bagażu i odebrał podniszczoną walizkę, którą zostawił tu zaraz po przyjeździe. W walizce miał chemikalia, niezbędne do przygotowania kolejnych „kul śniegowych”.

Podwójnie obciążony, przepchał się do wyjścia na perony i przeszedł jeszcze pięćdziesiąt metrów wśród ciżby uchodźców pragnących wydostać się z miasta koleją. Za piętnaście minut miał przyjechać jego pociąg. Wyładują się z niego żołnierze i tłum ruszy do wagonów.

Jemu, jako urzędnikowi państwowemu, przysługiwało miejsce siedzące, za co był wyjątkowo wdzięczny losowi. Kiedy sobie usiadzie, będzie mógł wreszcie odpocząć. Podróż do Wuhu potrwa dwie godziny, a tam przesiądzie się na pociąg do Nankinu, gdzie zatrzyma się w hotelu Xuanwu, zgodnie z planem. Nabierze sił i zacznie powoli napawać się świadomością swego czynu, poczuciem odpłaty wobec znienawidzonej totalitarnej władzy, która wiele lat temu zabiła mu ojca i obrabowała z dzieciństwa.

I ciesząc się tymi odczuciami, oczekiwać będzie rozkazu, który skieruje go do następnego celu.

Bellagio. Sztab Gruppo Cardinale, Villa Lorenzi.  
Środa, 15 lipca; 6.50

Roscani, bez marynarki i w rozpiętej koszuli, rozejrzał się po wielkiej sali balowej. Pracowali w tej chwili nieliczni członkowie ekipy. O północy, w obliczu braku jakichkolwiek postępów akcji, odesłał większość ludzi, by się przespali na rozstawionych piętro wyżej łóżkach polowych, dostarczonych przez armię. Część ekipy była jednak w terenie. Castelletti wyleciał helikopterem już o pierwszym brzasku, a Scala wyruszył jeszcze wcześniej z powrotem do jaskini. Nie przekonany, że ją dość dokładnie przeszukali, chciał to zrobić jeszcze raz, przy pomocy dwóch ludzi z psami.

Okolo drugiej Roscani przeprowadził ostatnią rozmowę telefoniczną, prosząc o przysłanie jeszcze ośmiu setek żołnierzy.

Potem też się położył. O trzeciej piętnaście wstał, wziął prysznic i włożył to samo ubranie, które nosił już od dwóch dni.

O czwartej doszedł do wniosku, że trzeba skończyć z tą udręką.

O szóstej rano lokalne radio i telewizja podały pierwszy komunikat, który odczytano także podczas porannych mszy w kościołach. Dokładnie za dwie godziny, punkt

ósmą rano, wojsko rozpocznie wielką operację przeszukiwania całego rejonu Bellagio, sprawdzając wszystkie domostwa. Przesłanie było proste: zbiegowie musieli się gdzieś ukryć, na pewno zostaną złapani, a każdy, kto udzielił im schronienia, uznany będzie za ich współnika i stosownie do tego osądzony.

Posunięcie Roscaniego było czymś więcej niż groźbą; było manewrem obliczonym na skłonienie uciekinierów do opuszczenia kryjówek przed wyznaczoną godziną. Dlatego policjanci i żołnierze uczestniczący w akcji zostali rozmieszczeni na pozycjach pół godziny przed jej ogłoszeniem. Czuwali teraz w absolutnym milczeniu, w nadziei, że ich zwierzyna wreszcie wychynie z ukrycia i rzuci się do ucieczki.

6.57

Rosciani spojrzął na rokokowy zegar Erosa Barbu, wiszący ponad milczącą estradą dla orkiestry, a potem powiódł wzrokiem po ludziach siedzących przed komputerami i telefonami, przesiewających informacje i koordynujących działania Gruppo Cardinale w terenie. W końcu pociągnął łyk zimnej, słodkiej kawy i wyszedł na dwór, omiatając jeszcze raz spojrzeniem bogaty wystrój sali.

Jezioro Como było spokojne, powietrze nieruchome. Idąc ku brzegowi, Rosciani obejrzał się na imponującą budowlę.

Jak można było mieszkać w takim miejscu, jak można było żyć w taki sposób jak Eros Barbu? Nie mieściło się

to w głowie, szczególnie w głowie policjanta. Mimo to próbował sobie wyobrazić, co już czynił wcześniej, jak by to było, być częścią takiego świata. Być zapraszonym tutaj na tańce przy grającej na żywo orkiestrze i kto wie, uśmiechnął się, może nawet mieć w sobie odrobinę dekadencji?

Kiedy znalazł się na żwirowej plaży, rozmyślania te ustąpiły miejsca innym. Wrócił znów myślą do dossier Interpolu, z którego nie zdołał się dowiedzieć niczego o swoim blondynie ze szpikulcem do lodu i brzytwą. Niemal równocześnie uderzył go w nozdrza ciężki zapach dzikich kwiatów. Była to woń raczej natarczywa niż przyjemna i w jednej chwili Roscani sięgnął pamięcią cztery lata wstecz, kiedy przydzielono go tymczasowo do wydziału zwalczania mafii w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Rozpracowywali serię mafijnych morderstw na Sycylii. Znalazł się wtedy na polu w pobliżu Palermo, oglądając wraz z innymi śledczymi zwłoki rolnika, wrzucone twarzą w dół do rowu melioracyjnego. Był taki sam wczesny ranek i w tak samo nieruchomym, choć rześkim powietrzu roznosiła się kąśliwa woń dzikich kwiatów, dominująca nad innymi doznaniem. Kiedy odwrócili ciało i ujrzeli, że gardło ofiary zostało poderżnięte od ucha do ucha, wszyscy zgodnym chórem wykrzyknęli jedno nazwisko. Wiedzieli bowiem od razu, kim był zabójca; – Thomas Kind – powiedział Roscani na głos i od stóp aż po czubek głowy przeszedł go dreszcz.

Thomas Kind. W ogóle o nim nie pomyślał. Terrorysta nie dawał o sobie znać od trzech lub więcej lat i sądzili, że albo nie żyje, albo przeszedł w stan spoczynku i mieszka sobie w miarę bezpiecznie gdzieś w Sudanie.

– Rany boskie! – Roscani pobiegł pędem w stronę willi.

Za dwadzieścia minut mieli rozpocząć przeczesywanie domów.

Bellagio. Przystań promu samochodowego.  
W tym samym czasie.

Harry patrzył, jak uzbrojeni po zęby carabinieri sprawdzają mężczyznę i kobietę w ciemnej lancii przed nimi. Kazali kierowcy wysiąść i otworzyć bagażnik. Niczego nie znalazłszy, przepuścili samochód, a kiedy lancia zjechała z rampy na prom, skinęli na nich.

– Teraz my – szepnął Harry, czując w uszach łomot własnego pulsu.

Siedzieli w piątkę w białej furgonetce marki Ford z napisem Kościół Santa Chiara na drzwiach. Ojciec Renato za kierownicą, Elena obok niego. Harry, Danny i młody, o chłopięcej twarzy ksiądz Natalini z tyłu. Elena miała na sobie elegancki kostium, na nosie okulary w szylkretowej oprawie, a włosy związała w ciasny kok. Włoscy duchowni ubrani byli w swoje codzienne szaty. Danny też miał okulary.

Obaj z Harrym zachowali brody, włożyli długie czarne płaszcze zapięte pod szyją, a na głowy czarne mycki. Wyglądali jak rabini i o to właśnie chodziło.

– Ja ich znam – powiedział cicho ojciec Renato, kiedy carabinieri podeszli z obu stron do okien. – Buon giorno, Alfonso; Massimo.

– Ojciec Renato! Buon giorno. – Alfonso, pierwszy z

mundurowych, wielki i niezgrabny, wyglądał groźnie, lecz kiedy rozpoznał ciężarówkę i obu duchownych, uśmiechnął się szeroko. – Buon giorno, padre – powtórzył, zwracając się do Nataliniego.

– Buon giorno – uśmiechnął się do niego młody ksiądz, siedzący przy Dannym.

Przez następne półtorej minuty, gdy ojciec Renato rozmawiał z policjantami, Harry miał wrażenie, że jego serce zaraz odmówi mu posłuszeństwa. Co kilka zdań wychwytywał słowa, które rozumiał. Rabbino. Israele. Conferenza Cristiano-Guidea.

Cała historia z rabinami to był jego pomysł. Zupełnie jak z kiepskiego filmu, szalony i niedorzeczny. I siedział teraz w kościelnej furgonetce, wstrzymując oddech, przepelniony lękiem. Oczekując, że funkcjonariusze w każdej chwili mogą nagle zamilknąć i kazać im wysiąść. Zastanawiał się, co też najlepszego wymyślił. Coś jednak wymyślić musiał, i to szybko, kiedy tuż przed świtem Elena przybiegła do jego pokoju z ojcem Renatem i oznajmiła, że jej matka przełożona załatwiła miejsce, w którym będą mogli zostać przez jakiś czas, tuż za szwajcarską granicą.

Korzystając z przyzwolenia swego zwierzchnika, ojciec Renato zgodził się pomóc im się tam dostać, lecz nie miał pojęcia, jak to zrobić. A potem, ubierając się, Harry spojrzawszy mimowolnie w lustro, zobaczył, jak bujną ma już brodę i uświadomił sobie, że Danny też ma taką. To było wariactwo, które mogło się powieść, szczególnie że już

dwukrotnie udało im się wprowadzić policjantów w błąd. Poza tym obaj włoscy księża byli prawdziwymi duchownymi, a w dodatku znali niemal wszystkich miejscowych, łącznie z policjantami.

Dochodziło do tego doświadczenie Harry'ego z Los Angeles. Sam był katolikiem, ale w przemyśle filmowym nie trzeba było rozległych kontaktów, żeby natrafić na kogoś żydowskiego pochodzenia, czy to wśród przyjaciół, czy klientów.

Od lat zapraszany był na Paschę, jadał śniadania w barze U Nata i Ala w Beverly Hills – oazie żydowskich pisarzy i artystów, odwiedzał ze swymi klientami ich krewnych w dzielnicach żydowskich wokół Fairfax, Beverly, Pico i Robertson. Nieraz frapowało go podobieństwo jarmużki do katolickiej piuski i czarnych płaszczy rabinów do tych, które nosili księża.

A teraz, na dobre czy na złe, on i Danny przedzierzgnęli się w rabinów z Izraela, odwiedzających Włochy w ramach trwającego między oboma wyznaniem dyskursu religijnego.

Elena zaś stała się ich włoską przewodniczką i tłumaczką z Rzymu. Pozostawało modlić się, żeby komuś z ich trójki nie kazano powiedzieć czegoś po hebrajsku.

– Fuggitivo. – Z ust jednego z karabinierów padło nagle słowo, które przywróciło Harry'ego do rzeczywistości, aż poczuł skurcz w sercu. – Ścigany.

– Fuggitho – potwierdził ojciec Renato, kiwając głową i dorzucając treściwy, ekspresyjny komentarz.

Obaj karabinierzy najwyraźniej zgodzili się z nim, gdyż nagle odstepili od samochodu, zaszalutowali i kazali im jechać.

Harry zerknął na Elenę. Ojciec Renato wrzucił bieg i furgonetka ruszyła. Potoczyła się przez rampę i wjechała do ładowni promu. Obejrząwszy się, zobaczył, jak mundurowi podchodzą do następnego auta w kolejce. Pasażerom kazali od razu wysiąść i pokazać dokumenty; pojazd poddano dokładnemu przeszukaniu.

Obecni w furgonetce nie mieli odwagi nawet spojrzeć na siebie. Siedzieli tylko w milczeniu, czekając z niepokojem w sercach, aż ostatni samochód znajdzie się na pokładzie, wrota ładowni się zamkną i prom odbije od przystani.

Doczekali się po kwadransie.

Harry poczuł na całym ciele strumyczki potu i otarł wierzchem dłoni czoło. Ile razy jeszcze uda im się taka sztuczka? Jak długo jeszcze szczęście – jeżeli tak to można było nazwać – będzie im dopisywało?

Prom to był krok pierwszy. Wypłynął do Menaggio o siódmej pięćdziesiąt sześć, cztery minuty przed rozpoczęciem akcji przeczesywania półwyspu przez wojsko i kwadrans po znalezieniu przez karabinierów ciężarówki Salvatore Belsita w wąskiej uliczce, niemal kilometr od kościoła Santa Chiara.

Tuż przed szóstą zostawił ją tam ksiądz Natalini i starłszy dokładnie swoje odciski palców z kierownicy i dźwigni biegów, wrócił piechotą do klasztoru.

Krok drugi, przedostanie się przez granicę włosko-szwajcarską, miał być nieporównanie trudniejszy, jeśli nie niemożliwy. Znajomości obu włoskich duchownych nic już tutaj nie mogły pomóc, posterunki graniczne bowiem obsadzono nie miejscowymi, lecz ludźmi z Gruppo Cardinale. Uratował ich jedynie fakt, że ksiądz Natalini pochodził z Porlezza, miasteczka w pobliżu Menaggio, i doskonale znał używane tylko przez tubylców wąskie i kręte boczne drogi prowadzące przez alpejskie przełęcze na drugą stronę granicy. Dzięki temu mogli ominąć posterunek kontrolny w Oria i znaleźć się bez większych przeszkód w Szwajcarii o dziesiątej dwadzieścia dwie rano.

Watykan. Wieża Świętego Jana; 11.00

Kardynał Marsciano stał przy przeszklonych drzwiach, jedynym otworze w ścianach pokoju, wpuszczającym światło dzienne, a także jedynym z niego wyjściem, jeśli nie liczyć zamkniętych na klucz i pilnie strzeżonych drzwi na korytarz.

Ekran telewizora za jego plecami połyskiwał złowrogą, niczym wszechwidzące oko.

Nienawidził na niego patrzeć, lecz równocześnie nie potrafił się zdobyć na wyłączenie odbiornika. Tę cechę jego charakteru Palestrina rozumiał aż za dobrze, dlatego właśnie kazał zostawić dwudziestocalową nokię w apartamencie, niegdyś luksusowym, a teraz odciętym od reszty budynku i ogołoconym ze wszystkiego, poza podstawowymi sprzętami – łóżkiem, stołem i krzesłem.

„Liczba ofiar śmiertelnych w Hefei przekroczyła już siedemdziesiąt tysięcy sześćset i ciągle wzrasta. Eksperci nie potrafią oszacować, kiedy przestanie rosnać”.

Rześki głos korespondenta dobiegał zza pleców Marsciano. Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, co zobaczy.

Ten sam kolorowy wykres, który pokazywali co godzina w celu zilustrowania przyrostu liczby ofiar, zupełnie jakby to była liczba głosów w przedwyborczych

sondażach.

Otworzył wreszcie szklane drzwi i wyszedł na niewielki balkon. Poczuł na twarzy świeże powietrze, dźwięk z telewizora litościwie przycichł.

Chwyciwszy się metalowej poręczy, zamknął oczy. Jak gdyby myślał, że nie patrząc, pomniejszy grozę sytuacji.

Ujrzał jednak pod powiekami inną wizję – zimne twarze kardynała Maladiego i monsiniora Capizziego, patrzące nań beznamiętnie w limuzynie, którą wracali z ambasady chińskiej do Watykanu. Potem zobaczył, że Palestrina sięga po telefon i cichym głosem każe się połączyć z Farelem, patrząc jednocześnie Marscianowi prosto w oczy. Po chwili sekretarz stanu powiedział łagodnie do słuchawki:

– Kardynał Marsciano źle się poczuł w samochodzie. Przygotujcie mu pokój w wieży Świętego Jana.

Przejmujące dreszczem wspomnienie przywróciło kardynałowi świadomość miejsca, w którym się znajdował. Otworzył oczy. Z dołu przyglądał mu się jeden z watykańskich ogrodników. Po chwili mężczyzna opuścił wzrok i wrócił do swoich zajęć.

Ileż to razy, pomyślał Marsciano, przychodził tu kiedyś, odwiedzając zagranicznych dygnitarzy w tych luksusowych apartamentach? Ileż razy zadzierał z dołu głowę, by spojrzeć, tak jak teraz ogrodnik, na dziwny mały balkonik, na którym właśnie stał? Nie przyszłoby mu wtedy do głowy, jak złowieszczą dłoń przyszłość uosabia to miejsce.

Balkon wisiał niczym platforma do nurkowania, ponad dziesięć metrów nad ziemią, a jego przeszklone drzwi były jedynym otworem na całej powierzchni cylindrycznej wieży aż do jej szczytu. Wyjściem, prowadzącym donikąd. Sam balkonik był tylko nieco szerszy od drzwi i wystawał z muru może na pół metra. Pionowa ściana wznosiła się nad nim jeszcze dziesięć metrów, do miejsca, gdzie obramienia okien innych apartamentów przesłaniały widok w górę, Marsciano jednak wiedział, że ponad nimi znajduje się jeszcze tylko kolista galeryjka, a wyżej wieńcząca budowlę korona wieżyczek.

Innymi słowy, nie było z platformy ani zejścia w dół, ani wejścia na górę. Można było jedynie stać na niej, wdychać rzymskie powietrze i podziwiać papieskie ogrody w dole.

Dalej widok zasłaniał wysoki mur wzniesiony jeszcze w dziewiątym wieku dla obrony przed barbarzyńcami.

Marsciano powoli zdjął dłonie z barierki i wrócił do swego miejsca odosobnienia i stojącego na środku pokoju telewizora. Zobaczył na ekranie to samo, co oglądał cały świat:

Hefei w Chinach. Kamera pokazała widok z helikoptera – jezioro Chao, a potem, niczym koszmarną defiladę, długie ujęcie rzędów wielkich namiotów podobnych do cyrkowych, rozstawionych w miejskich parkach, na fabrycznych placach i na otwartej przestrzeni tuż za miastem. Głos spikera wyjaśnił, do czego służyły: były to

zaimprovizowane kostnice.

Marsciano gwałtownym ruchem wyłączył dźwięk. Wciąż patrzył, lecz słuchać już nie mógł. Płynący z ekranu komentarz był nie do wytrzymania, niczym wyliczanka popełnionych przezeń zbrodni. Popełnił je – powtarzał to sobie bez przerwy – w desperackim usiłowaniu pozostania przy zdrowych zmysłach. Dlatego że za sprawą Palestyny stał się zakładnikiem własnej miłości Boga i Kościoła.

To prawda, był winny. Winni byli także Matadi i Capizzi.

Wszyscy razem pozwolili Palestynie popełniać te okropieństwa. A co gorsza – jeżeli w ogóle mogło być gorzej, niż jest – Marsciano wiedział, że Pierre Weggen urabia już Yan Yeha. Chiński bankowiec, człowiek wrażliwy i nieobojętny na los innych, będzie do głębi wstrząśnięty rzekomym działaniem natury, która wymknęła się człowiekowi spod kontroli. I zacznie ze wszystkich sił zabiegać u swych przełożonych w partii komunistycznej, żeby zaakceptowali propozycję Weggena – bezzwłocznie zgadzając się na przebudowę systemu wodociągów i urządzeń filtracyjnych w całym kraju.

A jednak, gdy już się zgodzą spotkać ze Szwajcarem, przyjęcie jego propozycji, w formie decyzji politycznej, wymagać będzie czasu. Czasu, którego nie było. Sabotażyści Palestyny byli już z pewnością w drodze do następnego jeziora.

Lugano, Szwajcaria.

W dalszym ciągu środa, 15 lipca; południe

Elena unikała wzroku Harry'ego właściwie przez cały czas od momentu, kiedy rano pomogła mu ubrać Danny'ego i umieścić go w samochodzie. Zastanawiał się, czy to z powodu zakłopotania faktem, że przyszła do niego w nocy na zwierzenia. Zarazem zadziwiło go, że sam przejął się tym wszystkim bardziej, niżby się spodziewał. Wciąż o tym myślał. Elena była inteligentną, piękną, odważną i opiekuńczą kobietą, która nagle odnalazła siebie i pragnęła to swobodnie wyrazić. A ze sposobu, w jaki to uczyniła – wkraczając w środku nocy boso do jego sypialni i ujawniając swe najbardziej osobiste uczucia – wynikało niezbicie, że to na jego pomoc w tym względzie liczyła. Problem polegał na tym, że nie był to odpowiedni czas ku temu – inne sprawy domagały się pierwszeństwa. Z rozmysłem przerwał więc te rozważania i zwrócił się myślą ku działaniom, które należało podjąć w najbliższej przyszłości.

Zjechali z gór od północy i wzdłuż brzegu jeziora Lugano dotarli do miasta Lugano, po czym, przekroczywszy rzekę Cassarate, odnaleźli niewielki piętrowy domek przy Via Monte Ceneri osiemdziesiąt siedem.

Nie ulegało wątpliwości, że nie mogą już dłużej się przemieszczać i przenosić z kryjówki do kryjówki jako ścigani przestępcy, z nadzieją, że ktoś im znów pomoże. Danny'ego trzeba było umieścić w spokojnym miejscu, gdzie mógłby odpocząć, dojść do siebie i nadawać się wreszcie do rzeczowej, spójnej myślowo rozmowy o zabójstwie kardynała Parmy. Drugą, równie istotną kwestią było zapewnienie im wszystkim kompetentnej i skutecznej pomocy prawnej. I tylko na tych dwóch najważniejszych w tej chwili sprawach zamierzał się skoncentrować.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytał słabym głosem Danny, kiedy ojciec Renato zgasił silnik i zaciągnął ręczny hamulec.

– Tak, ojcze Danielu – odparł Renato z półuśmiechem.  
– Dziękować Bogu.

Elena, wysiadając, pochwyciła krótkie spojrzenie Harry'ego, który otworzył drzwi furgonetki księdzu Nataliniemu, wyciągającemu z auta wózek inwalidzki. Ojciec Daniel przez całą podróż prawie się nie odzywał; obserwował tylko przez okno krajobraz. Elena wiedziała, że jest bardzo wyczerpany wydarzeniami ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Powinien teraz się najeść i spać jak najdłużej.

Patrzyła, jak Harry z księdzem Natalinim sadowią Danny'ego na wózku i wnoszą do pokoju na piętrze. To, co uczyniła ostatniej nocy, stanowiło dla niej raczej pewien kłopot niż powód do zażenowania. W przypiływie

radosnych emocji, gdy się zjawiała w pokoju Harry'ego, ujawniała więcej swych uczuć, niż zamierzała. A w każdym razie więcej niżby należało, skoro wciąż związana jest ślubami zakonnymi.

Ale zrobiła, co zrobiła, i odwrócenie tego było już niemożliwe. Pytanie tylko, jak się powinna teraz zachowywać.

Dlatego właśnie przez cały dzień unikała wzroku Harry'ego i zamieniła z nim tylko kilka niezbędnych słów. Po prostu nie wiedziała, co robić.

Nagle otworzyły się drzwi u szczytu schodów i pojawiła się w nich pani domu.

– Wchodźcie szybko – powiedziała Veronique Vaccaro i cofnęła się, robiąc im przejście. Kiedy już weszli do środka, zamknęła natychmiast drzwi i przyjrzała się im kolejno, jakby sprawdzała swoje pierwsze wrażenie. Veronique, drobna, żywa kobieta w średnim wieku, była artystką, rzeźbiarką. Nosiła stroje w kolorach ziemi i mówiła bardzo szybko, dziwaczną mieszaniną francuskiego, włoskiego i angielskiego.

– Merci – zwróciła się do ojca Renata. – Teraz musicie sobie iść. Capišce?

Nie zaproponowała, żeby odpoczęli, skorzystali z łazienki czy choćby czegoś się napili. Nie, obaj duchowni mieli odjechać natychmiast.

– Samochód z kościoła w Bellagio, stojący przed prywatnym domem w Lugano? Równie dobrze mogłabym od razu wezwać policję – stwierdziła.

Ojciec Renato skinął głową z uśmiechem. Veronique miała rację. Gdy już zbierali się z Natalinim do odejścia, zaskoczył wszystkich Danny. Nagle ożywił się i sam podjechał do nich na wózku, by im uścisnąć dłonie.

– Grazie. Grazie mille – powiedział, szczerze im wdzięczny. Wiedział, jak bardzo ryzykowali, żeby go tutaj przetransportować.

Po wyjściu duchownych Veronique oznajmiła, że zrobi im coś do jedzenia, i skierowała się do drzwi w drugim końcu pokoju. Po drodze minęła kilka dużych abstrakcyjnych rzeźb, które rozsiadły się w niewielkim słonecznym pomieszczeniu niczym żywe istoty.

– Ojciec Daniel powinien odpocząć – oznajmiła Elena natychmiast po jej wyjściu. – Zapytam Veronique, gdzie go położyć.

Przeszła przez pokój i zniknęła za tymi samymi drzwiami, co gospodyni. Harry spoglądał w ślad za nią jeszcze przez chwilę, a potem zwrócił się ku Danny'emu. Obaj brodaci, w czerni, z myckami na głowach, wyglądali rzeczywiście jak rabini.

Do tej pory Harry zachowywał powściągliwość, chcąc dać bratu jak najwięcej czasu na dojście do zdrowia, zarówno fizycznego, jak i umysłowego. Zachowanie Danny'ego podczas pożegnania włoskich duchownych uzmysłowiło mu jednak, że jego kontakt z rzeczywistością jest dużo lepszy, niż to chciał ujawnić. I teraz, kiedy zostali sami, Harry poczuł, jak ogarnia go gniew. Nie miał zamiaru wciąż trwać w niepewności i nieświadomości, z

powodów znanych tylko bratu. Niezależnie od tego, jaką prawdę usłyszy, chciał ją wreszcie poznać.

– Zatelefonowałeś do mnie, Danny – przeszedł od razu do sedna. – Zostawiłeś wiadomość na sekretarce... pamiętasz? – Harry nagłym ruchem ściągnął z głowy mykę i wcisnął ją do kieszeni.

– Tak...

– Byłeś śmiertelnie przerażony. Niezłe powitanie po tylu latach, w dodatku nagrane na taśmę... Powiedz mi, czego się tak bałeś?

Danny powoli podniósł wzrok i spojrzał mu w twarz.

– Mam do ciebie wielką prośbę – powiedział.

– Jaką?

– Uciekaj stąd natychmiast.

– Mam stąd uciekać?

– Tak.

– Sam? Bez ciebie?

– Jeżeli tego nie zrobisz... Harry, oni cię zabiją.

– Kto to są ci oni? – Harry wpatrywał się w niego z napięciem.

– Po prostu uciekaj. Błagam.

Harry raptownie odwrócił wzrok i przez chwilę błędził spojrzeniem po pokoju. Zaraz jednak spojrzał znowu na brata.

– Powinienem chyba uzupełnić twoją wiedzę o to, czego nie wiesz albo nie pamiętasz. Obaj jesteśmy poszukiwani.

Ty za...

– ...Ja za zabicie kardynała Parmy, a ty za zastrzelenie policjanta w Rzymie – dokończył za niego Danny. – Widziałem w gazecie... chociaż miałem nie widzieć.

Po chwili wahania, jak sformułować następne pytanie, Harry zadał je wprost:

– Zabiłeś kardynała, Danny?

– A ty zabiłeś gliniarza?

– Nie.

– Tak samo i ja. – Odpowiedź była krótka i jednoznaczna.

– Policja pokazała mi mnóstwo dowodów przeciwko tobie, Danny. Farel zabrał mnie do twojego miesz...

– Farel? – przerwał mu brat. – Więc to od niego te twoje dowody...

– Co masz na myśli?

Przez dłuższą chwilę Danny siedział w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Izolował się; jego spojrzenie wyraźnie mówiło, że już powiedział zbyt wiele i nie zamierza mówić więcej.

Harry, z rękami wciśniętymi w kieszenie, przyglądał się rzeźbom Veronique. Wreszcie stanął na wprost brata.

– Słuchaj, jechałeś autobusem, w którym podłożono bombę. Wszyscy myśleli, że zginąłeś... Jak tyś się stamtąd wydostał?

– Nie wiem. – Danny pokręcił głową.

– Nie tylko uciekłeś – naciskał Harry – ale i udało ci się przełożyć twoje dokumenty i okulary do marynarki kogoś innego...

Danny milczał.

– Autobus jechał do Asyżu. Pamiętasz?

– Ja... często tam jeździłem. – W oczach Danny’ego błysnął gniew.

– Naprawdę?

– Naprawdę! Harry, po prostu zmyj się stąd. Natychmiast, dopóki jeszcze możesz!

– Przecież nie rozmawialiśmy ze sobą od tylu lat. Nie każ mi teraz iść. – Harry złapał krzesło i usiadł naprzeciwko brata, przodem do oparcia.

– Kogo tak się bałeś, kiedy dzwoniłeś do mnie? – zapytał znowu.

– Nie wiem...

– Farelą?

– Powiedziałem już: nie wiem.

– Wiesz bardzo dobrze – stwierdził Harry cicho, lecz dobitnie. – Dlatego chcieli cię zabić w autobusie. Dlatego ten blondyn ścigał cię aż do Bellagio i szukał nas w jaskini.

Danny wbił wzrok w podłogę i kręcił powoli głową.

– Ktoś cię wy dostał ze szpitala i zawiózł do Pescary.

Ktoś wciągnął do tego wszystkiego matkę przełożoną Eleny... i ją samą też. Teraz życie tej dziewczyny jest tak samo zagrożone jak nasze.

– Zabierz ją ze sobą – Danny nie próbował już ukrywać gniewu.

– Kto ci pomógł? – Żadnej reakcji. Harry zadał kolejne pytanie: – Kardynał Marsciano?

Danny aż podskoczył. Oczy mu gorzały.

– Skąd wiesz o kardynale Marscianie?

– Spotkałem się z nim, Danny. I to nie raz. Ostrzegał mnie, żebym się w to nie mieszał. Żebym nie szukał ciebie. A jeszcze przedtem próbował mi wmówić, że nie żyjesz. – Harry przerwał na chwilę i zaatakował ponownie: – To Marsciano, prawda? To on tym wszystkim kieruje...

Danny świdrował go wzrokiem.

– Nie pamiętam kompletnie niczego, Harry – rzekł, cedząc słowa. – Ani telefonu do ciebie. Ani tego, po co jechałem do Asyżu, ani kto mi pomagał. Nic. Czarna dziura.

Zero. Straciłem pamięć. Jasne?

Harry zawahał się, lecz nie zamierzał ustąpić.

– Co się naprawdę dzieje w Watykanie? – zapytał wprost.

– Posłuchaj jeszcze raz – odparł jego brat przyciszonym głosem. – Wypieprzaj stąd w cholerę, zanim cię zabiją.

Helikopter pochylił się przy skręcie i zawróciwszy nad szarą plamą Mediolanu, skierował się na południe, ku Sienie.

Roscaniemu nie przeszkadzało stłumione wycie odrzutowego silnika, skoncentrowany był całkowicie na otrzymanym przed chwilą faksie z Interpolu, którego treść zresztą już w większości znał.

„THOMAS JOSE ALVAREZ-RIOS KIND SYLWETKA: Jeden z najbezwzględniejszych terrorystów świata. Głośny zabójca policjantów z brygady antyterrorystycznej we Francji. Przestępca brutalny i skrajnie niebezpieczny. Ścigany przez policję wielu krajów. Nakaz pochwycenia i zatrzymania.

POPEŁNIONE PRZESTĘPSTWA: Morderstwa, porwania, zamachy bombowe, porwanie samolotu, branie zakładników.

NARODOWOŚĆ: ekwadorska.

Roscani prześliznął się wzrokiem przez część tekstu.

CHARAKTERYSTYKA: Mistrz zmiany twarzy. Wielojęzyczny (włoski, francuski, hiszpański, arabski, farsi, angielski, amerykański, angielski). Zdecydowany indywidualista, pracuje wyłącznie sam. Ma jednak rozległe powiązania z grupami terrorystycznymi na świecie. Samozwańczy rewolucjonista.

OSTATNIE ZNANE MIEJSCE ZAMIESZKANIA:

Chartum, Sudan.

UWAGI KOŃCOWE: Socjopata. Zabójca na zlecenie. Kieruje się wysokością oferty.

Na tym kończyły się dane oficjalne. U dołu ktoś ręcznie dopisał:

Nie wiadomo, czy obiekt opuścił Sudan. Wywiad francuski na pana prośbę próbuje to ustalić. Damy znać natychmiast po potwierdzeniu informacji”.

– Ja wam ją mogę potwierdzić od razu – powiedział do siebie Roscani, składając skromne dossier i kładąc je na fotelu obok. – Nie ma go w Sudanie. Jest we Włoszech.

Z kieszeni marynarki wyciągnął spory wafelek w folii.

Rozerwał opakowanie i wgrzyzając się w ciastko z taką samą mimowolną łapczywością, z jaką zwykł zaciągać się papierosem, wrócił myślami do mediolańskiej kostnicy, którą opuścił zaledwie pół godziny wcześniej.

Zwłoki niejakiego Aida Cianettiego, dwudziestosześcioletniego projektanta mody, znaleziono w podręcznym schowku przy damskiej toalecie na stacji benzynowej, w połowie drogi autostradą numer 9 z Como do Mediolanu. Poderżnięto mu gardło, a do rany napchano papierowych ręczników. Cztery godziny później koło hotelu Palace w Mediolanie znaleziono nowe ciemnozielone BMW Cianettiego.

– Thomas Kind – mruknął Roscani do siebie. Być może ekipa śledcza dowiedzie, że się myli, lecz raczej w to wątpił.

Był przekonany, że zabójcą jest człowiek ze szpikulcem

i brzytwą. Kind musiał się jakoś prześliznąć przez oczka policyjnej sieci i dotrzeć do Mediolanu, prawdopodobnie autostopem, podwieszony przez Cianettię, którego po drodze zabił. Czy udał się stąd w dalszą podróż? Czy raczej ukrywa się wciąż w mieście?

Ważniejsza jednak była odpowiedź na pytanie, po co w ogóle wrócił do Włoch, gdzie musiał wymykać się zakrojonej na niezwykłą skalę obławie. Co okazało się dla niego tak istotne, że zdecydował się zaryzykować?

Lugano, Szwajcaria; 14.00

Harry podsunął Elenie krzesło i zakonnica usiadła.

– Dziękuję – powiedziała, nie patrząc na niego.

Stół nakryto dla dwóch osób. Był świeży melon, wędzona szynka prosciutto i karafka czerwonego wina. Siedzieli na obrosniętym bugenwillą zadaszonym tarasie, na który zaprowadziła ich Veronique, kiedy już nakarmili Danny'ego i położyli go do łóżka w pokoju znajdującym się piętro wyżej. Kazała im usiąść i jeść, a potem natychmiast zniknęła.

Zostali sami, po raz pierwszy od ubiegłej nocy, kiedy Elena zjawiała się w sypialni Harry'ego.

– Co się wydarzyło między tobą a bratem? – zapytała Elena, gdy Harry zajął miejsce naprzeciwko niej. – Sprzeczaliście się. Poznałam po waszym zachowaniu, kiedy wróciłam do pokoju.

– Nic takiego. Jak to między braćmi – próbował ją zbyć. – Nie rozmawialiśmy ze sobą od tak dawna...

– Ja na twoim miejscu porozmawiałabym z nim o policji.

I o zabiciu kardynała wikariusza...

– Ale nie jesteś na moim miejscu, prawda? – przerwał jej ostro. Nie zamierzał wtajemniczać jej w to, co się działo między nim i Dannym. Przynajmniej nie w tej chwili.

Elena zerknęła na niego spod oka, spoważniała nagle i zaczęła dziobać widelcem w talerzu. Powiał lekki wietrzyk i zburzył jej włosy. Poprawiła je ruchem ręki.

– Przepraszam. Nie chciałem tak na ciebie napadać... – Harry’emu zrobiło się jej żal. – Po prostu są pewne sprawy...

– Powinien pan coś zjeść, panie Addison – odparła ze wzrokiem wbitym w talerz. Ukroiła plasterek melona, potem szynki i w końcu odłożyła powoli sztucce na stół i spojrzała na niego.

– Chciałabym cię przeprosić – powiedziała półgłosem.  
– Za to, że byłam w nocy taka... – nie umiała znaleźć angielskiego słowa – ...przesadna.

– Wylewna. Powiedziałaś tylko to, co czujesz – odparł łagodnie Harry.

– Ale teraz uważam, że byłam zbyt wylewna. I chcę przeprosić.

– Słuchaj – zaczął Harry, lecz nagle wstał od stołu i poszedł na skraj tarasu, by wyrzeć na morze biało-pomarańczowych dachów, opadające ku miastu i jezioru w dole. – Po prostu jest tak, że to, co czujesz,

czego potrzebujesz – odwrócił się do niej twarzą – albo co ja sam mógłbym czuć wobec ciebie, musi poczekać. Powiedziałem sobie – jego głos złagodniał – i teraz mówię to tobie:

jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie i przede wszystkim musimy się od niego uwolnić. Veronique to świetna kobieta, ale tutaj też nie jesteśmy bezpieczni. Roscani już na pewno wie, że mu się wymknęliśmy. Lugano jest za blisko włoskiej granicy. Lada chwila może tu wpaść policja szwajcarska.

Gdyby Danny mógł chodzić, to co innego, ale tak... – Harry przerwał nagle.

– Co się stało?

– Przypomniałem sobie o czymś... – Jego spojrzenie powędrowało w dal. – Dzisiaj jest środa. W poniedziałek w Como wysiadł z mojego samochodu pewien mój przyjaciel; zamierzał dojść na piechotę właśnie tutaj, do Lugano. To nie jest tak daleko, ale dla niego było to wyjątkowo trudne, ponieważ po pierwsze jego też szuka policja, a po drugie jest kaleką i chodzi o kulach. – Spojrzał znów na nią. – Ale wybrał się w drogę. Z uśmiechem na ustach po prostu poszedł przed siebie, bo wierzył, że sobie poradzi, i pragnął być wolny... Ma na imię Hercules i jest karłem. W Bogu nadzieja, że mu się udało.

– Trzeba wierzyć, że tak – oblicze Eleny rozjaśniło się trochę.

Harry przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem

znowu odwrócił się w stronę miasta. Zrobił to celowo, żeby ukryć twarz; poczuł bowiem przyływ niespodziewanych emocji. Wszystkie wydarzenia ostatnich dni – odnalezienie Danny’ego, poznanie Eleny, obraz Herculesa, kuśtykającego dzielnie w zapadający nad Como zmierzch – wywołały w nim przemożną tęsknotę za życiem; pełnym i trwającym aż do późnej starości.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wspaniali i niezwykli mogą być ludzie; nie dostrzegał też, choć była przy nim, rzeczywistego piękna Eleny. Wydawała się najbardziej czystą i najbardziej autentyczną spośród wszystkich znanych mu osób, przyciągającą niczym magnes. Kto wie, czy nie była w ogóle jedyną autentyczną istotą, jaką spotkał, czy też pozwolił sobie spotkać, od dzieciństwa. I jeśli nie będzie się miał na baczności, wszelkie jego zastrzeżenia mogą wziąć w łeb, ponieważ po prostu się w niej zakocha. A wtedy mogą zginąć wszyscy troje.

Nagły dźwięk dzwonka w korytarzu wyrwał go z zamyślenia. Odwrócił się, by spojrzeć na Elenę. Ona też na niego patrzyła. Po chwili ciszy dzwonek rozległ się ponownie. Ktoś był pod drzwiami na dole.

Usłyszał, że Veronique podchodzi do domofonu, pyta o coś i po usłyszeniu odpowiedzi naciska brzęczyk otwierający drzwi wejściowe.

– Kto to? – Harry wszedł do holu, Elena za nim.

Veronique obejrzała się przez ramię.

– Ktoś chce się zobaczyć z twoim bratem – powiedziała

cicho i otworzyła drzwi prowadzące na schody.

– Skąd ktokolwiek może wiedzieć, że on tu jest?

Usłyszał na schodach kroki. Jeden, najwyżej dwóch ludzi.

Mężczyzna, bo stapał za ciężko na kobietę. Kto to mógł być? Blondyn? Może księża z Bellagio wpędzili ich w pułapkę. Stworzyli zabójcy wolne pole do działania pod bokiem Roscaniego. Albo odwrotnie – dogadali się ze szwajcarską policją i jakiś detektyw przyszedł sprawdzić teren. Czemu nie? Księża byli ubodzy, a za pomoc w ujęciu zbiegów wciąż czekała wysoka nagroda. Może duchowni nie mogli wziąć pieniędzy, ale na pewno mogła to zrobić Veronique, która potem się z nimi podzieli.

Harry obejrzał się przez ramię na Elenę i wskazał jej głową wyższe piętro. Natychmiast przemknęła obok niego i pobiegła na górę do pokoju Danny'ego.

Kroki się zbliżały. Ktokolwiek to był, dotarł już prawie do szczytu schodów. Harry chciał minąć Veronique i zamknąć drzwi na klucz, ale chwyciła go za rękaw.

– Wszystko w porządku – powiedziała uspokajająco.

Przybysz był już na górze, częściowo skrywał go cień. Nie blondyn – ktoś wyższy, w dzinsach i jasnym swetrze. Wszedł do holu. Harry ujrzał znajomą kędzierzawą czuprynę i ciemne oczy za okularami w czarnych oprawkach.

Ksiądz Bardoni.

Wielebna matka przełożona Carmela Fenti miała sześćdziesiąt trzy lata. Była drobną kobietą o oczach tryskających; humorem, a równocześnie skrywających głębokie zatroskanie. Siedząc w swym ciasnym, skromnie wyposażonym biurze na piętrze szpitala Świętego Bernarda w Sienie, próbowała podzielić się swym niepokojem z Roscanim, tak jak przedtem z miejscowymi policjantami. Opowiedziała mu właśnie, jak wczesnym wieczorem szóstego lipca, w poniedziałek, zatelefonowała do niej siostra Maria Cupini, administratorka franciszkańskiego szpitala Świętej Cecylii w Pescarze, i opowiedziała o Irlandczyku, nie mającym najwyraźniej krewnych, rannym w wypadku samochodowym.

Odniósł poważne obrażenia, był poparzony i nieprzytomny.

Siostrze Marii brakowało personelu i poprosiła przełożoną o pomoc.

Siostra Carmela Fenti zgodziła się i posłała do Pescary siostrę Elenę Voso. I to było wszystko, co wiedziała o tej sprawie, dopóki nie pojawiła się u niej policja. Nie miała w zwyczaju kontaktować się ze swymi podwładnymi oddelegowanymi do innych szpitali.

Roscani: Czy zna siostra osobiście siostrę Marię Cupini?

Matka przełożona: Nie.

Roscani: Wielebna matko, siostra Maria Cupini powiedziała policji w Pescarze, że nigdy do matki przełożonej nie telefonowała. Zeznała także, i potwierdzają to rejestry szpitalne, że w owym czasie nie przyjęto do Świętej Cecylii takiego pacjenta. Przyjęto natomiast bez jej wiedzy anonimowego mężczyznę, który pozostawał w szpitalu przez siedemdziesiąt dwie godziny. Opiekowała się nim jego własna obsługa medyczna. I tak się jakoś złożyło, że nikt dokładnie nie wie, kto właściwie zezwolił na jego przyjęcie i jak się to wszystko dokonało.

Matka przełożona: Ispettore Capo, nie wiem, jakie są zwyczaje w szpitalu Świętej Cecylii. Wiem tylko to, co mi powiedziano i co przyjął za dobrą monetę.

Roscani: Pozwolę sobie dodać, że policja z Pescary nie odnotowała w owym czasie ani jednego poważniejszego wypadku samochodowego w tym rejonie.

Matka przełożona: Wiem tylko tyle, ile mi powiedziała tamta siostra. Proszę – zakonnica wyjęła z szuflady podniszczony notatnik. – Tutaj rejestruję wszystkie rozmowy telefoniczne. Jest w nim zapisane, moim charakterem pisma, że dzwoniło do mnie szóstego lipca o dziewiętnastej dziesięć, a rozmowa trwała do dziewiętnastej szesnaście. Po prawej jest nazwisko rozmówcy. Siostra Maria Cupini, administratorka szpitala Świętej Cecylii w Pescarze. Napisane piórem, jak pan widzi, bez żadnych skreśleń.

Roscani pokiwał głową. Oglądał już wyciągi telefoniczne, potwierdzające tę informację.

Matka przełożona: Skoro ta kobieta, która do mnie telefonowała, nie była siostrą Marią Cupini, dlaczego przedstawiła się jej nazwiskiem?

Roscani: Ponieważ ktoś orientujący się w procedurze chciał znaleźć prywatną pielęgniarkę dla ukrywającego się ojca Daniela Addisona. No i znalazł, w osobie siostry Eleny Voso z klasztoru podlegającego matce.

Matka przełożona: Skoro tak się rzeczy mają, panie inspektorze, to gdzie jest Elena? Co się z nią dzieje?

Roscani: Nie wiem; miałem nadzieję, że siostra wie.

Matka przełożona: Nie mam pojęcia.

Inspektor wstał i podszedł do drzwi.

Roscani: Za pozwoleniem, siostro, jest tu jeszcze jedna osoba, która powinna usłyszeć, co mam do powiedzenia.

Inspektor otworzył drzwi i skinął do kogoś na korytarzu.

Po chwili pojawił się carabinieri, w towarzystwie siwowłosego mężczyzny mniej więcej w wieku matki przełożonej, o dumnej posturze, ubranego w brązowy garnitur, białą koszulę i krawat, i chociaż starał się trzymać hardo i nie okazywać uczuć, widać było wyraźnie, że jest roztrzęsiony, jeśli nie przerażony.

Roscani: Matko, to jest Domenico Voso, ojciec siostry Eleny.

Matka przełożona: My się znamy, panie inspektorze. Buon pomeriggio, Signore.

Domenico Voso ukłonił się jej i usiadł na krześle podsuniętym mu przez mundurowego.

Roscani: Matko przełożona, wyjaśniliśmy Panu Voso, co, naszym zdaniem, dzieje się z jego córką. Powiedzieliśmy, że prawdopodobnie jest gdzieś z ojcem Danielem i opiekuje się nim, lecz uważamy ją raczej za ofiarę niż współniczkę. Niemniej jednak chciałbym, żebyście oboje zrozumieli, że grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Ktoś usiłuje zabić księdza, a także najpewniej osoby mu towarzyszące. Ten ktoś to człowiek nie tylko bardzo sprytny, lecz również wyjątkowo zwyrodniały. – Spojrzał na Domenica Vosa i w jednej chwili całe jego nastawienie zmieniło się diametralnie; on także był ojcem i wiedział, jak by się czuł, gdyby któreś z jego dzieci gdzieś zniknęło. Gdyby polował na nie Thomas Kind. – Nie wiemy, gdzie przebywa pańska córka, panie Voso, ale możliwe, że wie to zabójca. Jeśli ma pan jakiegokolwiek informacje na ten temat, błagam, żeby mi je pan ujawnił. Dla jej dobra...

Domenico Voso: Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Chociaż ja i moja rodzina z całego serca pragnęlibyśmy to wiedzieć.

Matka przełożona: Ja też nie wiem, Domenico. Powiedziałam to już panu inspektorowi. Jeżeli się czegokolwiek dowiem, natychmiast cię zawiadomię. Dziękuję, że przyszedłeś.

Siostra Carmela Fenti wiedziała, gdzie jest Elena. Pan Voso nie. Do takiego wniosku doszedł Roscani, gdy dwadzieścia minut później usiadł przy biurku w komendzie miejscowych carabinieri w Sienie. Wiedziała.

I skłamała, że nie wie. Mimo że ojciec młodej zakonnicy umierał z rozpaczy.

Choć sympatyczna i z iskrą humoru w oczach, matka przełożona była w głębi serca twardą sztuką. Miała z pewnością dość oleju w głowie i siły na to, żeby pozwolić Elenie Voso zginąć w imię ochrony kogoś, kto wydawał jej polecenia. A że działała na czyjeś polecenie, było dla Roscaniego oczywiste. Nawet tak ważna osobistość jak ona, w żadnej mierze nie miała aż takich koneksji, żeby przeprowadzić całą operację samodzielnie. Przełożona klasztoru w Sienie nie narażałaby na szwank swego autorytetu w oczach całego Kościoła i społeczeństwa.

Choć jednak inspektor był pewien, że anonimowy pacjent przyjęty do szpitala w Pescarze to musiał być ojciec Daniel, wiedział również, że siostra Maria Cupini będzie podtrzymywała swoje zeznanie, iż działo się to poza jej plecami i niczego na ten temat nie wie – była to bowiem historyjka, którą wymyśliła dla niej właśnie siostra Carmela Fenti.

Najwyraźniej ona tym wszystkim kierowała. I na pewno niczego nie ujawni. Będzie więc musiał, i to jak najszybciej, dotrzeć do prawdy jakąś okrężną drogą.

Roscani odchylił się na oparcie krzesła i upił łyk zimnej kawy. I w tym momencie uzmysłowił sobie, jak by ta okrężna droga ewentualnie mogła wyglądać.

Julia Louise Phelps uśmiechnęła się lekko do mężczyzny zajmującego miejsce w pierwszej klasie naprzeciwko niej i odwróciła się do okna, za którym wiejski krajobraz przechodził powoli w podmiejski. Na przestrzeni kilku kilometrów otwarta przestrzeń ustąpiła miejsca magazynom, fabrykom i budynkom mieszkalnym. Za kwadrans Thomas Kind miał znaleźć się w Rzymie. Z dworca pojedzie taksówką do hotelu Majestic na Via Veneto. A kilka minut później następną taksówką przez Tyber do Amalii, byłego pensione przy Via Germanico. Niewielkiego, przytulnego i dyskretnego. W wygodnej bliskości Watykanu.

Podróż z Bellagio upłynęła mu bez większych problemów – poza tym że zmuszony był zabić młodego projektanta mody, poznanego na promie. Kiedy dowiedział się, że Aldo Cianetti ma w Como samochód i udaje się do Mediolanu, poprosił go o podwiezienie. To jednak, co miało być ułatwieniem, krótką nocną jazdą z miasta do miasta, nagle okazało się uciążliwością. Młody człowiek zaczął bowiem pokpiwać z policji i jej nieudolności w chwytności w poszukiwanych przestępców. Wpatrywał się w Kinda nieco zbyt natarczywie, przyglądając się jego wielkiemu kapeluszu; ubraniu i

przesadnemu makijażowi, maskującemu zadrapania na twarzy. A potem półżartem zasugerował, że któryś ze ściganych mógłby się przebrać właśnie za kobietę i wyśliznąć z obławy nierozpoznany, tuż pod nosem policjantów.

W dawniejszych czasach Thomas Kind prawdopodobnie puściłby to mimo uszu. Lecz nie w tym stanie umysłu, w jakim znajdował się teraz. Nie chodziło właściwie o to, że projektant mógł się stać niebezpiecznym świadkiem; ważniejsza była nieopanowana żądza zabijania, jaką budziło.

– Kardynał Marsciano jest chory. Muszę wrócić do Rzymu... Liczę na twoją pomoc – oznajmił.

– Do Rzymu? – Harry nie wierzył własnym uszom. – Po co?

– Przecież powiedziałem.

– Nie, powiedziałaś tylko, że kardynał Marsciano jest chory i nic poza tym. – Harry świdrował go wzrokiem.

W jednej chwili wrócili do poprzedniej rozmowy, którą przerwali, gdy Danny zamknął się w sobie.

– Mówiłem ci już, że nie mogę o tym mówić...

– No, dobrze, nie możesz. Spróbujmy inaczej. Skąd ksiądz Bardoni wiedział, gdzie jesteś?

– Od matki przełożonej siostry Eleny.

– W porządku. Mów dalej.

– O czym? – zapytał sucho Danny. – Muszę jechać do Rzymu i tyle. Ale nie mogę chodzić, bez pomocy nie dojdę nawet do łazienki.

– To czemu nie pojechałeś z Bardonim?

– On musiał wracać, miał zaraz samolot do Mediolanu. Poza tym chyba nie sądzisz, że mógłbym się pokazać na lotnisku?

Harry otarł dłonią usta. Jego brat był nie tylko całkowicie przytomny, ale i bardzo zdeterminowany.

– Słuchaj – odrzekł – nasze zdjęcia są we wszystkich gazetach, w telewizji. Jak daleko uda nam się twoim

zdaniem dojechać?

– Dotarliśmy aż tutaj, to dotrzemy i do Rzymu.

Harry przyjrzał się bratu badawczo, jakby spodziewał się zobaczyć w nim odpowiedź, której nie mógł usłyszeć.

– Dopiero co kazałeś mi uciekać, zanim mnie zabiją.

A teraz każesz mi znów skakać w ogień. Co się tak nagle zmieniło?

– Przedtem nie znałem sytuacji.

– A co to za „sytuacja”?

Danny odpowiedział milczeniem.

– Coś w Watykanie, prawda? – nie ustępował Harry. – O co, u diabła, w tym wszystkim chodzi?

Danny się nie odzywał.

– Marsciano chciał przekonać mnie i wszystkich naokoło, że nie żyjesz – ciągnął Harry. – Starał się ciebie chronić... Powiedział: „Zabiją was obu. Pańskiego brata z powodu tego, co wie. A pana, bo będą myśleli, że panu powiedział”. Teraz możesz do tego dołączyć Elenę. Skoro chcesz, żebym ryzykował życie, swoje, twoje i jej, to chyba powinienes, do ciężkiej cholery, powiedzieć mi coś więcej.

– Nie mogę. – Odpowiedź była tak cicha, że niemal jej nie dosłyszał.

– Podaj mi powód – zażądał Harry ostrym tonem, zdecydowany mimo wszystko czegoś się dowiedzieć.

– Ja... – zaczął z wahaniem Danny.

– Powiedziałem, podaj mi powód, do cholery.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza; wreszcie Danny

przemówił.

– W twoim zawodzie, Harry, nazywa się to ochroną interesów klienta. W moim – tajemnicą spowiedzi. Rozumiesz teraz?

– Marsciano ci się spowiadał? – Harry był w szoku.

Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego.

– Nie powiedziałem kto ani co. Tylko podałem ci powód, którego się tak domagasz.

Harry podszedł do niewielkiego okna i wyjrzał przez nie.

Tak bardzo pragnął, żeby choć raz w dorosłym życiu znaleźli się po tej samej stronie. Żeby mu własny brat zaufał w takim stopniu, by powiedzieć prawdę. Teraz jednak zrozumiał, że to niemożliwe.

– Harry – usłyszał nagle za plecami cichy głos. – Kardynała Marsciana trzymają w Watykanie w areszcie domowym. Jeżeli nie pojedę, zabiją go.

– Kim są ci „oni”? – Harry odwrócił się natychmiast ku niemu. – Farel?

– Sekretarz stanu kardynał Palestrina.

– Ale dlaczego?

– Tego nie mogę ci powiedzieć. – Danny ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

– Chcą ciebie za Marsciana, tak? Taki ma być układ?

– Tak... Ale to się nie stanie – odparł Danny. – Ojciec Bardoni i ja zamierzamy wydostać stamtąd kardynała. Dlatego on wrócił sam... musi wszystko przygotować. Chodziło także o to, żeby w razie czego nie złapali po

drodze nas obu.

– Wy chcecie wydostać Marsciana z Watykanu? – Harry spoglądał na niego z niedowierzaniem. – Dwóch ludzi, z tego jeden ledwie żywy, przeciwko Farelowi i sekretarzowi stanu? Danny, to przecież tak, jakbyś wypowiedział wojnę nie tylko tym dwóm, ale całemu Watykanowi!

– Wiem.

– Jesteś szalony.

– Nie... Jestem całkowicie przy zdrowych zmysłach.

Wszystko sobie przemyślałem. To się da zrobić. Pamiętaj, że byłem w marines. Znam parę sztuczek...

– Nie – uciął ostro Harry.

– Co „nie”? – Danny aż spróbował wstać z łóżka.

– Nie i koniec! – Harry był podekscytowany, lecz stanowczy. – Fakt, nie przyjechałem po ciebie wtedy do Maine.

Ale to było dawno. A teraz spłacam ten dług. W Nowym Jorku, Rzymie, Bellagio, tutaj... gdzie jeszcze, cholera, chcesz. I zabiorę cię stąd w diabły. Ale nie do Rzymu, tylko do Genewy! Zrobię wszystko, żebyśmy się tam dostali.

Poddamy się Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi.

Mam nadzieję, że już jesteśmy na tyle sławni, iż jednak będzie nas to chroniło, przynajmniej do pewnego stopnia.

– Ruszył nagle do drzwi. Położył rękę na klamce i jeszcze raz spojrzął na brata. – Cała reszta mnie nie obchodzi, mój

długo nie widziany bracie, ale ciebie nie zamierzam stracić. Ani z powodu Marsciana, ani dla dobra szacownej Stolicy Apostolskiej, ani przez Farela z Palestriną i z kim tam jeszcze... – Zniżył głos. – Nie chcę cię stracić przez to wszystko, tak jak straciliśmy Madeline w jeziorze...

Wpatrywał się w Danny'ego przez dłuższą chwilę, pragnąc się upewnić, że te słowa do niego dotarły. Potem otworzył drzwi i chciał wyjść.

– Ten kim jestem to ja! – okrzyk Danny'ego zatrzymał go w miejscu niczym cios nożem.

Harry zamarł w pół kroku. Kiedy się odwrócił, ujrzał wbity w siebie wzrok brata.

– Twoje trzynaste urodziny, pamiętasz? Napis na skale.

Szedłeś ze szkoły do domu, okrężną drogą, jak zawsze kiedy nie chciałeś wracać. A tego dnia nie chciałeś wracać bardziej niż kiedykolwiek.

Pod Harrym ugięły się nogi.

– Ty to napisałeś...

– To był mój prezent dla ciebie. Tylko tyle ci mogłem dać. Potrzebowałeś wiary w siebie, bo każdy jej potrzebuje.

I zdobyłeś ją. Zbudowałeś na niej swoje życie. Odwaliłeś kawał niezłej roboty... – Spojrzenie Danny'ego przesuwało się badawczo po twarzy brata. – Powrót do Rzymu jest dla mnie w tej chwili najważniejszą rzeczą na świecie, Harry.

Teraz mnie jest potrzebny prezent. I tylko od ciebie mogę go dostać.

Przez długą chwilę Harry stał w milczeniu. Danny wyciągnął z rękawa ostatniego asa. To była mocna karta.

Cofnął się do pokoju i zamknął drzwi.

– Jak, u diabła, my się tam dostaniemy, twoim zdaniem? – zapytał w końcu.

– Zobacz. – Danny podniósł leżącą na stoliku szarą kopertę i wytrząsnął z niej zawartość – białe tablice rejestracyjne z czarnymi znakami. SCV 13. – Watykańska rejestracja, Harry. Dyplomatyczne tablice z bardzo niskim numerem. Takiego samochodu nikt nie zatrzyma.

Harry patrzył na niego w osłupieniu.

– A gdzie ten samochód? – zapytał w końcu.

Ubrania rabinów zamienili z powrotem na stroje duchownych katolickich. Harry był znowu księdzem Jonathanem Roe z Georgetown University. Szedł ulicami Lugano, zatłoczonymi w godzinie szczytu, żeby odnaleźć szarego mercedesa, wynajętego przez ojca Bardonięgo. Samochód miał stać na Via Tomaso, po drugiej stronie torów i dworca kolejowego.

Zgodnie ze wskazówkami Veronique pojechał najpierw tramwajem linowym do Piazza della Stazione. Następnie przeszedł przez budynek dworca do wyjścia na perony. Szedł z opuszczoną głową, starając się nie napotkać niczyjego wzroku. Przepychał się wśród tłumu czekających na pociąg w kierunku schodów prowadzących ponad torami na drugą stronę dworca.

Jego myśli błądziły wokół podróży do Rzymu i szans na to, że nikt ich po drodze nie złapie. A także wokół historii z Eleną. Ten myślowy zamęt sprawił, że to, co wydarzyło się, gdy dotarł do rogu budynku stacyjnego, zaskoczyło go kompletnie.

Nagle wśród tłumu podróżnych zmaterializowało się nie wiadomo skąd sześciu policjantów w mundurach. Szli szybkim krokiem, zmierzając do pociągu, który wjeżdżał właśnie na peron. Nie oni jednak przykuli uwagę

Harry'ego, lecz trójka aresztantów, których prowadzili; trzech mężczyzn w kajdankach i łańcuchach na nogach. Drugi z nich przechodził właśnie tuż obok niego. Był to Hercules. Skute nogi utrudniały mu poruszanie się, ale kuśtykał mimo to. On też zobaczył Harry'ego. Ich oczy się spotkały. Karzeł natychmiast odwrócił wzrok, chroniąc go przed zainteresowaniem policjantów. Ksiądz, który jest znajomym jednego z ich podopiecznych, mógł im się wydać podejrzany. Cała grupa poszła dalej, Hercules też. Weszli po schodkach do wagonu i zniknęli Harry'emu z oczu.

Zobaczył Herculesa chwilę później, już w przedziale. Jeden z policjantów wziął od niego kule i pomógł mu zająć miejsce przy oknie. Harry przecisnął się natychmiast bliżej wagonu.

Hercules spojrzał na niego, zrobił szybki przeczący ruch głową i odwrócił się w drugą stronę.

Zabrzmiał stacyjny gong i pociąg ruszył, odjeżdżając ze szwajcarską precyzją dokładnie o czasie. Do Włoch.

Harry, wciąż jeszcze w szoku, oderwał od niego spojrzenie i zaczął rozglądać się za schodami do Via Tomaso. Całe zdarzenie trwało nie dłużej niż minutę. Hercules, nim spostrzegł Harry'ego, był blady i zrezygnowany, ale gdy tylko podjął wysiłek ochrony go przed policją, zupełnie się zmienił. Przynajmniej na tę krótką chwilę wróciła mu chęć życia. Odzyskał bowiem – choć tylko przelotnie – poczucie celu.

Siena, Włochy. Komenda policji; 18,40

Doszło więc już do tego. Rosciani trzymał między palcami nie zapalonego papierosa. Raz po raz wtykał go w kącik ust. Obiecał sobie jednak, że dalej się nie posunie. Niezależnie od tego, jak bardzo denerwujący czy niepokojący obrót przybiorą jeszcze sprawy, nie sięgnie po ogień, By się upewnić w tym postanowieniu, ceremonialnym gestem wyjął z kieszeni pudełko, wyciągnął z niego jedną zapalną, zapalił ją i położywszy otwarte pudełko na popielniczce przytknął ogień do pozostałych. Przez chwilę poczuł ukłucie żalu, lecz zaraz wrócił do studiowania rozpostartych na biurku wydruków. Były to wyciągi z rozmów telefonicznych przeprowadzonych z biura matki przełożonej Carmeli Fenti i z prywatnego aparatu w jej mieszkaniu w ciągu ostatnich trzynastu dni. Od dnia eksplozji autobusu aż do dziś.

W korytarzu siedzieli dwaj przydzieleni mu do pomocy miejscowi detektywi. Nagle ujrzeni, że Rosciani chwytając za słuchawkę telefonu i wybiera numer. Czekając chwilę, potem powiedział coś i rozłączył się. Raptem wstał od stołu. Podeszedł do okna, wyjął z ust papierosa, włożył go z powrotem.

Zadzwoił telefon. Inspektor natychmiast podbiegł do stołu i podniósł słuchawkę. Pokiwał głową, zapisał coś na skrawku papieru, podkreślił to i rzuciwszy jeszcze słowo do słuchawki, odłożył ją. Po półsekundzie wyrzucił nie zapalony papierosa do kosza i z kartką w dłoni podeszedł

do drzwi.

– Niech mnie któryś zawiezie na lądowisko – zwrócił się do policjantów.

– Dokąd pan leci? – zapytał jeden z nich, wstając i ruszając za nim do wyjścia.

– Do Szwajcarii, do Lugano – odparł Roscani, nie zatrzymując się.

Lugano; w tym samym czasie.

Ciemnoszary mercedes z watykańską rejestracją opuszczał Lugano wczesnym wieczorem. Rozpadało się i było już niemal tak ciemno jak w nocy. Samochód minął hotele, rozlokowane wzdłuż brzegu jeziora i skręciwszy w Via Giuseppe Cattori, skierował się na zachód, ku autostradzie N2, prowadzącej do Chiasso i dalej do Włoch.

Elena siedziała z tyłu, przyglądając się Danny'emu, który pilotował brata, sprawdzając drogę na mapie w świetle górnej lampki. Między braćmi wyczuwało się napięcie. Nie wiedziała dokładnie, czym spowodowane. Harry nie rozmawiał z nią o tym; powiedział tylko, że jeśli chce, może zostać.

Odmówiła. Chciała być wszędzie tam, gdzie oni. To jest ustalone raz na zawsze, oznajmiła mu. Tym bardziej że ojciec Daniel w dalszym ciągu znajduje się pod jej opieką. Poza tym wracali do Włoch, a ona była Włoszką, co już nieraz, jak może Harry pamiętać, pozwoliło im wyjść cało z opresji. Gdy starszy z Addisonów uśmiechnął się pod wąsem, widząc, jaka jest dzielna i zdeterminowana, wiedziała już, że ją zabiorą.

Kiedy wjechali na autostradę, Danny zgasił lampkę pod sufitem i zagłębił się w fotelu, znikając jej z pola

widzenia.

Teraz widziała już tylko profil Harry'ego, oświetlony nikłą poświatą z deski rozdzielczej. Spoczywające na kierownicy dłonie poruszały się nerwowo. Całą uwagę skoncentrował na obserwowaniu drogi. Nerwowość przebijała również ze sposobu, w jaki na przemian to odchyłał się na oparcie, to pochylał do przodu. I nie było to chyba spowodowane niewygodnym fotelem, lecz niewygodnym dlań kierunkiem jazdy. Rzym jako cel podróży najwyraźniej nie był jego pomysłem.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją półgłosem.

Zauważyła, że spogląda na nią w lusterku.

– Tak. – Ich oczy spotkały się i trwały tak przez chwilę.

– Harry. – Ponad rytmicznym szurgotem wycieraczek usłyszeli nagle ostrzegawczy głos Danny'ego.

Harry natychmiast odwrócił wzrok od Eleny i spojrzał na szosę. Auta przed nimi zwalniały. W pewnym oddaleniu dostrzegali już różowo-biały poblask rtęciówek na tle ciemnego, zmętniałego nieba.

– Włoska granica. – Danny usiadł prosto, czujny i przejęty.

Elena dostrzegła, że dłonie Harry'ego zaciskają się mocniej na kierownicy. Poczowała, jak mercedes zwalnia, gdy nacisnął hamulec. Rzucił jej jeszcze krótkie spojrzenie w lusterku, a potem już tylko patrzył przed siebie.

Pekin. Czwartek, 16 lipca.

Czarna limuzyna wjechała na teren Zhongnanhai, dystryktu zamieszkanego wyłącznie przez dygnitarzy rządowych i przywódców partyjnych. Było tuż po pierwszej w nocy. Pięć minut później Pierre Weggen wysiadł z auta. Yan Yeh, prezes Narodowego Banku Chińskiego, wprowadził go z poważną miną do wielkiego salonu w prywatnej rezydencji Wu Xiana, sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Chin.

Sekretarz generalny wstał, żeby go powitać, i uściskawszy mu serdecznie dłoń, zaczął przedstawiać członków Biura Politycznego, którzy zebrali się tu, żeby usłyszeć o szczegółach propozycji Weggena. Byli wśród nich: minister budownictwa, minister komunikacji i minister spraw wewnętrznych. Chcieli poznać całość projektu – w jaki sposób zostałby zrealizowany, jakim kosztem i w jakim czasie, możliwie najkrótszym.

– Dziękuję za waszą gościnność, panowie. – Pierwsze zdanie Weggen powiedział po chińsku. Następnie, wyraziwszy głębokie współczucie nie tylko obecnym, lecz także całemu narodowi chińskiemu, a szczególnie mieszkańcom Hefei, rozpoczął prezentację rekomendowanego przez siebie projektu błyskawicznej i wysoce efektownej propagandowo operacji przebudowy

wodociągów w całym kraju.

Yan Yeh usiadł na krześle nieco na uboczu i zapalił papierosa. Był wstrząśnięty do głębi straszliwą katastrofą i wyczerpany długim dniem. Miał nadzieję, że dygnitarze zebrani tu o tak późnej godzinie zrozumieją, iż ich zgoda na plan Weggena będzie miała żywotne znaczenie dla poprawy bezpieczeństwa narodowego i sytuacji w kraju. Miał nadzieję, że odłożą na bok wewnętrzne polityczne waśnie i własną pychę, angażując się w jak najszybszą realizację projektu. Zanim tragedia Hefei powtórzy się gdzie indziej.

Sprawa miała dla Yan Yeha także wymiar osobisty. Choć mogło się o tym głośno nie mówić, każdy Chińczyk, który słyszał o wydarzeniach w Hefei, bał się teraz pić wodę z wodociągów, szczególnie jeśli jej ujęcie znajdowało się nad jeziorem. Wysoko postawieni i wpływowi dygnitarze, tacy jak on, również nie byli wolni od tej obawy. Zaledwie przed trzema dniami wysłał żonę z dziesięcioletnim synem w odwiedzinach do krewnych w Wuxi. To miasto także leżało nad jeziorem. Kilka godzin temu rozmawiał z żoną przez telefon, zapewniając, że tragedia w Hefei to odosobniony incydent, i uspokajając – tak jak uspokajano opinię publiczną – że jakość wody pitnej w całym kraju jest starannie badana.

Wspomniawszy także, że rząd już niedługo podejmie odpowiednie działania i zgodnie z jego, Yan Yeha, radą rozpocznie się błyskawiczna przebudowa i remonty sieci wodociągowych w kraju. Yan Yeh zatelefonował do żony,

żeby po prostu z nią porozmawiać, uśmierzyć jej obawy i powiedzieć, że ją kocha. I w głębi serca miał nadzieję, że się nie myli, że Hefei rzeczywiście okaże się odosobnionym wypadkiem.

Lecz natarczywy ucisk gdzieś w głębi brzucha podpowiadał mu coś wręcz przeciwnego.

Watykan. Środa, 15 lipca; 19.40

Palestrina stał przy oknie swego gabinetu. Przyglądał się tłumom wypełniającym plac Świętego Piotra, oddychającym jego niepowtarzalną atmosferą i cieszącym się ostatnimi minutami gasnącego dnia.

Potem odwrócił się ku wnętrzu i jego wzrok spoczął na marmurowym popiersiu Aleksandra Wielkiego, spoglądającym niewidzącymi oczyma w wieczność. Kardynał przez kilka sekund wpatrywał się w niego w zadumie. Po chwili jego nastrój raptownie się zmienił. Podeszedł do biurka, usiadł przy nim i podniósł słuchawkę telefonu. Wybrał numer i czekał, słuchając, jak automatyczna stacja przełącznikowa w Wenecji przesyła sygnał do Hongkongu, gdzie kolejny automat uruchamia połączenie z Pekinem.

Świergot telefonu komórkowego wyrwał Chen Yina z głębokiego snu. Po trzecim dzwonku stał już nago w ciemnej sypialni swego mieszkania, położonego nad sklepem z kwiatami.

– Tak? – powiedział po chińsku.

– Mam zamówienie na ranną dostawę do kraju ryb i

ryżu – usłyszał mówiący również po chińsku, zmodyfikowany elektronicznie głos.

– Przyjąłem – odrzekł i rozłączył się. Palestrina odłożył słuchawkę i powoli przekręcił się na obrotowym krześle, by spojrzeć znów na marmurowe oblicze Aleksandra. Drugie jezioro wybrał na podstawie informacji uzyskanych dzięki zażyłości Pierre’a Weggena z Yan Yehem – na temat codziennego życia bankiera, jego rodziny i przyjaciół. „Krajem ryb i ryżu” nazywano żyzny region o łagodnym klimacie, obfitujący w wodę i prężny gospodarczo. Położony był na południe od Nankinu i Li Wen mógł tam dotrzeć po kilkugodzinnej jeździe pociągiem. Jezioro nazywało się Tai Hu, a leżące nad nim miasto – Wuxi.

Harry spojrział w lusterko, czując, jak mercedes przyśpiesza, posłuszny jego woli. Policyjna blokada pozostała za nimi. Przez chwilę widział jeszcze czerwone światła stopu samochodów zmierzających na północ, poblask rtęciówek, kolumnę wozów wojskowych i uzbrojone pojazdy carabinieri. Potem wszystko rozplynęło się w mroku. Był to jeden z ważniejszych posterunków kontrolnych Gruppo Cardinale, dwie godziny na południe od Mediolanu. W przeciwieństwie do przejścia granicznego w Chiasso, gdzie machnięciem ręki kazano im jechać dalej, tutaj musieli się zatrzymać, a do samochodu z obu stron podeszli uzbrojeni żołnierze. Dopiero po chwili jeden z oficerów zauważył nagle watykańską tablicę rejestracyjną, spojrzął na siedzących w mercedesie duchownych i szybko ich przepuścił.

– Patrzcie, jaki mądrała – powiedział do brata Danny z ironicznym uśmiechem, gdy tylko ciemność spowiła samochód i byli już bezpieczni.

– Bo pomachałem temu wojskowemu na do widzenia?

– Tak, właśnie. – Danny obejrzał się na Elenę i uśmiechnął ponownie. – A gdyby mu się to nie spodobało i kazałby nam stanąć? Co byś zrobił?

– Wtedy ty byś mu wyjaśnił, po co jedziemy do Watykanu. Może by nam przydzielił oddział wojska do pomocy...

– Wojsko nie ma wstępu na teren Stolicy Apostolskiej, Harry. Ani włoskie, ani żadne inne.

– Tylko ty masz, prawda? – w głosie Harry’ego pobrzmiwała irytacja. – Ty i twój ksiądz Bardoni.

Danny pokiwał poważnie głową.

– Tak jest. Tylko ja i Bardoni.

Rzym. Kościół San Crisogno.

Czwartek, 16 lipca; 5.30

Palestrina wysiadł z mercedesa w rozproszone światło mglistego poranka. Przed nim szedł jeden z ubranych na czarno ludzi Farela. Rozejrzawszy się bacznie po pustej ulicy, przeszedł przez chodnik, otworzył drzwi osiemnastowiecznego kościoła i przepuścił kardynała, który wszedł do środka sam.

Kroki Palestriny rozbrzmiewały echem w pustym wnętrzu.

Gdy znalazł się naprzeciwko ołtarza, przeżegnał się i uklęknął do modlitwy obok jedynej poza nim osoby w świątyni – czarno odzianej kobiety z różańcem w ręku.

– Od mojej ostatniej spowiedzi upłynęło już dużo czasu, ojciec – powiedziała, nie patrząc na niego. – Czy zechcesz mnie wyspowiadać?

– Oczywiście – Palestrina przeżegnał się i wstał. A potem wraz z Kindem, kryjącym się pod przebraniem kobiety, przeszli do bocznej nawy i zniknęli w ciemnym wnętrzu konfesjonału.

Lugano, Szwajcaria.  
Dom przy Via Monte Ceneri 87.

W dalszym ciągu czwartek, 16 lipca; w tym samym czasie.

Jasny poranek po deszczu

Roscani zszedł po schodach na ulicę. Garnitur miał wymięty, był nie ogolony i zmęczony. Niemal zbyt zmęczony, żeby logicznie myśleć. Przede wszystkim jednak był zły i zniechęcony tym, że ciągle go okłamywano, zwłaszcza że robiły to kobiety godne skądinąd szacunku. Najpierw matka przełożona Carmela Fenti. A teraz w Lugano rzeźbiarka i malarka Veronique Vaccaro. Ta głosząca obrazoburcze sądy kobieta w średnim wieku, podobnie jak przedtem zakonnica, twardo trzymała się swojej historii i zaklinała się, że nic jej nie wiadomo na temat ściganych.

Na lądowisku policyjnym w Lugano powitał Roscaniego miejscowy szef detektywów, który przesłuchał już wcześniej Veronique Vaccaro. Inspektor zapoznał się z raportem z tej rozmowy i z wynikami przeszukania, przeprowadzonego w domu artystki. Nie znaleziono niczego, co mogłoby sugerować, że ktoś tam przebywał podczas krótkiej nieobecności gospodyni. Sąsiedzi zeznali jednak, że dzień wcześniej około

południa przed domem stała przez jakiś czas biała furgonetka z napisem na drzwiach. A dwaj chłopcy, którzy w porze poobiedniej wyszli mimo deszczu na spacer z psami, opowiedzieli policjantom, że widzieli w tym samym miejscu szare auto. Na pewno mercedesa, jak z dumą sprecyzował starszy. Kiedy wracali, samochodu już nie było. Signora Vaccaro przedstawiła natomiast alibi – trudne zarówno do potwierdzenia, jak i do podważenia; przebywała mianowicie na samotnym biwaku-plenerze w Alpach i wróciła do domu tuż przed wizytą detektywów.

Nie lepiej poszło Scali i Castellettiemu. Na koniec dochodzenia prowadzonego w Bellagio przesłuchali mieszkańców klasztoru Santa Chiara, duchownych i świeckich, na czele z monsiniolem Jeanem Bernardem Dalbouse'em, pochodzącym z Francji przeorem. Rezultatem męczącego zadawania wszystkim po kolei tych samych pytań było kilkanaście identycznych odpowiedzi. Nikt w klasztorze nie odebrał telefonu z Sieny o 4.20 rano dnia poprzedniego. Z komórkowego aparatu matki przełożonej Carmeli Fenti.

Kłamali. Wszyscy kłamali.

Dlaczego?

Doprowadzało to Roscaniego do szału. Każda z tych osób bardzo ryzykowała; za coś takiego przecież można było trafić do więzienia, i to na wiele lat. I nikt nawet nie zaczął się łamać. Kogo... a może co... tak bardzo starali się ochronić?

Opuściwszy dom Veronique Vaccaro, inspektor poszedł

sam ulicą. Okoliczne domostwa pogrążone były w ciszy, mieszkańcy jeszcze spali. Jezioro Lugano w dole wyglądało jak pokryte glazurą; z tej odległości na jego powierzchni nie było widać choćby zmarszczki. Co on tu robił właściwie?

Szukał śladów, które przeoczyli inni? Znowu podążał za przykładem ojca? Krąży w kółko, dopóki nie otrzyma wreszcie jakiejś odpowiedzi? A może kierowało nim przeczucie, że jest we właściwym miejscu? Niczym magnes przyciągany do góry trocin, w których zagrzebany był pojedynczy gwóźdź? Odsunął od siebie te rozważania, przekonując się w duchu, że spaceruje po prostu na świeżym powietrzu, próbując pochwycić choć na chwilę swą assoluta tranquillita.

Wyjął z kieszeni pomięte pudełko, wsunął kolejnego nie zapalonego papierosa w kącik ust i zawrócił do samochodu.

Po kilku krokach zobaczył coś, co kazało mu się zatrzymać. Na brzegu chodnika, pod nawisem krzaków – co uchroniło ją przed całkowitym rozmoknięciem – leżała szara koperta z odcisniętym śladem opony.

Rosciani odrzucił papierosa i pochylił się, żeby ją podnieść.

Była w gorszym stanie, niż to wyglądało na pierwszy rzut oka. Przyklepiła się chyba do mokrej opony i przejechała na niej kawałek, nim odrzuciła ją siła odśrodkowa. Na jej powierzchni dostrzegł jednak wytłoczony jakiś kształt, jakby w kopercie było przedtem

coś twardego.

Wszedł do domu, gdzie zastał Veronique Vaccaro – wciąż rozdrażnioną przesłuchaniem i obecnością policji w mieszkaniu – siedzącą w kuchni, w szlafroku. W jednej ręce trzymała kubek z kawą, a palcami drugiej bębniła po stole, jak gdyby ten nerwowy gest mógł zmusić detektywów do wyniesienia się, natychmiast i raz na zawsze. Uprzejmym tonem poprosił o suszarkę do włosów.

– W łazience – odparła krótko. – Niech pan jeszcze weźmie sobie prysznic i prześpi się w moim łóżku.

Uśmiechnąwszy się półgębkiem do Castellettiego, inspektor wszedł do łazienki i znalazłszy suszarkę, wysuszył dokładnie kopertę.

Castelletti wszedł za nim i patrzył, jak jego szef jeździ lekko ołówkiem po powierzchni szarego papieru, niczym w dziecięcej zabawie w odbijanie monety. Powoli pojawił się zarys tego, co było przedtem w środku.

– Rany boskie! – Roscani nagle przestał malować.

Ujrzeni przed sobą kontury liter i cyfr dyplomatycznego numeru rejestracyjnego.

SCV 13.

– Watykan – powiedział cicho Castelletti.

– Tak jest – Roscani spojrzął na niego przeciągle. –  
Watykan.

Rzym.

Było tuż przed piątą rano i jeszcze nie zrobiło się całkiem jasno. Danny kazał Harry'emu zatrzymać samochód na zadrzewionej Via Nicolo V. Stanęli pod numerem dwadzieścia dwa, trzypiętrową kamienicą, starą, lecz dobrze utrzymaną. Harry zamknął mercedesa i pomógł Elenie wprowadzić wózek Danny'ego do windy. Wjechali na ostatnie piętro.

Danny wyciągnął klucze z koperty, otrzymanej w Lugano; od Bardoniiego, i otworzył drzwi do mieszkania trzy a, w głębi korytarza.

Kiedy znaleźli się w środku, Danny, wyraźnie wyczerpany długą podróżą, natychmiast zasnął. Harry natomiast, obejrawszy pobieżnie wnętrze, nakazał Elenie, żeby nikomu nie otwierała, i wyszedł z mieszkania.

Kierując się wskazówkami Danny'ego, przejechał mercedesem kilka przecznic i w bocznej uliczce zmienił watykańskie tablice rejestracyjne na rzymskie. Zamknął kluczyki w wozie i wrócił na Via Nicolo, niosąc pod marynarką tablice z rejestracją watykańską. Po kwadransie wjeżdżał już windą do mieszkania na ostatnim piętrze. Była prawie szósta rano; za mniej więcej pół godziny miał się tu z nimi spotkać ksiądz Bardoni.

Harry'emu bardzo się to wszystko nie podobało. Szalony był przede wszystkim pomysł, żeby ledwo żywy Danny przy pomocy samego tylko Bardonia uwolnił kardynała Marsciano z więzienia. Danny był jednak najwyraźniej zdecydowany na wszystko; drugi z księży także. W przeświadczeniu Harry'ego oznaczało to tylko jedno: jego brat będzie próbował wykonać to zadanie i zginie. A do tego przecież zmierzał Palestrina od samego początku.

Co więcej, jeśli to Farel zrobił Danny'ego w zabójstwo kardynała Parmy i jeśli pracował on dla Palestriny, to znaczyło, że morderstwo musiał zaplanować sam sekretarz stanu. Marsciano zaś dowiedział się o tym i dlatego trzymali go teraz w areszcie domowym. Wniosek z tego był jeden: spowiedź, której tajemnicy tak bardzo przestrzegał Danny, musiała być spowiedzią Marsciano. Zabijając spowiednika, Palestrina zlikwiduje więc ostatni ślad, który mógłby prowadzić do jego osoby.

Komu można by to wszystko ujawnić? Roscaniemu? Adriannie? Eatonowi? I co by im opowiedział? Dysponował jedynie poszlakami. Zresztą, nawet gdyby miał jakieś dowody, Watykan był suwerennym państwem i włoskie prawo na jego terenie nie obowiązywało. Wobec czego nikt spoza papieskiego państewka nie będzie mógł w tej sprawie niczego legalnie przedsięwziąć. Udręka Danny'ego polegała zaś na tym, że jeśli pozostawiłby sprawy własnemu biegowi, kardynał Marsciano zostanie zlikwidowany. Dlatego zamierzał uczynić wszystko, żeby

temu zapobiec, nawet gdyby miał za to zapłacić własnym życiem.

– Niech to szlag – mruknął Harry pod nosem, wchodząc do mieszkania i zamykając za sobą drzwi. Groziło mu dokładnie takie samo niebezpieczeństwo, jak Danny’emu.

Nie tylko dlatego, że byli braćmi, lecz przede wszystkim z powodu obietnicy, że go nie utraci, tak jak utracili Madelinę. Dlaczego to robił? Dlaczego ciągle musiał składać Danny’emu tego rodzaju przyrzeczenia?

– Nie znam za bardzo Rzymu i nie byłam pewna, w jakiej części miasta jesteście, ale... – wyrwał go z tych rozmyślań podekscytowany głos Eleny.

– Spokojnie, o co ci chodzi? – przerwał jej.

– Chodź, to ci pokażę.

Poprowadziła go do okna w dużym pokoju. W bladym świetle poranka ujrzeni to, co skrywał przed nimi półmrok świtu, kiedy tu przyjechali. Naprzeciwko ich mieszkania biegł wysoki mur z żółtawej cegły, w obu kierunkach ciągnący się tak daleko, jak Harry mógł sięgnąć wzrokiem. Na prawo majaczyły jakieś budynki, skryte jeszcze w głębokim cieniu. Po lewej widział korony drzew, jakby za murem znajdował się duży park.

– Nie rozumiem – zwrócił się do Eleny, niepewny, do czego zmierza.

– To Watykan, Harry... w każdym razie jego fragment.

– Jesteś o tym przekonana?

– Tak, byłam na wycieczce w tych ogrodach po drugiej stronie.

Harry rozglądał się, usiłując znaleźć jakiś punkt orientacyjny. Chciał ustalić, gdzie się znajdują w stosunku do głównej części Watykanu z placem Świętego Piotra. Nie mógł jednak dostrzec niczego znajomego. Już miał zapytać znowu Elenę, kiedy spojrzał jeszcze raz i zrozumiał, że to, co wydawało mu się zarysem miasta na tle nieba, było pojedynczą budowlą. Skrywał ją jeszcze cień, lecz jej szczyt już jaśniał w pełnym słońcu. Miał przed sobą Bazylikę Świętego Piotra.

– Rany boskie – mruknął pod nosem. Nie tylko udało im się dotrzeć bez przeszkód do Rzymu, ale w dodatku dostali klucze do mieszkania położonego o rzut beretem od więzienia kardynała Marsciana.

Na moment oparł czoło o szybę i zamknął oczy.

– Jesteś zmęczony – usłyszał cichy, kojący głos Eleny.

Tak mogłaby mówić matka do swego dziecka.

– To prawda – skinął głową i otworzył oczy, by na nią spojrzeć.

Wciąż miała na sobie kostium, w który przebrała się w Bellagio, a włosy upięte w kok. A jednak dopiero w tym momencie Harry zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy widzi w niej nie zakonnicę, lecz kobietę.

– Ja spałam w samochodzie, ty nie – dodała. – Tu jest jeszcze jeden pokój, mógłbyś się trochę zdrzemnąć... Przynajmniej dopóki nie przyjdzie Bardoni.

– Dobrze – zgodził się. I nagle uzmysłowił sobie, że ma na głowie jeszcze jeden poważny problem. Właśnie Elenę.

Uprzytomnił sobie całą grozę sytuacji, w jakiej się

znajdą, kiedy Danny z Bardanim zaczną urzeczywistniać swój plan.

Nie mógł pozwolić jej tu zostać i uczestniczyć w tym wszystkim.

– Twoi rodzice żyją, prawda? – zapytał ostrożnie.

– A co to ma wspólnego z twoją drzemką? – Elena podniosła głowę, patrząc na niego podejrzliwie.

– Gdzie oni mieszkają?

– W Toskanii...

– To daleko stąd?

– Dlaczego pytasz?

– Bo muszę wiedzieć.

– Samochodem jakieś dwie godziny. Przejeżdżaliśmy tamtędy autostradą.

– Twój ojciec oczywiście ma samochód i umie prowadzić?

– Bo co?

– Ma samochód czy nie? – powtórzył Harry, tym razem podnosząc lekko głos.

– Oczywiście.

– Musisz do niego zatelefonować. Powiesz mu, żeby przyjechał do Rzymu.

Elena poczuła, że cała aż płonie z gniewu. Oparła się plecami o ścianę i skrzyżowała przed sobą ramiona w geście buntu.

– Nie zrobię tego – powiedziała.

– Jeżeli zaraz wyjedzie, Eleno – rzekł Harry, wymawiając z naciskiem jej imię, jakby to mogło uciszyć

protest – może być w Rzymie na dziewiątą, najpóźniej o wpół do dziesiątej. Powiedz mu, żeby stanął pod domem i nie wysiadał. Że zobaczysz go przez okno i zaraz zejdziesz do auta.

Macie natychmiast odjechać. Nikt nawet się nie domyśli, że tutaj byłaś.

Oburzenie Eleny sięgnęło zenitu. Jak on śmiał? Miała swoją dumę i uczucia. A już na pewno nie zadzwoni do ojca, żeby ją zabrał jak jakąś nastolatkę, porzuconą w wielkim mieście rankiem następnego dnia po przyjeździe.

– Przykro mi, panie Addison – odparła zjeżona – ale moim obowiązkiem jest opieka nad ojcem Danielem. I nie opuszczę go, dopóki nie zostaną oficjalnie zwolniona z tego obowiązku.

– To żaden problem, siostrze Eleno – Harry zgromił ją wzrokiem. – Niniejszym zostajesz oficjalnie zwol...

– Przez moją matkę przełożoną! – Elena była już purpurowa na twarzy.

Zapadło ciężkie milczenie. Wpatrywali się w siebie z napięciem. Żadne z nich nie zdawało sobie jeszcze sprawy, że jest to pierwsza kłótnia w ich związku – i że jedno z nich zakreśliło właśnie wyraźną granicę. Nigdy jednak nie mieli się dowiedzieć, które odwróci wzrok jako pierwsze. Nagle bowiem ktoś otworzył gwałtownie drzwi kuchni, aż trzasnęły o ścianę.

– Harry! – W otwartych drzwiach pojawił się Danny na wózku; oczy miał rozszerzone trwogą, na jego kolanach leżał telefon komórkowy. – Harry, nie mogę się

dodzwonić do ojca Bardoniego! Mam do niego trzy numery, w tym komórkę, którą zawsze nosi przy sobie. Żaden nie odpowiada!

– Danny, przede wszystkim się uspokój.

– Ale posłuchaj, on miał tu przyjść już kwadrans temu!

Gdyby był w drodze, to przynajmniej odebrałby komórkę!

Harry skręcił w Via del Parione i poszedł w dół ulicy. Na jego zegarku była już siódma dwadzieścia pięć; od ustalonego czasu spotkania z Bardoniem upłynęła prawie godzina. Nie zatrzymując się, wybrał ponownie numer księdza na komórce, którą dostał od Adrianny.

Wciąż cisza.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że Bardoniemu po prostu coś musiało wypaść. Że wyjaśnienie okaże się proste.

Przed sobą zobaczył kamienicę oznaczoną siedemnastką, dom Bardoniego. Danny wyjaśnił mu, że za domem jest alejka, a przy niej stara drewniana furтка, prowadząca do tylnego wejścia. Na lewo od drzwi znajdzie klucz, pod doniczką z czerwonym geranium.

Skręcił w alejkę i po dwudziestu krokach zobaczył furtkę.

Otworzył ją i wszedł na niewielkie podwórko, wysypane żwirem. Doniczka stała na swoim miejscu... znalazł klucz.

Mieszkanie księdza znajdowało się na samej górze, podobnie jak to, w którym sami przebywali. Harry wbiegł na ostatnie piętro po schodach. Wciąż trzymał się myśli, że nie stało się nic szczególnego i spóźnienie okaże się łatwe do wytłumaczenia. A jednak czuł to samo, co Danny, kiedy wtargnął tak nagle do kuchni.

Lęk.

Wreszcie dotarł na górę i po przejściu wąskiego korytarza zatrzymał się pod drzwiami Bardonięgo. Wziął głęboki oddech, włożył klucz do zamka i zaczął go przekręcać. Nie musiał tego robić. Drzwi same stanęły otworem.

– Proszę księdza? – zawołał.

Nie było odpowiedzi.

– Ojcie Bardoni? – Harry wszedł do ciemnego korytarza. Przed sobą widział nieduży pokój. Wyposażony, jak mieszkanie Danny'ego, tylko w najniezbędniejsze sprzęty.

– Czy ksiądz tu jest?

Cisza.

Na prawo był krótki korytarzyk, z drzwiami w połowie swej długości i na końcu. Jedne i drugie były zamknięte.

Wyjął z kieszeni chusteczkę, owinał nią klamkę i wstrzymując oddech, nacisnął.

– Jest tu kto?

Drzwi prowadziły do sypialni, niewielkiej i ciasnej, z małym okienkiem. Łóżko było posłane. Na nocnym stoliku stał tradycyjny telefon.

Miał już wychodzić, kiedy na podłodze przy łóżku zauważył komórkę. Być może tę, którą „ksiądz Bardoni zawsze nosi przy sobie”.

Nagle dotarła do niego z całą mocą świadomość własnej obecności w tym miejscu. Coś było bardzo nie w porządku, czuł się tak, jakby nie powinien się tu w ogóle

znajdować.

Wyszedł z pokoju i powoli skierował się do następnych drzwi. Co było za nimi? Wszystko w nim podpowiadało mu, żeby się natychmiast stąd wynosił.

A jednak nie mógł.

– Ojcie Bardoni! – zawołał ponownie.

Nic.

– Ojcie Bardoni! – krzyknął głośniej, żeby go usłyszano po drugiej stronie drzwi.

Żadnej odpowiedzi.

Czuł, jak na górnej wardze zbiera mu się pot, jak mu łomocze serce. Powoli nacisnął klamkę. Kliknął zamek i drzwi się uchyliły. Zobaczył wytarte kafelki na podłodze, potem umywalkę i narożnik wanny. Pchnął drzwi łokciem i otworzyły się na oścież.

Ksiądz Bardoni siedział w wannie. Był nagi. Wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Harry zrobił krok w jego stronę. Poczuł, że trącił coś stopą. Na ziemi leżały okulary w czarnej oprawce. Spojrzał z powrotem ku wannie.

Nie było w niej wody.

– Proszę księdza? – wyszeptał, jakby miał mimo wszystko nadzieję na odpowiedź. Przekonywał się jeszcze w duchu, że ksiądz chciał się wykąpać i miał po prostu atak serca albo jakąś zapaść, nim zdążył odkręcić kran.

Podszedł bliżej.

– O Boże! – nie mógł powstrzymać krzyku.

Serce podeszło mu do gardła. Odskoczył w tył z

oczyma rozszerzonymi grozą.

Lewa dłoń Bardonięgo została odcięta powyżej nadgarstka. Prawie nie było widać krwi. Tylko różowy kikut.

Mediolan; w tym samym czasie.

Rosciani zobaczył w dole pasy startowe lotniska Linate i w tej samej chwili helikopter zaczął podchodzić do lądowania. Informacje napływały do niego coraz szybciej; najświeższe otrzymał już po wystartowaniu z Lugano. Na fotelach za nim Castelletti i Scala na zmianę rozmawiali przez radio i robili notatki.

Inspektor trzymał w dłoni zwitek papieru, na który czekał od wielu godzin. Krótki, lecz treściwy faks z komendy głównej Interpolu w Lyonie.

„Według ustaleń wywiadu francuskiego Thomas Jose Alvarez-Rios Kind nie przebywa obecnie w Chartumie w Sudanie, jak sądzono uprzednio. Aktualne miejsce pobytu nieznane”.

Natychmiast po otrzymaniu tej informacji Rosciani polecił rozesłać ze sztabu Gruppo Cardinale w Rzymie do wszystkich szefów policji w Europie jednobrzmiącą wiadomość: **ZATRZYMAĆ I OSADZIĆ W ARESZCIE**. Ponadto najnowsze dostępne zdjęcie Kinda przekazane zostało wszystkim mediom wraz z krótkim komunikatem, w którym stwierdzano jednoznacznie, że terrorysta poszukiwany jest przez Gruppo Cardinale w związku z zamordowaniem kardynała wikariusza Rzymu oraz zamachem na autobus do Asyżu. To ostatnie chodziło

Roscaniemu po głowie, odkąd nazwisko Kinda pojawiło się w jego rozważaniach. Był to wręcz znak rozpoznawczy tego człowieka, znany policjom całego świata.

Stosował tę metodę zawsze, gdy tylko miał możliwość wynająć zabójcę, który wykonywał mokrą robotę za niego. „Zabij mordercę” – to była jego dewiza. Ktoś inny załatwiał sprawę, a potem się go szybko usuwało i wszelki trop prowadzący do Kinda lub jego zleceniodawców ulegał zatarciu.

To dlatego na miejscu eksplozji znaleźli hiszpański pistolet Llama. Terrorysta umieścił w autobusie zabójcę, który miał zlikwidować księdza Daniela, a potem sam zginąć w wybuchu.

Wszystko jednak poszło nie tak. Wynajęty człowiek nie zdążył pociągnąć za spust i ksiądz się uratował. Lecz sposób przeprowadzenia całej operacji wskazywał wyraźnie na Kinda.

Do tego dochodziły informacje uzyskane przez Scalę i Castellettiego od policji mediolańskiej. Brakujące kawałki układanki wskakiwały stopniowo na swoje miejsce. Aldo Cianetti, projektant mody, którego zwłoki znaleziono przy autostradzie z Como do Mediolanu, znajdował się wśród pasażerów wodolotu z Bellagio. Widziano go, jak rozmawiał z kobietą w dużym słomkowym kapeluszu. Carabiniere z Bellagio przypomniał sobie, że legitymował tę kobietę; miała amerykański paszport i akcent. Cianetti zszedł na ląd w Como w jej towarzystwie.

Detektywi z Mediolanu, przepatrując ulice w okolicy hotelu Palace, pod którym znaleziono BMW projektanta, dotarli również na pobliski Milano Centrale, mediolański dworzec główny. Według ustaleń śmierć Cianettiego nastąpiła między drugą a trzecią w nocy. Przesłuchano wszystkie kasjerki, które pracowały tej nocy między drugą a piątą rano. Jedna z nich, wygadana pani w średnim wieku, zapamiętała wielki słomkowy kapelusz kobiety, która kupowała u niej bilet tuż przed odjazdem pociągu. Bilet do Rzymu.

Dla Roscaniego stało się oczywiste, że tą kobietą musiał być Thomas Kind.

Helikopter osiadł na ziemi z rykiem silników i lekkim podskokiem. Otworzyły się drzwi i trzech detektywi, pochyliwszy głowy pod wirującym śmigłem, pobiegli w stronę czarterowego samolotu, który miał zabrać ich do Rzymu.

– Oznaczenie SCV trzynaście to rejestracja, którą dobrze rozpoznaliśmy! – krzyknął w biegu Castelletti. – Takie niskie numery mają samochody wożące papieża i najważniejszych kardynałów! Nie są przypisane do konkretnych osób. SCV trzynaście to numer mercedesa, który jest na przeglądzie poza Watykanem.

Watykan.

Kościół.

Rzym.

Te trzy słowa powracały natrętnie w rozmyślaniach Roscaniego. Ryk silników był coraz głośniejszy. Poczul,

jak wciska go w fotel siła przyśpieszającej na pasie maszyny.

Dwadzieścia sekund później byli już w powietrzu i usłyszeli stuk chowającego się podwozia. Sprawa, która zaczęła się od zabójstwa kardynała Parmy, zatoczyła oto krąg. Wracali do Rzymu.

Rozpiąwszy pas bezpieczeństwa, Roscani wsunął do kącika ust ostatniego papierosa ze sfatygowanej paczki i wyjrzał przez iluminator. Zobaczył w dole odbłaski słońca, odbijającego się tu i ówdzie od jezior i dachów. Całe Włochy zdawały się wygrzewać pod bezchmurnym niebem. Ta pradawna ziemia, tak piękna i łagodna, wciąż jednak była świadkiem i ofiarą skandali oraz intryg na najróżniejszych szczeblach. Zresztą, czy istniał w ogóle kraj od nich wolny?

Nie wierzył w to. Lecz był Włochem, ta ziemia w dole była jego ojczyzną. I był też policjantem; jego zadanie polegało na wymuszaniu przestrzegania prawa i pilnowaniu, żeby sprawiedliwości stawało się zadość.

Oczyma wyobraźni ujrzął Giovanniego Pio, swego przyjaciela i partnera, ojca chrzestnego jego dzieci. Wyciągnięto go z samochodu, skąpanego we krwi, z odstrzeloną twarzą.

Zobaczył posiekane kulami ciało kardynała Parmy i wypalony wrak autobusu. Odżyła w jego pamięci masakra, jakiej dokonał w Pescarze i Bellagio Thomas Kind. I naszła go refleksja: co właściwie znaczy sprawiedliwość?

Oczywiście wszystkie te zbrodnie popełniono na włoskiej ziemi, gdzie władny był w tej sprawie cokolwiek przedsięwziąć. Lecz za murami Watykanu nie miał wpływu na nic.

I kiedy wszystkie ścigane przez niego osoby tam się znajdą, pozostanie mu tylko przekazać materiały śledztwa szefowi Gruppo Cardinale, którym był prokurator Marcello Taglia.

Jak do tego dojdzie, nie będzie miał już żadnego wpływu na to, by sprawiedliwość rzeczywiście została wymierzona. Cała sprawa znajdzie się w rękach polityków. Na dłuższą metę oznaczało to jej koniec. Dobrze pamiętał, co mówił mu Taglia w związku z zabójstwem kardynała Parmy, ostrzegając przed „delikatną naturą tej sprawy i możliwymi implikacjami dyplomatycznymi w stosunkach Włoch z Watykanem”.

Inaczej rzecz ujmując, w Watykanie – jeżeli taka będzie wola – mogło ujść płazem nawet morderstwo.

Pierwszą myślą Harry'ego było wrócić do mercedesa, wybić szybę, żeby dostać się do kluczyków, i jak najszybciej zabrać Danny'ego i Elenę z mieszkania przy Via Nicolo V.

– On nie żyje. Obcięli mu rękę – powiedział Danny'emu, dodzwoniwszy się doń z komórki. – Kto wie, co im powiedział? Może już tam po nas idą! – Na wpół szedł, na wpół biegł ulicą, przy której mieszkał Bardoni, starając się jak najszybciej pokonać drogę powrotną, nie zwracać na siebie przy tym zbytnej uwagi.

– Harry, posłuchaj – rzekł cicho Danny. – Po prostu przyjdź tu. Książdz Bardoni na pewno niczego im nie wygadał.

– A skąd ty to możesz wiedzieć, u diabła?

– Po prostu wiem...

W niecałe pół godziny później był już w kamienicy przy Via Nicolo V. Wszedł ostrożnie do klatki schodowej, rzucił okiem na windę i uznał, że bezpieczniejsze będą schody.

Mała kabina mogła się okazać pułapką.

Danny z Eleną byli w dużym pokoju. Emanowało z nich napięcie. Przez chwilę milczeli oboje, wreszcie Danny wskazał na okno.

– Wyjrzyj przez nie, Harry – powiedział.

Harry zerknął na Elenę i podszedł do okna.

– Na co mam patrzeć?

– Spójrz w lewo, wzdłuż muru. Widzisz czubek okrągłej wieży? To wieża Świętego Jana. Tam właśnie trzymają kardynała. Zamknęli go w pokoju w połowie wysokości wieży.

Są tam przeszklone drzwi, wychodzące na mały balkon. To jedyny otwór po tej stronie ściany.

Budowla była od nich oddalona o jakieś czterysta metrów.

Harry widział wyraźnie jej szczyt. Wysoka, zwieńczona wieżyczkami, zbudowana z tej samej cegły, co mury, w obrębie których stała.

– Zostaliśmy już tylko my – powiedział cicho Danny.

Harry odwrócił się powoli od okna.

– Ty, ja i siostra Elena.

– Co masz na myśli?

– Tylko my możemy uwolnić kardynała. – Danny najwyraźniej okiełznał już emocje, które targwały nim, kiedy nie mógł się dodzwonić do Bardonięgo. Tamten nie żył; zadanie pozostało.

Harry pokręcił głową.

– Na pewno nie Elena – oznajmił.

– Ale ja chcę, Harry. – Dziewczyna patrzyła mu w oczy.

Było jasne, że naprawdę tak myśli.

– Pewnie, że chcesz. A czemu nie? – Spojrzał teraz na brata. – Ona jest tak samo stuknięta jak ty.

– Zostaliśmy już tylko my, Harry. – Elena powtórzyła

cicho słowa Danny'ego.

– Na jakiej podstawie jesteś taki pewny, że nic nam tutaj nie grozi? – zwrócił się Harry do brata, zmieniając temat. – Że Bardoni niczego nie wygadał? Ja go widziałem, Danny. Gdybym był na jego miejscu, powiedziałbym im wszystko, co by tylko chcieli.

– Musisz mi po prostu uwierzyć, Harry.

– Tobie mogę. Ale Bardoni to co innego. Nie znam go przecież tak dobrze.

Danny milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy się w końcu odezwał, mówił tak, jakby chciał przekonać brata, że wypowiediane przezeń słowa niosą ze sobą głębszą treść niż tylko znaczenie każdego z nich.

– Posłuchaj, ta kamienica należy do właściciela jednej z największych firm farmaceutycznych we Włoszech. Wystarczyło mu usłyszeć, że kardynał Marsciano potrzebuje na kilka dni spokojnego miejsca i od razu udostępnił to mieszkanie bez dalszych pytań...

– A co to ma wspólnego z księdzem Bardoniem?

– Harry, kardynał to jeden z najbardziej kochanych ludzi we Włoszech... Przyjrzyj się tylko, jacy ludzie mu pomagają i jak wiele przy tym ryzykują. Ja sam... – Danny zawahał się, a potem mówił dalej. – Zostałem księdzem, bo po wyjściu z marines byłem w dalszym ciągu zagubiony i zdezorientowany. Kiedy pojawiłem się w Rzymie, wciąż jeszcze nie mogłem się odnaleźć... I wtedy poznałem kardynała. To on mi pokazał, że jest w moim wnętrzu życie, którego istnienia nawet nie podejrzewałem.

Prowadził mnie przez te wszystkie lata, zachęcał, żebym dopracowywał się własnych przekonań, w sprawach ducha i nie tylko. Kościół stał się moją rodziną, Harry. A kardynała Marsciana pokochałem jak ojca. Tak samo było z księdzem Bardonim. Dlatego wiem, że niczego im nie powiedział...

Obraz martwego Bardoniego w wannie był nie do zniesienia. Obraz człowieka, który pomimo tortur zachował milczenie. Wstrząśnięty i poruszony do głębi, Harry nerwowym gestem przesunął dłonią po włosach i odwrócił się. Napotkał oczy Eleny. Była w nich tkliwość i miłość; jej wzrok powiedział mu, że rozumie, o czym mówi Danny. I że przyznaje mu rację.

– Harry... – Ostry ton głosu brata kazał mu się ponownie odwrócić. Dopiero teraz spostrzegł włączony telewizor. – Jest jeszcze coś... Jeżeli nawet przedtem nie całkiem w to wierzyłem, śmierć Bardoniego przekonała mnie do końca. Słyszałeś, co się dzieje w Chinach, prawda?

– Jakaś tragedia, mnóstwo trupów... nie wiem dokładnie, nie oglądałem ostatnio zbyt często telewizji. Ale do czego ty, u diabła, zmierzasz?

– W Bellagio, kiedy czekaliśmy w ciężarówce, aż wróci siostra Elena, ktoś do ciebie zatelefonował na komórkę. Dzwonek mnie obudził. Wymieniłeś imię Adrianna i nazwisko Eaton.

– No i co w związku z tym? – Harry wciąż nie rozumiał.

– Adrianna Hall. James Eaton.

– Ludzie, którzy pomogli mi cię odnaleźć. Skąd ty ich znasz, u diabła ciężkiego?

– To nie ma teraz znaczenia. W tej chwili najważniejsze jest, żebyś się z nimi jak najszybciej skontaktował. – Danny podjechał na wózku bliżej brata. – Musimy powstrzymać to, co się dzieje w Chinach.

– Co powstrzymać? – Harry nie mógł się w tym wszystkim połapać.

– Oni zatruwają jeziora, Harry... Jedno już załatwili! Zostały jeszcze dwa.

– Co ty w ogóle wygadujesz? Kto zatruiwa? Z tego, co mi się obilo o uszy, to jest jakaś klęska żywiołowa.

– Nie żadna klęska. – Danny zerknął z ukosa na Elenę i mówił dalej. – To część planu Palestriny. On chce doprowadzić do tego, żeby Watykan zapanował nad Chinami.

– To o tym właśnie dowiedziałeś się podczas spowiedzi, tak? – Harry poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

– Między innymi o tym...

Elena się przeżegnała.

– Matko Boska... – szepnęła tylko.

– Przed chwilą emitowali na WNN program o Hefei – ciągnął Danny z przejęciem. – Dwie minuty i dwadzieścia parę sekund po ósmej były zdjęcia ze stacji filtrów. Wiem, bo spojrzałem specjalnie na zegarek. Jest na nich twarz człowieka, który albo sam zatruiwa wodę, albo wie, kto to

robi.

– Jakim cudem możesz to wiedzieć? – zapytał Harry zdumiony.

– Zeszłego lata widziałem go w letniej rezydencji watykańskiej pod Rzymem. Był z drugim mężczyzną, czekali na Palestrinę. Nieczęsto zaprasza się Chińczyków do watykańskich prywatnych posiadłości. – Harry jeszcze nigdy nie widział Danny’ego w takim napięciu. – Adrianna Hall będzie mogła znaleźć to miejsce na taśmie i zrobić odbitkę z tej klatki. Facet jest niski, stoi po lewej stronie ekranu, ma w rękach teczkę. Jak już to zrobi, niech jak najszybciej przekaże zdjęcie Eatonowi.

– Eatonowi? A co on z tym, cholera, może działać? To tylko zwykły urzędnik z ambasady.

– Człowieku, przecież Eaton jest szefem rezydentury CIA w Rzymie!

– Co takiego? – Harry patrzył na niego w osłupieniu.

Jego zdumienie jednak nie zbiło Danny’ego z tropu.

– Siedzę w Watykanie już od ładnych paru lat, drogi bracie... – Widać było, że mówienie o tych sprawach jest dla niego trudne. – W mojej pracy ma się styczność z takimi kręgami międzynarodowej dyplomacji, gdzie pewne rzeczy się po prostu wie. Bywałem z kardynałem Marscianem w miejscach, których istnienia większość ludzi nawet nie podejrzewa...

Zarówno Harry, jak i Elena widzieli jego udrękę. Związany tajemnicą spowiedzi, ujawniając jej treść, ryzykował zbawienie własnej duszy. Stawką było jednak

życie tysięcy ludzi i musiał coś przedsięwziąć. Więc czynił to, pokładając nadzieję raczej w Bogu niż w prawie kanonicznym.

Danny cofnął się trochę na wózku, lecz nie spuszczał wzroku z twarzy Harry'ego.

– Wyjdź teraz – powiedział zdecydowanym tonem – i znajdź budkę telefoniczną. Zadzwoń do Adrianny, a potem z innej budki do Eatona. Przekaż mu, co ci powiedziałem, i poinformuj, że Adrianna dostarczy mu materiał filmowy.

On musi się skontaktować z Chińczykami, z ich wywiadem, żeby zaczęli szukać tego człowieka z teczką. Uświadom mu, że to jest wyścig z czasem. Jeśli nie zdążymy, to Pekin będzie miał do czynienia z następnymi tysiącami trupów!

Harry namyślał się przez chwilę, po czym pokazał palcem na stół.

– Tam leży telefon, Danny. Dlaczego sam nie opowiesz wszystkiego Eatonowi?

– On nie może się dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ja wciąż jestem obywatelem amerykańskim, a ta historia z Chinami to dla Stanów kwestia bezpieczeństwa narodowego. Będzie chciał ze mnie wycisnąć jak najwięcej i nie cofnie się przed niczym. Może nawet nas nielegalnie zamknąć. A wtedy – głos Danny'ego był już ochryply z wyczerpania – kardynał Marsciano umrze.

Elena pochwyciła wyraz oczu Harry'ego. Wpatrywał się w brata przez dłuższą chwilę, aż wreszcie powoli skinął głową i powiedział:

– Okay.

Wiedziała w głębi serca, że w jego przekonaniu popełniają błąd, postępują bardzo nierozważnie. Widziała jednak także, jak bez słowa komentarza zaakceptował szczególną więź łączącą brata z kardynałem Marscianem, z jakim zrozumieniem przyjął to, że Danny jest skłonny ryzykować życie dla ocalenia swego mentora.

Zgadząc się na jego plan, Harry nie tylko okazał bratu, jak bardzo go kocha. Sprawił również, że po raz pierwszy w ich dorosłym życiu mieli wreszcie wspólny cel, wspólną misję; niczym rycerze ze średniowiecznej legendy: zakraść się za mury grodu, uwolnić zamkniętego w wieży księcia i ujść z życiem. Było to szaleństwo, czyn trudno wykonalny nawet z pomocą Bardonięgo. Ten jednak nie żył i jego część zadania spoczywała teraz wyłącznie na barkach Harry'ego.

Elena widziała, że usiłuje to wszystko jakoś poukładać, że zastanawia się, w jakim są położeniu i co mogą czynić dalej.

Nagle Harry spojrzał na moment prosto w jej oczy, a potem otworzył drzwi i wyszedł. Wciąż w tym samym stroju, w jakim widziała go przez niemal cały czas ich znajomości.

W stroju księdza.

Pekin, Chiny. Dystrykt Zhongnanhai.  
W dalszym ciągu czwartek, 16 lipca; 15.05

Yan Yeh przeżywał dzień jak z sennego koszmaru. Pierwsze informacje z Wuxi zaczęły docierać do Pekinu około dziesiątej rano. W przeciągu kilkudziesięciu minut do Szpitala Ludowego numer cztery zgłoszono czternaście przypadków ostrej biegunki i niestrawności z wymiotami. Podobne wiadomości nadeszły ze szpitali numer jeden i dwa. O wpół do dwunastej Szpital Medycyny Chińskiej wyznaczono na koordynatora akcji zwalczania epidemii. Odnotowano już ponad siedemset zachorowań i sto siedemdziesiąt jeden zgonów.

Natychmiast zostały odcięte dostawy wody, a personel medyczny i policję postawiono w stan pogotowia. Miasto znalazło się na krawędzi paniki.

O trzynastej stwierdzono dwadzieścia tysięcy zatruć. W tej liczbie było jedenaście tysięcy czterysta pięćdziesiąt przypadków śmiertelnych. Wśród tych ostatnich znajdowała się teściowa Yan Yeha i jej dwaj bracia. Tyle zdołał się dowiedzieć. Nie wiedział natomiast, czy jego żona i syn są jeszcze wśród żywych i gdzie się znajdują. Nawet Wu Xian, sekretarz generalny partii, przy całej swej niemal nieograniczonej władzy nie był w stanie się tego dowiedzieć. Natomiast wydarzenia w Wuxi

przesądziły sprawę. Do Zhongnanhai wezwano natychmiast Pierre'a Weggena.

Posępny i wstrząśnięty do głębi Yan Yeh siedział teraz, parę minut po piętnastej, przy stole rozmów obok swego szwajcarskiego przyjaciela. Poza nimi było tu także dziesięciu równie przygnębionych towarzyszy z Biura Politycznego, z Wu Xianem na czele. Negocjacje były krótkie i konkretne.

Ustalono, że Weggen jak najszybciej zorganizuje konsorcjum firm, których kandydatury przedstawił na poprzednim spotkaniu. Przedsiębiorstwa te natychmiast rozpoczną realizację gigantycznego, dziesięcioletniego planu kompletnej przebudowy całego systemu zaopatrywania Chin w wodę i energię.

Tempo i skuteczność tych działań miały dla Chin żywotne znaczenie. Cały świat powinien się przekonać, że Pekin panuje nad sytuacją i czyni wszystko, co możliwe, dla przyszłego zdrowia i dobrobytu swych obywateli.

– W omen shenme shihou neng nadao hetong? – Wu Xian zwrócił się do Weggena, zadając zgaszonym głosem swe ostatnie pytanie. Kiedy możemy podpisać umowę?

Rozmowy telefoniczne z Adrianną i Eatonem Harry przeprowadził z dwóch różnych budek, oddalonych o dwie przecznice od siebie. Rozmawiał krótko i rzeczowo. Tak, powiedziała Adrianna, wie, o który materiał z Hefei chodzi.

Tak, może znaleźć ten fragment na taśmie. Tak, może dostarczyć kopię Eatonowi. A cóż jest w tym nagraniu, że stało się aż takie ważne? Harry nie wyjaśnił jej niczego; stwierdził tylko, że musi to zrobić, a jeśli Eaton będzie chciał, to sam jej powie. Potem podziękował i odwiesił słuchawkę, chociaż słyszał, jak woła: „Powiedz, gdzie jesteś, do cholery!”.

Z Eatonem poszło mu nieco trudniej. Przeciągał rozmowę, odpowiadał wymijająco, dopytywał się, czy jest z nim Danny i gdzie obaj przebywają.

– Proszę posłuchać – przerwał mu w końcu Harry, wiedząc, że zależy mu na namierzeniu, skąd dzwoni. Po czym opisał fragment nagrania, o który chodziło, poinformował, że w Chinach mają zostać zatrute w sumie trzy jeziora i że Chińczycy muszą znaleźć człowieka z teczką.

Taśmę dostarczy Adrianna, a Eaton powinien natychmiast skontaktować się z wywiadem chińskim, oznajmił na koniec.

– Skąd pan to wszystko wie? Na czyje zlecenie działają

truciciele? O co w tym chodzi? – Eaton wyrzucał z siebie pytania z szybkością karabinu maszynowego. Harry odparł, że on jedynie przekazuje wiadomość, po czym rozłączył się, tak jak poprzednio. Poszedł następnie Via Della Stazione Vaticana; samotny ksiądz spacerujący pod murami Watykanu – widok jak najbardziej zwyczajny. Nad sobą widział arkady przypominające starożytny akwedukt, którym być może niegdyś płynęła do Watykanu woda. Teraz biegły tamtędy – miał nadzieję, że wkrótce je zobaczy – tory kolejowe, stanowiące odgałęzienie głównej linii. Prowadziły do masywnych wrót, a za nimi do watykańskiej stacji kolejowej.

Kiedy Harry zapytał brata, w jaki sposób zamierzali z Bardoniem wydostać Marsciana poza obręb Watykanu, ten oświadczył: „Pociągiem”. Ze stacji i torów nikt już prawie nie korzystał. Czasami włoski pociąg dostawczy dowoził tędy jakieś cięższe towary, ale nic poza tym się nie działo. W dawniejszych czasach linia kolejowa służyła papieżowi, kiedy wyjeżdżał z Watykanu gdzieś w głąb Włoch, ale te dni minęły bezpowrotnie. Została brama, jeden tor i mała stacyjka oraz pojedynczy zamknięty wagon towarowy rdzewiejący na boczniccy przy końcu linii, w krótkim betonowym tunelu, prowadzącym donikąd. Tylko Bóg i te szare ściany mogły wiedzieć, jak długo już tam stał.

Ksiądz Bardoni przed wyjazdem do Lugano zadzwonił do administratora stacji w Watykanie i oznajmił mu, że kardynała Marsciana bardzo denerwuje widok starego

wagonu i życzy sobie, żeby natychmiast usunięto wrak poza obręb ogrodów. Wkrótce jeden z niższych rangą urzędników poinformował go, że w piątek o jedenastej rano przyjedzie lokomotywa i zabierze wagon.

To było sedno ich pomysłu, bardzo w sumie prostego.

Wagon miał opuścić Watykan z kardynałem w środku i to wszystko. A ponieważ skontaktował się z nim zwykły urzędnik, ksiądz Bardoni był pewien, że sprawę potraktowano rutynowo. Watykańska ochrona zainteresuje się nią tylko o tyle, że spodziewać się będzie wjazdu i wyjazdu lokomotywy. Wydarzenia na szczeblu personelu pomocniczego były zbyt trywialne, żeby stać się przedmiotem zainteresowania Farela.

Harry wspiał się na nasyp po schodach prowadzących do szczytu wiaduktu. Na górze rozejrzał się. Po lewej zobaczył główny tor, o szynach lśniących od nieustannego używania; po prawej – odchodzącą od niego watykańską linię, której pordzewiały podwójny tor prowadził do masywnej bramy w murze.

Odwrócił się i jego spojrzenie powędrowało wzdłuż głównej linii ku Stazione San Pietro. Zostało mu dziesięć minut, żeby tam dotrzeć i rozejrzeć się, ostatni raz się namyślić.

Jeżeli zdecyduje, że jednak nie chce w to wchodzić, będzie mógł się wynieść, zanim pojawią się tamci. Ale raczej na pewno się nie wycofa, wiedział o tym już wtedy, kiedy postanowił przeprowadzić trzecią rozmowę telefoniczną.

O dziesiątej czterdzieści pięć miał się spotkać na dworcu z Roscanim.

Watykan. Wieża Świętego Jana;  
w tym samym czasie

– Chciałeś się ze mną widzieć, Eminencjo. – W drzwiach pokoju kardynała Marsciana stanął Palestrina. Jego potężna postać wypełniała je niemal w całości.

– Tak. – Marsciano cofnął się w głąb pokoju i sekretarz stanu wszedł do środka. Za nim, jak cień, stąpał jeden z jego ubranych na czarno ochroniarzy, Anton Pilger. Ten młody człowiek o dziecięcej twarzy, z której nie schodził bezmyślny uśmiezek, parę dni wcześniej był kierowcą Marsciana. Teraz zamknął drzwi i stanął przy nich na straży.

– Chcę porozmawiać w cztery oczy – rzekł kardynał.

– Wedle życzenia. – Palestrina uniósł swą wielką dłoń i Pilger, trzasnąwszy obcasami, wykonał w tył zwrot i wyszedł... nie jak strażnik, ale jak żołnierz.

Przez dłuższą chwilę Marsciano studiował twarz Palestriny, jakby próbował zajrzeć do jego wnętrza. Następnie powoli zatoczył łuk ręką, aż jego wyciągnięty palec wskazał telewizor. Na ekranie widać było dobrze już znane całemu światu sceny z Hefei. Konwój wojskowych ciężarówek, pełnych żołnierzy. Ludzka cizba na ulicach, którymi przejeżdżały. Reporter WNN, ubrany w panterkową kamizelkę, relacjonował wydarzenia

bezglóśnie, ponieważ fonia była wyłączona.

– Teraz to samo się dzieje w Wuxi – rzekł Marsciano głucho. Twarz miał kredowobiałą. – Domagam się, żeby trzeciego jeziora nie było. Powstrzymaj to.

– Ojciec Święty pytał o ciebie, Eminencjo – odparł Palestrina z uśmiechem. – Zamierzał cię odwiedzić. Ale poinformowałem go, że jesteś bardzo osłabiony i na razie najlepiej będzie, żebyś odpoczywał w samotności.

– Dość tych śmierci, Umberto – wyszeptał Marsciano. – Masz już mnie. Powstrzymaj ten koszmar w Chinach, a dostaniesz ode mnie to, na czym ci tak zależało od samego początku...

– Ojca Daniela? – Palestrina znów się uśmiechnął, tym razem kpiąco. – Przekonywałeś mnie, że on nie żyje, Nicola.

– Żyje. I jeżeli go poproszę, przyjedzie tutaj. Odwołaj zadania dotyczące ostatniego jeziora i możesz z nami zrobić, co będziesz chciał. Tajemnicę twojego „Chińskiego Protokołu” zabierzemy ze sobą do grobu...

– To bardzo szlachetne, Eminencjo. Niestety już za późno, w obu wypadkach. – Palestrina zerknął na ekran telewizora i mówił dalej. – Chińczycy wprawdzie skapitulowali i chcą jak najszybciej podpisać umowę, ale... – uśmiechnął się do siebie – podczas wojny nie ma odwrotu; kampania musi zostać doprowadzona do końca, zgodnie z założeniami... – Milczał przez dłuższą chwilę, jakby chciał, żeby Marsciano zrozumiał, że trzudzi się na próżno, po czym dodał: – Jeśli zaś chodzi o ojca Daniela,

to nie ma potrzeby go wzywać, ponieważ jest w drodze do ciebie. Może nawet dotarł już do Rzymu...

– To niemożliwe! – zakrzyknął Marsciano. – Skąd wie, gdzie ja jestem?

– Ksiądz Bardoni go poinformował. – Tym razem uśmiech sekretarza stanu był pobłażliwy.

– Nie! Nigdy! – Marsciano poczuł przyływ gniewy i oburzenia. – On by nigdy nie wydał Daniela w twoje łapska!

– Ale wydał, Nicola. W końcu dał się przekonać, że to ja mam rację, a ty i kardynał wikariusz się myliliście. Zrozumiał, że przyszłość Kościoła warta jest więcej niż życie pojedynczego człowieka... Eminencjo. – Palestrina spoważniał nagle. – Ojciec Daniel się zjawi, bez dwóch zdań.

Marsciano nigdy w życiu nie czuł nienawiści. Lecz poczuł ją teraz i to z większą siłą, niżby się spodziewał.

– Nie wierzę ci.

– To sobie nie wierz. – Palestrina powoli wsunął rękę do kieszeni czarnej marynarki i wyjął z niej mały welwetowy mieszek. – Ojciec Bardoni posyła ci jako dowód swój pierścień...

Położywszy woreczek na stoliku przed Marscianem, sekretarz stanu spojrział mu głęboko w oczy, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Kardynał nie widział, jak wychodzi, nie słyszał trzasku zamykanych drzwi. Wpatrywał się nieruchomo w welwetowy woreczek. W końcu powoli podniósł go

drżącą dłonią i otworzył.

Pracujący na zewnątrz ogrodnik odwrócił się nagle ku wieży. Zza szklanych drzwi dobiegał przeraźliwy krzyk.

Roscani szedł sam po Via Innocenzo III. Słońce wspinało się coraz wyżej po niebie i upał narastał. Przed sobą inspektor widział Stazione San Pietro. Wysiadł z auta pół przecznicy wcześniej, a Scala i Castelletti pojechali pod sam dworzec.

Mieli się tam zjawić osobno, z różnych kierunków; jeden przed Roscanim, drugi zaraz po nim. Kazał im rozglądać się za Harrym Addisonem, ale niczego nie robić, chyba że zacznie uciekać. Chodziło o to, żeby Roscani mógł działać swobodnie, sam na sam ze ściganym, bez nerwowości. Zarazem jednak detektywi mieli się rozlokować w miejscach, z których w razie próby ucieczki Amerykanina łatwo im będzie go zatrzymać. Przyszli bez wsparcia; Roscani obiecał Addisonowi, że nikogo z nim nie będzie.

Harry Addison był niezły. Zatelefonował do centrali Questury o dziesiątej dwadzieścia. Powiedział tylko:

– Nazywam się Harry Addison. Roscani mnie szuka. – A potem podał numer swojej komórki i rozłączył się. Nie zdążyli go namierzyć.

Po pięciu minutach Roscani już telefonował do niego z miejsca, do którego udał się ze Scalą i Castellettim zaraz po wylądowaniu w Rzymie. Z mieszkania

zamordowanego księdza Bardonięgo.

Roscani: Mówi Roscani.

Addison: Musimy porozmawiać.

Roscani: Gdzie pan jest?

Addison: Na dworcu San Pietro.

Roscani: Proszę tam czekać. Przyjdę.

Addison: Inspektorze, niech pan będzie sam. Nie rozpozna mnie pan, wyglądam zupełnie inaczej niż przedtem. Jeśli zobaczę policjantów, odejdę.

Roscani: Gdzie na dworcu?

Addison: Ja pana znajdę.

Inspektor przeszedł ulicę, był już przy dworcu. Przypomniało mu się, jak poprzysiął sobie, że własnoręcznie zastrzeli Harry'ęgo Addisona za zabicie Pia. Od tamtej pory jednak wszystko się pogmatwało w sposób przedtem niewyobrażalny.

Skoro Addison czeka na stacji, tak jak obiecał, to możliwe, że i jego brat jest poza obrębem Watykanu. Wobec tego może jeszcze nie wszystko stracone, może jeszcze ma szansę coś zrobić, zanim cała sprawa dostanie się w ręce Taglii i polityków.

Harry obserwował Roscaniego, gdy ten wchodził do holu dworcowego, a potem stanął na peronie i czekał. Stacja San Pietro, właściwie przystanek, była nieduża; obsługiwała krótką okrężną trasę wewnątrz Rzymu. Pasażerów było niewielu. Rozejrzawszy się dyskretnie, zobaczył mężczyznę w sportowym płaszczu; to mógł być glina w cywilu. Zauważył go jednak przed pojawieniem

się Roscaniego i nie był pewien.

Opuścił budynek stacyjny bocznym wyjściem i zbliżał się do detektywa od końca peronu. Szedł niespiesznie, leniwie.

Jak czekający na pociąg ksiądz – który celowo zostawił swoje fałszywe dokumenty pod lodówką w mieszkaniu przy Via Nicolo V.

Przez otwarte drzwi dworca spostrzegł innego mężczyznę, wchodzącego do budynku. Miał sportowy płaszcz, podobnie jak człowiek, którego dostrzegł wcześniej.

Teraz Roscani już zwrócił na niego uwagę i patrzył, jak się zbliża. Harry zatrzymał się kilkanaście kroków przed nim.

– Miał pan być sam.

– I jestem.

– Nieprawda, jest tu co najmniej dwóch pańskich ludzi.

– Harry zgadywał, ale był przekonany, że zgaduje trafnie. Jeden z mężczyzn był w budynku, drugi wyszedł na peron i patrzył wprost na nich.

– Proszę trzymać ręce tak, żebym je widział. – Roscani nie odrywał od Harry'ego oczu.

– Nie mam broni.

– Niech pan robi, co mówię.

Harry odsunął ręce od ciała. Czuł się dziwnie i niezręcznie.

– Gdzie pański brat? – Roscani mówił bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem.

– Tu go nie ma.

– A gdzie jest?

– W... pewnym miejscu. Porusza się na wózku, ma złamane nogi.

– Ale poza tym nic mu nie jest?

– Prawie.

– Ta pielęgniarka jest z nim jeszcze? Siostra Elena Voso?

– Tak...

Kiedy Roscani wymienił imię Eleny, Harry poczuł skurcz emocji. Słusznie przypuszczał, że zidentyfikują ją na podstawie rzeczy, które zostawiła w grocie. I teraz najpewniej oskarżą o dobrowolny współudział. Nie chciał jej w to wciągać, ale i tak już wcześniej zrobił to ktoś inny i niczego nie można było cofnąć.

Obejrzał się przez ramię. Drugi z tajniaków też stał już na peronie, w pewnym oddaleniu. Dalej widział grupę roześmianej młodzieży czekającej na pociąg. Ale między nim i policjantami nie było nikogo.

– Chyba nie zamierza mnie pan zamknąć, inspektorze Roscani; w każdym razie nie natychmiast?

– Po co pan do mnie telefonował? – Inspektor wpatrywał się weń intensywnie. Emanował siłą i skupieniem, tak jak go Harry zapamiętał.

– Powiedziałem, musimy porozmawiać.

– O czym?

– O wywiezieniu kardynała Marsciana poza Watykan.

Ruch na ulicach był spory, jak zwykle koło południa.

Jechali przez Rzym. Castelletti za kierownicą, Scala obok niego. Roscani z Harrym z tyłu. Wzdłuż Tybru, potem na drugą stronę, do Koloseum, i dalej Via di San Gregorio obok ruin Palatynu i antycznego Circus Maximus, a następnie Via Ostiense do EUR, Esposizione Universale Roma.

Wielkie zwiedzanie Rzymu. Sposób na spokojną rozmowę bez świadków.

I Harry mówił, wykładając im całą rzecz najprościej i najzwięźle jak potrafił.

Jedyną osobą, oznajmił, która może wyjawić prawdę na temat zamordowania kardynała Parmy, zastrzelenia Pia, a także prawdopodobnie zamachu na autobus do Asyżu, jest kardynał Nicola Marsciano. Przetrzymany obecnie w izolacji w Watykanie i zagrożony śmiercią ze strony kardynała Palestriny.

Harry wie o tym od brata, ojca Daniela Addisona. Wie tylko tyle, ile mu brat ujawnił. Ale to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Szczegóły sprawy zna tylko ojciec Daniel któremu Marsciano wyjawiał wszystko podczas spowiedzi nagranej potajemnie przez Palestrinę na taśmę.

Sekretarz stanu kazał zlikwidować Danny'ego, ponieważ za dużo wiedział. Ale jeszcze wcześniej, jako

środek nacisku na Marsciana, Jacov Farel zrobił księdza w zabójstwo kardynała Parmy, podrzucając dowody wskazujące niezbitcie na niego. Palestrina stał również prawdopodobnie za zabójstwem Pia, które zlecił ludziom Farela, gdy zaczął podejrzewać, że ojciec Daniel jednak żyje. Musiało tak być, skoro Harry'ego uprowadzono z miejsca zbrodni i torturami usiłowano wyciągnąć z niego, gdzie się ukrywa Danny.

– To wtedy nagrali to wideo, w którym pan wzywa brata, żeby się ujawnił – wtrącił półgłosem Roscani.

– Byłem jeszcze w szoku po tych torturach – pokiwał głową Harry. – Powtarzałem to, co mi mówili przez słuchawki.

Przez dłuższą chwilę Roscani milczał, przyglądając się badawczo Amerykaninowi.

– Ale dlaczego Palestrina miałby to wszystko robić? – zapytał w końcu.

– Dlatego... to jeszcze nie wszystko – odparł Harry po chwili wahania. – Jest jeszcze druga część spowiedzi Marsciana...

– Jaka druga część? – inspektor pochylił się nagle ku niemu.

– To ma związek z tą katastrofą w Chinach.

– W Chinach? – Roscani potrząsnął głową, jakby źle usłyszał. – Chodzi panu o tę zatrutą wodę?

– Tak.

– A cóż to ma wspólnego z tym, co się dzieje tutaj?

Na ten właśnie moment liczył Harry. Przy całej miłości

i trosce Danny'ego o kardynała Marsciano szaleństwem było myśleć, że we trójkę z Eleną zdołają go uwolnić. Z pomocą Roscaniego mieliby jednak pewne szanse. Ponadto – pomijając już uczucia i związki – prawda była taka, że Marsciano był jedyną osobą, której świadcstwo mogło zdjąć ciężar podejrzeń z obu braci i Eleny. To była główna przyczyna, dla której Harry postanowił zaryzykować i zadzwonić do Roscaniego.

– Wszystko, co panu powiedziałem, inspektorze – rzekł – to w sumie tylko domysły. Mój brat, jako ksiądz, w ogóle nie może niczego potwierdzić. Natomiast Marsciano zna te sprawy z pierwszej ręki.

Rosciani wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę papierosów.

– Aha, więc wystarczy zapytać kardynała, a on nam grzecznie opowie to, co przedtem zdecydował się ujawnić tylko podczas spowiedzi. I sprawa załatwiona.

– To możliwe. – Harry udawał, że nie słyszy ironii w jego głosie. – On jest teraz w zupełnie innej sytuacji niż wtedy.

– Ręczy pan za niego? – spytał szybko Rosciani. – Wie pan na pewno, że będzie chciał z nami rozmawiać, podać nazwiska i fakty?

– Nie, ręczyć nie mogę. Mówię tylko, że on wie, a my nie... I nie dowiemy się, dopóki go nie wydostaniemy i nie damy jemu i sobie szansy.

Rosciani wyprostował się w fotelu. Miał pomiety garnitur, a jego zarost domagał się żyletki. Był mężczyzną

w sile wieku, ale wyglądał na bardzo zmęczonego i postarzałego od czasu, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

– Gruppo Cardinale przeczesywała cały kraj – powiedział znużonym głosem. – Pańskie zdjęcie było w telewizji i we wszystkich gazetach; wyznaczono za pana nagrodę.

Jak, u diabła, udało się panu przedostać z Rzymu do Como... i z powrotem?

– W przebraniu księdza, tak jak teraz. Pańscy rodacy okazują duchownym wielką rewerencję. Szczególnie katolickim.

– Ktoś panu pomógł.

– Kilka osób okazało mi życzliwość, to prawda.

Rosciani przyjrzał się pomiętej paczce papierosów, którą wciąż miał w ręce, po czym zgniótł ją do końca i trzymał w zaciśniętej dłoni.

– Będę z panem szczery, panie Addison – powiedział. – Cały materiał dowodowy świadczy przeciwko panu i pańskiemu bratu. Nawet gdybym powiedział, że panu wierzę. Jak pan sądzi, kto jeszcze mógłby uwierzyć w te rewelacje? – Machnął dłonią ku przednim siedzeniom. – Scala? Castelletti? Włoski sąd? Społeczność Watykanu?

Harry patrzył inspektorowi w oczy, lecz nie poruszył się, czuł bowiem, że jakikolwiek nerwowy gest mógłby w tej chwili świadczyć przeciwko jego prawdomówności.

– Teraz ja będę z panem szczery – odrzekł zdecydowanym tonem. – Powiem panu coś, o czym tylko ja wiem, ponieważ przy tym byłem. Tego dnia, kiedy

zabito inspektora Pio, zatelefonował do mnie do hotelu Farel. Jego kierowca zawiózł mnie na wieś, niedaleko miejsca eksplozji autobusu. Był tam też Pio. Mieli pistolet, który znaleźli jacyś chłopcy. Był cały osmalony i stopiony. Farel chciał, abym go zobaczył; insynuował, że należał do brata. Chciał w ten sposób wyrzucić na mnie większą presję, żebym powiedział, gdzie jest Danny. Tylko że ja nawet nie wiedziałem, czy on żyje, a co dopiero gdzie się ukrywa...

– I gdzie jest teraz ten pistolet? – zapytał Roscani.

– Jak to, to wy go nie macie? – Harry był zdumiony.

– Nie.

– Był w torebce na dowody, w bagażniku Pia...

Roscani milczał. Siedział tylko, patrząc na Harry'ego, z twarzą zupełnie bez wyrazu. W jego głowie jednak aż kłębiło się od myśli. To musiała być prawda. Addison nie wiedziałby o pistolecie, gdyby mu go nie pokazano. I wydawał się autentycznie zaskoczony, że policja nie ma tej broni.

Reszta tego, co Amerykanin opowiadał, też zgadzała się w dużej mierze z ustaleniami i przypuszczeniami Roscaniego – od zaginionego pistoletu począwszy, a skończywszy na domysłach dotyczących intrygi rozgrywającej się na najwyższych szczeblach watykańskiej hierarchii.

Słowa Addisona wyjaśniałyby także, dlaczego tak wiele osób ochraniało ojca Daniela i pomagało całej trójce uciekać, okłamując przy tym policję: ponieważ prosił je o

to kardynał Marsciano.

Cień kardynała sięgał daleko. Ten chłopak z wiejskiej toskańskiej rodziny, głęboko związany korzeniami z włoską ziemią, cieszył się miłością i podziwem zwyczajnych ludzi na długo przedtem, nim objął wysoką funkcję w Kościele. Było oczywiste, że kiedy taki ktoś prosi o pomoc, udziela się jej bez pytania „dlaczego”. I nigdy się o tym nikomu nie mówi.

Palestrina zaś, jako diaboliczny architekt całej intrygi – z niewiadomych na razie powodów zamieszany w tragedię masowych śmierci w Chinach – i jako prominentna postać światowej dyplomacji, mógł bez trudu nawiązać kontakty, pozwalające mu skorzystać z usług międzynarodowego terrorysty w rodzaju Thomasa Kinda.

Ponadto kardynał Marsciano był osobą, która sprawowała pieczę nad sakiewką Stolicy Apostolskiej. A jeśli Palestrina dążył do zrealizowania jakichś swoich wielkich ambicji, bez wątpienia potrzebował do tego odpowiednich źródeł finansowania.

Harry widział, że Roscani waży w głębi duszy jego słowa i namyśla się, czy mu uwierzyć. Uznał, że to właściwy moment, żeby dodać coś jeszcze, ujawnić fakty, które ostatecznie przechyłą szalę na jego korzyść.

– Współpracownik Marsciana, ksiądz Bardoni, przyjechał do Lugano, kiedy się tam ukrywaliśmy – zaczął, patrząc detektywowi prosto w oczy. – Poprosił brata, żeby wrócił do Rzymu. Zrobił to, ponieważ kardynał Palestrina zagroził, że w przeciwnym razie

Marsciano zginie. Bardoni załatwił nam mercedesa z watykańskimi tablicami i mieszkanie, w którym mogliśmy się zatrzymać w Rzymie. Dziś rano poszedłem do niego do domu. I znalazłem go nieżywego, w wannie, z odciętą dłonią. Przestraszyłem się jak wszyscy diabli i uciekłem stamtąd. Podam wam adres, możecie sami...

– Już o tym wiemy – przerwał mu Roscani.

– I o czym jeszcze? – Harry mówił spokojnie, lecz dobitnie. – Wiecie na przykład o tym, że to właśnie ksiądz Bardoni wyciągnął mojego brata ze szpitala w zamieszaniu po eksplozji? Wywiózł go stamtąd własnym samochodem.

Zabrał go do domu zaprzyjaźnionego lekarza poza Rzymem i zapewnił pierwszą pomoc, a potem załatwił miejsce w szpitalu w Pescarze i ludzi do opieki nad Dannym. Wiedział pan o tym, inspektorze? – Zamilkł i spoglądał na Roscaniego, czekając, aż jego słowa do niego dotrą. A potem, tonem o wiele łagodniejszym, choć nie mniej stanowczym, dodał jeszcze: – Powiedziałem wam samą prawdę.

Castelletti skręcił w Viale dell'Oceano Pacifico, z powrotem ku Tybrowi.

– Panie Addison, czy pan wie, kto zabił księdza Bardonięgo? – zapytał Roscani.

– Nie wiem, ale mam pewne przypuszczenie. Ten blondyn, który chciał nas pozabijać w jaskini w Bellagio.

– Wie pan, kto to jest?

– Nie mam pojęcia.

– Czy nazwisko Thomas Kind coś panu mówi?

– Thomas Kind?! – Na dźwięk tego nazwiska Harry poczuł, że zamiera w nim serce.

– A więc słyszał pan o nim...

– Oczywiście – odparł. To tak jakby go pytali, czy słyszał o Mansonie albo Carlosie. Kind był nie tylko jednym z najbardziej znanych, brutalnych i nieuchwytnych terrorystów na świecie. Dla niektórych stanowił również uosobienie romantyzmu. „Niektórzy” oznaczało w tym wypadku Hollywood, gdzie przedstawiono ostatnio cztery projekty filmów i programów telewizyjnych, z Kindem w roli głównego bohatera. Harry wiedział o tym z pierwszej ręki, uczestniczył bowiem w negocjowaniu dwóch kontraktów, jednego aktorskiego i jednego reżyserskiego.

– Pański brat jest w ogromnym niebezpieczeństwie, nawet gdyby nie poruszał się na wózku – mówił tymczasem Roscani. – Kind jest mistrzem w odnajdywaniu ludzi, których chce odnaleźć. Udowodnił to w Pescarze i Bellagio, a teraz także w Rzymie. Szczerze panu radzę, niech pan nam powie, gdzie jest ojciec Daniel.

– Jeżeli zamkniecie brata, będzie jeszcze bardziej zagrożony – odparł Harry po chwili wahania. – Jak tylko Farel się o tym dowie, zabije Marsciana, a potem on albo Kind dobiorą się do Danny’ego, choćbyście go nie wiem gdzie schowali...

Roscani pochylił się ku niemu i rzekł dobitnie:

– Zrobimy wszystko, żeby się tak nie stało.

– Co właściwie pan przez to rozumie? – Harry poczuł nagły niepokój, jakby pod tymi słowami kryła się jakaś groźba.

– To, panie Addison, że nie istnieją żadne dowody na potwierdzenie prawdziwości pańskich opowieści. Istnieją natomiast inne, wystarczające, żeby pana i pańskiego brata oskarżyć i skazać za morderstwo.

Serce podeszło Harry’emu do gardła. A więc Roscani zamierzał go aresztować tu i teraz. Nie mógł do tego dopuścić.

– Chce pan pozwolić, żeby zabito koronnego świadka w tej sprawie i nawet nie spróbuje pan temu zapobiec? – zapytał z oburzeniem.

– Nic nie mogę na to poradzić, panie Addison. Nie mogę posłać moich ludzi na teren Watykanu. A gdybym nawet mógł, nie mam prawa dokonywać tam aresztowań.

Słowa Roscaniego i jego intonacja świadczyły przynajmniej o jednym – że mimo wszystko uwierzył Harry’emu.

W każdym razie chciał uwierzyć.

– Gdybyśmy zażądali ekstradycji któregoś z nich – ciągnął inspektor – Marsciana, Palestriny czy Farela, to i tak by nic nie dało. We Włoszech o winie podejrzanego „ponad wszelką rozsądną wątpliwość” orzekła sędzia. Moje uprawnienia jako śledczego – wskazał ręką dwóch detektywów z przodu – ich uprawnienia i w ogóle wszystkich członków Gruppo Cardinale ograniczają się do zebrania dowodów dla prokuratora, którym jest, jak panu

wiadomo, Marcello Taglia. Tylko że dowodów nie ma, panie Addison.

Chce pan oskarżyć Watykan, nie mając do tego żadnych podstaw? Jest pan prawnikiem, rozumie pan chyba, że to absurd.

Mówiąc to wszystko, Roscani nie spuszczał z niego wzroku i Harry widział w jego oczach mnóstwo emocji: złość, frustrację, poczucie wypalenia i osobistej porażki. Roscani walczył o siebie i swoją pozycję.

Harry powoli przeniósł wzrok na sylwetki Scali i Castelletiego, rozmyte na tle blasku południowego słońca. Wyczuwał w nich te same emocje. Dotarli już do końca drogi.

Wymierzaniem sprawiedliwości zajmowało się prawo i politycy. A detektywi mogli podjąć tylko takie działania, na które im pozwalała ich profesja. Czyli aresztować i oskarżyć jego i Danny'ego. A także Elenę.

Zrozumiał, że albo zagra teraz właściwie i uda mu się to wszystko odkręcić, albo wszyscy będą straceni. On, Danny, Elena i kardynał Marsciano.

Spojrzał z namysłem na Roscaniego.

– Pio i kardynał Parma... Zabójstwa w Bellagio i gdzie indziej. Te wszystkie zbrodnie popełniono na terytorium Włoch, prawda? – zapytał retorycznie.

– Tak – zgodził się Roscani.

– Gdyby pan spotkał się z kardynałem Marscianem, gdyby on się zgodził opowiedzieć panu i Taglii o tych wszystkich przestępstwach, gdyby podał nazwiska i

motywy... czy to by wystarczyło do ekstradycji kogoś z Watykanu?

– W dalszym ciągu byłoby to niezwykle trudne.

– Ale nie niemożliwe?

– Nie. Tylko że nie mamy Marsciana, panie Addison. I nie możemy go stamtąd wydostać.

– A jeśli ja bym mógł?

– Pan?

– Tak.

– W jaki sposób?

Scala odwrócił się do tyłu i spojrzał na Harry'ego; Castelletti też mu się przyglądał w lusterku.

– Jutro o jedenastej wjedzie na teren Watykanu lokomotywa, która zabierze stamtąd stary wagon towarowy.

Zaaranżował to ksiądz Bardoni, zamierzał tym wagonem wywieźć Marsciana... Bardoni nie żyje, ale ja mógłbym spróbować przeprowadzić tę akcję za niego. Musielibyście mi pomóc, ale tylko po włoskiej stronie muru.

– Jakiego rodzaju pomoc ma pan na myśli?

– Będziecie osłaniać mnie, mojego brata i Elenę Voso.

Tylko wy trzej. Farel ma długie uszy... Jeżeli da mi pan słowo, że dopóki nie skończymy, nikt z nas nie zostanie aresztowany, zaprowadzę was do nich.

– Pan chce, żebym złamał prawo, panie Addison.

– Pan chce poznać prawdę, inspektorze. Ja też...

Rosciani zerknął na Scalę.

– Proszę mówić dalej, panie Addison.

– Jutro, kiedy lokomotywa wyjedzie z Watykanu, ciągnąc wagon, będziecie za nią jechali, aż się zatrzyma. Jeżeli wszystko się powiedzie, Marsciano i ja będziemy w środku.

Zabierzcie nas do tego mieszkania, w którym teraz jesteśmy.

Damy mojemu bratu tyle czasu, ile będzie potrzebował na rozmowę z kardynałem w cztery oczy, a potem Marsciano złoży oświadczenie. Wtedy przyprowadzi pan swojego prokuratora.

– A jeżeli kardynał wybierze milczenie?

– Wówczas nasza umowa wygasa i zrobicie, co będziecie musieli.

Roscani milczał przez dłuższą chwilę. Siedział z kamienną twarzą i Harry nie miał pojęcia, czy przystanie na jego plan, czy nie. Wreszcie przemówił.

– Moja część jest bardzo łatwa, panie Addison. Ale mam poważne wątpliwości co do pana. To przecież nie tylko kwestia wsadzenia człowieka do wagonu. Przedtem musi pan do niego dotrzeć i wydostać go z wieży. Pod nosem Farela i jego ludzi. I z Thomasem Kindem zaczajonym być może gdzieś w pobliżu.

– Mój brat był komandosem – odparł Harry. – On pokieruje całą akcją.

Roscani wiedział, że to szaleństwo. Scala i Castelletti zapewne myśleli to samo. Ale żaden z nich trzech nie mógł pójść z Addisonem, bo gdyby ich złapano,

oznaczałoby to poważny incydent dyplomatyczny. Mogli więc tylko czekać za murami Watykanu i życzyć mu powodzenia. Gra była ryzykowna, szanse niewielkie. Lecz lepszego pomysłu nie mieli.

– Zgoda, panie Addison – powiedział cicho.

Harry starał się nie pokazać po sobie, jak bardzo mu ulżyło.

– Jeszcze trzy sprawy – oznajmił rzeczowo. – Po pierwsze, musicie mi dać pistolet.

– Umie się pan tym posługiwać?

– Beverly Hills Gun Club. Półroczny kurs samoobrony. Jeden z klientów mnie namówił.

– Co jeszcze?

– Lina do wspinaczki. Długa i mocna, żeby utrzymała dwóch ludzi.

– To dwa. A trzy?

– Posadziliście pewnego człowieka. Policjanci przywieźli go pociągiem z Lugano. Jest podejrzany o zabójstwo, ale uczciwy proces na pewno potwierdzi, że to była samoobrona.

Potrzebuję go do pomocy; wypuście go.

– Kto to taki?

– Nazwiska nie znam. Na imię ma Hercules. Jest karłem.

– Trzy a. Na samej górze – powiedział Harry.

– W porządku – skinął głową Roscani i Harry wysiadł z samochodu. Zaczekał, aż detektywi odjadą, i wszedł do budynku. Zrobił, co zrobił. Roscani wiedział już, gdzie ich szukać. Teraz trzeba było powiedzieć o tym Danny’emu.

– Adrianna Hall zawiadomiona – oznajmił od progu. – Eaton zawiadomiony. Tak jak sobie...

– I policja też zawiadomiona! – Danny rzucił mu gniewne spojrzenie i odwróciwszy się plecami, podjechał do okna.

Patrzył tępo przed siebie i milczał.

Harry stał bez ruchu, spoglądając na brata, niepewny, co robić dalej.

– To może poczekać, proszę... – Harry poczuł na ramieniu dłoń Eleny.

Chciała, żeby położył się w którymś z pokoi i zdrzemnął.

Nie spał już od ponad trzydziestu godzin. Słyszała rozdrażnienie w jego głosie, widziała emocjonalną huśtawkę w jego oczach. Był na ostatnich nogach. Opowiedział im o swoim spotkaniu z detektywami. O pomocy, której nie byli w stanie mu udzielić. Powiedział o groźbie Roscaniego i o układzie, który w końcu z nimi zawarł. Powiedział im też o Herculesie.

I o Thomasie Kindzie. Danny jednak zdawał się słyszeć

tylko to, co chciał usłyszeć: że kiedy wrócą z kardynałem Marscianem, będzie na nich czekać i policja, i prokurator.

Jakby kardynał był jakimś szpiegiem czy uciekinierem z niewoli wroga, który tylko czeka na sposobność wyjawienia „swoim” wszystkiego, czego się tam dowiedział.

– Danny. – Harry odsunął się od Eleny i podszedł do brata. Zmęczenie wzmagало jeszcze jego napięcie. – Rozumiem twój gniew i szanuję to, co czujesz wobec kardynała.

Ale, na Boga, otwórzże trochę oczy i zrozum, iż tylko Marsciano stoi jeszcze pomiędzy nami i więzieniem. Jeżeli nie zgodzi się rozmawiać z policją i z prokuratorem, to wszyscy – wyciągnął rękę w stronę Eleny – z nią włącznie, pójdziemy siedzieć na bardzo, bardzo długo.

Danny powoli odwrócił twarz od okna i spojrzał na niego.

– Kardynał Marsciano nie będzie pogrążał Kościoła, Harry – powiedział cichym, spokojnym tonem. – Ani dla ciebie, ani dla siostry Eleny, ani dla mnie. Ani nawet dla samego siebie.

– A dla... prawdy?

– Też nie.

– A może się mylisz?

– Na pewno nie.

– Wobec tego uważam, bracie – Harry dostosował ton swego głosu do tonu Danny’ego – że najlepsze, co możemy zrobić, to po prostu wydostać go w bezpieczne

miejsce i pozwolić, żeby sam zdecydował. Jeżeli powie nie, to nie.

Uczciwy układ?

Po dłuższej chwili milczenia Danny odpowiedział wreszcie:

– Uczciwy.

– W porządku. W takim razie – Harry obejrzał się na Elenę, czując, jak obezwładnia go zmęczenie – gdzie mogę się położyć?

Watykan. Wieża Świętego Jana;  
w tym samym czasie.

Kardynał Marsciano siedział w fotelu, wpatrując się jak w transie w ekran telewizora. Fonia wciąż była wyłączona.

Pokazywali jakąś reklamę. Animowaną. Ale co usiłują sprzedać, już do niego nie docierało.

W drugim końcu pokoju widział welwetowy woreczek, który zostawił mu Palestrina. Ohydna rzecz w nim ukryta stanowiła ostateczne potwierdzenie – o ile jeszcze jakiegoś potrzebował – że watykański sekretarz stanu popadł w totalny obłąd. Marsciano ledwie był w stanie spojrzeć na mieszek, nie mówiąc już o dotykaniu go. Próbował ich przekonać, żeby zabrali to okropieństwo, ale pilnujący drzwi Anton Pilger oświadczył, że niczego nie wolno wnosić do „mieszkania” ani wynosić z niego bez wyraźnego polecenia, a takowego nie było. Po czym dodał jeszcze, że mu przykro, i zamknął drzwi. Szczęk przekręcanego klucza zabrzmiał w uszach kardynała niemal jak wystrzał.

Na ekranie ukazał się teraz kolorowy wykres na tle mapy Chin z podświetlonymi nazwami Wuxi i Hefei.

Godzina 22.20 czasu pekińskiego:

WUXI – 1700 ofiar śmiertelnych HEFEI – 87 553

ofiary śmiertelne. Obraz zmienił się, ukazując Pekin; reporterka Raiuno mówiła coś na żywo z placu Tienanmen.

Marsciano wziął do ręki pilota. Dźwięk powrócił. „Oczekuje się lada chwila ważnego oświadczenia rządowego w sprawie tragedii w Hefei i Wuxi – powiedziała dziennikarka. – Spekulacje obserwatorów zagranicznych ogniskują się wokół podjęcia przez władze natychmiastowej kompleksowej przebudowy wodociągów i stacji uzdatniania w całym kraju”.

Marsciano wyłączył fonię i odłożył pilota. Reporterka poruszała teraz ustami bezgłośnie. Palestrina zwyciężył.

Zwyciężył, a mimo to planował zatruć jeszcze jedno miasto.

To było gorsze niż piekło.

Myśląc o tym wszystkim, co wydarzyło się do tej pory, i wiedząc, co się jeszcze ma stać, Marsciano pożałował nagle, że ojciec Daniel jednak przeżył. W ten sposób stał się świadkiem horroru, którego przyczyną była słabość kardynała, jego bierna postawa wobec Palestriny. Nie zginął na miejscu w autobusie, lecz zginie teraz, zabity przez zbirów Farela, kiedy tylko się tu zjawi – już z wiedzą o tym, co się stało w Chinach.

Marsciano odwrócił wzrok od chłodnego okrucieństwa telewizyjnej relacji i rozejrzał się po pokoju. Przez przeszkłone drzwi wpadało wczesno-popołudniowe światło, jakby zapraszając go do wyjścia. Poza snem i modlitwą, te drzwi stanowiły jego jedyne wytchnienie.

Mógł stamtąd patrzeć na watykańskie ogrody, na sielankowy świat piękna i spokoju.

Podszedł więc do nich i odsłoniwszy firankę, spoglądał na krajobraz spowity malarskim chiaroscuro, który tworzyło przesączające się przez korony drzew światło słoneczne. Za chwilę wróci do swego więzienia, uklęknie przy łóżku i będzie błagał Boga – jak to często robił podczas ostatnich dni i godzin – o przebaczenie za koszmar, którego był biernym współtwórcą.

Myślą już przy modlitwie, zaczął odwracać się ku wnętrzu, gdy nagle całe piękno przed jego oczami zniknęło. To, co ujrzał w jego miejsce, wstrząsnęło nim do głębi. Widywał ten obraz wcześniej setki razy, lecz nigdy nie napełnił go takim obrzydzeniem jak w tej chwili.

Żwirowaną ścieżką szło spacerowym krokiem dwóch ludzi. Jeden potężnej postury, odziany na czarno. Drugi starszy i dużo niższy, w bieli. Pierwszym był Palestrina. Drugim, tym w bieli, Ojciec Święty Giacomo Pecci, papież Leon XIV.

Palestrina rozprawiał o czymś z ożywieniem, gestykulując.

Aż tryskał energią, jak gdyby cały świat wypełniała radość i nadzieja. Papież dreptał koło niego, jak zwykle zauroczony charyzmą tamtego i bezgranicznie mu ufający. I z tego powodu zupełnie ślepy na prawdę.

Kiedy podeszli bliżej, Marsciano poczuł, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz, spływający niczym mroźny

oddech w dół kręgosłupa. Po raz pierwszy uzmysłowił sobie z przeraźliwą jasnością, kim jest naprawdę ten scugnizzo, ulicznik z Neapolu, jak nazywał sam siebie Palestrina.

Był kimś więcej niż wybitnym, uwielbianym i niezwykle skutecznym politykiem. Więcej niż człowiekiem, który zajmował drugie po papieżu stanowisko w hierarchii Kościoła katolickiego. Więcej nawet niż sprzedajnym, coraz bardziej szalonym paranoikiem, architektem jednej z największych rzezi w historii. Ten uśmiechnięty olbrzym o rumianych policzkach i białej głowie, spacerujący przez pocętkowany słonecznymi plamami raj, u boku oczarowanego nim Ojca Świętego, był samą ciemnością, ostatecznym wcieleniem szatana.

– To pan Harry! – wykrzyknął radośnie Hercules, gdy Harry otworzył drzwi mieszkania trzy a. Kompletnie zaskoczony karzeł wtoczył się do środka na swoich kulach, a za nim weszli Roscani, Scala i Castelletti.

Zamknawszy drzwi na zamek, Castelletti został przy nich, Scala natomiast, rzucając ciekawe spojrzenie na Danny’ego i Elenę, przeszedł od razu w głąb mieszkania.

– Lina, o którą pan prosił, leży pod drzwiami w sieni – oznajmił Roscani.

Harry skinął głową, po czym spojrzał na kiwającego się na kulach Herculesa, który stał przed Castellettim, otworzywszy szeroko usta ze zdumienia.

– Wejdźcie proszę i rozgośćcie się... To mój brat Daniel, a to siostra Elena – Harry przedstawił im księdza na inwalidzkim wózku i atrakcyjną młodą kobietę, jakby zaprosił tu wszystkich na kolację.

Wszedł pierwszy do pokoju, a za nim Hercules, zupełnie zdezorientowany i nie pojmujący, o co w tym wszystkim chodzi. Wywołano go nagle z celi w areszcie śledczym więzienia centralnego i oznajmiono, że zostanie przeniesiony do innego więzienia. Kwadrans później pędził już przez Rzym na tylnym siedzeniu ciemnoniebieskiej alfy romeo, mając obok siebie szefa

detektywów Gruppo Cardinale.

– Nikogo więcej nie ma – zameldował Roscaniemu Scala, wróciwszy do pokoju. – W kuchni jest tylne wyjście na schody, drzwi z jednym zamkiem. Jeżeli ktoś by próbował dostać się od strony dachu, musi wybić szybę i narobić hałasu.

Roscani skinął głową. Badawczym spojrzeniem zlustrował Danny'ego, jakby szacując jego możliwości, i zwrócił się do Harry'ego:

– Hercules jest oficjalnie w trakcie przeniesienia do innego aresztu. Papiery gdzieś się zawieruszyły po drodze... Jutro o tej porze chcę go mieć z powrotem.

– Jutro o tej porze będzie pan zapewne miał nas wszystkich – odparł Harry. – A co z bronią?

Roscani zawahał się, lecz po chwili spojrzał na Scalę i dał mu znak głową. Ten odchylił połą marynarki, wyciągnął zza pasa półautomatyczny pistolet i podał go Amerykaninowi.

– Calico parabellum, dziewięćmilimetrowy z szesnastostrzałowym magazynkiem – wyjaśnił po angielsku z mocnym włoskim akcentem. Z kieszeni wyjął zapasowy magazynek i również dał go Harry'emu.

– Numery seryjne zostały usunięte – poinformował go rzeczowym tonem Roscani. – Jeżeli pana złapią, nie pamięta pan, skąd go ma. Jeśli ujawni pan cokolwiek z tego, co tutaj zaszło, zaprzeczymy wszystkiemu i będzie panu przed sądem jeszcze trudniej.

– Spotkaliśmy się tylko raz, inspektorze – odparł Harry.

– W dniu kiedy przyjechał pan po mnie na lotnisko.

A pozostali w ogóle nigdy pana nie widzieli.

Roscani spojrział na całą czwórkę. Jego oczy zatrzymały się na Herculesie, potem na Elenie, Dannym i w końcu znów na Harrym.

– Jutro – powiedział w końcu – wagon towarowy zostanie odholowany z Watykanu na bocznicę pomiędzy Stazione Trastevere i Stazione Ostiense, gdzie pozostanie do złomowania. Będziemy go śledzić na całej trasie. Kiedy lokomotywa odjedzie, wchodzimy. Co do reszty zaś... – rozejrzał się znów po ich twarzach – przede wszystkim za wszelką cenę unikajcie ludzi Farela, „czarnych garniturów”.

Jest ich wielu i mają pomiędzy sobą doskonałą łączność.

Roscani wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki fotografię formatu pocztówki i podał ją Harry’emu.

– To jest Thomas Kind – wyjaśnił. – Zdjęcie sprzed trzech lat. Nie wiem, czy się na coś przyda; on zmienia twarz częściej niż my ubrania. Blondyn, brunet; mężczyzna, kobieta; mówi kilkoma językami. Gdyby go pan zobaczył, radzę strzelać bez namysłu. Dopóty, dopóki go pan nie zabije. A potem w nogi. Laury niech zbiera Farel, trudno. – Obrzucił spojrzeniem pokój i ruszył do drzwi, lecz zatrzymał się w pół kroku i dodał jeszcze: – Jeden z nas będzie przez całą noc w pobliżu domu.

– Myślałem, że nam pan zaufał...

– Na wypadek gdyby Kind się jednak dowiedział, gdzie

was szukać.

– Dziękuję – powiedział Harry, autentycznie wdzięczny.

– Buona fortuna – rzekł Roscani i skinął na Scalę i Castelletiego.

Po chwili zamknęły się za nimi drzwi w korytarzu.

Buona fortuna. Powodzenia.

Wuxi, Chiny.  
Piątek, 17 lipca; 3.20

Li Wen wykrzywił twarz w okropnym grymasie, usiłując odwrócić wzrok od jaskrawych rozbłysków stroboskopowej lampy. Czyjeś ręce przytrzymały jego głowę.

Błysk! Błysk! Błysk!

Nie miał pojęcia, kim są jego prześladowcy. Ani gdzie się znajduje. Ani jak go znaleźli wśród masy przerażonych ludzi na Chezhan Lu, gdy torował sobie drogę w kierunku dworca. Chciał po prostu opuścić Wuxi po burzliwej dyskusji z oficjelami w Stacji Uzdatniania Wody numer dwa.

Woda, którą badał o świcie poprzedniego ranka, wykazywała alarmujący poziom skażenia toksynami wydzielanymi przez zielono-błękitne algi, takimi samymi jak w Hefei.

Poinformował o tym władze. Jedynym rezultatem jego ostrzeżenia było pojawienie się na miejscu całego tłumu miejscowych notabli i inspektorów jakości wody. Zanim kompetencyjne spory dobiegły końca i zamknięto wreszcie stacje uzdatniania i ujęcia wody nad jeziorem Tai Hu, nad Wielkim Kanałem i rzeką Liangxi, sytuacja w mieście zdążyła się zrobić krytyczna.

– Mów wszystko – usłyszał Li Wen; ręce trzymające jego głowę szarpnęły nią w tył i ujrzał przed sobą oficera Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Znał tego człowieka i jego prawdziwą, znacznie wyższą rangę. Był to funkcjonariusz Guojia Anquan Bu, Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Mów wszystko – powtórzył.

Głowę Li Wena przechylono teraz do przodu i zobaczył leżące na stole przed sobą papiery. Przyjrzał się im dokładniej. To były kartki z wzorami chemicznymi, które dostał od amerykańskiego hydrobiologa Jamesa Hawleya w pekińskim hotelu. Miał je w teczce, kiedy go znaleźli i aresztowali.

– Przepis na ludobójstwo – usłyszał tuż przy uchu.

Li Wen powoli podniósł oczy.

– Ja nic nie zrobiłem – powiedział.

Rzym. Czwartek, 16 lipca; 21.30

Scala siedział na krześle i przyglądał się, jak jego żona i teściowa grają w garibaldkę. Dzieci – w wieku ośmiu, pięciu i trzech lat oraz roku – już spały. Był w domu po raz pierwszy od początku akcji, a miał wrażenie, jakby upłynęły całe miesiące. Najchętniej by w ogóle stąd nie wychodził, tylko tak sobie siedział, słuchając gwarzących kobiet, wdychając zapachy mieszkania i czując obecność dzieci w pokoju obok. Ale o północy musiał zmienić Castellettiego pod domem przy Via Nicolo V i zostać tam aż do siódmej, kiedy wrócą obaj z Roscanim. Potem

będzie mógł się przespać trzy godziny, a o dziesiątej trzydzieści wszyscy trzej zaczną czekać na lokomotywę, która wjedzie na teren Watykanu przez olbrzymie żelazne wrota, a potem wyjedzie z wagonem.

Miał już wstać i pójść do kuchni, zrobić świeżej kawy kiedy zadzwonił telefon.

– Si – powiedział, podnosząc słuchawkę po pierwszym sygnale.

– Harry Addison jest w Rzymie, – To była Adrianna Hall.

– Wiem.

– Jest z nim jego brat.

– Wiem.

– Gdzie oni są, Sandro?

– Nie mam pojęcia.

– Nie kłam, Sandro, wiesz doskonale. Nie będziesz mnie chyba okłamywał po tych wszystkich latach. I to w takiej sprawie...

„Po tych wszystkich latach”. Scala w jednej chwili wrócił pamięcią do czasów, gdy Adrianna była początkującą reporterką, przydzieloną właśnie do rzymskiego biura WNN.

Miała już gotowy materiał, który mógł bardzo pomóc w jej karierze, lecz zarazem poczynić wielkie szkody w prowadzonym przez niego dochodzeniu w sprawie morderstwa. Poprosił ją, żeby wstrzymała się z emisją, a ona, choć z oporami, przystała na to. Dzięki temu gestowi stała się odtąd dla niego fidarsi di, osobą godną zaufania. I

ufał jej przez te wszystkie lata, podsyłając w sekrecie zastrzeżone informacje, za które ona odpłacała się swoimi, bardzo czasem przydatnymi w jego detektywistycznej robocie. Tym razem jednak było inaczej.

Sprawa była zbyt niebezpieczna, stawka zbyt wielka. Gdyby się media dowiedziały, że policjanci pomagali Addisonom, mógłby liczyć już tylko na opatrzność boską.

– Przykro mi, ale naprawdę nic więcej nie wiem... Jest już późno, właśnie chciałem się położyć. Mam nadzieję, że zrozumiesz – powiedział cichym głosem i zakończył rozmowę.

Siedzieli wszyscy przy kuchennym stole, pochyleni nad naszkicowanym odręcznie przez Danny'ego planem Watykanu, obstawionym kubkami po kawie, butelkami z wodą mineralną i resztkami pizzy, którą przyniosła z miasta Elena.

– To jest nasz cel. Nasza misja – powtórzył Danny. Po raz któryś z rzędu tłumaczył im kolejne etapy akcji; zachowywał się dokładnie tak, jak przekonywał o tym Roscaniego Harry – nie jak ksiądz, lecz jak świetnie wyszkolony komandos.

– Tu jest wieża; tutaj stacja. – Postukał palcem w mapkę, przyglądając się ze swego wózka kolejno Harry'emu, Elenie i Herculesowi. Upewniając się, że patrzą uważnie i zapamiętują każdy swój krok. Jak gdyby słyszeli to wszystko po raz pierwszy.

Ten wysoki mur – mówił dalej – biegnie na południowy wschód wzdłuż wąskiego chodnika i ciągnie się przez jakieś sześćdziesiąt metrów. Potem się kończy. Na prawo macie mur zewnętrzny – wskazał ręką w stronę okna – ten, który stąd widzimy. – Spojrzał znów na ich skupione twarze. – Przy tym krańcu zaczyna się zwirowana ścieżka, która doprowadzi was do Viale del Collegio Etiopico, alei Kolegium Etiopskiego. Tutaj

skręćcie na prawo i dojdziecie do niskiego murku, prawie na końcu stacji. Najważniejsza jest koordynacja wszystkiego w czasie. Nie możemy wyprowadzić Marsciana zbyt wcześnie, bo zdążą się zorientować i będziemy mieli ich na karku. Ale powinniście się znaleźć w wagonie przed jedenastą, zanim otworzą bramę, żeby wpuścić lokomotywę.

To znaczy, że kardynał musi opuścić wieżę około dziesiątej czterdzieści pięć. A najpóźniej za pięć jedenasta powinien być już w wagonie, bo potem któryś z kolejarzy wyjdzie z budynku, żeby sprawdzić, czy brama się otwiera. A teraz uwaga. – Danny znów postukał palcem wskazującym w plan. – Jeżeli po wyjściu z wieży ktoś lub coś... nie wiem, Thomas Kind, ludzie Farela, urządzenie opatrności, cokolwiek... nie pozwoli wam posuwać się przy murze, idźcie tą drogą, prosto przez ogrody. Kilkaset metrów dalej zobaczycie następną wieżę. To Radio Watykańskie. Wtedy od razu skręćcie w prawo.

Dojdziecie do alei Kolegium Etiopskiego na skróty. Potem do murku nad stacją i po jakichś trzydziestu metrach powinniście być przy torach. Wagon stoi na boczniczy między budynkiem dworcowym a tunelem na końcu toru. Przejdźcie przez tory od drugiego końca wagonu, żeby was nie było widać z alei. Za bocznicą jest już tylko mur. Możecie mieć trochę pracy przy otwieraniu wagonu, bo drzwi pewnie są zardzewiałe. Jak już będziecie w środku, od razu je zamknijcie. Potem będziecie już tylko czekać na lokomotywę. Jakies

pytania?

Danny rozejrzał się jeszcze raz po ich twarzach. Harry nie mógł się nadziwić jego koncentracji i precyzji, zmianie, jaka zaszła w całej jego postawie. Przygnębienie i apatia zniknęły. Jego brat mógłby sobie w tej chwili napisać na czole Semper Fi!

– Muszę się wysikać – oznajmił Hercules i pokuśtykał o kulach do łazienki.

Nie pora była na wesołość, lecz Harry nie mógł powstrzymać uśmiechu. Cały Hercules. Bezpośredni, zabawny i zawsze do rzeczy, niezależnie od tego, czym owa rzecz była.

Przedtem, gdy wyszli detektywi, Hercules przyglądał się wszystkim w kompletnym oszołomieniu, a w końcu zapytał Harry'ego:

– Co to, kurczę blade, wszystko ma znaczyć?

Harry wyjaśnił mu więc z pełną powagą, że kardynał Marsciano przetrzymywany jest w Watykanie w areszcie domowym, że jest to część spisku, w wyniku którego zapewne zginie, jeżeli go stamtąd nie wyciągną. Potrzebowali kogoś, kto mógłby się dostać niepostrzeżenie do wieży. Mieli nadzieję, że dokona tego właśnie on, i dlatego postarali się o linę. Na koniec Harry poinformował go, że jeśli się zgodzi, będzie musiał ryzykować życie.

Przez długą chwilę Hercules z kamienną twarzą wpatrywał się w przestrzeń. Wreszcie spojrzął każdemu z ich trójki głęboko w oczy. Jego twarz wykrzywiła się w

szerokim uśmiechu.

– A cóż to w końcu za życie? – powiedział pełnym głosem, z błyskiem w oku. I od tej chwili był już jednym z nich.

Scala wyszedł z mieszkania, rozejrzał się szybko i wsiadł do nie oznakowanego białego fiata. Po chwili, rozejrzawszy się raz jeszcze, włączył silnik i odjechał.

Chwilę później ruszył za nim ciemnozielony ford, parkujący na chodniku kilka domów dalej. Za jego kierownicą siedział Eaton, obok niego Adrianna Hall. Skręcili w lewo w Via Marmorata, jadąc za Scalą wśród niewielu o tej późnej porze samochodów, przez Piazza del'Emporio i mostem Sublicio na drugą stronę Tybru. Trzymając się dość daleko za fiatem, podążyli jego śladem na północ, nadrzecznym bulwarem. Kilka minut później Scala skręcił na zachód przez Gianicolo i znowu skierował się na północ Viale delie Mura Aurelie.

– Jest bardzo ostrożny, stara się zgubić ewentualny ogon. – Eaton skrył się za srebrnym oplem, utrzymując bezpieczny dystans od śledzonego samochodu.

Sam fakt, że włoski detektyw nagle odmówił Adriannie informacji, był wystarczającym sygnałem, że dzieje się coś ważnego i utrzymywanego w ścisłej tajemnicy. Nie leżało to w jego charakterze, żeby tak nagle rezygnować ze współpracy – zaledwie przed kilkoma dniami sam dał jej cynk, kilka godzin przed oficjalnym ujawnieniem tego, że ojciec Daniel prawdopodobnie przebywa w Bellagio. Jego unik był tylko ostatnim z serii szybko po sobie następujących wydarzeń, mogących sugerować, że sprawy

w Watykanie zmierzają coraz szybciej ku gwałtownemu rozwiązaniu.

Eaton z Adrianną dokonali podsumowania: niespodziewana i tajemnicza choroba kardynała Marsciana, który zaledwie we wtorek opuszczał chińską ambasadę w pełnym zdrowiu. Mimo połączenia sił nie zdołali się dowiedzieć niczego ponad to, co podawał oficjalny komunikat: kardynał znajduje się pod opieką watykańskich lekarzy.

Potem nagły powrót Roscaniego, Scali i Castellettiego do Rzymu.

Zamordowanie – tego ranka – bliskiego współpracownika Marsciana, księdza Bardonię, jeszcze nie ujawnione oficjalnie przez policję.

I również tego ranka – lakoniczne telefony Harry'ego Addisona związane z sytuacją w Chinach. Jak udało się ustalić, telefonował z automatów w pobliżu Watykanu.

Zrobili oboje natychmiast to, o co prosił. I w ciągu kilku godzin pojawił się rezultat: potajemne aresztowanie i przesłuchanie państwowego inspektora jakości wody nazwiskiem Li Wen.

Dzisiaj także policja ogłosiła zaskakujący komunikat na temat domniemanego pojawienia się znów we Włoszech Thomasa Kinda, sławnego terrorysty, o którym przez długi czas było cicho. Gruppo Cardinale ścigała go także listami gończymi.

Scala skręcił nagle ostro w lewo, a potem w pierwszą ulicę w prawo i od razu znów w lewo, przyśpieszając.

Adrianna widziała lekki uśmieszek na twarzy Eatona, który bez trudu trzymał się za fiatem. Przerzucał biegi, przyśpieszał i zwalniał z wprawą znakomicie wyszkolonego szpiega, którym był.

Aż do dzisiejszego dnia oboje z Adrianną mogli tylko siedzieć i czekać, w nadziei, że Harry Addison doprowadzi ich jednak do brata. Teraz robiła to policja. Nie mieli jeszcze pojęcia, co właściwie się rozgrywa na ich oczach, a jednak od momentu wyjścia na jaw związku pomiędzy watykańską intrygą i chińską katastrofą mieli już pewność, że są u progu ujawnienia wielkiej, przełomowej sprawy.

– Policja nam raczej tego nie ułatwi – mruknął Eaton, zwalniając. Scala przed nimi skręcił w ciemną willową ulicę.

Adrianna milczała. Wiedziała, że w innych okolicznościach Eaton kazałby po prostu swoim agentom we Włoszech porwać ojca Daniela. Ale czasy się zmieniły i takie działania uniemożliwiała nie tylko obecność włoskiej policji. Waszyngton również od zakończenia zimnej wojny przyglądał się operacjom CIA dużo bardziej krytycznym okiem.

Mogli więc znów, tak jak do tej pory, tylko czekać na rozwój wypadków. I mieć nadzieję, że zdarzy się coś takiego, co im pozwoli znaleźć się z księdzem sam na sam.

Piątek, 17 lipca; 0.10

Palestrina obudził się z krzykiem. Zlany potem, z wyciągniętymi przed siebie rękami, jak gdyby starał się Coś odepchnąć. Już drugą noc pod rząd nachodziły go we śnie mroczne upiory. Było ich mrowie i chciały go zakryć ciężkim, brudnym kocem, w którym – był tego pewien – czaiła się choroba. Ta sama, która sprowadziła nań śmiertelną gorączkę, kiedy był Aleksandrem.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że obudził go nie tylko nocny koszmar, lecz także dzwonek stojącego przy łóżku telefonu. Telefon umilkł i zaraz rozdzwonił się ponownie.

Aparat odbierał połączenia z kilku linii; teraz na wyświetlaczu widniał numer, pod który mógł dzwonić tylko jeden człowiek. Thomas Kind. Kardynał chwycił za słuchawkę.

– Si.

– Są pewne komplikacje w Chinach – powiedział Kind po francusku rzeczowym tonem, starając się nie zdenerwować swego rozmówcy. – Wytropili Li Wena. Zająłem się już tą sprawą, tak że proszę się nie martwić i spokojnie sobie jutro pracować.

– Merci – zdołał tylko wydusić z siebie Palestrina i w osłupieniu odłożył słuchawkę. Nagle przeszył go

lodowaty dreszcz, sięgający w głąb trzewi. Upiory nie były sennym majakiem; były rzeczywistością, która coraz bardziej go osaczała. Co będzie, jeśli wydarzy się coś takiego, czym Thomas Kind już nie będzie w stanie się „zająć”, i Chińczycy dowiedzą się o wszystkim? Nie było to niemożliwe – w końcu to właśnie Kindowi nie udało się zlikwidować ojca Daniela.

Nagle przyszła mu do głowy jeszcze jedna przerażająca myśl: ojciec Daniel wciąż żyje i sprzyja mu szczęście, ponieważ strzegą go upiory; i jego brata też. W ich osobach przybywały mu na spotkanie jako zwiastuny końca. I podobnie jak płomień przyciąga ćmę, tak on sam, kardynał Palestrina, przyciągnął do swego matecznika Śmierć.

0.35

Harry otworzył drzwi do kuchni i zapalił światło. Podeszedł do blatu, by jeszcze raz sprawdzić, czy ładowarka przywraca życie baterijkom telefonów. Mieli teraz dwie komórki; tę od Adrianny i drugą, którą znaleźli w mieszkaniu. Rano, kiedy wyruszą do Watykanu, Danny weźmie jeden telefon, a on drugi. Dzięki temu będą w stałym kontakcie. Liczyli na to, że wśród tłumu turystów i pracowników Watykanu Farelowi trudno będzie namierzyć ich sporadyczne rozmowy, gdyby się w jakiś sposób domyślił, że są w obrębie murów.

Uspokojony, że ładowarka działa, zgasił światło i wyszedł z kuchni.

– Powinieneś już spać. – Elena stała w wejściu do

swojej sypialni, naprzeciwko pokoju, który dzielił z Dannym. Włosy zaczesła do tyłu, miała na sobie tylko cienką, bawełnianą koszulę nocną. Z głębi korytarza dobiegało głośnie chrapanie Herculesa, który spał na kanapie w dużym pokoju.

Harry podszedł do dziewczyny.

– A ty nie powinnaś iść z nami – powiedział cicho. – Załatwimy to sami, z Dannym i Herculesem.

– Przecież ktoś musi wieźć Danny'ego na wózku. Hercules ma swoje do zrobienia, a ty nie możesz być w dwóch miejscach naraz – odparła stanowczo.

– Eleno... To zbyt niebezpieczne, zrozum. Naprawdę nie wiadomo, co się tam może wydarzyć...

Światło nocnej lampki przeświecało przez materiał jej koszuli. Pod spodem nie miała niczego. Przysunęła się do niego; widział, jak z każdym oddechem unoszą się i opadają jej pełne piersi.

– Nie chcę, żebyś szła, i koniec – oświadczył kategorycznie. – Gdyby ci się cokolwiek stało...

Elena wyciągnęła rękę ku jego twarzy i delikatnie przycisnęła palce do jego ust. A potem cofnęła je i musnęła jego wargi swoimi.

– Ale mamy teraz, Harry – szepnęła. – Może jutro się coś stanie... lecz jeszcze jest teraz... i możesz mnie kochać.

Danny spojrział na budzik. Od chwili gdy robił to poprzednio, upłynął zaledwie kwadrans. Nawet nie wiedział, czy przez ten czas spał. Przed chwilą wszedł do pokoju Harry i położył się do łóżka. Godzinę po tym, jak wyszedł do kuchni sprawdzić, czy ładują się baterie. Danny nie wiedział, co przez ten czas robił jego brat, był jednak przekonany, że Harry był z Eleną.

Obserwował narastające między nimi napięcie już od Bellagio. I wiedział, że w którymś momencie iskra przeskoczy. Nie miało znaczenia, że Elena była zakonnicą. Już wtedy, gdy opiekowała się nim w Pescarze, na wpół świadomie czuł, że nie jest typem kobiety mogącej całe życie spędzić na kontemplacji w klasztornym zamknięciu. Lecz że zakocha się akurat w jego bracie, nie przyszłoby mu do głowy nawet w najbardziej niezwykłych okolicznościach. A okoliczności – aż się uśmiechnął do siebie w ciemnościach – były zaiste niesamowite. Czegoś takiego nikt nie potrafiłby wymyślić.

Były także – jego uśmiech zniknął – najtragiczniejsze z tragicznych. Przed oczami przewinęła mu się znów scena w autobusie; człowiek z pistoletem, a potem eksplozja. Pamiętał jak przez mgłę płomienie, krzyki przerażonych

ludzi, obrót autobusu wokół własnej osi. Pamiętał, jak w półprzytomnym odruchu wepchnął swoje dokumenty i okulary do kieszeni marynarki niedoszłego zabójcy. Obraz się zmienił i Danny ujrzał teraz Marsciana za kratką konfesjonału, usłyszał pełen bólu głos: „Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłem...”.

Odwrócił się gwałtownie i wtulił twarz w poduszkę, usiłując wyrzucić z umysłu to wspomnienie. Ale nie potrafił.

Znał każde słowo na pamięć.

Adrianna drgnęła i podniosła głowę, słysząc jakiś dźwięk.

To Eaton wysiadał z auta. Wygładził bezową letnią marynarkę i ruszył chodnikiem w kierunku samochodu Scali. Zobaczyła, jak omija krąg światła ulicznej latarni i spogląda ku ciemnemu masywowi dużego budynku mieszkalnego stojącego w połowie ulicy. Potem zniknął w mroku. Jej spojrzenie powędrowało do pomarańczowych cyferek zegara na desce rozdzielczej; chciała sprawdzić, jak długo drzemała.

2.17

Eaton wrócił i wśliznął się na fotel obok niej.

– Scala jest? – zapytała.

– Tak. Siedzi w aucie i pali.

– W budynku nic się nie świeci?

– Ciemno jak u Murzyna. – Odwrócił się do niej twarzą. – Prześpij się jeszcze. Jak tylko coś się ruszy, to

cię obudzę.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiezek.

– Kiedyś pana kochałam, panie Jamesie Eatonie – szepnęła.

– Kochałaś agenta, a nie człowieka – Eaton znów patrzył na ciemny dom.

– Człowieka też, chociaż krótko. – Adrianna owinęła się ciasniej dzinsową kurtką i skuliła na siedzeniu. Przez dłuższą chwilę przyglądała się Eatonowi, wpatrującemu się w budynek, aż wreszcie odpłynęła w sen.

Pekin, Chiny.

W dalszym ciągu piątek, 17 lipca; 9.40

– James Hawley. Amerykanin; inżynier hydrobiolog powiedział Li Wen. W ustach czuł suchość, pocił się obficie. – Mieszka w Walnut Creek... to w Kalifornii. On mi dał te wszystkie wzory. Nie... nie wiedziałem, że to trucizna.

My... myślałem, że to nowy test ja-ja-kości wo-dy...

Z drugiej strony drewnianego stołu patrzyły na niego oczy tego samego człowieka w mundurze, który przedtem przesłuchiwał go w Wuxi, potem zakuł w kajdanki i poleciał razem z nim wojskowym odrzutowcem do Pekinu, gdzie po wylądowaniu zaprowadził go do jasno oświetlonego budynku z pustaków, gdzieś na terenie bazy lotniczej.

– Żaden James Hawley z Walnut Creek w Kalifornii nie istnieje – powiedział tamten spokojnie.

– Istnieje. Musi istnieć. Ja tych wzorów nie wymyśliłem: on mi je dał.

– Powtarzam, nie ma żadnego Jamesa Hawleya. Już to sprawdziliśmy.

Li Wen poczuł, że uchodzi zeń całe powietrze. Zdał sobie sprawę, że przez cały czas był oszukiwany. Gdyby coś poszło nie tak, tylko on miał za to zapłacić głową.

– Mów wszystko, co wiesz.

Li Wen powoli uniósł głowę. Za mężczyzną stała kamera wideo; czerwona lampka wskazywała, że wszystko jest nagrywane. W głębi pomieszczenia widział twarze kilku mundurowych z żandarmerii oraz – co było jeszcze gorsze – ludzi z Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jak jego śledczy.

Wreszcie zrezygnowany skinął głową i patrząc wprost na kamerę opowiedział, jak wpuszczał do oczyszczonej wody pitnej „kule śniegowe”, zawierające śmiertelny metanol, którego nie obejmowały testy czystości. Wyjaśnił szczegółowo, posługując się naukową terminologią, działanie trucizny i jej skuteczność, wyrażającą się w konkretnym procencie ofiar.

Kiedy skończył, ocierając dłonią pot z czoła, zobaczył, że zbliża się do niego dwóch ludzi w mundurach. Poderwali go błyskawicznie na nogi i wyprowadzili z pomieszczenia do słabo oświetlonego betonowego korytarza. Przeszli jeszcze dziesięć metrów, gdy nagle z bocznych drzwi wyłonił się jakiś człowiek. Zaskoczeni wojskowi zastygli w pół kroku.

Mężczyzna błyskawicznie zbliżył się do Li Wena. W ręce trzymał pistolet z tłumikiem. Li Wen patrzył na niego w niemym osłupieniu. To był Chen Yin. Chen pociągnął za spust i strzelił mu z bliska prosto w środek czoła.

Li Wen poleciał do tyłu. Jego ciało wyrwało się z rąk trzymających go żołnierzy; krew trysnęła na ścianę.

Chen Yin uśmiechnął się do żołnierzy i ruszył do

wyjścia.

Nagle jego uśmiech zamienił się w grymas przerażenia.

Pierwszy z wojskowych podniósł automat.

– Nie! – krzyknął handlarz kwiatami, cofając się. – Nie, to przecież było...

Nagle odwrócił się i pobiegł do drzwi. Rozległ się stłumiony odgłos jakby młota pneumatycznego. Pierwsze strzały obróciły Chen Yina wokół osi, następne odłupały mu czaszkę tuż nad prawym okiem. I, podobnie jak przed chwilą Li Wen, był martwy, nim jego ciało dotknęło podłogi.

Rzym; 4.15

Harry golił się w łazience; pozbywał się brody. Było to niebezpieczne, ponieważ odsłaniał twarz, znaną wszystkim z listów gończych i mediów, ale nie miał wyboru. Zdaniem Danny'ego żaden z watykańskich ogrodników nie nosił brody.

Hercules siedział w kuchni, przypatrując się obłoczkom pary, unoszącym się z filiżanki gorącej czarnej kawy, którą trzymał w dłoniach. Naprzeciwko siedziała nad nie tkniętą kawą Elena, równie jak on milcząca.

Przed kwadransem Hercules wyszedł z łazienki, w której spędził całe pół godziny, tak wielki i rzadki był to dlań luksus. Wykąpał się w wannie i ogolił, dzięki czemu mieli teraz z Harrym jeszcze jeden wspólny rys. Byli nie tylko odważnymi krzyżowcami, wyprawiającymi się śmiało na obcą ziemię, ale w dodatku byli obaj świeżo ogoleni. Drobiazg, który w tych okolicznościach bratał ich ze sobą niczym mundur, mocno łaskocząc dumę Herculesa.

Scala zobaczył, że otwierają się drzwi i obaj wychodzą.

Od zwykłego księdza udającego się na poranną mszę odróżniał Harry'ego jedynie zwój liny, zawieszony na ramieniu.

No i oczywiście kuśtykający obok karzeł, poruszający

się zamaszycie i swobodnie, niczym sportowiec.

Doszli do skrzyżowania Via Nicolo V z Viale Vaticano i skręcili w lewo, na zachód, idąc wzdłuż murów ku wieży Świętego Jana. Była za dwadzieścia piąta.

Z przedniego siedzenia forda obserwował ich również Eaton, wyposażony w lunetkę z noktowizorem. Zaskoczył go i zastanawiał widok karła kaleki i zwoje finy.

– Harry i karzeł – Adrianna obudziła się i ujrzała ich przez chwilę w kręgu światła ulicznej latarni, nim znów zniknęli w mroku.

– Ale bez księdza. Scala też się nie ruszył. – Eaton odłożył noktowizor.

– Po co im ta lina? Chyba nie wybierają się...

– Po Marsciana? – dokończył za nią Eaton. – A policja im na to pozwala... – Nic z tego nie kapuję.

– Ani ja.

Ulicą przejechała z łoskotem półciężarówka z drewnem, a potem znów zapadła ciemność i cisza. Harry z Herculesem wyszli zza załomu muru, gdzie się na chwilę schowali.

– Wiesz, na co to drewno, panie Harry? szepnął Hercules. – Do pieczenia pizzy. Pizzy, rozumiesz pan? Puścił do niego oko, a potem nagle wręczył mu kule i powiedział odwróciwszy się do ściany: – Podsadź mnie.

Rozejrzawszy się po ulicy, Harry chwycił Herculesa za pas i dźwignął go w górę. Mniej więcej w połowie wysokości mur przecinał uskok. Hercules z wysiłkiem chwycił się jego krawędzi, a po chwili był już na górze.

– Najpierw kule, potem lina.

Harry podał mu kule, a następnie rzucił zwiniętą ciasno linę. Hercules chwycił ją i odwinąwszy dwa metry zawiesił sobie zwój na ramię, a wolny koniec opuścił ku ziemi.

Harry złapał linę i poczuł, jak się napręża. Hercules uśmiechnął się do niego z góry i ponaglił gestem ręki, żeby już wchodził. Po dziesięciu sekundach Harry stał przy nim na występie muru.

– Nóg nie mam, panie Harry, ale reszta jak skała, co?

– Coś mi się widzi, że zaczęło ci się to podobać – Harry nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– To wyprawa w poszukiwaniu prawdy. Chyba nie ma

szlachetniejszego celu, panie Harry? – Karzeł przez chwilę świdrował go spojrzeniem, kryjącym w sobie cały ból jego marnego życia. Potem szybko odwrócił wzrok i zlustrował szczyt muru. – Jeszcze raz ta winda, panie Harry rzucił. – Tym razem będzie trudniej. Przyciśnij plecy do muru i trzymaj równowagę, bo polecimy obaj.

Harry przywarł plecami do ściany i zaparł się mocno stopami o wąską ceglana półkę.

– Ruszaj – rzucił półgłosem i zaraz poczuł na ramionach dłonie Herculesa, który wciągał się po nim do góry.

O twarz otarł mu się zwój liny, potem majtnęły mu przed oczyma martwe nogi karła i po paru chwilach ciężar zniknął.

Spojrzał w górę. Hercules siedział na szczycie muru.

– Kule – szepnął.

– Jak tam wygląda? – Harry podał mu je.

Karzeł wetknął sobie kule pod pachę i obrzucił spojrzeniem watykańskie ogrody po drugiej stronie. Trzydzieści metrów dalej zobaczył ponad koronami drzew szczyt wieży.

Odwrócił się ku Harry’emu i uniósł kciuk.

– No to powodzenia – rzekł Harry.

– Do zobaczenia w środku – Hercules puścił do niego oko, zahaczył linę o występ muru i z kulami pod pachą zniknął po drugiej stronie.

Po chwili wahania Harry obrzucił spojrzeniem ulicę i skoczył. Przetoczył się raz po ziemi i zaraz wstał.

Otrzepał ubranie, wcisnął na głowę swój czarny beret i ruszył szybko Viale Vaticano w tę stronę, z której przyszli. Pistolet od Scali miał za pasem, komórkę od Adrianny w kieszeni. Przed sobą widział sylwetki budynków, zupełnie czarne na tle bladego o pierwszym brzasku nieba.

Z zewnętrznej galeryjki u szczytu kopuły Świętego Piotra roztaczał się widok na cały Rzym. Thomas Kind z krótko przyszyżonymi czarnymi włosami, w czarnym garniturze i białej koszuli, jak ludzie Farela, oparł się o barierkę. Dwie godziny wcześniej otrzymał informację, że w Pekinie sprawa została załatwiona, kontrakty na Li Wena i Chen Yina zrealizowane. Pierwszy z nich wykonał osobiście Chen Yin, niczego nie podejrzewający. Drugi udało się załatwić, choć słono to kosztowało, poprzez kontakt w północnokoreańskiej służbie bezpieczeństwa, powiązany blisko z człowiekiem z chińskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Li Wena przewieziono na przesłuchanie na wojskowe lotnisko w Pekinie. Opłacony wartownik wpuścił Chen Yina na teren bazy. Chen wykonał swoją robotę, spodziewając się, że po prostu odejdzie nie niepokoiony przez nikogo. Wtedy zadziałał drugi kontrakt i sprawa była zakończona.

Pozostała do załatwienia jeszcze jedna. Ojciec Daniel i jego kompania. Na polecenie Palestriny i z błogosławieństwem Farela, Kind spędził cały poprzedni dzień ze starannie wybraną przez tego ostatniego piątką odzianych na czarno funkcjonariuszy Vigilanza. Pozornie mieli te same referencje, co każdy z członków doborowej

Gwardii Szwajcarskiej. Byli kawalerami w wieku poniżej trzydziestu pięciu lat, katolikami i obywatelami Szwajcarii. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Podczas gdy gwardziści mieli za sobą wzorową służbę w armii szwajcarskiej, przy nazwiskach tej piątki widniała w ankietach personalnych jedynie adnotacja „doświadczenie wojskowe”. Dopiero ze strzeżonych przez Farelą tajnych akt wynikało dlaczego. Wszystkich pięciu szef watykańskiego Urzędu Straży rekrutował osobiście, by uczynić z nich swoich i Palestriny prywatnych ochroniarzy. Trzech służyło przedtem w Legii Cudzoziemskiej, skąd wydano ich przed końcem trzyletniego terminu. Dwóch pozostałych po nieciekawym dzieciństwie, a przed służbą w armii, odsiadywało krótkie wyroki. Z wojska wyrzucono ich za groźby podlegające karze, w tym jednego za groźbę zabójstwa. Tym ostatnim był Anton Pilger. Całą piątkę przyjęto do Vigilanza w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy. Kind zastanawiał się, czy Palestrina nie uczynił tego właśnie w przewidywaniu podobnych problemów jak ten, który dzisiaj przy pomocy „czarnych garniturów” będzie musiał rozwiązać. Tak czy inaczej, wybór dokonany przez kardynała satysfakcjonował go i spotkał się z ochroniarzami, by po rozdaniu im fotografii braci Addisonów przedstawić swój plan.

Bracia przybyli do Rzymu wyłącznie w jednym celu, oświadczył. Aby uwolnić kardynała Marsciana. Pomysł Kinda polegał na tym, że mieli obserwować wieżę z

daleka i pozwolić, żeby dotarli do niej bez przeszkód. Kiedy znajdą się wewnątrz, pułapka po prostu zostanie zatrzaśnięta, Addisonowie zastrzeleni na miejscu w wieży, a ich ciała wywiezione w bagażniku na pola pod Rzymem, gdzie ktoś ich znajdzie po dwóch czy trzech dniach. Sprawcy pozostaną nieznani.

Thomas Kind spojrzął ze swego bocianiego gniazda pod szczytem bazyliki na plac w dole. Za jakąś godzinę zacznie się zaludniać. Wielojęzyczny tłum będzie się powiększał niemal z minuty na minutę, a wszyscy pojawią się tu po to, by zobaczyć święte i historyczne miejsca chrześcijaństwa.

Ciekawe, uzmysłowił sobie Kind, że on sam od przybycia tutaj stał się spokojniejszy, jego obłąd i desperacja jakby zelżały. Może istotnie to miejsce miało w sobie jakąś duchową moc.

A może pomagało mu to, że działał, zachowując pewien dystans. Tym razem bowiem organizował innych do zabijania zamiast zajmować się tym osobiście. Przyszła mu nawet do głowy całkiem rozsądna myśl, że może gdyby przestał zabijać, wycofał się z tej roboty na zawsze, mogłoby go to uleczyć. Myśl ta zarazem przejmowała go lękiem, ponieważ oznaczała przyznanie się do choroby, potwierdzenie, że jest już uzależniony od aktu morderstwa i związanych z nim przeżyć. Wiedział jednak, że podobnie jak w wypadku każdej choroby i uzależnienia, pierwszym krokiem jest rozpoznanie i diagnoza. Ponieważ nie mógł się zwrócić ze swymi problemami do profesjonalisty,

będzie musiał zostać własnym lekarzem i zlecić sobie odpowiednią kurację.

Podniósł głowę i jego wzrok powędrował ku odległemu Tybrowi. Plan, który przedstawił „czarnym garniturom”, był bardziej praktyczny niż efektowny, ale nie chodziło w nim przecież o wygraną trzeciej wojny światowej. W tych warunkach, z tymi ludźmi, musiał wystarczyć. Teraz pozostawało im tylko pilnie obserwować teren i czekać na pojawienie się Addisonów.

A potem zrobi swój pierwszy krok na drodze do zdrowia: będzie tylko koordynował akcję. Niech zabijają inni.

Kuchnię wypełniał brzęk szkła oraz zapach rumu i piwa.

Po raz ostatni zabułgotało w zlewie, do którego Elena wylała słodowe piwo Moretti z pięciu butelek. Odkręciła następnie kran i wypłukała dokładnie butelki, po czym przeniosła je na stół, przy którym pracował Danny.

Przed nim stała duża ceramiczna misa z dziobkiem. Wypełniały ją, proporcjonalnie zmieszane, dwa proste składniki, które znaleźli w kuchni: piętnastoprocentowy rum kuchenny i oliwa z oliwek. Po prawej leżały nożyczki i opakowanie plastikowych zamykanych torebek o pojemności pół litra; dalej – praca już wykonana: dziesięć serwetek stołowych pociętych na ćwiartki, a następnie nasączonych mieszaniną rumu z oliwą i ciasno zwiniętych w rurki. Te rurki Danny, z palcami ociekającymi rumowym tłuszczem, umieszczał w woreczkach, które starannie zamykał. Miał już dziesięć woreczków, po cztery rurki w każdym.

Skończywszy, wytarł dłonie w papierowy ręcznik. Potem ustawił przed sobą na stole butelki po piwie i ostrożnie porozlewał do nich resztkę mikstury z miski.

– Potnij jeszcze jakieś serwetki – polecił Elenie. – Potrzebuję teraz pięć suchych tamponów, piętnastocentymetrowych. Zwiń je bardzo ciasno.

– Dobrze. – Elena zerknęła na zegar nad kuchenką i

wzięła do ręki nożyczki.

Roscani nagłym ruchem wyjął z ust nie zapalonego papierosa i rozgniół go w popielniczce. Wiedział, że jeszcze chwila, a sięgnąłby po ogień. Spojrzał w lusterko alfy romeo, potem zerknął na siedzącego obok Castelletiego i dalej obserwował szeroką aleję przed nimi. Jechali na południe Viale di Trastevere.

Był jeszcze bardziej niespokojny niż w nocy, kiedy zupełnie nie mógł zasnąć. Rozmyślał o Pio i o tym, jak bardzo by chciał, żeby jego partner był teraz z nimi. Po raz pierwszy w życiu Roscani czuł się zagubiony. Nie wiedział, czy to, co robią, jest właściwe. Magia Pia polegała na tym, że w takiej sytuacji potrafili spojrzeć na całość sprawy inaczej niż oni trzej. Obgadaliby wszystko i w końcu znalazłby takie podejście, które pasowałoby każdemu. Ale Pio nie żył i jeśli mieli zamiar czarować, to zaklęcie będą musieli wymyślić sami.

Z głośnym piskiem opon skręcił ostro w prawo, potem jeszcze raz. Po lewej biegły tory kolejowe i Roscani odruchowo rozejrzał się za lokomotywą. Niczego jednak nie zobaczył i po chwili skręcali już w Via Nicolo V. Na końcu ulicy, naprzeciwko budynku oznaczonego numerem dwadzieścia dwa, stał na chodniku biały fiat Scali.

– Roscani z Castellettim – powiedziała Adrianna, kiedy ujrzeli błękitną alfę, zatrzymującą się za fiatem.

Z tego ostatniego wysiadł Scala i podszedł do alfy. Detektywi rozmawiali przez chwilę, po czym Scala wsiadł do swojego auta i odjechał.

– Wszystko odpowiednio skoordynowane w czasie – rzekł Eaton. – Addison wyszedł dwie godziny temu i nie wrócił. Teraz pojawia się Roscani. Będzie czekał, aż ojciec Daniel wykona następny ruch, i pilnował, żeby nic mu nie...

Rozległ się ostry świergot pagera. Eaton natychmiast chwycił radiotelefon.

– Tak?

Adrianna widziała, jak słucha z zaciśniętą szczęką.

– Kiedy?

Niemal słyszała, jak zgrzyta zębami.

– Biuro nic nie wie, pamiętaj, żadnych komentarzy. W porządku. – Odwiesił radio i przez chwilę patrzył przed siebie w przestrzeń.

– Li Wen przyznał się do zatruwania jezior. A kilka minut później zastrzelił go jakiś zamachowiec, którego z kolei zabili strażnicy. Wszystko gra. Kim ci to pachnie?

– Thomas Kind... – Adriannę przeniknął zimny dreszcz. Eaton spojrzał w stronę kamienicy.

– Nie wiem, co ten pieprzony Roscani kombinuje, ale

jeżeli on im pozwoli wejść na teren Watykanu po Marsciana, to jest prawdopodobne, że ktoś zostanie zabity. Kto wie, czy Kind już tam na nich nie czeka.

– James! – Adrianna pokazała nagle palcem na ulicę, uchwyciwszy kącikiem oka jakiś ruch.

Z alfy romeo wysiadł Roscani z komórką przy uchu, rozglądając się. Po chwili wysiadł też Castelletti. Przeszedł kawałek chodnikiem, przyciskając do uda pistolet maszynowy. Przyglądał się, niczym zwiadowca, budynkom po obu stronach ulicy.

Roscani powiedział coś przez telefon, skinął głową i machnął ręką do Castellettiego. Obaj błyskawicznie wsiedli z powrotem do auta.

W tej samej chwili otworzyły się frontowe drzwi pod numerem dwadzieścia dwa i w porannym słońcu ukazał się brodaty mężczyzna na wózku inwalidzkim, ubrany w koszulę w hawajskie wzory. Wózek prowadziła młoda kobieta w dżinsach i przeciwsłonecznych okularach. Na podołku mężczyzny leżała torba na kamerę wideo, drugi podobny futerał wisiał na ramieniu dziewczyny.

– O kurwa, to on! – zawołała podekscytowana Adrianna. – A kobieta... to musi być Elena Voso.

Usłyszeli pisk opon. Roscani zawrócił ostro na jezdni i znalazł się przy chodniku, którym ruszyła para. Zwolnił i jechał teraz w ich tempie. Kierowali się w stronę Watykanu, wyglądając jak dwoje turystów na porannej przechadzce.

– A niech to, on ich tak gotów niańczyć aż do Świętego

Piotra! – Eaton przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił bieg i zielony ford ruszył powoli w dół Via Nicolo V. Amerykanin był wściekły; czuł się zupełnie bezradny. Jedyne, na co mógł sobie teraz pozwolić, nie wywołując międzynarodowego skandalu dyplomatycznego, to nie stracić z oczu niebieskiej alfy.

Skręcili z Largo di Porta Cavalleggeri na plac Świętego Officium, rzut kamieniem od południowej kolumnady i wylotu placu Świętego Piotra. Roscani instynktownie zerknął w lusterko. Zielony ford trzymał się kilkadziesiąt metrów za nimi, jadąc powoli, z tą samą szybkością co alfa. Z przodu siedziały dwie osoby. Pasażer forda zorientował się, że na nich patrzy, i opuścił głowę. Roscani zobaczył, że Elena skręca z wózkiem w lewo, kierując się ku kolumnadzie, i jeszcze raz spojrzął w lusterko. Ford wciąż tam był. A potem skręcił nagle w prawo, przyśpieszył i zniknął mu z pola widzenia.

Eaton przejechał szybko dwie przecznice, skręcił dwukrotnie w lewo i znalazł się na Via della Conciliazione.

Przyśpieszył, mijając wycieczkowy autobus i przeskoczywszy na prawy pas, zatrzymał nagle forda w strefie postoju taksówek, dokładnie naprzeciwko bazyliki.

Natychmiast wysiedli oboje z auta i ignorując gniewne krzyki któregoś z taksówkarzy, pobiegli, uskakując przed samochodami, w stronę wypełnionego ludźmi placu. Znalazłszy się tam, zaczęli przeciskać się wśród tłumu turystów, szukając wzrokiem kobiety pchającej inwalidzki wózek. Nagle usłyszeli ostrzegawczy klakson i ujrzeli jadący wprost na nich mały autobus, wahadłowiec dowożący turystów do Muzeów Watykańskich. Na przodzie, pod napisem „Musei del Vaticano”, miał niebieskie logo z symbolem wózka, międzynarodowy znak niepełnosprawnych. Usunęli się z drogi autobusowi, a kiedy ich mijał, Adriannie mignęła przed oczami twarz ojca Daniela, siedzącego przy oknie z przodu. Wahadłowiec skręcił i pojechał przez plac Piusa XII, na którym zostawili samochód.

Pięćdziesiąt metrów dalej, w tłumie zmierzającym do bazyliki, szedł Harry. Za pasem miał pistolet, na głowie czarny beret, opuszczony niemal zawadiacko na czoło, a w kieszeni, na wszelki wypadek, dokumenty od Eatona na

nazwisko księdza Roe. Pod czarnym garniturem z koloratką ukrył robocze spodnie i koszulę, zabrane z mieszkania przy Via Nicolo V.

Wszedł na szerokie schody i zatrzymał się na podeście. Przed drzwiami bazyliki czekało na jej otwarcie kilka setek ludzi. Była ósma pięćdziesiąt pięć; kościół otwierano o dziewiątej. Modląc Się w duchu, żeby go ktoś nagle nie rozpoznał, Harry opuścił głowę i westchnąwszy głęboko, czekał razem ze wszystkimi.

Hercules przycupnął pomiędzy blankami starego muru obronnego stykającego się z wieżą Świętego Jana. Znajdował się u jego krańca, przy samej wieży i jakieś sześć metrów poniżej krytego dachówką stożkowatego dachu.

Niemal trzy godziny zabrało mu wdrapanie się na ścianę od strony watykańskich murów, chwyt za chwytem, kryjąc się wśród porannych cieni. Ale wreszcie dotarł na szczyt i aż do swej obecnej kryjówki. Chciało mu się pić i był ściśnięty na niewielkiej przestrzeni, ale czekał cierpliwie, zadowolony, że znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

W dole widział dwóch ludzi Farela w czarnych garniturach; kryli się w krzakach w pobliżu wejścia do wieży. Jeszcze dwóch dostrzegł za wysokim żywopłotem po drugiej stronie wąskiej ścieżki. Drzwi wieży jednak były zupełnie nie strzeżone. Ilu ochroniarzy kryło się w jej wnętrzu, nie wiedział.

Jeden, pięciu, dwudziestu, a może żaden? Oczywiście było jednak, tak jak przewidział to Danny, że „czarne garnitury” będą się trzymać z daleka, nie na widoku, niczym pająki oczekujące z nadzieją, że ich ofiara sama niemądrze wpadnie w sieć.

Danny. Hercules uśmiechnął się do siebie. Podobało mu się nazywanie po imieniu księdza, jak robił to Harry.

Czuł się dzięki temu jak członek jakiejś rodziny, do której chciałby należeć. I teraz, w każdym razie dzisiaj, mógł uznać, że należy. To miało swoje znaczenie. Był karłem z charakterem; porzucony przez matkę krótko po urodzeniu, szedł zawsze własną drogą i brał życie takim, jakim było, nie godząc się na rolę ofiary. I oto nagle poczuł, że chce do kogoś należeć.

Intensywność tego bolesnego pragnienia zaskoczyła go, lecz jednocześnie uświadomiła coś innego: miał w sobie więcej człowieczeństwa, niż myślał, niezależnie od swego wyglądu.

Harry i Danny potrzebowali go ze względu na jego umiejętności i już samo to dawało mu poczucie celu i godności.

Powierzyli mu swoje życie, a także życie Eleny i kardynała Kościoła. Cokolwiek się miało wydarzyć, na pewno ich nie zawiedzie. I nieważne, ile go to będzie kosztować.

Zmrużywszy oczy przed słonecznym blaskiem, spojrzął ku alejce, którą mieli później dotrzeć do stacji. Niemal dokładnie naprzeciwko, za krzewami, w których cieniu kryli się dwaj ludzie Farela, widniało lądowisko papieskiego helikoptera. Na prawo zaś wyrastała ponad korony drzew druga wieża – należąca do budynku Radia Watykańskiego.

Zerknął na zegarek.

9.07

Danny i Elena weszli do Muzeów Watykańskich

głównym wejściem, w towarzystwie trzech innych par z wózkami, które przyjechały tym samym autobusem. Pierwszą była dwójka Amerykanów w starszym wieku: mężczyzna w czapeczce baseballowej Dodgersów wciąż popatrywał na czapeczkę Danny'ego z emblematem Yankees, jakby go rozpoznał albo po prostu miał dość zwiedzania i wolał porozmawiać o sporcie. Jego wózek pchała żona, pulchna i sympatycznie uśmiechnięta. Drugą parę stanowili ojciec z synem, mniej więcej dwunastolatkiem z nogami w szynach; chyba Francuzi. Trzecią – kobieta w średnim wieku i siwa staruszka, którą się opiekowała, prawdopodobnie jej matka, choć trudno to było stwierdzić, bo starsza zwracała się do młodszej wyjątkowo opryskliwie. Mówiły po angielsku.

Po kolei kupili bilety wstępu, po czym poinstruowano ich, żeby poczekali na windę, którą mieli wjechać na piętro.

– Stań tutaj. Bliżej drzwi – warknęła starsza Angielka na młodszą. – – To nie do pojęcia, że włożyłaś akurat tę suknię, której tak nie znoszę.

Elena poprawiła sobie na ramieniu pasek torby, zerkając przy tym na Danny'ego. Ich futerały na kamerę wideo nie zawierały bynajmniej kamer i kaset, lecz papierosy i zapalki, nasączone oliwą i rumem tampony w foliowych torebkach oraz cztery butelki po piwie – dwie w każdej z toreb – z tym samym płynem zapalającym i z zatkniętymi w szyjkach knotami.

Rozległ się dzwonek, zapaliła się czerwona lampka i

drzwi windy się otworzyły. Kiedy przepuścili wysiadających, siwowłosa Angielka oznajmiła:

– Pozwolicie państwo, że my pierwsze.

I weszły pierwsze, a Danny z Eleną znaleźli się na końcu.

Gdyby weszli jako drudzy czy nawet trzeci, odwróciliby się do drzwi, lecz w pełnej windzie już nie mogli tego uczynić.

Dlatego Danny nie zobaczył Eatona i Adrianny, nie widział, jak Amerykanin odchodzi od kasy i w ostatniej chwili przed zamknięciem drzwi dostrzega ich w windzie.

Harry szedł z wolna przez bazylikę, trzymając się grupy kanadyjskich turystów i wraz z nimi zatrzymując się, żeby popatrzeć na Pietę watykańską Michała Anioła, pełną pasji rzeźbę Madonny z martwym Chrystusem na kolanach.

Potem odłączył się od Kanadyjczyków i skierował ku środkowi głównej nawy, rozglądając się po zwieńczonym potężną kopułą wnętrzu. W końcu jego wzrok spoczął na olbrzymim baldachimie z brązu, konfesji Świętego Piotra, Lorenza Berniniego.

Dalej szedł już sam, według wskazówek Danny'ego. Skierował się na prawo, minął drewniane konfesjonały i rzuciwszy okiem na figury świętych: Petronilli i Michała Archanioła, stanął przy posągu papieża Klemensa XIII, za którym znajdował się występ muru. Harry obszedł go i ujrzał dekoracyjną draperię, wiszącą na pozornie litej ścianie.

Obejrząwszy się przez ramię, wszedł za tkaninę i znalazł się w wąskim korytarzu z drzwiami na końcu. Za nimi były krótkie schody w dół. Kiedy zszedł po nich i otworzył kolejne drzwi, musiał zmrużyć oczy przed ostrym słońcem ogrodów Watykanu.

9.25

9.32

Elena otworzyła drzwi awaryjne, przytrzymała je stopą

i zablokowała taśmą klejącą języczek zamka, żeby się za nią nie zatrzasnęły.

Usatysfakcjonowana, wyszła na dwór i drzwi się zamknęły. Ruszyła szybko przed siebie, zerkając na piętro budynku, który właśnie opuściła. Zostawiła Danny'ego przed wejściem do męskiej toalety w korytarzu niedaleko Kaplicy Sykstyńskiej. Za kilka minut miała tam się znaleźć z powrotem.

Poprawiwszy pasek futerału na ramieniu, minęła szybko niewielki dziedziniec i znalazła się wśród starannie utrzymanych ścieżek, trawników i dekoracyjnych żywopłotów przy jednym z wejść do ogrodów. Na prawo zobaczyła schody prowadzące do Fontanny Sakramentu.

Ruszyła w tamtą stronę szybkim krokiem, rozglądając się jednak co chwila, jakby niepewna, dokąd ma iść. Gdyby ją ktoś zatrzymał, powie po prostu, że wyszła niewłaściwymi drzwiami z muzeum i zabłądziła.

Dotarła do schodów i znalazłszy się po chwili przy fontannie, skręciła w prawo. Obok pnia sosny stało kilka plastikowych skrzynek na sadzonki. Elena rozejrzała się ponownie, jak gdyby naprawdę zabłądziła. Upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, wyjęła z torby czarną nylonową torebkę i wetknęła ją za pojemniki. Wstała i rozejrzawszy się po raz kolejny, wróciła tą samą drogą pod budynek muzeum. Pchnęła drzwi, wchodząc do środka zerwała taśmę z zamka i wbiegła schodami na piętro.

Danny otworzył drzwi kabiny w męskiej toalecie i spojrzał na główne pomieszczenie. Dwóch mężczyzn stało przy pisuarach, jeden przy lustrze dłubał wykałaczką w zębach. Danny wytoczył się z kabiny i podjechał do drzwi na korytarz. Pchnął je, lecz nie chciały się otworzyć. Ktoś z drugiej strony próbował właśnie wejść. Danny obejrzał się przez ramię. Mężczyźni stali tam, gdzie przedtem. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Hej! – usłyszał zza drzwi czyjś głos.

Odjechał do tyłu, nie wiedząc, czego się spodziewać. Rękę położył na torbie, gotów w razie potrzeby użyć jej do obrony.

Drzwi stanęły otworem i pojawił się w nich na wózku jego znajomy z autobusu, Amerykanin w czapeczce Dodgersów.

Zatrzymał się natychmiast, twarzą w twarz z Dannym.

– Naprawdę pan kibicuje Yankeesom? – spojrzał na czapkę Danny'ego i skrzywił się żartobliwie. – Chyba pan oszalał.

Danny popatrzył ponad jego ramieniem na korytarz.

W obu kierunkach płynął nieprzerwany strumień zwiedzających. Gdzie jest Elena? Punktualność była najważniejsza.

Harry na pewno jest już w ogrodach i szuka torebki.

– Po prostu lubię baseball. Noszę różne czapeczki – odpowiedział i cofnął wózek. – Niech pan wjeżdża. Ja wyjeżdżam.

– Ale komu pan kibicuje? – nie ustępował fan Dodgersów. – No, dalej, niech pan wymieni jakiś zespół. Liga Amerykańska czy Narodowa?

Na korytarzu pojawiła się Elena.

Danny spojrzał na natręta i wzruszył ramionami.

– Jesteśmy w Watykanie, więc wypadałoby powiedzieć, że kibicuję Ojczulkom... Przepraszam bardzo, lecz ktoś na mnie czeka.

– Jasne, nie ma sprawy, kolego. – Mężczyzna wyszczerzył się w uśmiechu i wjechał do środka.

Gdy Danny znalazł się wreszcie na korytarzu, Elena chwyciła za wózek i ruszyli. Raptem położył ręce na kółka i zahamował.

Na końcu korytarza mignęli mu Eaton i Adrianna Hall.

Szli szybko i rozglądali się w tłumie, wyraźnie kogoś szukając.

– Zawróć – rzucił półgłosem do Eleny – pójdziemy w drugą stronę.

Gdyby to była budka telefoniczna, Harry mógłby się poczuć jak Superman. Ale nie było budki, tylko gęste krzaki za niskim murkiem przy alejce, którą oddalił się od bazyliki.

Przykucnął w tym ukryciu i zdjął ubranie księdza, zostając w roboczych spodniach i koszuli, które miał pod spodem.

Następnie wcisnął strój księdza w gęstwinę krzewów, nabrał garść sypkiej ziemi i pobrudził nią sobie przód koszuli, resztę wcierając w spodnie. Wyszedł z ukrycia, zaczekał, aż przejedzie mały czarny fiat i poszedł alejką, modląc się w duchu, żeby rzeczywiście w oczach tych, którzy go zobaczą, wyglądać jak ogrodnik.

Przeciął żwawym krokiem niewielki trawnik i znalazł się przy Fontannie Sakramentu. Wszedł na górę schodami po prawej i rozejrzał się. Wokół było pusto. Przed sobą miał sosnę, wskazaną przez Danny'ego, pod którą stały skrzynki z sadzonkami. Podeszedł do drzewa, czując, jak opuszcza go spokój. Nagle stał się świadom każdego oddechu, poczuł, jak pistolet wgniata mu się w brzuch pod koszulą, usłyszał głośnie bicie pulsu.

Znalazłszy się przy skrzynkach, spojrzął za siebie i uklęknął. Dotknął dłonią nylonowego pokrowca i wydał westchnienie ulgi. Danny i Elena nie tylko byli na miejscu, ale także bez przeszkód dostarczyli do skrytki

wypchaną torebkę, której w ostatniej chwili postanowił nie brać ze sobą, żeby nie wzbudzić podejrzeń ochrony w bazylice.

Wstał i rozejrzawszy się kolejny raz, wyciągnął ze spodni koszulę, przymocował torebkę do pasa i wsunął pod nią pistolet. Wepchnął koszulę w spodnie na tyle luźno, żeby maskowała wypukłość i zszedł schodami na dół. Wszystko to zajęło mu niewiele ponad pół minuty.

9.57

Wieża Świętego Jana Rozległ się bezlitosny odgłos przekręcanego w zamku klucza, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Thomas Kind. W korytarzu, z rękami skrzyżowanymi na piersi, stał Anton Pilger i obserwował pokój, nie ruszając się z miejsca.

– Buon giorno, Eminencjo – rzekł Kind. – Można na chwileczkę?

Marsciano milczał. Kind rozejrzał się po pokoju, po czym wszedł do łazienki, a po chwili wyszedł z niej i skierował się ku przeszklonym drzwiom na balkon. Gdy się na nim znalazł, oparł ręce o barierkę, zlustrował wzrokiem ogrody w dole i ścianę wieży nad drzwiami, aż po dach.

Usatysfakcjonowany oględzinami, wrócił do pomieszczenia i przez chwilę przyglądał się kardynałowi.

– Dziękuję, Eminencjo – powiedział w końcu i szybko wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Słyszając szczęk zamka, Marsciano aż się wzdrygnął. Ten dźwięk stał się dla niego w ciągu ostatnich godzin

prawdziwą udręką.

Zastanawiał się, dlaczego zabójca odwiedził go już po raz trzeci w ciągu doby, za każdym razem powtarzając tę samą procedurę.

– Jak dojdziemy do tylnych drzwi, idź na prawo – powiedział Danny do Eleny, pchającej wózek przez Salę Papieży, ostatnią w Apartamentach Borgiów.

Czuła, jaki jest podekscytowany i niespokojny. Ten nagły zwrot w korytarzu przed toaletą i to napięcie w głosie musiały być spowodowane nie tylko koncentracją na tym, co robili, lecz również strachem.

Za drzwiami skręciła w prawo, tak jak kazał. W połowie długiego korytarza znajdowało się wejście do windy.

– Stań – polecił Danny.

Zatrzymała wózek i wcisnęła guzik windy.

– Co się stało, ojczye Danielu? Czy dzieje się coś złego?  
– zapytała.

Danny przez chwilę obserwował tłum zwiedzających, a potem spojrzał na nią, zadzierając głowę.

– Eaton i Adrianna Hall są w budynku; szukają nas.

Musimy ich unikać za wszelką cenę.

Drzwi windy się otworzyły. Kiedy Elena pchnęła ku nim wózek, usłyszeli nagle aż nazbyt znajomy głos.

– My pierwsze, jeżeli państwo pozwolą.

Obok nich stały Angielki z autobusu – siwowłosa staruszka na wózku, ze swą posłuszną córką. Już po raz drugi natknęli się na parę z tej grupy i Danny zastanawiał się, czy to nie jakieś fatum.

– Nie tym razem, szanowna pani, przepraszam – zgromił ją wzrokiem.

Elena wepchnęła wózek do windy.

– No, coś podobnego! – zawołała z oburzeniem kobieta.

– W takim razie w ogóle nie pojedę z takim chamem jak pan!

– Dziękuję bardzo – odparł Danny, wcisnął guzik i drzwi się zasunęły. Gdy winda ruszyła, wyjął z kieszeni klucze, które dał mu w Lugano ksiądz Bardoni. Wsunął jeden z nich do zamka znajdującego się pod przyciskami i przekręcił.

Winda minęła parter i pojechała niżej. Kiedy się zatrzymała, ujrzeli słabo oświetlony korytarz. Danny wyjął kluczyk i wcisnął guzik z napisem „Blokada”.

– Dobra, teraz w lewo i od razu w pierwszy korytarz na prawo – polecił Elenie.

Piętnaście sekund później znaleźli się w wielkiej maszynowni, mieszczącej urządzenia wentylacyjne budynku.

10.10

Marmurowa posadzka, tapicerowane drewniane ławeczki; półkolisty ołtarz z różowego marmuru z krucyfiksem z brązu; barwny witrażowy sufit. Prywatna kaplica Ojca Świętego.

Palestrina bywał tu niezliczoną ilość razy. Modlił się tutaj z samym tylko papieżem albo z kilkoma wybranymi gośćmi – królami, prezydentami, mężami stanu.

Dziś jednak po raz pierwszy Ojciec Święty wezwał go na wspólną modlitwę bez uprzedzenia, pod wpływem nagłego impulsu. Kiedy wszedł, zastał papieża siedzącego przed ołtarzem, na krześle z brązu, z głową pochyloną w modlitwie.

Leon XIV ujrawszy go, wyciągnął ku niemu ręce i ujął jego dłonie w swoje. Wpatrywał się weń z napięciem i troską.

– Co się stało? – zapytał kardynał.

– Dzisiejszy dzień jest jakiś niedobry, Eminencjo – głos papieża był ledwie słyszalny. – Mam przeczucie jakiegoś nieszczęścia... Moje serce przepełnione jest lękiem i obawami.

Opadły mnie, kiedy tylko się obudziłem o świcie i wciąż ciążą mi na ramionach. Nie wiem, co to jest, ale ty jesteś częścią tych obaw, Umberto... Częścią tego mroku...

– Papież przerwał i spojrzał sekretarzowi stanu badawczo w oczy. – Powiedz mi, co to jest?

– Nie wiem, Wasza Świątobliwość. Mnie się ten dzień wydaje piękny. Jest ciepło, słońeczko świeci...

– Więc módl się ze mną, abym się mylił, aby mnie opuściło to uczucie. Módl się o zbawienie duszy...

Papież wstał ze swego miejsca i obaj dostojnicy uklękli przed ołtarzem. Gdy Leon XIV zaczął wypowiadać półgłosem słowa modlitwy, kardynał Palestrina pochylił głowę. Wiedział, że złe przeczucia Ojca Świętego są całkowicie nie uzasadnione.

Koszmar, który zaczął się o świcie wraz z telefonem Kinda na temat sytuacji w Chinach – wyrywając kardynała z jeszcze gorszego koszmaru, w którym śniły mu się złe duchy – niespodziewanie ustąpił miejsca pomyślnym wieściom.

Przed godziną zatelefonował Pierre Weggen, by go poinformować, że pomimo wpadki Li Wena i odkrycia przez władze, iż zatrucia nie były dziełem natury, lecz – jak to ujęto w oficjalnym komunikacie – „cierpiącego na zaburzenia psychiczne inspektora jakości wody”, Pekin zdecydował się nie rezygnować z pomysłu przebudowy wodociągów. Gest ten miał dla komunistów znaczenie propagandowe. Wierzyli, że pomoże im uspokoić wciąż przerażone i zszokowane społeczeństwo, a jednocześnie pokaże światu, że Komitet Centralny panuje nad sytuacją. A więc mimo wszelkich przeciwności „Chiński Protokół” był wprowadzany w życie i nic już nie mogło tego cofnąć. W dodatku Thomas Kind dotrzymał słowa i wraz z zabójstwem Li Wena oraz Chen Yina nici łączące

wypadki w Chinach z Rzymem zostały ostatecznie przecięte. Niezawodna ręka Kinda miała wkrótce dopisać końcowy fragment całej historii, zacierając tu, w Watykanie, ostatnie ślady. Cma wreszcie wpadnie w płomień. A ojciec Daniel i jego brat nie są żadnymi duchami, zesłanymi przez śmierć, lecz zwykłym utrapieniem, które z łatwością można usunąć.

Ojciec Święty był więc w błędzie. Ciężące mu na barkach mroczne przeczucia nie zwiastowały śmierci sekretarza stanu, lecz były najzwyczajniej oznaką słabości starego i lęklivego człowieka.

Rosciani w zdenerwowaniu przygryzł kciuk, patrząc na zbliżającą się po torze lokomotywę. Była stara i stękała ciężko, a zielone niegdyś blachy jej poszycia pokrywała gruba warstwa tłustej sadzy.

– Za wcześnie – rzucił z tylnego siedzenia Scala.

– Za wcześnie, czy za późno, grunt, że w ogóle jest – stwierdził Castelletti, siedzący obok Roscaniego.

Obserwowali rozwój wypadków z alfy zaparkowanej na poboczu, w połowie odległości dzielącej rozjazd prowadzący do murów Watykanu od stacji San Pietro. Usłyszeli zgrzyt stali o stal, gdy maszynista włączył hamulce i pojazd zaczął zwalniać, aż w końcu minąwszy ich, zatrzymał się. Ze schodka zeskoczył pomocnik maszynisty i podszedł do ręcznej zwrotnicy. Przeszawił ją, pociągając za metalową dźwignię, i pomachał ku lokomotywie. Z komina buchnął obłok brunatnych spalin i maszyna przejechała rozjazd. Pomocnik dał znak, że może się zatrzymać, przesawił zwrotnicę z powrotem i wdrapał się do kabiny maszynisty.

Scala pochylił się ku przednim fotelom.

– Jeżeli teraz wjadą, to szlag trafi rozkład jazdy Addisona – stwierdził rzeczowo.

– Nie wjadą. – Castelletti pokręcił głową. – To

Watykan, kolego. Będą tak stali, aż zostanie im tylko tyle czasu, ile potrzeba na otwarcie bramy, aby wjechać do środka punkt jedenasta. Żaden włoski kolejarz nie będzie narażał się na to, że zarzucą mu brak punktualności.

Rosciani wrócił do obserwacji lokomotywy. Coraz bardziej męczył go niepokój z powodu tego, co robili. Może za bardzo tęsknił do sprawiedliwości i dlatego zdołał sam siebie przekonać, że dzięki Addisonom stanie się jej zadość.

Im dłużej jednak o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że musieli wszyscy oszaleć. A on najbardziej, gdyż się zgodził na całą akcję. Addisonom mogło się wydawać, że są przygotowani na każdą ewentualność, lecz prawda była taka, że w konfrontacji z tajniakami Farela nie będą mieli szans. Nie wspominając już o Kindzie. Problem polegał na tym, że na odwrócenie biegu wydarzeń było już za późno.

10.17

Danny zszedł z wózka i siedział na podłodze, z wykrzywionymi pod dziwnym kątem nogami w niebieskich szynach.

Przed nim leżała gruba warstwa pogniecionych gazet. Na wierzchu rozłożył rzędem osiem tamponów nasączonych mieszaniną oliwy i rumu, w odstępach mniej więcej dziesięciocentymetrowych. Wszystko to znajdowało się bezpośrednio przed głównym wlotem powietrza, obsługującym system wentylacyjny Muzeów Watykańskich.

– Oorah! – powiedział półgłosem do siebie.

To stare celtyckie zawołanie bojowe, oznaczające „Gotów zabijać!”, marines przyjęli za swoje. Płynęło z głębi duszy, rozwijając chęć działania i równocześnie przejmując dreszczem. Wszystko, co cała ich czwórka robiła do tej chwili, to były tylko przygotowania; teraz miała się rozpocząć właściwa akcja. Danny podsycił swoje emocje, wprawiając się w nastrój, którego teraz potrzebował – w stan ducha wojownika.

– Oorah! – powtórzył pod nosem, kiedy skończył pracę.

Obejrzał się na Elenę. Stała za nim przy emaliowanym zlewie, a u jej stóp znajdowało się stare cynowe wiadro wypełnione szmatami, służącymi obsłudze do utrzymywania pomieszczenia i urządzeń w czystości. Szmaty były teraz porządnie zmoczone.

– Gotowa?

Skinęła głową.

– No to start.

Danny zerknął jeszcze na zegarek, po czym zapalił zapalniczkę i przytknął ją kolejno do tamponów. Buchnęły płomienie i uniósł się gęsty brązowy dym; od tamponów natychmiast zajęły się gazety. Narzucił na wierzch jeszcze jeden stos pogniecionego papieru. Po chwili ogień szalał już na dobre.

– Teraz! – zawołał Danny.

Elena przyskoczyła do płonącego stosu i krzywiąc się przed gorącem i dymem zaczęła rzucać nań mokre szmaty.

Płomienie błyskawicznie zmalowały i zgasły. W ich miejsce strzelił w górę słup biało-brunatnego dymu, który od razu został wciągnięty do kanału wentylacyjnego. Zadowolony z efektu, Danny odsunął się i Elena pomogła mu usiąść z powrotem na wózku.

– Punkt drugi – powiedział.

Harry stał w cieniu starych sosen od północno-wschodniej strony muzeum powozów, czekając, aż przejedzie ogrodnik na elektrycznym wózku. Następnie wyszedł z ukrycia, walcząc po drodze z zaciętym zamkiem torebki przypiętej do pasa. Wreszcie udało mu się ją otworzyć. Wyjął z niej foliowy woreczek, wyciągnął jeden z oliwno-rumowych tamponów i schował resztę do torby.

W oddali widział patrol dwóch ubranych w białe koszule funkcjonariuszy służby porządkowej, idących alejką w kierunku Ufficio Centrale di Vigilanza, komendy Urzędu Straży. Budynek ten znajdował się, jak teraz to sobie uświadomił, zaledwie jakieś sto metrów od stacji kolejowej.

– Rany boskie – mruknął pod nosem i uklękawszy szybko, zgarnął na spory stosik suche sosnowe igły, położył na nim tampon i podpalił. Wszystko od razu się zajęło.

Policzył do pięciu i rzucił na wierzch jeszcze garść igieł.

Buchnął biały dym, a po chwili płomienie przebiły się znowu.

Harry poczekał, aż się porządnie rozpalą, po czym

przysypał ognisko kilkoma dużymi garściami mokrych liści, wygarniętych spod podlewanego niedawno żywopłotu.

W tym momencie od strony muzeów rozległo się wycie syren alarmowych. Rzucił na stos ostatni pęk mokrych liści i ujrawszy, że biały dym już wzbija się w górę, ruszył trawiastym pagórkiem ku centralnej alei ogrodów.

Elena patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, czekając, aż zatrzyma się winda. Starła się nie słyszeć wycia syren, nie myśleć o spanikowanym tłumie turystów i o szkodach – niewielkich, jeśli w ogóle, zapewnił ją ojciec Daniel – jakie mógł bezcennym zabytkom wyrządzić dym.

Drzwi windy zaczęły się rozsuwać i do wnętrza wdarła się woń spalenizny. Usłyszeli bicie dzwonów i pisk czujników przeciwpożarowych.

– Szybko! – ponaglił Danny.

Pchnęła wózek i znaleźli się w strumieniu przerażonych ludzi, popędzanych przez funkcjonariuszy Vigilanza w białych koszulach.

– Do tych drzwi na końcu – wskazał Danny.

– Dobrze – odparła Elena czując, jak wzbiera w niej fala adrenaliny.

Zaczęła przepychać się z wózkiem wśród zgiełku i gęstniejącego dymu. Nagle bez żadnego powodu jej myśl zwróciła się znów ku Harry'emu i owej chwili, gdy rzuciwszy jej milczące spojrzenie, wyszedł wraz z Herculesem z mieszkania w poranny mrok. Nie było w

tym spojrzeniu lęku ani nawet zaniepokojenia; była w nim miłość. Prawdziwa i głęboka, nie dająca się opisać słowami, a jednak realna. Przeznaczona tylko dla niej i mająca pozostać z nią już do końca życia, gdziekolwiek będzie i cokolwiek się wydarzy.

– Tam! – usłyszała nagle głos Danny’ego i przywróciło ją to do rzeczywistości.

Skręciła i po chwili znaleźli się na jakimś dziedzińcu, który wypełniał się gęstniejącą ciżbą ludzi, wylewającą się z licznych drzwi. Ich krzyki ginęły w przenikliwym wyciu alarmów. Zobaczyła, że Danny wyjmuje z torby trzy kolejne tampony zapalające i trzy „książeczki” z zapalnikami. Pod okładkę każdej z nich wetknięty był papieros bez filtra, który miał posłużyć jako lont.

– Podjedź tam – Danny pokazał na jeden z trzech dużych pojemników na śmieci, stojących w kilkumetrowych odstępach.

Ze wszystkich otwartych drzwi i okien budynku wydobywały się teraz kłęby dymu. Wszędzie pełno było ludzi, przerażonych i rozwrzeszczanych, usiłujących w popłochu wydostać się z muzeum.

Danny ociekającymi oliwą palcami wciskał zapalniki w tampony.

– Powoli – polecił, kiedy znaleźli się przy śmietniku.

Zapalił pierwszego z papierosów i upewniwszy się, że złapał żar, wrzucił go do pojemnika. – Następny.

To samo zrobili przy drugim śmietniku, potem przy trzecim.

Żar w pierwszym papierosie dotarł już do zapalek. Zajął się z cichym poświstem, a od nich z kolei zapalił się oliwno-rumowy tampon, wznecając w śmietniku pożar.

– Z powrotem do środka – zawołał Danny, przekrzykując wycie systemów alarmowych.

Elena skierowała się ku najbliższym drzwiom, z których wciąż wylewał się ludzki strumień i coraz gęściejszy dym.

Po dachu biegło kilku vigili delfuoco, strażaków watykańskich. W hełmach i gumowanych kurtkach, z toporkami w rękach, rozglądali się w poszukiwaniu płomieni. Oznaczało to, że nie udało im się jeszcze odnaleźć źródła dymu. Nagle jeden z nich się zatrzymał i pokazał w dół, wołając coś do pozostałych. Wszyscy stanęli i spojrzeli w to samo miejsce.

Danny i Elena nie musieli oglądać się za siebie, żeby wiedzieć, że palą się już wszystkie trzy śmietniki.

Byli przy drzwiach.

– Scusi! Scusi! – Elena okrzykami torowała sobie drogę pod prąd.

Jakimś cudem sporo osób słyszało ją i ustępowało z drogi.

Kiedy znaleźli się w budynku i ruszyli długim korytarzem, zobaczyła, że Danny wyjmuje komórkę i wybiera numer.

– Harry, gdzie jesteś? – zawołał.

– Na wzgórzu. Numer dwa już się pali – padła

odpowiedź.

Harry szedł szybko pomiędzy gęsto rosnącymi sosnami ku północno-zachodniemu krańcowi ogrodów. Usiłował nie myśleć o tym, że wszystko, jak na razie, im się udaje i że jest ich tylko trójka, nie licząc Herculesa. Dobry plan, zaskoczenie i zdecydowanie w działaniu – podkreślał Danny wciąż od nowa – to najważniejsze czynniki powodzenia każdej akcji partyzanckiej. Jak dotąd, to się sprawdzało.

Pięćdziesiąt metrów za nim był budynek Radia Watykańskiego. Kilkadziesiąt metrów na prawo, spod żywopłotu, skąd Harry przed chwilą odszedł, zaczął się wydobywać gęsty dym. Dalej widział słup dymu z pierwszego ogniska, unoszący się leniwie w powietrzu.

– Nie ma wiatru, Danny – powiedział do słuchawki. – To wszystko będzie tylko wisieć w miejscu.

– Chyba już powinieneś być przy zaworach.

– Zgadza się.

Harry przecisnął się przez lukę w żywopłocie i zobaczył przed sobą „choinkę hydraulika” – pęk wydobywających się nisko ponad ziemię rur zaopatrzonych w pokrętła. Wyglądało to na główny zawór wodny, ale według Danny’ego był to tylko zawór pośredni, stary i już nie używany. O jego istnieniu pamiętało jeszcze tylko kilku starszych hydraulików z obsługi technicznej Watykanu, młodszy nie mieli o nim pojęcia. Gdyby go jednak zakręcić, można było wyłączyć dopływ wody praktycznie do wszystkich watykańskich

budynków, łącznie z Bazyliką Świętego Piotra, muzeami i pałacem papieskim.

– Mam je – powiedział Harry. – Dwa zawory, naprzeciwko siebie.

Elena przechyliła wózek z Dannym do tyłu. Schodzili po schodach w coraz gęściejszy dym.

– Mocno zardzewiałe? – zapytał Danny przez telefon, pokaszlując.

– Trudno powiedzieć – zatrzeszczał głos Harry'ego.

Zatrzymali się u stóp schodów i Elena otworzyła swój futerał na kamerę. Kaszląc i ocierając łzawiące oczy, wyjęła z torby dwie mokre chusteczki do nosa i zawiązała je najpierw Danny'emu, a potem sobie na twarzy, osłaniając usta i nos. Weszli do muzeum Chiaramonti, galerii rzeźb. Popiersie Cyserona, rzeźba Herkulesa z synami, posąg Tyberiusza i olbrzymia głowa cesarza Augusta – wszystko ginęło w kłębach dymu. Długim wąskim korytarzem galerii płynęły w obie strony strumienie ludzi szukających wyjścia.

– Harry, jak tam? – zapytał Danny, kuląc się, aby zasłonić telefon.

– Pierwszy w porządku. Drugi...

– Zamykaj go, szybko.

– Robię, co mogę, Danny.

Harry skrzywił się z wysiłku. Drugi zawór był mocno zardzewiały. Włożył w przekręcenie go całą siłę, jaka mu jeszcze pozostała, i wreszcie kółko się obróciło. I to tak raptownie, że poleciał na najbliższe drzewo, obdzierając

sobie skórę na rękach do krwi. Telefon upadł na ziemię.

– Cholerne gówno – zaklął, wściekły, ale zadowolony.

Z chustkami na twarzach, niczym bandyci z Dzikiego Zachodu, szli przed siebie, wymijając grupę japońskich turystów, trzymających się za ręce, jak przy zabawie w pociąg, krzyczących i krztuszących się dymem jak wszyscy w korytarzu. Elena wyjrzała po drodze przez jedno z wąskich okien galerii. Na dziedziniec wbiegał właśnie oddział uzbrojonych w karabiny żołnierzy w niebieskich koszulach i beretach.

– Ojczy! – zaalarmowała Danny’ego.

– Gwardia Szwajcarska – stwierdził, rzuciwszy okiem przez okno, i znów wziął w rękę telefon, podczas gdy Elena przepychała się z wózkiem dalej.

– Harry...?

– ...Harry?

– Co jest? – Harry właśnie kucnął, podnosząc z ziemi swój aparat i równocześnie ssąc krwawiące kostki dłoni.

– Coś nie tak?

– Nie, właśnie zakręciłem tę pieprzoną wodę.

Danny podniósł rękę. Znaleźli się przy końcu galerii. Elena zatrzymała wózek. Stali w załomie korytarza, przed zamkniętymi drzwiami galerii Lapidaria. Po raz pierwszy od początku „pożaru” byli sami, nie niepokojeni przez tłum, gnający kilka metrów dalej głównym korytarzem.

– Idę do ogniska numer trzy – rozległ się w słuchawce głos Harry’ego. – Wyszliście już stamtąd?

- Jeszcze dwa przystanki.
- Pośpieszcie się, do cholery!
- Na zewnątrz jest całe stado Szwajcarów.
- To zostaw te dwa ostatnie i uciekajcie.
- Jak to zrobię, będziesz miał gwardię i Farela na karku.
- No to nie gadajmy, tylko rób, co trzeba.
- Harry, słuchaj. – Danny wyjrzał przez okno. Zobaczył gwardzistów, zakładających właśnie maski przeciwgazowe, i grupę biegnących dokądś strażaków z toporkami w rękach. – Eaton gdzieś tu jest. Z Adrianną Hall.
- A skąd on się...
- Nie wiem.
- Nieważne, Danny. Pieprzyć Eatona. Po prostu zwiewajcie stamtąd, i to już!

– To dywersja. – Thomas Kind stał w alejce u stóp wieży, spoglądając ku unoszącym się nad muzeum kłębowi dymu. Rozmawiał przez radio. Z oddali dobiegało wycie syren wozów strażackich i policyjnych, zjeżdżających się z całego Rzymu.

– Co zamierzasz? – usłyszał w słuchawce głos Farela.

– Mój plan nie ulega zmianie. I twój też nie powinien – rzucił Kind i wyłączył nadajnik. Odwrócił się i poszedł w stronę drzwi wieży.

Hercules, kuląc się w swej kryjówce na blankach muru, wiązał ostatnie ciężkie węzły na końcu liny do wspinaczki.

Jednocześnie obserwował Kinda wracającego ścieżką do wieży, z radiem w ręce. Trochę dalej widział ukrytych za żywopłotem dwóch ludzi Farela.

Zaczekał, aż Kind podejdzie pod samą wieżę. Potem związał kule kawałkiem liny i zarzuciwszy je na ramię, podczołgał się do ściany wieży. Po chwili rozkręcił linę nad głową i balansując niemal w powietrzu, rzucił ją w stronę dachu.

Obciążony węzłami koniec odbił się od metalowej barierki i opadł z powrotem do stóp karła. Hercules rozejrzał się.

W oddali widział kłębiący się nad budynkami Watykanu dym; dymiło się także na wzgórzu,

majaczącym za drzewami na wprost.

Rzucił linę po raz drugi. I znów wróciła do niego. Zaklął pod nosem i ponowił próbę.

Za piątym razem zaklinowała się wreszcie. Karzeł uwiesił się na niej, sprawdzając, czy dobrze trzyma. Usatysfakcjonowany, zaczął z uśmiechem wspinać się do góry; kule dyndały mu na ramieniu. Kilka chwil później był już na dachu, pokrytym czerwono-białymi dachówkami.

– Niech to cholera! – Eaton, krztusząc się od dymu, z przyciśniętą do twarzy chusteczką, załzawionymi oczami wyglądał na dziedziniec z okna galerii arrasów, wypatrując w tłumie osób na wózkach inwalidzkich. Zauważył już dwie, ale żadna z nich nie była ojcem Danielem, który w całym tym zamieszaniu jakby zapadł się pod ziemię.

Ani dym, ani kaszel i pieczenie oczu nie były natomiast w stanie powstrzymać Adrianny, trajkoczącej jak najęta do telefonu. Ściągnęła już na miejsce dwóch kamerzystów; jeden był w bazylice, drugi przy wejściu do muzeów. Wkrótce nad Watykanem miał się pojawić helikopter WNN z kamerą, ściągnięty znad Adriatyku, gdzie filmował ćwiczenia włoskiej marynarki.

Nagle Eaton złapał ją za ramiona, odwrócił twarzą do siebie i wyjął jej z ręki telefon, zakrywając go dłonią.

– Powiedz im, żeby się rozglądali za brodatym facetem na wózku, pod opieką młodej kobiety – powiedział stanowczym tonem, patrząc jej prosto w oczy. – Powiedz, że to on podłożył ogień albo cokolwiek. Jak go zobaczą, niech pilnują i natychmiast dadzą nam znać. Jeżeli wpadnie w łapy Kinda, to po zawodach.

Adrianna skinęła głową i Eaton oddał jej telefon.

Krzywiąc się z bólu, Danny dźwignął się z wózka i

stojąc naparł całym ciałem na framugę okna. Przez chwilę nic się nie działo, lecz w końcu rozległ się głośny trzask. Stara rama puściła i okno stanęło otworem, pozwalając mu wyjrzeć na Działziniec Belwederski, gdzie niemal dokładnie naprzeciwko nich znajdował się posterunek watykańskiej straży pożarnej.

Rzut pod tym kątem był niewygodny, chciał jednak przynajmniej spróbować. Wyciągnął z torby butelkę z mieszaniną rumu i oliwy, z wetkniętym w szyjkę tamponem z serwetki.

Spojrzał na Elenę. Sponad chustki na jej twarzy widać było tylko oczy.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Danny przyłożył do knota zapaloną zapałkę.

Odchylił się do tyłu i policzył do pięciu.

– Oorah – mruknął i cisnął butelkę przez otwarte okno.

Na zewnątrz rozległ się huk rozbijanego szkła, a gdy mieszanka zapalająca rozlała się po chodniku, krzaki pod przeciwległymi oknami stanęły w płomieniach.

– Na drugą stronę! – zawołał, zamykając okno i siadając z powrotem w wózku.

Dwie minuty później druga butelka eksplodowała na żwirze Działzinca Trójkąta, położonego najbliżej apartamentów papieskich. Podobnie jak pierwsza, zalała płonącym płynem ziemię pod krzakami, które natychmiast zajęły się ogniem.

W biurze Farela panował kompletny rozgardiasz. Dzwonił właśnie komendant strażaków, krzycząc do słuchawki, że chce natychmiast wiedzieć, co się dzieje; dlaczego ciśnienie wody spadło niemal do zera, a pod oknami posterunku wybuchł koktajl mołotowa. Po ostatnich słowach jego głos nagle ścichł. Czy to jest atak terrorystyczny? On nie ma zamiaru posyłać swoich ludzi do walki z uzbrojonymi bandytami, oznajmił. To jest robota Farela.

Farel wiedział o tym doskonale. Wysłał już wszystkich swoich ludzi, z wyjątkiem sześciu, do pomocy zbrojnemu regimentowi Gwardii Szwajcarskiej. Ta szóstka, z Thomasem Kindem i Antonem Pilgerem, pozostała w okolicy wieży, pilnując pułapki. Zrobił to, kiedy wybuchła druga butelka zapalająca. Nie można było dłużej ryzykować; może to byli Addisonowie, ale przecież nie mógł mieć pewności.

– Woda to pański problem, komendancie. – Farel przejechał spoconą dłonią po wygolonej czaszce; jego chrapliwy głos brzmiał jeszcze głębiej niż zazwyczaj. – Vigilanza i gwardziści wyprowadzą ludzi w bezpieczne miejsce. Ja mam w tej chwili tylko jeden problem na głowie: zadbać o bezpieczeństwo Ojca Świętego. Inne sprawy mnie nie interesują. – Po tych słowach po prostu odłożył słuchawkę i ruszył ku drzwiom.

Hercules ujrzał, że płonie już czwarte ognisko wzniecone przez Harry'ego, a po chwili zobaczył jego samego – wyłaniał się z dymu i kierował w stronę wieży. Potem Harry przykucnął za szpalerem starych drzew oliwkowych i zniknął mu z oczu.

Zawiązawszy linę dwukrotnie na żelaznej barierce u szczytu wieży, karzeł opuścił się na niej do krawędzi dachu i spojrzał w dół. Jakieś sześć metrów niżej zobaczył balkonik, należący do pokoju kardynała Marsciana. Do ziemi było stamtąd kolejne dziesięć metrów. Łatwe, jeżeli nikt do człowieka nie strzela.

Ujrzał w oddali następny ogień, a potem jeszcze jeden.

Gęsty welon dymu zaczął przesłaniać słońce i cały krajobraz zabarwił się na czerwono. Jasność poranka ustąpiła nagle miejsca półmrokowi. Ogniska zapalone przez Harry'ego, w połączeniu z dymem z budynków muzealnych i zupełnym brakiem wiatru w ciągu kilku minut zamieniły wzgórze watykańskie w niesamowity, mglisty pejzaż ze snu. Pod duszącym baldachimem przedmioty zdawały się tracić swą fizyczną formę i unosić w powietrzu, a widoczność spadła do zaledwie kilku metrów.

Hercules usłyszał w dole pokaszliwanie. Dymna zasłona rozstała się na chwilę i ujrzał, że dwa „czarne garnitury” stojące najbliżej wejścia do wieży, ruszają szybko w stronę swoich kolegów za żywopłotem, aby zaczerpnąć choć łyk świeżego powietrza.

Jednocześnie zobaczył samotną sylwetkę, przebiegającą przez drogę prowadzącą do stacji, ku wysokiemu żywopłotowi. Klękawszy, karzeł uniósł kule nad głowę i pomachał nimi. Gdy Harry go zauważył, Hercules wskazał kulą kraniec żywopłotu, gdzie kryło się czterech ludzi Farela.

Harry machnął ręką na znak, że wie, i zaraz potem zniknął w kłębach dymu. Piętnaście sekund później z miejsca, które przed chwilą opuścił, buchnął czerwony płomień.

10.38

Roscani, Scala i Castelletti stali przy samochodzie, patrząc w stronę dymu i nasłuchując wycia syren, podobnie jak niemal cały Rzym. Z policyjnego radia mogli dowiedzieć się więcej szczegółów; trwała nieustanna wymiana komunikatów i poleceń pomiędzy służbą porządkową i strażą pożarną Watykanu i Rzymu. Słyszeli, jak Farel osobiście prosi o helikopter dla papieża; maszyna miała wylądować nie na lądowisku w Ogrodach Watykańskich, lecz na dachu apartamentów Ojca Świętego.

Nagle ujrzeli, że z komina lokomotywy wydobywa się obłoczek spalin, potem drugi i zielony diesel rusza powoli w kierunku bramy. Ewakuacja papieża i personelu watykańskiego nie miała wpływu na działania kolejarzy. Dostali polecenie, którego nikt nie odwołał, i zamierzali je wykonać w wyznaczonym czasie. Tory były całe, jechali

więc po stary wagon towarowy, tak jak im kazano.

– Kto ma papierosa? – Roscani oderwał wzrok od maszyny i spojrzał na kolegów.

– Daj spokój, Otello – rzekł Scala. – Już rzuciłeś, nie zaczynaj od nowa...

– Czy powiedziałem, że go zapalę? – ofuknął go Roscani.

Scala zawahał się. Widział, jaki jego szef jest niespokojny.

– Bardzo się tym przejmujesz, co? – powiedział w końcu łagodzącym tonem. – Szczególnie tym, co będzie z Addisonami.

Roscani przyglądał mu się przez chwilę.

– Zgadza się – odparł, przymykając na moment powieki. Potem odwrócił się, wszedł na tory i stojąc na podkładzie, samotnie obserwował lokomotywę, pełznącą ku murom Watykanu.

W cieniu pod żywopłotem niedaleko wieży Świętego Jana stała ciemna lancia. Był to samochód, którym Thomas Kind zamierzał wywieźć poza Watykan ciała braci Addisonów.

On sam siedział teraz w środku, za kierownicą. Włączył wewnętrzny obieg powietrza, dzięki czemu prawie nie czuł dymu. Początkowo sądził, że to zwykła dywersja dla odwrócenia uwagi. Kiedy jednak pojawiło się więcej ognia, a dym pokrył cały teren ogrodów, terrorysta zrozumiał, że ma do czynienia ze starannie zaplanowaną akcją, prowadzoną przez wyszkolonego komandosa. Wiedział oczywiście wcześniej, że ojciec Daniel służył w marines i jest strzelcem wyborowym. Skuteczność jego działań wskazywała jednak na wyszkolenie w elitarnych oddziałach. Prawdopodobnie odbył trening w Navy SEALs, specjalizujących się w przeprowadzaniu w małych grupach takich akcji, które zazwyczaj wykonywane są przez większe siły. Ich działania opierały się bardziej na umiejętnościach pojedynczych żołnierzy niż na sile całego zespołu.

To znaczyło, że Addisonowie byli przeciwnikami o wiele bardziej pomysłowymi i niebezpiecznymi, niż początkowo sądził. Tę konstatację potwierdziło zresztą

natychmiast życie.

Z zarośli niedaleko samochodu wyskoczył Harry Addison, który po chwili zniknął za zasłoną dymu. Biegł w kierunku wieży.

W pierwszym odruchu Kind chciał od razu ruszyć za nim w pościg i zabić osobiście na miejscu. Położył już rękę na klamce, lecz powstrzymał się. To nie była rozsądna taktyka, nie powinien poddawać się emocjom. Przeraziło go, że znajome uczucie znów ożywa. A przecież postanowił panować nad sobą, kiedy doszedł do wniosku, że jest chory i musi powstrzymać się od bezpośredniego działania.

Miał zresztą ludzi, którym płacono za wykonanie tej roboty. Czekali tylko na jego rozkaz. Będzie dla niego na pewno lepiej, jeżeli pośle ich do akcji, sam pozostając z boku.

Włączył radio.

– Tutaj „S” – powiedział. „S” było teraz jego oficjalnym kryptonimem jako dowodzącego „czarnymi garniturami”. – Cel „B” podchodzi do wieży. Ubrany po cywilnemu.

Jest sam. Wpuścić do środka i zlikwidować natychmiast.

Harry, ukryty w krzakach u stóp wieży, patrzył w górę, usiłując przeniknąć wzrokiem dym. Ledwie widział Herculesa na dachu. Karzeł znowu pokazał kulą w stronę krańca żywopłotu, co oznaczało, że „czarne garnitury” wciąż tam są. Przyjąwszy to do wiadomości, Harry

wyciągnął zza pasa calico i podbiegł do ciężkich, przeszklonych drzwi wieży. Po chwili był już w środku. Zaryglował drzwi i rozejrzał się szybko. Zobaczył niewielki hol z wąskimi schodami na górę i drzwiami windy na prawo od nich.

Obejrzał się przez ramię i nacisnął guzik windy. Kiedy drzwi się rozsunęły, sięgnął do środka i włączył blokadę.

Potem, ująwszy pistolet za lufę, rąbnął nim jak młotkiem w przełącznik, łamiąc go i unieruchamiając windę na dobre.

Spojrzał ostatni raz ku wejściu i wszedł na schody.

Był w połowie drogi, kiedy usłyszał, że ktoś usiłuje sforsować drzwi. Wiedział, że za kilka chwil ludzie Farela je rozbiją i wedrą się do holu.

Popatrzył w górę. Kilka metrów wyżej schody skręcały w prawo. Wspiął się tam szybko i stanąwszy przy narożniku ściany, wyjrzał ostrożnie, wysuwając przed siebie pistolet.

Za zakrętem też było pusto. Od następnego piętra dzieliło go tylko dwadzieścia parę stopni.

Nagle usłyszał z dołu brzęk rozbijanego szkła. Po chwili drzwi trzasnęły o ścianę i ujrzał dwóch ochroniarzy Farela, którzy z bronią gotową do strzału ruszyli ku schodom. Harry skoczył za załom ściany i zatknąwszy calico za pasek, wyciągnął z torebki na biodrze butelkę z płynem zapalającym.

Słyszał już kroki na schodach.

Zapalił zapałkę, przytknął ją do szmacianego knota i

policzył: raz, dwa. Zrobił krok do przodu i rzucił butelkę prosto pod nogi pierwszego z „czarnych garniturów”. Brzęk szkła i poszum ognia zginęły w kanonadzie strzałów. Kule śmignęły w górę schodów, odłupując tynk z sufitu i ścian. Po kilku sekundach strzelanina ucichła i z dołu dały się słyszeć krzyki.

– Tym razem ten numer nie przejdzie – usłyszał nagle z góry głos z twardym akcentem.

Odwrócił się, wyszarpując pistolet zza pasa. Ze schodów schodziła powoli znajoma postać w czarnym ubraniu. Anton Pilger. O twarzy chłopca, żądny krwi, śmiertelnie niebezpieczny. Zaciskał palec na spuście dużego pistoletu.

Harry, nie namyślając się, puścił serię, nie przestając pociągać za spust calico. Ciało Pilgera zatańczyło na schodach, jego pistolet wypalił w ziemię, twarz ściągnęła się w maskę zdumienia.

W końcu ugięły się pod nim nogi i upadł plecami na schody. Z radia w jego kieszeni wydobył się jakiś trzask i to wszystko. W śmiertelnej ciszy, która nastąpiła, Harry uświadomił sobie, że słyszał już kiedyś ten głos. Nagle zrozumiał, co tamten miał na myśli, mówiąc o „numerze”. Pilger próbował już raz go zabić, lecz Harry wtedy przeżył. Było to po przesłuchaniu, kiedy go torturowano, w kanale ściekowym, skąd później wyłowił go Hercules.

Pochylił się i wzięwszy radio Pilgera, wszedł schodami na górę. Był oszołomiony, lecz nagle uzmysłowił sobie z całą jasnością, co tu w ogóle robi i dlaczego. Znalazł się

tutaj, ponieważ kochał swojego brata, a Danny go potrzebował.

To był jedyny powód.

Kardynał Marsciano stał oparty plecami o ścianę. Do jego uszu dobiegł szcęk klucza w zamku. Przedtem słyszał strzelaninę na korytarzu, brzęk szkła i krzyki. Modlił się jednocześnie o dwie rzeczy. Żeby to był ojciec Daniel, który przybył mu na ratunek, i żeby to nie był on.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Harry Addison.

– Proszę się nie bać – powiedział i zamknął za sobą drzwi na klucz.

– Gdzie jest ojciec Daniel? – zapytał Marsciano drżącym głosem.

– Czeka na Waszą Eminencję.

– Na zewnątrz są ci od Farela...

– Trudno. Tutaj i tak nie możemy zostać. – Harry rozejrzał się i zobaczywszy łazienkę, wszedł do niej, by pojawić się po chwili z trzema mokrymi ręcznikami. – Proszę to zawiązać na twarzy – powiedział, podając jeden kardynałowi. Potem podszedł do drzwi balkonowych i otworzył je. Do pomieszczenia wdarł się gęsty dym. Jednocześnie wprost z nieba zeskokczyła na balkon jakaś zjawa.

Marsciano wzdrygnął się z przestraszenia. Na balkonie stał mały człowieczek z dużą głową i potężną klatką piersiową, obwiązany w pasie liną.

– Witam Waszą Eminencję – odezwał się Hercules i skłonił z szacunkiem głowę.

Radio Thomasa Kinda przechwyciło wiadomość w tej samej chwili, kiedy dotarła ona do telefonu komórkowego Adrianny Hall, połączonego z radiem, przez które porozumiewała się jej ekipa z WNN.

– Nie wiem, czy kogoś to interesuje, ale otworzyła się brama kolejowa i na teren Watykanu wjeżdża lokomotywa – powiedział męski głos.

– Halo, helikopter, potwierdź to – Adrianna mówiła do pilota maszyny WNN, nadlatującej właśnie od południa.

– Potwierdzam.

Adrianna spojrzała na Eatona.

– Otworzyła się brama kolejowa, wjeżdża jakaś lokomotywa.

– Rany boskie! – Eaton aż podskoczył. – Oni chcą wywieźć Marsciana pociągiem!

– Uwaga, helikopter. Pilnujcie lokomotywy. Filmujcie to! – usłyszał Thomas Kind w swoim radiu.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Jego ludzie z wieży nie odzywali się. Nie mógł już dłużej czekać... Wrzucił bieg i wyjechał ze zwirowanej ścieżki na alejkę pod murem wieży.

Przyśpieszył, usiłując przeniknąć wzrokiem dym. Za oknem auta śmigały krzaki. Nagle poczuł głucho uderzenie; musiał nie zauważyć zakrętu, bo lancia uderzyła bokiem w drzewo.

Samochód wpadł w poślizg i wylądował w żywopłocie. Kind gwałtownym szarpnięciem wrzucił wsteczny bieg. Silnik zawył, lancia zadrżała, lecz nie ruszyła z miejsca.

Otworzył drzwiczki i wyjrzał. Koła buksowały wśród połamanych krzaków jak na lodzie.

Miotając pod nosem hiszpańskie przekleństwa, wysiadł z samochodu i krztusząc się od dymu, pobiegł w kierunku stacji kolejowej.

Danny i Elena wydostali się na dwór awaryjnym wyjściem przez bibliotekę.

– W lewo – polecił Danny głosem stłumionym przez chusteczkę i skierowali się wąską dróżką ku ogrodowi. – Harry! – zawołał do telefonu.

Cisza.

– Harry, jesteś tam?

Słyszał na drugim końcu szum, jakby połączenie trwało.

Potem rozległ się trzask i telefon zamilkł na dobre.

– Niech to szlag! – zawołał głośno.

– Co się stało? – zapytała Elena, zdjeta nagłym strachem o Harry'ego.

– Nie mam pojęcia.

Harry, Hercules i Marsciano tłoczyli się na balkoniku wieży, wpatrując się w kurtynę dymu.

– Jesteś pewny, że tam są? – zwrócił się Harry do karła.

– Tak, zaczaili się przy wyjściu.

Zjeżdżając z dachu na linie, Hercules zdołał zauważyć, że dwa „czarne garnitury” zajmują pozycje po obu stronach drzwi wejściowych do wieży. Teraz jednak dym znowu zgęstniał i nic nie było widać.

– Każ im pójść gdzieś indziej. – Harry wyciągnął

zza pasa radio Pilgera i podał je karłowi.

Hercules puścił do niego oko i włączył nadajnik.

– Uciekli po linie z drugiej strony wieży! – zawołał szybko po włosku. – Uciekają w kierunku lądowiska!

– Va bene, zrozumiałem – padła odpowiedź.

– Na lądowisko, szybko! – powtórzył Hercules dla pewności i wyłączył radio.

Usłyszeli na dole jakiś ruch i po chwili zamajaczyły im sylwetki dwóch mężczyzn, oddalających się biegiem od wieży.

– Teraz – rzucił Harry.

– Eminencjo – Hercules przełożył pętlę liny pod ramionami kardynała; drugą był sam obwiązany w pasie. Po chwili siedział już na barierce, a Harry pomagał przejść przez nią duchownemu. Potem, przewinawszy linę przez metalową poręcz, zaparł się i opuścił obu na ziemię.

– Panie Harry! – usłyszał z dołu.

Lina była napięta, i wiedział, że Hercules już ją trzyma.

Ujął ją w dłonie, balansował przez chwilę na poręczy i zaczął się opuszczać. W tym samym momencie rozległ się strzał; kula naderwała linę nad jego głową. Poleciał w dół jak kamień, lecz pięć metrów niżej lina znów się napięła. Harry wisiał przez chwilę w powietrzu, a potem lina pękła i runął na ziemię.

Przetoczył się po trawie i natychmiast poderwał głowę, słysząc krzyk. Na skraju krzaków zobaczył Herculesa, siedzącego na ziemi i trzymającego w uścisku stalowych ramion szyję jednego z ludzi Farela.

– Uważaj! – wrzasnął Harry.

„Czarny garnitur” trzymał w dłoni pistolet. Hercules tego nie widział, a tamten już podnosił rękę z bronią ku jego skroni.

– Pistolet! – krzyknął ponownie Harry, zrywając się z ziemi.

Rozległ się huk; broń wypaliła dokładnie w chwili, gdy karzeł szarpnął się w bok. Ktoś krzyknął przeraźliwie i obaj mężczyźni upadli na plecy.

Harry i Marsciano dobiegli do nich równocześnie. „Czarny garnitur” leżał nieruchomo, z głową skreconą pod straszliwym kątem. Hercules też się nie ruszał, pół twarzy zalała mu krew.

– Hercules! – Harry przyklęknął przy nim – O mój Boże – szepnął, szukając pulsu na szyi karła.

Nagle Hercules otworzył jedno oko, a jego ręka uniosła się, by otrzeć krew z drugiego. Usiadł raptownie, mrugając, żeby rozkleić powieki. Przejechał dłonią po twarzy, zmazując z niej krew i odsłaniając głęboką szramę, biegnącą niczym strzała przez cały policzek.

– Tak łatwo im ze mną nie pójdzie – wychrypiał. – Jeszcze nie pora na Herculesa.

Z oddali dobiegł do ich uszu przeciągły gwizd. Hercules namacał kulę i dźwignął się na nogi.

– To lokomotywa, panie Harry! – zawołał. – Przyjechali!

Kiedy Adrianna wyszła z budynku, ujrzała Eatona biegnącego, ile sił w nogach, alejką na tyłach bazyliki; po chwili zniknął w kłębach dymu.

– Uwaga, helikopter, co tam widzicie, co z lokomotywą? – wyrzuciła z siebie w pełnym pędzie, przecinając wzgórze w kierunku Pałacu Governoratu. Od stacji dzieliły ją trzy, może cztery minuty takiego biegu.

Elena wciągnęła wózek z Dannym pod osłonę drzewa w pobliżu kościoła Świętego Stefana i czekała, aż helikopter przeleci nad nimi. Przeleciał i ostrym łukiem zawrócił w stronę stacji.

W tym momencie zaświergotał telefon Danny’ego.

– Harry, to ty?

– Mamy kardynała. Co z lokomotywą?

Słyszając głos Harry’ego, Elena poczuła przyspieszone bicie serca. Był cały i zdrowy, przynajmniej na razie.

– Słuchaj – powiedział Danny – krąży tu jakiś helikopter. Nie wiem, z czyjego polecenia. Na wszelki wypadek idźcie tą drugą drogą, koło Radia. My do tego czasu będziemy już bliżej i może się zorientujemy, co tam się dzieje.

10.50

– Zostańcie! – krzyknął Roscani do Scali i Castellettiego, po czym ruszył biegiem po torze za lokomotywą, która minęła właśnie bramę i wśród

obłoków dymu zniknęła za murami Watykanu.

Scala i Castelletti stali przez chwilę z rozdziawionymi ustami, patrząc w ślad za swym szefem. Jego nagłe zerwanie się do biegu zaskoczyło ich, chociaż Roscani już przedtem szedł powoli za lokomotywą. Raptem obaj równocześnie puścili się pędem za nim. Po kilku metrach zatrzymali się, zobaczywszy, jak mija bramę i znika w dymnym półmroku.

Z miejsca, w którym stanęli, wszystko wyglądało tak, jakby cały Watykan się palił albo przeżywał oblężenie.

W tym momencie usłyszeli nad głowami warkot helikoptera armii włoskiej. Jednocześnie w radio rozległ się głos Farela, nakazującego maszynie WNN natychmiastowe opuszczenie przestrzeni powietrznej państwa papieskiego.

– Niech go cholera! – Adrianna była wściekła. Podniosła głowę i zobaczyła, że helikopter odlatuje poza mury. – Trzymajcie się nad torami! – krzyknęła do telefonu. – Jak lokomotywa wyjedzie, lećcie za nią!

Lokomotywa z niewiadomej przyczyny zatrzymała się zaraz za murami. Roscani zszedł z torów, kierując się w prawo od stacji. Pokaszlując, ze łzawiącymi od dymu oczami, wyciągnął z kabury automatyczną berettę, kaliber dziewięć milimetrów. Usiłując dojrzeć cokolwiek, szedł drogą prowadzącą do wieży. To, co robił, było absolutnie nielegalne, ale miał wszystko w nosie. Całe prawo i tak było schrzanione, a sprawiedliwość dawno trafił szlag. Podjął decyzję w chwili, gdy poszedł torem za

lokomotywą, po otwarciu się wielkich wrót. Otwarte przejście wręcz zapraszało, wszedł więc po prostu na teren Watykanu, targany emocjami, lecz pewien jednego: że nie może biernie się przyglądać biegowi wypadków.

Teraz, kiedy się przedzierał z piekącymi oczami wśród kłębow dymu, walcząc o każdy haust powietrza, modlił się do Boga wyłącznie o to, żeby nie zabłądzić i odnaleźć Addisonów, zanim zdąży to zrobić Thomas Kind.

Kind biegł z waltherem w jednej ręce, drugą ocierając łzawiące oczy. Starał się nie kaszleć mimo gryzącego dymu; i tak już niewiele widział, a każde kasznięcie jeszcze bardziej go dezorientowało.

Przebiegł przez trawnik i przeskoczył niski żywopłot.

Nagle stracił poczucie kierunku i stanął. Czuł się jak na nartach w śnieżycy. W górze, w dole, w lewo i w prawo, wszędzie było tak samo.

W oddali po lewej słyszał syreny alarmowe. Nad głową ciężkie dudnienie wirnika helikoptera, jak się domyślał wojskowego, podchodzącego do lądowania na dachu pałacu papieskiego. Wyjął nadajnik i powiedział:

– Tutaj „S”. Zgłoście się.

Odpowiedziała mu cisza.

– Tutaj „S” – powtórzył. – V Zgłoście się.

Hercules kuśtykał obok Harry’ego i Marsciana. Wszyscy trzej z zawiązanymi na twarzach ręcznikami podążali alejką w stronę budynku Radia Watykańskiego. Nagle z nadajnika za pasem Herculesa wydobył się jakiś

głos.

– Kto to? – zapytał Marsciano.

– Prawdopodobnie ktoś, z kim za nic w świecie nie chcielibyśmy mieć do czynienia – odparł Harry. Nawet gdyby nie słyszał wcześniej tego głosu, domyśliłby się, że to Thomas Kind. Spojrzał na zegarek.

10.53

– Eminencjo – powiedział – mamy pięć minut na dotarcie do torów i do sta...

– Panie Harry! – krzyknął nagle Hercules.

Harry spojrzał. Niecałe dwa metry przed nimi wyłonił się z dymu „czarny garnitur”. W obu dłoniach trzymał rewolwery. Postąpił krok do przodu. Wysoki, o falistych włosach, wyglądał niczym wcielenie młodego Brudnego Harry’ego.

Człowiek Farela.

– Rzuć pistolet na ziemię – rozkazał Harry’emu po angielsku z mocnym francuskim akcentem. – Torebkę też.

Harry powoli wyciągnął calico zza pasa i opuścił na ziemię; potem odpiął torebkę i też ją rzucił.

– Harry! – rozległ się nagle z telefonu głos Danny’ego.

– Harry!

Równocześnie wydarzyło się coś, co zaskoczyło ich wszystkich. Zerwał się lekki wietrzyk i dym trochę się rozwiął.

W tej samej chwili w oddali rozległ się znowu gwizd lokomotywy, mijającej wrota. „Czarny garnitur” nagle się uśmiechnął. Pociąg przyjechał, ale tych trzech tutaj nigdy

do niego nie wsiądzie.

Zdekoncentrował się ledwie na moment, ale Herculesowi więcej nie było trzeba. Błyskawicznym ruchem przerzucił ciężar ciała na lewą kulę i zamachnął się prawą.

„Czarny garnitur” krzyknął zaskoczony, kula uderzyła go w prawą rękę, wytrącając z niej broń. Odzyskał jednak równowagę i skierował drugi rewolwer na Harry’ego, zaciskając palec na spuście. Hercules rzucił się całym ciałem do przodu. Harry usłyszał huk wystrzału dokładnie w chwili, kiedy Hercules runął na niego, przewracając się wraz z nim na ziemię.

Harry namacał na ziemi calico. To, co się działo potem, widział w rozbłyskach. W ułamkach sekund. W strzępach. W kawałkach. W pasji. W szale. Przywarł do pleców „czarnego garnituru”. Ramieniem dusił go za szyję. Próbował oderwać od Herculesa. Przysunął do jego głowy pistolet.

I nagle tamten wyrwał się z jego chwytu.

Natychmiast złapał Harry’ego obiema rękami za włosy, szarpnął ku sobie i uderzył wściekle z byka w czoło. Harry zobaczył kłujący rozbłysk światła, a potem ciemność. Kiedy po chwili odzyskał zdolność widzenia, ujrzał przed nosem swój pistolet, trzymany ręką napastnika.

– Giń gnoju! – krzyknął tamten i jego palec zacisnął się na spuście.

Rozległ się ogłuszający huk wystrzału. Po nim z

szybkością błyskawicy nastąpiły jeszcze trzy. Głowa ochroniarza eksplodowała tuż przed twarzą Harry'ego, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Jego ciało wygięło się w łuk i opadło bezwładnie na trawę, calico wyleciało mu z dłoni.

Harry odwrócił się i ujrzał Roscaniego, schodzącego ku nim z berettą wciąż wycelowaną wprost w ochroniarza, jakby się bał, że ożyje.

– Harry, lokomotywa! – usłyszał znów głos Danny'ego w telefonie.

Wstał. Rosciani był już przy nich. Harry otworzył usta, żeby przemówić do niego, lecz zamiast tego zastygł w bezruchu, wpatrzony w zbocze, z którego zszedł detektyw.

– Uważaj! – wrzasnął.

Rosciani odwrócił się błyskawicznie. W ich stronę biegło dwóch ludzi Farela, których Hercules wysłał przedtem na lądowisko. Wynurzyli się z dymu jakieś czterdzieści metrów dalej.

Rosciani spojrzął na Herculesa. Karzeł leżał na ziemi ze spopieloną twarzą, trzymając się za brzuch, po którym rozlewała się kolistą krwawa plama.

– Uciekajcie! – krzyknął Rosciani, przyklękając. Pierwszym strzałem trafił jednego z ochroniarzy w ramię, obracając go wokół własnej osi. Drugiego jednak to nie zatrzymało.

Harry słyszał za plecami strzelaninę, a gdy pochylił się, by dźwignąć z ziemi Herculesa, kula świsnęła mu koło

ucha.

I w tym momencie przypomniał sobie o kardynale.

– Eminencjo – powiedział, rozglądając się.

Nikogo przy nim nie było. Kardynał zniknął.

Roscani leżał na brzuchu w wysokiej trawie. Jeden z „czarnych garniturów”, rozciągnięty na plecach pięć metrów od niego, jęczał głośno. Drugi leżał bliżej, twarzą do ziemi.

Oczy miał szeroko otwarte, ale nie było w nich życia, a krew sączyła się powoli z dziury w czole.

Mając nadzieję, że było ich tylko dwóch, Roscani usiadł i spojrzał w stronę, gdzie zniknął Harry z Herculesem w ramionach. Zobaczył tylko kurtynę dymu, który ponownie się zagęścił.

Ostrożnie wstał i podszedł do martwego mężczyzny. Wziął jego broń i wsunąwszy ją sobie za pasek, zbliżył się do drugiego z ochroniarzy, jęczącego na ziemi kilka metrów dalej.

10.55

– Danny – rozległ się z telefonu nagłący głos Harry’ego. – Gdzie jesteś?

– Blisko stacji.

– Wsiadaj do wagonu. Niosę Herculesa, dostał w brzuch.

Elena zatrzymała się. Drzewa się skończyły, stali za żywopłotem naprzeciwko szkoły mozaikarstwa. Na wprost przed sobą mieli stację, a na prawo od niej widzieli fragment wagonu. Rozległ się sygnał i zobaczyli wyłaniającą się powoli brudną zieloną lokomotywę.

Zatrzymała się, a z budynku stacji wyszedł siwowłosy mężczyzna z notatnikiem w ręce.

Stanął przy torze i spisał numer z maszyny, a potem wspiał się do niej po drabince.

– Nie wiem, czy on to przetrzyma – usłyszeli znów zdesperowany głos Harry’ego. – Poza tym Marsciano zniknął.

– Co takiego?

– Nie mam pojęcia, jak to się stało, po prostu gdzieś sobie poszedł.

– Gdzie wtedy byliście?

– W okolicy budynku Radia. Teraz jesteśmy w pobliżu Kolegium Etiopskiego... Eleno, będziesz musiała zająć się Herculesem.

Dziewczyna pochyliła się do telefonu.

– Czekam na was. Uważaj na siebie.

– Danny, Roscani też tu jest. I Thomas Kind. Na pewno wie już o pociągu. Bądź czujny.

– Nie ruszaj się! – zawołał ostrzegawczo Roscani, celując z trzymanej oburącz beretty w jęczącego ochroniarza.

Podszedł bliżej. Tamten leżał na plecach. Jedną nogę miał podwiniętą pod siebie, oczy zamknięte. Na jego piersi spoczywała zakrwawiona, bezwładna ręka; drugą miał pod sobą.

Raczej już nigdzie nie pójdzie, pomyślał Roscani. Rozległ się gwizdek lokomotywy. Już drugi w ciągu ostatnich kilkudziesięciu sekund. Policjant spojrział przez

dym w tamtą stronę. Harry z Herculesem pewnie już tam dochodzą, Marsciano także. Ksiądz Daniel i Elena Voso też. A to znaczyło, że i Thomas Kind się tam zaraz pojawi.

Instynkt kazał mu się nagle odwrócić. „Czarny garnitur” dźwignął się na łokciu, w ręce trzymał automat. Obaj strzelili jednocześnie. Roscani poczuł ostry ból. Prawa noga ugięła się pod nim i upadł. Przetoczył się na brzuch, nie przestając strzelać. Ale już niepotrzebnie. Tamten nie żył, miał odstrzelony szczyt czaszki. Roscani, krzywiąc się z bólu, dźwignął się na nogi i natychmiast z powrotem upadł z krzykiem. Góra prawej nogawki jego spodni zabarwiła się na czerwono. Dostał w udo.

Rozległ się ogłuszający ryk i cały budynek aż się zatrzęsł.

– Va bene – usłyszał Farel przez swoje radio. W porządku.

Skinął głową i dwóch gwardzistów z automatami otworzyło drzwi prowadzące na dach. Wyszli w przyćmione dymem światło dnia. Żołnierze przodem, a za nimi Farel, prowadzący pod rękę Ojca Świętego w białej sutannie.

Na dachu znajdowało się jeszcze kilkunastu uzbrojonych gwardzistów. Wojskowy helikopter stał przy jego krawędzi, śmigła obracały się powoli. W otwartych drzwiach oczekiwało na papieża dwóch oficerów w towarzystwie dwóch „czarnych garniturów” Farela.

– Gdzie jest Palestrina? – zapytał Leon XIV, zwracając

się do Farela. Rozejrzał się, jak gdyby się spodziewał, że sekretarz stanu gdzieś tutaj czeka, żeby odlecieć razem z nim.

– Powiedział, że dołączy do Waszej Świątobliwości później – skłamał Farel. Nie miał pojęcia, gdzie jest Palestrina; ostatni raz rozmawiał z nim ponad godzinę temu.

– Nie. – Papież zatrzymał się nagle przy otwartych drzwiach śmigłowca, z wzrokiem utkwionym w twarzy Farela. – Nie dołączy. Wiem to i on też wie.

Po tych słowach Ojciec Święty odwrócił się i pozwolił, by jeden z funkcjonariuszy Vigilanza pomógł mu wspiąć się na pokład. Za nim wsiedli obaj oficerowie. Zamknięto drzwi i Farel cofnął się, machając ręką do pilota.

Ogłuszającemu łoskotowi wirnika towarzyszył potężny podmuch. Farel i Szwajcarzy przygarbili się odruchowo.

Maszyna uniosła się w górę i po kilkunastu sekundach zniknęła im z oczu.

Marsciano spostrzegł rosną postać dokładnie w chwili, gdy Hercules zamachnął się kulą na jednego ze zbirów Farela.

Wspinała się na wzgórze, zdążając do budynku Radia.

W jednej chwili kardynał postanowił, że nie będzie go w wagonie, gdy pociąg wyjedzie za watykańskie mury. Bez względu na ojca Daniela, bez względu na Harry'ego Addisona i niesamowitego karła u jego boku, miał tu do załatwienia jeszcze coś. I nie mógł tego zrobić nikt inny.

Palestrina nie miał już na sobie skromnego czarnego garnituru z koloratką; był teraz odziany w strój przynależny kardynałowi Kościoła: czarną sutannę z czerwonymi guzikami, przepasaną czerwonym pasem i czerwoną piuskę na głowie. Na jego piersi wisiał na złotym łańcuchu złoty pektorał.

Po drodze zatrzymał się przy Fontannie Latawca; znalazł ją bez trudu mimo gęstego dymu. Po raz pierwszy jednak aura wielkiego heraldycznego symbolu Borghesów, który zawsze tak dogłębnie i osobiście go poruszał, z którego czerpał siłę, odwagę i pewność, zupełnie na niego nie podziałała. Orzeł nie miał w sobie nic magicznego, nie budził w nim natury wojownika i króla, jak zawsze dotąd. Patrzył po prostu na zabytkową rzeźbę. Dekoracyjne zwieńczenie fontanny. Nic szczególnego.

Z piersi wyrwało mu się głębokie westchnienie. Zakrywając dłonią usta i nos przed okropnym gryzącym dymem, kardynał Palestrina podążył ku jedynemu schronieniu, które mu jeszcze pozostało.

Podchodząc pod wzgórze, czuł drżenie swego potężnego ciała. Czuł je także, kiedy otwierał drzwi i wspinał się marmurowymi schodami na wyższe piętra budynku Radia.

I czuł je jeszcze mocniej, kiedy z tłukącym się w piersi sercem i płonącymi płucami klękał przed Chrystusem na ołtarzu małej kaplicy przylegającej do pustych i martwych o tej porze pomieszczeń redakcyjnych.

Pustych i martwych.

Jak orzeł z Fontanny.

Budynek Radia Watykańskiego był jego twierdzą. Miejscem, z którego będzie dowodził obroną swego królestwa.

Miejscem, z którego będzie wieścił światu potęgę Stolicy Apostolskiej. Potężniejszej jeszcze niż kiedykolwiek do tej pory.

Decydującej o mianowaniu biskupów. Dyktującej reguły postępowania swych kapłanów. Kontrolującej obdzielanie wiernych sakramentami, łącznie z małżeństwem. Zawiadującej budową nowych kościołów, seminariów, uniwersytetów.

A w nadchodzącym stuleciu Stolica Piotrowa stanie się jeszcze silniejsza, kiedy przybędą Kościołowi nowe owieczki. Wioska za wioską, miasto po mieście,

przyłączać się doń będzie naród stanowiący jedną czwartą populacji świata. I wówczas Rzym znów stanie się zwornikiem najpotężniejszego wyznania religijnego na ziemi. Do tego dojdą niewyobrażalne korzyści finansowe. Dzięki potajemnemu panowaniu Watykanu nad zasobami wody i energii wielkiego kraju, tu decydować się będzie o tym, co, gdzie i kiedy będzie się w Chinach budować i hodować. I kto tym będzie zawiadywał. Koncepcja, która niegdyś przyprawiała niektórych o dreszcze, stanie się czymś realnym i trwałym.

A wszystko dlatego, iż jemu, kardynałowi Palestrinie, starczyło odwagi do urzeczywistnienia tej wizji. Roma locuta; causa finita est. Rzym przemówił; sprawa zakończona – głosiła stara sentencja.

Tylko niestety już nieaktualna. Watykan znajdował się w stanie obłąkania, częściowo trawiony pożarem. Ojciec Święty miał proroczą wizję nadchodzących mrocznych czasów.

Orzeł Borghesów okazał się bezsilny. A to, co Palestrina myślał o ojcu Danielu i jego bracie, okazało się jednak prawdą. Zesłały ich duchy z niższych światów, w obłokach dymu niosącego ze sobą chorobę, tę samą, która niegdyś zabiła Aleksandra. To on się mylił, nie papież. To nie emocjonalna i duchowa niemoc starego przywódcy Kościoła opadła na barki kardynała. Na jego ramieniu przysiadła sama śmierć.

Palestrina podniósł nagle głowę. Sądził, że jest tu sam, lecz tak nie było. Nie musiał się nawet odwracać.

Wiedział, kogo ujrzy.

– Módl się ze mną, Eminencjo – rzekł cicho.

Marsciano stanął tuż za jego plecami.

– O co? – zapytał.

Palestrina powoli wstał z klęczek i odwrócił się ku niemu.

– O zbawienie duszy – odparł z łagodnym uśmiechem.

Marsciano wpatrywał się weń bez słowa.

– Za sprawą boskiej interwencji truciciel został pochwycony i zabity. Nie będzie trzeciego jeziora.

– Wiem.

Palestrina uśmiechnął się ponownie i z powrotem klęknął przed ołtarzem, czyniąc znak krzyża.

– Skoro już wiesz, to módl się teraz ze mną – rzekł.

Wiedział, że Marsciano stanął tuż za nim. I nagle krzyknął.

Ujrzał oślepiający błysk światła i poczuł ostrze przeszywające mu plecy dokładnie między łopatkami. Poczuł siłę i furię Marsciano, gdy ten wbijał je jeszcze głębiej.

– Naprawdę nie ma trzeciego jeziora! – krzyknął. Dyszał ciężko i machał rękami, usiłując dosięgnąć Marsciano za sobą. Na próżno.

– Nie jezioro, to co innego. Zawsze znajdziesz sposób, żeby wymyślić jakieś okropieństwo. A potem następne.

I następne. – Marsciano widział oczami wyobraźni ściągniętą przerażeniem twarz, którą ujrzał w zbliżeniu na ekranie telewizora tuż przed pojawieniem się Harry’ego

Addisona.

Twarz swego przyjaciela Yan Yeha. Chiński bankier wsiadał właśnie do samochodu zaraz po otrzymaniu wiadomości o śmierci żony i syna, zatrutych wodą w Wuxi.

Wpatrując się niewidzącymi oczyma w ołtarz ponad białą plamą głowy Palestriny, Marsciano czuł w dłoniach ozdobny otwieracz do listów, który wpychał coraz głębiej w plecy klęczącego przed nim człowieka. Przekręcał go, wbijając z całą siłą, a ciało tamtego wiło się i skręcało, niczym jakiś olbrzymi wąż, usiłujący wywinąć się oprawcy. Ścisnął straszliwe narzędzie coraz mocniej, w obawie, że wyślizgnie mu się z dłoni, już mokrych od krwi ofiary.

Nagle Palestrina krzyknął, szarpnął się po raz ostatni i znieruchomiał na zawsze. Z piersi Marsciana wyrwało się potężne westchnienie. Puściwszy sztylet, zatoczył się do tyłu.

Serce waliło mu młotem. Wyciągnął przed siebie zakrwawione dłonie, przerażony swoim czynem.

– Święta Mario, Matko Boża – zaczął ledwie słyszalnym szeptem – módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci...

Poczuł za sobą czyjąś obecność i odwrócił się. W drzwiach kaplicy stał Farel.

– Postąpiłeś słusznie, Eminencjo – rzekł łagodnie i zamknął drzwi za sobą. – Jutro wymyśliłby coś nowego...  
– wzrok Farela spoczął na zwłokach Palestriny. –

Uczyłeś to, co należało uczynić. Mnie zabrakło odwagi. On był tylko zwyczajnym ulicznikiem, scugnizzo, jak sam siebie nazywał.

Nikim więcej.

– Nie, panie Farel – odparł Marsciano. – Był człowiekiem i kardynałem Kościoła.

Eaton stał spocony, ciężko dysząc, za rogiem budynku stacyjnego, usiłując powstrzymać kaszel, wywołany wdychaniem gryzącego dymu. Zerwał się słaby wietrzyk, który pomógł mu w tym nieco, a poza tym rozrzedził dymną zasłonę, dzięki czemu mógł dojrzeć to, co właśnie zobaczył.

Z trawiastego zbocza zbiegał Harry Addison, niosąc na rękach karła. Na wpół biegł, na wpół szedł, kryjąc się w cieniu drzew.

Dwadzieścia metrów przed sobą widział zieloną lokomotywę, zbliżającą się powoli do starego wagonu towarowego, którym, jak się domyślał, zamierzali uciec. Dalej ciągnęły się zardzewiałe tory, prowadzące do otwartych wrót w watykańskim murze. Rozejrzał się, wypatrując ojca Daniela. Kiedy zobaczy tego księdza, wtedy wyprowadzi go za mury, nawet gdyby miał go osobiście wynieść na rękach.

Przeszedł za budynek i znalazł się na torach. Ujrzał siwowłosego zawiadowcę w białej koszuli, stojącego na peronie i przyglądającego się lokomotywie. Ten mógł stanowić przeszkodę, podobnie jak maszynista i jego pomocnik. Największą jednak przeszkodę stanowił widok, który właśnie ujrzał.

W kierunku Addisona i karła biegła trawnikiem Adrianna, która wzięła się tutaj nie wiadomo skąd.

Kiedy Harry ją zobaczył, stanął jak wryty. Zaczął coś krzyczeć, jakby ją stąd wyganiał. Ale bez skutku. Dogoniła ich i szła teraz razem z nimi, spoglądając to na Addisona, to na karła. Nie zwracając na nią uwagi, Addison szedł dalej w stronę torów.

– Diabli nadali – mruknął Eaton pod nosem i rozejrzał się znów za ojcem Danielem.

– Adrianna, wynoś się stąd! – krzyknął Harry, zatoczywszy się pod ciężarem Herculesa. – Nie masz pojęcia, w co się, kurwa, pakujesz!

– Idę z wami; w to się, kurwa, pakuję! – odpowiedziała.

Zeszli już niemal ze wzgórza i dotarli do torów. Widzieli, że lokomotywa stoi przy wagonie, a maszynista z pomocnikiem pracują nad ich połączeniem. – Twój brat jest w wagonie, prawda? Kolejarze niczego nie wiedzą, mam rację? – dopytywała się.

Harry ją zignorował. Szedł dalej, modląc się tylko, żeby któryś z kolejarzy nie podniósł głowy i ich nie zauważył.

Hercules jęknął i uśmiechnął się słabo.

– Cyganie będą na nas czekali... – wymamrotał. – Nie oddawaj mnie policji, panie Harry. Niech mnie Cyganie pochowają...

– Nikt nie ma zamiaru cię chować – odparł Harry.

Kolejarze skończyli pracę i szli już w stronę lokomotywy.

– Zaraz będą odjeżdżać! – Harry przycisnął karła

mocniej do piersi i puścił się biegiem. Adrianna tuż za nim.

Pokonali ostatni krótki odcinek drogi w dziesięć sekund.

Przeszli przez tory za wagonem i podbiegli do drzwi, skryci przed wzrokiem kolejarzy. Oczy Harry'ego łzawiły, płuca paliły go od wysiłku. Gdzież, u diabła, podziewa się Danny i Elena? Co się stało z Roscanim?

Drzwi wagonu były częściowo odsunięte.

– Danny, Elena! – zawołał do wnętrza.

Cisza.

Rozległ się gwizd lokomotywy. Jej silnik zaczął pracować.

Z komina wydobył się kłęb czarnobrunatnych spalin.

– Danny! – zawołał Harry jeszcze raz. Bez odzewu.

Znów usłyszeli gwizd. Harry spojrzął na zegarek.

11.00

Nie zostało im ani minuty. Musieli natychmiast wsiadać do wagonu.

– Wskakuj – rzucił do Adrianny. – Podam ci go.

– Dobrze. – Reporterka wsparła się rękami o podłogę wagonu i wciągnęła do środka. Odwróciła się i wzięła Herculesa z rąk Harry'ego.

Karzeł zakaszłał i skrzywił się, gdy go z wysiłkiem dźwignęła w górę. Po chwili w pogrążonym w półmroku wagonie znalazł się także Harry. Nagle Adrianna skamieniała. Tuż za Harrym zobaczyła Thomasa Kinda. Trzymał przed sobą Elenę, przystawiając do jej skroni

automat.

Scala, opierając się o samochód, wpatrywał się przez lornetkę w otwarte wrota. Dostrzegał tylko zakręt torów za murami i niewielki fragment stacyjnego budynku. Nic poza tym nie było widać. Wszystko przesłaniały pomimo lekkiego wiatru gęste kłęby dymu. Castelletti stał na torach trochę dalej i też wpatrywał się w bramę. Dotarły do nich odgłosy strzałów i chociaż ich zadaniem było czekać na pociąg i jechać za nim, dopóki się nie zatrzyma, musieli się z całej siły powstrzymać, żeby nie pobiec za Roscanim. Wiedzieli jednak, że im nie wolno. Musieli tu stać i czekać.

– Pański pistolet, panie Addison. Proszę mi go oddać.

Harry zawahał się. Kind przycisnął automat mocniej do szyi pod uchem Eleny.

– Pan wie, kim jestem, panie Addison. Wie pan, co potrafię. – Głos Kinda był opanowany, na ustach igrał mu nikły uśmiezek.

Harry sięgnął z wolna za pas i wyciągnął calico.

– Niech pan położy na podłodze.

Harry posłuchał go i cofnął się o krok.

– Gdzie jest pański brat?

– Sam chciałbym wiedzieć. – Spojrzenie Harry'ego spoczęło na Elenie.

– Ona też nie wie – rzekł Kind, nie zmieniając tonu.

Kiedy ją złapał, wyskoczywszy nagle zza muru nad

stacją, była sama. Biegła w stronę wagonu. Usiłował z niej wydostać, gdzie jest ksiądz, ale chyba rzeczywiście nie miała pojęcia. Poszedł inną drogą, powiedziała. Ona przybiegła tu na skróty, miała udzielić pomocy rannemu człowiekowi, którego przyprowadzi brat księdza Daniela. Była przecież pielęgniarką i to był jej obowiązek.

W chwili gdy chwycił ją za rękę i ujrzał przerażenie dziewczyny, ale i wściekłą determinację, Thomas Kind poczuł nagły przyptyw znajomego uczucia dzikiego uzależnienia. Czuł jego smak w ustach i ogarniające go podniecenie.

Zrozumiał, że tym razem nie uda mu się przed tym uchronić.

– Zaraz znajdziemy pańskiego braciszka, panie Addison – oznajmił. Jego głos brzmiał teraz lodowato.

Harry ledwie to słyszał, całą swą uwagę skupiając na Elenie. Wpatrywał się w nią, usiłując jakoś ją uspokoić, a jednocześnie gorączkowo poszukiwał sposobu wyrwania jej z rąk Kinda.

Wtem w otwartych drzwiach wagonu stanął jakiś mężczyzna.

To był Eaton.

– Vigili delfuoco! Straż pożarna! – rzucił ostrym służbowym tonem. – Co wy tu wszyscy robicie? – zapytał po włosku. Zachowywał się w przemyślany sposób, nie patrząc bezpośrednio na Kinda, lecz na całą grupę, jakby automat w ręku terrorysty w ogóle nie istniał.

– Jedziemy na wycieczkę – odparł zabójca z

uśmiechem.

W dłoni Eatona pojawił się nagle colt. Profesjonalnym ruchem uniósł pistolet do strzału, mierząc prosto między oczy Thomasa Kinda.

Terrorysta ledwie mrugnął. Krótka seria z automatu trafiła Eatona pod nosem, wyrzucając go z wagonu na tory, z twarzą pokrytą krwią i odłamkami kości. Pistolet wyleciał mu z ręki i zniknął.

Elena zeszywniała ze zgrozy. Kind zakrył jej usta dłonią.

Adrianna stała w miejscu jak skamieniała. Nie było po niej widać żadnych uczuć. Hercules leżał na podłodze pomiędzy nią i Harrym a Kindem i Eleną. Wstrzymywał oddech wiedząc, podobnie jak pozostali, że jedno drgnięcie palca zabójcy i któreś z nich będzie martwe. Albo wszyscy.

– Adrianna – usłyszeli nagle głos pilota helikoptera WNN, stłumiony i odległy, gdyż wydobywał się z telefonu komórkowego w kieszeni jej kurtki. – Adrianna, trzymamy się na pięćdziesięciu metrach, zaraz za murami. Pociąg nie odjeżdża. Czy mamy w dalszym ciągu filmować?

– Niech pan puści kobiety – powiedział Harry do Kinda. – Mogłyby zabrać Herculesa.

Elena nagle pochyliła się ku leżącemu na podłodze karłowi. Kind uniósł pistolet.

– Elena, stój! – krzyknął Harry. Dziewczyna znieruchomiła.

– On umrze, jeżeli nie otrzyma szybko pomocy – powiedziała.

– Adrianna, zgłoś się – odezwał się znowu pilot.

– Powiedz mu, żeby przestał się interesować pociągiem. Niech filmuje ludzi przed Świętym Piotrem – polecił jej Kind. – No, już, mów.

Adrianna patrzyła na niego przez chwilę, a potem wyciągnęła telefon z kieszeni i zrobiła, co kazał.

Kind podszedł do drzwi wagonu i spojrzał w niebo. Helikopter nie wisiał już w miejscu, lecz poleciał na wschód, a potem na północ, nad plac Świętego Piotra.

– Wsiadamy z wagonu i idziemy na stację, do budynku – oznajmił, cofnąwszy się do środka.

– Jego nie wolno ruszać z miejsca – zawołała błagalnym tonem Elena, pokazując na Herculesa.

– No to go zostawimy.

– Ale on umrze!

Harry spostrzegł, że palec Kinda nerwowo gładzi spust automatu.

– Eleno, rób, co on każe – polecił jej.

Poszli szybko torami. Kind, trzymający przy sobie Elenę, przodem; Harry z Adrianną za nimi. Nagle od strony czoła lokomotywy usłyszeli jakiś ruch i zza maszyny wypadło dwóch kolejarzy, uciekających w kierunku bramy.

Thomas Kind zatrzymał się w pół kroku i obejrzawszy się przez ramię na Harry'ego, lodowatym spojrzeniem ostrzegł go przed jakimkolwiek ruchem. A potem podniósł broń i wypuścił dwie krótkie serie w stronę maszynisty i jego pomocnika.

Obaj runęli w jednej chwili na ziemię jak bezwładne kukły.

– Matko Święta! – Elena zrobiła znak krzyża.

– Ruszać się – rozkazał Kind. Przeszli przed nosem lokomotywy. – Do środka – pokazał drzwi stacyjnego budynku.

– Kiedy mijali lokomotywę, Harry zerknął w kierunku otwartej bramy i zobaczył w oddali samochód, stojący w pobliżu rozjazdu, a obok niego dwóch mężczyzn, patrzących w ich stronę.

Scala i Castelletti.

Roscani musiał być jeszcze w obrębie murów. Tylko gdzie?

Ból w nodze był rozdzierający. Roscani szedł kilka metrów, przystawał dla odpoczynku i znów szedł, przyciskając mocno prawą dłoń do rany w udzie. Miał nadzieję, że idzie w kierunku stacji, ale nie był całkiem pewien. Dym i bolesna rana całkiem go zdezorientowały. Brnął jednak z determinacją dalej, trzymając w wyciągniętej lewej ręce beretę.

– Stać! Ręce do góry! – usłyszał nagle okrzyk po włosku.

Zamarł w pół kroku. Z obłoków dymu przed nim wyłoniło się kilku ludzi z karabinami gotowymi do strzału. Byli w niebieskich koszulach i beretach. Gwardia Szwajcarska.

– Jestem policjantem! – zawołał do nich. Nie wiedział, czy podlegają bezpośrednio rozkazom Farela; była jednak szansa, że działają niezależnie od „czarnych garniturów”.  
– Jestem policjantem! – powtórzył.

– Ręce do góry – usłyszał tylko w odpowiedzi. – Ręce do góry!

Powoli uniósł ramiona. Poczul, że wyszarpięto mu z dłoni pistolet. Potem jeden z gwardzistów zdjął z pasa radio.

– Ambulanza! – rozkazał do mikrofonu. – Przyślijcie karetkę!

Thomas Kind zamknął drzwi budynku dworca watykańskiego. Znaleźli się w przestronnej sali o wyłożonych marmurem ścianach, stanowiącej niegdyś bramę papieża na świat. Z położonych wysoko okien wlewały się kaskady światła, wydobywając z mroku środek pomieszczenia niczym teatralne reflektory. Słaba poświata sączyła się także z okna wychodzącego na tor, lecz poza tym hol dworcowy był ciemny. Panował tu chłód i, o dziwo, nie było dymu.

– Dobra – rzekł Kind, puszczając Elenę i spoglądając na Harry’ego. – Twój brat chciał wsiąść do pociągu. Jako że pociąg wciąż tu jest, zakładamy, że on w dalszym ciągu chce się do niego dostać.

Harry powoli zlustrował wzrokiem postać zabójcy, jakby próbował odkryć jego słaby punkt. Nagle zobaczył za otwartymi w głębi drzwiami białą koszulę, która natychmiast zniknęła. Niestety dał po sobie poznać, że coś zwróciło jego uwagę.

– Co? – zapytał ostro Kind. – Twój ksiądz już tutaj jest? Hej tam, w biurze, wyłazić! – zawołał.

Odpowiedziała mu cisza.

Adrianna powoli zmieniła pozycję, przesuwając się trochę w stronę Kinda. Harry spojrzał na nią, próbując odgadnąć, do czego zmierza. Pochwyciła jego wzrok i pokręciła nieznacznie głową.

– Wyłaź stamtąd! – wrzasnął Kind. – Albo ja po ciebie przyjdę!

Czas stanął w miejscu. A potem zza drzwi wysunęła się

z wolna biała głowa, a po chwili cała postać zawiadowcy stacji. W białej koszuli i czarnych spodniach. Był to człowiek dobrze już po sześćdziesiątce. Kind gestem kazał mu podejść.

Mężczyzna wszedł do holu, powoli, z oczami rozszerzonymi strachem.

– Kto tam jeszcze jest? – zapytał Kind.

– Nikogo nie ma.

– Kto otworzył bramę?

Kolejarz uniósł rękę i pokazał na siebie.

Harry poznał po oczach terrorysty, że ma zamiar za chwilę Strzelić.

– Nie! – krzyknął.

Kind spojrzał na niego.

– Gdzie jest twój brat?

– Nie zabijaj tego człowieka, proszę!

– Gdzie jest ksiądz?

– Przecież nie wiem – głos Harry'ego przeszedł w szept, Kind uśmiechnął się lekko i nacisnął spust.

Patrzyli przerażeni, jak biała koszula zawiadowcy eksploduje czerwienią. Stary człowiek stał przez chwilę nieruchomo, a potem zatoczył się w tył i obróciwszy się wokół własnej osi, upadł na bok w drzwiach swego biura.

Harry nagłym ruchem przygarnął do siebie Elenę, nie pozwalając jej patrzeć na ten horror.

Adrianna zrobiła ostrożnie krok w stronę Kinda.

– Jeżeli chcesz się spotkać z moim bratem, to zaprowadzę cię do niego – powiedział nagle Harry.

Nie ulegało wątpliwości, że Thomas Kind jest szaleńcem i gdy tylko Danny się pojawi, pozabija ich wszystkich.

– Gdzie on jest? – Kind załadował do pistoletu nowy magazynek.

– Czeka za bramą. Mieliśmy go zabrać po drodze.

– Kłamiesz.

– Nie.

– Tak. Tam nie ma gdzie się schować. Wrota są rozsuwane.

Kind nagle zauważył manewry Adrianny i odwrócił się do niej.

– Uważaj – rzucił Harry ostrzegawczo.

– A ty co wyprawiasz? – zapytał Kind, jakby zdziwiony.

– Nic. – Podeszła jeszcze pół kroku, z oczami wciąż utkwionymi w twarzy terrorysty.

– Adrianna, nie – próbował ją znów powstrzymać Harry.

Zatrzymała się. Stała teraz półtora metra od Kinda.

– To ty zabiłeś kardynała wikariusza Rzymu, prawda? – powiedziała.

– Tak jest.

– W ciągu ostatnich kilku minut zabiłeś czterech ludzi...

– Zgadza się.

– A kiedy znajdziesz ojca Daniela, zabijesz także jego...

A potem nas.

– Być może. – Na twarzy Kinda pojawił się uśmiech i

Harry uświadomił sobie, że zabójca czerpie z tej sytuacji autentyczną przyjemność.

– Ale dlaczego? – zapytała ostrym tonem Adrianna. – Co to ma wspólnego z Watykanem i zatruciem jezior w Chinach?

Harry patrzył na nią zdziwiony. Co chciała zyskać, tak go naciskając, skoro to on trzymał ich na muszce automatu, a nie odwrotnie?

Nagle zrozumiał. W tej samej chwili zrozumiał to także Kind.

– Ty to nagrywasz – oznajmił spokojnie, zdumiony i rozbawiony własnym odkryciem. – Masz miniaturową kamerę i cały czas wszystko filmujesz.

– Odpowiedz najpierw na pytanie – odparła Adrianna z uśmiechem – a potem możemy o tym pogadać...

W ułamku sekundy Thomas Kind uniósł broń i strzelił.

Na twarzy Adrianny pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia. Zachwiała się i runęła w tył.

Elena odwróciła się, patrząc na to zmartwiała z przerażenia. Kind nawet nie zauważył jej poruszenia, zajęty własną robotą. Harry spostrzegł nabrzmiałe żyły na jego szyi i czole, kiedy stanął nad ciałem Adrianny. Terrorysta wciąż do niej strzelał, nie serią, lecz pojedynczymi, rytmicznymi naciśnięciami spustu. Po chwili przykucnął i strzelił znowu.

I jeszcze raz, i jeszcze. Prawie jakby się z nią w ten sposób kochał.

Wszystko to działo się zbyt szybko. Zbyt wiele w tym

było przemocy i perwersji. Harry nawet nie zdążył zareagować. Został już tylko on z Eleną... i Kind. Na środku ogromnego holu. Zupełnie pustego. Nie było dokąd uciec, gdzie się schować.

Harry jednak się poruszył. Postąpił w stronę Kinda. Ten zauważył go i odwrócił się, unosząc pistolet.

– HARRY? – W pustym holu dworcowym poniósł się nagle echem głos Danny’ego.

Harry zamarł w bezruchu.

Kind także, rozglądając się na wszystkie strony.

Harry stanął nagle między nim i Eleną, dokładnie na linii strzału. Za sobą miał drzwi.

– Elena, wyjdź. No, już! – rzucił do niej przez ramię zdecydowanym tonem. Patrzył Kindowi prosto w oczy.

Elena zaczęła odwracać się powoli do wyjścia.

– Już cię nie ma! – wrzasnął.

Dziewczyna otrząsnęła się nagle z letargu. Pobiegnęła do drzwi i po chwili była już na zewnątrz budynku.

– Thomasie Kind! – usłyszeli znów głos Danny’ego. – Wypuść mojego brata!

Kind czuł, jak kolba automatu wciska mu się w dłoń.

Wciąż przeszukiwał wzrokiem pomieszczenie. Wpatrywał się w ciemne kąty, w jasne słoneczne plamy na środku i znowu w mrok.

– Ona uciekła, Kind. Już i tak jesteś skończony. Zabicie mojego brata nic ci nie da. To o mnie ci przecież chodziło.

– Pokaż się.

– Najpierw pozwól mu wyjść.

– Liczę do trzech, księżulku. Potem posiekam go na kawałki. Raz...

Harry spostrzegł przez okno Elenę. Wspinała się po drabince do lokomotywy. Zastanawiał się, co też, u diabła, przyszło jej do głowy.

– Dwa...

Nagle usłyszeli serię krótkich, głośnych gwizdów lokomotywy. Kind nie zwracał na to uwagi. Opuścił lufę pistoletu na wysokość kolan Harry'ego.

– Danny! – krzyknął Harry na cały głos. – Jakie to było słowo? Co to było, Danny?! – Zerknął z ukosa na Thomasa Kinda. – Znam mojego brata lepiej, niż mu się zdaje. Jak to było, Danny? Powiedz to słowo! – Jego głos odbijał się w pustym budynku zwielokrotnionym echem.

– OORAH!

Danny wyłonił się nagle zza przepierzenia w końcu sali.

Stał przez chwilę na wózku w głębokim cieniu, a potem chwycił rękami za koła i potoczył się na środek sali, w krąg oślepiającego światła, padającego z okienek pod sufitem.

– OORAH! – powtórzył Harry jego okrzyk. – OORAH!

– OORAH!

– OORAH!

Kind patrzył w stronę Danny'ego, lecz ostre światło zupełnie go oślepiało. Harry ruszył w jego kierunku.

– OORAH! OORAH! – powtarzał śpiewnie, ze wzrokiem utkwionym w sylwetce zabójcy. – OORAH!  
OORAH!

Nagle Kind skierował na niego lufę pistoletu. Równocześnie Danny ruszył wózkami naprzód.

– OOORAAHHHH! – celtycki okrzyk poniósł się potężnym echem wśród marmurowych ścian i wózek z Danny'ym wyłonił się z kręgu światła.

– TERAZ! – wrzasnął Harry.

Kind zatoczył lufą automatu łuk w stronę Danny'ego, gdy ten rzucał pod jego nogi butelkę zapalającą. A potem cisnął drugą. Pod stopami terrorysty buchnęły płomienie.

Przez chwilę czuł w dłoni szarpnięcia broni i nagle przestał cokolwiek widzieć. Ogień był wszędzie. Odwrócił się i zaczął biec. Żeby biec, musiał jednak oddychać. I zaczerpnął powietrza, wciągając do płuc potworny żar. Ból, który poczuł, był najstraszliwszy w jego życiu. Nie mógł oddychać; nie mógł nawet krzyknąć. Mógł tylko biec, cały w płomieniach.

Czas zaczął zwalniać. Kind był już na dworze. Zobaczył niebo nad głową. Otwartą bramę w watykańskim murze.

I nagle, pomimo bólu przenikającego każdą komórkę jego ciała, poczuł zadziwiający, głęboki spokój. Nieważne, co zrobił w życiu, nieważne, kim się stał. Thomas Jose Alvarez-Rios Kind wiedział, że choroba, która opanowała jego duszę, właśnie go opuszcza. Koszt był straszliwy, to prawda.

Ale za parę sekund będzie wreszcie wolny.

Lokomotywa nie przestawała gwizdać. Scala i Castelletti biegli po torach. Słyszeli strzały, pociąg mimo

sygnału nie ruszał z miejsca. Do diabła z tym, nie mogli już dłużej biernie czekać. Nagle stanęli jak wryci. Przez otwartą bramę zmierzał ku nim płonący człowiek.

Policjanci patrzyli na niego z zapanowanym tchem. Przebiegi trzy metry, cztery, pięć. Potem zwolnił, potykając się zrobił jeszcze kilka kroków i runął na ziemię. Ledwie trzydzieści metrów za granicą Włoch.

Harry usłyszał, jak potężne żelazne wrota zamykają się z hukiem za jego plecami. Zobaczył, że z tłumu uzbrojonych po zęby gwardzistów w niebieskich koszulach wyjeżdża karetka i kieruje się ku lokomotywie. Pielęgniarze i lekarz podbiegli do miejsca, gdzie przy Herculesie klęczała Elena.

Natychmiast podłączyli go do kroplówki i umieściwszy na noszach, ponieśli biegiem do ambulansu, który po chwili odjechał, znikając w morzu niebieskich koszul.

Poczuł, jakby wraz z karłem odjechała jakaś część jego własnej istoty. W końcu odwrócił się i napotkał wzrok Danny'ego, przyglądającego mu się ze swego wózka. Poznał po jego oczach, że przeżywali obaj to samo deja vu: ktoś bliski, na kim im zależało, został wniesiony do karetki i zabrany w nieznane, a oni mogli tylko stać i bezradnie się temu przyglądać. Od tej strasznej niedzieli, kiedy z lodowatego stawu wyłowiono ciało ich siostry, zawinięto w koc i powieszono w ciemność, upłynęło już dwadzieścia pięć lat.

Różnica polegała na tym, że to, co teraz przeżywali, działo się dwadzieścia pięć lat później i znajdowali się w Rzymie, a nie w Maine. No i Hercules jeszcze nie umarł.

Wtem Harry uzmysłowił sobie, że zupełnie zapomniał o Elenie. Rozejrzał się i zobaczył ją, stojącą samotnie przed lokomotywą. Przyglądała się im w napięciu, nie zważając

zupełnie na tłum żołnierzy wokół. Zrozumiał, że Elena jest świadoma, iż między nim i Dannym dzieje się coś ważnego, i pragnie w tym uczestniczyć, lecz nie jest pewna, czy jej nie odtrąca. I w tym momencie stała mu się najdroższą osobą w całym jego dotychczasowym życiu.

Nie zastanawiając się nawet, co robi, podszedł do niej i na oczach wszystkich – Danny’ego i bezimiennej gromady gwardzistów – pocałował, wkładając w ten delikatny gest całą swą miłość i czułość.

Przez popołudnie aż do wieczora Harry z Eleną i Dannym siedzieli w niewielkiej poczekalni szpitala Świętego Jana.

Harry trzymał Elenę za rękę, a jego umysł błądził nie wiadomo gdzie. Przede wszystkim starał się nie myśleć. O ludziach, których zabił, i o tych, których zabili inni. O Eatonie, nawet o Thomasie Kindzie. Najgorzej było z Adrianną. Już podczas tej pierwszej nocy, którą spędzili razem, wyczuł, że ona boi się śmierci. A jednak wszystko, co robiła – każda z jej dziennikarskich relacji – związane było w taki czy inny sposób właśnie ze śmiercią. Od wojny w Bośni przez obozy uchodźców w targanej wojną domową Ruandzie, aż po obecne wydarzenia rozpoczęte zabójstwem kardynała Parmy. Przypomniawszy sobie jej słowa. Oświadczyła, że gdyby miała dzieci, nigdy nie mogłaby robić tego, co robi. Kto wie, może w skrytości ducha pragnęła tego, tylko nie wiedziała, jak te rzeczy pogodzić ze sobą. Dom, dzieci i tę pracę. Nie mogła mieć wszystkiego, wybrała więc to, co wydawało się jej dawać pełnię życia. I dawało. Dopóki jej nie zabiło.

Wieczorem, tuż przed szpitalną kolacją, przyłączył się do nich kardynał Marsciano, ubrany po cywilnemu. A godzinę później pojawił się Roscani. Błady, przywieziony na wózku przez salowego z innego skrzydła kliniki.

Pięć minut przed dwudziestą drugą drzwi poczekalni

otworzyły się i stanął w nich lekarz, jeszcze w chirurgicznym fartuchu i rękawiczkach.

– Wyjdzie z tego – oznajmił po włosku – Hercules będzie żył.

Harry zrozumiał od razu; nie potrzebował nawet tłumaczenia.

– Grazie – powiedział, wstając. – Grazie.

– Prego.

Zwracając się do nich wszystkich, chirurg oświadczył, że więcej informacji będzie mógł podać później i skłoniwszy się lekko, opuścił poczekalnię.

Zbiorowe milczenie, które potem zapadło świadczyło o tym, jak głęboko są wszyscy poruszeni. To, że mieszkający w kanałach ściekowych karzeł wyzdrowieje, było samo w sobie czymś radosnym i wspaniałym po tej długiej burzliwej i bolesnej podróży, którą wspólnie odbyli, jeszcze nie całkiem do każdego z nich docierało, że to już koniec. A jednak sprawa była zakończona i pozostało już tylko po niej posprzątać.

Likwidacją szkód zajął się natychmiast Farel. Działając z ogromną energią, robił wszystko, żeby Stolica Apostolska ucierpiała jak najmniej. Zarazem bowiem chronił także siebie.

Zdążył już zwołać konferencję prasową, transmitowaną na żywo przez państwową telewizję włoską. Ogłosił na niej, że przed południem słynny południowoamerykański terrorysta Thomas Kind dokonał groźnych podpaleń w muzeum i Ogrodach Watykańskich, a prawdziwym celem

tej akcji był prawdopodobnie zamach na samego papieża. Podczas ataku Kind zastrzelił korespondentkę telewizji WNN Adriannę Hall i przybyłego jej na pomoc pracownika ambasady amerykańskiej, Jamesa Eatona. Jednocześnie kardynał Umberto Palestrina, watykański sekretarz stanu, śpiesząc, by ochronić Ojca Świętego, zmarł na atak serca. Na zakończenie swego oświadczenia Farel oznajmił, że Thomas Kind został także uznany za sprawcę zabójstw kardynała wikariusza Rzymu i detektywa Giovanniego Pio oraz zamachu bombowego na autobus do Asyżu. Sam zginął od wybuchu podłożonej przez siebie bomby zapalającej w Ogrodach Watykańskich. O obecności Roscaniego na terytorium Watykanu Farel nie wspomniał ani słowem.

Roscani powiódł spojrzeniem po twarzach osób zebranych w poczekalni. Opuścił swój pokój szpitalny specjalnie, żeby poinformować Addisonów i Elenę Voso o konferencji Farela, w wyniku której cała trójka została uwolniona od wszelkich oskarżeń. Obecność Marsciana zaskoczyła go i przez krótką chwilę liczył, że uda mu się porozmawiać z kardynałem na osobności i zapytać go o kulisy zamordowania kardynała Parmy, śmierci Palestriny i działalności Thomasa Kinda oraz wyjaśnić związek tych wydarzeń z tragedią w Chinach. Marsciano jednak szybko rozwiął jego nadzieje stwierdzając, że bardzo mu przykro, ale ze względu na okoliczności, wszelkie zapytania na temat sytuacji w Stolicy Apostolskiej należy kierować wyłącznie drogą oficjalną.

Oznaczało to, że kardynał nie zamierza ujawnić tego, co wie – ani teraz, ani w przyszłości. Roscani nie miał innego wyjścia, jak pogodzić się z tym faktem.

Załatwiwszy sprawę, mógł już właściwie wrócić do swego pokoju, a jednak ku własnemu zdziwieniu został ze wszystkimi, czekając na wiadomości o stanie Herculesa. Nie tylko sądził, że tak wypada, ale naprawdę chciał to zrobić. Być może czuł się uczestnikiem wydarzeń na równi z pozostałymi.

A może chciał zostać, ponieważ jakimś sposobem Hercules zdobył również i jego serce, i drżał teraz o zdrowie karła nie mniej niż inni. Byli wszyscy tak wyczerpani i taki mieli mętlik w głowie, że trudno było o racjonalną ocenę czegokolwiek.

Przynajmniej rzucił palenie i to na pewno było coś dobrego.

Roscani podjechał na wózku kolejno do każdego z obecnych, ściskając im dłonie i zapewniając, że gdyby kiedykolwiek był w stanie coś dla nich zrobić, mogą do niego telefonować o każdej porze dnia i nocy. Potem życzył wszystkim dobrej nocy, lecz zanim podjechał do drzwi, poprosił Harry'ego, żeby wyszedł z nim na korytarz.

– Po co? – Harry zeszywniał.

– Proszę się nie obawiać – rzekł Roscani. – To sprawa osobista.

Harry spojrział na Danny'ego i Elenę i westchnąwszy głęboko, wyszedł za detektywem z poczekalni.

– Chodzi mi o to wideo, które nakręcili z panem, po zabiciu Pia – wyjaśnił Roscani, kiedy znaleźli się sam na sam.

– Tak?

– Na samym końcu coś zostało wycięte. Jakieś słowo albo zdanie. Próbowałem się zorientować, co to było, zatrudniłem nawet eksperta od czytania z ruchu warg, ale nie dał rady. Czy pan może pamiętać, co pan chciał powiedzieć?

Harry skinął głową.

– Powie mi pan?

– Byłem po torturach, więc na początku nie bardzo zdawałem sobie sprawę, co się dzieje. A potem próbowałem wezwać pomocy, kogoś zawołać.

– Kogo?

– Pana.

– Mnie?

– Tak, tylko pan mógłby mi wtedy pomóc.

Twarz Roscaniego powoli rozjaśniła się uśmiechem I twarz Harry'ego także.

## Epilog

Bath w stanie Maine.

Poprzysięgli sobie kiedyś, że wyjadą i nigdy nie wrócą.

Ale w dwa dni po urządzonym z państwową pompą pogrzebie kardynała Palestriny jednak wrócili. Harry niósł bagaże, a Danny kuśtykał obok niego o kulach. Z Nowego Jorku polecili do Portlandu, a resztę drogi przebyli samochodem. Był jasny letni dzień.

Elena pojechała do domu, do Toskanii, żeby powiadomić rodziców o swoich planach porzucenia klasztoru. Stamtąd miała się udać do Sieny, prosić o zwolnienie ze ślubów zakonnych. A potem dołączyć do Harry'ego w Los Angeles.

Harry prowadził wynajętego chevroleta. Przejechali przez znajome miasta: Freeport, potem Brunswick, aż w końcu znaleźli się w Bath. Stare kąty prawie się nie zmieniły. Białe odeskowane domy i kryte gontem wille jaśniały w lipcowym słońcu. Rozłożyste wiązy i dęby kipiały letnim listowiem, stateczne i ponadczasowe jak zawsze. Minęli Bath Iron Works, stocznię, w której pracował ich ojciec i w której zginął. Jadąc powoli na południe, w stronę Boothbay Harbor, z Route dwieście dziewięć skręcili w High Street i wreszcie w prawo, w Cemetery Road.

Rodzinny grób znajdował się na trawiastym pagórku, z

którego roztaczał się widok na zatokę. Cmentarz był taki, jakim go pamiętali – cichy i starannie utrzymany; jedynym słyszalnym dźwiękiem był świergot ptaków. Ojciec kupił działkę zaraz po urodzeniu się Madeline, wiedząc, że nie zamierzają mieć więcej dzieci. Było tutaj pięć miejsc; trzy już zajęte. Obok Madeline i ojca leżała tu także matka, która zastrzegła sobie w ostatniej woli, żeby ją pochowano koło córki i pierwszego męża, ojca jej dzieci. Dwa pozostałe miejsca czekały na Harry'ego i Danny'ego, jeśliby zechcieli.

Aż do tej pory wydawało im się nie do pomyślenia, żeby mogli spocząć na wieki właśnie w tym miejscu. Ale od tamtego czasu wiele się zmieniło. Oni także. Nie sposób było przewidzieć, co jeszcze przyniesie życie. Miejsce było piękne i pełne kojącego spokoju i pomysł wydawał im się teraz jakoś krzepiący. W ten sposób koło się zamknęło.

Pozostawili kwestię zawieszoną w powietrzu, omówioną bez słów, jak to się zdarza tylko pomiędzy rodzeństwem.

Nazajutrz Danny odleciał przez Boston do Rzymu, a Harry do Los Angeles. W ich życiu było teraz więcej smutku, lecz także bogactwa i mądrości, a oni sami zmienili się niewyobrażalnie. Przeszli razem przez piekło i wydostali się z tego żywi. W toku wydarzeń zgromadzili wokół siebie niesamowitą grupę szalonych osób, złożoną z zakonnic, karła-kaleki i trzech niezwykłych włoskich policjantów. I po raz pierwszy od dzieciństwa działali dla

wspólnego celu.

Bohaterowie? Może... W końcu ocalili życie kardynała Marsciana i zapobiegli nie wiadomo ilu śmierciom niewinnych ludzi w Chinach. Ale istniała także druga strona medalu, koszmar, którego powstrzymać nie byli w stanie. Z tego powodu zawsze już miało im towarzyszyć poczucie pustki, smutek i ucisk w sercu. Choć z drugiej strony, co było, minęło. Nic już nie dało się cofnąć. Można było natomiast podjąć sensownie dalsze życie w miejscu, w którym zostało przerwane. Każdy z nich osobno, w środowisku, które stało się dlań drugą rodziną – Danny z kardynałem Marscianem i Kościołem; Harry w zwariowanym świecie Hollywood, lecz z fantastycznym bogactwem, jakim dla jego duszy stała się Elena. I świadomi w pełni, że każdy z nich odzyskał brata.

W piątek siedemnastego lipca, o piętnastej trzydzieści, Ojciec Święty Leon XIV, przebywający w swej ściśle teraz strzeżonej rezydencji w Castel Gandolfo, został poinformowany o dramatycznych wydarzeniach, jakie rozegrały się w murach Watykanu, a których kulminacją była śmierć kardynała Umberta Palestriny.

O osiemnastej trzydzieści, prawie osiem godzin po ewakuowaniu go helikopterem, Ojciec Święty powrócił do Watykanu samochodem. O siódmej wieczorem zwołał swoich najbliższych doradców na mszę świętą w intencji ofiar ostatnich wydarzeń.

W niedzielę, dokładnie w południe, wszystkie dzwony Rzymu obwieściły żałobę po kardynale Palestrinie. A w

środę odbył się w Bazylice Świętego Piotra uroczysty oficjalny pogrzeb. Wśród tysięcy zgromadzonych znajdował się także nowo mianowany sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej, kardynał Nicola Marsciano.

O osiemnastej tego samego dnia kardynał Marsciano odbył spotkanie w cztery oczy z kardynałem Josephem Matadim i monsiniolem Fabiem Capizzim. Zaraz po tej rozmowie udał się na modlitwę do prywatnej kaplicy Ojca Świętego, a później obydwaj watykańscy hierarchowie zjedli wspólnie obiad w prywatnych apartamentach papieża.

O czym rozmawiano i jakie tam ujawniono tajemnice – nie wiadomo.

Dziesięć dni później, w poniedziałek dwudziestego siódmego lipca, Hercules wydobrzeł już na tyle, że można go było przetransportować ze szpitala Świętego Jana do prywatnej kliniki na rehabilitację.

Trzydziestego lipca prowadzone przeciwko niemu dochodzenie w sprawie zabójstwa zostało dyskretnie umorzone.

Pod koniec sierpnia został wypisany z kliniki i zamieszkał w niewielkim mieszkanku w Montepulciano, w Toskanii.

Mieszka tam w dalszym ciągu, pracując jako zarządca gajów oliwnych będących własnością rodziny Voso.

We wrześniu szef Gruppo Cardinale prokurator Marcello Taglia w specjalnym oświadczeniu ogłosił, że zabójcą kardynała Rosaria Parmy, wikariusza Rzymu, był

nieżyjący już terrorysta Thomas Jose Alvarez-Rios Kind, działający na własną rękę. Nie wykryto żadnych jego powiązań z jakimikolwiek grupami przestępczymi bądź politycznymi.

Po tym komunikacie rząd włoski formalnie zamknął dochodzenie i rozwiązał Gruppo Cardinale.

Watykan zachował całkowite milczenie.

Pierwszego października, dokładnie dwa tygodnie po oświadczeniu Taglii, Capo del Ufficio Centrale Vigilanza Jacov Farel pojechał na swój pierwszy od pięciu lat urlop.

Przy przekraczaniu prywatnym samochodem granicy włosko-austriackiej został aresztowany i oskarżony o współudział w zamordowaniu włoskiego detektywa Giovanniego Pio.

Obecnie oczekuje na proces w tej sprawie.

Watykan powstrzymał się od komentarza.

I jeszcze jedna sprawa...

Los Angeles. 5 sierpnia

W samym środku ciężkiej harówki po powrocie – włączając w to wydebienie trudnego kontraktu na sequel „Dog on the Moon” i nie kończące się rozmowy telefoniczne z Eleną, przygotowującą się do przeprowadzki do Los Angeles – coraz bardziej nurtowało Harry’ego wspomnienie rozmowy, jaką odbył z Dannym podczas drogi powrotnej z Maine do Bostonu.

Zaczął się to od rozmyślań nad pytaniami, które wciąż pozostawały bez odpowiedzi. Ponieważ braterska więź

między nimi nawiązała się na nowo, ponieważ tyle razem przeżyli i mieli teraz wiele wspólnych tajemnic, wydawało mu się zupełnie naturalne, żeby poprosić Danny'ego o wyjaśnienie paru niejasnych kwestii.

Harry: Zadzwoiłeś do mnie w piątek rano czasu rzymskiego i nagrałeś się na automatyczną sekretarkę. Powiedziałeś, że jesteś przerażony i nie wiesz, co robić. „Boże, ratuj”, to były twoje słowa.

Danny: Zgadza się.

Harry: Rozumiem, że było to bezpośrednio po wysłuchaniu spowiedzi kardynała Marsciana. Przeraziło cię to, co usłyszałeś i ewentualne skutki tych spraw.

Danny: Tak jest.

Harry: A gdybym był w domu i odebrał telefon? Powiedziałbyś mi o tej spowiedzi?

Danny: Byłem kompletnie rozkojarzony; nie wiem, co bym ci powiedział. O samej spowiedzi może tak, ale na pewno nie o jej treści.

Harry: Ale mnie nie było, więc zostawiłeś tę wiadomość i za parę godzin siedziałeś już w autobusie do Asyżu. Dlaczego akurat do Asyżu? Przecież tam po trzęsieniu ziemi prawie nie ma klasztoru nadającego się do zamieszkania.

Od tego momentu Danny zaczął robić wrażenie, jakby mniej chętnie odpowiadał na jego pytania].

Danny: Nie myślałem wtedy o tym. Po prostu czułem się okropnie, akurat był autobus, a w Asyżu znajdowałem duchowe schronienie już od dawna... Do czego ty

zmierzasz?

Harry: Do tego, że może Asyż był nie tylko schronieniem; że mogłeś tam jechać z innego powodu.

Danny: Na przykład?

Harry: Na przykład w celu spotkania się z Eatonem.

Danny: Z kim?

Harry: Z Eatonem.

Danny: Dlaczego niby miałbym jechać aż do Asyżu, żeby się spotkać akurat z Eatonem?

Harry: To ty mi powiedz...

Danny [parsknął śmiechem]: Coś ci się pomyliło, Harry. I tyle.

Harry: On stawał na głowie, żeby się z tobą zobaczyć, Danny. Załatwił mi fałszywe papiery, naprawdę nadstawiał karku. Gdyby go przyłapali, mógłby mieć cholerne problemy.

Danny: Taką miał pracę...

Harry: On zginął, Danny, próbując się do ciebie dostać. I być może próbując cię chronić.

Danny: Taką miał pracę...

Harry: A gdybym się jednak upierał, że przez te wszystkie lata jeździłeś do Asyżu nie dla ducha, lecz po to żeby przekazywać informacje Eatonowi?

Danny [szeroki uśmiech niedowierzania]: Czyżbyś sugerował, że byłem agentem CIA w Watykanie?

Harry: A byłeś?

Danny: Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Harry: Tak.

Danny: Więc nie byłem. Jeszcze coś?

Harry: Nie...

Było jednak coś jeszcze i Harry chciał się tego dowiedzieć.

Zatelefonował do przyjaciela w redakcji „Time’a” w Nowym Jorku. Dziesięć minut później rozmawiał już z redakcyjnym specjalistą od CIA z biura w Waszyngtonie.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, – zapytał, – że CIA ma wtyczkę w Watykanie? W odpowiedzi usłyszał śmiech.

– Bardzo małe, – powiedział dziennikarz.

– Ale nie jest to niemożliwe?

– Nie jest.

– Szczególnie – wyjaśnił korespondent „Time’a” – jeżeli na przykład rezydent we Włoszech interesowałby się oddziaływaniem Watykanu na ten kraj po aferze z Banco Atiribrosiano na początku lat osiemdziesiątych.

– Taki ktoś mógłby się chyba także interesować kierunkami inwestycji watykańskich? – zapytał Harry ostrożnie.

– Oczywiście. Jeśliby uznał, że to ma znaczenie mógłby próbować umieścić wtyczkę jak najbliżej źródła informacji.

Harry poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

„Jak najbliżej źródła informacji...”. Na przykład na stanowisku osobistego sekretarza kardynała odpowiedzialnego za sprawy ekonomiczne Stolicy Apostolskiej..

– Czy tym kimś – pytał dalej – mógłby być na przykład szef rezydentury w Rzymie?

– Jak najbardziej.

– A kto by wówczas wiedział o całej sprawie?

– Istnieje ściśle strzeżona kategoria agentów zwana HUMINTS. To skrót od Human Intelligence wywiadu osobowego. To są ludzie bardzo głęboko zakonspirowani.

Jeszcze staranniej ukryci są współpracownicy określane skrótem NOC – Non Official Cover, nieoficjalny tajny agent.

Tego rodzaju osoby są chronione do tego stopnia, że może o ich istnieniu nie wiedzieć nawet dyrektor CIA. Pracownicy NOC są zazwyczaj rekrutowani przez szefa rezydentury osobiście, z reguły z myślą o umieszczeniu w ściśle określonym miejscu. Werbuje się ich prawdopodobnie z dużym wyprzedzeniem, żeby dać im czas na ulokowanie się na pożądanym stanowisku bez wzbudzania podejrzeń.

– Czy takim współpracownikiem może być... osoba duchowna?

– A czemu nie?

Harry nie pamiętał, jak zakończył tę rozmowę, jak wyszedł z biura, jak szedł Rodeo Drive w sierpniowym skwarze i smogu, ani nawet jak przeszedł na drugą stronę Wilshire Boulevard. Wiedział tylko, że nagle znalazł się w ekskluzywnym butik, gdzie młoda atrakcyjna ekspedientka pokazywała mu krawaty.

– Chyba nie – pokręcił głową, patrząc, na krawat od

Armaniego. – A może pozwoli pani, że sam się rozejrzę?

– Oczywiście. – Dziewczyna uśmiechnęła się do niego z odrobiną kokieterii.

Kiedyś potrafił odpowiednio wykorzystać taką sytuację.

Ale teraz nie miał ochoty i może już nigdy nie miał jej mieć.

Dziś była środa. W sobotę leciał do Włoch, spotkać się z rodziną Eleny. Myślał teraz tylko o niej, śnił o niej, czuł ją przy sobie z każdym oddechem. Tak było w każdym razie przed rozmową z dziennikarzem „Time’a”. Kiedy szedł potem ulicą, aż nazbyt wyraźnie ujrzał oczyma wyobraźni scenę, gdy stanął twarzą w twarz z Thomasem Kindem na watykańskiej stacji kolejowej i oświadczył śmiało ponad wycelowaną w siebie lufą automatu: „Znam mego brata lepiej, niż mu się wydaje”.

NOC. Nieoficjalny tajny agent. Tak głęboko zakonspirowany, że może o nim nie wiedzieć nawet szef CIA.

Danny. Rany boskie. A może go w ogóle nie znał?

## Podziękowania

Za cenne wskazówki i informacje techniczne jestem szczególnie wdzięczny Alessandrowi Pansie – szefowi Centralnej Służby Operacyjnej włoskiej policji, księdzu Gregory’emu Coiro – rzecznikowi prasowemu Archidiecezji Katolickiej w Los Angeles, lekarzom – doktorowi Leonowi I. Benderowi i Geraldowi Svedlowowi, Nilsowi Bondowi, Marion Rosenberg, Imarze, biologowi Genemu Mancini, starszemu sierżantowi artylerii Andy’emu Brownowi i starszemu sierżantowi Douglasowi Fraserowi z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych oraz dr. Nortonowi F. Kristy’emu.

Dziękuję też Alessandrowi D’Alfonso, Nicoli Merchiori, Wiltonowi Wynnowi oraz Luigiemu Bernabo za pomoc udzieloną mi podczas pobytu we Włoszech.

Składam podziękowania Larry’ernu Kirshbaumowi i Sarah Crichton oraz mojemu agentowi literackiemu Aaronowi Priestowi.

Na końcu serdecznie dziękuję Frances Jalet-Miller za jej wyśmienite uwagi i niekończącą się cierpliwość podczas redakcji maszynopisu książki.